

DANIELLE STEEL

WSZYSTKO CO NAJLEPSZE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tego dnia o dostaniu się na Lexington Avenue i Sześćdziesiątą Trzecią Ulicę nie było co marzyć. Wietrzysko wyło, a samochody, z wyjątkiem tych największych, utknęły w śnieżnych zaspach. Autobusy dały za wygraną już gdzieś w pobliżu Dwudziestej Trzeciej Ulicy, gdzie przycupnęły skulone niczym zamrożone dinozaury. Te nieliczne, które odważyły się opuścić stado, by podjąć próbę dotarcia do dzielnicy willowej, zbierały najwytrwalszych podróżników, posuwając się z trudem po przetartych przez pługi śnieżne ścieżkach. Nieszczęśnicy ci wybiegali z bram, wymachując rozpaczliwie rękami, po czym, po wykonaniu jakichś dzikich tańców na lodzie dla utrzymania równowagi oraz szczęśliwym wypłątaniu się z labiryntu zasp, całkowicie wyczerpani wdrapywali się do autobusu. Ich oczy były wilgotne, twarze czerwone, a brody, jak w przypadku Berniego, obwieszane sopłami lodu.

Złapanie taksówki granoczyło z cudem. Po piętnastu minutach czekania Bernie zrezygnował więc i ruszył z Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy w kierunku południowym. Często chodził do pracy na piechotę, było to bowiem zaledwie osiemnaście przecznic. Jednak tego poranka, gdy przeszedł z Madison Avenue na Park Lane, a potem skręcił w prawo w Lexington Avenue, poczuł się tak wykończony zmaganiem z przejmującym do szpiku kości wiatrem, że minąwszy jeszcze cztery przecznice, w końcu się poddał.

Życzliwy portier pozwolił mu schronić się w holu, gdzie już kilku zdeterminowanych biedaków czekało na autobus, któremu tym razem przejazd na północ Madison Avenue i z powrotem zajął parę godzin. Inni co rozsądniejsi pocziwcy poddali się po pierwszym rzucie oka na dzisiejszą zadymkę i postanowili w ogóle nie iść do pracy.

Bernie nie miał żadnych wątpliwości, że sklep będzie dziś w połowie pusty, nie należał jednak do ludzi, którzy potrafią przesiadywać beczynnie w domu i gapić się w telewizor. I wcale nie szedł do pracy dlatego, że miał tak rozwinięte poczucie obowiązku. Prawda była taka, że Bernie robił to sześć dni w tygodniu, a często nawet wtedy, gdy tak jak dziś, nie musiał, ponieważ kochał ten sklep. Po prostu to wszystko, co działo się na ośmiu piętrach domu towarowego Wolffa, od dawna stanowiło treść i sens jego życia.

Ten rok był przy tym szczególnie ważny, wprowadzali bowiem siedem nowych programów, spośród których cztery, opracowane przez czołowych europejskich projektantów, miały całkowicie zmienić obraz amerykańskiej konfekcji, zarówno męskiej, jak damskiej.

Bernie rozmyślał teraz o tym, zapatrzony w zasy, które mijali, posuwając się ocieźale

w kierunku śródmieścia. Nie widział już ani śniegu, ani potykających się ludzi, którzy z wysiłkiem przedzierali się do autobusu, nie dostrzegał nawet, co mieli na sobie. Oczyma duszy oglądał nowe wiosenne kolekcje, tak jak zapamiętał je z listopadowych pokazów w Paryżu, Rzymie i Mediolanie, ze wspaniałymi kobietami perfekcyjnie eksponującymi ubiory, poruszającymi się po wybiegu w ten szczególnie dla siebie sposób, który upodabnia je do pięknych nakręcanych lalek, tak płynnie kołyszących biodrami przy chodzeniu.

I naraz ucieszył się, że wyszedł dzisiaj do pracy. Zamierzał jeszcze raz przyjrzeć się modelkom, które zaangażowali do przyszłotygodniowego wielkiego pokazu mody. Po tym, jak wybrał i zaakceptował stroje, chciał mieć pewność, że również prezydentki zostały trafnie dobrane.

Bernard Fine lubił sam wszystkiego dopilnować, począwszy od cen w sklepie, a na zakupach odzieży skończywszy, łącznie z doбором modelek i projektem zaproszeń, rozesłanych już zresztą do najważniejszych klientów. Dla Berniego były to po prostu elementy jednej całości, jednego przedsięwzięcia. Wszystko się liczyło. Według niego to, co robili, niczym się nie różniło od tego, czym zajmowali się w US Steel czy Kodaku. Handlowali przecież produktem lub nawet wieloma produktami, a w końcu on odpowiadał za to, jak ten wyrób będzie się prezentował.

Najbardziej absurdalne w tym wszystkim było to, że gdyby na przykład piętnaście lat temu, kiedy grał jeszcze w piłkę nożną na uniwersytecie Michigan, ktoś mu powiedział, że będzie miał problemy w rodzaju: jaką bieliznę powinny włożyć modelki i jak demonstrować wieczorowe suknie, wyśmiałyby go... albo może nawet rozwaliłyby mu szczękę.

Teraz, przywołując swój obraz sprzed lat, wydawał się sobie tak zabawny, że czasami, gdy obejmował spojrzeniem swój okazały gabinet na ósmym piętrze, uśmiechał się do siebie na samo wspomnienie minionych czasów.

W końcu jednak nie na darmo na uniwersytecie Michigan pasjonował się sportem, i to przez całe dwa pierwsze lata, czyli dopóki nagle nie odkrył w sobie zamiłowania do literatury rosyjskiej. Przez pierwszy semestr trzeciego roku jego bohaterem był Dostojewski, na drugim miejscu plasował się Tołstoj, a tuż za nim szła Sheila Borden, gwiazdka znacznie mniejszego kalibru.

Sheilę Borden poznał na pierwszym roku rusycystyki, kiedy doszedł do wniosku, że nigdy nie zdoła prawdziwie rozsmakować się w rosyjskiej klasyce, jeśli będzie ją czytał jedynie w przekładzie. Zapisał się więc do Berlitz na przyspieszony kurs rosyjskiego i w niedługim czasie potrafił już spytać o pocztę, toaletę i pociąg z akcentem wręcz szokującym wykładowcę.

Ale jego duszę rozpałił dopiero pierwszy rok filologii rosyjskiej, tak samo zresztą jak Sheila Borden. Siedziała w pierwszym rzędzie, długie, proste, czarne włosy spływały jej romantycznie (przynajmniej tak to odbierał) do pasa, a cała postać czarowała gibkością i siłą.

Sprowadziła ją tu fascynacja baletem. Podczas ich pierwszej rozmowy wyjaśniła, że tańczy od piątego roku życia, a przecież nie można zrozumieć baletu, dopóki nie zrozumie się Rosjan.

Była nerwowa i żywa, miała ogromne oczy, a jej ciało było poezją, doskonałą kombinacją symetrii i gracji. Gdy następnego dnia ujrzał, jak tańczy, było już po nim.

Pochodziła z Hartford w stanie Connecticut. Jej ojciec pracował w banku, co według Sheili było okropnie plebejskie. Tęskniła za bardziej wzruszającą historią, na przykład o matce na wózku inwalidzkim i ojcu chorym na gruźlicę, który zmarł zaraz po jej urodzeniu...

Rok wcześniej Bernie na pewno by ją wyśmiał, ale nie na trzecim roku studiów. Jako dwudziestoletni chłopak traktował ją bardzo, bardzo poważnie, a kiedy na ferie pojechał do domu, bez końca opowiadał matce, jaką to fantastyczną tancerką jest Sheila.

- Czy jest Żydówką? - spytała matka, usłyszawszy, jak się nazywa.

Jej zdaniem imię Sheila było bardzo irlandzkie, nazwisko Borden zaś naprawdę straszne, choć mogło kiedyś brzmieć Boardman lub Berkowitz, lub też licho wie jak, co dowodziłoby wprawdzie tchórzostwa rodziny Sheili, ale czyniłoby je możliwym do przyjęcia.

Bernie był okropnie wściekły na matkę za te pytania, którymi zadreczęwała go przez całe życie, nawet wówczas, gdy nie obchodziły go jeszcze dziewczęta.

Pytała o każdego „Czy on jest Żydem...”, czy ona..., Jakie jest panieńskie nazwisko jego matki?..., Czy w ubiegłym roku uczestniczył w barmicwie?..., Mówiłeś, że co jego ojciec robi?

Ona jest Żydówką, prawda? Czyż nie wszyscy to Żydzi, a w każdym razie wszyscy, z którymi Fine'owie utrzymywali kontakty?

Rodzice chcieli, by Bernie wstąpił na uniwersytet Columbia, a nawet Nowojorski, gdyż mógłby stamtąd dojeżdżać do domu. Prawdę mówiąc, matka twardo się przy tym upierała, lecz przyjęła go jedynie uczelnia w Michigan, co tylko ułatwiło sprawę był uratowany!

Wkroczył do Krainy Wolności, aby spotykać się z tysiącami blondynek o niebieskich oczach, które nigdy nie słyszały o gefilte rybie, kreplachu i kniszesach i nie miały pojęcia, kiedy wypada Święto Paschy. To była błogosławiona zmiana, gdyż do tej pory w Scarsdale na ogół umawiał się z dziewczętami, za którymi przepadała głównie jego matka, i w końcu miał już ich dość. Pragnął czegoś nowego, odmiennego, może nawet odrobinę zakazanego.

Sheila posiadała wszystkie te cechy. Poza tym z wielkimi czarnymi oczami i kaskadą hebanowych włosów była nieprawdopodobnie piękna. Zaznajomiła go z wieloma rosyjskimi pisarzami, o których nigdy przedtem nie słyszał, i czytali ich wszystkich, oczywiście w przekładzie. Potem, podczas wakacji, bezskutecznie próbował omawiać przestudiowane książki z rodzicami.

- Twoja babka była Rosjanką. Jeżeli chciałeś uczyć się rosyjskiego, mogłeś od niej.

- To co innego, a poza tym i tak cały czas mówiła w jidysz - dodał już mniej pewnie.

Nienawidził sprzeczek z rodzicami, ale matka była z natury kłótniwa. Dyskusje stanowiły sens jej życia, były jej najmiłą rozrywką i ulubionym sportem. Spierała się ze wszystkimi, a najchętniej z nim.

- Nie mów lekceważąco o zmarłych.

- Wcale tak nie mówiłem. Powiedziałem tylko, że babcia cały czas mówiła w jidysz.

- Mówiła również pięknie po rosyjsku. Ale co tobie z tego przyjdzie? Powinieneś zainteresować się naukami ścisłymi; ekonomia oto co jest dzisiaj potrzebne mężczyźnie w tym kraju.

Matka chciała, by Bernie został, jak jego ojciec, lekarzem, a w najgorszym razie prawnikiem. Ojciec był chirurgiem laryngologiem i uchodził za jednego z najlepszych specjalistów. Bernie nawet w dzieciństwie nigdy nie czuł powołania, by iść w jego ślady. Miał dla niego wiele podziwu, ale na samą myśl, że mógłby zostać lekarzem, cierpła mu skóra. Chciał robić coś innego, bez względu na to, czy matka będzie z tego zadowolona, czy też nie.

- Rosyjski? Kto poza komunistami mówi po rosyjsku?

A choćby Sheila Borden!...

Bernie patrzył na matkę z rozpaczą. Była atrakcyjną kobietą. Zawsze. Bernie nigdy nie musiał się jej wstydzić, podobnie zresztą jak i ojca. Ojciec był wysoki, szczupły, miał siwe włosy i ciemne oczy, które patrzyły zwykle z roztargnieniem. Kochał to, co robił, i bezustannie myślał o swych pacjentach. Bernie miał jednak pewność, że na ojca zawsze można liczyć w potrzebie.

Matka od lat farbowała włosy na blond. Kolor nazywał się „słońce jesieni” i było jej w nim do twarzy. Miała zielone oczy, które Bernie po niej odziedziczył, i ciągle doskonalałą figurę. Nosiła drogie, choć nie rzucające się w oczy ubrania. Były to najczęściej granatowe kostiumy lub czarne suknie kupowane za bająnskie sumy u Lorda Taylora lub Saksa. Bernie zawsze jednak widział w niej tylko matkę.

- Dlaczego ta dziewczyna studiuje właśnie rosyjski? Skąd są jej rodzice?

- Z Connecticut.

- Ale skąd w Connecticut?

Bernie miał ochotę spytać, czy zamierza ich odwiedzić.

- Z Hartford, a co to ma za znaczenie?

- Nie bądź arogancki Bernardzie - jej spojrzenie stało się zimne.

Bernie zgniótł serwetkę i odepchnął krzesło. Wspólne obiady z matką zawsze przyprawiały go o bóle żołądka.

- Gdzie idziesz? Nie dostałeś pozwolenia.

Tak jakby ciągle miał pięć lat! Czasami nie cierpiał przyjazdów do domu, ale jednocześnie miał to sobie za złe. Wściekał się więc z kolei na matkę, że przez nią musi mieć wyrzuty sumienia...

- Muszę jeszcze pouczyć się przed wyjazdem.

- Dzięki Bogu, że przestałeś już grać w piłkę.

Zawsze udało się jej powiedzieć coś takiego, co wzniecało w nim bunt. W takich chwilach miał ochotę walnąć pięścią w stół i oznajmić, że właśnie znowu jest w drużynie... lub że ćwiczy z Sheilą balet, tylko po to, by wreszcie solidnie matką potrząsnąć.

- Jeszcze nie powiedziałem, że na zawsze, mamó.

Ruth Fine ogarnęła go gniewnym spojrzeniem.

- Porozmawiaj o tym z ojcem.

Lou wiedział, co ma zrobić. Matka już to z nim szczegółowo przegadała. Jeśli Bernie wspomni, że wraca do futbolu, zaoferuj mu nowy samochód... Gdyby Bernie o tym wiedział, na pewno dostałby szalu i nie tylko nie przyjąłby auta, ale natychmiast wróciłby do piłki. Nienawidził, gdy ktoś go przekupywał, oraz nie cierpiał tych matczynych pomysłów, podobnie jak nie znosił jej nadopiekuńczości, czyli tego wszystkiego, co było obce o wiele rozsądniejszemu ojcu. Ciężki był los jedynaka.

Kiedy wrócił do Ann Arbor i spotkał się z Sheilą, przyznała mu rację. Dla niej ferie również nie były łatwe, a poza tym w żaden sposób nie mogła się dogadać z rodzicami, mimo że Hartford nie leżał przecież na końcu świata, choć niemal na to wychodziło.

Miała pecha urodzić się jako tak zwane spóźnione dziecko i rodzice traktowali ją, jakby była ze szkła. Za każdym razem, gdy wychodziła z domu, drżeli, by nikt jej nie zranił, nie napadł, nie zgwałcił, nie zostawił na lodzie, by nie poznała nieodpowiedniego mężczyzny lub nie trafiła do kiepskiej szkoły. Nie szaleli również z radości na myśl o uniwersytecie Michigan, Sheila się jednak uparła. Potrafiła uzyskać od nich wszystko, co chciała, lecz wkurzało ją, że wiecznie się nad nią trzęsą. Dobrze wiedziała, co Bernie miał na myśli.

Po feriach wiosennych uknuli plan, że na letnie wakacje w tajemnicy przed wszystkimi pojedą do Europy i będą co najmniej przez miesiąc podróżować.

Tak też zrobili. Wspaniale było po raz pierwszy w życiu razem zwiedzać Wenecję, Paryż i Rzym.

Sheila była do szaleństwa zakochana.

Gdy leżeli nago na pustej plaży na wysepce Ischia, a kruczoczarne włosy dziewczyny malowniczo spływały z jej ramion, Bernie, nie mogąc nasycić oczu takim pięknem, w skrytości ducha myślał, by poprosić ją o rękę. Na razie jednak zatrzymał ten pomysł dla siebie. Marzył o tym, żeby się zaręczyli w czasie ferii bożonarodzeniowych i pobrali po skończeniu studiów w czerwcu przyszłego roku...

Pojechali jeszcze do Anglii i Irlandii. Wrócili razem samolotem. Z Londynu.

Ojciec jak zwykle był w gabinecie zabiegowym, ale matka wyszła na lotnisko, choć telegrafował, by tego nie robiła. Kiedy machała mu zżywieniem, wyglądała jak odmłodzona w nowym beżowym kostiumie od Bena Zuckermana, z włosami uczesany specjalnie na tę okazję. I jeśli nawet wzbudziła w Bernieem jakiegokolwiek cieplejsze uczucia, natychmiast przysnęły, gdy ujrzał, jak zareagowała na jego towarzyszkę podróży.

- Kto to?

- To Sheila Borden, mamó.

Pani Fine wyglądała tak, jakby miała za chwilę zemdleć.

- Cały czas podróżowaliście razem?

Rodzice dali mu tyle pieniędzy, że starczyłoby na sześć tygodni; to był prezent na dwudzieste pierwsze urodziny

- Podróżowaliście razem, tak... tak... bezwstydnie?...

Słuchając matki Bernie miał chęć zapaść się pod ziemię. Sheila uśmiechała się jednak, jakby nic sobie z tego nie robiła.

- W porządku, Bernie, nie przejmuj się... No, tak czy owak muszę złapać podmiejski autobus do Hartford...

Posłała mu porozumiewawczy uśmiech, chwyciła swą płócienną torbę podróżną i po prostu zniknęła bez pożegnania właśnie w chwili, gdy matka zaczęła wycierać oczy.

- Mamó... proszę...

- Jak mogłeś nas tak okłamać?

- Nie kłamałem, powiedziałem, że spotykam się z przyjaciółmi.

Poczerwieniał i jedyne, czego pragnął, to zapaść się pod ziemię. A także już nigdy więcej nie widzieć na oczy matki.

- I to ma być przyjaciel?

Bernie przebiegł myślą chwile, kiedy się kochali na plażach, w parkach, nad brzegami rzek, w małych hotelikach... Żadne słowa matki nie były w stanie wymazać tych wspomnień z jego pamięci, dlatego patrzył na nią wojowniczo.

- Sheila jest moją najlepszą przyjaciółką.

Złapał torbę i ruszył do wyjścia, zostawiając matkę samą. Zrobił jednak błąd, że się obejrzał, by jeszcze raz na nią popatrzeć. Stała w miejscu i płakała. Nie mógł jej tego zrobić, wrócił, przeprosił, a potem poczuł za to do siebie wstręt.

W każdym razie na jesieni, po powrocie na uczelnię, ich romans rozkwitł. Tym razem gdy wrócili do domów na Święto Dziękczynienia, Bernie pojechał samochodem do Hartford, by poznać jej rodzinę.

Byli chłodni, ale uprzejmi i wyraźnie zaskoczeni czymś, o czym Sheila im nie powiedziała. Podczas podróży powrotnej, kiedy siedzieli już w ostatnim rzędzie samolotu lecącego do Michigan, Bernie zaczął ją indagować.

- Czy byli skonsternowani tym, że jestem Żydem?

Był ciekaw, czy rodzice Sheili też się tak wszystkim przejmowali jak jego, choć wydawało się to mało prawdopodobne. Nikt nie był w stanie równie mocno wszystkiego przeżywać jak Ruth Fine, przynajmniej tak sądził.

- Nie - uśmiechnęła się z roztargnieniem, zapalając skręta z marihuany. - Chyba byli najwyżej zaskoczeni. Nie przyszło mi nawet do głowy, że jest to na tyle ważne, bym musiała im o tym wspominać.

To mu się w niej podobało. Z łatwością sobie ze wszystkim radziła i z niczego nie robiła problemu.

Bernie zaciągnął się szybko, a potem Sheila schowała zgaszony niedopałek do koperty, którą włożyła do torby.

- Uznali, że jesteś miły.

- Ja też uważam, że są mili.

Skłamał, tak naprawdę rodzice Sheili wydawali mu się okropnie nudni i bardzo go zaskoczyło, że jej matka nie ma absolutnie klasy. Rozmawiali wyłącznie o pogodzie lub w kółko komentowali wiadomości podawane w telewizji, jakby żyli w próżni albo jakby ich życie od tego zależało. Sheila była tak do nich niepodobna, lecz w końcu ona twierdziła to samo o nim. Po tym jedynym spotkaniu nazwała jego matkę histeryczką, z czym Berniemu trudno się było nie zgodzić.

- Czy twoi rodzice przyjeżdżają na rozdanie dyplomów?

- Chyba żartujesz? - zaśmiała się Sheila. - Moja matka już na samą myśl o tym zaczyna płakać.

Bernie nadal myślał o poślubieniu jej, ale jeszcze nie pisał na ten temat ani słowa. W dzień świętego Walentego zaskoczył ją pięknym maleńkim pierścionkiem z brylantem, kupionym za pieniądze, które zostawili mu po śmierci dziadkowie. Pierścioneczek miał też mały szmaragd o starannym szlifie, ważący zaledwie dwa karaty, ale był za to bez skazy.

W dniu, w którym go kupił, wracał do domu ze ściśniętym gardłem. Gdy pocałował ją mocno w usta i niedbale rzucił jej na kolana pudełeczko zawinięte w czerwony papier, osłupiała z wrażenia.

- Przymierz, mała.

Myślała, że to jakiś żart, i śmiała się, dopóki nie odemknęła wieczka. Potem otworzyła usta i wybuchnęła płaczem.

Rzuciła mu z powrotem pudełko i wyszła bez słowa, zostawiając go z głupią miną. Nic z tego nie rozumiał, dopóki Sheila nie wróciła jeszcze tego samego wieczoru, by z nim porozmawiać.

Każde z nich miało swój pokój, na ogół jednak mieszkali u niego, gdyż było tu więcej miejsca i bez trudu mieściły się dwa biurka. Sheila przyglądała się otwartemu pudełku na biurku Berniego.

- Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?

Bernie nie rozumiał. Może pierścionek był według niej za duży?

- To znaczy co? Chcę się z tobą ożenić.

Wyciągnął do niej ręce i patrzył łagodnie, ale Sheila odwróciła się i przeszła na drugi koniec pokoju.

- Myślałam, że rozumiesz... do tej pory sądziłam, że wszystko jest na luzie.

- Co chcesz, do licha, przez to powiedzieć?

- Myślałam, że między nami jest partnerstwo.

- Oczywiście, że tak, ale co to ma do rzeczy?

- Nie potrzebujemy się pobierać... Po co nam te wszystkie tradycyjne bzdury?

Patrzyła na niego z wyrzutem, czym Bernie był zaszokowany.

- Potrzebujemy jedynie tego, co mamy teraz, i tak długo, jak długo to będzie trwało.

Po raz pierwszy słyszał w jej ustach takie słowa i nie bardzo wiedział, co ją naszło.

- A jak długo to będzie trwało? Dzień... tydzień... wzruszyła ramionami.

- Czy to takie ważne? Jakie to ma znaczenie? Ale nie możesz nałożyć na to jarzma z brylantowego pierścionka.

- No cóż, bardzo cię przepraszam.

Nagle wpadł w furję, złapał pudełko, zatrzasnął i wrzucił do jednej z szuflad biurka.

- Wybacz, że zachowałem się jak typowy drobnomieszczanin. Najpewniej znowu daje znać o sobie moje Scarsdale.

Jej oczy nabrały nowego, nie znanego mu wyrazu.

- Nie przypuszczałam, że przywiązujesz do tego taką wagę.

Sprawiała wrażenie osoby kompletnie zagubionej, której nagle wypadło z pamięci nawet jego imię.

- Myślałam, że wszystko rozumiesz...

Usiadła na kanapie, wodząc oczami za Berniem, który przeszedł wielkimi krokami do okna, a potem odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Wiesz co? Nic nie rozumiem. Śpimy ze sobą już ponad rok, właściwie prowadzimy wspólne życie, w zeszłym roku byliśmy razem w Europie. Jak myślisz, co to było? Nic nie znaczący romans?

- Nie, nie dla niego.

Nawet w wieku dwudziestu jeden lat nie należał do tego typu mężczyzn.

- Cóż to za staroświeckie gadanie!

Wstała i przeciągnęła się, jakby znudzona. Bernie zauważył, że nie ma na sobie stanika, co jeszcze pogorszyło całą sprawę. Czuł, że narasta w nim pożądanie.

- Może jeszcze za wcześnie - popatrzył na nią z nadzieją, podsycając równie mocno głosem serca, jak tym, co czuł między nogami i co oczywiście budziło w nim wstręt do siebie.

- Może potrzeba nam jeszcze czasu.

Sheila pokręciła jednak głową. Zmierzając ku drzwiom, nie zatrzymała się, by go pocałować na pożegnanie.

- W ogóle nie mam ochoty wychodzić za mąż, Bem. To nie dla mnie. Jak skończymy studia, mam zamiar pojechać do Kalifornii i tam się trochę poobijać.

Już ją tam widział... w jakiejś komunie.

- A na czym polega to „obijanie się”? To ślepy zaułek.

Wzruszyła z uśmiechem ramionami.

- Na razie chcę właśnie tylko tego, Bern.

Długą chwilę patrzyli sobie w oczy.

- W każdym razie dziękuję za pierścionek.

Wstała i wyszła, cicho zamknąwszy za sobą drzwi. Bernie, pogrążony w myślach, siedział długo w ciemności. Bardzo kochał Sheilę, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Dotychczas nie znał jej takiej, tak niedbale obojętnej na uczucia innych.

Nagle przypomniał sobie, jak podczas jego wizyty traktowała swoich rodziców. Wydawało się, że w istocie nic ją nie obchodzi, co czują, i zawsze uważała, że oszalał, gdy przed wyjazdem do domu dzwonił do rodziny lub kupował matce prezent. Wyśmiała go też, kiedy w urodziny matki przesłał jej kwiaty.

Naraz zaczął układać te wydarzenia w logiczną całość. Może wszystkich miała w nosie, nawet jego? Po prostu dobrze się bawiła i robiła to, co się jej akurat podobało. Do tej pory Bernie był tym, na co miała ochotę, ale pierścionek zaręczynowy już jej nie bawił.

Kiedy szedł spać, włożył go z powrotem do szuflady. Z ciężkim sercem leżał tak w ciemności i myślał o niej.

Potem było coraz gorzej. Sheila zapisała się do jakiejś grupy pracującej nad rozwijaniem świadomości. Bernie odnosił wrażenie, że ulubionym tematem jej członków są ich wzajemne stosunki. Po powrocie do domu atakowała go niemal bez przerwy za jego wartości, dążenia, sposób, w jaki się do niej zwracał.

- Nie mów do mnie jak do dziecka. Cholera, jestem kobietą i nie zapominaj, że te twoje jaja to jedynie ozdoba, i do tego nie najlepsza. Jestem tak samo mądra jak ty, mam tak samo silny charakter, moje oceny są równie dobre... Nie mam tylko tego, co tobie zwisa między nogami.

- A co to kogo obchodzi?

Bernie był przerażony. Jego niepokój wzrósł jeszcze bardziej, gdy rzuciła balet. Kontynuowała naukę rosyjskiego, lecz mówiła teraz wiele o Che Guevarze. Zaczęła nosić żołnierskie buty i inne dodatki kupione z demobilu. Uwielbiała zwłaszcza męskie podkoszulki, w których paradowała bez stanika, ukazując prześwitujące przez nie ciemne sutki. Czasami gdy szedł z nią ulicą, nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

- Chyba nie mówisz poważnie? - spytała, gdy rozmawiali o balu ostatniego rocznika.

Choć oboje doszli do wniosku, że będzie piekielnie staromodny, Bernie przyznał się, że mimo to chce się na niego wybrać. Żeby mieć co wspominać na stare lata. W końcu Sheila przystała na ten pomysł.

Zjawiała się w jego pokoju w rozpiętym do pasa roboczym mundurze wojskowym, spod którego wystawał podarty czerwony podkoszulek. Buty nie były wprawdzie wojskowe, ale spokojnie mogły za takie uchodzić. Stanowiły doskonałą imitację, tyle że zostały spryskane złotą farbą. Gdy gapił się na nie, Sheila rzuciła żartobliwie, że to takie „szpileczki” ostatni krzyk mody.

Bernie miał na sobie biały smoking, w którym wystąpił w ubiegłym roku na jakimś

weselu, kupiony przez ojca u Braci Brooks. Leżał na nim doskonale. Kasztanowowłosy, zielonooki Bernie, lekko ogorzały od pierwszego letniego słońca, był naprawdę bardzo przystojny.

Sheila zaś wyglądała śmiesznie, czego jej zresztą nie omieszkał powiedzieć.

- To chamstwo wobec tych wszystkich dzieciaków, które traktują tę imprezę poważnie. Skoro już idziemy, powinniśmy to uszanować.

- Och, na miłość boską - rzuciła się na kanapę z wyrazem bezgranicznej pogardy. Wyglądasz jak lord Fauntleroy. Chryste Panie, niech no tylko opowiem o tym mojej grupie.

- Pieprzę twoją grupę.

Wyprowadziła go z równowagi, a ponieważ nigdy przedtem jej się to nie udało, patrzyła ze zdziwieniem, jak Bernie podchodzi i staje nad nią. Leżała właśnie na kanapie i dyndała długimi, kształtnymi nogami w roboczych spodniach wojskowych i złotych żołnierskich buciorach.

- A teraz podnieś tyłek, idź do swego pokoju i przebierz się - rozkazał.

- Pieprzę cię - odparła z drwiącym uśmiechem.

- Sheilo, mówię poważnie, nie wyjdiesz tak ubrana.

- Właśnie że wyjdę.

- Nie. W takim razie nie pójdziemy.

Bernie wahał się, lecz tylko przez jedną małą chwilę, po czym ruszył wielkimi krokami do drzwi.

- Właśnie że nie. To ty nie pójdiesz, bo ja idę, ale sam.

- Baw się dobrze - pomachała mu, gdy wściekły wychodził bez słowa z pokoju.

Poszedł i było okropnie. Z nikim nie tańczył, lecz tkwił tam bez sensu tylko po to, aby udowodnić swoją rację.

Zmarnowała mu cały wieczór, tak jak zepsuła całą uroczystość rozdania dyplomów urządziwszy podobną aferę, z tym że było to jeszcze gorsze, na widowni bowiem znajdowała się jego matka.

Kiedy Sheila weszła na scenę i dostała już do ręki dyplom, odwróciła się i wygłosiła krótką mowę na temat bezsensowności symbolicznych gestów klasy rządzącej oraz o tym, jak to kobiety są nadal gnębione na całym świecie. W ich imieniu, jak oświadczyła, i w swoim własnym odrzuca szowinizm uniwersytetu Michigan. Potem przedarła dyplom na pół.

Całej widowni zaparło dech w piersiach. Berniemu zaś chciało się krzyżeć.

Po tym wydarzeniu nie miał absolutnie nic do powiedzenia matce, a jeszcze mniej Sheili, kiedy tego wieczoru zaczęli się pakować. Nie zdradził nawet, co myśli o takim

zachowaniu. Wolał nic nie mówić, bo nie bardzo sobie ufał. Tak naprawdę to w ogóle niewiele się odzywał, gdy wyjmowała z szuflad swoje rzeczy.

Rodzice byli w tym czasie z przyjaciółmi na obiedzie w hotelu, a Bernie miał dołączyć do nich następnego dnia w porze lunchu, by uczcić dyplom, zanim wszyscy powrócą do Nowego Jorku.

Patrzył teraz na Sheilę z rozpaczą. Półtora roku poszło na marne. Przez ostatnie kilka tygodni żyli ze sobą dla wygody i z przyzwyczajenia, a mimo to nadal trudno mu się było pogodzić z rozstaniem.

Choć planował wyjazd z rodzicami do Europy, nie mógł uwierzyć, że między nimi skończone. To niesamowite, jak bardzo była gorąca w łóżku, a jak zimna poza nim. Zawsze go to wprawiało w zakłopotanie, od pierwszego ich spotkania, ale przyłapał się na tym, że absolutnie nie potrafi patrzeć na nią z dystansu.

Sheila pierwsza przerwała milczenie.

- Jutro wieczorem wyjeżdżam do Kalifornii.

Patrzył na nią oszołomiony.

- Myślałem, że rodzice chcą, abyś wróciła do domu.

Uśmiechnęła się i wrzuciła pęk skarpetek do sportowej torby.

- Podejrzewam, że by tego chcieli - znowu wzduszyła ramionami i w tym momencie Bernie poczuł nieprzepartą chęć, by jej spuścić manto.

Był w Sheili naprawdę zakochany, chciał się z nią ożenić, lecz dla niej tylko to miało znaczenie, czego sama chciała. Była największą egoistką, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się spotkać.

- Wyjeżdżam z listy rezerwowej do Los Angeles, a stamtąd, mam nadzieję, złapię coś do San Francisco.

- A potem?

- Kto to wie?

Wyciągnęła ręce i patrzyła na niego, jakby się dopiero co poznali, jakby nigdy nie byli przyjaciółmi ani kochankami. Przecież przez ostatnie dwa lata spędzone na uniwersytecie była najważniejszą osobą w jego życiu. Czuł się teraz jak ostatni głupiec. Zmarnował przy niej dwa lata.

- Może byś przyjechał do San Francisco po powrocie z Europy? Nie będę miała nic przeciwko spotkaniu z tobą.

Nie będzie miała nic przeciwko? Po dwóch latach?

- Myślę, że nie przyjadę.

Uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku godzin, ale oczy miał nadal smutne.

- Muszę poszukać pracy.

Wiedział, że Sheila wcale się do tego nie pali. Rodzice dali jej z okazji ukończenia studiów dwadzieścia tysięcy dolarów i Bernie zauważył, że bynajmniej się nimi nie zachłysnęła. Miała dość pieniędzy, by żyć w Kalifornii przez parę lat, on natomiast do tej pory nie rozglądał się za żadną pracą, nie był bowiem pewny, co zdecyduje Sheila, czuł się jak skończony kretyn.

Najbardziej pragnął zaszyć się w jakiejś szkółce w Nowej Anglii i uczyć literatury rosyjskiej. Powysłał podania i czekał na odpowiedzi.

- Czy to nie idiotyzm, Bern, dać się wyssać klasie rządzącej i wykonywać pracę, której nienawidzisz, za pieniądze, których nie potrzebujesz?

- Mów za siebie. Moi rodzice nie zamierzają utrzymywać mnie do końca życia.

- Moi też - rzuciła zaczepnie.

- Masz zamiar poszukać pracy na Zachodnim Wybrzeżu?

- Kiedyś tak.

- I co chcesz robić? Prezentować to jako modelka?

Pokazał na jej wystrzępione, obcięte nad kolanami dżinsy i buty, co ją wyraźnie zirytowało.

- Kiedyś będziesz taki sam jak twoi rodzice - stwierdziła, zapinając torbę.

Już nic gorszego nie mogła mu powiedzieć. Wyciągnęła do niego rękę.

- Do widzenia, Bernie.

Śmiechu warte, pomyślał, przypatrując się jej ze zdumieniem. Więc to tak? Po dwóch latach tylko „do widzenia”? W oczach miał łzy i nic go nie obchodziło, co też Sheila może sobie teraz myśleć.

- Nie do wiary... Mieliśmy się pobrać... mieć dzieci.

Widać było, że nie jest zachwycona tą wizją.

- Wcale tego nie planowaliśmy.

- A co planowaliśmy, Sheilo? Rznąć się przez dwa lata? Kochałem cię, choć może dzisiaj trudno w to uwierzyć.

Nie mógł naraz pojąć, co w niej widział, i z przykrością musiał w duchu przyznać rację matce. Tym razem się nie myliła.

- Myślę, że ja też cię kochałam...

Wargi jej drżały, choć starała się opanować. W nagłym odruchu podeszła do niego i przywarli do siebie na środku opustoszałego pokoiku, który kiedyś był ich domem.

- Tak mi przykro, Bernie... Myślę, że wszystko się zmieniło.

Oboje płakali. Bernie pokiwał głową.

- Wiem... to nie twoja wina - szeptał ochrypłym głosem, choć nie bardzo wiedział, czyja miałyby być.

Kiedy ją pocałował, spojrzała mu w oczy.

- Jeżeli będziesz mógł, przyjedź do San Francisco.

- Postaram się.

Oczywiście nigdy nie pojechał. Następne trzy lata Sheila spędziła w komunie w pobliżu Stinson Beach i Bernie zupełnie stracił z nią kontakt. Aż pewnego razu przysłała na Boże Narodzenie życzenia, do których dołączyła swoje zdjęcie. Nigdy by jej nie poznał. Mieszkała w starym autobusie szkolnym, zaparkowanym w pobliżu plaży, z dziewięcioma innymi osobami i szóstką małych dzieci. Dwoje należało do niej, najwyraźniej dziewczynki. Odtąd Sheila przestała go już obchodzić, co nie znaczy, że od razu zdołał wymazać ją z pamięci.

Był wdzięczny rodzicom za to, że nie robili z tego problemu. Odczuł ulgę, że matka nigdy nie wspomniała o niej ani słowem. Ruth natomiast zrobiło się lżej na sercu, gdy Sheila zniknęła.

Była jego pierwszą miłością i trudno mu było wyrzec się marzeń, Europa dobrze mu jednak zrobiła. W Paryżu, Londynie, na południu Francji, w Szwajcarii i we Włoszech spotykał tuziny dziewcząt. Nie spodziewał się, że podróżowanie z rodzicami może być tak przyjemne. W końcu oni zaczęli widywać się ze swoimi znajomymi, a on ze swoimi. W Berlinie spotkał trzech kumpli ze szkoły i ostro zabalowali przed powrotem do normalnego życia. Dwóch z nich szło do szkoły prawniczej, a trzeci żenił się na jesieni i miał ostatnią okazję, by się wyszumieć. Zdecydował się na ten krok głównie po to, żeby umknąć przed wojskiem.

Bernie tym nie musiał się przejmować, choć wprawiało go to zawsze w zakłopotanie. W dzieciństwie miał astmę i ojciec troskliwie zadbał, aby fakt ten został odnotowany w jego dokumentach. Gdy jako dziewiętnastolatek stanął przed komisją poborową, dostał kategorię 4-F, czyli „niezdolny”, do czego nie przyznawał się kolegom przez dwa lata. Teraz jednak było to w pewnym sensie korzystne, bo chociaż o ten problem nie potrzebował się martwić.

Niestety, szkoły, w których ubiegał się o posadę, odrzuciły jego oferty, ponieważ nie miał dyplomu magistra. Złożył więc podanie o przyjęcie na uniwersytet Columbia. Wszystkie podstawówki odpowiedziały mu, by wrócił do nich za rok, po uzyskaniu dyplomu, Berniemu jednak wydawało się to całą wiecznością, a wykłady, na które się zapisał na uczelni, wcale go

nie zachwycali.

Siedział w domu i matka doprowadzała go do szału. Wszyscy znajomi się ulotnili niektórzy poszli do wojska, inni wyjechali na studia albo podjęli pracę gdzieś poza Nowym Jorkiem. Miał wrażenie, że tylko on jeden został w domu. Zdesperowany zgłosił się do domu towarowego Wolffa na okres wzmożonego ruchu przedświątecznego. Nie przeszkadzało mu nawet, że przydzielili go do działu męskiego i kazali sprzedawać buty. Wszystko było wówczas lepsze od siedzenia w domu, a poza tym zawsze lubił ten sklep.

Dom towarowy Wolffa był jednym z okazałych, eleganckich gmachów, gdzie ładnie pachniało, gdzie było mnóstwo dobrze ubranych ludzi i nawet personel miał pewną klasę, a gorączka przedświąteczna była znośniejsza niż gdziekolwiek indziej. Kiedyś Wolff nadawał wszystkim styl i w pewnym stopniu nadal to robił, choć brakowało mu imponującej przebojowości mieszczącego się o trzy przecznice dalej sklepu Bloomingdale'a.

Bernie był jednak zafascynowany starym Wolffem i ciągle opowiadał szefowi działu zakupów, co według niego mogliby zrobić, by prześcignąć Bloomingdale'a. Ale ten uśmiechał się tylko z wyższością, przekonany, że Wolff nie ma potrzeby z kimkolwiek współzawodniczyć. Natomiast Paul Berman, dyrektor domu towarowego, bardzo się zainteresował Berniem po przeczytaniu jego memorandum. Dowiedziawszy się o istnieniu tego dokumentu szef działu zakupów zaczął się gęsto tłumaczyć, zapewniając, że natychmiast wyleje Berniego z pracy. Bermanowi jednak wcale nie o to chodziło, on pragnął poznać tego chłopaka z głową pełną interesujących pomysłów.

Spotkali się zatem i Bernie zrobił na nim wrażenie bardzo obiecującego młodzieńca. Berman zabrał go nawet kilkakrotnie na lunch. Z rozbawieniem obserwował, że chłopakowi nie tylko nie zbywa na tupecie, ale i na - bystrości. Zaśmiewał się, gdy Bernie mu powiedział, że zamierza uczyć literatury rosyjskiej i chodzi na zajęcia wieczorowe na uniwersytecie Columbia.

- To przecież cholerna strata czasu.

Bernie zamilkł urażony, choć Berman mu się podobał. Był spokojnym, eleganckim i byстрыm biznesmenem, którego wszystko interesowało, wnukiem samego Wolfa.

- Literatura rosyjska to moja dziedzina - powiedział z godnością.

- Powinieneś pójść do szkoły biznesu.

Bernie uśmiechnął się.

- Mówi pan jak moja matka.

- Co robi twój ojciec?

- Jest lekarzem, chirurgiem laryngologiem, ale ja zawsze nienawidziłem medycyny. Na

samą myśl o tym, że mógłbym mieć coś wspólnego z tym zawodem, robi mi się niedobrze.

Berman pokiwał głową. Doskonale go rozumiał.

- Mój szwagier był lekarzem i też miałem na ten temat podobne zdanie.

Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w Bernarda Fina.

- Ale co w końcu zamierzasz ze sobą zrobić?

Bernie był z nim szczery. Uważał, że Bermanowi się to należy. Również sklep obchodził go na tyle, że opracował memorandum, które go przywiodło do Bermana. Podobało mu się u Wolffa; uważał, że to wspaniałe miejsce, choć nie dla niego. W każdym razie nie na stałe.

- Uzyskam stopień magistra, napiszę podania do tych samych szkół w przyszłym roku i jeśli tylko dopisze mi szczęście, za rok będę uczył w jakiejś szkole z internatem - uśmiechnął się z otuchą. Wyglądał przy tym nadzwyczaj młodo. Jego naiwny zapał był w pewnym sensie wzruszający i bardzo spodobał się Paulowi Bermanowi.

- A co będzie, jeżeli zgarnie cię wcześniej wojsko?

Bernie wyjaśnił, jak otrzymał kategorię 4-F.

- Masz cholerne szczęście, młody człowieku. To małe nieporozumienie w Wietnamie może stać się w każdej chwili czymś piekielnie poważnym. Zobacz, co się stało w Indochinach z Francuzami. Mało nóg nie pogubili uciekając. Jeśli nie będziemy się mieć na baczności, może to i nas spotkać.

Bernie przyznał mu rację.

- Dlaczego nie rzucisz szkoły wieczorowej?

- I co miałbym robić?

- Mam dla ciebie propozycję. Zostaniesz w sklepie przez rok, przeszkolimy cię w różnych dziedzinach, pozwolimy ci wszystkiego po trochu liznąć, a potem jeżeli zechcesz u nas zostać i zdasz egzamin, to wyślemy cię do szkoły biznesu. Przez ten czas wciągniesz się do pracy. Co o tym myślisz?

Jeszcze nigdy nikomu nie zaproponowali czegoś takiego, jednakże Bermanowi podobał się ten młodzik o wielkich, uczciwych zielonych oczach i inteligentnym spojrzeniu. Nie był pięknym chłopcem, lecz przystojnym mężczyzną, w jego twarzy zaś była jakaś pogoda, dobroć i przyzwoitość, które bardzo Bermana ujęły.

Zanim opuścił tego dnia swoje biuro, przeprowadził z Berniem długą rozmowę. Chłopak poprosił o dzień lub dwa do namysłu, przyznał jednak, że propozycja nie tylko bardzo mu schlebia, ale i szczerze go wzrusza.

To była nadzwyczaj ważna decyzja. Bernie nie miał pewności, czy chce iść do szkoły

biznesu, i trudno mu było oswoić się z myślą, że miałby porzucić marzenia o wiejskiej szkole w małym, sennym miasteczku, gdzie wlewałby w chciwe uszy wiedzę o Dostojewskim i Tolstoju. Może to jednak istotnie tylko marzenia, które już zaczynały jakby rozplýwać się we mgle?

Tego wieczoru rozmawiał z rodzicami i nawet ojciec był poruszony. Berniemu trafiała się wspaniała szansa, jeżeli rzeczywiście właśnie taka praca go interesowała, a rok praktyki w sklepie to mnóstwo czasu, by mógł ocenić, czy podoba mu się u Wolffa.

Wyglądało na to, że nic nie tracił, toteż ojciec mu gratulował, matka natomiast zaczęła wypytywać, ile dzieci ma Berman, ilu synów, to znaczy jaką Bernie ma konkurencję, czy ma córki wyobrażała już sobie, jak żeni się z jedną z nich.

- Daj mu spokój, Ruth.

Kiedy zostali sami, Lou był stanowczy. Pohamowała się wielkim wysiłkiem woli.

Następnego dnia Bernie dał Bermanowi odpowiedź. Z wdzięcznością przyjął propozycję, a Berman doradził mu, by złożył podania do kilku szkół biznesu jednocześnie. Wybrał uniwersytet Columbia i Nowojorski, ponieważ były na miejscu, oraz Wharton i Harvard ze względu na ich rangę. Wiedział, że upłynie sporo czasu, zanim uczelnie dadzą mu odpowiedź, czy został przyjęty, czy nie, lecz tymczasem i bez tego miał dużo pracy.

Na podanie Berniego pozytywnie odpowiedziały trzy szkoły; tylko Wharton go odrzucił, nadmieniając jednak, że może w przyszłym roku znajdzie się dla niego miejsce, gdyby zechciał poczekać. Oczywiście nie chciał i wybrał uniwersytet Columbia. Rozpoczął studia, pracując cały czas po kilka godzin w tygodniu w sklepie. Nie chciał wychodzić z wprawy, poza tym odkrył w sobie zainteresowanie projektowaniem odzieży męskiej.

Przeprowadził na ten temat badania do swej pierwszej pracy i nie tylko uzyskał wysoką notę, ale nawet sformułował wnioski, które sprawdzały się w sklepie, Berman pozwolił mu bowiem na pewne eksperymenty, oczywiście na małą skalę.

Przez cały czas odnosił sukcesy w szkole biznesu, a kiedy ją ukończył, przez sześć miesięcy pracował dla Bermana, potem zaś na powrót podjął pracę najpierw w dziale z konfekcją męską, a następnie damską. Zaczął wprowadzać widoczne w całym sklepie zmiany i po pięciu latach był już wschodzącą gwiazdą Wolffa.

Dlatego jak grom z jasnego nieba spadła na niego pewnego słonecznego wiosennego popołudnia wiadomość, że przenoszą go na dwa lata do sklepu w Chicago.

- Ale dlaczego?

Czuł się tak, jakby go zsyłano na Syberię. Nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Kochał Nowy Jork i znakomicie spisywał się w sklepie.

- Po pierwsze dlatego, że nieźle znasz środkowy wschód, a poza tym - Berman westchnął i zapalił papierosa - potrzebujemy cię tam. Sklep nie idzie tak dobrze, jak byśmy chcieli. Niezbędna jest mu świeża krew i ty nią jesteś - uśmiechnął się do swego młodego kolegi.

Bardzo się nawzajem szanowali, ale tym razem Bernie próbował się stawiać. Nie wygrał. Berman nie zmiękł i w dwa miesiące później Bernie odleciał do Chicago, a po roku otrzymał stanowisko dyrektora, co zatrzymało go tam jeszcze na dwa lata, choć nienawidził tego miasta. Chicago go przygnębiało, ponadto źle znosił tamtejszy klimat. Rodzice, którzy go odwiedzali, nie mieli wątpliwości, że pozycja zawodowa ich syna wiąże się z dużym prestiżem.

Stanowisko dyrektora w oddziale chicagowskim Wolffa w wieku trzydziestu lat nie było byle czym, a mimo to Bernie usychał z tęsknoty za Nowym Jorkiem. Matka, usłyszawszy radosną wiadomość o jego powrocie, wydała z tej okazji wspaniałe przyjęcie.

Kiedy przyjechał do domu, miał trzydzieści jeden lat. Berman, choć w zasadzie pozwolił mu realizować własne plany, z dużą rezerwą odniósł się do jego pomysłu zreorganizowania działu odzieży damskiej. Zakładał on wprowadzenie tuzina fasonów z najlepszych w świecie domów mody i przywrócenie Wolffowi renomy liczącego się dyktatora nowych trendów w całych Stanach Zjednoczonych.

- Czy zdajesz sobie sprawę, po ile są takie suknie?

Optymistyczny nastrój Berniego nie wydawał się wystarczającym argumentem dla głęboko zaniepokojonego Bermana.

- Wiem, ale przecież mogą zejść dla nas trochę z ceny. W końcu nie będą to oryginalne kreacje z najlepszych domów mody.

- Ale cholernie do nich zbliżone, przynajmniej cenowo. Kto tu kupi taki towar?

Wydawało mu się to zbyt szalone, choć interesujące.

- Myślę, że nasi klienci chętnie przyjmą to, co im zaoferujemy, Paul, zwłaszcza w takich miastach jak Chicago, Boston, Waszyngton, a nawet Los Angeles, gdzie nie mają pod ręką, tak jak w Nowym Jorku, sklepów wszystkich możliwych firm. Sprowadzimy Paryż i Mediolan do nich.

- Albo siebie na dziady.

Nie powiedział jednak „nie”. Bernie patrzył na Paula w zamyśleniu. To był ciekawy pomysł. Zamierzał się przerzucić na najdroższe towary i sprzedawać suknie nawet po pięć, sześć czy siedem tysięcy dolarów. Byłaby to w końcu formalnie jedynie konfekcja, ale projektowana według najnowszych europejskich fasonów.

- Nie musimy nawet kupować całej serii, nie potrzebujemy robić zapasów. Możemy zorganizować pokaz kreacji wszystkich projektantów, a klientki składałyby zamówienia za naszym pośrednictwem, co byłoby jeszcze sensowniejsze z ekonomicznego punktu widzenia.

Berman zrozumiał, na czym polega genialność pomysłu Berniego, zadrzał z emocji. Był faktycznie pozbawiony ryzyka.

- To jest to Bernardzie. Myślę, że na początek powinniśmy wprowadzić pewne zmiany. Nasza pracownia projektancka jest za mało europejska.

Gdy plan był już w zasadzie gotów, rozmawiali przez wiele godzin, uzgodniwszy wreszcie szczegóły, uścisnęli sobie ręce. Bernard bardzo wydorósł przez ostatnie kilka lat. Był teraz dojrzałym i pewnym siebie mężczyzną, obdarzonym zdolnością podejmowania trafnych decyzji w interesach.

Berman wskazując na brodę, którą Bernie zapuścił jeszcze przed powrotem do Nowego Jorku, dokuczał mu, że nawet się postarzał. Miał trzydzieści jeden lat i był bardzo przystojnym mężczyzną.

- Sądzę, że wykonałeś dobrą robotę, obmyślając to wszystko.

Obaj mężczyźni, zadowoleni, wymienili uśmiechy. Dla Wolffa zapowiadały się bardzo ciekawe dni.

- Od czego zamierzasz zacząć?

- Mam zamiar porozmawiać jeszcze w tym tygodniu z architektami, bo chcę, żeby opracowali dla ciebie plany, a potem pojedę do Paryża. Musimy się przekonać, co o tym sądzą projektanci mody.

- Obawiasz się, że staną okoniem?

Bernie zastanawiał się chwilę, zmarszczywszy brwi.

- Nie powinni. Mogą na tym zrobić wielkie pieniądze.

I miał rację nie sprzeciwili się. Skwapliwie przyjęli jego propozycję i Bernie zawarł kontrakty aż z dwudziestoma.

Do Paryża jechał już przygotowany do podpisania umów, toteż po trzech tygodniach triumfalnie wrócił do Nowego Jorku. Nowy program miał być uruchomiony w czerwcu, czyli za dziewięć miesięcy, serią fantastycznych pokazów mody, na których kobiety mogłyby zamawiać garderobę na jesień, zamiast jeździć po nią do Paryża.

Bernie zamierzał rozpocząć wszystko przyjęciem i jednym bajecznym galowym pokazem-składanką, na który wybrałoby po kilka modeli od każdego wytypowanego do współpracy projektanta. Nie byłyby na sprzedaż, chodziło jedynie o rozpalenie publiczności przed właściwymi pokazami planowanymi na później. Wszystkie modele miały przyjechać

bezpośrednio z Paryża wraz z projektantami.

W trakcie prac nad całym przedsięwzięciem dokooptowano jeszcze trzech projektantów amerykańskich. Nadchodzące miesiące zapowiadały się dla Berniego bardzo pracowicie, natomiast sam projekt przyczynił się do tego, że w wieku trzydziestu dwóch lat awansował na pierwszego wiceprezesa.

Pokaz mody, otwierający całą kolekcję, był najwspanialszą imprezą, jaką kiedykolwiek oglądano. Stroje przyprawiały o zawrót głowy i publiczność bez przerwy je oklaskiwała z głośnymi ochami i achami.

To było absolutnie fantastyczne i wszyscy instynktownie czuli, że oto na ich oczach tworzy się historia mody. Nieprawdopodobne, jak wspaniale potrafił Bernie połączyć zasady dobrego biznesu z ekspansywną promocją towarów. Ponadto miał niespotykane po czucie piękna. Wszystko to razem pozwalało Wolffowi przebić inne sklepy tej branży w Nowym Jorku, czy nawet w całym kraju.

Sam Bernard, wniebowzięty, siedział w ostatnim rzędzie i obserwował pokaz inauguracyjny, przyciągający chciwe spojrzenia zgromadzonych na widowni kobiet. Spozrzegł Paula Bermiana, który pojawił się przed kilkoma sekundami, w końcu odprężony już nieco zaczął przyglądać się modelkom, paradującym po wybiegu w wieczorowych sukniach. Jego wzrok zatrzymał się na smukłej blondynce o wielkich niebieskich oczach, pięknej istocie o kocich ruchach i rzeźbionych kształtach. Wyglądała, jakby płynęła ponad ziemią, i Bernie przyłapał się na tym, iż czeka na jej wejście podczas kolejnych prezentacji nowych kolekcji. Pokaz dobiegł końca, a on żadną miarą nie chciał pogodzić się z myślą, że już nigdy jej nie zobaczy. Wbrew temu, co sobie wcześniej zaplanował, zwlekał z powrotem do biura, a odczekawszy jakiś czas, wślizgnął się za kulisy, by pogratulować kierownicze działu, wynajętej przez nich Francuzce z kilkuletnim stażem u Diora.

- Świetna robota, Marianne.

Na jego uśmiech odpowiedziała uwodzicielskim spojrzeniem. Była już dobrze po czterdziestce, zawsze nienagannie ubrana i ogromnie szykowna. Poza tym od pierwszego dnia pracy w sklepie miała oko na Berniego.

- Nie sądzisz Bernardzie, że prezentacja wypadła znakomicie?

Wymówiła jego imię bardzo z francuska. Była niesłychanie powściągliwa, a jednocześnie diabelnie seksowna, jak ogień i lód. Bernie przyłapał się na tym, że patrzy ponad jej ramieniem na dziewczęta, które w dzinsach i zwykłych codziennych ubraniach przebiegały z bajecznymi sukniami na rękach.

Sprzedawczynie, kursujące bez wytchnienia tam i z powrotem, chwytają całe naręcza

wspaniałych sukien i zanosily klientkom, aby mogly je przymierzyć i zlozyc zamówienie. Wszystko szlo znakomicie.

Nagle Bernard dostrzegł ją przez ramię miała przewieszoną przepiękną suknię ślubną z finału.

- Kim jest ta dziewczyna, Marianne? Jest od nas czy wynajęliśmy ją tylko na czas pokazu?

Marianne powędrowała za jego wzrokiem. Nie dała się nabrać na obojętny ton głosu Berniego. Czuła, że zamiera w niej serce, gdy spojrzała na dziewczynę, która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia jeden lat i była bardzo piękna.

- Pracuje u nas od czasu do czasu na umowę. To Francuzka.

Nie potrzebowała mówić już nic więcej, gdyż modelka właśnie do nich podeszła. Spojrzała najpierw na Bernarda, a potem zwróciła się do Marianne, pytając po francusku, co ma zrobić z suknią, którą bała się tak po prostu odłożyć. Marianne poinformowała, komu ma ją oddać, podczas gdy Bernie stał i bez żenady gapił się na dziewczynę.

Kierowniczka działu potrafiła się znaleźć. Przedstawiła jej Berniego z podaniem stanowiska i całej reszty, dodała nawet, że to on właśnie jest autorem pomysłu i scenariusza tej wspaniałej imprezy promocyjnej. Była wściekła na siebie, że pomaga im się poznać, ale nie miała innego wyjścia. Widziała, jak Bernie patrzy na dziewczynę.

Nawet ją to w pewnym sensie rozśmieszyło, bo zwykle był bardzo powściągliwy. Nie miała wątpliwości, że jest wrażliwy na urodę kobiet, lecz z tego, co mówili ludzie, wiedziała, że w żadną znajomość nie angażował się zbyt mocno. W przeciwieństwie do towaru, który wybierał dla Wolffa, w wypadku kobiet przedkładał zawsze ilość nad jakość. Jak to mówią w handlu, liczyły się „obroty”... Może jednak nie tym razem.

Nazywała się Isabelle Martin, miała dwadzieścia cztery lata, wychowywała się na południu Francji, a gdy skończyła osiemnaście lat, wyjechała do Paryża i podjęła pracę najpierw u Saint Laurenta, a potem u Givenchy'ego. Po ogromnych sukcesach w Paryżu szybko awansowała na jedną z czołowych modelek, nic więc dziwnego, że zaproszono ją do Ameryki. Przez ostatnie cztery lata cieszyła się tu wyjątkowym wzięciem.

Bernie nie mógł pojąć, dlaczego dotychczas się nie spotkali.

- Zwykle pozuję tylko do zdjęć, monsieur Fine - oczarował go akcent, z którym to mówiła - ale dla pana pokazu...

Pod wpływem jej uśmiechu pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa i Bernie był gotów zrobić dla niej wszystko. Nagle doznał olśnienia: parokrotnie widział ją na okładce „Vogue”, „Bazaar” i „Women's Wear”, lecz w rzeczywistości wyglądała zupełnie inaczej, była jeszcze

piękniejsza. Rzadko kiedy modelki łączyły pozowanie do zdjęć z demonstrowaniem kreacji na wybiegu, ona jednak była utalentowana w obu dziedzinach, świetnie też wypadła na ich pokazie, za co Bernie obsypał ją gratulacjami.

- Była pani wspaniała, panno... och... poczuł nagle pustkę w głowie, lecz ona znów posłała mu jeden z tych swoich uśmiechów.

- Isabelle.

Miał wrażenie, że umrze od samego patrzenia na nią.

Tego wieczoru zabrał Isabelle na obiad do La Caravelle, gdzie wszyscy się za nią oglądali. Potem poszli na tańce do Rafflesa, a on ciągle nie miał najmniejszej ochoty na powrót do domu. Nie chciał już jej nikomu oddać, wypuścić ze swych ramion.

Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś takiego, jak ona; jeszcze nikt nie zrobił na nim takiego wrażenia. Pancierz, który na siebie nałożył po odejściu Sheili, rozmiękł w rękach tej dziewczyny. Jej włosy były tak jasne, że niemalże białe i, o dziwo, był to kolor naturalny. Dla Berniego była najcudowniejszą istotą na świecie i trudno byłoby się z nim nie zgodzić.

Tego roku spędzili zachwycające lato w East Hampton. Bernie wynajął mały domek i Isabelle spędzała z nim wszystkie weekendy.

Tuż po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych Isabelle zakochała się w znanym fotografiku. Po dwóch latach zostawiła go dla jakiegoś ważniaka od nieruchomości. Kiedy jednak poznała Berniego, wydawało się, że inni mężczyźni przestali się dla niej liczyć.

Dla niego był to najcudowniejszy okres. Zabierał ją ze sobą wszędzie, popisывał się nią, pozwalał, by ich razem fotografowano, tańczyli ze sobą do świtu. To było prawdziwie superluksusowe życie, toteż Bernie parsknął śmiechem, gdy matka podczas jakiegoś lunchu, na który ją zabrał, utkwiała w nim jedno ze swych najbardziej opiekuńczych spojrzeń.

- Nie sądzisz, że ona nie jest na twoją kieszeń?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że ona trąci... szpanerstwem.

- Zawsze to dobrze wiedzieć, co o nas myślą inni. Okazuje się jednak, że tym razem nie mam co skakać z radości.

Podobał mu się nowy granatowy kostium matki. Kupiony przez niego podczas podróży za granicę u Diora, znakomicie na niej leżał. Nie chciał jednak przedłużać rozmowy na temat Isabelle. Nie zabrał jej do domu, by poznała rodziców, i nie zamierzał tego robić. Zetknięcie się tych dwóch odmiennych światów nie mogło wróżyć niczego dobrego, choć wiedział, że ojciec, jak zresztą każdy mężczyzna, byłby nią zachwycony. Była przecież wspaniała.

- Jaka ona jest? - nie dawała jak zwykle za wygraną matka.

- To miła dziewczyna, mamó.

Uśmiechnęła się domyślnie.

- Coś mi się widzi, że to typowa odpowiedź wymijająca. Bez sprzecznie jest śliczna.

Ruth wszędzie widziała jej zdjęcia i wszystkim je pokazywała. U fryzjera na przykład oznajmiała ni stąd, ni zowąd: „Ta dziewczyna... nie, ta na okładce, chodzi z moim synem”, dzieliła się tą nowiną ze wszystkimi przyjaciółmi.

- Czy jesteś w niej zakochany? - indagowała.

Nigdy nie miała oporów przed zaspokojeniem swojej ciekawości. Berniego spłoszyła dociekliwość matki. Nie był przygotowany do odpowiedzi. Choć bez wątplenia miał bzika na punkcie dziewczyny, ciągle zbyt dobrze pamiętał swą głupotę z Michigan, odrzucony przez Sheilę pierścionek zaręczynowy podarowany jej na dzień świętego Walentego, układane w skrytości ducha plany małżeńskie, dzień, w którym odeszła z jego życia, zabierając swoją torbę sportową. Nigdy więcej nie chciał się znaleźć w podobnej sytuacji, toteż miał się na baczności. Ale nie przed Isabelle Martin...

- Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi.

Tylko tyle potrafił w tej chwili wymyślić, lecz matka patrzyła na niego badawczo.

- Mam wrażenie, że to jednak coś więcej.

Wyglądała na przerażoną, jakby zaczęła nagle podejrzewać, że jest homoseksualistą. Nie pozostawało mu nic innego, jak obrócić wszystko w żart.

- No dobrze, to coś więcej niż przyjaźń... ale nie zamierzamy się pobierać. Wszystko w porządku? Zadowolona? A teraz powiedz, co będziesz jadła.

Sam zamówił befsztyk, matka zaś wybrała filet z soli. Domagała się relacji z pracy w sklepie. Byli teraz niemal przyjaciółmi. Obecnie o wiele rzadziej widywał się z rodzicami niż tuż po powrocie do Nowego Jorku. Nie miał zbyt dużo czasu, zwłaszcza od kiedy pojawiła się w jego życiu Isabelle.

Tej jesieni, gdy jechał w interesach do Europy, zabrał ją ze sobą. Gdziekolwiek się pojawiali, wzbudzali sensację. Byli nierozłączni, aż w końcu, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, wprowadziła się do niego. Bernie musiał wreszcie dać za wygraną i choć bardzo się tego obawiał, zaprosił ją do Scarsdale.

Isabelle była dla rodziców wyjątkowo miła, choć niezbyt wylewna. Dała mu przy tym wyraźnie do zrozumienia, że nie ma ochoty na zbyt częste wizyty.

- Tak rzadko możemy być sami - odeła ślicznie wargi.

Bernie uwielbiał się z nią kochać. Była najśliczniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek

spotkał. Czasami po prostu stał i przyglądał się, gdy robiła makijaż, suszyła włosy, wychodziła spod prysznicu czy też wchodziła do mieszkania z teczką pod pachą. W jakiś niewytłumaczalny sposób sprawiała, że pragnęło się po prostu bez końca na nią patrzeć.

Nawet matka bywała przygaszona, gdy się spotykali. Sposób bycia Isabelle sprawiał, że wszyscy przy niej maleli poza Berniem, który przy nikim nie czuł się bardziej męski. Jej możliwości seksualne były nadzwyczajne, a siłą ich związku była raczej namiętność niż miłość. Kochali się niemal wszędzie w wannie, pod prysznicem, na podłodze, a pewnego niedzielnego popołudnia nawet na tylnym siedzeniu samochodu Berniego, w drodze do Connecticut. Kiedyś o mało co nie zrobili tego w windzie i oprzytomnieli wtedy dopiero, gdy dotarli na swoje piętro i uświadomili sobie, że drzwi zaraz się otworzą. Tak jakby nie mogli przestać. Bernie nie potrafił się nią nasycić. Właśnie dlatego znowu zabrał ją wiosną do Francji, skąd powrócili do East Hampton. Tym razem prowadzili życie bardziej towarzyskie niż poprzednio.

Był tam też pewien producent filmowy, który wpadł jej w oko pewnego wieczoru na przyjęciu na plaży w Ouogue. Następnego dnia Isabelle gdzieś zniknęła. Bernie znalazł ją w końcu na przycumowanym nie opodal jachcie, na którego pokładzie kochała się właśnie z hollywoodzkim producentem. Stał i patrzył na nich przez chwilę, a potem uciekł ze łzami w oczach, zrozumiał wreszcie coś, przed czym długo się bronił. Isabelle była nie tylko dziewczyną wspaniałą w łóżku, lecz także kobietą, którą kochał i o której stracie nie potrafił myśleć bez bólu.

Po powrocie do domu zaczęła go przepraszać, ale to nie był nic nie znaczący skok. Potem rozmawiała długo z nowym kochankiem o swych planach, o tym, co pragnęłaby osiągnąć w życiu, czym jest dla niej związek z Berniem i jaką otrzymała od niego ofertę. Producent był nią zafascynowany, czego nie omieszkał jej powiedzieć. Gdy wróciła, próbowała, ku przerażeniu Berniego, opowiedzieć mu, co czuje.

- Nie mogę do końca życia siedzieć w klatce Bernardzie... Muszę być wolna, aby móc odfrunąć tam, gdzie będę chciała.

Wszystko to już słyszał kiedyś, w innym życiu. Wówczas były buty wojskowe i torba sportowa zamiast sukni od Pucciego, pantofli od Chanel i walizki od Louisa Vuittona, która stała teraz otwarta w drugim pokoju.

- Rozumiem, że jestem dla ciebie klatką?

Patrzył na nią zimno. Nie zamierzał tolerować jej sypiania z innymi. Była to prosta zasada, teraz się jednak zastanawiał, czy nie robiła już tego wcześniej, a jeśli tak, to z kim.

- Nie jesteś klatką, mon amour, tylko wspaniałym mężczyzną, ale ta zabawa w

małżeństwo... No przyznaj, to nie do wytrzymania na dłuższą metę. Nic nie trwa wiecznie...

W ich wypadku trwało osiem miesięcy; daleko do wieczności.

- Inaczej sobie wyobrażałem nasz związek, Isabelle.

Pokiwała głową. Wyglądała jeszcze piękniej i Bernie w tym momencie szczerze jej nienawidził.

- Chyba masz rację Bernardzie.

A potem usłyszał słowa godzące go jak nóż w samo serce:

- Chcę pojechać na trochę do Kalifornii. - Była z nim całkowicie szczerą. - Dick obiecał, że załatwi mi w studiu przesłuchanie do filmu - mówiła z akcentem, pod wpływem którego ciągle topniało mu serce - i bardzo bym chciała zrobić z nim film.

- Rozumiem zapalił - papierosa, co mu się zdarzało niezwykle rzadko. - Nigdy o tym nie wspominałaś.

Miało to jednak sens. Wstyd nie pokazać takiej twarzy w filmie; co tam okładki czasopism...

- Nie sądziłam, że jest to na tyle istotne, abym musiała ci mówić.

- A może wolałaś najpierw wycisnąć, co się da, z Wolffa?

Jeszcze nigdy nie powiedział czegoś tak chamskiego, zrobiło mu się wstyd. Isabelle już go nie potrzebowała, a on nie potrafił się z tym pogodzić.

- Przepraszam, Isabelle - przemierzywszy pokój, zatrzymał się, patrząc na nią poprzez smugę dymu z papierosa. - Nie działaj pochopnie.

Był skłonny ją błagać, lecz stawała się coraz bardziej nieustępliwa, a w ogóle to już podjęła decyzję.

- Wyjeżdżam do Los Angeles w przyszłym tygodniu.

Pokiwał głową, przeszedł przez pokój wielkimi krokami, popatrzył na morze, potem odwrócił się do niej z gorzkim uśmiechem.

- Jest w tym miejscu coś magicznego. Mam wrażenie, że wszystkie dziewczyny w końcu uciekają na Zachód.

Znowu pomyślał o Sheili. Dawno temu opowiedział o niej Isabelle.

- Może ja też powinienem kiedyś tam pojechać?

Isabelle zareagowała spontanicznie.

- Ach, Bernardzie, ty jesteś częścią Nowego Jorku. Całą energią, życiem i pasją tego miasta.

W głosie Bernarda pojawił się smutek.

- Ale to najwyraźniej za mało dla ciebie.

Popatrzyła mu głęboko w oczy z wyrazem żalu.

- To nie jest tak... nie chodzi o ciebie... Gdybym chciała kogoś na poważnie, gdybym chciała wyjść za mąż, bardzo bym cię potrzebowała.

- Nigdy o małżeństwie nie wspominałem.

Oboje wiedzieli jednak, że kiedyś by to zrobił. Należał do tego typu mężczyzn i teraz, patrząc na nią, niemal żałował, że jest taki. Wolałby być błyskotliwy, mniej zasadniczy, obrotniejszy. Wtedy sam mógłby ją wkręcić do filmu.

- Po prostu nie widzę się tutaj Bernardzie.

Spoglądała już na siebie oczami gwiazdy filmowej i faktycznie wyjechała z filmowcem w trzy dni po powrocie z Bernardem z East Hampton. Spakowała swoje rzeczy o wiele staranniej niż Sheila i zabrała wszystkie wspaniałe stroje, które podarował jej Bernie, wyładowawszy nimi torby od Louisa Vuittona.

Zostawiła mu tego popołudnia list. Wzięła nawet cztery tysiące dolarów w gotówce, które Bernie miał schowane w szufladzie biurka. Nazwała to „małą pożyczką” i wyraziła przekonanie, że Bernie „zrozumie”.

Przyjęto ją na próbne zdjęcia i dokładnie w rok później pojawiła się w filmie. Wówczas jednak już niewiele go obchodziła. Uodpornił się.

Miał modelki, sekretarki, kobiety na kierowniczych stanowiskach; na ogół spotykał się z nimi w Rzymie. Przez jego życie przewinęła się też bardzo ładna stewardesa w Mediolanie, artystka, wytworna dama... Na żadnej mu jednak nie zależało i nawet czasami zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie zdolny do jakichś głębszych uczuć.

Odtąd gdy ktoś wspominał przy nim Isabelle, czuł się jak skończony idiota. Oczywiście nigdy nie odesłała mu pieniędzy ani zegarka Piageta, którego zniknięcie zauważył długo po jej wyjeździe. Nie przysłała mu nawet jednej kartki świątecznej. Wykorzystała go i odeszła do kogoś innego, tak jak uczyniła z wieloma mężczyznami przed Berniem.

W Hollywoodzie robiła dokładnie to samo. Producenta, który załatwił jej pierwszy film, rzuciła dla kogoś znacznieszego dla lepszej partii. Isabelle Martin zajdzie daleko, co do tego Bernie nie miał żadnych wątpliwości.

Jego rodzice wiedzieli, że jest to temat tabu, i skasowali go definitywnie od momentu, gdy po pewnej nieopatrnej uwadze Bernie wybiegł z domu w Scarsdale w ślepej furii i nie pokazywał się przez dwa miesiące. Matkę przeraziła jego reakcja i od tej pory temat był zamknięty na zawsze.

Teraz, półtora roku po odejściu Isabelle, Bernie wrócił już do równowagi. Liczba

kobiet, które miał zapisane w kalendarzu, przerastała jego możliwości; interesy kwitły, sklep był w idealnym porządku, a kiedy obudził się tego ranka i ujrzał zadymkę, zdecydował jednak, że pójdzie do firmy. Miał mnóstwo pracy i chciał porozmawiać z Paulem Bermanem o planach na sezon letni. Klębiło mu się w głowie kilka pasjonujących pomysłów.

Wysiadłszy z autobusu na rogu Lexington i Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy, w grubym angielskim płaszczu i futrzanej rosyjskiej czapie ruszył do sklepu z głową pochyloną przed wiatrem. Popatrzył na miejsce swej pracy z dumą. Ożenił się ze sklepem Wolffa i ani trochę mu to nie przeszkadzało. Firma była jego wspaniałą żoną, on zaś mężem w czepku urodzonym. Myślał o tym wszystkim z wdzięcznym sercem, gdy czekał na windę otrzepując się ze śniegu.

- Dzień dobry, panie Fine - usłyszał, kiedy zasunęły się drzwi windy.

Uśmiechnął się i zamknął na krótką chwilę oczy, zanim drzwi nie otworzyły się ponownie. Zastanawiał się, co ma dziś do zrobienia i co powinien powiedzieć Paulowi.

Nie był jednak absolutnie przygotowany na to, co Paul Berman miał zamiar powiedzieć jemu jeszcze tego poranka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Co za koszmarny dzień - Paul Berman spoglądał przez okno na kłębiący się śnieg. Wiedział, że będzie musiał spędzić jeszcze jedną noc w mieście, gdyż o dostaniu się do Connecticut nie mogło być mowy. Poprzednią noc też przespał w hotelu Pierre i musiał obiecać żonie, że w taką śnieżycę nie będzie nawet próbował wracać do domu. Czy jest jeszcze ktoś w sklepie?

Zwykle zdumiewały go wielkie obroty handlowe w paskudną pogodę. Ludzie zawsze znajdują sposób, by wydać pieniądze.

Bernie skinął głową.

- O dziwo, mamy całkiem sporo klientów. Zorganizowaliśmy dwa stanowiska, gdzie serwujemy po kubku herbaty, kawy i gorącej czekolady. To miły dodatek, ktokolwiek go wymyślił. Ludzie, którzy zdecydowali się przyjść w taką zadymę, zasługują na nagrodę.

- Spryciarze! Przyjemnie jest robić zakupy w niemal pustym sklepie. Sam to lubię.

Uśmiechnęli się do siebie. Od dwunastu lat byli przyjaciółmi i Bernard nigdy nie zapomniał, że właśnie Paulowi zawdzięcza karierę. To on go zachęcił, by poszedł do szkoły biznesu, i otworzył przed nim niezliczone drzwi Wolffa, a co więcej, uwierzył w niego i obdarzył kredytem zaufania już wówczas, kiedy jeszcze nikt inny nie odważyłby się potraktować poważnie niektórych jego projektów. Ponadto nie było tajemnicą, że Berman, sam nie mając synów, przygotowuje Berniego na swego następcę.

Poczęstował go teraz cygarem i Bernie czekał, co Paul ma mu do powiedzenia.

- Jak według ciebie idzie ostatnio w sklepie?

Dzisiejszy dzień w sam raz nadawał się na tego typu rozmowy, toteż Bernie zagłębił się w fotelu.

Od czasu do czasu gawędzili sobie towarzysko w tym duchu i rzadko się zdarzało, by taka luźna wymiana zdań nie zaowocowała jakimś cennym dla Wolffa pomysłem. Właśnie w efekcie ostatniej pogawędki zrodziła się koncepcja, by zatrudnić nową kierowniczkę działu mody. Podkupili ją Saksowi i świetnie się u nich spisywała.

- Myślę, że nad wszystkim panujemy, nie sądzisz, Paul?

Starszy mężczyzna pokiwał głową. Nie bardzo wiedział, jak zacząć, choć zdawał sobie sprawę, że go to nie ominie.

- Też tak sędzę. Dlatego wraz z zarządem uważamy, że możemy sobie pozwolić na pewien ryzykowny krok.

Gdyby teraz ktoś zmierzył Berniemu puls, stwierdziłby, że serce bije mu znacznie szybciej. Berman na ogół nie wspominał o zarządzie, chyba że chodziło o coś naprawdę ważnego.

- Wiesz, że w czerwcu otwieramy nasz sklep w San Francisco?

To jeszcze pięć miesięcy, a budowa szła pełną parą. Paul z Berniem jeździli tam parokrotnie i wydawało się, że wszystko, przynajmniej na razie, przebiega zgodnie z harmonogramem.

- Do tej pory nie udało nam się znaleźć nikogo odpowiedniego do poprowadzenia sklepu.

Bernie wydał ciche westchnienie ulgi. Przez chwilę myślał, że coś mu grozi. Wiedział, jak Bermanowi zależy na rynku San Francisco. Było tam dużo pieniędzy i kobiety rozchwytywały najmodniejsze stroje jak chrupiące bułeczki sprzedawane na ulicy. Zdecydowanie był najwyższy czas, aby Wolff też coś z tego miał. Byli już dobrze okopani w Los Angeles i uzgodnili, że nadeszła pora, by przesunąć się na północ.

- Nadal uważam, że Jane Wilson byłaby doskonała, obawiam się jednak, że nie zechce wyjechać z Nowego Jorku.

Paul Berman zmarszczył brwi. To będzie jeszcze trudniejsze, niż przypuszczał.

- Nie sądzę, by dała sobie radę. Ta praca przerasta jej możliwości. W nowym domu towarowym potrzebujemy kogoś z ikłą, kogoś zorganizowanego, człowieka przytomnego, pełnego nowych pomysłów. Jane lepiej pasuje do tego, co robimy tutaj.

- A więc wracamy do punktu wyjścia. A może zatrudnimy kogoś spoza Wolffa? Kogoś z innej sieci?

Nadszedł czas, by zakończyć tę ciuciubabkę. Zwłoka nic nie da. Paul spojrzał Berniemu prosto w oczy.

- Chcemy ciebie Bernardzie.

Bernie poblądł. Chyba nie mówi tego poważnie? Ale jedno spojrzenie na Paula wystarczyło nie żartował. Przecież Bernie swoje wygnanie już odsiedział! Czy trzy lata w Chicago to mało?

- Paul, nie mogę... nie mógłbym... w San Francisco?

Bernie był kompletnie załamany.

- Dlaczego ja?

- Ponieważ masz te wszystkie cechy, o których mówiłem przed chwilą, i bardzo cię tam potrzebujemy. Choćbyśmy wyskoczyli ze skóry, nie znajdziemy kogoś tak dobrego jak ty, a ten sklep jest naszą wielką szansą. Sam o tym wiesz. Tamtejszy rynek jest ogromny, ale

też bardzo chimeryczny. Wyższe sfery, najlepsza moda, świetny styl... Jeżeli zaczniemy niemrawo, już nigdy tego nie nadrobimy Bernie - Paul patrzył na niego prosząco - musisz nam tam pomóc.

Przeszywał go wzrokiem, a Bernie coraz głębiej zapadał się w fotel.

- Ależ, Paul... San Francisco?... A co z moją pracą tutaj?

Nie wyobrażał sobie, że znowu mógłby wyjechać z Nowego Jorku. Był tu tak szczęśliwy, robił to, co najbardziej mu odpowiadało. Ten wyjazd był naprawdę ciężki. Ale czy wolno mu zawieść Paula?

- Mógłbyś latać tam i z powrotem, a tutaj ja wziąłbym się ostro do pracy. Ciebie potrzebujemy przede wszystkim tam.

- Na jak długo?

- Na rok, może dwa. A może na więcej.

Właśnie tego się obawiał.

- Tak samo mówiłeś, gdy jechałem do Chicago. Tylko że wtedy byłem młodszy... Ale przez te lata zdążyłem już chyba zapracować na swoją pozycję. Nie chcę znowu mieszkać w zapyziałym grajdole. Byłem tam i wiem, czego się spodziewać. To ładne miasto, ale koszmarnie prowincjonalne.

- No to wpadaj do Los Angeles, żeby się rozerwać. W końcu rób, co chcesz, wszystko, co pozwoli ci tam przetrwać, ale proszę... Nie prosiłbym cię o to, gdybyśmy mieli inne wyjście. Naprawdę nikogo nie mamy i muszę kogoś znaleźć, póki nie jest jeszcze za późno. Ktoś musi nadzorować ostatnią fazę budowy, upewnić się, że wszystko przebiega gładko i będzie gotowe na otwarcie, nadać odpowiedni ton reklamie, sprawdzić, jak idzie promocja... - machnął niecierpliwie ręką - Nie muszę ci mówić, co trzeba zrobić. Odpowiedzialność jest ogromna, Bernardzie. To nasz nowy sklep firmowy, najlepszy, jaki mamy poza Nowym Jorkiem.

W gruncie rzeczy przynosiło to Berniemu zaszczyt, ale wcale nie był z tego powodu szczęśliwy. Ani trochę. Wstał z cichym westchnieniem. Ten poranek nie był jednak wspaniały. Żałował niemal, że w ogóle przyszedł dziś do pracy, choć i tak w końcu by mu to przekazano.

Skoro Paul raz podjął decyzję, Bernie był bez szans. Wiedział, że nie będzie łatwo wybić mu ten pomysł z głowy.

- Muszę to przemyśleć.

- Nie zwlekaj.

Przez dłuższą chwilę badali się wzrokiem i Paul przestraszył się tego, co ujrzał w

oczach Berniego.

- Może gdybym miał gwarancję, że to nie potrwa dłużej niż rok, jakoś bym wytrzymał
- uśmiechnął się Bernie z przymusem, lecz Paul nie mógł złożyć takiej obietnicy.

Ponieważ budynek nie był jeszcze gotów do przekazania, o tak krótkim pobycie Bernarda nie mogło być mowy. Obaj doskonale o tym wiedzieli. Na pełne rozkręcenie działalności potrzeba było dwóch, trzech lat ciężkiej harówki i troskliwego nadzoru, Bernie zaś nie miał ochoty poświęcać się tak długo, do San Francisco bowiem wcale go nie ciągnęło.

Paul Berman wstał i popatrzył na niego.

- Przemyśl to, ale chcę, żebyś znał moją ostateczną decyzję.

Nie miał zamiaru ryzykować utraty Berniego bez względu na to, co postanowił zarząd.

- Nie chcę cię stracić Bernardzie.

Było oczywiste, że nie rzuca słów na wiatr, toteż Bernie uśmiechnął się ze wzruszeniem.

- A moja ostateczna decyzja jest taka, że nie chcę, abyś się na mnie zawiódł. Czyli obaj podejmujemy właściwe decyzje, czegokolwiek do tyczą.

Berman wyciągnął do niego rękę i uścisnęli sobie dłonie.

- Dobrze to przemyśl.

- Wiesz, że tak zrobię.

Potem usiadł sam w swoim biurze, za zamkniętymi drzwiami, patrzył na padający za oknem śnieg i czuł się tak, jakby przejechał po nim walec. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak będzie wyglądał jego pobyt w San Francisco. Cudownie było żyć w Nowym Jorku. Czy ciągle musi zaczynać wszystko od początku? I wcale go nie cieszyła perspektywa otwarcia nowego sklepu firmowego, choćby Bóg wie jak eleganckiego i luksusowego. To i tak nie był Nowy Jork i nigdy nie będzie. Kochał Nowy Jork, nawet z jego śnieżycami, brudem i nieznośnymi upałami w czerwcu, więc śliczne jak z obrazka miasteczko nad zatoką nie miało szans podbić jego serca. Nigdy.

Z gorzkim uśmiechem pomyślał o Sheili. To miejsce było bardziej w jej stylu. Zastanawiał się, czy przed przeprowadzką też powinien kupić sobie wojskowe buty.

Czuł się potwornie przygnębiony i gdy zadzwoniła matka, wyczytała to z jego głosu.

- Co się stało Bernardzie?

- Nic, mamę. Mam ciężki dzień.

- Nie jesteś chory?

Zamknawszy oczy z wysiłkiem przemodulował głos na weselszy.

- Nie, wszystko dobrze. Jak się macie z tatą?

- Jesteśmy zmartwieni. Umarła pani Goodman. Pamiętasz ją? Jak byłeś mały, często piekła dla ciebie ciasteczka.

Już wtedy była sędziwa, a przecież to było trzydzieści lat temu. Nic dziwnego, że w końcu zmarła, ale matka wprost uwielbiała donosić mu o takich wydarzeniach. Potem znowu zajęła się jego stanem ducha.

- No powiedzże, co się stało.

- Nic, mamó. Już ci mówiłem, że wszystko w porządku.

- Nie wygląda na to, żebyś był w dobrej formie. Sprawiasz wrażenie zmęczonego i zmartwionego.

- Miałem trudny dzień powiedział przez zaciśnięte zęby a poza tym idę na zesłanie... Mniejsza o to. Czy nadal jesteśmy umówieni na obiad w przyszłym tygodniu z okazji waszej rocznicy?

- Nie wiem, ojciec uważa, że powinieneś przyjechać tutaj.

Bernie wiedział, że to nieprawda. Ojciec uwielbiał chodzić do restauracji, gdyż w ten sposób doskonale wypoczywał po ciężkiej pracy. To matka, jakby chcąc udowodnić coś Berniemu, zawsze uważała, że powinien odwiedzać ich w domu.

- Co byś powiedziała na „21”? Podoba ci się tam. A może coś francuskiego? Côte Basque czy Grenouille?

- Dobrze - zgodziła się zrezygnowana - niech będzie „21”.

- Wspaniale. Może byście przedtem wstąpili do mnie na drinka o siódmej? A potem pójdziemy na obiad na ósmą.

- Czy chcesz zabrać ze sobą dziewczynę? - głos miała zboląły, jakby robił to za każdym razem, choć tak naprawdę od czasu Isabelle nie poznali ani jednej jego dziewczyny. Z żadną znajomością nie trwała dostatecznie długo, aby był sens zawracać głowę rodzicom.

- Dlaczego miałbym zabierać dziewczynę?

- A dlaczego miałbyś tego nie zrobić? Nigdy nie przedstawiasz nas swoim przyjaciółkom. Czyżbyś się nas wstydził?

Bernie niemal jęknął w telefon.

- No wiesz, mamó!... Słuchaj, muszę już kończyć. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. U mnie o siódmej.

I tak wiedział, że powtórzenie wszystkiego od początku nie powstrzyma jej od telefonowania jeszcze ze cztery razy, aby się upewnić, że nadal są umówieni, że Bernie nie zmienił planów, że załatwił rezerwację, że nie ma zamiaru zaprosić dziewczyny.

- Uściskaj tatę.

- Zadzwoń do niego od czasu do czasu. Nigdy się nie odzywasz.

Mówiła jak w jednym z powszechnie znanych dowcipów i Bernie, uśmiechnąwszy się do siebie po odłożeniu słuchawki, zaczął rozważać, czy też kiedyś, jeśli będzie miał własne dzieci, stanie się taki jak ona. Oczywiście na razie absolutnie mu to nie groziło.

Rok temu jedna z jego dziewczyn sądziła przez kilka dni, że jest w ciąży, i Berniemu w jakimś momencie przyszło nawet na myśl, że byłoby wcale nieźle, gdyby urodziła, bo w końcu miałby dziecko. Okazało się jednak, że to pomyłka, i oboje odetchnęli z ulgą. Przez krótki czas możliwość taka wydawała mu się jednak interesująca, lecz nie znaczyło to wcale, że pragnął rozpaczliwie dziecka. Za bardzo był zajęty swoją karierą, poza tym zawsze sądził, że to wstyd, gdy dziecko nie rodzi się jako owoc miłości. Nadal podchodził do tego idealistycznie, a jak na razie nie udało mu się spotkać odpowiedniej kandydatki na żonę.

Siedział zapatrzony w padający śnieg i rozmyślał, jak to będzie, gdy przyjdzie mu porzucić życie towarzyskie, zerwać ze znajomymi dziewczynami. Kiedy tego wieczoru, zimnego i przejrzystego jak kryształowy dzwoneczek, wyszedł z biura, chciało mu się płakać z żalu.

Wiatr wreszcie ustał, więc zrezygnował z czatowania na autobus. Ruszył prosto do Madison Avenue, a potem w stronę dzielnicy willowej, spoglądając na sklepy, które mijał wielkimi krokami. Przystało padać i całe miasto wyglądało jak z bajki. Kilka osób, ślizgając się, przeszło obok niego, dzieci rzucały śnieżkami. Nie było nawet typowego dla tej pory ruchu, który zakłócałby spokój, toteż gdy już wszedł do domu i wsiadł do windy, poczuł się lepiej.

Myśl o wyjeździe z Nowego Jorku napawała go odrazą i na razie wołał sobie tego nawet nie wyobrażać. Nie widział jednak żadnego wyjścia z sytuacji, chyba żeby odszedł od Wolffa, czego za nic nie chciał. Uświadomiwszy to sobie, zdrętwiał z przerażenia. Miał wrażenie, że za chwilę serce wyskoczy mu z piersi. Nie było dla niego ratunku.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Gdzie jedziesz? - matka patrzyła na niego znad zupy cebulowej z przerażeniem, jakby powiedział coś zupełnie bez sensu, na przykład, że zapisuje się do nudystów lub zamierza zmienić płeć. - Czy chcą cię zwolnić, czy tylko zdegradować?

Bernie doceniał zaufanie, jakim go obdarzano, toteż nie snuł żadnych podejrzeń.

- Nic z tych rzeczy, mamó. Chcą, żebym zarządzał nowym domem towarowym w San Francisco. To najważniejszy sklep, jaki mamy poza Nowym Jorkiem.

Zastanawiał się, dlaczego próbuje jej to wmówić, pominąwszy fakt, że starał się w ten sposób przekonać samego siebie. O swej decyzji poinformował Paula po dwóch dniach i od tej pory czuł się jak desperat.

Wynieśli go niezwykle wysoko, a Berman dał mu wręcz do zrozumienia, że kiedyś, może nawet wkrótce po powrocie do Nowego Jorku, będzie sam zarządzał siecią Wolffa.

Bernie wiedział, iż Paul Berman jest mu wdzięczny. I to było najważniejsze. Nadal jednak nie potrafił się pogodzić z jego decyzją i z przykrością myślał o wyjeździe.

W każdym razie postanowił zatrzymać mieszkanie i tylko wynająć je na rok czy dwa, a w San Francisco znaleźć coś tymczasowego. Powiedział Paulowi, że będzie się starał po roku wrócić do Nowego Jorku. Niczego mu nie obiecali, wiedział jednak, że zrobią, co będzie w ich mocy. Nawet gdyby miało to trwać półtora roku, jakoś wytrzyma.

A w ogóle wszystko stało pod znakiem zapytania, czego nie powiedział jednak matce.

- Ale do San Francisco? Tam są sami hippisi. Czy oni w ogóle noszą ubrania?

Bernie uśmiechnął się uspokajająco.

- Noszą, i to bardzo drogie. Musisz sama zobaczyć.

Objął rodziców ciepłym spojrzeniem.

- Czy chcecie przyjechać na otwarcie?

Popatrzyła na niego tak, jakby ją zapraszał na pogrzeb.

- Być może. Kiedy to będzie?

- W czerwcu.

Wiedział, że w tym czasie nie mają nic zaplanowane. Co prawda wybierali się do Europy, ale i tak zostawało im mnóstwo wolnego czasu.

- Nie wiem, zobaczymy. Rozkład zajęć twojego ojca...

Ojciec zawsze był jej kozłem ofiarnym, lecz nie sprawiał wrażenia, by mu to przeszkadzało, choć teraz, gdy siedzieli w „21”, patrzył na syna z troską. Była to jedna z tych

rzadkich chwil, kiedy ojciec był zrelaksowany, a jego umysł nie zaprzątnięty wyłącznie pracą.

- To dla ciebie kolejny krok naprzód, synu.

- Masz rację, tato - odpowiedział zgodnie z prawdą. - To bardzo prestiżowe stanowisko. Paul Berman i członkowie zarządu osobiście mnie o to prosili, choć muszę przyznać twarz mu się wydłużyła że wolałbym zostać w Nowym Jorku.

- Masz kogoś?

Matka pochyliła się nad stołem, jakby pytała o coś wyjątkowo intymnego. Bernie wybuchnął śmiechem.

- Nie, mam, nie mam. Po prostu lubię Nowy Jork, a prawdę mówiąc Kocham. Mam nadzieję, że nie będę tam dłużej niż półtora roku. Jakoś to przeżyję. Podejrzewam, że bywają gorsze miasta niż San Francisco.

Choć akurat w tej chwili nie mógł sobie wyobrazić żadnego z nich. Skończył drinka i postanowił podejść do całej sprawy filozoficznie.

- Do licha, mogłem trafić na Cleveland, Miami czy Detroit... Nie chcę powiedzieć, że mam coś przeciwko nim, ale żadne z nich nie jest Nowym Jorkiem - uśmiechnął się z rezygnacją.

- Podobno aż roi się tam od homoseksualistów - odezwała się matka kasandrycznym tonem, któremu towarzyszyło pełne udręki spojrzenie rzucone jedynakowi.

- Myślę, że jakoś dam sobie radę, mam.

Popatrzył na rodziców z czułością.

- Będzie mi was brakowało.

- W ogóle do nas nie przyjedziesz?

Miała łzy w oczach i Berniemu zrobiło jej się nawet żal, choć w gruncie rzeczy płakała, kiedy tylko było jej wygodnie, więc nie czuł się tym specjalnie wstrząśnięty. Poklepał ją po ręce.

- Będę jeździł tam i z powrotem. Prawda jednak jest taka, że mieszkać będę tam. Musicie do mnie przyjechać i naprawdę bardzo chcę was widzieć na otwarciu. Sklep będzie pierwszorzędny.

Powtarzał to sobie, gdy pakował się na początku lutego, gdy rozstawał się z przyjaciółmi, podczas pożegnального obiadu z Paulem w Nowym Jorku.

W dzień świętego Walentego, zaledwie w trzy tygodnie po tym, jak zaproponowano mu tę pracę, siedział w samolocie lecącym do San Francisco, zastanawiając się, co też najlepszego zrobił. Żałował nawet, że nie odszedł od Wolffa.

Kiedy wylatywali z Nowego Jorku, znowu zaczęła się zamieć, a gdy wylądowali w

San Francisco o drugiej po południu, świeciło słońce, było ciepło i wiał delikatny wietrzyk. Kwitły kwiaty i Bernie czuł się, jak w Nowym Jorku w maju lub czerwcu. Przestał nawet żałować, że tu przyjechał w każdym razie na trochę. Przynajmniej pogoda dostarczała powodu do radości, co w końcu było jakąś pociechą.

Również pokój w Huntington okazał się wyjątkowo przytulny. Najważniejsze jednak, że sklep, choć jeszcze nie ukończony, prezentował się wspaniale.

Kiedy zadzwonił następnego dnia do Paula, czuł, że jego przyjaciel odetchnął, nabrawszy pewności, że Bernard jest już na miejscu.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Budowa była na ukończeniu, a dekoracje czekały tylko na zamontowanie. Bernie rozmawiał z agencją reklamową i z ludźmi z biura prasowego o tym, jak zamierzają rozpropagować otwarcie. Dał też wywiad dla „Chronicie”. Wszystko szło tak, jak zarząd sobie życzył. Bernard Fine czuwał nad całością.

Pozostało tylko dokonać otwarcia sklepu i znaleźć sobie jakieś mieszkanie dwie równie istotne sprawy. Bernie oczywiście zajmował się przede wszystkim sklepem. Bez większego namysłu wynajął umeblowane mieszkanie w nowoczesnym wysokościowcu na Nob Hill. Nie miało uroku domów tak typowych dla tego miasta, ale jemu odpowiadało, poza tym znajdowało się blisko sklepu.

Uroczystość otwarcia wypadła rewelacyjnie. Niczego nie brakowało, bo prasa była im z góry przychylna. W sklepie urządzono wspaniałe przyjęcie, modelki prezentowały fantastyczne stroje, a nienagannie ubrani kelnerzy serwowali kawior, zakąski i szampana. Były tańce, zabawa i możliwość obejrzenia całego wnętrza. Bernie nie posiadał się z dumy.

Dom towarowy w istocie wyglądał wspaniale, olśniewał lekkością, przestronnością, a przede wszystkim klasą. Harmonijnie łączył elegancję Nowego Jorku z prostotą Zachodniego Wybrzeża. Paul Berman był nim zachwycony.

Na otwarcie przybyły tłumy, nad porządkiem czuwali policjanci, a honory domu pełnili czarująco uśmiechnięci pracownicy działu reklamy. Kiedy zapoznano się z rekordowymi wynikami sprzedaży w pierwszym tygodniu, uznano, że cały wysiłek był tego wart.

Nawet matka Berniego była dumna z syna. Oznajmiła, że to najpiękniejszy magazyn, jaki kiedykolwiek widziała, i każdej ekspedientce, pomagającej jej choć chwilę przez następne pięć dni w zakupach, opowiadała, że jej syn jest tutaj dyrektorem i kiedyś, gdy wróci do Nowego Jorku, będzie zarządzał całą siecią sklepów Wolffa. Co do tego nie miała wątpliwości.

Kiedy rodzice wyjechali z San Francisco do Los Angeles, Bernie ku swemu

zdziwieniu odkrył, że będzie mu ich brakować, a po odjeździe reszty delegacji nowojorskiej, nagle uświadomił sobie, że został sam. Wszyscy członkowie zarządu odlecieli już następnego dnia po otwarciu, Paul Berman odjechał do Detroit tego samego wieczoru i Bernie został bez jednej bratniej duszy w obcym mieście, do którego go tak nieoczekiwanie przeniesiono.

Mieszkanie wydawało mu się sterylne i brzydkie. Urządzone zostało w brązie i beżu i było stanowczo zbyt ponure jak na delikatne słońce północnej Kalifornii. Żałował, że nie wynajął miłego mieszkania w stylu wiktoriańskim, lecz w końcu nie miało to większego znaczenia, gdyż i tak stale przesiadywał w sklepie. Chodził tam teraz siedem razy w tygodniu, w Kalifornii sklepy są bowiem czynne codziennie. Co prawda wcale nie musiał pracować w weekendy, ale i tak nie miał nic lepszego do roboty, więc przychodził i wszyscy w firmie to widzieli. Mówili, że Bernard Fine tyra jak koń, i byli zgodni co do tego, że to miły człowiek. Wiele od nich wymagał, ale od siebie jeszcze więcej. Trudno było z kimś takim dyskutować.

Miał też niesamowite wyczucie, co jest dobrym posunięciem dla sklepu i jaki towar chwyci bez pudła, toteż nikt nie zdobyłby się wobec niego na jakieś wybiegi. Był stanowczy i jak pokazywało życie, w większości przypadków się nie mylił. Nawet w tym mieście, które ledwo znał, odgadywał, co się sprzeda, a co będzie zalegało, dlatego ciągle aktualizował ofertę, wykorzystując najnowsze badania marketingowe.

Bez przerwy dokonywał zmian, przerzucał towary mało chodliwe do innych sklepów, a ściągał nowe, prowadził na bieżąco rejestr klientów. I wszystko szło.

To dziwne, ale był lubiany w sklepie i nawet nikomu nie przeszkadzał jego zwyczaj włączania się po piętrach po kilka godzin dziennie. Chciał widzieć, co ludzie noszą, co robią, jak kupują, co lubią. Często rozmawiał z gospodyniami domowymi, młodymi dziewczynami lub mężczyznami, interesował się nawet tym, jak są ubrane ich dzieci. Nazywał to batalią na pierwszej linii frontu.

Często kończyło się na tym, że zmuszano go do przyjęcia pieniędzy, odwiezienia towaru bądź natychmiastowego przysłania subiekta, a on robił, co mógł, zawsze zadowolony z każdego spotkania z klientem.

Personel zaczął już doń przywykać, przyzwyczajał się do jego wszędobylstwa, rudych włosów, dobrze utrzymanej brody, ciepłych zielonych oczu, znakomicie skrojonych angielskich garniturów. Bernie nigdy nie był wulgarny ani opryskliwy. Gdy kogoś lub coś krytykował, starał się przede wszystkim spokojnie i przystępnie wyjaśnić, o co mu chodzi. Dlatego cieszył się dużym szacunkiem.

Ilekcóż Paul Berman przeglądał w Nowym Jorku wyniki sprzedaży, utwierdzał się w przekonaniu, że dobrze postąpili, co zresztą z góry było wiadome. Bernie uczyni dom

towarowy w San Francisco magazynem numer jeden w całej sieci Wolffa. Był ich prawdziwym skarbem, człowiekiem, który pewnego dnia z powodzeniem obejmie stanowisko po Bermanie. Co do tego Paul nie miał wątpliwości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez pierwsze tygodnie pracowali jak w gorączce, ale do czerwca wszystko się unormowało i sprowadzali już towary na jesień. Bernie zaplanował na przyszły miesiąc kilka pokazów mody.

W lipcu wielkim wydarzeniem był pokaz strojów wieczorowych. Przywiązywali do niego ogromną wagę, gdyż otwarcie opery zapowiadało się jako najbardziej ekscytujące wydarzenie sezonu w San Francisco i można było oczekiwać, że kobiety nie będą żałować nawet siedmiu czy dziesięciu tysięcy dolarów na jedną suknię.

Na dole, w zamkniętym pomieszczeniu, wisiały na wieszakach przepyszne wieczorowe kreacje. Na zewnątrz stał przez cały czas ochroniarz pilnujący, aby ktoś nie skopiował ich wzorów, nie porobił nie autoryzowanych zdjęć albo, co gorsza, nie ukradł kolekcji, która niemało kosztowała.

O tej właśnie kolekcji Bernie myślał pewnego lipcowego dnia, kierując się na górę. Zszedł z ruchomych schodów w dziale dziecięcym, by się upewnić, że wszystko tam idzie dobrze. Wiedział, że w ubiegłym tygodniu mieli pewne problemy z dostawą artykułów szkolnych, i teraz chciał sprawdzić, czy zostało to załatwione.

Przy kasie dostrzegł jakiegoś klienta, który coś klarował słuchającym go z uśmiechem ekspedientkom. Bernie rzucił okiem na wieszaki, a potem zapuścił się dalej. W pewnej chwili, przechadzając się po dziale, uprzytomnił sobie, że stoi naprzeciwko stojaka pełnego jednokolorowych, przygotowanych na przyszły tydzień do sprzedaży kostiumów kąpielowych i patrzy w wielkie niebieskie oczy małej dziewczynki. Przyglądała mu się już chyba od dłuższego czasu; nie uśmiechała się, ale też nie wyglądała na wystraszoną. Po prostu go obserwowała, jakby była ciekawa, co ma zamiar dalej robić.

Bernie uśmiechnął się do niej.

- Cześć, jak się masz?

Wydawało mu się, że to dziwny sposób nawiązywania rozmowy z dzieckiem, które miało nie więcej niż pięć lat, ale nigdy nie wiedział, jak gadać z takimi dzieciakami. Najprostsza odzywka: „Jak ci idzie w szkole” była bez sensu, zwłaszcza o tej porze roku.

- Podoba ci się w sklepie?

- Fajnie.

Wzruszyła ramionami. Wyraźnie to on ciekawił ją najbardziej.

- Nie cierpię bród.

- Przykro mi.

Była najładniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział. Ktoś splótł jej jasne włosy w dwa długie warkoczyki, na których końcach połyskiwały różowe kokardy. Miała na sobie krótką różową sukieneczkę i jedną rączką przyciskała do boku lalkę. Wyglądało na to, że lalka jest bardzo kochana i na pewno należy do ulubionych zabawek małej.

- Brody drapią - stwierdziła tonem wyrażającym przekonanie, że powinien o tym wiedzieć.

Pokiwał poważnie głową i pogłaskał się po zaroście. Wydawał mu się umiarkowanie miękki, lecz w końcu przywykł do niego, a nie sprawdzał przecież jego twardości na pięciolatkach. Prawdę mówiąc, od kiedy przyjechał do San Francisco, nie sprawdzał jeszcze na nikim.

Ta mała biła urodą wszystkie dziewczyny, jakie widział na ulicach tego miasta. Tutejsze kobiety zdecydowanie nie były w jego typie. Nosiły długie, rozpuszczone włosy, na gołe nogi wkładały brzydkie, choć na pewno wygodne sandały i w ogóle sprawiały wrażenie osób, których ulubionym strojem są podkoszulki i dzinsy.

Tęsknił za harmonijną elegancją mieszkanek Nowego Jorku, za wysokimi obcasami, kapeluszami, dodatkami, starannymi fryzurami, za kolczykami, które tworzyły jakby oprawę twarzy, za futrami. Były to wprawdzie szczegóły, dla niego jednak miały niemałe znaczenie. Tutaj na próżno by ich szukać.

- A tak w ogóle to nazywam się Bernie.

Spodobała mu się rozmowa z tą małą. Wyciągnął do niej rękę, którą uściśnęła z powagą, nie spuszczać z niego oka.

- Jestem Jane.

- Pracujesz tutaj?

- Tak.

- Czy oni są mili?

- Bardzo.

Nie mógł jej chyba powiedzieć, że w tym wypadku „oni” to właśnie „on”.

- To dobrze, bo u mojej mamy w pracy nie zawsze są mili. Czasami nawet są dla niej wstrętni.

Była bardzo poważna i Bernie z trudem powstrzymywał wesołość. Jednocześnie myślał intensywnie, gdzie się podziała jej matka. Miał obawy, że dziewczynka się zgubiła, tylko jeszcze, na szczęście, nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie chciał jednak tego mówić, by jej nie przestraszyć.

- Czasami nie pozwalają jej nawet zostać w domu, jak jestem chora.

Opowiadała dalej z przejęciem, najwyraźniej oburzona taką nie sprawiedliwością. Widać jednak temat rozmowy przypomniawszy jej w końcu matkę, bo nagle otworzyła szeroko oczy.

- Gdzie mama?

- Nie wiem, Jane.

Posłał jej łagodny uśmiech, rozglądając się wokoło. Nikogo nie było w zasięgu wzroku, z wyjątkiem ekspedientek, które jeszcze przed kilkoma minutami rozmawiały z klientem. Wciąż tkwiły obok kasy, ale poza nimi nie widział nikogo. Najwyraźniej matki Jane nie było w pobliżu.

- Czy pamiętasz, gdzie widziałas ją ostatnio?

Zerknęła na Berniego z ukosa, marszcząc czoło w skupieniu.

- Kupowała różowe rajstopy na dole.

Spoglądała na niego trochę bojaźliwie.

- Chciałam obejrzyć kostiumy kąpielowe - rozejrzała się dokoła.

Było ich tu mnóstwo. Prawdopodobnie sama przyszła na górę, aby im się przyjrzeć.

- W przyszłym tygodniu jedziemy nad morze... - głos jej zadrżał. - Te kostiumy są prześliczne.

Kiedy Bernie ją ujrzał, stała obok stojaka z maleńkimi kostiumami bikini. Teraz spostrzegł, że dolna warga małej zaczyna drżeć, wyciągnął więc do niej rękę.

- A może zobaczymy, czy nie uda nam się znaleźć mamy?

Pokręciła jednak głową i cofnęła się o krok.

- Nie wolno mi z nikim chodzić.

Bernie dał znak jednej z kobiet. Ujrzawszy w oczach dziewczynki z trudem powstrzymywane łzy, podeszła spokojnym krokiem. Bernie z uznaniem popatrzył na dzielnego malucha.

- To może pójdziemy do restauracji i zjemy lody lub coś innego, a w tym czasie ta pani odszuka twoją mamę?

Jane przyjrzała mu się uważnie. Uśmiechnięta ekspedientka wzbudziła jej zaufanie.

Bernie wyjaśnił kobiecie, że matka dziewczynki kupowała na głównym piętrze rajstopy, a Jane w tym czasie sama wjechała na górę. Potem dodał cicho:

- Może skorzystajmy w tym wypadku z systemu nagłaśniającego.

Mieli go w sklepie na wypadek pożaru, podłożenia bomby lub innej nieprzewidzianej sytuacji, nie powinno być zatem trudności z wywołaniem matki Jane.

- Proszę zadzwonić do mojego biura, a już oni się wszystkim zajmą.

Znowu spojrział na dziewczynkę, która używała teraz lalki do wycierania oczu.

- Jak się nazywa twoja mama? Chodzi mi o nazwisko.

Uśmiechnął się i Jane popatrzyła na niego z nadzieją, choć nie bardzo chciała ruszyć się z miejsca. Widać matka dobrze wbiła jej do głowy zasady ostrożności i Bernie starał się to uszanować.

- Tak samo jak ja - znowu się rozchmurzyła.

- To znaczy jak?

- O'Reilly - tym razem pokazała w uśmiechu wszystkie ząbki. - To irlandzkie nazwisko i jestem katoliczką, a ty?

Najwyraźniej była nim zafascynowana, tak samo jak on nią. Rozbawiła go myśl, że być może jest to właśnie kobieta, na którą czekał trzydzieści cztery lata. Niewątpliwie od bardzo dawna nie spotkał kogoś tak uroczonego jak ona.

- Jestem Żydem - wyjaśnił, gdy ekspedientka odeszła, by przekazać informację przez głośniki.

- Co to takiego?

Wyglądała na zaintrygowaną.

- To znaczy, że zamiast Bożego Narodzenia mamy święto Chanuka.

- Czy przychodzi do was święty Mikołaj? - spytała z zainteresowaniem.

To było trudne pytanie.

- Przez osiem dni obdarowujemy się prezentami - sprytnie wymigał się od bezpośredniej odpowiedzi.

Jane była zafascynowana.

- Przez osiem dni? To całkiem fajnie.

Nagle spoważniała i chwilowo zapominając o matce, spytała:

- Wierzysz w Boga?

Pokiwał głową, zaskoczony logiką jej rozumowania. Sam od dawna nie myślał o Bogu i głupio mu było przyznać się do tego przed małą. Widać pojawiła się w życiu Berniego po to, by sprowadzić go na dobrą drogę.

- Tak, wierzę.

- Ja też.

Kiwnęła głową i znowu popatrzyła na niego badawczo.

- Czy myślisz, że mama prędko wróci?

Znowu groziło, że się rozplacze, choć teraz była już w lepszej formie.

- Jestem tego pewny. Może jednak dasz się namówić na lody? Restauracja jest tutaj - wskazał ręką.

Powędrowała wzrokiem we wskazanym kierunku, bardzo zaciekawiona. Zaproszenie zrobiło na niej duże wrażenie. Wsunęła bez obaw swą rączkę w jego dłoń i kiedy szli razem, z daleka widać było śmiesznie podskakujące kokardki. Pomógł jej się wdrapać na stołek przy barze i poprosił o deser bananowy. Nie było tego przysmaku w karcie, lecz Bernie miał pewność, że dla niego się znajdzie. I miał rację.

Jane z błogim uśmiechem zanurzyła łyżkę w czubatej porcji, choć oczy miała nadal zatroskane. Nie zapomniała o matce, ale była pochłonięta gawędzeniem z Bernie o swoim mieszkaniu, szkole i plaży. Chciała mieć psa, tyle że nie zgadzał się na to ich gospodarz.

- Jest naprawdę wstrętny - mówiła z pełną buzią, umazaną czekoladą i kremem. - Tak samo jak jego żona. I ona jest bardzo gruba.

Wepchnęła do buzi kolejną porcję orzechów, bananów i bitej śmietany.

Bernie pokiwał poważnie głową, zastanawiając się, jak mógł żyć bez niej tak długo.

- Twoje kostiumy kąpielowe są śliczne - z zapalem wygarniała łyżeczką smakołyk.

Bernie uśmiechnął się z zainteresowaniem.

- A które najbardziej ci się podobają?

- Te małe dwuczęściowe. Mama mówi, że nie muszę nosić góry, jeżeli nie chcę... ale ja zawsze noszę - popatrzyła sznurując usta.

Teraz już i nos miała pokryty czekoladą.

- Podoba mi się niebieski i różowy, i czerwony... i pomarańczowy.

Ostatni kawałek banana zniknął z miseczki, a za nim wiśnia i bita śmietana.

Nagle przy drzwiach zrobiło się spore zamieszanie i pojawiła się w nich kobieta z długimi puklami złotych włosów, które wyglądały jak strugi złota, gdy pędziła przez pokój.

- Jane!

Była bardzo ładna, niewiele różniła się od córki. Po twarzy płynęły jej łzy, w oczach miała strach i cały czas żonglowała torebką, trzema paczkami, czymś, co było najwyraźniej sweterkiem małej, oraz jeszcze jedną lalką.

- Gdzieś ty się podziała?

Jane zaczerwieniła się i spojrzała na nią ze skruchą.

- Ja tylko chciałam obejrzeć...

- Nigdy więcej tego nie rób! - Przerwała małej, potrząsając ją lekko za rączkę, ale zaraz, walcząc ze łzami, szybkim ruchem objęła i mocno przytuliła dziewczynkę. Na pewno była bardzo przestraszona.

Minęło sporo czasu, nim zauważyła Bernarda, który stał obok i podziwiał je obie.

- Tak mi przykro.

Spodobało mu się spojrzenie, którym go obdarzyła. Miała na sobie sandały, podkoszulek i dżinsy, ale była ładniejsza i delikatniejsza niż większość kobiet. Była kruchą blondynką o tak samo wielkich niebieskich oczach jak Jane.

- Bardzo przepraszam za kłopot, jaki państwu sprawiliśmy.

Cały sklep uczestniczył w poszukiwaniach, od których wprost drżało główne piętro, matka bowiem przeraziła się, że Jane została porwana. Zrozpaczona poprosiła o pomoc ekspedientkę, potem zastępcę kierownika, a nawet kogoś z przygodnych klientów. Wszyscy robili co mogli, aż nagle usłyszała z głośnika, że córka znajduje się w restauracji.

- Nic się nie stało. To małe zamieszanie miało też swoje dobre strony. Świetnie się bawiliśmy.

Wymienili z Jane znaczące spojrzenia i nagle dziewczynka zaszczębiotała, śmiejąc się od ucha do ucha:

- Wiesz co, naprawdę strasznie się człowiek brudzi przy jedzeniu deseru bananowego! Dlatego właśnie nie lubię brody!

Roześmiali się oboje, a matka spojrzała na nią ze zgrozą.

- Jane!

- On też by się wybrudził.

- Ma rację - przyznał Bernie ochoczo.

Podbiła jego serce i z przykrością myślał, że za chwilę straci ją z oczu. Uśmiechnął się, a ładna kobieta spłonęła rumieńcem.

- Naprawdę bardzo przepraszam.

Nagle przypomniała sobie, że się nie przedstawiła.

- Pan wybaczy, nazywam się Elizabeth O'Reilly.

- I jest pani katoliczką.

Przypomniał sobie słowa Jane, a ponieważ kobieta spojrzała zaskoczona, przeszedł do wyjaśnień.

- Pani wybaczy...

- mieliśmy z Jane bardzo poważną rozmowę na ten temat.

Jane pokiwała głową z godnością i patrząc, jak rozmawiają, wpakowała kolejną wiśnię z deseru do buzi.

- I on jest kimś innym... - przymrużyła oczy i znowu na niego spojrzała. - Powiedz jeszcze raz, co to było?

- Żydem - powiedział.

Elizabeth była wyraźnie rozbawiona. Przywykła do zachowania córki, czasami jednak...

- I ma siedem razy Boże Narodzenie - była tak zafascynowana, że dorośli wybuchnęli śmiechem. - Naprawdę ma. Tak właśnie powiedział, no nie? - zwróciła się do Berniego, by potwierdził, a on przytaknął z uśmiechem.

- Chanukę.

Prawdę mówiąc Jane sprawia, że brzmi to nawet całkiem niezłe. Już od lat nie był w świątyni. Teraz jednak myślał o czym innym. Zastanawiał się, jak to jest z katoliczką, panią O'Reilly. Czy jest też pan O'Reilly, czy może nie?

Nie pomyślał, by spytać o to Jane, a ona sama nic na ten temat nie wspomniała.

- Nie wiem, jak panu dziękować - Elizabeth udawała, że gromi córkę wzrokiem, Jane jednak sprawiała wrażenie uszczęśliwionej. Nie przyciskała już tak mocno lalki i wyglądało na to, że nie ma zamiaru zostawić ani odrobiny lodów.

- Mają tu też piękne kostiumy kąpielowe.

Elizabeth pokręciła głową i znowu wyciągnęła do Berniego rękę.

- Jeszcze raz dziękuję, że przyszedł jej pan z pomocą. No chodź, moja mała, idziemy do domu. Mamy jeszcze coś do zrobienia.

- Nie możemy przedtem popatrzeć na te kostiumy?

- Nie - zdecydowała Elizabeth bez wahania.

Przed odejściem po raz kolejny podziękowała serdecznie Berniemu. Jane uścisnęła mu rękę, naśladując mamę, a potem uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Jesteś bardzo miły i lody były przepyszne, dziękuję.

Z pewnością świetnie się bawiła. Berniemu było ogromnie przykro, że dziewczynka odchodzi. Stojąc na szczycie ruchomych schodów, patrzył za znikającymi kokardkami z uczuciem, że właśnie traci jedynego przyjaciela w całej Kalifornii.

Podszedł do kasy, by podziękować ekspedientkom za pomoc. Gdy odchodził, jego wzrok zatrzymały maleńkie kostiumy kąpielowe. Wyciągnął trzy w rozmiarze numer sześć: pomarańczowy, różowy i niebieski. Czerwone z tej wielkości już były wyprzedane. Do tego dobrał dwa kapelusze i aksamitny szlafroczek plażowy. Wszystko powinno doskonale na nią pasować. Rzucił je przy kasie.

- Czy mamy w komputerze panią Elizabeth O'Reilly?

- Nie wiem, czy jest naszą stałą klientką, a nie znam imienia jej męża.

Pomyślał naraz z nadzieją, że może nie ma pana O'Reilly.

Kiedy sprawdzono, okazało się, że werdykt był pomyślny. Po dwóch minutach Bernie otrzymał informację, że pani O'Reilly ma świeżo otwarty rachunek i mieszka na ulicy Yallejo w Pacific Heights.

- Doskonale.

Zapisał pospiesznie numer telefonu i adres. Starał się, by wyglądało na to, że potrzebuje tych danych do swej kartoteki, i by nie zauważono, że wpisuje je do pustego notesika.

Poprosił ekspedientki o wysłanie ubrań plażowych „pannie Jane O'Reilly” i zapisanie kwoty na jego konto. Dołączył też bilecik z kilkoma zaledwie słowami:

„Dziękuję za miłe spotkanie. Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy. Twój przyjaciel, Bernie Fine”.

Potem lżejszym krokiem wrócił do swego gabinetu w przekonaniu, że w tym wszystkim jest ręka boska.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kostiumy kąpielowe dotarły w środę po południu i od razu następnego dnia Liz zadzwoniła, by mu podziękować za hojność wobec córki.

- Naprawdę nie powinien był pan tego robić. Jane jeszcze do dziś bez przerwy opowiada o deserze bananowym i o tym, jak świetnie się bawiła.

Elizabeth O'Reilly miała młodzieńczy głos. Rozmawiając z nią przez telefon, Bernie miał przed oczami jej lśniące jasne włosy.

- Uważam, że znalazła się wyjątkowo dzielnie. Była przerażona, gdy zrozumiała, że się zgubiła, ale przez cały czas zachowywała zimną krew. To jest coś jak na pięciolatkę.

Głos Elizabeth zdrzął.

- To bardzo dobre dziecko.

Miał ogromną ochotę dodać: „Tak jak i mama”, lecz nie zrobił tego.

- Czy kostiumy pasują?

- Idealnie. Wczoraj przez cały wieczór paradowała we wszystkich naraz i teraz też ma jeden pod sukienką... Jest teraz z koleżankami w parku. Mam dziś mnóstwo roboty... Wypożyczają mi domek w Stinson Beach, a dzięki panu Jane ma już skompletowaną wakacyjną garderobę - zaśmiała się Liz. - Ogromnie panu dziękuję...

Nie bardzo wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć, Bernie też szukał odpowiednich słów. Niezwykłość sytuacji wprawiała go w zakłopotanie. Miał takie wrażenie, jakby wszystko zaczynał od nowa.

- Czy mógłbym... czy mógłbym się jeszcze z panią kiedyś zobaczyć?

Mówiąc to, czuł się jak kompletny idiota, jak jąkała z telefonicznych dowcipów. Zdziwił się, gdy wyraziła zgodę.

- Bardzo chętnie.

- Naprawdę? - jego głos wyraźnie zdradzał zaskoczenie i Elizabeth O'Reilly wybuchnęła śmiechem.

- Naprawdę. A może przyjechałby pan na któreś popołudnie do Stinson Beach?

Był jej wdzięczny za to, że zareagowała tak żywo i naturalnie. Dzięki temu nie wyszedł na durnia lub nudnego natręta, zachowała się bowiem, jakby byli starymi przyjaciółmi i jakby cieszyła ją perspektywa spotkania.

- Bardzo chętnie. Jak długo tam będziecie?

- Dwa tygodnie.

Zrobił w pamięci szybki rachunek. Nie było żadnego powodu, dla którego nie miałby sobie wziąć choć raz wolnej soboty. Bywał tutaj nie dlatego, że musiał, ale po prostu dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty.

- To może w tę sobotę?

Do soboty były tylko dwa dni i Bernie czuł, że na myśl o tym pocałował mu się ręce.

Zamilkła, próbując sobie przypomnieć, kiedy kogo zaprosiła. Wyjazd do Stinson Beach był dla niej zawsze okazją do spotkań z przyjaciółmi. Sobotę miała jednak nadal wolną. Brzmi to całkiem nieźle... prawdę mówiąc, wspaniale uśmiechnęła się na myśl o nim. Był przystojny, a poza tym tak miły dla Jane. Nie wyglądał na pedała, lecz nie nosił też obrączki.

- Aha! Nie jest pan żonaty, prawda? Zawsze lepiej zapytać.

Odkrycie tego później mogłoby się okazać szokujące. Zdarzało się już tak wcześniej. Tym razem było jednak inaczej.

- O Boże, nie! Co za przypuszczenie!

Aha, a więc to jeden z tych, co to wiadomo.

- Uczulony na małżeństwo?

- Nie, po prostu ciężko pracuję. A co to ma do rzeczy?

Była szczerą, bezpośrednią i bardzo nim zainteresowaną. Miała swoje powody, by nie wychodzić powtórnie za męża. Kto się raz sparzy, ten na zimne dmucha, ale w końcu przecież raz spróbowała. A może on też.

- Czy jest pan rozwiedziony?

Uśmiechnął się do siebie, ciekawy, dlaczego pyta.

- Nie, nie jestem rozwiedziony. I lubię kobiety. Dwa razy w życiu żyłem z dziewczyną i teraz jestem bardzo zadowolony z tego, co mam. Nigdy nie mogłem nikomu poświęcić zbyt wiele czasu. Przez ostatnie dziesięć lat koncentrowałem się przede wszystkim na robieniu kariery.

- Takie życie może czasami być puste.

Zabrzmiało to tak, jakby wiedziała coś o tym, i Bernie był ciekaw, co.

- To szczęście, że mam Jane.

- O tak.

Zamilkł na myśl o dziewczynce i postanowił zachować resztę pytań na pobyt w Stinson Beach, gdy będzie widział jej twarz, oczy i ręce. Nigdy nie przepadał za poznawaniem ludzi przez telefon.

- A więc zobaczymy się w sobotę. Czy mam wziąć coś ze sobą? Jakies jedzenie na

piknik, wino, coś ze sklepu?

- Pewnie, myślę, że niezłe byłoby futro z norek. Bernie wybuchnął śmiechem, a za chwilę się rozłączyli. Jeszcze przez jakiś czas był w świetnym nastroju. Miała taki miły głos spokojny i ciepły. I nie sprawiała wrażenia osoby, która chce upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu. Nie należała do kobiet, które nienawidzą mężczyzn w każdym razie na taką nie wyglądała, nie robiła też wrażenia, że stara się coś udowodnić.

Bernie szczerze cieszył się na myśl o popołudniu w Stinson Beach. W piątek wieczorem, zanim poszedł do domu, wstąpił do delikatesów u Wolffa i kupił dwie torby smakołyków.

Był tam czekoladowy miś dla Jane i pudełko trufli czekoladowych dla Liz, dwa gatunki sera brie, bagietka z tych, które sprowadzali bezpośrednio z Francji, mała puszka kawioru i druga pasztetu, dwie butelki wina, jedna czerwonego, druga białego, i jeszcze puszka kasztanów w lukrze. Wrzucił torby do samochodu i pojechał do domu.

Następnego dnia wstał o dziesiątej, wziął prysznic, ogolił się, włożył dzinsy i starą niebieską koszulę, na nogi wsunął rozklapane trampki, z szafy w przed pokoju wyjął ciepłą marynarkę. Na czas doglądania budowy wziął ze sobą z Nowego Jorku wygodne stare ubranie, które teraz okazało się w sam raz na plażę.

Właśnie brał torby z zakupami, gdy zadzwonił telefon. Nie miał ochoty go odbierać, lecz pomyślał, że może dzwoni Elizabeth, by zmienić plany albo poprosić go o kupienie czegoś po drodze. Podniósł więc słuchawkę, żonglując marynarką i torbami.

- Tak?

- Nie odbiera się w ten sposób telefonu.

- Cześć, mamó. Właśnie wychodziłem.

- Do sklepu?

Zaczęło się przesłuchanie.

- Nie... na plażę. Jadę dziś z wizytą do przyjaciół.

- Do kogoś, kogo znam?

Co należało rozumieć: „Czy to ktoś, kogo bym zaakceptowała?”

- Nie sędzę, mamó. Czy u was wszystko w porządku?

- Tak.

- To dobrze. Zadzwonię do ciebie dziś wieczorem albo jutro ze sklepu. Muszę już lecieć.

- To musi być ktoś ważny, skoro nie możesz przez pięć minut porozmawiać z rodzoną matką. Dziewczyna?

„Nie, kobieta. I oczywiście jeszcze Jane.”

- Tylko przyjaciele.

- Nie zadajesz się chyba z miejscowymi chłopakami Bernardzie?

O rany, czuł nieprzepartą ochotę przytaknąć tylko po to, żeby ją podenerwować.

- Nie, mam. Posłuchaj, niedługo zadzwonię.

- No dobrze, dobrze... nie wychodź na słońce bez kapelusza.

- Ucałuj ode mnie tatę.

Odłożył słuchawkę i wybiegł w pośpiechu z domu, żeby nie zdążyła zadzwonić powtórnie z przypomnieniem, aby uważał na rekiny. Najbardziej lubiła przestrzegać go przed wszystkimi niebezpieczeństwami, o których wyczytała właśnie w Daily News. Ostrzegała go zwykle przed używaniem zepsutych produktów, które zabiły dwoje ludzi w Des Moines, przed jadem kiełbasianym, chorobami wenerycznymi, zawałem serca, hemoroidami, zatruciem... Możliwości było bez liku. Miło jest mieć kogoś, kto troszczy się o nasze zdrowie, byle nie z taką pasją jak Ruth Fine.

Umieścił obie torby z zakupami na tylnym siedzeniu samochodu i w dziesięć minut później był już na moście Golden Gate, skąd ruszył na północ. Jeszcze nigdy nie był w Stinson Beach.

Zachwycony krętą, wijącą się wzdłuż grzbietów górskich drogą, podziwiał strome wybrzeża klifowe, wystrzelające nad powierzchnią morza. Wyglądało to jak Big Sur w miniaturze i Bernie zwolnił, by móc dłużej rozkoszować się cudownymi widokami. Przejechał przez małe miasteczko i skierował się pod adres wskazany przez Liz.

Mieszkała w prywatnym osiedlu Seadrift; musiał podać strażnikowi przy szlabanie swe nazwisko. Poza tymi środkami ostrożności nie dostrzegł żadnych znamion luksusu. Domki były całkiem zwyczajne, a ludzie chodzili tu w szortach. Miejsce to wyglądało na takie, do którego przyjeżdżają całe rodziny, w typie Long Island czy Cape Cod, było spokojne i sympatyczne.

Wjechał na podjazd domku, którego numer podała mu Liz. Stał przed nim rowerek na trzech kółkach i wytarty koń na biegunach, którego świetność zapewne dawno przeminęła.

Bernard zadzwonił starym szkolnym dzwonkiem przy furtce i wszedł do ogrodu. Nagle przed domem pojawiła się Jane. Miała na sobie jeden z kostiumów oraz aksamitny szlafroczek które jej przesłał.

- Cześć, Bernie - rozpromieniła się na jego widok.

Oboje przypomnieli sobie deser bananowy oraz rozmowę o Bożym Narodzeniu i Bogu.

- Uwielbiam ten kostium kąpielowy.

- Wspaniale na tobie wygląda.

Podszedł do szczerze uradowanej dziewczynki.

- Moglibyśmy cię zatrudnić w sklepie jako modelkę. Gdzie mama? Tylko mi nie mów, że znowu się zgubiła!

Zmarszczył srogo brwi, a Jane odpowiedziała mu swym dźwięcznym śmiechem, który tak podbijał jego serce.

- Często to robi?

Jane pokręciła głową.

- Tylko w sklepach... - czasami.

- Co robię w sklepach?

Elizabeth wyjrzała zza drzwi i uśmiechnęła się do Bernarda.

- Witaj, jak się jechało?

- Doskonale.

Gdy wymienili ciepłe, pełne wyrazu spojrzenia, Bernie sprawiał wrażenie człowieka naprawdę zadowolonego z podróży.

- Nie wszyscy, którzy tu bywają, tak mówią. To bardzo kręta droga.

- Zawsze wymiotuję - dodała Jane z czarującym uśmiechem. - Ale lubię ją, jak już tu jesteśmy.

- Czy siedzisz na przednim siedzeniu z opuszczonymi oknami? - wyglądał na zainteresowanego.

- No...

- I jesz przed wyjazdem krakersy?... Nie, założę się, że za każdym razem jesz desery bananowe.

Nagle przypomniał sobie o czekoladowym misiu i wyciągnął go z torby, zanim podał resztę Liz.

- To dla was, trochę smakołyków z mojego sklepu.

Elizabeth była zaskoczona i wzruszona, a Jane ująwszy czekoladowego misia wydała radosny pisk. Był większy od jej lalki i gdy na niego patrzyła, ciekła jej niemal ślinka.

- Czy mogę go już zjeść, mamó?... Proszę... - zwróciła błagalne oczy na Liz, a ta wydała cichy jęk osoby pokonanej. - Proszę, mamó... proszę... chociaż ucho.

- No już dobrze, dobrze, poddaję się, tylko nie za dużo. Niebawem będzie lunch.

- Dobrze - wzięła nogi za pas, trzymając misia jak szczeniak kość.

Bernard uśmiechnął się do Liz.

- Jest najwspanialszym dzieciakiem.

Takie istoty jak Jane przypominały mu zawsze, że w jego życiu są puste obszary, a jeden z nich wiąże się właśnie z dziećmi, a w zasadzie z ich brakiem.

- Ma bzika na twoim punkcie - uśmiechnęła się Liz.

- Desery bananowe i czekoladowe misie zawsze pomagają. Najpewniej domyśla się jednak, że naprawdę jestem dusicielem z Bostonu, używającym czekoladowych misiów na przynętę.

Poszli razem do kuchni, gdzie Elizabeth rozpakowała przywiezione przez niego torby. Aż zaniemówiła, gdy zobaczyła kawior, pasztet i inne kosztowne rarytasy.

- Bernie, nie powinieneś tego robić. Mój Boże... spójrz na to... - patrzyła przez chwilę na pudełko z czekoladowymi truflami, które trzymała w ręce, po czym z miną winowajczyni zrobiła dokładnie to, co uczyniłaby Jane: poczęstowała Berniego, a następnie wsunęła jedną czekoladkę w usta i zamknęła z rozkoszą oczy. - Hmm... och... jakie dobre...

W jej ustach zabrzmiało to bardzo zmysłowo i Bernie objął ją pełnym zachwytem spojrzeniem. Była delikatna, pełna wdzięku i piękna, w typowo amerykańskim stylu. Długie jasne włosy splotła dziś w warkocz, jej oczy zaś były tak niebieskie jak spłowiała drelichowa koszula, którą miała na sobie. Białe szorty odsłaniały zgrabne nogi. Zauważył bardzo starannie polakierowane na czerwono paznokcie u nóg. Nareszcie odkrył w niej odrobinę próżności.

Poza tym ani śladu makijażu czy choćby szminki, i do tego krótko obcięte paznokcie u rąk. Była ładną dziewczyną, nawet więcej niż ładną, ale nie płochą, co mu się bardzo podobało. Gdy się na nią patrzyło, jej widok nie zapierał tchu w piersiach, lecz rozgrzewał serce... a tak naprawdę rozgrzewał coś więcej, gdy się pochylała, by odstawić butelki z winem. Potem odwróciła się do niego z uśmiechem, który bardzo przypominał Jane:

- Okropnie nas rozpuszczasz Bernardzie... Nie wiem, co powiedzieć.

- Wiesz, miło jest nawiązywać przyjaźnie... Nie mam tu wielu znajomych.

- Jak długo tu jesteś?

- Pięć miesięcy.

- Nowojorczyk?

Skinął głową.

- Całe życie mieszkałem w Nowym Jorku, z wyjątkiem trzech lat spędzonych w Chicago bardzo dawno temu.

Wyjęła dwa piwa z lodówki i zaproponowała mu jedno. Nie zdradzała ochoty na zmianę tematu.

- Właśnie stamtąd pochodzę.

- Dlaczego tu przyjechałeś?

- To moja próba ogniowa. Przyjechałem tu, żeby poprowadzić dom towarowy...

Głos mu lekko zadrżał na wspomnienie pamiętnej rozmowy z Bermanem.

- No i jestem.

Wyjazd do San Francisco nadal traktował jak karę, choć teraz, gdy patrzył na Liz, czuł się jakby mniej rozżalony. Potem przeszedł za nią do wygodnego saloniku.

Dom był niewielki, podłogę przykrywały słomiane maty, meble miały spłowiałe pokrycia, a wokoło poniewierały się kawałki drewna wyrzuconego przez morze i muszle. Mógł stać wszędzie w East Hampton, Fire Island, Malibu... Nie miał określonego charakteru.

Za to za dużym panoramicznym oknem roztaczał się wspaniały widok: z jednej strony na przepiękną plażę, rozległy obszar morza, a z drugiej na San Francisco rozrzucone na połyskujących w słońcu wzgórzach. Było to piękne, lecz jeszcze piękniejsza była Liz.

Wskazała mu wygodny fotel, sama zaś usadowiła się z podwiniętymi nogami na kanapie.

- Podoba ci się tutaj? Myślę o San Francisco.

Czasami był wobec niej uczciwy.

- Przyznam, że nie widziałem miasta zbyt dokładnie. Byłem bardzo zajęty w sklepie. Lubię tutejszy klimat. Jak wyjeżdżałem z Nowego Jorku, padał śnieg, a gdy wylądowałem tu pięć godzin później, była wiosna. To punkt dla tego miasta.

- Ale...? - uśmiechnęła się zachęcająco.

Miała przemiły sposób bycia, który sprawiał, że chciało się z nią rozmawiać i dzielić swymi myślami w nieskończoność. Intuicja podpowiedziała mu, że miło byłoby mieć taką kobietę za przyjaciela, nie miał jednak pewności, czy tylko tego chciałby od niej.

Miała w sobie coś, co mu bardzo odpowiadało, trudną do określenia subtelną kobiecość, na przykład zarys piersi pod starą niebieską bluzką, sposób przechylania głowy... nawet kosmyki włosów wijące się miękko wokół twarzy. Pragnął jej dotknąć, potrzymać za rękę, pocałować jej pełne usta, gdy się do niego uśmiechała...

Chwilami trudno mu było nawet skoncentrować się na tym, co mówiła.

- Musisz się tutaj czuć samotny bez przyjaciół. Z trudnością to znosiłam przez pierwszy rok.

- Ale w końcu zostałaś.

Spojrzał zaintrygowany. Chciał się o niej czegoś dowiedzieć, usłyszeć, co ma mu do powiedzenia.

- Tak, musiałam. Nie miałam żadnych krewnych, do których mogłabym wrócić. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, gdy byłam na drugim roku studiów w Northwestem - oczy jej spochmurniały, a Bernie poczuł ból w sercu. - Myślę, że przez to stałam się bardziej uczuciowa i chyba dlatego zakochałam się do szaleństwa w gwiazdorze, z którym na trzecim roku grałam w jednej sztuce.

Jej oczy stały się smutne na samo wspomnienie tej miłości. To śmieszne, ale zwykle nikomu o tym nie opowiadała, z nim natomiast rozmawiało się tak łatwo.

Patrzyli przez okno na Jane, która w towarzystwie swej ukochanej lalki bawiła się w piasku i od czasu do czasu machała im ręką. Coś w sposobie bycia Berniego sprawiało, że Liz chciała być z nim uczciwa od samego początku. Pomyślała, że nie ma nic do stracenia. Jeśli nie spodoba mu się to, co usłyszy, może po prostu więcej nie zadzwonić, a wtedy przynajmniej wszystko będzie jasne. Było coś, co przemawiało za tym Elizabeth nie cierpiała udawania i tych wszystkich śmiesznych gier. To nie było w jej stylu. Spojrzała na niego prawdomównymi oczami.

- Byłam w North - uśmiechnęła się - Graliśmy razem w letnim teatryku tego lata, tuż po śmierci rodziców. Byłam tak odrętwiała, że czułam się jak trup przywrócony do życia. Nie miałam nikogo na świecie i zupełnie straciłam dla niego głowę. Uważałam, że jest wspaniałym mężczyzną i świetnym kumplem. Przed samym dyplomem byłam już w ciąży. Powiedział, że chce się ze mną ożenić. Ktoś zaproponował mu rolę w Hollywood, więc wyjechał, a ja podążyłam za nim. Nie miałam gdzie pójść, a nie wyobrażałam sobie usunięcia ciąży. Dlatego przyjechałam tu za Chandlerem, choć już wtedy nie było między nami różowo, aby powiedzieć wszystko do końca, nie był zbyt entuzjastycznie nastawiony do mojej ciąży, ale ja nadal byłam w nim ogromnie zakochana i wierzyłam, że wszystko się dobrze skończy.

Spojrzała przez okno na Jane, jakby chciała się upewnić, że istotnie tak się stało.

- No więc przyjechałam autostopem do Los Angeles i spotkałam się znowu z Chandlerem. Chandler Scott... później okazało się, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Charlie Schiavo... W każdym razie tej roli nie dostał, więc rozglądał się za jakąś robotą i młodymi gwiazdkami filmowymi, a ja pracowałam jako kelnerka i z każdym dniem robiłam się coraz grubsza. W końcu na trzy dni przed rozwiązaniem, wzięliśmy ślub. Myślałam, że sędzia pokoju zemdleje... A potem Chandler zniknął. Jane miała pięć miesięcy, kiedy zadzwonił z informacją, że dostał pracę w teatrze w Oregonie. Naprawdę był jednak w więzieniu, co odkryłam dopiero później. Myślałam, że pewnie ślub tak go wystraszył, więc uciekł. Później zrozumiałam, że musiał się wplątać w jakieś podejrzaną sprawę. Wsadzono go najpierw za paserstwo, a następnie za włamanie. W każdym razie wrócił, jak Jane miała

dziewięć miesięcy, i mieszkał u nas jakiś czas. Kiedy skończyła rok, znowu zniknął, a jak się dowiedziałam, że i tym razem jest w więzieniu, wystąpiłam o rozwód. I tak się to skończyło. Przeniosłam się do San Francisco i już nigdy nie miałam od niego żadnej wiadomości. Był oszustem od początku do końca, choć trudno o kogoś bardziej przekonującego. Gdybym go dziś spotkała, nie sądzę, żebym dała się tak łatwo nabrać, ale wiesz, on był cholernie przymilny, więc nie jestem pewna... Czy świadomość tego nie jest deprymująca? W każdym razie po rozwodzie powróciłam do panińskiego nazwiska i zostałam tutaj.

Patrzyła na swoją historię tak trzeźwo, że Bernie nie posiadał się ze zdumienia. Każda inna kobieta wyobraziwszy sobie siebie w podobnej sytuacji, wyżyłaby chusteczkę. Ona jednak przetrwała, i to całkiem nieźle. Wyglądała na zdrową i szczęśliwą. I miała wspaniałą dziewczuszkę.

- Teraz Jane jest moją rodziną. Myślę, że w sumie miałam szczęście.

Wysłuchawszy Liz, Bernie poczuł do niej jeszcze większą sympatię.

- A co o tym wszystkim myśli Jane?

Ciekaw był, co powiedziała córce.

- Nic. Myśli, że on nie żyje. Powiedziałam jej, że był przystojnym aktorem, że pobraliśmy się zaraz po szkole i przyjechaliśmy tutaj, potem ona się urodziła, a gdy miała roczek, jej ojciec zmarł. To wszystko, co wie. Nigdy więcej go nie zobaczymy, więc jakie to ma znaczenie? Sam Bóg raczy wiedzieć, gdzie on się podziewa. Prawdopodobnie do końca życia przesiedzi w więzieniu. Nie obchodzi go żadna z nas, zresztą zawsze tak było. Wolę, żeby na razie miała złudzenia, może dowie się prawdy, jak będzie starsza.

- Myślę, że masz rację.

Bernie szczerze ją podziwiał. Bardzo. Była dzielną dziewczyną i robiła dobrą minę do złej gry, dzięki czemu jej dziecko chyba wcale nie cierpiało. Miało matkę, która je bardzo kochała. W Liz nie było ani krzty tragizmu. Miała charakter, serce i piękne jasne, jedwabiste włosy. No i ułożyła sobie życie. Kalifornia była do tego dobrym miejscem. Świetnym do rozpoczęcia nowego życia. Liz potwierdziła to swoim przykładem.

- Teraz uczę w szkole. Za pieniądze z polisy ubezpieczeniowej rodziców poszłam na rok do studium wieczorowego i otrzymałam świadectwo, które dało mi prawo nauczania w tutejszych szkołach. Kocham moją pracę. Uczę w drugiej klasie i moje dzieciaki są po prostu wspaniałe!

Uśmiechnęła się radośnie.

- Jane też chodzi do mojej szkoły i dzięki temu mniej za nią płacę. To była jedna z przyczyn, dla której wybrałam ten zawód. Chciałam, żeby Jane chodziła do dobrej szkoły, ale

wiedziałam, że absolutnie nie będzie mnie stać na prywatną. A tak wszystko dobrze się skończyło.

Sprawiła, że brzmiało to nie jak historia klęski, lecz sukcesu. Bo też był to sukces. Nadzwyczajne Liz wyrwała zwycięstwo ze szponów porażki i Bernie bez trudu potrafił zrozumieć, jak to się stało.

Chandler Scott, czy jak tam się naprawdę nazywał, wyglądał mu na męską wersję Isabelle, choć miał na pewno mniej zalet, no i ona nigdy nie skończyła w więzieniu.

- Sam też, kilka lat temu, związałem się z kimś podobnym

Wobec zaufania, jakim go obdarzyła, nie mogłem pozostać jej dłużny.

- Z piękną francuską modelką, którą poznałem w sklepie. Trzymała mnie mocno w garści ponad rok, tylko że nie mam z tego związku cudownej dziewczynki.

Popatrzył z rozczeniem na Jane bawiącą się na dworze, a potem na siedzącą obok niego Liz.

- Pozostała mi świadomość, że zostałem wykorzystany, a także uboższy o kilka tysięcy dolarów oraz zegarek podarowany mi przez rodziców. Była bardzo zręczna. Ktoś zaproponował jej karierę filmową i nakryłem ich, gdy się kochali na pokładzie jachtu. Myślę, że takie osoby rodzą się niezależnie od płci i nacji, ale w pewnym sensie sprawiają, że człowiek zaczyna potem uważać, z kim się zadaje, prawda? Ja od tej pory już z nikim nie byłem tak blisko, choć minęły trzy lata.

Przerwał.

- Przez takich ludzi zaczynasz w końcu wątpić w swój zdrowy rozsądek i zastanawiasz się, jak mogłeś być takim durniem.

Liz wybuchnęła śmiechem.

- Powtórz to jeszcze raz. Ja przez dwa lata z nikim się nie spotykałam... i nawet dziś jestem ostrożna. Kocham swoją pracę, przyjaciół, a reszta... - wzruszyła ramionami i podniosła rękę. - Mogę się bez tego obyć.

Wpatrywał się w nią z tkliwością. Przykro było tego słuchać.

- Czy mam sobie już pójść?

Oboje roześmiali się i Liz wstała, by sprawdzić, co z zapiekanką. Gdy otworzyła piekarnik, po pokoju rozszedł się wspaniały aromat.

- Ojej, pachnie wspaniale.

- Dziękuję, uwielbiam gotować.

Przygotowaną dla nich obojga w zawrotnym tempie sałatkę cesarską udekorowała z takim zapałem, jak ulubiony kelner Berniego z „21” w Nowym Jorku. Potem przyrządziła

mu Krwawą Mary, a następnie zapukała w szybę, przywołując w ten sposób Jane, na którą czekało masło orzechowe i kanapka z boczkiem.

Dziewczynka zjawiła się przy stole z czekoladowym misiem pozbawionym jednego ucha.

- Czy on cię jeszcze słyszy, Jane?

- Kto? - spojrzała zdezorientowana na Berniego.

- Misio... bez ucha...

Och parsknęła śmiechem.

- Tak, potem mam zamiar zjeść mu nos.

- Biedaczysko. Do jutra będzie w fatalnym stanie. Muszę ci kupić nowego.

- Naprawdę? - zadrżała z emocji.

Liz podała lunch.

Na stole były słomiane maty, wazon pełen jasnopomarańczowych kwiatów, jasnopomarańczowe serwetki, ładna porcelana i srebrne sztućce.

- Uwielbiamy to miejsce - wyjaśniła. - Spędzamy tu wspaniałe wakacje. Ten domek ma już sporo lat i należy do jednej nauczycielki z mojej szkoły, której mąż jest architektem. Co roku jeżdżą do jej rodziców na wschód, do Martha Vineyard, i w tym czasie pozwalają nam tu mieszkać. To najlepsze dwa tygodnie w roku, prawda, Jane?

Dziewczynka pokiwała głową i uśmiechnęła się do Berniego.

- Czy tobie też się tu podoba? - spytała go.

- Bardzo.

- A wymiotowałeś po drodze?

Sprawiała wrażenie bardzo zaintrygowanej. Bernie zaś parsknął śmiechem, rozbawiony tematem, który wybrała do rozmowy przy lunchu. Ubóstwiał jej bezpośredniość i szczerość. Była bardzo podobna do Liz i nawet wyglądała jak ona. Była miniaturką matki.

- Nie, nie wymiotowałem, ale kierowanie w tym pomaga.

- To samo mówi moja mama. Ona nigdy nie wymiotuje.

- Jane...

Liz skarciła ją wzrokiem, a Bernie przyglądając się im myślał, jak dobrze być razem z nimi. Było to bez troskie, przyjemne popołudnie. Później poszli na spacer po plaży i, Jane pognęła przodem w poszukiwaniu muszli. Bernie podejrzewał, że nie zawsze było im lekko. Niełatwo być samotną matką z małym dzieckiem, Liz jednak nie narzekała. Wydawało się, że kocha swoje życie.

Opowiedział jej o pracy w sklepie, swym przywiązaniu do Wolffa, o tym, że sam

kiedyś chciał uczyć, ale jego marzenie uległo zmianie, a nawet o Sheili i bólu, jaki mu zadała swoim odejściem.

Gdy już wracali do domu, Bernie przyglądał się Liz zachłannie. Była o wiele niższa od niego i to też bardzo mu się podobało.

- Wiesz co? Mam takie uczucie, jakbym znał cię od wieków. To śmieszne, prawda?

Jeszcze nigdy z nikim nie czuł się tak wspaniale. Uśmiechnęła się wzruszona.

- Jesteś miłym człowiekiem. Wiedziałam to już w chwili, jak zobaczyłam cię w sklepie.

- Przyjemnie to słyszeć.

Był zadowolony, gdyż bardzo go obchodziło, co Liz o nim myśli.

- Przekonał mnie o tym sposób, w jaki rozmawiałeś z Jane. Mówiła o tobie przez całą drogę do domu, i to tak, jakbyś był jednym z jej najlepszych przyjaciół.

- Chciałbym, żeby tak było.

Spojrzał jej w oczy, a ona odpowiedziała uśmiechem.

- Zobaczcie, co znalazłam - Jane wpadła na nich, pędząc w podskokach. - To prawdziwa srebrna dolarówka! Nie jest złamana ani nic takiego.

- Pokaż - Bernie pochylił się nad nią i wyciągnął na płask rękę, a ona położyła mu ostrożnie na dłoni idealnie okrągłą białą muszlę.

Obejrzel ją uważnie.

- O cię Florek, masz rację.

- Kto to jest Florek?

Bernie wybuchnął śmiechem.

- To takie głupie powiedzenie, którego używają dorośli.

- Aha! - wydawała się usatysfakcjonowana.

- Twoja srebrna dolarówka jest przepiękna - podał małej muszlę równie ostrożnie, jak ona jemu, a gdy się podniósł, napotkał wzrok jej matki.

- Chyba muszę już wracać.

Bardzo tego nie chciał.

- Nie przegryziesz jeszcze czegoś? Mamy hamburgery.

Liz musiała się bardzo liczyć z pieniędzmi, lecz na ogół dobrze sobie radziły. Na początku było jej ciężko, ale teraz opanowała już sztukę wiązania końca z końcem. Wiele szyla dla Jane, nauczyła się gotować, nawet piec chleb, a dzięki takim przyjaciołom jak ci, którzy wypożyczali jej domek w Stinson Beach, miały wszystko, co było im potrzebne... nawet Berniego i kostiumy kąpielowe... Chciała kupić Jane jeden, może dwa, teraz zaś dzięki

niemu dziewczynka miała ich całą kolekcję.

- Mam lepszy pomysł.

Gdy jechał przez miasto, zauważył po drodze restaurację.

- A co by panie powiedziały, gdybym je dzisiaj gdzieś zabrał?

Nagle przypomniał sobie swój strój.

- Czy Sand Dollar wpuści mnie w tym?

Rozłożył ręce, by damy mogły go ocenić. Liz wybuchnęła śmiechem.

- Mnie się podobasz.

- No to jak?

- Zgódź się, mamó, proszę... możemy iść?... Proszę! - podniosła wrzawę Jane.

Liz również spodobał się ten pomysł, toteż przyjęła zaproszenie z radością. Wysłała Jane do jej pokoju, by się przebrała, i za proponowała Berniemu piwo w salonie, lecz odmówił.

- Nie lubię dużo pić - wyznał.

Elizabeth odetchnęła. Nienawidziła wychodzić gdzieś z mężczyznami, którzy szukali w niej kompana do kieliszka. Chandler zwykle pił jak smok, co zawsze ją denerwowało, wówczas jednak nie była na tyle odważna, by mu to powiedzieć. Co innego dzisiaj.

- To śmieszne, jak ludzi drażni, kiedy ktoś nie pije. Myślę, że czują się zagrożeni, zwłaszcza gdy sami piją za dużo.

Dobrze jej było z Berniem i nic na to nie mogła poradzić. Tego wieczoru bawili się doskonale. Sand Dollar miał atmosferę starego saloonu. Ludzie wchodzili bez przerwy przez cały wieczór przez wahadłowe drzwi, by postać przy barze bądź zjeść serwowanego tu na obiad wielkiego befszyka lub homara.

Zgodnie z tym, co twierdziła Liz, lokal, do którego poszli, choć jedyny w mieście, miał całkiem dobrą kuchnię, tak że nawet Jane sięgnęła po talerz i z radością zabrała się do kawałka befszyka. Nieczęsto pozwalały sobie na takie ekstrawagancje.

W drodze powrotnej mała usnęła w samochodzie. Bernie zaniósł ją do domu i położył ostrożnie do łóżka. Spała w pokoiku gościnnym tuż obok sypialni Liz. Potem przeszli na palcach do salonu.

- Myślę, że się w niej zakochałem - zajął Liz w oczy jaśniejąc radością.

- Wiedz, że z wzajemnością. Cudownie się bawiliśmy.

- Ja też.

Zmierzał z ociąganiem w kierunku drzwi. Chciał ją pocałować, ale bał się, że jeszcze na to za wcześnie. Nie zamierzał jej płoszyć, za bardzo mu się podobała. Czuł się jak uczniak.

- Kiedy wracacie do miasta?

- Za dwa tygodnie. A może przyjechałbyś znowu w przyszły weekend? Dobrze się tu jedzie z miasta. Możesz być mniej więcej, w czterdzieści minut, jeżeli wytrzymasz na tej krętej drodze. Zjemy wczesny obiad, a potem wrócisz do domu albo po prostu zostaniesz, jeśli będziesz miał na to ochotę. Zajmiesz pokój Jane, a ona prześpi się ze mną.

Bernie bez wątpienia wolałby spać z Liz, lecz nie odważył się tego powiedzieć, nawet żartem. Za wcześnie było na takie aluzje i nie chciał ryzykować. Należało też uważać na Jane, która odgrywała bardzo ważną rolę w życiu matki. Zawsze była z nimi i Bernie musiał brać to pod uwagę. Nie chciał zrobić niczego, co mogłoby ją zranić.

- Przyjadę z przyjemnością, jeśli tylko uda mi się wyrwać ze sklepu o przyzwoitej godzinie.

- O której zwykle wychodzisz z pracy?

Mówili w salonie szeptem, by nie zbudzić Jane. Bernie zaśmiał się, słysząc pytanie.

- Między dziewiątą a dziesiątą wieczorem, ale to tylko ode mnie zależy. Nikt mi tego nie każe. Pracuję siedem dni w tygodniu - przyznał się.

Liz była przerażona.

- Tak nie można żyć.

- Nie mam nic lepszego do roboty.

To było okropne wyznanie, nawet dla niego. Może teraz będzie miał...

- Postaram się inaczej rozplanować sobie przyszły tydzień. Zadzwoń do ciebie.

Pokiwała głową z nadzieją, że rzeczywiście zadzwoni. Początki zawsze są trudne, nawiązywanie kontaktu, nadzieje i marzenia. Zawsze, ale nie z nim. Był najmilszym mężczyzną, jakiego spotkała od wielu, wielu lat. Odprowadziła go do samochodu.

Nigdy jeszcze niebo nie wydawało się Elizabeth O'Reilly tak rozgwieżdżone. Spojrzała w górę, a potem na Berniego. Nie odrywał od niej oczu.

- Było dziś wspaniale, Liz.

Okazała mu tyle zaufania i serdeczności. Powiedziała nawet całą prawdę o tym, jak urodziła Jane, i o fatalnym małżeństwie z Chandlerem Scottem. Nie mieli już przed sobą tajemnic i wszystko wydawało się proste. Nie mogę się doczekać, kiedy was znowu zobaczę. Delikatnie dotknął jej dłoni. Przez chwilę, zanim wsunął się do samochodu, przytrzymała jego rękę.

- Ja też. Jedź ostrożnie.

Wyglądając przez otwarte okno rzucił wesoło:

- Postaram się nie wymiotować w drodze do domu.

Roześmiali się oboje i pomachał jej, wycofując samochód z podjazdu. Potem odjechał, myśląc o niej i Jane, śmiejącej się i rozprawiającej przy obiedzie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W następnym tygodniu Bernie dwukrotnie wracał do Stinson Beach na obiad. Raz Liz zabawiła się w kucharkę, a za drugim razem zabrał je znowu do Sand Dollar.

Przyjechał również w sobotę. Tym razem przywiózł dla Jane nową piłkę plażową i kilka gier, w tym ringo, w które od razu grali na plaży, a także wszystko, co wymyślono do zabawy w piasku. Jane była zachwycona.

Wybrał nawet nowy kostium kąpielowy dla Liz. Był jasnoniebieski, niemalże w kolorze jej oczu. Wyglądała w nim fantastycznie.

- Mój Boże, Bernie... to się musi skończyć.

- Dlaczego? Ten kostium przez cały tydzień można było podziwiać w moim sklepie na złotowłosym manekinie, tak do ciebie podobnym, że po prostu musiałem ci przywieźć tę szmatkę.

Bernie czuł się szczęśliwy. Uwielbiał ją rozpieszczać i tym większą miał ochotę to robić, im bardziej sobie uprzytamniał, że do tej pory nigdy czegoś takiego nie zaznała.

- Nie możesz nas tak psuć!

- Dlaczego?

- Och... - posmutniała na chwilę, lecz zaraz uśmiech wrócił na jej twarz - a co zrobisz, jak za bardzo do tego przywykniemy i będziemy codziennie dobijać się do twoich drzwi w sklepie, błagając o kostiumy kąpielowe, czekoladowe misie, kawior i pasztety?

Bernie roześmiał się ubawiony wizją, którą przed nim roztoczyła.

- No cóż, będę musiał dopilnować, żebyście to wszystko dostały, prawda?

Rozumiał jednak, o co jej chodzi. Zapewne ciężko by im teraz było, gdyby zniknął z ich życia, tylko że on na razie nie tylko nic takiego nie przewidywał, ale wręcz przeciwnie w ogóle sobie tego nie wyobrażał.

W następnym tygodniu znowu był u nich dwukrotnie. Liz załatwiła, aby drugiego wieczoru nastolatka z sąsiedztwa posiedziała z Jane, dzięki czemu pojechali na obiad sami. Oczywiście znowu do Sand Dollar, gdyż poza tą restauracją nie było gdzie pójść, lecz i jedzenie, i atmosfera tego lokalu bardzo im odpowiadały.

- Byłeś naprawdę wspaniałomyślny, że zabierałeś tutaj nas obie - obdarzyła go pełnym ciepła uśmiechem.

- Bo faktycznie nie mogłem się zdecydować, którą z was bardziej lubię, więc na razie idzie bardzo dobrze..

Liz roześmiała się. Doskonale czuła się w jego towarzystwie. Był miłym, bezpośrednim i pogodnym człowiekiem, czego nie omieszkła mu zakomunikować. Sam Pan Bóg raczy wiedzieć, czemu opinia dziewczyny wprawiła go w żartobliwy nastrój.

- Z taką matką jak moja powinienem był już w dzieciństwie nabawić się nerwowych drgawek i co najmniej kilku tików.

- Nie może być aż tak okropna - zaprotestowała Liz z komiczną miną, ale Bernie tylko jęknął.

- Nawet nie masz pojęcia. Poczekaj tylko, niech przyjedzie tu znowu, w co zresztą wątpię, bo w czerwcu okropnie na wszystko wybrzydzała. Dobrze, że chociaż sklep przypadł jej do gustu. Nie masz pojęcia, jaka jest niemożliwa.

Przez ostatnie dwa tygodnie unikał telefonów matki, nie miał bowiem ochoty wyjaśniać, gdzie spędza czas. Jeśli dzwoniła, to musiała wiedzieć, że często go nie ma. „Krażę po barach, mamo.” Już sobie wyobrażał, co by mu na to powiedziała. Oczywiście nie mogło być nic gorszego niż wiadomość, że chodzi z dziewczyną, która się nazywa O'Reilly. Tego jednak nie miał jeszcze zamiaru powiedzieć Liz, gdyż nie chciał jej martwić.

- Jak długo są małżeństwem?

- Trzydzieści osiem lat. Ojciec powinien dostać medal Heart Purple.

Na samą myśl o tym Liz wybuchnęła śmiechem.

- Mówię serio. Nie masz pojęcia, jaki z niej model.

- Chciałabym ją kiedyś poznać.

- O, mój Boże, szsz... - spojrzał przez ramię, jakby oczekiwał, że matka stoi tam z toporem w ręku. - Nie mów takich rzeczy, Liz, to może być niebezpieczne.

Przekomarzając się tak i błaznując przegadali pół nocy.

Po raz pierwszy pocałowali się podczas drugiej wizyty nad morzem i Jane nawet nakryła ich na tym raz czy dwa. Nie posunęli się dalej, gdyż Berniego stresowała obecność Jane, a poza tym na razie przyjemniej było adorować Liz w starym stylu. Na inne rzeczy będzie jeszcze dużo czasu po powrocie do miasta, gdzie Jane nie będzie spała za cienką jak papier ścianą.

Przyjechał w niedzielę, by pomóc Liz przy pakowaniu. Przyjaciele pozwolili jej zostać o dzień dłużej, ale i tak obie były nieszczęśliwe, że muszą wracać do domu. Dla nich to był koniec wakacji już nigdzie nie pojedą w tym roku. Liz nie stać było na żadne wycieczki bez względu na to, czy miałyby jechać z Jane, czy sama.

W drodze powrotnej były w tak ponurym nastroju, że Berniemu zrobiło się ich żal.

- Posłuchajcie, dlaczego nie mieliśmybyśmy wkrótce gdzieś się wybrać? Może do

Carmelu albo nad jezioro Tahoe? Nigdzie jeszcze nie byłem i mogłybyście mi wreszcie wszystko pokazać. W końcu nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy pojechali w oba miejsca.

Jane i Liz wydały okrzyk radości i następnego dnia Bernie poprosił sekretarkę o rezerwację. Załatwiła kwatery prywatne nad Tahoe dla nich trojga. Bernie prosił ją o trzy pokoje i okazało się, że są do wzięcia zarówno na następny weekend, jak i na Święto Pracy.

Gdy jeszcze tego samego wieczoru powiedział im o tym, Liz była wzruszona, a Jane przed pójściem spać ucałowała go z dubeltówki. Kiedy Liz wróciła, by posiedzieć z nim w małym saloniku, czuła się trochę nieswojo. Mieszkanie miało tylko jedną sypialnię, którą zajmowała Jane, ona natomiast sypiała na kanapie w salonie. Było oczywiste, że ich życie seksualne nie ulegnie tu żadnej poprawie.

Wyglądała na zatroskaną i popatrzyła na niego przepaszająco.

- Bernie, nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał, ale obawiam się, że nie możemy pojechać z tobą nad Tahoe.

Wpatrywał się w nią z nieszczęśliwą miną rozczarowanego dziecka.

- Dlaczego?

- Ponieważ to wszystko jest zbyt piękne... Jestem pewna, że to zabrmi idiotycznie, ale nie mogę tego robić Jane. Jeżeli pozwolę ci na takie rzeczy, co pocniemy potem?

- Po czym?

Dobrze jednak wiedział, o co jej chodzi. Wiedział, choć nie chciał się do tego przyznać.

- Po twoim wyjeździe do Nowego Jorku - jej głos był miękki i jedwabisty.

Siedzieli na kanapie i Liz ujęła go za rękę.

- Powinam raczej powiedzieć: „jak się mną już zmęczysz”. Oboje jesteśmy dorośli i teraz wszystko wydaje się nam wspaniałe... ale kto wie, co będzie za miesiąc albo za tydzień czy za rok...

- Chcę, żebyś za mnie wyszła - powiedział to cichym i stanowczym głosem.

Patrzyli sobie w oczy, jedno nie mniej zaskoczone od drugiego. Słowa same wybiegły Berniemu na usta, lecz teraz wiedział z absolutną pewnością, że to właśnie chciał powiedzieć.

- Co... chcesz? Chyba nie mówisz poważnie?

Zerwała się z miejsca i przeszła nerwowo po pokoju.

- Przecież nawet dobrze mnie nie znasz.

- Właśnie że znam. Całe życie zadawałem się z kobietami, co do których już na pierwszej randce wiedziałem, że nie będę miał ochoty na dalsze z nimi spotkania, ale myślałem sobie: do licha, spróbuj, nigdy nic nie wiadomo... Jednak po dwóch, trzech czy

sześciu miesiącach musiałem się poddać i już więcej nie dzwoniłem. Teraz znalazłem ciebie i zakochałem się w tobie w chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem. Jak zobaczyłem się z tobą po raz drugi, wiedziałem, że jesteś dla mnie stworzona, że jesteś najlepszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, i jeżeli będę miał dużo, dużo szczęścia, pozwolisz mi przez resztę życia czyścić sobie buty... Co więc powinienem teraz zrobić? Przez pół roku uprawiać jakieś gierki i udawać, że potrzebuję to wszystko przemyśleć? Tu nie ma nad czym myśleć. Kocham cię i chcę się z tobą ożenić.

Patrzył na nią rozpromieniony, uprzytomniwszy sobie naraz, że przydarzyła mu się właśnie najwspanialsza rzecz na świecie.

- Liz, wyjdiesz za mnie?

Uśmiechała się do niego promiennie i wyglądała teraz młodziej, niż na swe dwadzieścia siedem lat.

- Jesteś pomyłony, wiesz o tym? Jesteś szalony.

Ona również była w nim obłądnie zakochana.

- Nie mogę przecież wyjść za ciebie po trzech tygodniach znajomości. Co ludzie powiedzą? Co powie twoja matka?

Tym razem to magiczne słowo wyrwało wprawdzie jęk z piersi Berniego, lecz nie zdołało zmać jego szczęścia.

- Posłuchaj, dopóki nie nazywasz się Rachel Nussbaum, a panięskie nazwisko twojej matki nie brzmiało Greenberg czy Schwartz, moja matka i tak dostanie ataku serca. A więc jaka to różnica? Na pewno sprawi jej ogromną różnicę, jeżeli powiesz, że poznałeś mnie trzy tygodnie temu.

Zbliżyła się do Berniego, on zaś przyciągnął ją za rękę, sadzając obok siebie na kanapie.

- Kocham cię, Elizabeth O'Reilly, i nic mnie nie obchodzi ani to, czy jesteś powiązana z papieżem, ani to, czy poznałem cię wczoraj. Życie jest za krótkie, aby je trawić na jakichś sztuczkach. Nigdy tego nie robiłem i nie będę robić. Nie marnujmy tego, co mamy.

Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Wiesz co? Zrobimy to jak należy. Zaręczymy się. Teraz mamy pierwszy sierpnia, a więc pobierzemy się koło Bożego Narodzenia, czyli za prawie pięć miesięcy. Jeżeli do tego czasu powiesz mi, że się pomyliłaś, wszystko odwołamy. Jak ci się to podoba?

Już myślał o pierścionku zaręczynowym, który jej kupi. Kamień będzie miał pięć karatów... siedem... osiem... dziesięć... Ile tylko zechce! Wziął ją w objęcia, a ona śmiała się ze łzami w oczach.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że nawet ze mną nie spałeś?

- To faktycznie przeoczenie z mojej strony - skwitował żartobliwie, lecz po chwili poważnie spojrzął jej w oczy. - W zasadzie chciałbym z tobą na ten temat porozmawiać. Czy sądzisz, że mogłabyś znaleźć w najbliższych dniach kogoś do Jane? To nie znaczy, że nie kocham naszej małej Jane już była i jego kocham ją, ale wpadłem na taki grzeszny, niegodziwy i lubieżny pomysł, że mogłabyś zajrzeć do mnie na parę godzin...

- Zobaczę, co się da zrobić.

Promieniała wprost radością. Było to szaleństwo, Bernie był jednak taki wspaniały! I wiedziała, że będzie do końca życia dobry dla niej i dla Jane, a co najważniejsze wiedziała, że go kocha. Ogromnie trudno byłoby jej wyjaśnić, jak to się stało, że zakochała się w nim w ciągu trzech tygodni, lecz czuła, że to jest w porządku. Nie mogła się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Tracy, najlepszej koleżance ze szkoły, swej zmienniczce, która niebawem miała wrócić z rejsu. Zostawiła Liz samotną, a po powrocie zastanie ją zaręczoną z dyrektorem naczelnym Wolffa. Ale bomba!

- Dobrze, dobrze, załatwię opiekunkę.

Bernie zamknął ją w uścisku.

- Czy to znaczy, że jesteśmy zaręczeni?

Promieniał, podobnie jak ona.

- Myślę, że tak.

Liz nadal nie mogła w to uwierzyć. Bernie zmrużywszy oczy, głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Co byś powiedziała na ślub dwudziestego dziewiątego grudnia? To będzie sobota.

Pamiętał z planów, które robili w sklepie.

- Tym sposobem spędzimy Boże Narodzenie z Jane, a na miesiąc miodowy możemy pojechać na Hawaje lub gdzie tylko zechcesz.

Liz była już kompletnie oszołomiona. Gdy wybuchnęła śmiechem, a Bernie pochylił się, by ją pocałować, wszystko nagle nabrało dla nich sensu. To było jak cudowna bajka o spełnionych marzeniach. Doskonale dobrana para wyswatana przy deserze bananowym pod okiem Jane, pilnującej ich jak opiekuńczy anioł stróż. Wtulona w jego ramiona Liz czuła, jak wali mu serce. Oboje wiedzieli z absolutną pewnością, że tak będzie zawsze.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Znalezienie opiekunki zajęło Liz dwa dni. Gdy telefonowała z tą wiadomością do Berniego, czuła, że się czerwieni. Dobrze wiedziała, o co mu chodziło, i z zażenowaniem myślała, że nie będzie to spontaniczne. Jednak przy Jane, śpiącej w jedynej sypialni, nie bardzo mieli inne wyjście. Kobieta miała przyjść o siódmej i zgodziła się zostać do pierwszej.

- Trochę jak w bajce o Kopciuszku, ale dobre i to - powiedziała Liz z uśmiechem.

- Wszystko w porządku. Nie martw się o to.

Bernie miał czek na pięćdziesiąt dolarów, który aż się prosił, by przejść w ręce opiekunki, kiedy Liz poszła ucałować Jane na dobranoc.

- Włóż coś szykownego - poprosił.

- Na przykład pas do pończoch?

Była zdenerwowana jak panna młoda. Bernie zaśmiał się, gdy to usłyszał.

- Brzmi nieźle, ale wrzuc na wierzch jakąś sukienkę. Pójdziemy gdzieś na obiad.

Liz spojrzała zaskoczona. Spodziewała się, że pojedą prosto do niego i załatwią ten „pierwszy raz”. Kojarzyło jej się to niemal z jakimś zabiegiem chirurgicznym.

Pierwszy raz na ogół bywał okropny, toteż z radością przyjęła jego pomysł, by zamiast tego gdzieś wyjść. Poszli do L'Etoile, gdzie Bernie zarezerwował wcześniej stolik na dwie osoby. Kiedy siedzieli, gawędząc jak zwykle Liz czuła, jak opada z niej napięcie. Bernie opowiadał, co dzieje się w sklepie, o planach na jesień, o reklamie, pokazach mody. Rewię strojów wieczorowych na otwarcie sezonu operowego mieli już za sobą. Odniosła wielki sukces, a teraz przygotowywano następne.

Liz była zafascynowana jego pracą. W istocie Bernie stał się rasowym biznesmenem. Działał bezbłędnie, pamiętając o żelaznych prawach ekonomii, co w połączeniu z niebywałym wyczuciem nowych trendów sprawiało, że czegokolwiek się dotknął, przemieniał jak to mówił Paul Berman w złoto.

Ostatnio Berniemu przestało przeszkadzać, że wysłano go do San Francisco. Teraz zakładał, że w najlepszym razie ma przed sobą jeszcze rok w Kalifornii, co pozwoli im pobrać się i cieszyć sobą kilka miesięcy przed przeprowadzką do Nowego Jorku. Potem nie da się dłużej unikać kontaktów między Liz a jego matką. A może będą już w tym czasie oczekiwać dziecka? Musiał też po myśleć o szkole dla Jane.

O tym jednak na razie Liz nic nie mówił. Uprzedził ją tylko, że kiedyś przeprowadzą się do Nowego Jorku, lecz nie chciał, by zbyt wcześnie zawracała sobie głowę szczegółami.

W końcu mieli przed sobą jeszcze rok, a w ogóle należało zacząć od myślenia o ślubie.

- Czy masz zamiar włożyć prawdziwą suknię ślubną?

Bernie rozkoszował się tą myślą. Widział nawet jedną na pokazie mody u Wolffa zaledwie dwa dni temu. Liz wyglądałaby w niej bajecznie.

Uśmiechnęła się zarumieniona:

- Naprawdę mówisz serio?

Przytaknął z całą powagą. Siedzieli na wyściełanej kanapie i Bernie trzymał ją pod stołem za rękę. Uwielbiał dotyk jej nogi. Miała na sobie bardzo ładną białą jedwabną suknię, znakomicie eksponującą opaleniznę. Włosy spięła w wysoki kok, zauważył też, że polakierowała paznokcie u rąk, co rzadko jej się zdarzało.

Sprawiła mu tym radość, ale nic nie powiedział na ten temat, tylko pochylił się i pocałował ją delikatnie w szyję.

- Tak, najpoważniej. No przecież istnieje coś takiego jak przecucie, głos wewnętrzny, który mówi nam, czy postępujemy prawidłowo, czy nie. Wiem też, że jeżeli popełniałem kiedykolwiek błędy, to wtedy gdy nie zaufałem intuicji. Natomiast kiedy jej zawierzyłem, nigdy nie zrobiłem fałszywego kroku.

Doskonale go rozumiała, lecz nie mogła się pozbyć wrażenia, że to dziwne pobierać się tak szybko. Z drugiej strony czuła, że wszystko, co robią, jest słuszne, i że nigdy nie będą tego żałować.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz tak samo pewna jak ja teraz, Liz.

Gdy siedzieli przytuleni do siebie, patrzył na nią tkliwie, a serce Liz wrywało się do niego. Rozkoszował się ciepłem jej uda i odczuwał wewnętrzne drzenie na myśl o czekającym na nich łóżku. Na to jednak był jeszcze czas. Bernie zaplanował cały wieczór w najdrobniejszych szczegółach.

- Wiesz co? Nie do wiary, ale ja również czuję się pewna... tylko po prostu nie mam pojęcia, jak to wszystkim wytłumaczę.

- Myślę, że tak właśnie dzieje się w prawdziwym życiu, Liz. Słyszysz się ciągle o ludziach, którzy przeżyli ze sobą wiele lat, dopóki jedno nagle nie spotkało kogoś i nie poszło z nim do ślubu w ciągu pięciu dni. Pierwsze małżeństwo nie było udane, a drugi związek okazał się jednym cudownym spełnieniem.

- Wiem, zawsze myślałam, że to jest możliwe, nie przypuszczałam tylko, że może się przydarzyć właśnie mnie - uśmiechnęła się rozmarzona.

Zjedli kaczkę z sałatą i suflet, a potem przenieśli się do baru, gdzie zamówili szampana, słuchali muzyki i gawędzili tak, jak to czynili ostatnio od tygodni, dzieląc się

swoimi myślami, pomysłami, na dziejami i marzeniami.

Liz dawno już nie spędziła tak fantastycznego wieczoru. W towarzystwie Bernieego bladło wspomnienie przykrych przeżyć, których doświadczyła w życiu. Śmierć rodziców, koszmar z Chandlerem Scottem i długie samotne lata po urodzeniu Jane, kiedy nie miała nikogo, kto by jej pomógł czy choćby tylko był przy niej. To wszystko należało do przeszłości. Miała wrażenie, że w ciągu minionych lat przygotowywała się po prostu na spotkanie tego najlepszego z mężczyzn. I absolutnie nic więcej się nie liczyło.

Skończyli szampana, Bernie zapłacił rachunek i ruszyli powoli na górę, trzymając się za ręce. Liz zmierzała właśnie do wyjścia, gdy Bernie wziął ją pod rękę i delikatnie skierował do części hotelowej. Nie domyślała się niczego, dopóki nie podeszli do windy i nie ujrzała jego nieśmiałego chłopięcego uśmiechu.

- Chcesz wstąpić na górę na drinka?

Liz wszystko zrozumiała, także i to, dlaczego jadą na górę, chociaż tu nie mieszkają. W całej tej sytuacji było coś romantycznego, a jednocześnie swawolnego. Na wyszeptane przez Berniego pytanie odpowiedziała uśmiechem.

- Jeśli obiecasz, że nic nie powiesz mojej mamie.

Była dopiero dziesiąta i Liz pamiętała, że mają jeszcze trzy godziny. Kiedy winda zatrzymała się na ostatnim piętrze, bez słowa poszła za Berniem do drzwi w przeciwnym końcu korytarza. Wyjął z kieszeni klucz i wpuścił ją do środka.

To był najpiękniejszy apartament, jaki kiedykolwiek widziała na filmie, na jawie czy tylko w marzeniach. Wszystko w bieli i złocie, wykonane z delikatnego jedwabiu, wokoło piękne antyki, nad głowami połyskujący olbrzymi żyrandol. Przyćmione światło, a na stole, obok półmiska z serem i owocami oraz chłodzącej się w srebrnym wiaderku butelki szampana zapalone świece.

Liz zaniemówiła i tylko patrzyła na Berniego z uwielbieniem, był taki troskliwy! I wszystko, co robił, miało klasę.

- Pan mnie zadziwia, panie Fine... Czy wie pan o tym? Pomyślałem, że skoro to jest nasz miesiąc miodowy, wszystko powinno być jak należy.

I było. Nikt nie zorganizowałby tego lepiej. Również drugi pokój tonął w nastrojowym półmroku.

Bernie zarezerwował ten apartament w porze lunchu i zanim pojechał po Liz, zajrzał, by sprawdzić, czy wszystko wygląda tak, jak powinno. Kazał rozesłać pokojówce łóżko.

Teraz leżał na nim piękny różowy peniuar ozdobiony piórami, do tego różowe satynowe pantofle domowe i różowa satynowa koszula nocna.

Liz zauważyła to wszystko, gdy weszła do pokoju, i aż wstrzymała oddech, ujrawszy te piękne rzeczy leżące na pościeli, jakby czekały na jakąś gwiazdę filmową, a nie na mateczkę Liz O'Reilly z Chicago.

Powiedziała mu to, on zaś objął ją i przytulił.

- Naprawdę taka jesteś? Mateczka Liz O'Reilly z Chicago? No cóż, kto by pomyślał?... Ale niebawem będziesz żoneczką Liz Fine z San Francisco.

Obsypał ją namiętnymi pocałunkami, które oddawała z żarem. Odsunawszy peniuar, położył ją delikatnie na łóżku. Po raz pierwszy mieli wreszcie okazję, by zaspokoić głód siebie. Dali się ponieść fali pożądania, tłumionego z tak wielkim samozaparciem przez ostatnie tygodnie.

Ich ubrania, przykryte satynowym peniuaem, leżały po mieszane w beładnej stercie na podłodze, ciała splotły się ze sobą, a usta Liz powoli odnajdywały każdy cal ciała Berniego. Sprawiała, że spełniły się wszystkie jego marzenia. Poraził ją swym pożądaniem, na którego szczyty wzniesli się bez tchu, pragnąc się więcej i więcej, i jeszcze więcej. Potem wyczerpani, z sennymi oczami, leżeli w pół mroku pokoju.

Liz oparła głowę na jego ramieniu, a on bawił się jej długimi jasnymi włosami, które okrywały ją jak aksamitna zasłona.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Wiesz o tym?

- A ty jesteś pięknym mężczyzną, Bernie... wewnątrz i zewnątrz - jej głos stał się naraz ochryply, oczy zapłonęły namiętnością.

Nagle wybuchnęła śmiechem, gdyż odkryła, co schował pod jej poduszką. Był to czarny koronkowy pas do pończoch z czerwoną rozetką. Podniosła go do góry jak trofeum, potem ucałowała ofiarodawcę, przymierzyła prezent i... zaczęli od nowa.

Żadne jeszcze nie spędziło tak wspaniałej nocy. Było już dobrze po pierwszej, gdy zanurzili się w wannie pełnej piany i Bernie delikatnie począł pieścić jej sutki.

- Nigdy stąd nie wyjdziemy, jeżeli znowu zaczniesz od początku - uśmiechnęła się sennie i oparła głowę o wspaniały różowy marmur.

Chciała zadzwonić do opiekunki i uprzedzić, że się spóźnią, lecz Bernie przyznał się, że o wszystko zadbał. Kiedy jej to powiedział, spłonęła rumieńcem:

- Oplaciłeś ją? - zaśmiała się na myśl o jego zaradności.

- Tak.

Wyglądał na zadowolonego z siebie. Liz podziękowała mu pocałunkiem.

- Tak bardzo cię kocham, Bernie Fine.

Uśmiechnął się, pragnąc najbardziej ze wszystkiego na świecie spędzić z nią całą noc.

Wiedział jednak, że to niemożliwe, i teraz żałował, że zaproponował, by pobrali się po Bożym Narodzeniu. Nie mógł sobie wyobrazić tak długiego czekania. Myśl o ślubie przypomniła mu o czymś, o czym zapomniał.

- Gdzie idziesz? - spojrzała na niego ze zdziwieniem widząc, że okryty pianą wychodzi z wanny.

- Zaraz wracam.

Powiodła za nim wzrokiem, gdy odchodził. Miał silne ciało, szerokie ramiona i długie zgrabne nogi. Budził w niej podziw. Kiedy tak na niego patrzyła, ogarnęło ją pożądanie, do bólu targającego jej podbrzuszem. Wyciągnęła się w wannie i z zamkniętymi oczami czekała, aż wróci. Po chwili był z powrotem. Wślizgnął się do wody i na ciele poczuła jego dłoń błędzącą coraz niżej i niżej.

Nie zdążył dać zaciekawionej Liz tego, co przyniósł z pokoju, rozchylił bowiem jej nogi i palcami wyruszył na poszukiwanie. Pieścił ją w zapamiętaniu, spragnionymi ustami odnajdując nabrzmiałe wargi. Kochali się tym razem w wannie, a odgłosy ich miłostego uniesienia odbijały się echem od różowego marmuru łazienki.

- Szz... - szepnęła Liz potem, śmiejąc się - bo nas stąd wyrzucą.

- Wyrzucą albo zaczną sprzedawać bilety.

Od lat Bernie nie czuł się tak dobrze i nie chciał, żeby to się skończyło. Nigdy. Nie znał jeszcze takiej kobiety. Każde z nich nie kochało się już od bardzo, bardzo dawna i teraz niełatwo im było zaspokoić tak wielki głód miłości.

- Aha, przyniosłem ci coś, zanim mnie zaatakowałaś.

- Ja zaatakowałam ciebie?... Ha!

Zerknęła jednak przez ramię w stronę, w którą patrzył Bernie. Być z nim to tak, jak obchodzić codziennie Boże Narodzenie. Zastanawiała się, czym teraz ją zaskoczy: najpierw peniuar, potem pas do pończoch, a teraz... Bernie postawił na brzegu wanny pudełko do butów.

Kiedy je otworzyła, ujrzała parę krzykliwych złotych pantofelków, pokrytych dużymi kryształami górskimi. Zaśmiała się niepewna, czy Bernie jest aby poważny.

- Czy to po Kopciuszku?

Tak naprawdę pantofle były wyjątkowo bez gustu i Liz zastanawiała się, skąd u Berniego taki pomysł, lecz on tylko patrzył w milczeniu, za to ze sztubacką miną.

Czółenka były pooblepiane dużymi sześcianikami szkiełek, na jednym zamocowano nawet wielki kryształ górski oprawiony w złotą obrączkę.

- Jezu!

Nagle zaparło jej dech, gdyż uświadomiła sobie, co Bernie wymyślił.

- O mój Boże!

Stała wyprostowana w wannie i patrzyła na niego.

- Bernie... nie! Nie wolno ci tego robić!

A jednak zrobił do jednej z tandetnych złotych kokardek przypiął starannie brylantowy pierścionek zaręczynowy, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak jeszcze jedno jarmarczne świecełko. Liz w końcu zauważyła i stała teraz z butem w ręku płacząc, podczas gdy Bernie podniósł się bez słowa, by odpiąć prezent. Ręce jej się trzęsły, a łzy płynęły po policzkach, kiedy wkładał jej pierścionek na palec. Kamień miał ponad osiem karatów. Był to prosty czworokątny diament, najpiękniejszy, jaki Bernie kiedykolwiek widział.

- Och, Bernie... - przytuliła się do niego, a on pogłaskał ją po głowie i pocałował.

Potem splukał z niej delikatnie mydło, zaniósł ją do łóżka w drugim pokoju i znowu się kochali. Tym razem delikatniej, niespiesznie, i było to jak cichy śpiew lub wolny subtelny taniec, poruszali się płynnie w upajającym rytmie, aż zabrakło im sił. Wreszcie przytulił ją mocno do siebie i czując, jak drży ze szczęścia, osiągnął szczyt rozkoszy.

Kiedy Liz wróciła do domu, była piąta rano. Wyglądała tak świeżo i nobliwie, jakby spędziła całą noc na radzie pedagogicznej. Trudno by odgadnąć, co robiła.

Zacząła się tłumaczyć opiekunce z tak późnego przyjścia, lecz usłyszała, że nic nie szkodzi, bo wszystko było w porządku, a kobieta i tak się przespala kilka godzin. Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi, Liz zagłębiła się zaś w fotelu w salonie. Spoglądając przez okno na letnią mgłę, z bezgraniczną czułością myślała o mężczyźnie, za którego miała wyjść za mąż, i o tym, jakie miała szczęście, że go znalazła. Wielki brylant błyszczał na jej ręce, w oczach lśniły łzy.

Gdy wsunęła się do łóżka, zadzwoniła jeszcze do Berniego i przez następną godzinę cichutko, tkliwie ze sobą szeptali. Liz już nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez niego.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po pobycie z Jane nad jeziorem Tahoe, gdzie każdy miał oddzielną sypialnię, a Liz często wzdychała, jak by to było wspaniale, gdyby mogli być cały czas razem, Bernie zaczął nalegać, by dobrała sobie u Wolffa suknię na otwarcie sezonu w operze. Mieli miejsca w łoży, ponadto chodziło o najważniejsze wydarzenie towarzyskie w San Francisco. Bernie wiedział, że Liz nie ma na tę okazję żadnej wytwornej kreacji, a chciał, by wyglądała efektownie.

- Równie dobrze możesz już teraz zacząć korzystać z naszego sklepu, kochanie. Musi być w końcu jakiś pożytek z pracy przez siedem dni w tygodniu.

Co prawda nie dostawał niczego za darmo, ale zawsze miał prawo do znacznego rabatu. Najciekawsze było jednak to, że dopiero teraz zaczął doceniać ten przywilej, wiedząc, że może korzystać z niego dla Liz.

Wybrała się więc do sklepu i po przymierzeniu mnóstwa sukien, zdecydowała się na kreację włoskiego projektanta, którą Bernie wiele razy podziwiał.

Była z aksamitu układającego się w miękkie fałdy, w kolorze koniaku, naszywana złotymi paciorkami i drobnymi kamieniami, które wyglądały jak półszlachetne.

Z początku Liz odniosła wrażenie, że suknia jest zbyt wyszukana i jakoś niebezpiecznie przypomina dziwaczne pantofelki, które dostała wraz z pierścieniem zaręczynowym od Berniego, kiedy się jednak w niej ujrzała, zrozumiała, że jest to najwspanialsza kreacja, jaką można sobie wymarzyć. Krojem nawiązywała do stylu epoki renesansu duży dekol, wielkie bufiaste rękawy oraz długa, szeroka spódnica z małym trenem, który można było zaczepić za palec.

Przechadzając się tak wystrojona po obszernej przymierzalni w salonie projektantów, czuła się jak królowa. Zachichotała cichutko, wpatrzona w swe lustrzane odbicie, kiedy nagle spłoszył ją dźwięk otwieranych drzwi i znajomy głos.

- Znalazłaś coś?

Oczy Berniego zrobiły się okrągłe na widok Liz. Widział tę suknię, kiedy została przywieziona z Włoch, i pamiętał, że wywołała niezłe poruszenie wśród projektantów. Była jedną z najdroższych w ich kolekcji, ale patrząc teraz na dziewczynę, wcale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego tym faktem. Był olśniony jej wyglądem, a możliwość skorzystania z rabatu czyniła perspektywę zakupu znacznie przyjemniejszą.

- To kapitalne! Powinien cię w niej zobaczyć projektant.

Paradzie tej towarzyszyła oniemiała z wrażenia ekspedientka. Ucztą dla oczu było oglądać kogoś tak pięknego jak Liz, o tak doskonałych kształtach, w sukni, która wspaniale eksponowała jej atuty złotobrązową karnacją, oczy i figurę.

Bernie zbliżył się, a kiedy zaczął ją całować, wyczuł pod palcami niezrównaną miękkość materiału.

Drzwi przymierzalni dyskretnie zamknęły się za ekspedientką, która wyszła, mrużąc coś w rodzaju: „Poszukajmy jeszcze czegoś... może pantofli, które będą pasowały...” Dobrze wiedziała, jak powinna się znaleźć, zawsze też robiła to zręcznie i delikatnie.

- Naprawdę ci się podoba?

Oczy Liz lśniły jak kamienie rozrzucone po jej sukni, gdy zakręciła się przed nim z wdziękiem, śmiejąc się srebrzyście.

Bernie niemal czuł, jak serce rośnie mu z radości tylko od patrzenia na nią. Z niecierpliwością myślał o dniu, w którym będzie się mógł popisać tą cudowną istotą w operze.

- Jestem zachwycony, została po prostu uszyta dla ciebie, Liz. Czy widziałas jeszcze coś, co ci się podoba?

Zaśmiała się, a rumieniec bardziej uwydatnił jej opaleniznę. Nie chciała wykorzystywać Berniego.

- Lepiej powiem, że nie. Nie zdążyłam dotąd zobaczyć etykietki z ceną tej sukni, ale myślę, że i jej nie powinnam kupić.

Po rodzaju tkaniny domyśliła się, że nie stać jej na takie szaleństwo, lecz już samo przymierzenie tego cuda było dużą frajdą. Jane na pewno byłaby tego samego zdania. Wiedziała, że Bernie pozwoli jej skorzystać z przysługującego mu rabatu, ale i tak... On natomiast przyglądał się Liz z uśmiechem. Była zdumiewającą dziewczyną. Przypomniawszy sobie nagle Isabelle Martin i pojął, jak bardzo się różniły. Pierwszej wszystkiego było mało, druga natomiast niczego nie chciała. Był szczęściarzem.

- Nic pani nie kupuje, panno O'Reilly. Ta suknia i wszystko, co się tu pani tylko spodoba, to prezent od przyszłego męża.

- Bernie... ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem, a potem ruszył do drzwi, objawszy ją jeszcze przez ramię czułym spojrzeniem.

- Idź i dobierz do niej odpowiednie pantofle, kochanie. Jak skończysz, zajrzyj na górę do mojego biura. Pójdziemy później na lunch.

Uśmiechnął się i zniknął, powróciła natomiast ekspedientka z naręczem sukien, które

mogłyby, według niej, zainteresować Liz. Ona jednak stanowczo odmówiła, zgodziła się jeszcze tylko na dobranie pantofli.

Znalazła piękną parę satynowych wieczorowych czółenek koloru brandy, wyszywanych prawie identycznymi kamieniami jak suknia. Doskonale pasowały, toteż przysłała po Berniego z miną zwyciężczyni.

Gdy wyszli ze sklepu, rozprawiała uszczęśliwiona o zakupach, o tym, jak bardzo jest zachwycona suknią i zakłopotana tym, że Bernie tak ją rozpieszcza. Poszli pod rękę do Trader Vic's, gdzie pogrążeni w słodkim lenistwie zjedli lunch, przekomarzając się, zaśmiewając i radując cudownym popołudniem.

Bernie z żalem rozstawał się z nią przed trzecią. Liz musiała odebrać Jane od przyjaciółki. Obu pozostało zaledwie kilka dni wolności, w najbliższy poniedziałek rozpoczynał się bowiem nowy rok szkolny.

Jednakże tym, co najbardziej zaprzętało teraz myśli Liz, była opera. W piątek po południu uczesała się i zrobiła sobie manicure, a o szóstej wślizgnęła się w swoją bajeczną suknię. Zaciągnęła ostrożnie suwak i stała przez chwilę nieruchomo, przyglądając się sobie z niedowierzaniem.

Włosy miała zebrane wysoko i ujęte w grubo plecioną złotą siateczkę, którą znalazła podczas kolejnego najazdu na Wolffa. Spod grubych aksamitnych fałd sukni wyglądały pantofle.

Odezwał się dzwonek i nagle w drzwiach sypialni pojawił się Bernie który sam wyglądał jak zjawisko w białym krawacie i fraku, ze sztywno wykrochmalonym gorsem uszytej bez zarzutu angielskiej koszuli, z brylantowymi spinkami po pradziadku.

- Mój Boże, Liz... - nie mógł powiedzieć nic więcej i tylko długo na nią patrzył, a potem pocałował ostrożnie, uważając na makijaż. - Wyglądasz przepięknie - dodał szeptem, ponieważ Jane, pozostawiona na chwilę sama, stanęła w drzwiach obserwując ich uważnie. - Gotowa?

Odwróciła głowę i spostrzegła córkę. Jane nie sprawiała wrażenia zachwyconej. Z jednej strony cieszyła się, że matka wygląda tak pięknie, ale z drugiej wcale się jej nie podobało, że stoją z Bernieem tak blisko siebie. Frasowała się tym już od podróży nad jezioro Tahoe.

Liz wiedziała, że właściwie powinni powiedzieć małej o swych planach, jednakże trochę się bała. Co będzie, jeśli córka sprzeciwi się ich małżeństwu? Wiedziała, że mała lubi Berniego, lecz sympatia to trochę za mało, poza tym Jane uważała, że Bernie jest bardziej jej przyjacielem niż matki.

- Dobranoc, kochanie - Liz podeszła, by ją pocałować, ale Jane odwróciła się z niechęcią w oczach. Tym razem nie odezwała się ani słowem do Berniego.

Gdy wychodzili z domu, Liz odczuwała lekki niepokój, nic jednak nie powiedziała Bernardowi. Nie chciała, aby cokolwiek zmąciło ten czarowny wieczór.

Najpierw pojechali specjalnie wypożyczonym przez Berniego na tę okazję rolls-royce'em na obiad do Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie natychmiast zostali porwani przez tłum obwieszonych klejnotami kobiet w olśniewających sukniach. Fotoreporterzy szaleli. Liz czuła się całkiem swobodnie w błysku fleszy. Dumna szła pod rękę z Berniem, chwilami przytulając się lekko do jego boku. Wiedziała, że im też robią zdjęcia, jako dyrektor najelegantszego magazynu w mieście Bernie stawał się bowiem znaną postacią. Liz odniosła wrażenie, że nie jest obcy wielu wytwornym kobietom.

Muzeum zostało udekorowane przez miejscowe organizacje społeczne. Wnętrze wypełniały srebrne i złote balony oraz pomalowane sprayem na złoto drzewa. Na stolikach przy każdym miejscu leżał pięknie opakowany prezent woda kolońska dla panów i misterna buteleczka perfum dla pań, oczywiście od Wolffa, co nietrudno było poznać po charakterystycznym opakowaniu.

Gdy wchodzili do wielkiego holu zastawionego stolikami, tłum przycisnął ich do siebie. Liz spojrzała na Berniego z uśmiechem, a on przytrzymał jej rękę. Błysnął flesz, jakiś fotoreporter zrobił im zdjęcie.

- Dobrze się bawisz?

Skinęła głową, choć raczej trudno byłoby tak to określić. Właśnie z trudem żeglowali w okropnym ścisku ludzkich ciał, okrytych znakomitymi toaletami i taką ilością biżuterii, że można byłoby nią zapełnić kilkoro taczek. W atmosferze wyczuwało się podniecenie, widać było, że wszyscy mają świadomość wagi tego niezwykłego wieczoru.

Bernie i Liz zajęli miejsca przy stoliku wspólnie z pewnym małżeństwem z Teksasu, kustoszem muzeum z żoną, ważną klientką Wolffa w towarzystwie piątego męża i panią burmistrz z małżonkiem. Osoby te okazały się interesujące, rozmowa toczyła się zatem wartko i swobodnie. Gdy podano obiad i nalano wino, rozprawiali już o wakacjach, dzieciach i wjazdach, a także usiłowali sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widzieli Placida Domingo. Specjalnie przylatywał do San Francisco by wystąpić tego wieczoru z Renatą Scotto w „Traviacie”. Miała to być uczta duchowa dla prawdziwych miłośników opery, choć zapewne niewielu takich dałoby się znaleźć w tym tłumie, opera w San Francisco była bowiem miejscem mającym większy związek z życiem towarzyskim wyższych sfer i modą niż z prawdziwym umiłowaniem muzyki.

Bernie słyszał to już od miesięcy, ale prawdę mówiąc niewiele go to obchodziło. Czuł się znakomicie i był szczęśliwy, że może spędzić z Liz tak fantastyczny wieczór. Dla niego Placido Domingo i Renata Scotto byli jedynie dodatkową atrakcją, o operze wiedział niewiele.

Kiedy jednak trochę później przecinali podjazd w kształcie podkowy i kierowali się do Opery imienia Pamięci Ofiar Wojennych, Bernie również poddał się podniosłemu nastrojowi. Ujrzeni tłum fotoreporterów robiących zdjęcia każdemu, kto wchodził do gmachu, a kordony i policja trzymały na odległość gapiów, którzy ściągnęli tu, by choć w noc premiery otrzeć się o wielki świat. Bernie poczuł się nagle tak, jakby uczestniczył w uroczystości rozdania nagród Akademii Filmowej, z tą różnicą że ludzie stali z oczami wlepionymi nie w Gregory'ego Pecka czy Kirka Douglasa, a w niego - Bernarda Fina.

To było niezwykle uczucie, gdy osłaniając Liz przed falą ludzi, wprowadzał ją do budynku, a potem po schodach na górę, gdzie znajdowała się ich loża. Bez trudu odszukali swoje miejsca. Bernie rozpoznawał wokół znajome twarze, zwłaszcza kobiet. Wszystkie były klientkami Wolffa. Prawdę mówiąc, odczuwał zadowolenie, że od chwili rozpoczęcia wieczoru miał okazję zobaczyć tyle ich kreacji. Liz była jednak najpiękniejsza w swej wspaniałej renesansowej sukni, z włosami ujętymi w złotą siatkę. Przyłapał się na tym, że najchętniej pocałowałby ją na oczach wszystkich gapiów, wpatrujących się w nich z podziwem.

W chwili gdy gasły światła, ścisnął delikatnie jej dłoń i już przez cały akt trzymali się za ręce. Placido Domingo i Renata Scotto tworzyli niezrównaną parę. To był naprawdę wspaniały wieczór. W antrakcie wyszli za innymi gośćmi do baru, gdzie szampan lał się strumieniami, a fotoreporterzy znów pracowali w pocie czoła.

Bernie wiedział, że od początku wieczoru zrobili Liz co najmniej kilkanaście ujęć, lecz ona zachowywała się tak, jakby ją to wcale nie obchodziło. Wyglądała naturalnie i godnie i czuła się bezpiecznie u jego boku. Wszystko to wydatnie podniosło poziom uczuć opiekuńczych Berniego. Wręczył jej kieliszek szampana, popijali wino na stojąco i rozglądali się z ciekawością. Nagle Liz zaśmiała się cichutko i spojrzała na Berniego:

- Bombowo, nie?

Bernie odpowiedział uśmiechem. Niecodzienna atmosfera, przytłaczająca elegancja, wyszukana etykieta wszystko to było jakby z innego świata, z bardzo odległej epoki.

- To bardzo miły przerywnik w codziennym życiu, prawda, Liz?

Znowu się uśmiechnęła i pokiwała głową. Jutro rano pójdzie jak zwykle na zakupy do Safeway, a w poniedziałek będzie wypisywać kredą na tablicy proste słupki.

- Tak, i wszystko inne wydaje się nierealne, ale myślę, że na tym właśnie polega magia opery.

Odpowiadała mu ranga, jaką nadano temu wydarzeniu w San Francisco, i odczuwał satysfakcję, że w nim uczestniczy, ale najbardziej radowała go świadomość, że może wszystko dzielić z Liz. Obydwoje po raz pierwszy przeżywali taki wieczór i Berniego ogarnęło gorące pragnienie, aby całe ich życie składało się z takich właśnie niepowtarzalnych wrażeń.

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, światła przygasły, by po chwili znów rozbłysnąć na dochodzący z sali widowiskowej dźwięk dzwonka.

- Musimy wracać.

Bernie odstawił kieliszek, tak samo zrobiła Liz, ale okazało się, że należeli do nielicznych wyjątków. Gdy opuszczali w końcu bar, większość gości z łoży pozostała na swoich miejscach, rozmawiając, śmiejąc się i popijając. To również należało do tradycji San Francisco. Bar i ploteczki liczyły się znacznie bardziej niż muzyka. Podczas drugiego aktu łoże były w połowie puste, ta, w której siedzieli także. Za to w barze, dokąd wrócili podczas drugiej przerwy, życie toczyło się pełną parą.

Liz pohamowała ziewnięcie, posyłając Berniemu przepaszające spojrzenie.

- Zmęczona, kochanie?

- Troszkę... tyle wrażeń w jeden wieczór!

Oboje wiedzieli, że to jeszcze nie koniec, potem wybierali się bowiem na kolację w Trader Vic's, gdzie Bernie był stałym gościem, po czym mieli na trochę wpaść na bal do ratusza. Podejrzewał, że do domu wrócą nie wcześniej niż o trzeciej, a może czwartej nad ranem, ale w końcu było to wydarzenie, które rokrocznie rozpoczynało sezon w San Francisco, rozświetlając życie towarzyskie miasta niczym największy brylant w diademie.

Po zakończeniu ostatniego aktu samochód czekał na nich na podjeździe. Usadowiwszy się wygodnie, ruszyli do Trader Vic's. Nawet i ten lokal wydawał się tego wieczoru bardziej okazały. Pili szampana, jedli kawior, zupę bongo bongo i naleśniki z grzybami.

Liz ożywiła się, przeczytawszy wróżbę schowaną w ciasteczku-niespodziance.

- „Będzie cię kochał zawsze tak mocno jak ty jego”. Ależ wspaniała wiadomość posłała Berniemu promienny uśmiech.

Był to niezapomniany wieczór. Do lokalu przybyli także wraz z całym towarzystwem Placido Domingo i Renata Scotto. Usiedli przy długim stole w rogu sali, wzbudzając ogólną sensację. Wielu gości prosiło ich o autografy, co najwyraźniej pochlebiali artystom.

- Dziękuję za piękny wieczór, kochanie.

- To jeszcze nie koniec - pogłaskał jej rękę, w której ścisnęła wróżbę, i nalał jeszcze po kieliszku szampana, choć zaprotestowała chichocząc cichutko.

- Wystarczy jeszcze odrobina, a będziesz mnie musiał stąd wynieść.

- Dam radę.

Objął ją delikatnie ramieniem, wznosząc toast bez słów.

Było po pierwszej, gdy opuścili Trader Vic's i udali się na bal, który na tle wcześniejszych wydarzeń tego wieczoru sprawiał wrażenie imprezy dość banalnej. Liz rozpoznawała wokół twarze z muzeum, opery, baru, Trader Vic's... Panowała swobodna atmosfera i nawet dziennikarze zaczęli się odprężyć, mając już większość potrzebnych zdjęć. Mimo to sfotografowali jeszcze raz Liz i Berniego, krążących z gracją po parkiecie w upojnym walcu, w którym suknia Liz prezentowała się wprost przepięknie.

Właśnie to zdjęcie ukazało się w prasie następnego dnia Liz w ramionach Berniego na balu w ratuszu. Widać było niektóre szczegóły sukni, ale przede wszystkim uśmiechającą się promiennie do Berniego twarz dziewczyny, gdy trzymał ją w ramionach.

- Ty go rzeczywiście lubisz, no nie, mamó?

Jane podparła rączkami brodę. Kiedy następnego ranka czytały razem przy śniadaniu gazetę, Liz cierpiała na koszmarną migrenę. Do domu wróciła o wpół do piątej i próbując usnąć, stwierdziła, że cały pokój wiruje. Uświadomiła sobie, że tego wieczoru wypili co najmniej cztery lub pięć butelek szampana. Była to najcudowniejsza noc w jej życiu, lecz teraz sama myśl o musującym winie przyprawiała ją o mdłości, tak że zupełnie nie miała siły na sprzeczkę z córką.

- To bardzo miły człowiek i ogromnie cię lubi, Jane.

Wydawało jej się, że nie mogła powiedzieć nic sprytniejszego, a zresztą nie była teraz w stanie niczego innego wymyślić.

- Ja też go lubię.

Jej oczy mówiły jednak, że nie jest tego tak pewna jak kiedyś. W ciągu lata wszystko się skomplikowało i Jane instynktownie wyczuwała, że Liz i Bernie bardzo się do siebie zbliżyli.

- Dlaczego tak często gdzieś z nim wychodzisz?

Liz, patrząc w milczeniu na córkę znad filiżanki kawy, poczuła, że ogarnia ją wojowniczy nastrój.

- Lubię go.

Tam do licha! Postanowiła, że powie.

- A tak naprawdę kocham.

Kobieta i dziewczynka patrzyły na siebie ponad stołem. Powiedziała córce to, o czym Jane wiedziała, lecz po raz pierwszy usłyszała słowa, które wcale się jej nie podobały.

- Kocham go.

Głos Liz zadrżał, czego nie mogła sobie darować.

- A więc... więc co?

Jane zerwała się od stołu, ale wzrok matki zawrócił ją na miejsce.

- Co w tym złego?

- Kto powiedział, że jest w tym coś złego?

- Ty swoim zachowaniem. Ciebie Bernie też kocha, wiesz o tym.

- Tak? A skąd wiesz?

Jane miała teraz łzy w oczach, a Liz pulsowało w głowie.

- Wiem, bo mi powiedział.

Wstała i podeszła powoli do małej, zastanawiając się, ile powinna jej powiedzieć, choć kusiło ją, by wyjaśnić wszystko. I tak w końcu będzie musiała, może więc lepiej zrobić to wcześniej? Usiadła na kanapie i pociągnęła córkę na kolana. Drobne ciało było sztywne, lecz Liz nie walczyła z nią.

- Chce się z nami ożenić.

Jej głos zabrzmiał miękko w cichym pokoju i Jane nie była w stanie powstrzymać łez. Schowała twarzyczkę i tuląc się do matki, szlochała. Liz też miała łzy w oczach. Przytuliła dziewczynkę, która ciągle jak w dniu swych narodzin była dla niej najdroższą kruszyną.

- Kocham go, maleńka...

- Dlaczego?... To znaczy dlaczego musimy wyjść za niego? Przecież było nam we dwójkę bardzo dobrze.

- Naprawdę? Czy nigdy nie chciałaś, żebyśmy miały tatusia?

Łkanie ustało, lecz tylko na chwilę.

- Czasami. Ale dawałyśmy sobie radę bez niego.

Jane wciąż widziała złudny obraz nigdy nie widzianego ojca, „przystojnego aktora”, który zmarł, gdy była niemowlęciem.

- A może będzie nam lepiej z tatą? Nie myślałaś nigdy o tym?

Jane, usadowiona w ramionach Liz, pociągnęła nosem.

- Będziesz musiała spać w jego łóżku i nie będę mogła przychodzić do ciebie w sobotę i niedzielę rano.

- Oczywiście, że będziesz mogła.

Obie jednak wiedziały, że wiele się zmieni. Pod pewnymi względami było to smutne,

choć z drugiej strony radosne.

- Pomyśl o tych wszystkich przyjemnych rzeczach, które możemy z nim robić: wyjeżdżać nad morze, na przejażdżki samochodem, żeglować i pomyśl, jaki on jest miły, kochanie.

Jane pokiwała głową. Nie mogła temu zaprzeczyć. Była zbyt uczciwa, aby pozwolić sobie na oczernianie Berniego.

- Myślę, że go chyba lubię... nawet z tą brodą... - uśmiechnęła się do matki przez łzy, a potem spytała o to, co najbardziej chciała wiedzieć: - Czy nadal będziesz mnie kochać, jak będziesz miała jego?

- Zawsze.

Łzy popłynęły Liz po policzkach i przytuliła córkę.

- Zawsze, zawsze i zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Liz i Jane zaczęły kupować wszystkie żurnale ze strojami ślubnymi. Gdy w końcu udały się razem do Wolffa, by wybrać suknie na ślub, Jane zdążyła się już nie tylko pogodzić z tym faktem, ale potrafiła czerpać z niego radość.

Spędziły całą godzinę w stoisku z odzieżą dziecięcą w poszukiwaniu odpowiedniej sukienki dla Jane, aż w końcu znalazły. Była z białego aksamitu, z różową satynową szarfą i pączkiem różyczki w tym samym kolorze pod szyją, dokładnie taka, o jakiej marzyła Jane. Sukcesem zakończyły się również poszukiwania sukni dla Liz.

Potem Bernie zabrał je na lunch do Saint Francis. Już następnego tygodnia wieści na ten temat doszły do Nowego Jorku do Bermana. Nowiny szybko się rozchodziły w gronie handlowców, zwłaszcza że Bernie był u Wolffa ważną figurą. Zaciekawiony i uradowany Berman zadzwonił do niego.

- Trzymasz coś przede mną w tajemnicy, co?

W jego głosie była wesołość i Bernie poczuł się nieco zakłopotany.

- Niezupełnie...

- Słyszałem, że Kupidyn ustrzelił kogoś na Zachodnim Wybrzeżu. Plotka to czy prawda?

Berman cieszył się szczęściem swego wieloletniego przyjaciela i dobrze mu życzył. Kimkolwiek była jego przyszła żona, nie miał wątpliwości, że Bernie dokonał mądrego wyboru. Miał nadzieję, że ją pozna.

- To prawda, ale chciałem powiedzieć ci o tym osobiście, Paul.

- A więc mów. Kto to taki? Wiem o niej tylko tyle, że kupiła na czwartym piętrze suknię ślubną - zaśmiał się Berman.

Żyli w małym świątku, w którym niczego nie dało się ukryć.

- Ma na imię Liz i jest wychowawczynią drugiej klasy. Pochodzi z Chicago, skąd przeniosła się na północny zachód, ma dwadzieścia siedem lat i zachwycającą pięcioletnią dziewczyneczkę o imieniu Jane. A pobieramy się zaraz po Bożym Narodzeniu.

- To brzmi bardzo obiecująco. Jak się nazywa?

- O'Reilly.

Paul ryknął śmiechem. Spotkał się kilka razy z panią Fine.

- Co na to twoja matka?

Bernie również się roześmiał.

- Jeszcze jej nie powiedziałem.

- Zawiadom nas, kiedy to zrobisz. Powinniśmy usłyszeć wielki grzmot nad naszymi głowami czy może ostatnio trochę zmiękła?

- Nie bardzo.

Bermana nie opuszczał świetny humor.

- No cóż, życzę ci wiele szczęścia. Czy zobaczę Liz, kiedy przyjedziesz na Wschód w przyszłym miesiącu?

Bernie musiał jechać do Nowego Jorku, a później do Europy, Liz jednak nie planowała wspólnej podróży. Musiała chodzić do pracy i opiekować się Jane, a poza tym szukali domu do wynajęcia na przyszły rok. Nie było sensu go kupować, skoro niebawem wracali do Nowego Jorku.

- Jest zajęta tutaj, ale będziemy zachwyceni, widząc cię na ślubie.

Zamówili już zaproszenia, oczywiście u Wolffa, ślub miał być jednak skromny, najwyżej na pięćdziesiąt do sześćdziesięciu osób. Zamierzali wydać gdzieś zwykły lunch, po nim zaś pojechać na Hawaje.

Trący, szkolna koleżanka Liz, obiecała już, że podczas ich nieobecności zostanie z Jane w nowym domu, co wydawało się doskonałym rozwiązaniem.

- Kiedy to będzie?

Gdy usłyszał o terminie, dodał:

- Postaram się przyjechać. Podejrzewam, że teraz nie będziesz się aż tak spieszył do Nowego Jorku.

Na te słowa serce w Berniem zamarło.

- Niezupełnie. Właśnie już teraz zamierzam w Nowym Jorku rozejrzeć się za szkołą dla Jane, a Liz poszuka jej ze mną na wiosnę.

Chciał, by Berman zrozumiał, że tym razem dłużej go tu nie zatrzyma, a ponieważ z drugiej strony nie dochodził żaden dźwięk, zmarszczył brwi.

- Chcemy, żeby podjęła pracę od przyszłego września.

- Dobrze... No cóż, zobaczymy się za parę tygodni.

Po rozmowie Bernie długo siedział w zamyśleniu, wieczorem zaś powiedział o wszystkim Liz. Był zmartwiony.

- Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę im trzymać się tu przez trzy lata jak kiedyś w Chicago.

- Nie możesz z nimi porozmawiać, jak pojedziesz na Wschód?

- Taki mam zamiar.

Kiedy jednak podjął ten temat podczas pobytu w Nowym Jorku, Paul Berman nie podał żadnej wiążącej daty powrotu.

- Jesteś tam zaledwie kilka miesięcy. Musisz postawić sklep w San Francisco na nogi Bernardzie. Taką mieliśmy umowę.

- Sklep idzie doskonale, a ja tam jestem już osiem miesięcy.

- Ale sklep jest otwarty od niecałych pięciu. Zostań tam jeszcze jeden rok. Wiesz, jak bardzo cię potrzebujemy. Od tego, co teraz zrobisz, będzie zależała przez wiele lat kondycja tej filii, a jesteś przecież naszym najlepszym fachowcem.

- Rok to strasznie długo.

Dla Berniego znaczyło tyle co całe życie.

- Wrócimy do tego za sześć miesięcy.

Berman wyraźnie starał się go zbyć i Bernie opuścił tego wieczoru sklep mocno przygnębiony.

Nie był to dobry nastrój przed spotkaniem z rodzicami. Umówił się z nimi w La Côte Basque, wyjaśniając, że nie ma czasu, by jechać do Scarsdale. Wiedział, jak bardzo matka pragnęła go zobaczyć. Kupił jej tego popołudnia śliczną beżową torebkę z jaszczurczej skóry z zatraskiem z kamienia zwanego „tygrysim okiem”. Był to najnowszy model od Gucciego. Torebka bardziej przypominała dzieło sztuki niż przedmiot użytkowy i Bernie miał nadzieję, że spodoba się matce.

Z ciężkim sercem szedł z hotelu do restauracji. Był to jeden z tych pięknych październikowych wieczorów, kiedy przepiękna pogoda, jaka w San Francisco panuje przez cały rok, utrzymuje się tu całe dwie minuty. I może dlatego wydaje się zawsze czymś nadzwyczajnym.

Miasto tętniło życiem. Przemykały auta, trąbiły klaksony i nawet niebo było jakby jaśniejsze, gdy elegancko ubrane kobiety przebiegały z taksówek do restauracji lub w przepięknych kostiumach i olśniewających płaszczach spieszyły limuzynami do teatru, na koncert czy na wytworny obiad. Oto za czym Bernie tęsknił przez minione osiem miesięcy. Chciałby, żeby była z nim Liz, i obiecał sobie, że następnym razem musi ją tu przywieźć. Przy odrobinie szczęścia może uda mu się zaplanować wiosenną delegację w czasie szkolnych ferii wielkanocnych.

Przeszedł szybko przez obrotowe drzwi w La Côte Basque, z radością chłonąc elitarną atmosferę swego ulubionego lokalu. Nawet freski na ścianach bardziej mu się podobały niż kiedyś. Światło było przyćmione, a kobiety, w czarnych sukniach i pięknej biżuterii, siedziały rzędem na wyściełanych kanapach, przyglądając się przechodzącym i gawędząc z

mężczyznami. Panowie ci, na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniający w swych solidnych szarych garniturach, w jakiś nieuchwytny sposób roztaczali wokół siebie aureę pieniędzy i władzy.

Rozejrzał się wokoło i zwrócił do szefa sali. Rodzice już byli; siedzieli przy czteroosobowym stoliku w głębi sali. Gdy do nich podszedł, matka rzuciła się do niego z udręczonym wyrazem twarzy i chwyciła go za szyję, jakby tonęła. Sposób, w jaki się z nim witała, wprawiał go zawsze w straszne zakłopotanie. Miał sobie za złe, że jej widok budzi w nim zaledwie dość umiarkowaną radość.

- Cześć, mamó.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia po ośmiu miesiącach? Tylko „cześć, mamó”?

Patrzyła zszokowana, a potem wyrzuciła męża z jego krzesła, by mieć syna koło siebie. Bernie miał wrażenie, że wszyscy na sali słuchają, jak matka obsypuje go wyrzutami, że wcale, ale to wcale nie ma serca.

- To restauracja, mamó. Nie możesz tu robić scen.

- I ty nazywasz to sceną? Nie widzisz matki od ośmiu miesięcy, ledwo mówisz jej cześć i to jest dla ciebie scena?

Miał ochotę wczłgać się pod stół. Słyszeli ją wszyscy na odległość pięćdziesięciu stóp.

- Widziałem cię w czerwcu - umyślnie mówił cicho, wiedząc, że jakkolwiek spór pogorszy tylko sytuację.

- Ale w San Francisco!

- To też się liczy.

- Ale nie wtedy, gdy jesteś tak zajęty, że nie możesz się ze mną zobaczyć.

Spotkali się w okresie, kiedy otwierano sklep, lecz mimo to udało mu się spędzić z nimi trochę czasu, choć matka wyraźnie nie miała ochoty tego pamiętać.

- Świetnie wyglądasz.

Zdecydowanie nadszedł czas, by zmienić temat. Ojciec zamawiał dla siebie burbon z lodem i Rób Roya dla matki, a Bernie poprosił o kir.

- Co to za napój? - spojrzała podejrzliwie.

- Dam ci spróbować, jest bardzo łagodny. Wyglądasz prześlicznie, mamó - zdecydował się na jeszcze jedno podejście.

Żałował, że rozmowy toczą się zwykle głównie między nim i matką. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał poważną rozmowę z ojcem. Był nawet zdziwiony, że ojciec nie zabrał ze

sobą do Côte Basque czasopism medycznych.

Przyniesiono im drinki. Bernie upił łyk kiru i podał matce, ale odmówiła. Zastanawiał się, czy powiedzieć jej o Liz przed, czy po posiłku. Jeżeli powie po obiedzie, matka będzie go oskarżała, że był wobec niej przez cały wieczór nieuczciwy, ponieważ zwlekał z tak ważną wiadomością. Jeżeli zaś poinformuje ją przed obiadem, prawdopodobnie urządzi mu scenę i reszta wieczoru będzie nieudana. Po obiedzie było, pod pewnymi względami, bezpieczniej, przed uczciwiej. Upił duży łyk kiru i postanowił powiedzieć przed.

- Mam dla ciebie dobre wieści, mamo.

Słyszał, że głos mu drży, i spostrzegł, jak matka zawiesiła na nim wzrok, przeczuwając, że to coś ważnego.

- Wracasz do Nowego Jorku?

Jej słowa odczuł jak nóż wbity w serce.

- Jeszcze nie, ale kiedyś wrócę. Nie, to coś znacznie lepszego.

- Dostałeś awans?

Bernie wstrzymał oddech. Musi skończyć tę zgaduj-zgadulę.

- Żenię się.

Zastygła w bezruchu, jakby ktoś odłączył jej źródło zasilania. Patrzyła na niego bez słowa. Minęło chyba z pięć minut, zanim znowu się odezwała. Ojciec, jak zwykle, milczał.

- Czy zechciałbyś to wyjaśnić?

Czuł się tak, jakby im właśnie powiedział, że go mają zamknąć za handel narkotykami, i gdzieś w głębi serca doznał uczucia przykrości.

- To cudowna dziewczyna, mamo. Na pewno ją pokochasz. Ma dwadzieścia siedem lat i jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałas. Uczy w szkole.

Był to dowód, że jest przynajmniej solidna, a więc nie wykonuje tańca brzucha, nie jest kelnerką w nocnym lokalu czy też striptizerką.

- I ma córeczkę Jane.

- Jest rozwódką?

- Tak, Jane ma pięć lat.

Matka szukała jego wzroku. Chciała wiedzieć, o co naprawdę chodzi.

- Jak długo ją znasz?

- Od kiedy przeniosłem się do San Francisco - skłamał, czując się przy tym tak jak dziesięcioletek.

Zaczął szperać w poszukiwaniu zdjęć, które przyniósł ze sobą. Były to fotografie Liz i Jane ze Stinson Beach, na których wyglądały uroczo. Wręczył je matce, a ona po obejrzeniu,

przekazała ojcu. Spodobała mu się ładna młoda kobieta i mała dziewczynka. Ruth Fine patrzyła zaś na syna badawczo, próbując odkryć prawdę.

- Dlaczego nie przedstawiłeś nam jej w czerwcu?

Znaczyło to oczywiście, że Liz jest kulawa, ma rozszczepione podniebienie albo nadal żyje z mężem.

- Nie znałem jej jeszcze.

- Chcesz powiedzieć, że znasz ją kilka tygodni i już się żenisz?

W tej sytuacji jakiegokolwiek wyjaśnienia straciły sens. Potem postanowiła go dobić i przeszła wprost do sedna sprawy, co w gruncie rzeczy wychodziło na to samo.

- Czy ona jest Żydówką?

- Nie.

Pomyślał, że matka zamierza zemdleć, i patrząc na nią, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Nie patrz tak, na miłość boską. Wiesz dobrze, że nie wszyscy są Żydami.

- Ale jest ich wystarczająco dużo, by można sobie znaleźć odpowiednią żonę. Jakiego jest wyznania?

Nie miało to oczywiście znaczenia, lecz Ruth po prostu się torturowała. Bernie postanowił, że najlepiej mieć to od razu za sobą.

- Jest katoliczką, nazywa się O'Reilly.

- O Boże!

Zamknęła oczy i osunęła się na krzesło. Bernie przez chwilę myślał, że faktycznie zemdlą. W nagłym przypływie strachu spojrzął na ojca, który spokojnie machnął ręką, co znaczyło, że to nic takiego. W chwilę później Ruth otworzyła oczy i popatrzyła na męża.

- Słyszałeś, co on powiedział? Czy wiesz, co on robi? Zabija mnie. Czy go to obchodzi? Nie, ani trochę.

Rozpląkała się, robiąc niezłe przedstawienie z otwieraniem torebki, wyjmowaniem chusteczki i przykładaniem jej do oczu, co oczywiście zwróciło uwagę ludzi przy sąsiednim stoliku. Kelner stał nad nimi niepewny, czy aby zamówią obiad.

- Myślę, że powinniśmy zamówić - stwierdził spokojnie Bernie, a matka rzuciła sucho:

- Ty... ty możesz jeść, ale jeśli chodzi o mnie, to zaraz dostanę ataku serca.

- Zamów zupę - zaproponował mąż.

- Uduszę się nią.

Bernie sam miał ochotę ją udusić.

- To wspinała dziewczyna, mamó, pokochasz ją.

- Już się zdecydowałeś? - pokiwała głową. - Kiedy ślub?

- Dwudziestego dziewiątego grudnia.

Celowo nie powiedział „po Bożym Narodzeniu”, lecz matka i tak zaczęła na nowo płakać.

- Wszystko zaplanowane, wszystko ustalone: data, dziewczyna... Nikt mi nic nie mówi. Kiedy to wszystko postanowiłeś? Czy dlatego pojechałeś do Kalifornii?

Pytaniom nie było końca. Zapowiadał się bardzo długi wieczór.

- Poznałem ją, gdy się tam przeprowadziłem.

- Jak? Kto cię jej przedstawił? Kto mi to zrobił? - znowu osuszała oczy.

W tym czasie podano zupę.

- Poznałem ją dzięki sklepowi.

- Jak? Na ruchomych schodach?

- Na miłość boską, mam, przestań!

Walnął w stół aż matka podskoczyła, podobnie jak goście przy sąsiednich stolikach.

- Żenię się i kropka. Mam trzydzieści pięć lat, żenię się ze wspaniałą kobietą i prawdę mówiąc, gównem by mnie obchodziło, gdyby była nawet buddystką. To dobra kobieta, dobry człowiek, dobra matka, i mnie to wystarczy.

Rzucił się zawzięcie na zupę, a matka patrzyła na niego uważnie.

- Czy ona jest w ciąży?

- Nie.

- To dlaczego musicie się tak szybko pobierać? Poczekajcie trochę.

- Czekałem trzydzieści pięć lat, wystarczająco długo.

Westchnęła i popatrzyła na niego ponuro.

- Poznałeś jej rodziców?

- Nie, oboje nie żyją.

Przez chwilę Ruth zrobiło się niemal żal nieznajomej, lecz nigdy nie przyznałaby się do tego Berniemu. Siedziała więc i w milczeniu cierpiała. Dopiero przy kawie Bernie przypomniał sobie o prezencie. Podał go matce przez stół, ale pokręciła głową, odmawiając przyjęcia.

- Nie jest to wieczór, który chciałabym zapamiętać.

- Mimo wszystko weź ją, będzie ci się podobała.

Bernie miał ochotę rzucić pakunkiem w swą rodzicielkę. W końcu niechętnie wzięła pudełko i położyła obok siebie, jakby to była bomba, która ma wybuchnąć w ciągu najbliższej godziny.

- Nie rozumiem, jak możesz to robić. Bo to jest najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Poczuł się nagle bardzo przygnębiony na myśl o tym, jak trudna jest jego matka. O ileż byłoby prościej, gdyby cieszyła się razem z nim i złożyła mu gratulacje. Westchnął i upiwszy łyk kawy oparł się wygodniej na kanapie.

- Rozumiem, że nie chcesz przyjechać na ślub.

Znowu zaczęła płakać, przykładając tym razem do oczu zamiast chustki, serwetkę. Popatrzyła na męża, jakby Berniego wcale tam nie było.

- Nawet nie chce, żebyśmy byli na ślubie.

Szlochała coraz głośniejsze, a Berniemu wydawało się, że jeszcze nigdy nie miał tak wszystkiego dość.

- Mamo, wcale tego nie powiedziałem. Założyłem tylko...

- Niczego nie zakładaj! - rzuciła sucho, doszedłszy na chwilę do siebie, by zaraz powrócić do odgrywania wobec męża roli skrzywdzonej. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Lou poklepał ją po ręce i spojrzał na syna.

- To dla niej trudne, ale w końcu przywyknie.

- A jak ty, tato?

Bernie spojrzał wprost na niego.

- Czy według ciebie wszystko jest w porządku?

Może to było irracjonalne, lecz chciał mieć w pewnym sensie błogosławieństwo ojca.

- To cudowna dziewczyna. Mam nadzieję, że jesteś z nią szczęśliwy - uśmiechnął się do niego ojciec i znowu poklepał żonę po ręce. - Myślę, że zabiorę teraz matkę do domu. Miała ciężki wieczór.

Ruth zmierzyła ich wściekłym spojrzeniem i zaczęła odpakowywać paczkę wręczoną jej przez Berniego. Po chwili pudełko było otwarte, a torebka wyjęta z bibułki.

- Jest bardzo ładna.

Ruth wyraźnie brakowało entuzjazmu. Patrzyła na syna, usiłując dać mu do zrozumienia, jak wielką krzywdę moralną jej wyrządził. Gdyby mogła go o coś oskarżyć, na pewno by to zrobiła.

- Nigdy nie noszę beżu.

„Z wyjątkiem każdego innego dnia” Bernie nie wytknął jej tego. Wiedział, że przy następnym spotkaniu matka będzie miała przy sobie właśnie tę torebkę.

- Przykro mi, myślałem, że będzie ci się podobała.

Pokiwała głową, jakby chciała go udobruchać. Bernie nalegał, że sam zapłaci

rachunek. Gdy wychodzili z restauracji, złapała go za rękę.

- Kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku?

- Nie wcześniej jak na wiosnę. Jutro wyjeżdżam do Europy i prosto z Paryża lecę do San Francisco.

Miał do niej żal za przedstawienie, jakie dała w lokalu, i nie był w stanie wykrzesać z siebie cieplejszych uczuć.

- Nie możesz zatrzymać się na jedną noc w Nowym Jorku? - wyglądała na zdruzgotaną.

- Nie mam czasu, muszę być z powrotem w sklepie na ważnym spotkaniu. Zobaczymy się na ślubie, jeśli przyjdziecie.

W pierwszej chwili nic nie odpowiedziała i spojrzała na niego dopiero, gdy już wchodziła w obrotowe drzwi.

- Chciałabym, żebyś przyjechał do domu na Święto Dziękczynienia. To będzie po raz ostatni.

Z tymi słowami weszła w drzwi, by po chwili wyłonić się na ulicy. Stała i czekała na niego.

- Nie idę do więzienia, mamę, tylko się żenię, więc nic nie jest po raz ostatni. Mam nadzieję, że w przyszłym roku będę znowu mieszkać w Nowym Jorku i będziemy mogli wszyscy razem obchodzić Święto Dziękczynienia.

- Ty i ta dziewczyna? Powiedz jeszcze raz, jak ma na imię? - patrzyła na niego pośpiesznie z miną osoby kompletnie zagubionej, choć Bernie był pewien, że potrafiłaby wyrecytować każdy szczegół z tego, co mówił o „tej dziewczynie”, i prawdopodobnie równie dokładnie opisać zdjęcia.

- Ma na imię Liz i będzie moją żoną. Postaraj się to zapamiętać.

Pocałował ją i przywołał taksówkę. Nawet o sekundę nie chciał przedłużać sceny pożegnania. Rodzice musieli podjechać do swego samochodu, który zaparkowali obok biura ojca.

- Nie przyjedziesz na Święto Dziękczynienia? - przy wsiadaniu do taksówki zaczęła płakać od nowa.

Pokręcił głową i wręcz wepchnął ją do środka.

- Nie mogę. Porozmawiamy, jak wrócę z Paryża.

- Muszę z tobą pomówić o ślubie.

Wychylała się przez okno i kierowca zaczął już coś burczeć pod nosem.

- Nie ma o czym. Będzie dwudziestego dziewiątego grudnia w Świątyni Emanuela, a

przyjęcie w ulubionym hoteliku Liz w Sausalito.

Matka zapewne spytałaby go jeszcze, czy Liz jest hippiską, ale nie zdążyła, gdyż Lou podał kierowcy adres swego biura.

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Idź do sklepu i wybierz coś, co ci się będzie podobało. Resztą już ja się zajmę.

Nagle matka uświadomiła sobie, co Bernie powiedział. Biorą ślub w synagodze.

- Ona jest skłonna wziąć ślub w synagodze? - wyglądała na zaskoczoną.

Nie sądziła, że katolicy robią takie rzeczy, a poza tym Liz była rozwiedziona. Może ją ekskomunikowano lub coś w tym rodzaju.

- Tak, jest skłonna wziąć ślub w świątyni. Polubisz ją, mamo.

Dotknął jej ręki, a ona uśmiechnęła się do niego, choć oczy miała nadal wilgotne.

- Mazel tow! - z tymi słowami zniknęła we wnętrzu taksówki, która odjechała warcząc silnikiem.

Bernie wydał głębokie westchnienie ulgi miał to już za sobą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Święto Dziękczynienia spędzili w domu Liz z Jane i przyjaciółką Liz, Trący.

Trący była miłą kobietą niewiele po czterdziestce. Jej dzieci dorosły i powyjeżdżały jedno było w Yale i nie wybierało się do domu na święta, a zamężna córka mieszkała w Filadelfii. Mąż Trący zmarł czternaście lat wcześniej, ona zaś należała do silnych, pogodnych ludzi, w których nieszczęścia uderzają często i mocno, a którym mimo to udaje się zwalczyć depresję. Hodowała rośliny, koty, złotego, labradora i uwielbiała gotować. Miała maleńkie mieszkanko w Sausalito.

Zaprzyjaźniły się, gdy Liz zaczęła uczyć w szkole. W tych pierwszych trudnych latach, kiedy Elizabeth była sama z maleńkim dzieckiem i borykała się z kłopotami finansowymi. Trący często pomagała jej przy Jane. Czasami też zostawała z małą, by Liz za uciulane parę dolarów mogła pójść do kina.

Teraz nikt nie cieszył się bardziej od niej nagłym szczęściem przyjaciółki. Zgodziła się pełnić na ślubie rolę pierwszej druhny.

Również Bernie, nawet ku swemu zaskoczeniu, bardzo ją od razu polubił. Wysoka, szczupła Trący pochodziła ze stanu Waszyngton i nigdy nie była w Nowym Jorku.

Była serdeczną, praktyczną osobą o znacznie mniej skomplikowanej osobowości niż Bernie, a jednak uważała, że jest najlepszym darem, jakim los mógł obdarować Liz. Według niej był dla Liz idealny, tak jak zresztą ongiś jej mąż dla niej. Kiedy jeszcze żył, byli jak dwoje ludzi wyrzeźbionych z tego samego kawałka drewna, jak dwie połówki jednej całości stworzone po to, by połączyć się i być zawsze razem. Już nigdy więcej nie spotkała kogoś takiego jak on, a właściwie dawno przestała szukać. Zadowolona była ze swego prostego życia w Sausalito, miała kilkoro oddanych przyjaciół i dzieci, które uczyła, i to jej w zupełności wystarczało. Poza tym oszczędzała pieniądze, by pojechać do Filadelfii i zobaczyć wnuka.

- Czy nie możemy jej pomóc, Liz? - spytał Bernie.

Krępowало go to, że jeździ drogim samochodem, kupuje kosztowne ubrania, daje Liz pierścioneł z ośmiokaratowym brylantem, a Jane na urodziny antyczną lalkę za czterysta dolarów, podczas gdy Trący ciuła dosłownie grosz do grosza, by spotkać się z rodziną w Filadelfii i ujrzeć nigdy nie widzianego wnuka. To nie jest w porządku.

- Nie sądzę, żeby zechciała wziąć coś od nas.

Liz nadal nie mogła wprost uwierzyć, że nie musi się już o nic martwić. Była co

prawda nieugięta i nie chciała przed ślubem wziąć od Berniego żadnych pieniędzy, lecz on i tak kupował jej bez przerwy zbyt kosztowne prezenty.

- Nie weźmie nawet pożyczki?

W końcu Bernie, nie mogąc dłużej znieść tej sytuacji, kiedy skończyli sprzątać ze stołu po świątecznym obiedzie, odważył się w końcu podjąć temat. Była to chwila spokoju, ponieważ Liz poszła właśnie ułożyć Jane do łóżka. Gdy usiedli przy kominku, spojrzał na Trący.

- Nie wiem, jak cię o to poprosić Trący.

W pewnym sensie było to nawet trudniejsze niż boje z matką, gdyż wiedział, jak Trący jest dumna. Za bardzo ją jednak lubił, by chociaż nie spróbować.

- Chcesz pójść ze mną do łóżka, Bernie? Będę zachwycona.

Miała wspaniałe poczucie humoru i do tej pory zachowała twarz młodej dziewczyny, o świeżej, jasnej cerze i niebieskich oczach, które nigdy się nie starzeją, jak u nianiek i niektórych Angielek. I tak jak one Trący miała zawsze brud pod paznokciami od pracy w ogródku. Często przynosiła im róże, sałatę, marchew lub pomidory.

- Prawdę mówiąc, myślałem o czymś całkiem innym.

Wziął głęboki oddech i przeszedł do sedna sprawy. W chwilę później Trący ze łzami w oczach wyciągnęła bez słowa rękę i mocno ujęła jego dłoń. Miała silne, chłodne ręce, tak niegdyś niezastąpione przy dwójce dzieci i ukochanym mężu. Była kobietą, którą chciałoby się mieć za matkę.

- Wiesz, gdyby to było coś innego... na przykład sukienka, samochód czy dom, stanowczo bym ci odmówiła... Ale tak bardzo chcę zobaczyć to maleństwo... więc potraktujmy to jako pożyczkę.

Upierała się, że pojedzie z listy rezerwowej, by zaoszczędzić jego pieniądze, aż w końcu Bernie, nie mogąc tego dłużej wytrzymać, sam poszedł do linii lotniczych i kupił jej bilet do Filadelfii. Pożegnali się z nią na tydzień przed Świętami Bożego Narodzenia. Był to ich prezent gwiazdkowy dla Trący, prezent, który znaczył dla niej tak wiele. Obiecała, że będzie z powrotem dwudziestego siódmego grudnia, na dwa dni przed ślubem.

Boże Narodzenie spędzili jak w gorączce. Berniemu udało się zabrać Jane do sklepu, by obejrzała świętego Mikołaja. Tego roku obchodzili też razem Chanukę, a na dodatek przenieśli się w tym czasie do nowego domu. Bernie przeprowadził się tam dwudziestego trzeciego, Jane dwudziestego siódmego. Tego samego wieczoru wracała Trący, wyjechali więc po nią na lotnisko. Trący promieniała szczęściem i płakała, gdy ścisnęła całą ich trójkę, bez przerwy opowiadając o dziecku.

- Ma już dwa zęby! Macie pojęcie? Pięciomiesięczny brzdąc!

Była tak dumna, że przekomarzali się z nią przez całą drogę powrotną. Pojechali wszyscy do nowego domu, by pokazać, jakie poczynili postępy. Był to oryginalny domek, trochę w stylu wiktoriańskim, położony na wzgórzu w sąsiedztwie parku, do którego Liz mogłaby zabierać Jane po szkole czyli dokładnie taki, jaki chcieli. Wynajęli go na rok.

Bernie miał nadzieję, że wyjadą przed upływem tego czasu, przy czym sklep mógłby wówczas odkupić od nich dzierżawę.

- Bernie, kiedy przyjeżdżają rodzice?

- Jutro wieczorem - westchnął. - To tak, jakby się czekało na odwiedzin Atylli.

Trący wybuchnęła śmiechem. Do końca życia pozostanie mu wdzięczna za podróż, którą dostała od niego w prezencie, gdyż nie chciał nawet słyszeć o zwrocie pieniędzy.

- Czy mogę mówić do niej „babciu”? - spytała Jane poziewując, gdy usadowili się w nowym salonie.

Dobrze było mieszkać w końcu pod jednym dachem, zamiast obiegać trzy miejsca.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział pospiesznie Bernie modląc się w duchu, by matka na to przystała.

W chwilę potem Trący wyprowadziła swój samochód z garażu i pojechała do Sausalito, a Liz wdrapała się na nowe łóżko w nowym domu i objęła Berniego za szyję. Zaczęła się do niego tulić i właśnie w tym momencie usłyszeli cienki głosik. Bernie skoczył na równe nogi, gdy Jane poklepała go po ramieniu.

- Boję się.

- Czego? - starał się ukryć zmieszanie, podczas gdy - Liz, szczelnie okryta, chichotała cichutko.

- Pod moim łóżkiem jest chyba jakiś potwór.

- Nie ma, sprawdziłem cały dom, zanim się tu wprowadziliśmy. Słowo daję.

Usiłował się zachowywać jakby nigdy nic, lecz nadal czuł się speszony tym, że Jane przyłapała go w łóżku ze swą matką.

- Ale i tak się dostał. Przywiózł go ten pan przy przeprowadzce.

Jane miała posepną minę. Liz wyłoniła się z pościeli i uniósłszy brwi, spojrzała na córkę.

- Jane O'Reilly, marsz z powrotem do łóżka.

Zamiast wyjść, Jane zaczęła płakać i przytuliła się do Berniego.

- Tak bardzo się boję.

Berniemu zrobiło się jej żal.

- No to może pójdziemy razem na górę i sprawdzimy, czy nie ma potwora?

- Ty idź pierwszy.

Nagle przeniosła wzrok z Berniego na matkę, a potem znowu na niego.

- Dlaczego śpisz w łóżku mamy, skoro nie jesteście jeszcze małżeństwem? Czy to nie jest niezgodne z prawem?

- No cóż... tak jakby... rzeczywiście, zwykle się tego nie robi, ale w niektórych wypadkach... jest to praktyczniejsze... widzisz...

Liz się zaśmiewała, a Jane patrzyła z zainteresowaniem.

- Dlaczego nie idziemy szukać potwora?

Spuścił nogi z łóżka, gratulując sobie w duchu pomysłu, by włożyć dół starej piżamy. Właściwie zrobił to z uwagi na Jane, ale dzięki temu był teraz z siebie całkiem zadowolony.

- Czy mogę się położyć z wami?

Jane patrzyła to na Berniego, to na matkę. Liz jęknęła. Przechodziła już z nią przez to i ilekroć się poddała, oznaczało to potem trzy tygodnie kwasów.

- Zabieram ją na górę do łóżka - zaczęła się podnosić, lecz Bernie zatrzymał ją i popatrzył prosząco:

- Tylko ten jeden raz... to nowy dom - wstawił się za Jane, która spojrzała na niego promiennie i wsunęła rączkę w jego dłoń.

Mieli okazałe, niezwykle rozmiarów łóżko i było w nim wystarczająco dużo miejsca dla wszystkich, choć ograniczało to plany Liz na tę noc.

- Poddaję się - opadła na poduszkę, a Jane wspięła się po Berniem jak po dobrze znanej górce i rzuciła się w wąską lukę pomiędzy nimi.

- A to heca - uśmiechnęła się z wdzięcznością najpierw do swego dobroczyńcy, a potem do matki.

Bernie zaczął jej opowiadać śmieszne historyjki ze swego dzieciństwa. Liz w końcu usnęła, a oni ciągle rozmawiali.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Samolot wylądował z dwudziestominutowym opóźnieniem z powodu złej pogody w Nowym Jorku. Bernie czekał na lotnisku. Postanowił, że przyjedzie sam, gdyż chciał, by rodzice rozgościli się najpierw w hotelu Huntington. Liz miała przyjść do nich później na koktajl.

Zaplanowali obiad w L'Etoile, przywodzącym im na myśl miłe wspomnienia nocy, którą tam spędzili, gdzie kochali się po raz pierwszy i gdzie Bernie dał Liz pierścionek zaręczynowy. Bernie z góry zamówił specjalny obiad.

Po ślubie rodzice wybierali się do Meksyku, a Liz i Bernie na Hawaje, mieli więc dziś jedyną okazję, by spędzić razem spokojny wieczór. Matka chciała przyjechać w poprzednim tygodniu, lecz Bernie prosił, by tego nie robiła, mając bowiem na głowie święta w sklepie, opracowanie planów sprzedaży i przeprowadzkę do nowego domu, nie znalazłby dla niej czasu.

Stał i patrzył na pierwszych pasażerów, wysiadających z samolotu. Potem dostrzegł znajomą twarz w futrzanym kapeluszu i całą postać w nowym futrze z norek. Matka miała w ręku torbę podróżną od Louisa Vuittona, którą Bernie podarował jej przed rokiem. Ojciec ubrany był w palto podbite futrem.

Ruth Fine nawet się śmiała, gdy zarzucała mu ręce na szyję.

- Witaj, kochanie - przytuliła się do niego na chwilę, ale na lotnisku gest ten był całkiem normalny. Bernie obdarował ją więc uśmiechem, a potem spojrzał na ojca.

- Cześć, tato.

Uścisnęli sobie ręce, po czym Bernie znowu zwrócił się w stronę matki.

- Wyglądasz wspaniale, mammo.

- Ty też.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Może troszkę zmęczony; odpoczynek na Hawajach dobrze ci zrobi.

- Już się nie mogę doczekać.

Zamierzali spędzić tam trzy tygodnie. Liz dostała zwolnienie ze szkoły i oboje z niecierpliwością oczekiwali chwili wyjazdu. Bernie zauważył, że matka rozgląda się wokoło z zainteresowaniem.

- Gdzie ona jest?

- Liz nie przyjechała. Pomyślałem, że lepiej pozwolę wam się rozgościć w hotelu, a

ona spotka się z nami na obiedzie.

Była czwartą i zanim dotrą do hotelu, zrobi się piąta. Umówił się z Liz o szóstą, a obiad zamówił na siódmą. Dla rodziców będzie to już dziesiąta. Po zmianie czasu będą zmęczeni, następnego dnia zaś czekało ich sporo wrażeń: uroczystość w Świątyni Emanuela, lunch w hotelu Alta Mira, potem ich wyjazd na Hawaje, a rodziców do Acapulco.

- Dlaczego nie przyjechała?

Ruth wyraźnie się szykowała do odegrania roli osoby nieszczęśliwej i Bernie uśmiechnął się w nadziei, że może po drodze przejdzie jej na to ochota. Zachowywała się zawsze tak samo, choć Bernie nigdy, o dziwo, nie tracił wiary, że może kiedyś się zmieni. To tak jakby się spodziewał, że z samolotu wysiądzie z ojcem zupełnie inna osoba.

- Mamy tyle do zrobienia, mamo, nowy dom i to wszystko...

- Nie mogła przyjść, by poznać swoją teściową?

- Spotka się z nami w hotelu.

Uśmiechnęła się mężnie, a Bernie wsunął jej rękę pod swoje ramię i powędrowali po odbiór bagażu. Wyglądało na to, że przynajmniej raz matka jest w doskonałym humorze. Nie było meldunków o zmarłych sąsiadach, o krewnych, którzy właśnie się rozwodzili, o produktach, które poszalały i zabiły dziesiątki niewinnych ludzi. Nie narzekała nawet wtedy, gdy utknęła gdzieś jej torba i znalazła się dopiero wśród bagaży dostarczonych na samym końcu.

Bernie złapał ją z westchnieniem ulgi i ruszyli do samochodu, by pojechać do miasta. Matka mówiła przez całą drogę o planach dotyczących ślubu. Była zachwycona suknią, którą wybrała kilka tygodni temu u Wolffa. Z tajemniczą miną oznajmiła, że jest jasnozielona i świetnie się w niej czuje, lecz nic więcej nie chciała zdradzić. Potem pogadała chwilę z ojcem.

Bernie odwiózł rodziców do hotelu obiecując, że wróci za godzinę.

- Niedługo będę z powrotem - zapewnił ich jak dzieci, które się gdzieś zostawia.

Wskoczył do samochodu i pojechał jeszcze raz do domu, by się odświeżyć, przebrać i zabrać Liz. Zastał ją pod prysznicem, Jane bawiła się w swoim pokoju nową lalką.

Była ostatnio smutna i Bernie zastanawiał się, czy to nie z powodu nowego domu. Poprzednią noc spała razem z nimi i obiecał Liz, że to się już więcej nie powtórzy.

- Cześć! Jak się ma twoja przyjaciółka?

Zatrzymał się w drzwiach jej pokoju i spojrzał na dziewczynkę. Podniosła na niego wzrok z bladym, chłodnym uśmiechem. Bernie wszedł do pokoju i usiadł obok niej. Nagle Jane zaczęła z niego żartować.

- Wyglądasz jak King Kong - zaśmiała się, a Bernie zrobił komiczną minę.

- Przez tę brodę? Co ty za książki czytasz?

- Nie, dlatego że jesteś za duży do tego krzesła.

Bernie siedział na jednym z dziecinnych krzesełek Jane.

- Aha - objął ją ramieniem. - Wszystko dobrze?

- Tak - wzruszyła ramionami - mniej więcej.

- Co to znaczy? Znowu boisz się potwora pod łóżkiem? Możemy to sprawdzić, jeżeli chcesz. Ale wiesz, że tam nic nie ma.

- Wiem.

Spojrzała na niego tak wyniośle, jakby to on nie miał co robić, tylko wymyślał jakieś niestworzone rzeczy.

- Poza tym jedynie maluchy wierzą w takie bajki.

- A więc o co chodzi?

Jane spojrzała na niego krzywym okiem.

- Zabierasz moją mamę... na tak długo...

W jej oczach nagle zabłyśły łzy. Gdy patrzył na nią, wyglądała jak osieroczone dziecko. Poczł wyrzuty sumienia.

- Wiesz, to nasz miesiąc miodowy... a ciocia Trący świetnie się tobą zajmie.

To, co mówił, nie brzmiało jednak przekonująco i Jane nie rozchmurzyła się ani na jotę.

- Nie chcę z nią zostać.

- Dlaczego?

- Będzie we mnie wmuszała różne zieliska.

- A jeżeli jej powiem, żeby tego nie robiła?

- I tak będzie; ona nie je nic innego. Mówi, że martwe zwierzęta są niezdrowe.

Bernie skrzywił się na myśl o martwych zwierzętach, które będzie jadł dziś w L'Etoile, na co już się z góry cieszył.

- Ja bym tak tego nie ujął.

- Ona nigdy nie pozwala mi jeść hotdogów i hamburgerów ani żadnego smacznego jedzenia - głos jej się załamał.

- A jeśli powiem Trący, żeby ci pozwoliła jeść wszystko, co zechcesz?

- O co chodzi?

W drzwiach stała Liz zawinięta w ręcznik i patrzyła na nich, a jasne włosy opadały na jej nagie ramiona. Bernie popatrzył na nią pożądlivie.

- Właśnie dyskutowaliśmy o czymś.

Pod badawczym spojrzeniem Liz czuli się oboje jak winowajcy.

- Jesteś jeszcze głodna, Jane? W kuchni są jabłka i banany.

Liz dopiero co dała jej obiad i wielki deser.

- Nie, już w porządku - znowu popatrzyła ze smutkiem, gdy Liz skinęła na Berniego.

- Jeżeli się nie pośpieszysz, będziemy spóźnieni. Jane nic nie jest, kochanie.

Kiedy drzwi łazienki zamknęły się za nimi, Bernie szepnął:

- Martwi się, że wyjeżdżamy na trzy tygodnie.

- Powiedziała ci to?

Gdy przytaknął skinieniem głowy, nie kryła zaskoczenia.

- Mnie nic nie mówiła.

Popatrzyła wymownie.

- Myślę, że uważa cię za mięczaka - zarzuciła mu z uśmiechem ręce na szyję i ma ramię. Ręcznik się zsunął i Bernie aż jęknął, gdy poczuł przy sobie jej nagie ciało.

- Jeżeli będziesz tak robić, nigdy się nie ubiorę.

Zdjął powoli ubranie z zamiarem wejścia pod prysznic, lecz nie mógł oderwać od Liz oczu. Stał nagi i widać było dokładnie, czym jest zainteresowany. Kiedy Liz zaczęła go leniwie, roznamietniająco głaskać, przycisnął ją do stosu ręczników przy umywalce, okrywając pocałunkami. Wyciągnął rękę i zamknąwszy drzwi na zamek rozkręcił wodę. Łazienka wypełniała się parą, a oni się kochali i Liz musiała walczyć ze sobą, by nie krzyczeć jak zawsze w trakcie stosunku. Jeszcze nigdy nie było tak jak teraz. Kiedy później Bernie wszedł z chłopięcym uśmiechem pod prysznic, oboje mieli uszczęśliwione miny.

- Było bardzo przyjemnie... To pierwsze danie czy przystawka?

Popatrzyła figlarnie.

- Poczekaj, aż dostaniesz dziś w nocy deser...

Rozkręcił prysznic i namydlając się, podśpiewywał półgłosem. Liz dołączyła do niego i Berniego kusilo, by zacząć wszystko od nowa, lecz musieli się już spieszyć.

Nie chciał się spóźnić, bo matka mogłaby być zirytowana podczas spotkania, a tego Bernie, ze względu na Liz, pragnął za wszelką cenę uniknąć. Ucałowali Jane na dobranoc, pokazali opiekunce, gdzie co leży, i pośpieszyli do samochodu.

Liz miała na sobie sukienkę od Berniego z pięknej szarej flaneli z białym satynowym kołnierzykiem, a do tego łańcuch pereł, który wybrał dla niej u Chanel, szare sztruksowe pantofle z czarnymi satynowymi noskami, również od Chanel, i wielki pierścionek zaręczynowy. Całość znakomicie dopełniały złote, wysoko upięte włosy, ledwo widoczny,

acz nienaganny makijaż i diamentowe kolczyki z perłami. Wyglądała ponętnie, a zarazem poważnie i była bardzo piękna.

Bernie zauważył, że zrobiła na matce wrażenie, gdy spotkali się w holu. Ruth badała ją wzrokiem, jakby chciała doszukać się jakiejś wady, lecz kiedy schodzili do baru i Liz ujęła ojca pod rękę, szepnęła synowi:

- Przystojna dziewczyna.

W jej ustach była to najwyższa pochwała.

- Bzdury - szepnął w odpowiedzi. - Jest przepiękna.

- Ma ładne włosy - przyznała. - Czy to naturalny kolor?

- Oczywiście - szepnął, gdy zajmowali miejsca przy stoliku i wybierali drinki. Rodzice zamówili dla siebie to co zawsze, a Bernie i Liz po kieliszku białego wina. Bernie wiedział, że zanim nie przejdą do drugiej sali na obiad, Liz nie wypije więcej niż parę łyków.

- A więc - Ruth Fine popatrzyła na Liz tak, jakby miała zamiar ogłosić wyrok albo powiedzieć jej coś okropnego - jak się poznaliście?

- Już ci mówiłem, mamó - przerwał Bernie.

- Powiedziałeś, że poznaliście się w sklepie. - Matka, tak jak zresztą przewidywał, doskonale wszystko pamiętała. - Ale nigdy nie wyjaśniłeś, w jaki sposób.

Liz zaśmiała się, lekko zmieszana.

- Tak naprawdę to poderwała go moja córka. Zgubiła się i właśnie Bernie ją znalazł, a gdy mnie szukali, zabrał ją na deser bananowy.

- To ty jej nie szukałaś?

Liz mało nie wybuchnęła śmiechem. Ostrzeżenia Berniego były doskonałe, uprzedził ją, jak to będzie. Wielka Inkwizycja w kapeluszu z nerek tak określił swą rodzicielkę i miał rację. Liz była jednak na to przygotowana.

- Oczywiście, że szukałam. Spotkaliśmy się na górze i tak się to zaczęło. Bernie przesłał jej kilka kostiumów kąpielowych, ja za prosiłam go nad morze... jeden czekoladowy miś dla Jane, drugi... - uśmiechnęli się oboje na wspomnienie tamtych dni. - I już. Myślę, że to miłość od pierwszego wejrzenia.

Popatrzyła uszczęśliwiona na Berniego, a pani Fine uśmiechnęła się do niej. Może to porządna dziewczyna? Za wcześnie jeszcze wyrokować. I oczywiście nie była Żydówką.

- I myślisz, że to będzie trwało? - spojrzała badawczo na Liz.

Bernie aż jęknął, przesłuchanie stawało się coraz ostrzejsze.

- Myślę, że tak, pani Fine.

Zauważyła, że Ruth wpatruje się w jej wielki pierścionek zaręczynowy, i poczuła

nagle zażenowanie. Pierścionek matki był trzy razy mniejszy od tego, który kupił jej Bernie. Ruth dostrzegła to wprawnym okiem jak taksator.

- Mój syn ci go kupił?

- Tak - powiedziała miękko Liz.

Sama czuła się skrepowana jego okazałością, lecz hojność Berniego ją wzruszyła.

- Jesteś wielką szczęściarą.

- Tak, ma pani rację - przyznała Liz, a Bernie z zadowoleniem pomyślał, jak dobrze mieć brodę, która zakrywa rumieńce.

- To ja mam szczęście - ton jego głosu był gburowaty, wyraz oczu za to łagodny.

- Mam nadzieję - matka popatrzyła na niego wymownie, a potem wróciła do Liz, by kontynuować śledztwo: - Bernie mówił, że uczysz w szkole.

Liz skinęła głową.

- Tak, w drugiej klasie.

- Czy masz zamiar nadal to robić?

Bernie chciał zapytać, co ją to obchodzi, ale zbyt dobrze znał swą matkę, by mieć nadzieję, że to coś da. Była uszczęśliwiona, mogąc przepytować przyszłą żonę jedynego syna. Gdy patrzył na Liz, tak słodką, jasnowłosą, młodą, zrobiło mu się nagle jej żal. Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń z serdecznym uśmiechem, wzrokiem mówiąc, jak bardzo ją kocha. Ojciec też nie odrywał od niej wzroku. Uważał, że jest uroczą dziewczyną, o czym Ruth nie była jeszcze przekonana.

- A więc zamierzasz nadal pracować? - kontynuowała.

- Tak, kończę pracę o drugiej, czyli będę w domu, gdy Bernie wróci wieczorem, a całe popołudnie mam dla Jane.

Nie było się do czego przyczepić.

Po chwili zjawił się maitre d'hotel i poprowadził ich do stolika. Gdy usiedli, Ruth wyraziła obawę, czy to mądrze, że mieszkają razem przed ślubem. Uważała, że nie, przede wszystkim z uwagi na Jane co dodała, sznurując usta.

Liz zaczerwieniła się, Bernie zaś wyjaśnił, że to tylko dwa dni, co ją trochę ułagodziło. Zresztą jakkolwiek by było, matka nie darowałaby sobie komentarza, i to wcale nie dlatego, że ten wieczór był wyjątkowy.

Ruth Fine miała po prostu zwyczaj wypowiadać się autorytatywnie na każdy, dowolnie przez siebie wybrany temat.

- Chryste, i ona nie wie, dlaczego tak bardzo nie cierpię z nią spotkań - zwierzył się Bernie potem Liz.

Nie uspokoiły go nawet wysiłki ojca, by wieczór upłynął przyjemniej.

- Ona nic na to nie poradzi, kochanie. Jesteś jej jedynym dzieckiem.

- To najlepszy w świecie argument za tym, żeby mieć ich dwanaścioro. Czasami doprowadza mnie do szału.

- Ma to we krwi.

Był naprawdę wkurzony, Liz uśmiechnęła się jednak prosząco.

- Zmieknij, a przynajmniej mam taką nadzieję. Czy zdałam egzamin?

- Znakomicie.

Błądził dłonią po miękkiej materii sukni.

- Ojciec przez cały wieczór ślinił się na widok twoich nóg. Za każdym razem, gdy się poruszałaś, widziałem, że się na nie gapi.

- Jest bardzo miły. To szalenie interesujący mężczyzna. Wyjaśnił mi kilka skomplikowanych szczegółów z dziedziny chirurgii i wydaje mi się, że nawet zrozumiałam. Miło nam się gawędziło, kiedy ty rozmawiałaś z matką.

- Uwielbia mówić o swojej pracy.

Bernie popatrzył na nią czule, lecz nadal był zły na matkę. Przez cały wieczór była okropnie irytująca, zresztą jak zawsze. Ubóstwiała się nad nim znęcać. Odtąd będzie miała też do dręczenia Liz, a może nawet Jane. Na samą myśl o tym robiło mu się słabo.

Tego wieczoru, zanim poszli spać, Bernie nalał sobie drinka i usiedli przy kominku, by omówić szczegóły uroczystości ślubnej. Bernie miał się ubrać u przyjaciół, a Liz razem z Jane w domu. Trący obiecała pojechać z nimi do świątyni, Bernie natomiast zabierał rodziców limuzyną. Liz miał poprowadzić pod baldachim Bili Robbins, zaprzyjaźniony architekt, właściciel domku w Stinson Beach. Od lat żyli w przyjaźni i choć nie widywali się często, Liz bardzo go lubiła. Poza tym był poważnym człowiekiem i wydawało im się, że jest najodpowiedniejszą do tej roli osobą.

Upojeni i szczęśliwi, patrzyli w ogień i gadali, gadali...

- Nadal paskudnie się czuję, jak pomyśle, że zostawiamy Jane na trzy tygodnie - przyznał się Bernie.

- Przestań - Liz oparła głowę na jego ramieniu. - Mamy do tego prawo. Prawie wcale nie mieliśmy dla siebie czasu.

Oczywiście miała rację, lecz Bernie ciągle miał przed oczami smutną twarzyczkę Jane tego wieczoru, gdy protestowała przeciwko pozostaniu z Trący.

- Ale jest jeszcze taka mała... ma zaledwie pięć lat... Cóż może wiedzieć o miodowych miesiącach?

Liz popatrzyła na niego z uśmiechem i westchnęła. Jej też było przykro zostawiać córkę; do tej pory rzadko to robiła, lecz tym razem czuła, że powinna przez wzgląd na nich, i zdążyła się już z tym pogodzić. Teraz pozbyła się reszty obaw, było jej jednak miło, że Bernie tak bardzo się przejmuje tym, co przeżywa Jane. Będzie wspaniałym ojcem.

- Jesteś okropnym mięczakiem, wiesz o tym? Taki z ciebie wielki dobroduszny misio.

Bardzo go za to kochała. Był najłagodniejszym człowiekiem na świecie. Kiedy tej nocy Jane znowu przyszła do nich do łóżka, Bernie podniósł ją delikatnie, by nie zbudzić Liz, i mocno przytulił. Jane już się zaczynała uważać za jego własne dziecko, Bernie zaś ze zdumieniem rozmyślał, jak to się stało, że tak bardzo pokochał tę małą.

Następnego ranka cichutko wysunęli się z łóżka i ani na chwilę się nie rozstając, umyli zęby, zrobili śniadanie i zanieśli je Liz na tacy wraz z różą w wazoniku, co było pomysłem Berniego.

- Wszystkiego najlepszego w dniu ślubu - zaintonowali chórem.

Zaspana Liz obdarzyła ich z lekka nieprzytomnym uśmiechem.

- Wszystkiego najlepszego w dniu ślubu, moje ancymonki... Kiedy wstaliście?

Popatrzyła najpierw na Berniego, potem na Jane, a wydedukowawszy, że są w jakiejś konspiracji, o której nie powinna raczej nic wiedzieć i do której żadne z nich by się nie przyznało, bez słowa usiadła i zjadła wszystko, co jej przygotowali.

Po śniadaniu Bernie zniknął poszedł się przebrać do przyjaciół. Ślub był w południe, miały więc mnóstwo czasu.

Liz zaplotła Jane starannie warkoczyki i przewiązała cienkimi białymi satynowymi wstążkami. Jane włożyła białą aksamitną sukienkę, którą wybrały razem u Wolffa, na główkę wianek z drobnutkich goździków. Miała na sobie białe skarpeteczki i wytworne czarne lakierowane sandaalki oraz granatowy wełniany płaszcz, który Bernie kupił specjalnie dla niej w Paryżu. Gdy czekała w drzwiach na Liz, wyglądała jak mały aniołek. Matka wzięła ją za rękę i wyszły, by wsiąść do czekającej na nie limuzyny, zamówionej przez Berniego.

Liz miała na sobie białą satynową suknię z kolekcji Diora z dużymi kielichowatymi rękawami. Spódnica sięgała do kostek i odsłaniała nie mniej wytworne pantofle z tej samej kolekcji. Wszystko w kolorze starej kości słoniowej, łącznie z doskonale dobranym stroikiem przytrzymującym z przodu włosy i pozwalającym, by dziewczęco opadały z tyłu na plecy. Wyglądała niezmiernie i Trący patrząc na nią miała łzy w oczach.

- Zawsze bądź taka szczęśliwa jak w tej chwili, Liz - powiedziała.

Wytarła łzy i uśmiechnęła się do Jane.

- Prawda, że mama świetnie wygląda?

- Pewnie.

Jane zerknęła na matkę z podziwem była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała.

- Ty też ślicznie wyglądasz - Trący delikatnie dotknęła jej warkoczyków.

Przypomniała sobie swoją córkę w tym wieku.

Wsiadły do samochodu i pojechały na bulwar Arguello do Świątyni Emanuela. Synagoga była przepiękna, jej wnętrze olśniewało i przytłaczało zarazem. Liz czuła, że zaparło jej dech, serce podeszło do gardła. Ścisnęła rączkę Jane, a gdy dziewczynka zadarła do góry bródkę, uśmiechnęły się do siebie. To był wielki dzień dla nich obu.

Bili Robbins czekał na nią w ciemnoniebieskim garniturze. Poważna siwa broda i życzliwe oczy sprawiały, że wyglądał jak członek starszozny. Goście siedzieli już w ławkach, świątynię wypełniała muzyka, a Liz nagle zrozumiała, co się dzieje. Do tej pory wszystko wydawało się snem i dopiero teraz zaczęło nabierać realnych kształtów. Gdy rozejrzała się uważniej, dostrzegła stojącego pomiędzy rzędami ławek Berniego z Paulem Bermanem u boku oraz Fine'ów siedzących w pierwszej ławce.

Od tej chwili widziała już tylko Berniego brodatego, przystojnego, dostojnego, czekającego na nią, kiedy szła ku niemu powoli między rzędami ławek, by rozpocząć nowe życie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przyjęcie w Alta Mira wypadło świetnie i goście, stojący właśnie na tarasie i podziwiający krajobraz, wyglądali na ludzi, którzy się dobrze bawią. Nie wszystko może być tu tak wyszukane, jak mogłoby być w jakimś ekskluzywnym hotelu, ale miejsce miało wiele uroku i Liz była oczarowana jego niepowtarzalnym pięknem, które ujęło także Berniego.

Nawet Ruth nie mogła znaleźć dziury w całym. Do pierwszego tańca Bernie poprosił matkę, a jego ojciec Liz, potem się zmienili, po chwili rozłączył ich Paul Berman i kiedy tańczył z Liz,

Bernie poprosił Trący, następnie zaś Jane, drżącą z emocji, że też bierze udział w tej wspaniałej uroczystości.

- No i co o tym myślisz, moja droga? Wszystko dobrze?

- Pewnie.

Wyglądała na pogodniejszą, lecz Bernie nadal przeżywał, że zostanie sama, kiedy wyjadą. Bardzo wziął sobie do serca ojcowskie obowiązki i poprzedniego wieczoru Liz dokuczała mu nawet trochę z tego powodu.

Sama również martwiła się córką, gdyż przez te pięć lat prawie nigdy nie zostawiała jej samej, była jednak pewna, że mała będzie z Trący bezpieczna, oni zaś mieli przecież prawo do miodowego miesiąca.

- jestem Żydem, więc czego się spodziewasz? - wyjaśnił w końcu. - Mam silnie rozwinięte poczucie winy.

- Spożytkuj je na co innego, Jane będzie bardzo dobrze.

Gdy skończyli tańczyć, Bernie zaprowadził Jane do bufetu i pomógł jej wybrać wszystko, na co miała ochotę, potem zostawił ją z nową babcią i poszedł tańczyć z żoną.

- Cześć - Jane popatrzyła na Ruth, która przyglądała się jej uważnie. - Podoba mi się twój kapelusz, co to za futro?

Ruth, zaskoczona pytaniem, pomyślała, że Jane jest ładnym dzieckiem, a do tego, jak zdążyła zauważyć, całkiem dobrze wychowanym.

- To norki.

- Ładnie wyglądają przy twojej sukience... Sukienka jest tego samego koloru co twoje oczy, wiesz o tym?

Była nią zafascynowana i oglądała każdy szczegół. Ruth mimo woli uśmiechnęła się do niej.

- Masz śliczne niebieskie oczy.

- Dziękuję, są takie jak mojej mamy. Mój tata nie żyje, wiesz o tym?

Powiedziała to w sposób bardzo naturalny, z buzią wypełnioną roztępfem. Ruth zrobiło się jej nagle żal. Liz i dziewczynka na pewno nie miały łatwego życia, zanim nie zjawił się Bernie. Teraz pomyślała o synu jak o zbawcy. Tak samo zresztą uważała Liz, a więc nie było w tym nic niewłaściwego.

Ani Jane, ani Liz nie zaprzeczyłyby jej, jedynie Bernie mógłby mieć coś przeciwko takiemu stawianiu sprawy.

- Przykro mi z powodu twojego taty.

Nie bardzo wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

- Mnie też, ale teraz mam nowego tatusia - popatrzyła z dumą na Bernarda, oczy Ruth zaś wypełniły się łzami.

Nagle Jane popatrzyła na nią badawczo:

- Wiesz, że jesteś moją jedyną babcią?

- Och!

Ruth czuła się zakłopotana tym, że dziecko widzi jej łzy. Wyciągnęła dłoń i dotknęła małej rączki.

- To bardzo miłe, ty też jesteś moją jedyną wnuczką.

Jane uśmiechnęła się do niej z uwielbieniem i uścisnęła jej rękę.

- Cieszę się, że jesteś dla mnie taka miła. Bałam się spotkania z tobą.

Rano Bernie z pewnym niepokojem przedstawił ją matce w świątyni.

- Myślałam, że może będziesz stara albo brzydka, albo coś w tym rodzaju.

Ruth popatrzyła na nią zdumiona.

- Czy Bernie mówił ci coś takiego?

- Nie - pokręciła głową. - Powiedział, że jesteś wspaniała.

Ruth spojrzała na nią rozpromieniona. Dziecko było cudowne. Poklepała ją po ręce, chwyciła z tacy, którą właśnie obnoszono, ciasteczko i wręczyła Jane, która przełamała je na pół i podała jedną część Ruth. Jadły, trzymając się za ręce.

Zanim Liz wyszła, by zdjąć suknię ślubną, Jane i Ruth były już serdecznymi przyjaciółkami. Gdy dziewczynka zauważyła, że matka zniknęła, uświadomiła sobie, która godzina, i zaczęła cichutko płakać. Bernie dostrzegłszy to z drugiego końca sali, pospieszył do niej.

- Co się stało, kochanie?

Jego matka odeszła właśnie, by zatańczyć ostatni taniec z ojcem. Bernie pochylił się i

objął dziewczynkę ramieniem.

- Nie chcę, żebyście wyjeżdżali, ty i mama - był to cichy lament i Bernie czuł, że serce pęka mu z żalu.

- Nie jedziemy na długo.

Dla niej jednak trzy tygodnie znaczyły tyle co wieczność i Bernie nie był pewien, czy potrafiłby ją przekonać, że jest inaczej. Wydawało się, że zostawiają ją na bardzo długo. Kiedy podeszła Trący, Jane rozplakała się jeszcze głośniejsze. W chwilę później wróciła Ruth i mała przywarła do niej, jakby znały się od wieków.

- Dobry Boże, co się dzieje?

Bernie wyjaśnił, o co chodzi, i Ruth popatrzyła na Jane z tkliwością.

- Dlaczego nie weźmiecie jej ze sobą? - szepnęła do syna.

- Nie jestem pewien, czy Liz spodobałby się ten pomysł... To nasz miodowy miesiąc...

Matka z wyrzutem wskazała na płaczącą dziewczynkę.

- Czy zdołasz to sobie wybaczyć? Czy naprawdę będziecie się dobrze bawić, myśląc o niej?

Bernie objął ją wdzięcznym spojrzeniem.

- Kocham cię, mamo.

I znów zwyciężyło poczucie winy. W chwilę później odszukał Liz i powiedział, co o tym wszystkim myśli.

- Nie możemy jej zabrać, nic nie jest spakowane, nie mamy nawet dla niej pokoju w hotelu.

- No to załatwimy jej pokój... a jeżeli będziemy musieli, za trzymamy się gdzie indziej.

- A co będzie, jeżeli nie dostaniemy drugiego pokoju?

- Będzie spała z nami - uśmiechnął się rozbijając. - A my pojedziemy na miesiąc miodowy kiedy indziej.

- Bernardzie Fine... co z tobą?

W istocie jednak nie posiadała się ze szczęścia, że znalazła oto mężczyznę, który tak bardzo kocha jej dziecko. Sama też miała wyrzuty sumienia, że musi ją zostawić.

- Pod pewnymi względami tak było lepiej.

- Dobrze.

- A więc co teraz? Lecimy do domu spakować jej rzeczy?

- Najszybciej, jak się da.

Spojrzał na zegarek, pobiegł na przyjęcie, ucałował czule matkę, uściśnął ręce Paulowi

Bermanowi i ojcu, a potem, gdy pojawiła się Liz i goście zaczęli sypać ryż, złapał na ręce Jane. Była przestraszona, bo nie bardzo wiedziała, co się dzieje, i myślała, że to pożegnanie. Bernie objął ją jednak mocniej i szepnął do ucha:

- Jedziesz z nami, a teraz zamknij oczy, żeby ci nie wpadł ryż.

Jane mocno zacisnęła powieki, zanosząc się perlistym śmiechem, on zaś, trzymając ją w silnych ramionach, wolną ręką złapał Liz i pobiegli do drzwi pod gradem płatków różanych i ryżu. Po chwili wszyscy byli już w limuzynie pędzącej do San Francisco.

Spakowanie rzeczy Jane, łącznie z kostiumami kąpielowymi, które dostała latem od Berniego, zajęło im dziesięć minut, tak że bez problemu zdążyli na samolot. W pierwszej klasie było jeszcze jedno wolne miejsce, które Bernie wykupił dla Jane, mając nadzieję, że w hotelu również będą mieli takie samo szczęście.

Jane wsiadając do samolotu uśmiechała się do nich szeroko. Słodkie zwycięstwo! A więc jechała z nimi!

Wskoczyła radośnie Berniemu na kolana, a potem, gdy samolot pokonywał drogę na Zachód, usnęła spokojnie w ramionach matki. Byli teraz rodziną.

Gdy światła w samolocie przygasły i zaczęto wyświetlać film, Bernie pochylił się nad Liz i pocałował ją delikatnie w usta.

- Kocham cię, pani Fine.

- Kocham cię szepnęła, by nie zbudzić śpiącego dziecka.

Przytuliła delikatnie głowę do jego głowy i drzemała, dopóki nie wylądowali na Hawajach. Noc spędzili w Waikki, a następnego dnia polecili do Kony na wyspie Hawaii. Mieli zarezerwowany apartament w hotelu Mauna Kea Resort, który udało się szczęśliwie zamienić na sąsiadujące ze sobą pokoje. Tym sposobem nie musieli przynajmniej dzielić sypialni z dzieckiem, choć okazało się to w końcu bez znaczenia.

W Mauna Kea też był potwór pod łóżkiem i większość nocy Jane spędzała pomiędzy nimi w wielkim łóżu, gdzie smacznie spała, dopóki słońce nie wyjrzało zza palm.

To był ich wspólny miesiąc miodowy. Bernie wiedział, że przez lata będą sobie opowiadać, jak nocą uśmiechał się z zakłopotaniem do Liz ponad głową Jane, albo jak czasami leżeli w łóżku i zaśmiewali się do łez z komizmu całej sytuacji.

- Wiosną w Paryżu, przysięgam! - unosił rękę niczym prawdziwy skaut, a Liz patrzyła na niego z czułością.

- Chyba że znowu zaczniesz płakać.

- Nie, tym razem obiecuję... żadnego poczucia winy.

- Ha!

Prawdę mówiąc, nie bardzo się tym przejmowała była szczęśliwa. Pochyliła się ponad śpiącą Jane i znowu go pocałowała. W końcu to było ich życie i dzielili je z Jane.

Przeżyli boskie trzy tygodnie i wszyscy troje wrócili ze „swego” miodowego miesiąca opaleni, radośni i wypoczęci. Jane chwaliła się wszystkim, że była na miodowym miesiącu mamy. Wspomnienia tych dni miały na zawsze pozostać w ich pamięci.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po powrocie z Hawaïi wydawało im się, że miesiące uciekają jak szalone. Mieli mnóstwo zajęć.

Bernie przygotowywał dla sklepu projekt pokazów mody na sezon letni i jesienny, układał plany zakupu nowych towarów, odbywał spotkania z ludźmi z Nowego Jorku, Liz natomiast była bez reszty pochłonięta domem. Wydawało się, że ciągle gotuje, piecze lub szyje. Naprawdę nie było rzeczy, której by nie potrafiła zrobić. Podejmowała również gości męża i wszystko robiła sama. Posadziła nawet róże w małym ogródku od ulicy Buchanan, a na tarasie, wraz z Jane i przy pomocy Trący, urządziła warzywnik. Dni miała całkowicie wypełnione, aż nagle nadszedł kwiecień i Bernie musiał, jak zawsze o tej porze roku, udać się w podróż służbową do Nowego Jorku, a potem do Europy.

Liz nigdy nie była w Nowym Jorku ani w Europie i Bernie nie mógł się już doczekać, kiedy ją tam zabierze. Kusiło go, co prawda, by wziąć też Jane, ale obiecał Liz, że tym razem naprawdę będzie to ich prawdziwy miesiąc miodowy, okazja zaś trafiała się doskonała.

Podróż zaplanował na ferie, kiedy Liz i oczywiście Jane miały wolne dwa tygodnie. Zabierali małą, by spędziła ten czas u dziadków Fine, czym była tak podekscytowana, że chyba nawet przestała się przejmować ich wyjazdem do Europy.

- I pójdziemy - oznajmiła, gdy siedzieli w samolocie - do Radio City Music Hall!

Zapowiadało się, że pobyt w Nowym Jorku będzie jedną fantastyczną przygodą Muzeum Historii Naturalnej, gdzie obejrzy dinozaury, o których uczyła się właśnie w szkole. Empire State Building i Statua Wolności. Jane nie mogła się już doczekać ferii, podobnie zresztą jak Ruth, co Bernie wnosił z rozmów telefonicznych. Rozmowy te były w ostatnich dniach o wiele łatwiejsze.

Liz bez przerwy dzwoniła do Ruth, by powiedzieć „dzień dobry” i po dzielić się nowinkami, co odciążało Berniego. Poza tym matka chciała przede wszystkim rozmawiać z Jane. Wprost niepojęte, jak bardzo polubiła to dziecko. Jane też zresztą nie widziała świata poza Ruth. Ogromnie jej się podobało, że ma teraz babcię. Pewnego razu bardzo poważnie spytała Berniego, czy może używać w szkole jego nazwiska.

- Oczywiście.

Był oszołomiony pytaniem, Jane mówiła jednak poważnie i następnego dnia oficjalnie stała się w szkole Jane Fine. Wróciła do domu rozpromieniona.

- Teraz ja też jestem twoją żoną powiedziała.

Również Liz miała powody do zadowolenia. Była nareszcie pewna, że Jane będzie podczas ich nieobecności w dobrych rękach. Początkowo zamierzała zostawić małą w domu z Trący, lecz Trący i Jane niespecjalnie się ostatnio ze sobą zgadzały. Jane stawiała się co raz bardziej przemądrzała wobec ich starej przyjaciółki, co śmieszyło Trący, tak bardzo im oddaną i szczerze radującą się szczęściem całej trójki.

Na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku czekała na nich babcia Ruth.

- Jak się ma moje kochane maleństwo?

Po raz pierwszy w życiu Berniemu zabrakło przy tych słowach znanego widoku obłapiającej go kurczowo za szyję matki i przez chwilę nie mógł w to uwierzyć. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy ujrzał, jak Jane pada w ramiona babci. Uścisnął rękę ojcu, Liz ucałowała rodziców.

Potem Bernie przytulił matkę i cała piątka ruszyła razem do domu, do Scarsdale, gawędząc i przekrzykując się nawzajem jak jedna zgodna, kochająca się rodzina. Bernie zdawał sobie sprawę, że to wszystko jest zasługą Liz. Miała cudowną zdolność zjednywania ludzi. Widział, z jaką serdecznością zwraca się w samochodzie do teściowej, jak wymieniły znaczące spojrzenia, a potem uśmiechy, gdy Jane coś powiedziała.

Świadomość, że rodzice ją zaakceptowali, przynosiła Berniemu ulgę, gdyż bał się, że to nigdy nie nastąpi. Nie zdawał sobie sprawy, jak wiele znaczył dla nich fakt, że zostali dziadkami.

- I teraz nazywam się tak samo jak wy - z dumą w głosie oznajmiła jeszcze w samochodzie Jane, a po chwili z rozbrajającą miną dodała: - To nazwisko o wiele łatwiej się literuje. Tamtego nigdy nie umiałam przeliterować - roześmiała się od ucha do ucha szczerbatą buzią.

Właśnie w tym tygodniu wypadł jej pierwszy ząb i pochwaliła się babci, ile dostała za niego od wróżki.

- Pięćdziesiąt centów? - na Ruth zrobiło to najwyraźniej duże wrażenie. - Zwykle dostawało się dziesięć.

- Tak było w dawnych czasach - stwierdziła Jane pobłaźliwie, a potem pocałowała babcię w policzek i szepnęła: - Kupię ci za nie rożek lodowy, babciu.

Serce Ruth topniało w małych rączkach dziecka.

- Będziemy się doskonale bawić, kiedy twoja mamusia i tatuś wyjadą.

Jane nazywała teraz Berniego tatusiem i Bernie spytał kiedyś Liz, czy może ją formalnie adoptować.

- Możesz - odparła. - Oficjalnie jej ojciec nas opuścił, więc możemy zrobić, co tylko

zechcemy. Nie wiem jedynie, po co masz sprawiać sobie tyle kłopotu, kochanie. Używa twojego nazwiska, więc i tak po latach fakt ten zostanie usankcjonowany przez prawo, a przecież sama zdecydowała, że będzie cię nazywać ojcem.

Bernie przyznał żonie rację. Faktycznie nie wydawało mu się właściwe ciągać Jane po sądach bez potrzeby. Po raz pierwszy od wielu lat Bernie zatrzymał się u rodziców. Nieprawdopodobne, jak przyjemnym zdołała uczynić ten dom już sama obecność Liz i Jane.

Liz pomogła matce ugotować obiad, a potem sprzątnąć ze stołu. Gospościa rodziców zachorowała i był to jedyny ponury komunikat, który nadała tego wieczoru matka. Ponieważ jednak Hattie operowała jedynie odciski na wielkich palcach nóg, było absolutnie jasne, że jej dolegliwość nawet się nie umywa do strasznych ataków serca, które co rusz nękały Ruth. Wszyscy byli w dobrych humorach, tylko Bernie miał jeden problem; po prostu czuł się okropnie nieswojo, gdy Liz chciała się z nim kochać tej nocy.

- A co będzie, jeśli wejdzie matka? - szepnął w ciemności i Liz roześmiała się figlarnie.

- Spuszczę się przez okno i poczekam na trawniku, póki nie minie niebezpieczeństwo.

- Niezły pomysł, kochanie...

Przygarnął ją, wsuwając rękę pod satynową nocną koszulę. Chichotali, przepychali się, całowali, kochali, szepotali, odnajdując w sobie cudowną beztroskę rozhukanych dzieciaków. Gdy tak rozmawiali w ciemności, Bernie starał się uprzytomnić żonie, jaką to dobrą wróżką stała się dla całej rodziny.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka była moja matka, zanim ty się zjawiłaś. Przysięgam, że czasami jej nienawidziłem.

Słowa te, wypowiedziane tu, pod rodzicielskim dachem, zabrzmiały niemal świętokradczo, lecz było w nich dużo prawdy.

- Myślę, że to Jane rzuciła na nią urok.

- A ja sędzę, że wy obie.

Patrzył na Liz, tak nieziemsko piękną w świetle księżyca, aż serce mu zamierało z miłości.

- Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Lepszą od Isabelle? - przekomarzała się z nim, a Bernie uszczypnął ją w pierś.

- Przynajmniej nie zabrałaś mojego najlepszego zegarka... tylko serce.

- I to wszystko? - odeła śliczne wargi i Bernie znowu jej zapragnął.

Gdy delikatnie rozsuwał jej uda, szepnęła z udaną po wagą:

- Nie to miałam na myśli, monsieur - i Bernie rzucił się na nią.

Oboje nie byli tak zupełnie pewni, czy ich miodowy miesiąc już się przypadkiem nie zaczął. Tej nocy Jane nie przyszła spać z nimi i dobrze się stało, gdyż wyglądało na to, że nocna koszula Liz zawieruszyła się gdzieś pod łóżkiem, a Bernie zapomniał o piżamie. Za to nazajutrz przy śniadaniu wyglądali już bardzo nobliwie w swych szlafrokach.

Matka, szykując przy pomocy Jane sok pomarańczowy, zakomunikowała:

- Nie starczy nam czasu, by odprowadzić was dziś na lotnisko.

Wymienili znaczące spojrzenia; Jane ani trochę nie wyglądała na zmartwioną.

- Idziemy do Radio City Music Hali, mamy już bilety. Poza tym dziś jest pierwszy dzień pokazów wielkanocnych!

Jane była tak podekscytowana, że z trudnością nad sobą panowała. Bernie spojrzał z uśmiechem na żonę. Matka sprytnie to wymyśliła. Tak wszystko zorganizowała, żeby Jane nie musiała jechać z nimi na lotnisko i by nie płakała po ich odlocie. To było doskonałe posunięcie. W rezultacie to oni im pomachali, gdy wsiadały do pociągu, co już samo w sobie było niezwykle podniecające. Dziadek miał po nie podjechać do hotelu Plaza!

- Wyobraźcie to sobie! - zawołała Jane. - Przejedziemy się dwukółką, to znaczy powozem zaprzężonym w konia! Prosto do Central Parku...

Był taki moment, kiedy jej wargi troszkę zadrżały, gdy ją przytulali, ale w chwilę później odjechała z Ruth gawędząc radośnie, natomiast Bernie z Liz wrócili do domu i znowu się kochali. Potem pognali taksówką na lotnisko. Tak zaczął się ich prawdziwy miodowy miesiąc.

- Gotowa, by lecieć do Paryża, madame Fine?

- Oui, monsieur - zaszczebotała i oboje wybuchnęli śmiechem.

Liz wprawdzie nie widziała jeszcze Nowego Jorku, lecz po stanowili, że spędzą tu trzy dni w drodze powrotnej. Tak było lepiej dla Jane. W ten sposób będzie miała za sobą trudniejszą część programu, związaną z ich odjazdem, a potem, przed powrotem do domu, zostanie im jeszcze trochę czasu na wspólne pobuszowanie po mieście, poza tym taka kolejność bardziej odpowiadała zawodowym planom Berniego.

Polecieli do Paryża liniami Air France i następnego pogodnego poranka wylądowali na lotnisku Orły. Była ósma rano czasu lokalnego, do hotelu Ritz dotarli w dwie godziny później po odnalezieniu bagaży, przejściu przez odprawę celną i pokonaniu trasy do miasta. Wolff postarał się dla Berniego o limuzynę.

Hotel zrobił na Liz ogromne wrażenie. Jeszcze w życiu nie widziała czegoś tak pięknego jak hol u Ritza z wytwornymi kobietami, eleganckimi mężczyznami, boyami wyprowadzającymi na spacer pudle i pekińczyki. Do tego sklepy na Faubourg St.-Honoré

okazały się jeszcze wspanialsze, niż sobie wyobrażała. Miała wrażenie, że śni.

Bernie zabierał ją wszędzie: do Fouqueta, Maxima, Tour d'Argent, na szczyt wieży Eiffla, obejrzała Łuk Triumfalny, płynęła po Sekwanie statkiem spacerowym, odwiedziła magazyn Galleries Lafayette, Luwr, Jeu de Paume, a nawet Muzeum Rodina. Tydzień w Paryżu był najszczęśliwszym okresem w jej życiu; marzyła by nigdy się nie skończył. Z Paryża polecili na pokazy mody do Rzymu i Mediolanu, które Bernie musiał obejrzeć służbowo.

Nadal zajmował się importem najważniejszych artykułów dla Wolffa. Wybór ich był szalenie uciążliwym zajęciem. Liz fascynowała praca męża, wszędzie z nim chodziła, robiła dla niego notatki, przymierzyła raz czy dwa suknie, by mógł zobaczyć, jak się prezentują na „zwykłym śmiertelniku”, a nie na wytrenowanym „zawodowcu” Mówiła mu, jak się w nich czuje, czy są wygodne i jak, według niej, należałoby je udoskonalić.

Kiedy tak przenosili się z miejsca na miejsce, z każdym dniem dowiadywała się więcej o jego pracy. Bernie zauważył, że pokazy mody wywarły na nią pewien wpływ. Zaczęła nagle bardziej zwracać uwagę na modę i szykowniej się nosić. Ubierała się gustowniej i staranniej dobierała dodatki. Już gdy się poznali, miała wrodzoną smykałkę do komponowania strojów, a mając do dyspozycji większe środki pieniężne, szybko pokazała, co potrafi. Teraz jednak nie była tylko szykowna, ale wręcz szalowa, a przy tym szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Cudownie podróżować u boku Berniego, towarzyszyć mu w codziennej pracy, potem całymi popołudniami kochać się z nim w pokoju hotelowym, by na koniec pół nocy snuć się po Via Veneto lub wrzucać monety do fontanny Trevi.

- Jakie jest twoje życzenie, kochanie?

Jeszcze nigdy nie kochał jej tak mocno jak teraz.

- Zobacysz - zrobiła tajemniczą minę.

- Zobacę? Jak?

Zdawało mu się jednak, że wie.

Pragnął tego samego co ona i naprawdę nie szczędził sił, by ich marzenia się spełniły.

- Czy chcesz stać się duża i gruba?

Rozkoszował się myślą, że mogłaby taka być, nosić jego dziecko, nie próbowali jednak jeszcze zbyt długo. Liz uśmiechnęła się przekornie.

- Jeżeli ci powiem, to się nie sprawdzi pogroziła mu palcem.

Potem wrócili do hotelu Excelsior i znowu się kochali. Wspaniale było myśleć o dziecku poczętym podczas ich drugiego miodowego miesiąca. Kiedy zajechali jednak na

ostatnie dwa dni do Londynu, okazało się, że nic z tego. Liz niemal płakała z rozczarowania, gdy mu o tym mówiła.

- Nic nie szkodzi - objął ją i przytulił - jeszcze poprobujemy.

Spróbowali w godzinę później i choć wiedzieli, że w tym wypadku eksperyment nie zaowocuje dzieckiem, przeprowadzili go z prawdziwym zapalem.

Gdy wracali do Nowego Jorku po dwóch najcudowniejszych tygodniach w życiu, ich szczęście było wprost w oczy. Ale nie tylko oni tak świetnie się w tym czasie bawili.

Jane potrzebowała dwóch godzin, by opowiedzieć o wszystkim, co robiła podczas ich nieobecności. Mieli wrażenie, że babcia Ruth wykupiła dla niej cały sklep Schwarza.

- Musimy chyba wziąć ciężarówkę, żeby zabrać cały ten kram do domu - Bernie spoglądał na wszystkie lalki, zabawki, naturalnej wielkości psa, konika, domek dla lalek i miniaturowy piecyk.

Ruth przez moment wyglądała jakby na lekko zakłopotaną, lecz zaraz wysunęła z determinacją brodę.

- Nie miała się tutaj czym bawić. Nic tu nie było poza twoimi starymi ciężarówkami i samochodzikami - powiedziała niemal z wyrzutem. Z rozkoszą kupowała małej wszystkie zabawki.

- Och - roześmiał się i podał matce pudełko z Bułgarii.

Przywiózł jej parę pięknych kolczyków, wykonanych ze starych złotych monet, otoczonych maleńkimi brylancikami w kształcie sześciokątów. Podobne kolczyki kupił Liz i żona od razu zwariowała na ich punkcie. Tak samo zresztą Ruth. Natychmiast je założyła, uściskała oboje i pobiegła pokazać prezent Lou.

Liz natomiast przytuliła mocno Jane. Okropnie się za nią stęskniła, ale mimo to podróż do Europy była wspaniała. Wyjazd tylko we dwoje dobrze im zrobił.

Dni, które spędzili w Nowym Jorku, były niemal równie udane obiady w Côte Basque, „21” i Grenouille w trzech ulubionych restauracjach Berniego, gdzie wspólnie próbowali wszystkich specjałów.

Pili drinki w Sali Dębowej w hotelu Plaža i Sherry Netherland, poszli wieczorem posłuchać w Carlyle Bobby'ego Shorta i Liz się w nim zakochała. Robiła zakupy u Bergdorfa, Saksa, Bendela i legendarnego Bloomingdale, choć zapewniała, że preferuje Wolffa. Bernie wszędzie ją ze sobą zabierał.

Pewnego razu stała obok niego, roześmiana, przy barze w P.J. Clark, przyglądając się osobistościom, które wchodziły do lokalu.

- Tak dobrze się z tobą bawię, wiesz o tym? Sprawiasz, że moje życie stało się takie

radosne, Bernie. Nigdy nie wiedziałam, że może być takie. Do tej pory zabiegałam jedynie o to, żeby przetrwać. To niesamowite, dotychczas wszystko było takie skromne i pełne napięcia, a teraz jest takie przepełnione luksusem. To tak jak wielkie malarstwo... jak freski Chagalla w Lincoln Center.

Tam również Bernie ją zabrał.

- Teraz wszystko jest w czerwieni, zieleni, żółci i kolorze jasnoniebieskim, a do tej pory było w czymś w rodzaju szarości i bieli - popatrzyła na niego z uwielbieniem, on zaś pochylił się, by ją znowu pocałować i spróbować, jak smakuje szminka na jej ustach.

- Kocham cię, Liz.

- Ja też cię kocham - szepnęła, a potem czknęła tak głośno, że stojący przed nimi mężczyzna odwrócił się i spojrzał na nią. Ona zaś zerknęła na Berniego i spytała: - Jak mówiłeś, że się nazywasz?

- George, George Murphy, mam żonę i siedmioro dzieci w Bronksie.

- Chcesz pójść ze mną do hotelu?

Mężczyzna stojący obok przy barze gapił się na nich z głupią miną.

- Pełno tu było łowców łatwych zdobyczy, ale większość nie mówiła o żonach i dzieciach.

- Może pójdziemy do domu, by zrobić jeszcze jedno? - zaproponowała wesoło.

- Doskonały pomysł.

Na Trzeciej Alei złapali taksówkę, która zawiozła ich najkrótszą drogą do Scarsdale. Zdążyli wrócić przed matką i Jane, ojciec był jeszcze w szpitalu. Dobrze było w domu tylko we dwoje. Wszędzie było im ze sobą dobrze, zwłaszcza w łóżku, co Bernie stwierdził, gdy wsunęli się pod chłodną pościel. Wstał cały nieszczęśliwy, kiedy matka wróciła z Jane do domu. Ale do jeszcze większej rozpaczki doprowadzała go myśl o rychłym wyjeździe z Nowego Jorku do Kalifornii.

Rozmawiał o tym kolejny raz z Paulem Bermanem, lecz bez rezultatu.

- No, Paul, jestem tam już od roku, a dokładniej od czternastu miesięcy.

- Ale sklep jest otwarty zaledwie dziesięć miesięcy. Dlaczego tak się teraz spieszysz? Masz uroczą żonę, ładny dom, a San Francisco jest dobrym miejscem dla Jane.

- Chcemy, żeby się uczyła.

Postanowili jednak, że nie będą zapisywać jej do szkoły, dopóki nie zostanie przesądzona sprawa ich powrotu.

- Nie możemy tam zostać na wygnaniu całymi latami.

- To nie kwestia lat, ale powiedzmy jeszcze jednego roku. Nie mam nikogo, kto by się

tak znał na rzeczy jak ty.

- Niech będzie - westchnął.- Ale tylko rok. Umowa stoi?

- No dobrze, dobrze... Na miłość boską, mówisz, jakbyśmy cię wyrzucili do Armpit w Zachodniej Wirginii! San Francisco trudno nazwać miejscem wygnania.

- Masz rację, ale dobrze wiesz, że należę do Nowego Jorku.

- Nie mogę temu zaprzeczyć Bernardzie, ale teraz potrzebujemy cię właśnie tam. Zrobimy co tylko można, żebyś wrócił tu za rok.

- Liczę na to.

Okropnie było wyjeżdżać z Nowego Jorku, lecz musiał przyznać, że tym razem perspektywa ujrzenia San Francisco nie była wcale taka straszna. Tego dnia, kiedy wrócili, ich mały domek wydał im się sympatyczniejszy niż przed wyjazdem, a i sklep przedstawiał się, według Berniego, znakomicie. Może nie tak wspaniale jak ten w Nowym Jorku, ale całkiem nieźle. Najbardziej przeszkadzało mu to, że nie mógł być przez cały dzień z Liz. Pierwszego dnia po powrocie wybrał się w porze lunchu do szkolnego baru, by zjeść z nią kanapki.

Prezentował się bardzo modnie, nobliwie i elegancko w ciemnoszarym angielskim garniturze. Liz miała na sobie spódnicę w szkocką kratę i czerwony sweter, które kupili razem w Trois Quartiers, oraz buty przywiezione z Włoch. W oczach Berniego wyglądała ślicznie i młodo. Jane była bardzo dumna, że przyszedł tu do nich.

- Tam jest mój tata; tam, z moją mamą - pokazała go kilku koleżankom, a potem podeszła i stanęła obok, by wszyscy wiedzieli, że należy do niej.

- Cześć, maluchy zawołał Bernie - i podniósł Jane w górę, a potem zrobił to samo z trzema jej koleżankami.

Wywołał w barze prawdziwą sensację. Przyszła Trący, by zamienić z nimi kilka słów. Powitała go serdecznie i oznajmiła, że jej córka jest znowu w ciąży. Spozregł zazdrosne spojrzenie Liz i uścisnął jej rękę. Liz zaczynała się nawet martwić, że coś jest z nią nie w porządku, choć Bernie sugerował, że może to jego wina. Liz miała już przecież córkę. I choć postanowili, że na razie się odprężą, nie tracili czasu, gdyż mimo wszystko nie przestawali o tym myśleć. Oboje rozpaczliwie chcieli mieć dziecko.

W czerwcu Bernie sprawił Liz niespodziankę wynajął domek w Stinson Beach. Liz aż drżała z emocji. Domek był wręcz idealny. Sypialnia dla nich i osobna dla Jane, pokój gościnny dla przyjaciół, wielki przestronny salon z częścią wydzieloną na jadalnię, słoneczna kuchnia i osłonięty taras, na którym, gdyby im przyszła na to ochota, mogli opalać się nawet nago, choć i tak przy Jane było to niemożliwe. Dom był doskonały i Liz nie wyobrażała sobie

większego szczęścia.

Postanowili, że przeniosą się tam na dwa miesiące i Bernie będzie codziennie dojeżdżał do pracy. Niestety, po kilkunastu zaledwie dniach Liz złapała grypę i przez kilka tygodni nie mogła się z niej wykaraskać. Bernie wspomniał o tym w rozmowie telefonicznej ojcu. Lou podejrzewał, że mogą to być zatoki, radził skontaktować się z lekarzem i zalecał antybiotyki. Liz bez przerwy bolała głowa, a pod koniec dnia zwykle miała mdłości. Była wyczerpana i w kiepskim nastroju. Nie pamiętała, by kiedykolwiek przedtem czuła się tak fatalnie. Po miesiącu pobytu nad morzem trochę jej się poprawiło, ale nie za bardzo. Nie była w stanie, jak co roku, cieszyć się tym miejscem, Jane natomiast całe dni szalała z koleżankami, wieczorem zaś wędrowała z Bernie na plażę. Liz miała nawet trudności z chodzeniem po ulicy. Co więcej, nie czuła się na siłach, by pojechać do miasta i przymierzyć suknię na otwarcie opery.

W tym roku wybrała obcisłą kreację z czarnej satyny, z jednym ramieniem odkrytym i nakładaną marszczoną pelerynką. Gdy w końcu pojechała ją przymierzyć tuż po Święcie Pracy, wpadła w popłoch.

- Jaki to rozmiar? - spytała wyraźnie zdenerwowana.

Zwykle nosiła szóstkę, a teraz nie mogła dopiąć sukni, którą jej przysłali. Patrzyła zdumiona, gdy ekspedientka zerknąwszy na metkę, zaczęła się jej uważnie przyglądać:

- Ósemka, proszę pani.

- Jak leży? - Bernie wsunął głowę w drzwi. Liz wyglądała na kompletnie załamaną.

- Okropnie.

Jak mogła tak utyc? Chorowała przecież od czerwca. Umówiła się wreszcie na następny dzień do lekarza. Za tydzień zaczynała pracę w szkole i musiała odzyskać siły. Była nawet gotowa, jak radził teść, wziąć antybiotyki.

- Musieli przysłać zły rozmiar, to na pewno czwórka. Nic z tego nie rozumiem.

Przymierzała ten model, kiedy go zamawiała, i wtedy suknia splotywała po niej swobodnie. Wówczas miała szóstkę, ta suknia zaś była o dwa numery większa.

- Czyżbyś przytyła nad morzem?

Bernie wszedł do przymierzalni, by się jej przyjrzeć. Miała rację. Zamek nie dopinał się w tali i niżej z boku; przeszkadzały mu dobre trzy lub cztery cale jej opalonego ciała. Spojrzał na krawcową, która stała obok w milczeniu.

- Nie można trochę poszerzyć?

Wiedział, że suknia jest bardzo droga, i zbrodnią byłoby za bardzo ją przerabiać. Lepiej zamówić inny rozmiar, a tę odesłać, lecz na to nie mieli już czasu. Jeżeli nie da się nic

zrobić, Liz będzie musiała włożyć coś innego. Krawcowa popatrzyła i pokręciła głową. Potem zmierzyła Liz w talii i spojrzała na nią pytająco.

- Pani przytyła tego lata nad morzem?

Była to Francuzka, którą Bernie zabrał z Nowego Jorku. Pracowała od lat u Wolffa, przedtem zaś u Patou.

- Nie wiem, Marguerite.

Kobieta zajmowała się już Liz, dopasowywała jej suknię ślubną, a jeszcze wcześniej kreację na otwarcie opery w zeszłym roku oraz inne rzeczy kupowane u Wolffa;

- Nie sądziłam, że utylam.

Nad morzem nosiła wyłącznie luźne stare ubrania, dresy, bluzy, obszerne koszule, a do sklepu przyszła w rozciągniętej bawełnianej sukience.

Nagle spojrzała na Berniego i rozpromieniła się.

- O mój Boże!

- Wszystko dobrze?

Jego oczy zdradzały niepokój, natomiast Liz nie przestawała się uśmiechać. Najpierw zbladła, a potem zaczerwieniła się i wybuchnęła śmiechem. Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała, wtedy ekspedientka i krawcowa dyskretnie wysunęły się z przymierzalni. Lubily pracować z Liz. Była dla nich zawsze bardzo miła, poza tym tak się kochali z Berniem! Stanowili uroczą, wzbudzającą sympatię parę.

- O co chodzi, Liz? - jego ciekawość rosła z każdą chwilą. - Wyglądała na szczęśliwą mimo utraty sukienki, a właściwie raczej dzięki temu. - Myślę, że jednak nie będę brała tych antybiotyków.

- Dlaczego?

- Sądzę, że twój ojciec się myli.

- Dużo wiesz - przekomarzał się Bernie.

- A właśnie że wiem. Przegapiła wszystkie objawy. Wszystkie bez wyjątku. Wątpię, żeby to była infekcja zatok.

Usiadła na krześle, zaglądając mu głęboko w oczy. Nagle zrozumiał, popatrzył przytomnie na sukienkę, a potem na nią.

- Jesteś pewna?

- Nie... Do tej pory nawet o tym nie myślałam, ale teraz jestem prawie pewna... Po prostu zapomniałam, od kiedy wyjechaliśmy nad morze...

Teraz uświadomiła sobie, że od wyjazdu do Stinson Beach nie miała okresu, a więc cztery tygodnie opóźnienia, lecz była tak chora, że nawet nie zwróciła na to uwagi.

Następnego dnia lekarz potwierdził jej przypuszczenia: była w szóstym tygodniu ciąży. Natychmiast pobiegła do sklepu, by podzielić się z Bernieem tą nowiną. Znalazła go w gabinecie, gdzie przeglądał właśnie sprawozdania z Nowego Jorku. Gdy weszła do pokoju, podniósł głowę.

- No i...? - wstrzymał oddech.

Roześmiana wyciągnęła zza pleców butelkę szampana.

- Moje gratulacje, tatusiu - postawiła butelkę na biurku, Bernie zaś zamknął ją w ramionach z okrzykiem radości.

- Udało się! Udało! Ha, ha... jesteś w ciąży!

Liz wybuchnęła śmiechem, zaczęli się całować, a gdy po chwili Bernie złapał ją na rękę, sekretarka zaczęła się zastanawiać, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami gabinetu szefa.

I kiedy po dłuższym czasie ujrzała ich wreszcie wychodzących, pan Fine wyglądał na człowieka niezmiernie z siebie zadowolonego.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

W jesienną podróż do Nowego Jorku Bernie pojechał sam. Potem miał się udać do Paryża i doszedł do wniosku, że taka wyprawa byłaby dla Liz zbyt męcząca. Chciał, żeby wypoczywała, czyli jak to obrazowo ujął leżała brzuchem do góry, objadała się zdrową żywnością, oglądała telewizję i relaksowała się po szkole. Tuż przed wyjazdem poprosił Jane, by opiekowała się mamą. Gdy powiedzieli jej o dziecku, z początku była oszołomiona, ale po jakimś czasie zaczęła sprawiać wrażenie nawet zadowolonej.

- To tak, jakbyś miała dużą lalkę - zapewniał Bernie.

Najbardziej ją jednak cieszyło, że Bernie chce mieć chłopczyka, i próbowała się upewnić, czy zawsze będzie jego najukochańszą córeczką. Przynęła troskliwie opiekować się mamą.

Bernie zadzwonił do nich zaraz po przyjeździe do Nowego Jorku. Zatrzymał się w położonym blisko sklepu hotelu Regency. Pierwszego wieczoru spotkał się z rodzicami na obiedzie. Umówili się w Le Cirque. Wszedł do restauracji z rozradowaną miną. Rodzice siedzieli już przy stoliku. Ucałował matkę, usiadł i zamówił kir. Ruth popatrzyła na niego podejrzliwie.

- Coś się stało?

- Bynajmniej.

- Jesteś rozgorączkowany.

Zamiast odpowiedzi Bernie uśmiechnął się i zamówił butelkę Dom Perignona. Jej oczy zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Co się stało?

- Coś bardzo miłego.

Wyraźnie mu nie dowierzając, badała go wzrokiem.

- Wracasz do Nowego Jorku?

- Jeszcze nie.

Bardzo tego chciał, choć teraz nawet ta sprawa zeszła na dalszy plan.

- To coś lepszego.

- Przenosisz się gdzie indziej?

Nadal była niespokojna, natomiast na twarzy ojca pojawił się uśmiech. Już zgadł, co to za nowina, i kiedy kelner nalewał szampana, wymienił z synem porozumiewawcze spojrzenie. Bernie uniósł swój kieliszek.

- Za babcię i dziadka... Mazał tow!

- To znaczy...

Ruth patrzyła na niego zdezorientowana i nagle, jak porażona, zacisnęła ręce na poręczy krzesła i utkwiała w nim oczy.

- Nie! Czy Liz jest?...

Po raz pierwszy w życiu nie mogła znaleźć właściwego słowa. Łzy napłynęły jej do oczu, a Bernie przytaknął z promiennym uśmiechem i pogładził ją po dłoni.

- Spodziewamy się dziecka, mamó.

Był tak rozradowany, że z trudem nad sobą panował. Ojciec mu gratulował, matka paplała bez związku, wszyscy sęczyli szampana.

- Aż trudno mi uwierzyć... Czy wszystko w porządku?... Czy dobrze się odżywia?... Jak się czuje?... Muszę do niej zadzwonić, jak tylko zajedziemy do domu.

Nagle pomyślała o Jane i spojrzała na Berniego zatroskanymi oczami.

- A jak to przyjęła Jane?

- Myślę, że z początku była zszokowana. Chyba wcale nie brała pod uwagę takiej możliwości, ale poświęciliśmy dużo czasu, by jej wszystko wyjaśnić, przekonać, ile dla nas znaczy, i w ogóle... Liz ma zamiar przynieść do domu trochę książek, żeby mała pozbyła się wszelkich uprzedzeń, jeśli jeszcze je ma.

Matka rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Zaczynasz mówić tak samo jak oni! Ten kalifornijski dialekt jest okropny. Uważaj, żebyś się nie stał Kalifornijczykiem i nie pozostał tam do końca życia.

Martwiła się o to, od kiedy Bernie wyjechał. Teraz jednak potrafiła myśleć wyłącznie o przyszłym wnuku.

- Czy Liz pamięta o witaminach? - Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do Lou: - Jak zadzwonimy dziś do niej, powinienesz z nią porozmawiać, wyjaśnić, jak ma się odżywiać i jakie brać witaminy.

- Jestem pewien, że Liz ma lekarza położnika, Ruth. Powie jej, co ma robić.

- A co on może wiedzieć? Najpewniej chodzi do jednego z tych hippisów w rozklekotanych butach, który wciera jej w głowę zioła i każe spać nago na plaży.

Spojrzała na syna srogo.

- Powinniście być tutaj, kiedy dziecko będzie miało przyjść na świat. Powinno się urodzić, cało i zdrowo, w nowojorskim szpitalu, żeby ojciec mógł wszystkiego dopilnować. Jego miejsce jest tutaj.

- Ruth, tam mają bardzo dobre szpitale.

Obaj mężczyźni uśmiechali się do niej. Matka wyraźnie traciła głowę.

- Jestem spokojny, że Bernie już wszystkiego dopilnuje.

- Oczywiście, że tak.

Byli już u lekarza. Spodobał mu się położnik, którego znalazł przy pomocy przyjaciela. Przypuszczalnie pójdą na szkolenie Lamaza. Liz zdecydowała, że urodzi dziecko w sposób naturalny, przy Bernie, by mógł jej pomagać i trzymać ją za rękę. Gdy myślał o tym, strasznie się denerwował, lecz nie chciał rozczarować Liz, poza tym bardzo pragnął być przy niej, kiedy będzie się rodzić ich dziecko.

- Wszystko w porządku, mamó. Przed odjazdem byłem z nią u lekarza. Sprawia wrażenie doświadczonego specjalisty, nawet pochodzi z Nowego Jorku.

Miał nadzieję, że informacja ta uspokoi matkę, ale ona już nie słuchała, zainteresowana tym, co powiedział przed chwilą.

- Jak należy rozumieć to, że poszedłeś z nią do lekarza? Mam nadzieję, że zostałeś w poczekalni.

Bernie nalał matce jeszcze jeden kieliszek szampana i uśmiechnął się łagodnie.

- Nie, teraz jest inaczej. Ojciec uczestniczy we wszystkim.

- Ale chyba nie będziesz przy porodzie?

Wyglądała na przerażoną. Uważała, że to odrażająca moda. W Nowym Jorku też to robili, według niej jednak nie mogło być nic gorszego jak mężczyzna, który obserwuje żonę wydającą na świat dziecko.

- Mam taki zamiar, mamó.

Matka skrzywiła się.

- To najobrzydliwsza rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałam. - Potem zniżyła konspiracyjnie głos. - Posłuchaj, jeżeli zobaczysz, jak rodzi dziecko, już nigdy nie będziesz do niej czuł tego, co teraz. Uwierz mi. Słyszałam takie historie, od których robi się niedobrze... a poza tym - wyprostowała się i parsknęła z godnością - przyzwoita kobieta nie chciałaby, żebyś był przy tym. To straszny widok dla mężczyzny.

- Mamó, to jest cudowne... Nie ma nic strasznego ani nieprzyzwoitego w oglądaniu żony rodzącej dziecko.

Był ogromnie dumny z Liz i bardzo chciał patrzeć, jak ich dziecko będzie przychodziło na świat. Chciał być przy tym, by powitać jego lub ją. Zamierzali iść na film pokazujący poród, aby wiedzieć, czego się spodziewać. Nie widział w tym niczego nieprzyzwoitego, choć musiał przyznać, że nieco go to przerażało. Dostrzegał, że Liz też się trochę niepokoi. Co prawda rodziła już dziecko, ale to było sześć lat temu. Na razie obojgu

wydawało się, że do rozwiązania jest ciągle bardzo daleko. Musieli przebrnąć jeszcze przez sześć miesięcy, a już nie mogli się doczekać, kiedy będzie po wszystkim.

Zanim obiad dobiegł końca, Ruth nie tylko zaplanowała całą wyprawkę i zrobiła przegląd najlepszych przedszkoli w Westchester, lecz usiłowała namówić Berniego, by w przyszłości wysłał syna na studia prawnicze. Wypili dużo szampana i gdy wychodzili z restauracji, matka była lekko wstawiona. Mimo wszystko był to najsympatyczniejszy obiad, jaki jedli wspólnie od niepamiętnych czasów.

Bernie przekazał im zaproszenie od Liz, a musiał być nieźle podpity, skoro nie przerażała go nawet myśl, że rodzice mogą u nich przez jakiś czas zamieszkać.

- Liz chce, żebyście przyjechali do nas na ferie - obserwował ich reakcję.

- A ty nie?

- Oczywiście, że też, mamó. I chce, żebyście zatrzymali się u nas.

- Gdzie?

- Jane może spać w pokoju dzieciennym.

- Nie przejmujcie się, zamieszkamy jak poprzednio, w hotelu Huntington. W ten sposób nie będziemy wam przeszkadzać. Kiedy Liz chce, żebyśmy przyjechali?

- Ferie zimowe zaczynają się chyba dwudziestego pierwszego grudnia, coś koło tego. Może wtedy?

- Ona chyba nie chce nadal pracować Bernardzie?

Bernie uśmiechnął się do matki.

- Całe życie miałem do czynienia z upartymi kobietami. Ma zamiar pracować aż do ferii wielkanocnych, a potem wziąć urlop. Zastąpi ją koleżanka Trący. Już to między sobą uzgodniły.

- Meshuggeneh. W tym czasie powinna już być w domu, w łóżku.

Bernie wzruszył ramionami.

- Nie chce, a lekarz mówi, że może do końca pracować... No to jak, przyjedziecie?

Oczy błyszczały jej radośnie.

- A jak myślisz? Podejrzewasz, że nie zechcę przyjechać i odwiedzić swojego jedynaka w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu?

Bernie nie krył rozbawienia.

- No, nie powiedziałbym. To nie Nowy Jork.

Kiedy czekali, aż portier przywoła taksówkę Bernard objął tęsknym spojrzeniem sunące sznurem pojazdy, przechodzących ludzi, oddalone zaledwie o kilka kroków sklepiki przy Madison Avenue. Czasami myślał, że jego romans z Nowym Jorkiem nigdy się nie

skończy, ciągle bowiem traktował San Francisco jak miejsce zsyłki. San Francisco nie jest takie straszne. Przede wszystkim starał się o tym przekonać samego siebie.

Bez względu na to, jak bardzo szczęśliwy był tam z Liz, wiedział, że w Nowym Jorku byłby z nią jeszcze szczęśliwszy. Matka wzruszyła ramionami i spojrzała na niego smutno.

- Powinieneś szybko wracać do domu, zwłaszcza teraz.

Wszyscy myśleli o Liz i dziecku, które miała urodzić. Matka zachowywała się tak, jakby specjalnie robili im, to znaczy jej i ojcu, prezent.

- Uważaj na siebie.

Gdy w końcu podjechała taksówka, uściśnęła go mocno. W oczach miała łzy.

- Mazel tow! Dla was obojga.

- Dziękuję, mamó.

Uściśnął jej rękę, wymienili z ojcem ciepłe spojrzenia i po chwili rodzice, pomachawszy mu, odjechali. On natomiast ruszył powoli do hotelu, myśląc o nich, o Liz, o Jane, o tym, ile miał szczęścia niezależnie od tego, gdzie w końcu przyjdzie mu mieszkać. Może teraz stało się to nawet mniej ważne... Liz będzie łatwiej w tym roku w San Francisco, lepiej niż w Nowym Jorku, gdzie trzeba zimą walczyć ze ślizgawicami, śniegiem czy innymi żywiołami... W gruncie rzeczy dobrze się stało, przekonywał sam siebie.

Jednak następnego dnia, choć wyjeżdżał w strugach ulewnego deszczu Nowy Jork i tak wydawał mu się piękny. Był otulony szarymi chmurami i kiedy samolot wzbijał się w powietrze, Bernie znowu pomyślał o rodzicach. Na pewno było im bardzo ciężko, odkąd zostali sami. Teraz, gdy oczekiwał własnego dziecka, patrzył na nich innymi oczami. Nie zniósłby, żeby jego syn mieszkał tak daleko. Odchylił głowę na oparcie fotela i uśmiechnął się do siebie, myśląc o Liz i o dziecku, które będą mieli. Miał nadzieję, że będzie podobne do niej, nie miałby nic przeciwko małej dziewczynce. Mała dziewczynka... Zapadł w sen i przespał prawie cały lot do Europy.

Tydzień w Paryżu upłynął szybko. Stamtąd Bernie pojechał, jak zwykle, do Rzymu i Mediolanu. Tym razem udał się też do Danii i Berlina, a pobyt zakończył rundą spotkań w Londynie.

Wyjazd oceniał jako bardzo udany. Nie było go prawie trzy tygodnie i na widok żony wybuchnął śmiechem. Podczas jego nieobecności brzuch Liz zdecydowanie napęczniał, tak że nie mogła już nosić dawnego ubrania. Kiedy położyła się do łóżka, wyglądała, jakby połknęła arbuza.

- Co to jest? - roześmiał się od ucha do ucha, gdy już skończyli się kochać po raz pierwszy od jego powrotu.

- Nie wiem - rozłożyła nieporadnie ręce, leżąc nago na łóżku.

Włosy miała splecione w warkoczyki, a ubranie poniewierało się po całej podłodze.

Byli zbyt spragnieni siebie, aby czekać do wieczora, lecz teraz musieli się spieszyć, bo lada chwila Trący miała przy prowadzić Jane ze spaceru. Dopiero gdy Liz wstała i przeszła się po pokoju, poczuła na sobie uważny wzrok Berniego. Z zażenowaniem naciągnęła jego koszulę.

- Nie patrz na mnie... Jestem taka gruba, że nie mogę znieść swojego widoku.

- Gruba? Oszałałaś? Nigdy nie wyglądałaś lepiej, jesteś cudowna.

Podszedł do niej i delikatnie pogłodził ją po pośladkach, potem zaczął z zachwytem błędzić ręką po arbuzie.

- Nie wiesz, co to będzie? - spytał zaintrygowany.

Wzruszyła ramionami z uśmiechem.

- Jest większe od Jane w tym okresie, ale to o niczym nie świadczy. - Po czym dodała z nadzieją w głosie: - Może to chłopiec? Chciałbyś syna, prawda?

Spojrzał na nią, przekrzywiwszy głowę.

- Myślę, że jest mi wszystko jedno. Po prostu się cieszę. Kiedy znowu idziemy do lekarza?

- Czy jesteś pewien, że chcesz tego? - spojrzała na niego z niepokojem.

Bernie był oszołomiony.

- Co ci się stało? - I nagle doznał olśnienia. - Czyżby rozmawiała z tobą moja kochana mamuska?

Liz zaczerwieniła się i znowu wzruszyła ramionami; usiłowała nie brać sobie tego do serca, a jednocześnie chciała wszystko do końca wyjaśnić. Bernie przytulił ją mocno.

- Jesteś dla mnie piękna. Chcę uczestniczyć w tym razem z tobą... we wszystkim... w tym, co dobre i co złe, w tej strasznej męce i w cudzie, jakim jest ten akt. To nasze wspólne dziecko i teraz musimy dzielić się ze sobą każdą chwilą, jak najpełniej. Już wszystko w porządku?

Wyglądało na to, że odetchnęła z ulgą, a kiedy znów na niego spojrzała, w jej oczach migotały iskierki.

- Jesteś pewien, że nie obrzydnę ci na zawsze?

Była tak zmartwiona, że Bernie wybuchnął śmiechem, przypominając, jakie to figle wyczyniali przed chwilą w łóżku. Wskazał na nie i pocałował ją czule.

- A czy wygląda na to, że mnie zniechęciłaś?

Zaśmiała się beztrąsko i przytuliła mocno do niego.

- Już dobrze... przepraszam...

W tym momencie usłyszeli dzwonek do drzwi. Piorunem wskoczyli z powrotem w ubrania, akurat na czas, aby powitać Trący i Jane.

Bernie podrzucił małą wysoko w powietrze, później zajęli się przeglądem wszystkich łakoci, jakie przywiózł jej z Francji.

Minęły godziny, zanim Liz i Bernie znowu zostali sami. Liz skuliła się obok niego w łóżku i przez chwilę gawędzili o jego pracy, sklepie, podróży i o dziecku, które nosiła. W tych dniach wydawała się być bardziej zainteresowana tym tematem niż czymkolwiek innym, co Berniemu wcale nie przeszkadzało. To przecież także jego dziecko i bardzo był dumny z Liz. Otoczył ją ramionami i pogrążyli się we śnie, a Liz pomrukiwała z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Rodzice Berniego przyjechali w dzień po rozpoczęciu ferii zimowych. Liz i Jane wyjechały po nich na lotnisko. Liz była już w połowie szóstego miesiąca ciąży. Ruth przywiozła jej wszystko, od wyprawki od Bergdorfa począwszy, a na broszurkach na temat zdrowia, które Lou musiał na jej specjalne życzenie przynieść ze szpitala, skończywszy. Miała też dla Liz porady jeszcze z epoki własnej babki.

Gdy przyjrzała się jej uważnie z profilu w hali bagażowej, uradowała wszystkich kategorycznym stwierdzeniem, że na pewno będzie chłopiec.

Rodzice zostali w San Francisco przez tydzień, potem pojechali z Jane do Disneylandu, aby Bernie i Liz sami świętowali rocznicę ślubu, co też czynili przez trzy dni z rzędu.

Pierwszego dnia poszli do L'Etoile, a po powrocie do domu kochali się przez wiele godzin. Następnego wieczoru udali się na wielką imprezę charytatywną zorganizowaną w sklepie, w sylwestra zaś bawili się z przyjaciółmi i zakończyli noc znowu w L'Etoile, tym razem przy barze. To były cudowne dni, lecz gdy rodzice wrócili, Ruth zwróciła Berniemu uwagę, że według niej Liz wygląda okropnie. Była blada, zmęczona i wycieńczona. Od miesiąca narzekała na bóle w biodrach i plecach.

- Dlaczego jej gdzieś nie zabierzesz?

- Myślę, że powinienem.

Tak ciężko pracował, że nawet o tym nie pomyślał. Zapowiadało się, że ten rok będzie dla niego trudny. Dziecko miało się urodzić akurat w czasie jego corocznej wiosennej podróży do Nowego Jorku i Europy. Postanowił odłożyć wyjazd do czasu rozwiązania. Poza tym miał, nie wiedzieć czemu, więcej pracy w sklepie.

- Zobaczę, czy dam radę.

Matka wycelowała w niego gniewnie palec.

- Nie zaniedbuj swoich obowiązków Bernardzie.

Bernie wybuchnął śmiechem.

- Czyją ty właściwie jesteś matką? Moją czy jej?

Czasami żał mu było Liz. Nie miała żadnej rodziny poza nim, Jane i jego rodzicami w Nowym Jorku. To musiało być przykre. Wprawdzie jego matka bywała czasami nieznośna, zawsze jednak wiedział, że jest ktoś, kto się o niego troszczy.

- Nie bądź taki dowcipny. Wyjazd jeszcze przed porodem powinien jej dobrze zrobić.

Choć raz Bernie wziął pod uwagę rady matki i zabrał Liz na kilka dni na Hawaje. Tym razem nie wzięli ze sobą Jane, choć boczyła się na nich za to przez kilka tygodni. Po prostu wrócił pewnego dnia ze sklepu z naręczem letniej odzieży ciężowej dla Liz i załatwioną rezerwacją. Postawił ją przed faktem dokonanym, tak że po trzech dniach wyjechali.

Gdy wrócili, Liz była brązowa, zdrowa, wypoczęta i znowu czuła się jak dawniej, może z wyjątkiem pieczenia w żołądku, bezsenności, bólów w plecach, obrzęków nóg i narastającego zmęczenia, co według lekarza było czymś zupełnie naturalnym. Najgorsze były bóle pleców i bioder, ale to też, jak zapewniał lekarz, mieściło się w normie.

- Mój Boże, Bernie, czasami wydaje mi się, że już nigdy nie będę taka jak kiedyś,

Przybyło jej ponad trzydzieści funtów, a miała jeszcze przed sobą dwa miesiące ciąży. W oczach Berniego nadal wyglądała bardzo ładnie. Twarz miała trochę pełniejszą niż zwykle, lecz wcale jej to nie szpeciło; po prostu sprawiała wrażenie młodszej. Była przy tym zawsze zadbana i ładnie ubrana.

Bernie uważał, że wygląda teraz rozkosznie, choć zdawał sobie sprawę, że jego pożądanie osłabło, ale chyba i tak nie był czas po temu, choć Liz czasami narzekała. Bał się, że może uszkodzić płód, zwłaszcza gdy nazbyt się roznamiętnili, co zdarzało się wcale nierzadko. Wreszcie Liz też straciła zainteresowanie seksem. Pod koniec marca było jej okropnie ciężko, poruszała się z trudem i dziękowała Bogu, że nie musi już chodzić do pracy. Na myśl o choćby jeszcze jednym dniu spędzonym w klasie, cały czas na nogach, z rozhasanymi dziećmi, których miałyby uczyć abecadła lub rachunków, ogarniało ją przerażenie.

Cała klasa kupiła jej prysznic dla dziecka, ponadto każdy uczeń dał jej prezent zrobiony własnoręcznie. Miała teraz buciki, sweterki, kapturki, popielniczkę, trzy rysunki, kołyskę, którą wykonał jeden z ojców, i parę maleńkich drewnianych butków, do tego jeszcze podarki od innych nauczycieli. Oczywiście Bernie również przynosił ze sklepu co kilka dni coraz to nowe dziecięce ubranka. Wziąwszy pod uwagę to, co kupował Bernie i co matka przysyłała z Nowego Jorku, Liz miała dość ciuszków co najmniej dla sześcioraczków. Oglądanie tych cudeniek sprawiało jej wiele radości i nie mogła się już doczekać, kiedy będzie po wszystkim. Z niepokojem myślała o porodzie. Cierpiała na bezsenność i zamiast spać, wędrowała po korytarzach, przesiadywała w salonie i robiąc na drutach oglądała nocne programy telewizyjne albo spędzała czas w dzieciennym pokoju, rozmyślając, jak to będzie, gdy dziecko już się urodzi.

Kiedy pewnego popołudnia czekała na powrót Jane ze szkoły, siedząc w bujanym fotelu, który Bernie pomalował dla niej zaledwie dwa tygodnie temu, zadzwonił telefon. Nie

miała ochoty odbierać, lecz robiła to zawsze kiedy Jane była poza domem.

Nigdy nie wiadomo, czy się coś nie wydarzy, czy nie będą jej potrzebować albo czy Jane nie spotkało coś złego w drodze ze szkoły do domu. Może też dzwonić Bernie, a przecież uwielbiała z nim rozmawiać. Wygramoliła się z jękiem z fotela, rozmasowała plecy i przeszła powoli do salonu.

- Halo?

- Dzień dobry.

Głos był jakby znajomy. To na pewno ktoś, kto próbuje jej coś sprzedać.

- Tak?

- Jak się masz?

Ton głosu sprawił, że ścierpła na niej skóra.

- Kto mówi?

Starła się, by wypadło to niedbale, lecz gdy tak stała trzymając słuchawkę, czuła, że brak jej tchu. W głosie brzmiało coś złowieszczonego, choć nie wiedziała jeszcze co.

- Nie pamiętasz mnie?

- Nie.

Już chciała odłożyć słuchawkę z nadzieją, że to tylko dowcip, ale głos szybko zatrzymał ją w miejscu:

- Liz, zaczekaj!

To był rozkaz i głos nagle stracił swą miękkość, stał się ostry i szorstki. Już wiedziała do kogo należy, choć wydawało jej się to niemożliwe... Może tylko brzmienie miał podobne. Stała skamieniała, trzymając telefon w milczeniu.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Nie wiem, kim pan jest.

- Nie pieprz, że nie wiesz - zaśmiał się rozmówca. Był to zły, ochryply dźwięk; nigdy nie lubiła jego śmiechu. Teraz już nie miała wątpliwości, kim był. Nie miała tylko pojęcia, jak ją znalazł i po co. Nie była też pewna, czy chce to wiedzieć.

- Gdzie jest moje dziecko?

- A jakie to ma znaczenie?

To był Chandler Scott, mężczyzna, który spłodził Jane, co dla Liz wcale nie znaczyło, że jest jej ojcem. Jeśli już coś go kiedykolwiek z nimi łączyło, dotyczyło to w najgorszym razie Liz, w żadnym wypadku natomiast nie mogło się odnosić do dziecka. Ojcem Jane był Bernie Fine, a z tym tu człowiekiem Liz nie chciała mieć absolutnie nic do czynienia. Powiedział mu o tym ton jej głosu.

- Co przez to rozumiesz? Nie widziałeś jej przez pięć lat. Chan. Ona nawet nie wie, kim jesteś.

„Nie wie nawet, że żyjesz”, pomyślała, lecz nie powiedziała tego.

- Nie chcemy cię więcej oglądać.

- Słyszałem, że znowu wyszłaś za mąż.

Liz spojrzała na swój brzuch z uśmiechem.

- Założę się, że nowy mężulek ma forszę.

To już była bezczelność, która całkowicie wyprowadziła ją z równowagi.

- I co z tego?

- Pytam, bo chcę wiedzieć, czy mojemu dziecku jest dobrze. W zasadzie myślę, że powinienem ją zobaczyć. W końcu przecież najwyższy czas, aby się dowiedziała że ma prawdziwego ojca, który się o nią troszczy.

- Naprawdę? Jeżeli tak się nią interesujesz, to powinienes być jej o tym powiedzieć dawno temu!

- A skąd mogłem wiedzieć, gdzie jesteś? Zniknęłaś.

Przypomniał jej coś, czego teraz nie była sobie nawet w stanie wyobrazić, gdy słuchała jego słów wściekła, z nieprzytomnie walącym sercem. Kiedyś miała mu wiele do powiedzenia, ale to było tak dawno temu! Jane liczyła sobie już przecież siedem lat.

- A jak mnie znalazłeś?

- To nie było trudne. Twoje nazwisko figurowało w starej książce telefonicznej, a twoja była gospodyni powiedziała mi, jak się teraz nazywasz. Jak się ma Jane?

Zacisnęła zęby, gdy wymówił imię córki.

- Dobrze.

- Pomyślałem, że wpadnę któregoś dnia, żeby się z nią przywitać.

Liz przybrała możliwie najbardziej obojętny ton głosu.

- Nie trać czasu, nie pozwolę ci się z nią widzieć.

Jane myślała, że on nie żyje, i Liz gorąco pragnęła, żeby tak było naprawdę.

- Nie możesz jej trzymać z dala ode mnie, Liz.

W jego głosie wyczuła nieprzyjemną nutę.

- Ach, tak? A to niby dlaczego?

- Spróbuj wytłumaczyć sędziemu, dlaczego uniemożliwiasz naturalnemu ojcu widywanie się z córką.

- A ty spróbuj mu wyjaśnić, dlaczego zostawiłeś ją sześć lat temu. Myślę, że zyskasz tym jego wielką sympatię.

Usłyszała dzwonek do drzwi i serce w niej zamarło. To Jane. Nie chciała, by córka słyszała, że z nim rozmawia.

- W każdym razie radzę ci zniknąć Chan, a mówiąc trochę jaśniej idź do diabła!

- No to masz, co chciałaś. Dziś po południu spotykam się z adwokatem.

- Po co?

- Chcę się zobaczyć z moim dzieckiem.

Dzwonek znowu zadzwonił i Liz krzyknęła, by Jane poczekała minutę.

- Po co?

- Ponieważ mam do tego prawo.

- A co potem? Znowu znikniesz na kolejne sześć lat? Dlaczego nie zostawisz nas w spokoju?

- Mogę, ale musisz ze mną porozmawiać.

A więc o to chodziło; kolejne łajdactwo. Chciał od nich pieniędzy. Że też się od razu nie domyśliła.

- Gdzie mieszkasz? Oddzwonię do ciebie.

Podał jej numer telefonu do hotelu Marin. Liz pospiesznie zanotowała.

- Jeszcze dziś wieczorem chcę mieć od ciebie wiadomość.

- Dobrze.

- Skurwysyn - powiedziała przez zaciśnięte zęby, gdy odłożyła słuchawkę i szła do drzwi. Wpuściła Jane błada jak ściana. Mała waliła w drzwi torbą na lunch tak zawzięcie, że w tym miejscu pozostał spory odprysk czarnej farby. Porządnie za to skrzyczana, wybuchnęła płaczem i pobiegła do swego pokoju, trzaskając drzwiami. Liz weszła do niej i usiadła na łóżku, sama bliska łez.

- Przepraszam, kochanie. Miałam okropne popołudnie.

- Ja też, zgubiłam pasek.

Jane włożyła dziś do szkoły różową spódnicę z ukochanym białym paskiem. Dostała go od Berniego i uwielbiała, jak każdą rzecz, którą jej podarował, z tym że oczywiście najbardziej uwielbiała jego samego.

- Tatuś przyniesie ci drugi.

Mała trochę się uspokoiła i pociągnęła nosem. Liz objęła ją ramionami, na co dziewczynka przystała niezbyt chętnie.

Te dni były trudne dla nich wszystkich. Liz czuła się zmęczona, a Bernie rozdrażniony. Co noc, gdy kładli się do łóżka, oczekiwał, że Liz może zacząć rodzić. Jane natomiast nie bardzo wiedziała, jak ten nowy człowieczek może wpłynąć na jej

dotychczasowe życie. Nic dziwnego, że od czasu do czasu powarkiwali na siebie.

Sytuacji nie poprawiło nagle pojawienie się Chandlera Scotta.

Liz odgarnęła włosy Jane i dała jej talerz ze świeżo upieczonymi ciasteczkami oraz szklanekę mleka. Kiedy dziewczynka zabrała się do lekcji, Liz wróciła po cichu do salonu. Usiadła z westchnieniem i wykręciła prywatny numer biura Berniego. Sam odebrał telefon, lecz sprawiał wrażenie zajętego.

- Cześć, kochanie, zadzwoniłam raczej nie w porę?

Czuła się koszmarnie i ciągle miała skurcze, które szczególnie dawały się jej we znaki wtedy, gdy była wytrącona z równowagi, jak na przykład teraz po rozmowie z Chandlerem.

- Nie, wszystko dobrze.

Nagle drgnął uświadomiwszy sobie, co żona może mu mieć do powiedzenia.

- Czy już czas?

- Nie - zaśmiała się Liz.

Termin został wyznaczony dopiero za dwa tygodnie, ponadto poród mógł się opóźnić, o czym stale przypominał doktor.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, dobrze... mniej więcej...

Pragnęła z nim porozmawiać, zanim wróci do domu, nie chciała bowiem, aby Jane przypadkowo usłyszała, że rozmawiają o Chandlerze.

- Stało się dziś coś bardzo nieprzyjemnego.

- Skaleczyłaś się?

Powiedział to zupełnie jak babcia Ruth i Liz znowu się rozchmurzyła, choć nie na długo.

- Nie, zadzwonił do mnie stary przyjaciel, a raczej powinnam powiedzieć stary wróg.

Bernie zmarszczył brwi zaintrygowany. Jakich ona miała wrogów? O żadnym nigdy mu nie wspominała. W każdym razie nic takiego sobie nie przypominał.

- Kto to taki?

- Chandler Scott.

Nazwisko Scotta zelektryzowało ich oboje. Po stronie Berniego zaległa długa cisza.

- Czy to ten sam, o którym myślę? Twój były mąż, prawda?

- Jeżeli tak można go nazwać. Wszystkiego razem żyliśmy ze sobą około czterech miesięcy, a legalnie jeszcze krócej.

- Skąd on się tu wziął?

- Najprawdopodobniej z więzienia.

- Jak on cię, do licha, znalazł?

- Moja dawna gospodyni podała mu moje obecne nazwisko i powiedziała, że tu mieszkamy. Wiedząc to nietrudno było mnie znaleźć.

- Nie sądzisz, że powinna najpierw zapytać ciebie o zgodę?

- Podejrzewam, że nie widziała w tym nic złego.

Liz wyciągnęła się na kanapie, ale każda pozycja była niewygodna. Wszystko siedzenie, stanie, leżenie, nawet oddychanie sprawiało jej teraz trudność. Miała wrażenie, że dziecko jest wielkie i bez przerwy się rusza.

- Czego chciał?

- Twierdził, że chce zobaczyć Jane.

- Co?

W głosie Bernieego dało się wyczuć przerażenie.

- Prawdę mówiąc, nie sędzę, aby miał na to ochotę. Powiedział, że chce to z nami „przedyskutować”. Jeżeli nie zechcemy z nim porozmawiać, pójdzie do adwokata, żeby ubiegać się o prawo widywania Jane.

- To mi wygląda na szantaż.

- Bo to jest szantaż. Myślę, że powinniśmy jednak z nim porozmawiać. Powiedziałam, że zadzwonimy do niego dziś wieczorem. Podał mi numer telefonu do hotelu Marin.

- Ja z nim rozmawiam, trzymaj się od tego z daleka.

Zmartwiony wpatrywał się w biurko. Pora była fatalna. To ostatnia sprawa, jaką Liz powinna się teraz zajmować.

- Myślę, że sami powinniśmy skontaktować się z adwokatem. Może już teraz Chandler nie ma żadnych praw.

- To niegłupi pomysł, Liz. Sprawdź to przed powrotem do domu.

- Wiesz, do kogo zadzwonić?

- Mamy w firmie radców prawnych; zobaczę, kogo mi polecą.

Odłożył słuchawkę, a Liz poszła zobaczyć, czy Jane już odrobiła matematykę. Zamykała właśnie książki i popatrzyła na matkę wyczekująco.

- Czy tatuś przyniesie mi dziś nowy pasek? - spojrzała z nadzieją w oczach.

Liz usiadła z westchnieniem.

- Och, kochanie, zapomniałam... Poprosimy go wieczorem.

- Mamusiu...

Zaczęła szlochać i Liz także zachciało się płakać. Nagle wszystko tak się skomplikowało! Już samo poruszanie się, nawet zrobienie kroku dużo ją kosztowało.

Pragnęła, żeby chociaż Jane było łatwiej, a nie trudniej. Biedna Jane bardzo przeżywała wiadomość, że w ich życiu pojawi się dziecko i wszystko zmieni. Wspięła się na kolana matki, sama pragnęła jeszcze pozostać małym dzieckiem. Liz przytuliła ją do siebie i też się rozplakała.

Poczuły się po tym lepiej i poszły na długi spacer. Kupiły trochę czasopism, a ponieważ Jane bardzo chciała przywitać Berniego kwiatami, Liz pozwoliła jej wybrać bukiet irysów i żonkili. Potem ruszyły powoli do domu.

- Czy myślisz, że dziecko już niedługo się urodzi?

Jane patrzyła na matkę trochę z ufnością, trochę ze strachem, a trochę z nadzieją, że może to nigdy nie nastąpi. Choć pediatra twierdził, że Jane jest akurat w bardzo dobrym wieku, by dać sobie z czymś takim radę, i sądził, że gdy tylko dziecko przyjdzie na świat, prędko się przyzwyczai, Liz zaczynała już mieć wątpliwości.

- Nie wiem, kochanie, mam nadzieję, że tak. Coraz bardziej męczy mnie to, że jestem taka gruba.

Uśmiechnęły się do siebie i dalej szły, trzymając się za ręce.

- Wcale tak źle nie wyglądasz. Mama Kathy wygląda okropnie. Twarz zrobiła jej się tłusta jak u świni - wykrzywiła buzię i Liz wybuchnęła śmiechem - i ma też coś takiego niebieskiego na nogach.

- Żylaki.

Liz miała szczęście, że nigdy ich nie dostała.

- Mieć dziecko to chyba coś strasznego, prawda?

- Wcale nie, to bardzo piękne. Tak myślę, chociaż... ale jak już jest po wszystkim warto. Zapomina się o tych różnych niedogodnościach i nie jest to wcale takie złe. A jeśli masz dziecko z mężczyzną, którego kochasz, jest to najmiłsza rzecz na świecie.

- Czy mojego tatusia też kochałaś?

Jane wyglądała na zatroskaną. Dziwne, że musiała zadać to pytanie właśnie dzisiaj, gdy Chandler Scott zadzwonił po tylu latach i przypomniał Liz, jak bardzo go nienawidziła. Nie mogła jednak teraz powiedzieć tego Jane i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie potrafiła to zrobić. Bała się, że mogłoby to zmienić w oczach małej jej własny wizerunek.

- Tak, kochałam, bardzo kochałam.

- Jak umarł?

Jane po raz pierwszy o to zapytała. Liz zaczęła się już zastanawiać, czy dziewczynka czegoś dziś nie usłyszała. Miała nadzieję, że nie.

- Zginął w wypadku.

- Samochodowym?

Wersja ta wydawała się równie sensowna jak każda inna.

- Tak, umarł na miejscu, wcale się nie męczył.

Podejrzewała, że ta wiadomość może być ważna dla córki, i miała rację.

- To dobrze. Musiało ci być bardzo smutno.

- Tak - skłamała Liz.

- Ile miałam wtedy lat?

Były już prawie w domu i Liz tak się zasapała, że trudno jej było mówić.

- Miałaś zaledwie kilka miesięcy, kochanie.

Wspięły się na frontowe schodki i Liz otworzyła drzwi mieszkania. Zmęczona usiadła przy stole kuchennym, a Jane zaczęła układać w wazonie kwiaty dla Berniego. Popatrzyła na matkę z radosnym uśmiechem.

- Cieszę się, że ożeniłaś się z tatą. Teraz znowu mam tatusia.

- Ja też się cieszę. I jest o niebo lepszy od tamtego.

Jane przeniosła kwiaty do drugiego pokoju, a Liz wzięła się za obiad. Nadal z uporem codziennie gotowała posiłki, piekła chleby, przyrządzała ich ulubione desery. Nie miała pewności, jak będzie się czuła po urodzeniu dziecka ani ile będzie miała przy nim pracy, toteż starała się rozpieszczać rodzinę, dopóki było to możliwe. Robiła to konsekwentnie i Bernie cieszył się każdym powrotem do domu oraz delektował wszystkim, co im podtykała. Ostatnio przytył nawet o dziesięć funtów i ze śmiechem obarczał winą za to jej ciążę.

Tego wieczoru wrócił do domu wcześniej. Narobił sporo szumu, podziękował Jane za kwiaty, a dopiero gdy mała poszła spać i zostali z Liz sami, dał upust swemu strapieniu. Do tej pory nie zaczynał rozmowy na ten temat w obawie, by Jane niechęć czegoś nie usłyszała. Teraz zamknął drzwi do ich sypialni i do pokoju córki, włączył telewizor, by dla pewności zagłuszyć rozmowę, i zwrócił na Liz zatroskane oczy.

- Nasz prawnik, pan Peabody, polecił mi pewnego faceta. Nazywa się Grossman. Rozmawiałem z nim dziś po południu.

Bernie ufał mu, gdyż Grossman pochodził z Nowego Jorku i skończył prawo na uniwersytecie Columbia.

- Powiedział, że sprawa wygląda kiepsko. Ten typ ma prawa.

- Ma prawa?

Liz zszokowana sadowiła się w nogach łóżka, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Znowu brakowało jej tchu. Była naprawdę przygnębiona.

- Po tylu latach? Jak to możliwe?

- Ponieważ prawo jest w tym stanie bardzo liberalne, oto dlaczego.

Teraz żałował bardziej niż kiedykolwiek, że Berman nie przeniósł go do Nowego Jorku, zanim to się stało.

- Co prawda gdybym ją wcześniej adoptował, byłby bez szans, ale nie zrobiłem tego. To był mój błąd. Nie sądziłem, że kiedykolwiek będziemy się musieli martwić prawem, skoro Jane używa mojego nazwiska.

Po tym, co powiedział mu adwokat, Bernie nie mógł sobie darować braku przezorności.

- A także, że ją porzucił... że nas zostawił? Na miłość boską!

- To są oczywiście argumenty, które mogą nam pomóc w wygraniu sprawy, ale sęk w tym, że nic nie stanie się automatycznie. Wszystko zależy od sędziego. To byłaby „sprawa sądowa” i sędzia musiałby zająć stanowisko wobec faktu porzucenia. Jeżeli wygramy to wspaniale, jeżeli nie, możemy złożyć apelację, ale w tym czasie, a nawet zanim dojdzie do pierwszej rozprawy, co zajmie trochę czasu, przyznają mu czasowe prawo widywania córki, żeby być wobec niego „w porządku”.

- Chryste Panie, przecież ten człowiek to kryminalista, oszust, łajdak!

Bernie jeszcze nigdy nie widział Liz tak zdenerwowanej. Widać było, jak bardzo nienawidzi tego człowieka, zresztą miała za co. Sam też już zaczynał czuć do niego odrazę.

- Daliby mu dziecko?

- Najwidoczniej tak. Istnieje założenie, że naturalny ojciec to porządny facet, chyba że udowodni mu się co innego. Toteż najpierw pozwolą mu widywać Jane, a dopiero potem pójdziemy do sądu i albo wygramy, albo przegramy. W tym czasie będziemy jednak musieli wyjaśnić Jane, kim on jest, dlaczego ją odwiedza i co my o tym sądzimy.

Oboje byli przerażeni, tak przerażeni, że Bernie tego popołudnia w czasie rozmowy z prawnikiem zdecydował, że powie Liz wszystko.

- Według Grossmana istnieje duże prawdopodobieństwo, że on wygra. W tym stanie kładzie się szczególny nacisk na prawa ojcowskie i bez względu na to, za jakiego skurwysyna go mamy, sędzia może być wobec niego nastawiony przychylnie. Wygląda na to, że ojcowie, bez względu na wszystko, mają prawa, chyba że biją dzieci lub coś w tym rodzaju. A jeżeli nawet to robią, sąd, niby to starając się zagwarantować dziecku warunki ochrony, mimo wszystko pozwala, aby taki wyrodny rodzic mógł je widywać. Czy nie brzmi to zachęcająco?

Był tak wściekły, że nie hamował swego gniewu i dopiero gdy Liz zaczęła płakać, uświadomił sobie, że zachował się kretyńsko. Nie była w stanie stawić czoła takiej ewentualności.

- Och, kochanie, tak mi przykro... Nie powinienem był mówić ci wszystkiego.

- Muszę to wiedzieć, skoro tak wygląda prawda - zaszlochała. - Czy jest jakiś sposób, by się go pozbyć?

- I tak, i nie. Grossman był ze mną szczery. Co prawda kupowanie tego drania jest niezgodne z prawem, ale takie rzeczy już się zdarzały. Podejrzewa, że właśnie o to mu chodzi. Mało prawdopodobne, by po siedmiu latach miał chęć uczyć Jane jazdy na rowerku. Myślę, że Chandler chce po prostu trochę forsy, która pomogłaby mu przetrwać przez jakiś czas, zanim nie trafi znowu do więzienia. Jest tylko jeden problem jeśli to zrobimy, może znowu się pojawić, znowu i znowu. To może być worek bez dna.

Na razie jednak Berniego kusilo, by spróbować chociaż ten jeden raz. A nuż odczepi się od nich raz na zawsze? Przemyślał to w drodze do domu i był gotów dać mu dziesięć tysięcy dolarów, aby zniknął z ich życia. Dałby nawet więcej, lecz bał się, że gdyby dał za dużo, zaostrzyłoby mu to apetyt. Gdy powiedział o tym Liz, w pełni się z nim zgodziła.

- Czy zadzwonimy do niego?

Chciała już z tym skończyć. Skurcze tego wieczoru doprowadzały ją do szaleństwa. Gdy podawała Berniemu kartkę z numerem telefonu Chandlera, serce waliło jej jak oszałałe.

- Sam z nim porozmawiam. Chcę, żebyś stała od tego z daleka. Ty jedna wiesz, że z jego strony to tylko zagrywka, byś czasem nie myślała, że da ci spokój. Im mniejszą będzie miał satysfakcję, tym lepiej dla ciebie.

Brzmiało to sensownie i Liz była szczęśliwa, że może pozostawić Berniemu załatwienie całej sprawy.

Bernard wykręcił numer telefonu i poprosił Chandlera Scotta. Wydawało im się, że czekają bardzo długo. Bernie trzymał słuchawkę tak, by także Liz mogła słyszeć i kiedy Scott się odezwie, potwierdziła, że rozmawia z właściwym człowiekiem. Usłyszawszy męski głos, skinieniem głowy dała znać, że to on.

- Czy to pan Scott? Moje nazwisko Fine.

- Och? - po chwili zrozumiał. - W porządku, pan jest mężem Liz?

- Zgadza się.

- Rozumiem, że zadzwonił pan dziś po południu w interesach.

Grossman powiedział mu, żeby nie wspominał nic o dziecku ani o pieniądzach na wypadek, gdyby Scott go nagrywał.

- Mam już dla pana należność.

Scott szybko chwycił. Lubił ludzi zdecydowanych, choć większą satysfakcję dałaby mu ponowna rozmowa z Liz.

- Czy sądzi pan, że powinniśmy się wszyscy spotkać i to omówić?

Tak samo jak Bernie mówił bardzo oględnie. Być może bał się policji. Bóg wie, w co jest teraz wplątany, pomyślała Liz.

- Nie sądzę, aby to było konieczne. Mój klient już ustalił dla pana cenę jednorazowo dziesięć tysięcy za całość pana wcześniejszych usług. Myślę, że chcą wykupić pana udziały.

Znaczenie tych słów było jasne dla całej trójki. Po drugiej stronie zaległa długa cisza.

- Czy będę musiał coś podpisać? - mówił z dużą ostrożnością.

- Nie ma potrzeby.

Bernie chciałby, żeby to zrobił, lecz Grossman uprzedził go, że taka umowa nie byłaby warta nawet papieru, na którym zostałyby zapisana.

Scott doszedł do sedna sprawy i teraz w jego głosie dała się wyczuć chciwość.

- Jak je dostanę?

„W brązowej kopercie na przystanku autobusowym” Bernie o mało się nie roześmiał, tyle że to wcale nie było zabawne. Chciał się pozbyć tego łajdaka możliwie jak najszybciej z uwagi na nich wszystkich, a zwłaszcza na Liz, która w żadnym wypadku nie powinna mieć takich przeżyć tuż przed porodem.

- Z chęcią spotkam się z panem w tym celu.

- W gotówce?

- Oczywiście.

Sukinsyn, chciał tylko pieniędzy. Nic go nie obchodziła Jane. Nigdy go nie obchodziła, tak jak mówiła Liz.

- Będę rad, mogąc dać je panu jutro.

- Gdzie pan mieszka?

Na szczęście ich adres nie był umieszczony w książce telefonicznej i Bernie odczuł z tego powodu ulgę. Nie miał również ochoty spotykać się z nim w biurze; sądził, że powinien to być jakiś bar, restauracja czy brama. Wszystko coraz bardziej zaczynało mu się kojarzyć z kiepskim filmem. Próbował pomyśleć, gdzie powinien się z nim umówić.

- Spotkamy się u Harry'ego na Union Street w porze lunchu.

Jego bank był jedynie o pół przecznicy dalej. Będzie mógł dać mu pieniądze i wrócić do domu, by sprawdzić, jak się ma Liz.

- Wspaniale.

Chandler Scott wydawał się być człowiekiem zadowolonym i spokojnym.

- Do zobaczenia jutro.

Prędko odłożył słuchawkę. Bernie odwrócił się do Liz.

- Weźmie.

- Czy myślisz, że na tym poprzestanie?

- Na razie. Myślę, że dla niego to kupa pieniędzy i teraz nie potrafi myśleć o niczym więcej. Jest tylko jeden problem, o którym zresztą wspomniał też Grossman, Scott może do nas znowu wrócić, ale wówczas nie będzie można mu ulec.

Bernie nie mógł sobie pozwolić na comiesięczne szantaże.

- Przy odrobinie szczęścia, zanim znowu wygłodnieje, będziemy już w Nowym Jorku i nigdy nas nie znajdzie. Uważam, że następnym razem pominiemy twoją byłą gospodynię i nie powiemy jej, gdzie się przeprowadzamy, albo poprosisz, by nikogo o tym nie informowała.

Liz przytaknęła ruchem głowy. Bernie miał rację: jeżeli przeprowadzą się do Nowego Jorku, Chandler prawdopodobnie nie będzie w stanie ich znaleźć.

- Nie chciałem się z nim umawiać w sklepie, bo wówczas zawsze potrafiły nas odszukać.

Liz spojrzała na niego z wdzięcznością i znowu z aprobatą skinęła głową.

- Tak mi przykro, kochanie, że cię w to wciągnęłam. Obiecuję, że jak zaoszczędzę pieniądze, wszystko ci zwrócę.

- Nie bądź śmieszna - objął ją ramieniem. - To tylko jedna z wielu naszych spraw i jutro będzie już po kłopotach.

Popatrzyła na niego smutnymi, poważnymi oczami. Pamiętała ból, który sprawił jej Chandler Scott. Nagle coś w niej zadrżało i wyciągnęła do Berniego rękę.

- Czy obiecasz mi coś?

- Wszystko.

Nigdy nie kochał jej bardziej niż w tej chwili, gdy siedział i patrzył na jej ogromny brzuch.

- Jeżeli coś mi się stanie, czy ochronisz przed nim Jane?

Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia i Bernie spojrzał na nią z niezadowoloną miną.

- Nie mów takich rzeczy.

Był w dostatecznym stopniu Żydem, by wierzyć w przesady. Nie tak jak jego matka, ale wystarczająco.

- Nic ci się nie stanie.

Lekarz przestrzegał go, że przed porodem kobiety stają się czasami niezwykle lękliwe, a przed samym rozwiązaniem miewają nawet katastroficzne nastroje. Może to znaczyło, że dziecko już wkrótce przyjdzie na świat?

- Ale czy mi obiecasz? Nie chcę, żeby kiedykolwiek się z nią zetknął. Przynajmniej...

Dygotała z przejęcia i Bernie obiecał.

- Wiesz, że kocham ją jak własne dziecko. Naprawdę nie musisz się martwić.

Tej nocy jednak Liz, leżąc w jego ramionach, miała koszmarne sny, a i Bernie był mocno zdenerwowany, gdy szedł do baru Harry'ego na spotkanie ze Scottem, niosąc plik studolarówek w kopercie.

Liz powiedziała, by się rozglądał za wysokim, szczupłym, jasnowłosym mężczyzną. Znając go, uprzedziła, że może wyglądać na człowieka całkiem innego, niżby przypuszczał.

- Ma wygląd faceta, którego raczej spodziewałbyś się spotkać na jachcie i którego chętnie byś przedstawił młodszej siostrze.

- To straszne. Najprawdopodobniej podejść do pierwszego lepszego faceta, wręczę mu kopertę, a on da mi w mordę... albo, co gorsza, weźmie ją i ucieknie.

Kiedy stał teraz przy barze u Harry'ego, podenerwowany jak rosyjski szpieg wykonujący tajną misję, i obserwował tłum przybywający tu na lunch, poznał Scotta od razu po jego wejściu. Tak jak powiedziała Liz, był przystojny i pogodny. Miał na sobie blezer i szare spodnie. Przyjrzawszy mu się jednak uważniej, można było dostrzec, że blezer jest tani, mankiety koszuli wytarte, a buty znoszone. Całe ubranie oszusta było mocno zniszczone i Scott wyglądał jak podstarzały absolwent szkoły średniej w okresie złej passy. Podeszedł do baru, zamówił od razu szkocką i ujął szklankę drżącą ręką, podczas gdy jego oczy przeczesywały tłum.

Bernie miał nad nim tę przewagę, że nie powiedział mu, jak wygląda. Był prawie pewny, że to właśnie ten człowiek. Obserwował Scotta gawędzącego opodal z barmanem. Słyszał, jak opowiada, że wrócił właśnie z Arizony, a po kilku minutach, wypiwszy połowę drinka, zwierzył się, że był tam w więzieniu. Kiedy skończył opowiadać wzruszył ramionami z chłopięcym uśmiechem.

- Niech ich diabli, skoro nie znają się na żartach... Puściłem, cholera, parę fałszywych czeków i sędzia dostał wariacji. Jak dobrze być z powrotem w Kalifornii!

Był to smutny komentarz na temat praw stanowych i Bernie znowu pożałował, że nie wrócili do Nowego Jorku. W końcu postanowił do niego podejść.

- Czy pan Scott? - spytał cicho i dyskretnie przysunął się do Scotta, który najwyraźniej zdenerwowany, stał z drugim już drinkiem w ręce.

Z bliska Bernie spostrzegł, że jego rozmówca ma niebieskie oczy, takie jak Jane. Tylko że Liz również miała oczy tego koloru, trudno więc było powiedzieć, po kim Jane je odziedziczyła. Scott miał przystojną twarz, lecz wyglądał poważniej niż na dwadzieścia dziewięć lat. Gęste jasne włosy opadały mu na jedno oko i Bernie zrozumiał, dlaczego Liz się

w nim zakochała. Miał niewinny chłopięcy wygląd, który zapewne był mu niezwykle pomocny w oszukiwaniu ludzi i wciąganiu ich w swoje mętne sprawy. Nabierał kogo się tylko dało, od kiedy skończył osiemnaście lat i jak widać, częste aresztowania ani na jotę nie zmieniły jego obyczajów. Wciąż jednak miał powierzchowność naiwnego chłopaka ze środkowego Zachodu. Widać było, jak bardzo stara się uchodzić za światowca, ale jednocześnie nie potrafił wyzbyć się wyglądu człowieka, który ma złą passę.

Usłyszawszy pytanie Berniego, obrzucił go niespokojnym, chciwym wzrokiem.

- Tak - uśmiechnął się, lecz drgnęły jedynie jego usta.

Oczy Scotta, z uwagą lustrującego Berniego, pozostały zimne jak lód.

- Nazywam się Fine.

Wiedział, że tylko tyle powinien powiedzieć.

- Wspaniale - rozpromienił się Scott. - Ma pan coś dla mnie?

Bernie pokiwał głową, nie spieszył się jednak z wręczeniem mu koperty. Oczy Scotta oceniały każdy szczegół jego ubioru.

- Tak.

Zatrzymał wzrok na jego zegarku, ale Bernie był na tyle ostrożny, że nie włożył swego Patka ani nawet Rolexa; miał zegarek, który dostał wiele lat temu od ojca, kiedy chodził do szkoły handlowej. Co prawda ten również nie był tani, i Scott doskonale o tym wiedział. Domyślał się, że trafił na zamożnego faceta.

- Widzę, że Liz znalazła sobie miłego męża.

Bernie wstrzymał się od komentarza, bez słowa wyjął kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Podejrzewam, że o to panu chodzi. Może pan przeliczyć, jest cała kwota.

Scott przez ułamek sekundy wpatrywał się w Berniego.

- Skąd mogę wiedzieć, że są prawdziwe?

- Pan chyba żartuje - Berniego zamurowało. - Skąd miałbym, do licha, wziąć fałszywe pieniądze?

- Takie rzeczy się robi.

- Proszę je zabrać do banku i poprosić, by sprawdzili. Poczekam tutaj.

Bernie nie wyglądał na speszonego. Scott natomiast przerzucał studolarówki w kopercie nie sprawiając wrażenia człowieka, który by się gdziekolwiek wybierał. Była cała suma dziesięć tysięcy dolarów.

- Zanim pan odejdzie, chcę dokładnie wyjaśnić jedną rzecz. Proszę nigdy nie wracać. Nie damy już panu więcej ani centa, jasne?

Utkwił w Chandlerze wzrok.

- Zrozumiałem - uśmiechnął się przystojniak.

Dopił drinka, odstawił szklanekę, wsunął kopertę pod sweter i spojrzał po raz ostatni na Berniego.

- Proszę ucałować ode mnie Liz. Szkoda, że się z nią nie zobaczyłem.

Bernie miał chęć pożegnać go kopniakiem, wytrwał jednak w bez ruchu. Ciekawe, że Scott ani razu nie wspomniał o Jane.

Sprzedził ją za dziesięć tysięcy dolarów, po czym machnąwszy niedbale barmanowi, wyszedł powoli z restauracji i zniknął za rogiem, podczas gdy Bernie, rozdygotany, ciągle tkwił przy barze. Nie miał nawet chęci na drinka. Pragnął jedynie pójść do domu, do żony, i upewnić się, że ma się dobrze. Miał niejakie obawy, że Scott wbrew umowie może się tam pojawić, by niepokoić Liz lub próbować zobaczyć się z Jane, choć nie wydawało się prawdopodobne, by zależało mu na córce. Nie wykazał najmniejszego zainteresowania jej osobą.

Bernie ruszył do wyjścia, wszedł do samochodu i pojechał do Buchanan i Vallejo. Zostawił wóz przed garażem i błyskawicznie pokonał strome schody. Był roztrzęsiony po tym spotkaniu i choć nie rozumiał czemu, wiedział jedynie, że musi zobaczyć Liz. Mocując się z kluczem, myślał, że nikogo nie ma w domu, ale po chwili znalazł ją w kuchni. Odgarniając włosy z oczu, piekła ich ulubione ciasteczka.

- Cześć.

Jego twarz zaczynała się powoli rozjaśniać. Poczł tak wielką ulgę na widok Liz, że miał ochotę krzyknąć, ona zaś usiadłszy ciężko na kuchennym krześle, powitała go uśmiechem. Gdyby nie ogromny brzuch, wyglądałaby niczym księżniczka z bajki.

- Witaj, kochanie.

Zaczął delikatnie gładzić jej zmęczoną twarz. Od rana martwiła się o niego w poczuciu winy z powodu kłopotów i wydatku, których mu przysporzyła.

- Czy wszystko poszło dobrze?

- Doskonale. Wyglądał dokładnie tak, jak opisałaś. Podejrzewam, że jest kompletnie splukany. Jeżeli masz rację, to prędko skończy znowu w więzieniu. Temu człowiekowi udało się dokonać więcej fałszerstw i oszustw, niż można sobie wyobrazić. Na co mu potrzebne pieniądze?

- Żeby przetrwać, jak sądzę. Nie potrafi w inny sposób zarobić na życie. Kiedyś byłam skłonna wierzyć, że gdyby włożył tyle wysiłku w coś uczciwego, stałby już na czele General Motors.

Bernie uśmiechnął się do niej.

- Czy mówił coś o Jane?

- Ani słowa, po prostu, jak mówią, wziął pieniądze i dał nogę.

- Dobrze. I mam nadzieję, że już więcej nie wróci.

Westchnęła z ulgą i popatrzyła z czułością na męża. Jak cudownie, że go ma, zwłaszcza po tych wszystkich ciężkich latach, które przeżyła, nim się poznali. Nigdy nie zapomni, ile szczęścia mu zawdzięcza.

- Ja też na to liczę.

Nie dałby jednak głowy za to, że widzieli Chandlera Scotta po raz ostatni. Był nazbyt układny i trochę za bardzo beztroski. Bernie nie powiedział tego jednak Liz, bo i tak miała o czym myśleć.

Zamierzał wreszcie porozmawiać z nią na temat adopcji Jane, ale na razie, to znaczy dopóki nie urodzi się dziecko, nie chciał jej niczym dodatkowo obarczać. Przez cały czas czuła się fatalnie i była w kiepskim nastroju.

- W każdym razie zapomnij o tym. Już po wszystkim. Skończone. Jak się ma nasz mały przyjaciel? - potarł jej brzuch wydęty jak u Buddy, ona zaś wybuchnęła śmiechem.

- Jednego jestem pewna, że okropnie kopie. Wygląda na to, że jest gotowe w każdej chwili przyjść na świat.

Dziecko zrobiło się strasznie ciężkie, a brzuch opuścił się tak bardzo, że Liz z trudem chodziła. Bernie nie odważyłby się teraz z nią kochać. Wyglądało na to, że główka dziecka napiera na miednicę, i Liz twierdziła, że stale czuje ucisk na pęcherz.

Tej nocy miała wyjątkowo ostre bóle i Bernie kazał jej zadzwonić po lekarza. Ten jednak wcale się nie przejął, powrócili więc na resztę nocy do łóżka, choć Liz i tak już nie mogła usnąć.

Kolejne trzy tygodnie wlokły się w żółtim tempie. Po dziesięciu dniach od wyznaczonej daty porodu Liz była już tak umęczona, że pewnego razu, gdy Jane nie chciała jeść obiadu, usiadła i rozplakała się.

Bernie zaproponował, by się gdzieś wybrali, Jane była jednak przeziębiona, a Liz zbyt zmęczona, by wychodzić z domu. Nie chciało jej się ubierać, ponadto bez przerwy bolały ją biodra. Bernie wieczorem poczytał więc trochę Jane, a następnego ranka sam odprowadził ją do szkoły, choć w tym dniu, zgodnie z umową, mogła się zabrać z sąsiadem. Następnie udał się do pracy i ledwie przekroczył próg biura, sekretarka połączyła się z nim interkomem. Akurat przeglądał sprawozdania z Nowego Jorku z wynikami sprzedaży za marzec były imponujące.

- Tak?

- Pani Fine na czwórcie.

- Dziękuję, Irene.

Połączył się, nadal studiując sprawozdania i myśląc, dlaczego Liz dzwoni.

- O co chodzi, kochanie?

Nie sądził, aby zapomniał czegoś z domu, a może Jane się pogorszyło i Liz chce, by ją zabrał już ze szkoły?

- Wszystko w porządku?

Liz zaśmiała się, co było czymś zaskakującym w porównaniu z nastrojem, w jakim zostawił ją tego dnia rano. Roztargniona i gderliwa, warknęła na niego, gdy zaproponował, by wyszli wieczorem na obiad. Wiedział jednak, jak bardzo zrobiła się nerwowa i jak okropnie się czuje, więc nie miał jej specjalnie za złe tego wybuchu.

- Owszem.

Była podniecona i szczęśliwa.

- No cóż, wygląda na to, że jesteś naprawdę wesoła. Czy wydarzyło się coś szczególnego?

- Może.

- Co to znaczy? - natychmiast nastawił się na odbiór.

- Właśnie odeszły mi wody.

- Alleluja! Zaraz będę w domu.

- Nie musisz, jeszcze nic poważnego się nie zaczęło, miałam tylko kilka lekkich skurczy.

Ton jej głosu był jednak zwycięski, a Bernie i tak nie wytrzymałby ani minuty dłużej w sklepie, z dala od niej. Czekali na tę chwilę dziewięć i pół miesiąca i teraz chciał być razem z nią.

- Czy dzwoniłaś już do lekarza?

- Tak, kazał zatelefonować, jak się zaczniesz.

- Ile to będzie według niego trwało?

- Pamiętaj, co mówili na kursie? Może być za pół godziny, a może się nie zacząć do jutra rana. W każdym razie i tak już niedługo.

- Zaraz będę. Czy potrzebujesz czegoś?

Uśmiechnęła się w słuchawkę.

- Tylko mojego najdroższego... Przepraszam, że byłam przez ostatnie tygodnie taką zołą, ale czułam się paskudnie.

Nie mówiła mu nawet, jak bardzo bolały ją biodra i plecy.

- Wiem, nie martw się tym, maleńka. Już prawie po wszystkim. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę dziecko.

Nagle ogarnął ją strach i kiedy Bernie wrócił do domu, zauważył, że jest bardzo napięta. Roztarł jej więc plecy i zabawiał rozmową, gdy brała prysznic. Kąpiel chyba wszystko przyspieszyła. Liz usiadła z przejętą miną i skrzywiła się, kiedy nadeszły pierwsze poważne skurcze. Bernie każąc żonie głęboko oddychać, wyjął swój ulubiony zegarek, by zmierzyć częstotliwość bólów.

- Czy musisz to nosić?

Znowu stała się zrzędliva, lecz oboje dzięki kursom wiedzieli, co jest tego przyczyną. Liz najpewniej wchodziła w fazę przejściową porodu.

- Czemu nosisz ten zegarek? Jest taki pretensjonalny.

Bernie uśmiechnął się do siebie, nabierając pewności, że Liz jest już coraz bliżej rozwiązania. Jej drażliwość zapowiadała decydującą fazę.

Zadzzwonił do Trący do szkoły i poprosił, by zabrała Jane do siebie. Trący bardzo się przejęła wiadomością, że Liz zaczęła rodzić.

O pierwszej skurcze zmieniły się w tak silne i częste, że Liz z trudem łapała oddech między jednym a drugim. Zdecydowanie nadszedł czas, by jechać. Lekarz już na nich czekał w szpitalu. Bernie pchał Liz na wózku, a za nimi szła pielęgniarka. Za każdym razem, gdy Liz chwycił skurcz, dawała mu znak, by się zatrzymał.

Nagle zaczęła wymachiwać rękami jak oszalała, nie mogąc złapać tchu, kiedy jeden skurcz przeszedł w drugi, trzeci i czwarty, bez chwili przerwy. W końcu gdy znalazła się w sali porodowej, gdzie pomogli jej przejść z wózka na łóżko, na którym przy pomocy Berniego zdjęła ubranie, rozplakała się na dobre.

- Wszystko dobrze, maleńka... wszystko dobrze...

I wówczas cały strach go opuścił. Nie wyobrażał sobie, że w tej właśnie chwili, kiedy rodziło się ich dziecko, mógłby być w jakimkolwiek innym miejscu, a nie przy niej.

Liz wydała przerażający krzyk przy kolejnym skurczu i jeszcze bardziej rozdzierający podczas badania przez lekarza. Bernie trzymał żonę za ręce i prosił, by oddychała, lecz miała kłopoty z koncentracją traciła nad sobą panowanie. Lekarz obejrzał ją, zadowolony z postępów.

- Świetnie sobie radzisz, Liz.

Był to kordialny mężczyzna o siwych włosach i niebieskich oczach. Od pierwszego spotkania bardzo podobał się zarówno Berniemu, jak i Liz. Teraz też wyczuwało się w nim

ciepło i znajomość rzeczy. Liz wcale go jednak nie słuchała. Kurczowo ścisnęła Berniego za rękę i krzyczała przy każdym skurczu.

- Rozwarcie jest na osiem centymetrów. Jeszcze dwa i możesz zacząć przeć.

- Nie chcę przeć... chcę do domu...

Bernie uśmiechnął się do lekarza i zaczął namawiać Liz, by głęboko oddychać. Rozwarcie o następne dwa centymetry nastąpiło szybciej, niż przypuszczał lekarz.

Liz parlała do czwartej; w sumie minęło osiem godzin od chwili, kiedy zaczął się poród. Berniemu, bez przerwy uspokajającemu żonę rozmową, czas ten minął nadszpiewanie szybko, jej natomiast wydawało się, że bolesne skurcze, których już nie była w stanie znieść, trwają całą wieczność.

- Już nie mogę - wrzasnęła i przestała przeć.

Zabierano się już do unieruchomienia jej nóg, a lekarz zaczął mówić o zrobieniu nacięcia.

- Wszystko mi jedno, co zrobicie... wyciągnijcie tylko ze mnie to dziecko... - sama teraz płakała jak dzieciak, Bernie zaś patrząc na nią czuł dławienie w gardle. Nie mógł znieść widoku jej ciała wijącego się z bólu.

Chyba nawet głębokie oddechy niewiele dawały, lekarz jednak nie wyglądał na zdenerwowanego.

- Nie może jej pan czegoś dać? - szepnął do niego Bernie, lecz ten potrząsnął głową.

Zaczęła się gorączkowa bieganina pielęgniarek, dwie kobiety w zielonych strojach chirurgicznych popychały wózek z podgrzewającą lampą i naraz stało się dziecko już się rodziło. Bernie pochylił się nisko nad uchem Liz i zachęcał ją, by oddychać i parlać zgodnie ze wskazówkami doktora.

- Nie mogę... nie mogę... za bardzo boli...

Nie była w stanie tego dłużej wytrzymać. Bernie oniemiał, gdy spojrzął na zegarek i stwierdził, że jest szósta. Liz parlała ponad dwie godziny.

- No, dalej! - lekarz był teraz zdeterminowany. - Przyj moczniej... dalej, Liz! Jeszcze... teraz... właśnie tak... o, tak... nuże!... Pojawiła się główka dziecka... wychodzi... dalej!

Naraz w udreńczony jęk kobiety wplótł się inny, cichszy, i Bernie patrzył, jak pomiędzy nóg Liz prosto w ręce doktora wynurza się główka dziecka. Podparł ramiona Liz, by mogła obserwować i przeć dalej. I nagle się pojawił ich syn!

Liz śmiała się i płakała, a Bernie całował ją i też płakał. To było święto życia i zgodnie z tym, na co ich przygotowywano, ból prawie natychmiast poszedł w zapomnienie. Jak tylko odeszło łożysko, lekarz odciął pępowinę i podał Berniemu syna, podczas gdy Liz na

stole porodowym drżąc uśmiechała się radośnie.

Pielęgniarka zapewniła ją, że drzenie jest również normalną reakcją. Umyli ją, a Bernie przytulił twarzyczkę dziecka do twarzy matki. Liz ucałowała aksamitny policzek ich maleństwa.

- Jak będzie miał na imię? - lekarz patrzył na nich z uśmiechem.

Bernie promieniał, Liz dotykała ze zdumieniem noworodka. Wymienili między sobą spojrzenie i Liz po raz pierwszy wymówiła imię syna:

- Alexander Arthur Fine.

- Mój dziadek miał na imię Arthur - wyjaśnił Bernie.

Nie przywiązywali wagi do drugiego imienia dziecka, Bernie jednak obiecał to matce.

- Alexander Arthur Fine - powtórzył i z maleństwem na ręku pochylił się, by ucałować żonę. Ich łzy się mieszały, a dziecko spało słodko w jego ramionach.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Przybycie Alexandra Arthura Fine wywołało takie poruszenie, jakiego nigdy dotąd nie odnotowała najnowsza historia rodziny. Przyjechali rodzice Berniego z torbami prezentów i zabawek dla Jane, Liz i dziecka. Babcia Ruth szczególnie uważała, by nie pominąć Jane. Narobiła wokół niej strasznie dużo szumu, co Bernie i Liz przyjęli ze szczególną wdzięcznością.

- Wiesz co? Gdy czasami mam już naprawdę dość mojej matki, ona nagle robi coś tak miłego, że nie mogę uwierzyć, aby była to ta sama kobieta, która na ogół doprowadza mnie do obłądu.

Liz spojrzała na niego z uśmiechem. Wszystko, czego wspólnie doświadczyli podczas porodu Alexandra bardzo ich do siebie zbliżyło. Ciągłe pozostawali pod wrażeniem tego wstrząsającego dla nich przeżycia.

- Może to samo powie o mnie pewnego dnia Jane.

- Nie sądzę.

- Chciałabym mieć tę pewność przekomarzała się Liz. Coś mi się nie wydaje, abym była od tego wolna. Sądzę, że matka jest tylko matką...

- Nie przejmuj się, ja ci nie pozwolę.

Poklepał po pośladkach Alexandra, który spał po karmieniu przy piersi matki.

- Nie martw się, chłopie, jak pojawią się u niej pierwsze objawy, stłukę ją za ciebie na kwaśne jabłko. - Pochylił się jednak, by ją pocałować.

Liz siedziała wygodnie na łóżku w zielonkawoniebieskiej satynowej lizesce, którą jej przywiozła matka.

- Ona mnie paskudnie psuje, wiesz?

- Powinna, jesteś jej jedyną córką.

Ruth podarowała Liz pierścioneł, który dostała trzydzieści sześć lat wcześniej od Lou po urodzeniu Berniego. Był to szmaragd w otoczeniu maleńkich brylancików. Oboje byli wzruszeni doniosłością tego gestu.

Rodzice zostali przez trzy tygodnie, ale znowu zatrzymali się w hotelu Hunington. Codziennie gdy Jane była w szkole, Ruth pomagała Liz przy niemowlęciu, po południu zaś wychodziła z wnuczką, wprowadzając małą w barwny świat przygód i pilnie strzeżonych przed innymi tajemnic.

Była wielką podporą dla Liz, która nie miała nikogo do pomocy, a nie zgadzała się, by

Bernie kogoś wynajął. Sama chciała opiekować się dzieckiem, sama, jak zawsze, sprzątała dom i gotowała.

- Nie zniosłabym, gdyby ktoś inny robił to za mnie.

Była tak nieugięta, że Bernie musiał się na to zgodzić. Widział jednak, że Liz nie odzyskuje sił. To samo powiedziała matka przed odlotem do Nowego Jorku.

- Uważam, że nie powinna karmić dziecka. To ją za dużo kosztuje. Przecież jest kompletnie wykończona.

Lekarz uprzedził Liz, że to może być dla niej bardzo wyczerpujące, toteż nie przejęła się specjalnie opinią Berniego, że szybciej doszłaby do siebie, gdyby przestała karmić.

- Mówisz zupełnie jak twoja matka - rzuciła mu gniewne spojrzenie.

Jednak po miesiącu nadal większość dnia spędzała w łóżku.

- Karmienie piersią całkowicie odmienia świat niemowlęcia. Daje mu niezbędną odporność...

Podawała mężowi wszystkie oficjalne argumenty entuzjastów karmienia piersią, lecz wcale go to nie przekonywało. Odkąd matka, zwracając uwagę na osłabienie Liz, posiadała niepokój w sercu Berniego, przestały go uspokajać dyskusje nad tym, czy stan ten jest normalny, czy nie.

- Nie bądź taką Kalifornijką.

- Pilnuj własnego nosa - fuknęła i nawet nie chciała słyszeć o tym, że mogłaby przestać karmić dziecko. Jediną rzeczą, która ją naprawdę martwiła, było to, że nadal, nie wiedzieć czemu, bolały ją biodra.

W maju, po wyjeździe rodziców, Bernie pojechał do Nowego Jorku i Europy. Liz była wciąż za słaba, by z nim jechać, ponadto i tak nie zdecydowałyby się odstawić dziecka od piersi. Kiedy po powrocie zastał żonę bardzo osłabioną, jego niepokój wzrósł.

Co więcej, tego lata w Stinson Beach stan jej jeszcze się pogorszył. Bernie spostrzegł, że Liz ma trudności z chodzeniem, choć nie przyznawała się do tego ani jemu, ani lekarzowi.

- Myślę, że powinnaś iść znowu do lekarza, Liz - zaczął nalegać, Alexander miał cztery miesiące. Był dobrze zbudowanym dzieckiem o zielonych oczach ojca i złotych lokach matki.

Natomiast Liz nawet po dwóch miesiącach pobytu nad morzem pozostała blada i wymizerowana. Jednak kroplą, która przelała czarę, była jej odmowa wzięcia udziału w uroczystości otwarcia opery. Powiedziała, że pójście do sklepu i wybieranie sukni sprawiłoby jej zbyt wiele kłopotu, poza tym nie ma na to czasu.

We wrześniu miała znowu zacząć uczyć.

Bernie pojął, jak bardzo Liz musi być wyczerpana, gdy usłyszał jej rozmowę z Trący, w której prosiła przyjaciółkę, by wzięła za nią część lekcji, dopóki nie wydobrzeje.

- Co się z tobą dzieje? Nie chcesz wyskoczyć do śródmieścia, by wybrać suknię, ani wybrać się ze mną w przyszłym miesiącu do Europy (nawet tego odmówiła, choć Bernie pamiętał, jak bardzo podczas poprzedniej podróży była zachwycona Paryżem), a teraz znowu zdecydowałaś się pracować tylko na część etatu. O co, do licha, chodzi?

Ogarnęło go przerażenie i jeszcze tego samego wieczoru zadzwonił do ojca.

- Jak myślisz, tato, co to może być?

- Nie wiem. Czy była u lekarza?

- Nie pójdzie. Mówi, że to normalne w przypadku karmiących matek. Ale Alexander ma już, na miłość boską, pięć miesięcy, a ona nie chce go odstawić.

- Może będzie musiała, prawdopodobnie ma anemię.

To było proste rozwiązanie problemu i Bernie po rozmowie z ojcem nieco się uspokoił. Nalegał jednak, by Liz zgłosiła się na badanie, w skrytości ducha zaś zastanawiał się nawet, czy aby znowu nie jest w ciąży.

Niby to gderając, umówiła się na następny tydzień, lecz jej położnik nie znalazł żadnych nieprawidłowości pod względem ginekologicznym. W każdym razie nie była w ciąży. Wysłał ją do internisty, by porobiła podstawowe badania: EKG, analizę krwi, prześwietlenie i wszystko co konieczne. Umówiła się na wizytę na trzecią po południu, a Bernie odetchnął z ulgą. Za kilka tygodni wyjeżdżał do Europy i chciał wcześniej wiedzieć, co się dzieje.

Gdyby lekarze w San Francisco nie mogli tego odkryć, zamierzał zabrać ją do Nowego Jorku i zostawić u ojca, aby ten spróbował znaleźć kogoś, kto by rozpoznał, co jej dolega. Wyglądało na to, że internista, który ją badał, nie znalazł niczego specjalnie groźnego.

Wykonał kilka podstawowych badań ciśnienie krwi miała prawidłowe, elektrokardiogram wyglądał dobrze, zła natomiast była morfologia, wobec czego zdecydowano się przeprowadzić bardziej szczegółowe badania.

Po osłuchaniu klatki piersiowej zaczął podejrzewać, że może mieć łagodne zapalenie opłucnej.

- Prawdopodobnie to tak panią wyczerpuje - stwierdził z uśmiechem lekarz.

Był wysokim mężczyzną o nordyckim typie urody, miał duże ręce i silny głos. Liz odzyskała przy nim poczucie bezpieczeństwa. Wysłał ją do laboratorium na prześwietlenie płuc i o wpół do szóstej była w domu.

Ucałowała Berniego, który czekając na nią, czytał Jane jakieś opowiadanie. Liz tego

popołudnia zostawiła dzieci z opiekunką, na co decydowała się bardzo rzadko.

- No widzisz? Jestem zdrowa... Tak jak mówiłam.

- To dlaczego jesteś taka zmęczona?

- Przez zapalenie opłucnej. Lekarz wysłał mnie na prześwietlenie płuc, aby mieć pewność, że nie mam jakiejś tajemniczej choroby. Poza tym jestem w świetnej formie.

- I zbyt zmęczona, by jechać ze mną do Europy? - nadal nie był przekonany. - A jak się właściwie ten facet nazywa?

- Dlaczego pytasz? - spojrzała na niego podejrzliwie. - Co miał zamiar zrobić?

Czego jeszcze od niej oczekiwał?

- Chcę, żeby ojciec go sprawdził.

- Och, na miłość boską...

Głodny malec zaczął właśnie płakać, więc poszła do jego pokoju, a Bernie wypisał w tym czasie czek opiekunce.

Alexander był grubiutkim, ślicznym zielonookim blondynkiem. Zapiszczał z radości na widok matki i uszczęśliwiony przylgnął do jej piersi, poklepując jedną rączką ogarniającą go z czułością ramię. Ułożywszy malucha do snu, Liz na palcach wymknęła się z pokoju i odnalazła Berniego, który stojąc czekał na nią.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

- Nie martw się tak, kochanie - szepnęła. - Wszystko w porządku.

Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

- Chcę, żeby tak było.

Jane bawiła się w swoim pokoju, dziecko spało. Spojrzał na żonę wydawała mu się zbyt blada. W dodatku miała ciągle podkrążone oczy i była stanowczo za szczupłą. Chciał wierzyć, że wszystko jest w porządku, ale dręczący go gdzieś w środku strach kazał mu w to wątpić. Długo trzymał ją w ramionach, a kiedy Liz poszła gotować obiad, zaczął się bawić z Jane.

Tej nocy długo wpatrywał się z lękiem w śpiącą obok żonę, a kiedy o czwartej Alexander podniósł krzyk, sam przygotował butelkę i wziął malucha na ręce. Syn, całkiem zadowolony z butelki, gruchał radośnie w jego ramionach, on zaś zabawiając brzdąca, zmienił mu pieluchy i ułożył z powrotem do łóżka. Stawał się w tych sprawach coraz większym specjalistą.

Tego ranka, kiedy zadzwonił doktor Johanssen, telefon odebrał Bernie. Liz jeszcze spała.

- Halo?

- Poproszę panią Fine - głos był uprzejmy, choć szorstki.

Bernie poszedł obudzić Liz.

- Telefon do ciebie.

- Kto dzwoni? - utkwiała w Bernieem zaspane oczy.

Była sobota, dziewiąta rano.

- Nie wiem, nie powiedział nazwiska.

Podjejrzał jednak, że to lekarz, i ogarnęło go przerażenie. Liz spostrzegła w jego oczach lęk.

- Mężczyzna? Do mnie?

Rozmówca krótko się przedstawił i poprosił, by przysłała do niego o dziesiątej. Był to doktor Johanssen.

- Czy coś jest nie w porządku? - spytała go, patrząc na męża. - Lekarz nie odpowiedział.

To nie może być nic złego, wmawiała sobie, jestem tylko zmęczona, ale nie aż tak. Spojrzała odruchowo na Berniego i poczuła wyrzuty sumienia.

- Czy to nie może poczekać?

Bernie pokręcił głową.

- Raczej nie powinno - odparł lekarz. - Proszę przyjść do mnie zaraz z mężem.

Powiedział to zbyt spokojnie i Liz poczuła strach. Odłożyła słuchawkę, z uwagi na Berniego usiłując nadać głosowi beztroskie brzmienie:

- Do licha, zachowuje się tak, jakbym miała syfa.

- A co ci jest?

- Nie powiedział, tylko kazał przyjść za godzinę.

- Dobrze, pójdziemy.

Był przerażony, choć starał się to ukryć. Podczas gdy Liz się ubierała, zadzwonił za nią do Trący, która obiecała, że będzie za pół godziny. Pracowała właśnie w ogrodzie i musiała się doprowadzić do porządku, ale zapewniała, że z przyjemnością posiedzi godzinę lub dwie z dziećmi.

Ją również, podobnie jak Berniego, ogarnął niepokój, lecz po przyjeździe o nic nie pytała. Była wesoła i zaaferowana i ponaglała ich, by się pospieszyli.

Przez całą drogę do szpitala, gdzie mieli wyznaczone spotkanie z lekarzem, prawie nie rozmawiali. Bez problemu odnaleźli jego gabinet. Gdy weszli do pokoju, na podświetlarce były przychepione dwa zdjęcia rentgenowskie. Doktor uśmiechnął się do nich, nie był to jednak specjalnie radosny uśmiech.

Liz poczuła naraz ucisk w gardle i miała chęć uciec jak najdalej, aby nie słuchać tego, co ma im do powiedzenia.

Bernie przedstawił się lekarzowi, który poprosił, by usiedli, zawahał się na moment, a potem zaczął mówić nie owijając w bawełnę. Sprawa była zbyt poważna. Liz nie potrafiła ukryć przerażenia.

- Gdy widziałem się z panią wczoraj, podejrzewałem zapalenie opłucnej, prawdopodobnie w łagodnym stadium. Dziś chciałbym porozmawiać z panią o tym.

Obrócił się na krześle i końcem długopisu wskazał dwie plamy na jej płucach.

- Nie podobają mi się - powiedział szczerze.

- Co one oznaczają?

Liz z trudem łapała oddech.

- Nie jestem pewien, ale chciałbym ponownie rozpatrzeć jeszcze jeden symptom, o którym wspomniała pani wczoraj ból bioder.

- Co to ma wspólnego z płucami?

- Myślę, że badanie kości powinno nam powiedzieć coś więcej.

Wyjaśnił im, na czym ono polega, i dodał, że załatwił już wszystko w szpitalu.

Był to prosty test polegający na wstrzyknięciu radioaktywnych izotopów umożliwiających obserwację zmian w szkieletcie.

- Co to jest pana zdaniem?

Czuła się przerażona i zagubiona, przy tym nie była pewna, czy naprawdę chce wiedzieć. Musiała jednak poznać prawdę.

- Nie jestem pewien. Plamy na płucach mogą oznaczać, że zmiany w pani organizmie powstały całkiem gdzie indziej.

Kiedy szli na badanie, nie potrafiła wręcz myśleć. Bezwiednie ścisnęła Berniego za rękę, on natomiast pragnął w tej chwili jednego - wyrwać się jakoś i zadzwonić do ojca, ale nie miał jak.

Był przy Liz, gdy robili jej zastrzyk. Twarz miała szarą i przerażoną, choć bolało ją to tylko trochę. Potem ogarnięci trwogą siedzieli czekając na lekarza, który miał ich powiadomić o wynikach badań.

Wyniki okazały się zaś kompletnie przygnębiające. Przypuszczali, że Liz ma mięsaka kościopochodnego, czyli raka kości, który przerzucił się już na płuca. To by wyjaśniało, skąd wzięły się bóle w plecach i biodrach, na które skarżyła się od roku, a także częste utraty tchu. Wszystkie objawy przypisywano dotychczas ciąży, podczas gdy to był rak. Biopsja powinna ostatecznie potwierdzić przypuszczenia, wyjaśniali lekarze Berniemu i Liz trzymającym się

mocno za rękę.

Łzy ciekły im po policzkach, Liz ciągle miała na sobie zielony szlafrok szpitalny. Bernie objął ją i mocno przytulił w niemym geście rozpacz.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Mam to gdzieś. Nie chcę!

Liz niemal wpadła w histerię.

- Posłuchaj mnie! - potrząsał nią. Szli i płakali. - Chcę, żebyś pojechała ze mną do Nowego Jorku...

Usiłował siłą narzucić sobie spokój i robić dobrą minę. Musieli zachować rozsądek rak nie zawsze oznaczał koniec.

- Co też, do licha, ten facet może wiedzieć?

Przecież polecił im udać się do jeszcze czterech specjalistów: ortopedy, pneumonologa, chirurga i onkologa. Zalecił biopsję, potem ewentualnie operację, następnie naświetlania lub chemoterapię w zależności od tego, co doradzą inni lekarze. Przyznał, że sam za mało wie na ten temat.

- Nie chcę chemoterapii, jest okropna, wypadają po niej włosy. Ja umrę... umrę...

Liz szlochała w jego ramionach, a Bernie czuł, że przewracają mu się wnętrzności. Oboje musieli się uspokoić. Musieli!

- Wcale nie umrzesz, przezwycięzymy to. A teraz uspokój się, do cholery, i posłuchaj, co chcę ci powiedzieć! Pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, zabierzemy też dzieciaki. Pójdiesz tam do najlepszych lekarzy.

- A cóż mi oni pomogą? Nie chcę chemoterapii.

- Tylko ich wysłuchasz, nikt nie mówi, że musisz to robić. Ten facet nie ma pewności, czego ci potrzeba. Może się okazać, że masz artretyzm, a on myśli, że to rak.

W każdym razie dobrze byłoby móc w to wierzyć. Pneumonolog, ortopeda i chirurg stwierdzili jednak, że to nie artretyzm, i skierowali ją na biopsję. Gdy Bernie skłonił ojca, by do nich zadzwonił, Lou uzgodnił, że badania zostaną dokończone w San Francisco. Lekarze w Nowym Jorku i tak będą potrzebować tych informacji.

Biopsja wykazała, że doktor Johanssen miał rację: to był rak kości. Wiadomości okazały się druzgocące. Zbadawszy charakter komórek i wielkość przerzutów na oba płuca, lekarze byli zdania, że operacja nie ma sensu. Proponowali krótkie i intensywne naświetlanie, a potem chemoterapię, i to możliwie jak najszybciej.

Liz miała wrażenie, że zapadła w jakiś koszmar senny, z którego nie może się obudzić. Jane powiedzieli jedynie, że mama nie czuje się najlepiej po urodzeniu dziecka i chcą, aby porobiła różne badania. Nie mieli absolutnie pojęcia, jak wyjawić małej, co

naprawdę odkryto u jej matki.

Po biopsji Bernie rozmawiał z żoną do późna w nocy. Siedziała na łóżku szpitalnym z opatrunkiem na obu piersiach, skąd pobierano próbki. Teraz nie miała już wyjścia, musiała odstawić dziecko od piersi.

Alexander płakał w domu, a ona z sercem wypełnionym żalem, poczuciem winy, smutkiem i strachem szlochała w ramionach Berniego w szpitalu.

- Czuję... miałabym wrażenie, że go zatruwam, gdybym go nadal karmiła... Czy to nie straszne? Jak pomyślę o tym, co mu przez cały czas dawałam!...

Bernie powiedział to, co i tak wiedzieli:

- Rak nie jest zaraźliwy.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, że nie zaraziłam się nim od kogoś na ulicy? Może dostał się do mnie jakiś cholerny zarazek... albo w szpitalu, jak rodziłam dziecko...

Wytarła nos i spojrzała na niego. Obojgu trudno było pogodzić się z tragedią, która ich dotknęła. Takie rzeczy się zdarzały, ale dlaczego właśnie im i dlaczego, na litość boską, dwudziestosiedmioletniej kobiecie z maleńkim dzieckiem?!

Bernie dzwonił do ojca po pięć razy dziennie i wszystko już zorganizował w Nowym Jorku. Rozmawiali jeszcze tego ranka, kiedy odbierał Liz ze szpitala.

- Obejrzą ją, jak tylko przyjedziecie.

Słyszał przygnębienie w głosie ojca oraz płacz matki.

- Doskonale.

Sam przed sobą starał się udawać, że rodzice mają dla niego dobre wiadomości, lecz w istocie był przerażony.

- Czy to najlepsi specjaliści?

- Tak.

Ojciec mówił bardzo cicho. Serce mu się krajało na myśl o jedynym synu i jego ukochanej dziewczynie.

- Bernie, to nie będzie łatwe... Rozmawiałem wczoraj osobiście z Johanssenem. Wydaje się, że są wielkie przerzuty.

Słowo to ledwie mu przeszło przez usta, dla Berniego jednak znaczyło jeszcze niewiele.

- Czy Liz cierpi?

- Nie, czuje się tylko bardzo zmęczona.

- Przekaż jej wyrazy naszej miłości.

Potrzebowała jej, podobnie jak ich modlitw. Gdy Bernie odłożył słuchawkę,

spostrzegł, że w drzwiach pokoju stoi Jane.

- Co jest mamusi?

- Mamusia... jest po prostu bardzo zmęczona, kochanie. Tak jak mówiliśmy ci wczoraj. Dziecko bardzo ją wyczerpało - tłumaczył łagodnie, dławiąc się kluską wielkości jej łokcia, którą czuł w gardle, kiedy obejmował ją ramieniem: - Wyzdrowieje.

- Ludzie nie idą do szpitala dlatego, że są zmęczeni.

- Czasami tak - rzucił jej przekonujące spojrzenie i pocałował czubek małego noska. -
Mama wraca dziś do domu.

Wstrzymał oddech. Nadszedł czas, by ją przygotować.

- A w przyszłym tygodniu jedziemy do babci i dziadka do Nowego Jorku. Cieszysz się?

- Czy mama znowu pójdzie do szpitala?

Za dużo wiedziała, słyszała jego rozmowę. Czuł to, choć wolał się nie upewniać co do słuszności swych przypuszczeń.

- Może... ale tylko na dzień lub dwa.

- Dlaczego?

Wargi jej zadrżały, a oczy wypełniły się łzami.

- Co jej jest?

Był to żalony lament, jakby wiedziała, jakby w głębi duszy przeczuwała, jak bardzo jej matka jest chora.

- Musimy ją po prostu wszyscy bardzo kochać - powiedział Bernie przygarniając dziewczynkę. Łzy pociekły mu po brodzie, gdy ją przytulił. - Bardzo, bardzo mocno, maleńka...

- Kocham ją.

- Wiem, że ją kochasz. Ja też.

Zobaczyła, że Bernie płacze, i wytarła mu rączką oczy. Miał wrażenie, że jego brody dotykają motylki.

- Jesteś wspaniałym tatusiem.

Słowa Jane znowu wycisnęły mu łzy z oczu. Trzymał ją długo, bardzo długo przytuloną do piersi. Dobrze im to obojgu zrobiło i kiedy odbierali tego popołudnia Liz ze szpitala, mieli swoją prywatną tajemnicę. Sekret szczególnej bliskości, miłości i męstwa.

Jane czekała w samochodzie z bukietem przepięknych blad różowych róż. Liz tuliła ją mocno przez całą drogę do domu, a ona i Bernie opowiedzieli jej o wszystkich śmiesznych rzeczach, które Alexander wyczyniał tego ranka. Było to tak, jakby oboje postanowili, że

będą jej teraz pomagać, i jakby uwierzyli, że zdołają utrzymać ją przy życiu miłością, żartami i wesołymi historyjkami.

Zadanie, które wzięli na swe barki, ogromnie ich zbliżyło, ale też straszliwie przygniotło nieludzkim ciężarem. Liz zaraz po przyjeździe poszła do dzieciennego pokoju. Alexander obudził się i na widok matki wydał pisk zachwytu. Małe nóżki latały w powietrzu, rączki wyciągały w jej stronę. Liz podniosła go, lecz skrzywiła się, gdy uraził obolałe miejsca, z których pobierano wycinki do badań.

- Czy będziesz go karmić, mamó?

Jane stała w drzwiach, a w jej wielkich niebieskich oczach malowały się czujność i zatroskanie.

- Nie - Liz pokręciła ze smutkiem głową. Nadal miała mleko, ale za żadne skarby nie odważyłaby się go więcej karmić bez względu na to, co mówili lekarze. - Jest już dużym chłopcem, prawda, Alex?

Próbowała walczyć ze łzami, które i tak popłynęły. Z Alexandrem na rękach odwróciła się tyłem do Jane, by córka nie dostrzegła jej rozpaczki. Jane przeszła bez słowa do swego pokoju, gdzie długo siedziała nieruchomo, zapatrzona w okno, z ukochaną lalką w objęciach.

Bernie był w kuchni i gotował z Trący obiad. Drzwi były zamknięte, leciała woda, a on płakał, ukrywając twarz w kuchennej ścierece. Trący głąskała go od czasu do czasu po ramieniu. Sama też się splotała, gdy Liz powiedziała jej o nowotworze, wiedziała jednak, że teraz musi być silna ze względu na Berniego i dzieci.

- Czy mogę ci zrobić drinka?

Pokręcił przecząco głową. Czując dotyk jej ręki na ramieniu, zaczerpnął głęboko powietrza i utkwiał w niej zrozpaczone spojrzenie.

- Co możemy dla niej zrobić?

Czuł się zupełnie bezradny, łzy spływały mu po policzkach.

- Co tylko w naszej mocy - odparła Trący. - A może stanie się cud? Czasami to się zdarza.

Dokładnie tyle samo powiedział onkolog, nie mogąc im prawdopodobnie wiele obiecać. Mówił o Bogu, cudach i chemoterapii. Liz nadal nie chciała poddać się tej kuracji.

- Ona nie chce chemoterapii.

Bernie kompletnie się załamał, wiedział jednak, że musi się jakoś pozbierać. To był szok, straszliwie brutalny cios, który ich powalił.

- A możesz ją winić za to, że jej nie chce?

Trący spojrzała na niego, szykując sałatkę.

- Nie... ale czasami pomaga... chociaż na trochę.

Lekarze, jak powiedział Johanssen, chcieli osiągnąć złagodzenie choroby, długotrwałe, na przykład na piętnaście lat, a może na dziesięć albo dwadzieścia... czy też na pięć albo na dwa... może tylko na rok...

- Kiedy jedziecie do Nowego Jorku?

- W tym tygodniu. Ojciec już wszystko załatwił. Powiedziałem mojemu szefowi, Paulowi Bermanowi, że nie mogę pojechać do Europy. Doskonale mnie rozumie, inni też są wspaniali.

Od dwóch dni nie był w sklepie i nie wiedział, kiedy znowu będzie mógł tam pójść, lecz jego kierownicy obiecali wszystkiego dojrzeć.

- Może w Nowym Jorku zaproponują coś innego?

Nie zaproponowali: lekarze powiedzieli dokładnie to samo chemoterapia, modlitwa i oczekiwanie na cud. Bernie usiadł, wpatrując się w Liz skuloną na szpitalnym łóżku. Miał wrażenie, że żona maleje.

Obwódki pod oczami stały się jeszcze ciemniejsze i stale traciła na wadze. To było niesamowite. Jakby ktoś rzucił na nich zły czar. Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni. Usta Liz strasznie drżały, oboje byli przerażeni. Tym razem Bernie nie ukrywał przed nią łez. Trzymali się za ręce, płakali i mówili o tym, co czują. Największą ulgę sprawiała im świadomość, że mają siebie.

- To jak zły sen, prawda?

Strząsnęła włosy z ramion i nagle uświadomiła sobie, że niebawem nie będzie ich miała. Zgodziła się rozpocząć chemoterapię po powrocie do San Francisco.

Bernie, by zapewnić Liz najlepszą opiekę, brał pod uwagę możliwość odejścia od Wolffa, gdyby nie chcieli go sami przenieść, oraz powrót do Nowego Jorku. W końcu jednak dotarły do niego argumenty ojca, że tak naprawdę jest to bez znaczenia. Lekarze w San Francisco byli równie dobrzy, a Liz doskonale знаła to miasto. Nie potrzebowała się więc martwić szukaniem nowego mieszkania ani przenoszeniem Jane do nowej szkoły.

Teraz powinni trzymać się tego, co mieli: ich domu, przyjaciół, nawet jej pracy. Liz rozmawiała zresztą już o tym z Bernie. Nadal chciała pracować, a doktor się nie sprzeciwiał. W pierwszym miesiącu miała chodzić na chemoterapię raz w tygodniu, potem co dwa tygodnie, a później co trzy. Pierwszy miesiąc miał być najgorszy, potem będzie chorowała już tylko przez dzień lub dwa, a w tym czasie zastąpi ją Trący. Kierownictwo szkoły wyraziło na to zgodę. Oboje uważali, że lepiej dla Liz, jeśli nie będzie siedzieć w

domu i poddawać się rozpaczy.

- Czy zechcesz pojechać ze mną do Europy, jak poczujesz się lepiej?

Liz uśmiechnęła się do niego. Był dla niej taki dobry! A najbardziej idiotyczne było to, że wcale nie czuła się teraz źle. Była tylko tak bardzo zmęczona. I umierała...

- Tak mi przykro, że ci to robię... że musisz przechodzić przez to wszystko...

Bernie uśmiechnął się przez łzy.

- Teraz wiem, że jesteś moją żoną - zaśmiał się do niej. - Zaczynasz mówić zupełnie jak Żydówka.

- Babciu? - w ciemnym pokoju dał się słyszeć cichutki głosik, Jane.

Ruth trzymała ją za rękę. Właśnie odmówiły modlitwę za jej mamusię. Bernie spędzał tę noc w szpitalu, a Hattie, gospodyni Ruth, pomagała opiekować się Alexandrem.

- Czy myślisz, że mamusia wyzdrowieje? - oczy miała pełne łez i mocno ścisnęła babcię za rękę.

- Nie sądzisz chyba, że Bóg nam ją zabierze, prawda?

Łkając, zachłysnęła się okropnie i Ruth pochyliła się, by ją przytulić. Jej własne łzy popłynęły na poduszkę obok główki dziecka. To było takie okrutne, takie niesprawiedliwe!... Miała sześćdziesiąt cztery lata i chętnie odeszłaby zamiast niej, takiej młodej, pięknej, tak ogromnie zakochanej w Berniem, matki dwojga dzieci, które tak bardzo jej potrzebowały.

- Musimy Go prosić, by ją nam zostawił, prawda?

Jane pokiwała głową w nadziei, że to pomoże, i znowu spojrzała na babcię.

- Czy mogę iść z tobą jutro do świątyni?

Wiedziała, że ich świętem jest sobota, lecz Ruth chodziła do synagogi tylko raz w roku z okazji święta Jom Kipur. Tym razem postanowiła zrobić jednak wyjątek.

- Zabierzemy cię z dziadkiem.

Następnego dnia udali się we trójkę do synagogi w Scarsdale, Alexa zostawiwszy z Hattie. Gdy Bernie wrócił tego wieczoru do domu Jane oznajmiła mu poważnie, że byli dziś z babcią i dziadkiem w kościele.

Oczy Berniego wypełniły się łzami, choć teraz działo się tak niezwykle często. Wszystko było takie smutne i ulotne. Trzymał na rękach niemowlaka, którego podobieństwo do matki doprowadzało go ostatnio do szaleństwa.

Jednakże po powrocie Liz do domu wszystko wydawało się mniej tragiczne. Opuściła szpital w dwa dni później i naraz powróciły rubaszne żarty, gardłowy głos, który Bernie tak kochał, poczucie humoru. Nie było już tak straszliwie beznadziejnie, nie pozwoliłaby mu zresztą na zbyt ni sentymentalizm. Okropnie bała się chemoterapii, lecz postanowiła nie

myśleć o niej, dopóki nie będzie musiała.

Wybrali się pewnego razu na obiad do Nowego Jorku. Specjalnie wynajętą przez Berniego limuzyną pojechali do La Grenouille, ale w połowie obiadu Liz czuła się już zupełnie wyczerpana. Matka popędzała Berniego, by jak najszybciej zabrał ją do domu. Wracali w milczeniu.

Tego wieczoru w łóżku Liz znowu przepraszała, a potem zaczęła go powoli, delikatnie pieścić. Bernie wyciągnął rękę i przytulił ją niepewnie. Chciał się z nią kochać, bał się jednak, że może jej zrobić krzywdę.

- Wszystko w porządku...

- Lekarze powiedzieli, że mogę - szepnęła.

Był sobą przerażony, kiedy brał ją, tak gwałtownie i z taką namiętnością. Ale im wyraźniej zaczynał pojmować, że powoli mu się wymyka, tym mocniej jej pożądał, tym bardziej pragnął zatrzymać ją przy sobie, przyciągnąć z powrotem. Potem przywarł do niej i płakał i był za to na siebie wściekły. Chciał być silny, odważny i męski, a czuł się jak mały chłopiec, bezradnie tulący się do jej piersi. Podobnie jak Jane chciał ją zatrzymać, zmusić, by została, błagać o cud. Może sprawi go chemoterapia?

Przed odjazdem babcia Ruth wzięła Jane do Schwarza i kupiła jej ogromnego misia i lalkę. Poprosiła też, by wybrała coś, co według niej mogłoby się podobać Alexandrowi. Jane zdecydowała się na wielkiego grającego klauna na kółkach. Mały faktycznie był nim zachwycony.

Ostatni wspólny wieczór spędzili w serdecznym, odświeżającym i wzruszającym nastroju. Liz koniecznie chciała pomóc Ruth w kuchni. Wydawało się, że jest w formie, w jakiej nie była już od dłuższego czasu, spokojna, skupiona i jakby silniejsza. Po obiedzie dotknęła ręki Ruth i spojrzała jej w oczy.

- Dziękuję za wszystko...

Ruth potrząsnęła głową, nie chciała płakać, lecz było to takie trudne!

Całe życie płakała z byle powodu, a przecież teraz powód był naprawdę ważny. Tym razem jednak wiedziała, że musi się po wstrzymać.

- Nie dziękuj mi, Liz. Rób tylko to, co musisz.

- Dobrze.

Wydawało się, że przez ostatnie tygodnie zrobiła się starsza, jakaś dojrzała.

- Teraz już łatwiej mi o tym myśleć, sędzę, że Berniemu też. Nie będzie to proste, ale spróbujemy.

Ruth pokiwała głową, nie mogąc wykrztusić z siebie ani słowa. Następnego dnia Ruth

i Lou odwieźli ich na lotnisko. Bernie niósł niemowlę, Liz trzymała za rękę Jane. Wspięła się do samolotu bez niczyjej pomocy, a starsi Fine'owie walczyli ze łzami. Kiedy jednak samolot wzbił się w powietrze, Ruth szlochając padła mężowi w ramiona. To było ponad jej siły ich odwaga i konieczność pogodzenia się ze złym losem, który tak bardzo dotknął najbliższych jej ludzi. Tym razem nie chodziło o wnuka Rosengardenów czy ojca Fishbeina, ale o jej synową... i o Alexa, o Jane... o Berniego. Było to krzywdzące i niesprawiedliwe. I takie okrutne!

Płacząc w ramionach męża, myślała, że pięknie jej serce. Nie czuła się na siłach, by stawić temu czoło.

- Już dobrze, Ruth. Chodźmy do domu, kochanie.

Ujął ją delikatnie za rękę i wrócili do samochodu. Nagle Ruth spojrzała na niego i uświadomiła sobie, że pewnego dnia ich też to spotka.

- Kocham cię, Lou. Bardzo cię kocham... - znowu zaczęła płakać.

Lou dotknął policzka Ruth, przytrzymując otwarte drzwiczki.

Te dni były straszliwie ciężkie dla nich wszystkich. Było mu ogromnie żal Liz i Berniego.

Gdy młodzi Fine'owie przylecieli do San Francisco, Trący czekała w ich samochodzie. Odwiozła wszystkich do miasta, gawędziła, śmiała się i przytulała niemowlaka.

- No cóż stary, dobrze, że już jesteście z powrotem - uśmiechała się do przyjaciół, choć nie uszło jej uwagi, że Liz jest wyczerpana.

Następnego dnia miała iść do szpitala i zacząć chemoterapię.

Tego wieczoru po wyjściu Trący Liz, leżąc już w łóżku, przekreśliła się, oparła głowę na łokciu i popatrzyła na Berniego.

- Chciałabym być znowu normalna - powiedziała jak nastolatka, która pragnie pozbyć się trądziku.

- Ja też - uśmiechnął się do niej. - Niedługo będziesz.

Oboje pokładali duże nadzieje w chemoterapii.

- A jeżeli to nie pomoże, są jeszcze uzdrowiciele...

- Nie nabijaj się powiedziała poważnie. Jedna nauczycielka z mojej szkoły jest uzdrowicielką. To czasami naprawdę pomaga... - zakończyła mniej pewnie.

- Zaczniemy jednak od chemoterapii.

Był w końcu Żydem, w dodatku synem lekarza.

- Myślisz, że to będzie naprawdę okropne? - patrzyła ze strachem.

Bernie pamiętał, jak bardzo się bała i jak cierpiała, gdy rodziła Alexandra. Teraz

czekało ją coś całkiem innego. I miało trwać znacznie dłużej.

- Na pewno nie będzie wspaniałe - nie chciał jej oszukiwać - ale obiecali, że dadzą ci środki usmierzające... valium czy coś w tym rodzaju. No i ja będę przy tobie.

Liz pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Wiesz, że jesteś jednym z ostatnich wspaniałych mężów?

- Och, naprawdę?

Przewrócił się na bok i wsunął jej rękę pod lizeskę. Ostatnio ciągle marzła i nawet wkładała na noc jego skarpetki.

Tym razem kochał się z nią delikatnie, jakby przekazywał jej całą swoją siłę i miłość, obdarowywał sobą. Potem, gdy przytuleni leżeli obok siebie, Liz uśmiechnęła się sennie:

- Chciałabym być znowu w ciąży...

- Może jeszcze kiedyś będziesz.

Wiedział jednak, że nie może prosić o tak wiele. Bernie zgodziłby się na jej życie w zamian za inne, a to sprawiało, że Alexander stał mu się teraz jeszcze droższy.

Następnego ranka przed wyjściem do szpitala Liz długo trzymała syna w ramionach, potem sama przygotowała Jane śniadanie oraz zapakowała do szkoły jej ulubiony lunch. To, że nadal tyle dla nich robiła, czyniło całą tę sytuację jeszcze bardziej bezlitosną. Jeżeli coś jej się stanie, dotkliwiej będą odczuwać brak matki i żony.

Bernie zawiózł ją do szpitala i gdy się zarejestrowała, usadowili ją w wózku na kółkach. Student-pielęgniarz popychał wózek na górę, a Bernie szedł obok trzymając Liz za rękę. Doktor Johanssen już na nich czekał. Liz rozebrała się i włożyła szpitalny szlafrok.

Świat za oknem tonął w słońcu; był piękny listopadowy poranek. Liz odwróciła się do Berniego.

- Chciałabym tego nie robić.

- Ja też.

Gdy się położyła, Bernie trzymał ją za rękę. Miał wrażenie, że pomaga jej usiąść na krześle elektrycznym. Pojawiła się pielęgniarka w czymś, co wyglądało jak azbestowe rękawice. To świństwo, które stosowali, było tak silne, że mogło poparzyć ręce, a oni wstrzykiwali je kobiecie, którą kochał! Było to ponad jego siły.

Na szczęście podano Liz wcześniej dużą dawkę valium, dzięki czemu była w półśnie, gdy zaczęła się chemoterapia. Johanssen został, by nadzorować zabieg.

Kiedy było już po wszystkim, Liz usnęła spokojnie, lecz o północy dostała gwałtownych torsji. Czuła się bardzo źle. Na kolejne pięć dni jej życie stało się koszmarem.

Reszta miesiąca była tak samo okropna, a tegoroczne Święto Dziękczynienia nie było

dla Fine'ów żadnym świętem. Zbliżało się Boże Narodzenie, kiedy Liz wreszcie poczuła się odrobinę lepiej. Straciła tymczasem włosy i wychudła na szczapę, lecz znowu była w domu, a koszarowi leczenia musiała stawiać czoło tylko raz na trzy tygodnie.

Onkolog obiecał, że po zabiegach będzie się czuła chora jedynie przez dzień lub dwa. Po feriach świątecznych miała na nowo podjąć pracę.

Kiedy wróciła do domu, Jane była już zupełnie innym dzieckiem, a Alexander raczkował. Ostatnie dwa miesiące wycisnęły na nich wszystkich swe piętno. Nauczycielka mówiła, że Jane często w szkole popłakuje, Bernie powarkiwał na wszystkich w sklepie i stale chodził podenerwowany. Po całych dniach musiał korzystać z pomocy opiekunek, które miały zajmować się dzieckiem, niestety, nie zdawały egzaminu. Jedna zgubiła się kiedyś z Alexem, inna w ogóle się nie pokazała i Bernie musiał zabrać małego na naradę, żadna nie umiała gotować, toteż wydawało się, że poza Alexandrem nikt chyba w domu nie jadł.

Nadeszło jednak Boże Narodzenie. Liz czuła się lepiej i wszystko powoli wracało do normy.

- Rodzice chcieliby przyjechać - Bernie popatrzył na nią któregoś wieczoru, gdy siedzieli już w łóżku. Liz miała na głowie chustkę przysłaniającą łysą głowę. Westchnęła i spojrzała na niego z uśmiechem.

- Czy czujesz się na siłach, kochanie?

Nie czuła się na siłach, ale chciała się z nimi zobaczyć, ponadto wiedziała, ile ich wizyta będzie znaczyła dla Jane, a także dla Berniego, choć nie chciał się do tego przyznać. Pomyślała, jak inaczej było zaledwie przed rokiem, kiedy rodzice zabrali Jane do Disneylandu, dzięki czemu Liz i Bernie mogli świętować rocznicę ślubu. Spodziewała się wtedy dziecka... i wszystko, co robili, było nastawione na życie, nie na śmierć.

Powiedziała mu to, lecz Bernie popatrzył na nią ze złością.

- Teraz też jest nastawione na życie.

- Nie bardzo.

- Bzdura!

Jego cała dotychczas tłumiona wściekłość zwróciła się teraz przeciwko niej. Nie mógł się pohamować.

- To po co, według ciebie, jest ta cała chemoterapia? A może chcesz się poddać? O raju, nigdy nie myślałem, że jesteś tak mało wytrwała.

Oczy zasły mu łzami i wybiegł do łazienki, trzaskając drzwiami. Wrócił po dwudziestu minutach. Liz, leżąc spokojnie w łóżku, czekała na niego. Usiadł zakłopotany obok i wziął ją za rękę.

- Przepraszam, zachowałem się jak dureń.

- Wcale nie, kocham cię. Wiem, że tobie też jest trudno.

Dotknęła bezwiednie chustki na głowie. Nie mogła się pogodzić ze swą brzydotą. Jej głowa była teraz taka okrągła i nieforemna! Czowała się jak w jakimś filmie fantastycznonaukowym.

- Wszystkim nam jest trudno. Skoro mam umrzeć, wolałabym zostać rozjechana przez ciężarówkę albo utopić się w wannie.

Próbowała zdobyć się na uśmiech, lecz żadne z nich nie potrafiło dostrzec w tym nic zabawnego. Nagle jej oczy wypełniły się łzami.

- Nie cierpię tej łysiny!

Jeszcze bardziej wszakże nie cierpiała myśli, że umiera. Bernie sięgnął po jej chustkę, ale się uchyliła.

- Kocham cię, z włosami, czy bez.

On także miał w oczach łzy.

- Przestań.

- Nie ma takiej części twojego ciała, której bym nie kochał, która byłaby dla mnie brzydka.

Odkrył to wtedy, gdy rodziła Alexandra. Matka nie miała racji: nie był ani przerażony, ani nie czuł obrzydzenia, był wzruszony i jeszcze mocniej ją kochał, tak samo jak teraz.

- Wielkie rzeczy, jesteś po prostu łysa. I co z tego? Kiedyś ja też będę łysy, więc z góry staram się sobie to jakoś zrekompensować.

Pogłaskał się po brodzie z uśmiechem.

- Kocham cię.

- Ja ciebie również kocham... to też jest życie.

Uśmiechnęli się do siebie i znowu poczuli się lepiej. Toczyli ciągłą walkę, żeby utrzymać się na powierzchni.

- Co mam powiedzieć rodzicom?

- Powiedz, żeby przyjechali.

- Mogą się zatrzymać, jak zwykle, w hotelu Huntington. Matka myślała, że może Jane chciałyby gdzieś z nimi znowu pojechać. Co o tym sądzisz?

- Podejrzewam, że nie będzie chciała. Powiedz im, żeby się nie obrazili.

Jane Ignęła teraz do Liz tak bardzo, jak gdyby życie chorej od tego zależało, i czasami nawet płakała, gdy ta wyszła z pokoju.

- Mama zrozumie.

Matce Berniego, która całe życie była niczym jeden wielki wyrzut sumienia, teraz brakowało tylko aureoli. Rozmawiał z nią kilka razy w tygodniu i zawsze wykazywała głębokie zrozumienie sytuacji, którego nigdy dotąd u niej nie dostrzegał. W tym okresie przestała być dla niego źródłem udreki, a stała się źródłem otuchy.

Dowiodła tego, kiedy przyjechali tuż przed Bożym Narodzeniem, przytargawszy ze sobą górę zabawek dla obojga dzieci. Matka wrzuciła Liz do łez, przywożąc rzecz, której potrzebowała, a prawdę mówiąc pół tuzina tych rzeczy. Zamknęła drzwi ich pokoju i podeszła do Liz z dwoma wielkimi pudłami na kapelusze.

- Co to?

Liz leżała, płacząc bezgłośnie w poduszkę. Szybko otarła łzy i usiadła. Ruth obserwowała ją w napięciu, pełna niepokoju, czy aby nie poczuje się dotknięta.

- Przywiozłam ci prezent.

- Kapelusz?

Ruth pokręciła głową.

- Nie, to coś innego. Mam nadzieję, że nie będziesz zła.

Starła się dobrać piękny złoty kolor włosów, który miała w pamięci, lecz nie było to takie proste. Gdy Liz uniosła wieczka pudeł, ujrzała kilka najróżniejszych peruk, wszystkie w tym samym znanym kolorze. Zaczęła się śmiać i płakać jednocześnie. Ruth patrzyła na nią nie pewnie.

- Nie jesteś zła?

- Jakżebym mogła? - uściskała teściową, po czym zabrała się do oglądania peruk.

Czego tam nie było! Od krótkich chłopięcych fryzur do długich włosów na pazia, wszystkie przepięknie wykonane.

Liz była do głębi poruszona.

- Chciałam sobie jakąś kupić, ale bałam się pójść do sklepu.

- Tak właśnie myślałam... Zresztą doszłam do wniosku, że w ten sposób będziesz miała lepszą zabawę.

„Zabawę”... Co może być zabawnego w utracie włosów po chemoterapii? W każdym razie Ruth to ułatwiła. Liz podeszła do lustra i zdjęła powoli chustkę.

Ruth odwróciła głowę. Liz, tak piękna i młoda. To nie było w porządku. Gdzie tu sprawiedliwość? Znowu na nią spojrzała. Zobaczyła teraz, jak przygląda się sobie w lustrze w jednej z jasnych peruk. Na początek przymierzyła fryzurę na pazia doskonale jej pasowała.

- Wygląda wspaniale!

Ruth rozradowana klasnęła w ręce.

- Podoba ci się?

Liz pokiwała głową. Oczy jej błyszczały, gdy patrzyła w lustro.

Znowu wyglądała przyzwoicie, lepiej niż przyzwoicie, może nawet ładnie, a tak naprawdę to czuła się cudownie była znowu kobietą. Nagle roześmiała się, miała uczucie, że jest zdrowa i młoda.

Ruth podała jej drugą perukę.

- Wiesz, że moja babka była łysa? Wszystkie ortodoksyjne Żydówki są łyse. Gola sobie głowy. Stałaś się więc dobrą żydowską żoną. - Potem musnęła delikatnie jej rękę. - Chcę, żebyś wiedziała... jak bardzo cię kochamy...

Gdyby miłość mogła ją uleczyć, na pewno nastąpiłaby poprawa, której tak bardzo pragnęli.

Ruth była przerażona zobaczywszy, jak Liz straciła na wadze, jak zeszczuplała jej twarz i zapadły się oczy, a jeszcze mówiła, że chce wrócić po świętach do nauki.

Przymierzyła pozostałe peruki i zdecydowały, że na pierwsze wejście najlepsza będzie peruka na pazia. Liz włożyła ją i zmieniła bluzkę. Taka fryzura wymagała czegoś lepszego niż ubranie, które miała na sobie. Weszła do salonu. Bernie spojrział na nią raz i drugi, w jego oczach odmalowało się zdumienie.

- Skąd ją masz? - uśmiechnął się do Liz.

Podobała mu się w tych włosach.

- Od babci Ruth. Co o tym myślisz? - spytała półgłosem.

- Wyglądasz wspaniale.

Naprawdę tak myślał.

- Poczekaj, gdy zobaczysz inne.

Prezent od Ruth ogromnie podniósł Liz na duchu, za co Bernie był matce bardzo wdzięczny, a jego wdzięczność wzrosła jeszcze, gdy Jane wpadłszy w podskokach do pokoju, stanęła jak wryta.

- Znowu masz włosy! - klasnęła w ręce z zachwytem.

Liz uśmiechnęła się i spojrzała na teściową.

- Niezupełnie, kochanie. Babcia przywiozła mi nowe włosy z Nowego Jorku - zaśmiała się, a Jane zachichotała.

- Naprawdę? Czy mogę zobaczyć?

Liz kiwnęła głową i zabrała ją, by zajrzała do pudeł. Jane sama przymierzyła dwie lub trzy peruki. Na jej głowie wyglądały zabawnie, toteż obie się zaśmiewały. Poczuly się naraz jak na balu.

Tego wieczoru wszyscy razem poszli na obiad do restauracji. Bóg dał, że Liz przez całe święta czuła się lepiej, dzięki czemu mogli jeszcze dwa razy pójść do lokalu, a jednego dnia Liz nawet pojechała z Jane i Berniem do miasta, by obejrzyć choinki u Wolffa.

Ruth udawała, że tego nie popiera, ale Liz wiedziała, że tak nie jest. Obchodzili też wspólnie Chanukę i w piątek przed kolacją szabasową zapalili świece. Kiedy Lou uroczyście zaintonował modlitwy, przyjęli to jako coś bardzo naturalnego. Liz zamknęła oczy, modląc się o ratunek i do ich Boga, i do swojego.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ich druga rocznica ślubu bardzo się różniła od pierwszej. Trący zabrała do siebie na noc Jane i Alexandra, a rodzice wybrali się na obiad. Przynajmniej raz Bernie i Liz zostali sami i mieli przed sobą spokojny wieczór.

Bernie miał chęć wyciągnąć ją z domu, ale w końcu Liz stwierdziła, że jest zbyt zmęczona. Wobec tego otworzył butelkę szampana, przez cały jednak wieczór, który spędzili na rozmowie przy kominku, Liz wysączyła zaledwie kieliszek. Przez cały czas jakby złożyli cichy ślub, że nie będą mówili o jej chorobie. Liz nie chciała tego dnia o niej myśleć, podobnie jak o chemoterapii, na którą miała wrócić za tydzień. I bez tego wszystko było trudne do zniesienia.

Tak bardzo pragnęła być taka, jak inni, narzekać na pracę, cieszyć się dziećmi, planować obiad dla przyjaciół i martwić się, czy w pralni poradzą sobie z jej zamkiem błyskawicznym! Tęskniła za zwykłymi kłopotami.

Zapatrzeni w ogień, trzymali się z Berniem czule za ręce, omijając ostrożnie niebezpieczne rafy w postaci trudnych tematów, których starali się unikać. Bolało nawet wspomnienie ich miodowego miesiąca sprzed dwóch lat. Bernie przypomniawszy tylko, jaka Jane była rezolutna wówczas nad morzem. Miała wtedy zaledwie pięć lat, a teraz dobiegała ośmiu. Zdziwił się, gdy Liz ponownie wspomniała Chandlera Scotta.

- Nie zapomnisz swojej obietnicy, prawda?

- O jakiej obietnicy myślisz? - spytał dolewając szampana, choć i tak wiedział, że Liz nie będzie więcej pić.

- Nie chcę, żeby ten sukinsyn kiedykolwiek spotkał się z Jane. Obiecujesz?

- Przecież już ci przyrzekłem, nie?

- O to mi chodziło.

Była strapiona. Bernie pocałował żonę w policzek i delikatnie wygładził jej zmarszczone czoło.

- Mnie też.

Ostatnio wiele myślał o adopcji Jane, lecz bał się, że Liz nie czuje się na tyle dobrze, by przebrnąć przez wszystkie prawne procedury. Postanowił to odłożyć do czasu, gdy poczuje się silniejsza.

Nie kochali się tej nocy; Liz usnęła przy kominku w ramionach Berniego, który zaniósł ją nadzwyczaj delikatnie do łóżka, a potem leżał, patrząc na nią, i czuł, że serce mu

pęka na myśl o tym, co przyniosą najbliższe miesiące. Wszyscy modlili się o poprawę.

Piątego stycznia rodzice wrócili do Nowego Jorku. Matka mogła jeszcze zostać, Liz jednak stwierdziła, że mimo wszystko chce wrócić do szkoły, chociaż doskonale wiedziała, że nawet trzy dni zajęć w tygodniu będą dla niej ogromnie męczące. Zaraz po świętach miała znowu zabieg chemoterapii i tym razem zniosła go dobrze, co wszyscy przyjęli z ogromną ulgą. Teraz już nie mogła się doczekać powrotu do pracy.

- Czy jesteś pewien, że powinna? - spytała matka, odwiedzwszy Berniego w sklepie na dzień przed wyjazdem.

- Chce tego.

Sam również nie był tym zachwycony, ale Trący twierdziła, że praca dobrze Liz zrobi. Może miała rację. W każdym razie nie mogła jej zaszkodzić, a gdyby lekcje okazały się dla niej za ciężkie, po prostu się wycofa. Liz jednak bardzo nalegała.

- Co mówi lekarz?

- Że jej nie zaszkodzi.

- Powinna więcej wypoczywać.

Bernie pokiwał głową. Mówił Liz to samo, ale patrzyła na niego z wyrzutem, zdawała sobie bowiem sprawę, jak mało czasu ma przed sobą, i nie chciała z czegokolwiek rezygnować, nie chciała przespać życia.

- Musimy pozwolić, by robiła to, co uważa za potrzebne, mamó. Obiecałem jej to.

Liz wymuszała ostatnio na Berniem wiele obietnic. W milczeniu odprowadził matkę na dół. Niewiele było do powiedzenia. Oboje bali się słów, których nie dałoby się uniknąć. Wszystko stało się tak straszne, tak nieprawdopodobnie bolesne.

- Nie wiem, co ci powiedzieć, kochanie - stali przy wejściu do Wolffa w tłumie kręcących się wokół nich ludzi, a ona oczyma pełnymi łez widziała tylko jego, swego jedynego syna.

- Wiem, mamó... wiem...

Oczy miał wilgotne i matka kiwnęła głową, również nie mogąc powstrzymać się od łez. Kilka osób spojrzało na nich, zastanawiając się, jakie to dramatyczne przeżycia są udziałem tych dwojga. Każdy miał jednak własne życie i spieszył dalej, a Ruth stała i patrzyła na Berniego.

- Tak mi przykro...

Kiwał tylko głową, nie znajdując słów. Dotknął jej ręki i wrócił w milczeniu, z opuszczoną głową, na górę. Jego życie nagle zmieniło się w koszmar i tak już miało pozostać na zawsze. Cokolwiek by zrobił, nic nie mógł na to poradzić.

Jeszcze gorszy był wieczór, kiedy odprowadził rodziców do hotelu po tym, jak Liz uparła się, że sama przyrządzi obiad. Fine'owie odjeżdżali następnego ranka i chciała ich podjąć na pożegnanie. Jedzenie było jak zwykle doskonałe, lecz Berniego kompletnie wykończyło obserwowanie, z jakim wysiłkiem Liz robi wszystko to, co kiedyś nie było dla niej żadnym problemem. Teraz nic nie przychodziło jej łatwo, nawet oddychanie.

Następnego dnia rodzice mieli sami pojechać na lotnisko. W hotelu ucałował matkę na dobranoc, a potem odwrócił się do ojca, by uścisnąć mu rękę. Ich oczy się spotkały i Bernie poczuł, że dłużej tego nie wytrzyma. Przypomniawszy sobie lata dzieciństwa, jak bardzo kochał tego człowieka, jak patrzył na ojca ubranego w biały lekarski fartuch... Przypomniawszy sobie wyjazd latem do Nowej Anglii na ryby... Wszystko to powróciło niespodziewanie i znowu poczuł się, jakby miał pięć lat. Ojciec zrozumiał go i przygarnął. Bernie zaczął szlochać, a matka odwróciła głowę, nie mogąc tego znieść. Ojciec wyprowadził go powoli na zewnątrz i objął. Długo, długo stali tak w ciszy nocy.

- Wszystko dobrze, synu, nic nie szkodzi, że płaczesz...

Kiedy to powiedział, łzy popłynęły również po jego twarzy. Nikt nie mógł nic dla niego zrobić. Ucałowali go w końcu na dobranoc, a Bernie im podziękował.

Gdy wrócił do domu, Liz już leżała w łóżku. Czekala na niego w jednej z peruk, którymi obdarowała ją matka. Stale je teraz nosiła i Bernie czasami się z nią z tego powodu przekomarzał. W skrytości ducha było mu trochę wstyd, że sam nie pomyślał, by je kupić. Liz była nimi zachwycona. Oczywiście nie tak jak własnymi włosami, ale ratowały jej próżność, ponadto dostarczały niewyczerpanego tematu do rozmów z Jane.

- Nie, mam, mnie się bardziej podoba tamta... ta z długimi włosami... ta jest bardzo dobra.

Potrafiła się znów śmiać.

- Śmiesznie wyglądasz z kręconymi włosami.

W każdym razie nie sprawiała już wrażenia wylęknionej.

- Czy mama i tata mają się dobrze, kochanie? - Spojrzała na Berniego pytająco, gdy wrócił do domu. - Długo ich odprowadzałeś.

- Wstąpiliśmy na drinka - uśmiechnął się do niej, udając, że czuje się winny, a nie smutny. - Wiesz, jaka jest matka. Nigdy nie może się rozstać ze swym maleństwem.

Poklepał ją po ręce i poszedł się przebrać, a po chwili wsunął się do łóżka obok niej, ale Liz już usypiała. Bernie wsłuchiwał się w jej ciężki oddech. Od kiedy odkryto u niej raka, minęły trzy miesiące. Walczyła z nim zaciekle i lekarzowi wydawało się, że chemoterapia pomaga, mimo to Bernie uważał, że jest coraz gorzej. Oczywiście Liz robiły się z dnia na dzień

większe i coraz głębiej zapadały się w twarzy. Ciągłe chudła i stawała się bardziej koścista, trudno też było nie zauważyć, że ma kłopoty z oddychaniem. Bernie pragnął tylko jednego: zatrzymać ją tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Chciał też, by robiła wszystko, co uważa za konieczne, mimo wysiłku, jakiego będzie to od niej wymagało. Ciągłe jej powtarzał, że musi walczyć, bo on nigdy nie pozwoli, by go opuściła. Tej nocy spał niespokojnie i śniło mu się, że Liz gdzieś wyjeżdża, on zaś próbuje ją zatrzymać.

Praca w szkole tchnęła jakby w Liz nowe życie. Kochała, jak mawiała, „swoje” dzieci. W tym roku uczyła je tylko czytać. Trący miała matematykę, a pozostałe przedmioty inna zastępująca ją nauczycielka. Szkoła poszła Liz ogromnie na rękę, godząc się na ograniczenie jej rozkładu zajęć. Bardzo ją lubiano i to, o czym pewnego dnia spokojnie i otwarcie poinformowała, wprowadziło wszystkich w osłupienie. Wieść bardzo szybko rozeszła się po szkole, lecz na razie mówiło się o tym szeptem. Liz nie chciała, by dotarło to do Jane, i modliła się, by żaden z uczniów nie usłyszał czegoś od nauczycieli. Nie ukrywała tego przed kolegami, wolała jednak, aby dzieci o tym nie wiedziały. Zdawała sobie sprawę, że w przyszłym roku nie będzie mogła tu wrócić. Za trudno jej było wchodzić i schodzić po schodach, ale była zdecydowana zakończyć ten rok bez względu na wszystko. Obiecała to swemu szefowi. W marcu wiadomość jednak się rozeszła. Jedna z uczennic stanęła przed nią ze łzami w oczach i w mocno skotłowanym ubraniu.

- Co się stało, Nancy?

Dziewczynka miała czterech braci i uwielbiała bić się z chłopcami. Liz popatrzyła na nią porozumiewawczo i wygładziła pomiętą bluzkę. Była o rok młodsza od Jane, która chodziła już do trzeciej klasy.

- Biłaś się z kimś?

Dziewczynka popatrzyła na nią i pokiwała głową.

- Rozkwaśliłam nos Billowi Hitchcockowi.

Liz wybuchnęła śmiechem. Te dzieciaki podtrzymywały ją przy życiu.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Nancy zawahała się, potem wysunęła do przodu brodę, gotowa stawić czoło całemu światu:

- On powiedział, że pani umiera... a ja mu odpowiedziałam, że jest wstrętnym tłustym kłamcą.

Znowu zaczęła płakać, ocierając oczy piąstkami. Łzy mieszały się z brudem i zostawiały na policzkach wielkie ciemne smugi. Spojrzała na Liz, błagając, by zaprzeczyła.

- Pani nie umiera, prawda?

- Chodź do mnie, porozmawiamy o tym.

Podsunała krzesło w pustej sali. Była właśnie przerwa na lunch i Liz przeglądała jakieś papiery. Posadziła dziewczynkę obok, biorąc ją za rękę. Wolałaby, żeby do tego doszło trochę później.

- Wiesz, że wszyscy musimy kiedyś umrzeć. Wiesz o tym, prawda?

Mała rączka zacisnęła się rozpaczliwie na rękę Liz, jakby dla pewności, że Liz nigdy od nich nie odejdzie.

To właśnie Nancy jako pierwsza ofiarowała jej rok wcześniej prezent dla Alexandra udzięgała na drutach niebieski szaliczek z mnóstwem dziur, supłów i pogubionych oczek. Liz była nim zachwycona.

Nancy pokiwała głową i znowu zaczęła szlochać.

- Nasz pies umarł w zeszłym roku, ale on był bardzo stary. Tatuś powiedział, że gdyby był człowiekiem, miałby sto dziewiętnaście lat. A przecież pani nie ma tyle lat.

Spojrzała z zainteresowaniem.

- Prawda, że nie?

Liz wybuchnęła śmiechem.

- Niezupełnie, mam trzydzieści lat i nie jestem jeszcze bardzo stara... Ale czasami... czasami bywa inaczej. Wszyscy idziemy do Boga w różnym wieku... niektórzy będąc noworodkami. Jeżeli kiedyś, za wiele, wiele lat, będziesz bardzo stara i pójdziesz do Boga, będę tam na ciebie czekała.

Walczyła ze łzami, które ścisnęły jej gardło. Nie chciała płakać, lecz było to takie trudne. Nie miała ochoty na nikogo czekać, pragnęła być z nimi tutaj, z Berniem, Jane i Alexandrem.

Nancy doskonale ją rozumiała. Rozszlochawszy się na dobre, objęła ją za szyję i przytuliła się do niej z całych sił.

- Nie chcę, żeby pani od nas odeszła... nie chcę...

Matka Nancy piła, ojciec dużo podróżował. Już od przedszkola mała uwielbiała Liz, a teraz miała ją stracić. To było niesprawiedliwe, nic już nie było sprawiedliwe.

Liz poczęstowała dziewczynkę upieczonymi przez siebie ciasteczkami i zaczęła tłumaczyć, co to jest chemoterapia i jakie daje szansę zahamowania choroby.

- Naprawdę może mi pomóc, Nancy. W ten sposób mogę pozostać z wami jeszcze bardzo długo. Niektórzy ludzie żyją po takim leczeniu przez wiele, wiele lat.

A niektórzy nie, pomyślała. Widziała to samo co Bernie. I nie cierpiała przeglądać się w lustrze.

- Zostanę w szkole jeszcze do końca roku, a to bardzo długo, czyż nie tak? Postaraj się na razie tym nie martwić, dobrze?

Mała Nancy Farrell pokiwała głową i z garścią pełną czekoladowo-orzechowych ciasteczek wyszła w końcu z sali, by przemyśleć wszystko, co powiedziała jej Liz.

Tego popołudnia gdy wracały samochodem ze szkoły, Liz czuła się kompletnie wyczerpana, Jane zaś w milczeniu gapiała się przez okno, jakby była zła na matkę. Już miały wysiąść i pójść do domu, aż naraz odwróciła głowę i spojrzała na Liz z wyrzutem.

- Mamo, ty masz zamiar umrzeć, tak?

Liz była zaskoczona natarczywością i gwałtownością tonu dziecka, lecz natychmiast zrozumiała, skąd to się wzięło Nancy Farrell.

- Wszyscy kiedyś umrzemy, kochanie.

Jane nie dało się jednak zbyć tak łatwo jak Nancy. Były sobie przecież z Liz bliższe.

- Wiesz, o co mi chodzi... To świństwo wcale ci nie pomaga, prawda? Ta chemoterapia.

Wymówiła to słowo jak przekleństwo. Liz przyglądała się córce.

- Trochę pomaga.

Ale nie za bardzo, wszyscy o tym wiedzieli. I tak okropnie chorowała po każdym zabiegu! Czasami miała wrażenie, że chemoterapia jeszcze przyspiesza jej śmierć.

- Nie, wcale ci nie pomaga.

Oczy Jane mówiły, że według niej matka nie stara się tak jak powinna. Liz westchnęła, parkując samochód przed domem. Nadal jeździła tym samym fordem, którego miała, gdy wychodziła za mąż. Zostawiła wóz na ulicy, garaż był dla BMW Berniego.

- Kochanie, nam wszystkim jest ciężko. Naprawdę bardzo, bardzo się staram wyzdrowieć.

- To dlaczego nie zdrowiejesz?

Wielkie niebieskie oczy dziecka wypełniły się łzami. Skuliła się nagle w fotelu obok matki.

- Dlaczego ci się jeszcze nie poprawiło?... Dlaczego?... - Potem spojrzała na nią ze strachem.- Nancy Farrell mówi, że umrzesz...

- Wiem, kochanie, wiem.

Ona również miała twarz mokrą od łez, gdy mocno przytuliła córkę. Jane słyszała jej ciężki oddech.

- Nie wiem, co ci powiedzieć. Kiedyś wszyscy musimy umrzeć; może mnie jeszcze długo to nie spotka, ale może się i tak zdarzyć. Każdy jest na to narażony. Nawet teraz, kiedy

tak sobie tu razem siedzimy, ktoś mógłby zrzucić na nas bombę.

Jane spojrzała na matkę, szloch dławił jej słowa.

- Ja bym wołała... chcę umrzeć z tobą...

Liz przygarnęła ją z całej siły, aż zabolęło.

- Nie mów tak... nigdy tak nie mów... masz przed sobą jeszcze długie, długie życie.

A sama miała zaledwie trzydzieści lat.

- Dlaczego to musiało się zdarzyć właśnie nam?

Powtórzyła pytanie, które wszyscy sobie zadawali i na które nie było odpowiedzi.

- Nie wiem...

Jej głos był niewiele silniejszy od szeptu. Przytulone mocno do siebie, siedziały razem w samochodzie, jakby czekały na słowa pocieszenia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W kwietniu Bernie musiał podjąć decyzję, czy jedzie do Europy, czy nie. Miał nadzieję, że weźmie ze sobą Liz, jednakże było już jasne, że nie będzie mogła z nim pojechać. Nie miała teraz siły, by gdziekolwiek się ruszyć. Wielkim wyczynem była wizyta u Trący w Sausalito. Nadal chodziła do szkoły, lecz tylko dwa razy w tygodniu. Zadzwoił do Paula Bermana.

- Tak mi przykro, że sprawiam ci zawód, Paul, ale nie chcę teraz nigdzie wyjeżdżać.

- Doskonale cię rozumiem. - Z głosu Bermana przebijał smutek. To była wprost niesamowita tragedia i każda rozmowa z Bernieem nappełniała go ogromnym bólem. - Tym razem wyślemy kogoś innego.

Była to już druga z kolei podróż do Europy, której musiał poniechać, ale nie miano mu tego za złe. Mimo wielkiego ciosu, jaki go spotkał, Bernie bardzo ofiarnie pracował w sklepie w San Francisco, jak stwierdził z wdzięcznością Paul.

- Nie wiem, jak ty to robisz, Bernardzie. Powiedz nam, jeżeli będziesz potrzebował trochę wolnego.

- Dobrze. Jeszcze nie teraz, ale może poproszę za kilka miesięcy.

Myślał o czasie, kiedy życie Liz będzie dobiegało kresu, co wydawało się nieuchronnie zbliżać, choć zawsze mogło się coś zmienić. Niekiedy przez kilka dni miał wrażenie, że się jej poprawiło albo że jest pogodniejsza, aż nagle znowu przychodziło pogorszenie. Wpadał w panikę, po czym okazywało się, że jednak nie jest tak źle i Liz znowu wydawała mu się zdrowsza.

Przez te zmiany w stanie żony Bernie przechodził katusze, wciąż bowiem nie wiedział, czy chemoterapia pomaga i czy zdrowie Liz w końcu się poprawi, czy będzie z nimi jeszcze przez wiele, wiele lat, czy zaledwie kilka tygodni lub miesięcy. Lekarz też nie potrafił mu tego powiedzieć.

- A co w ogóle myślisz o pobycie w Kalifornii? W tej sytuacji nie chcę cię tam trzymać na siłę Bernardzie - spytał Paul. Musiał być wobec nich w porządku, ponadto Berniego od lat traktował jak własnego syna. Nie miał prawa zmuszać ich do pozostawania w Kalifornii, gdy jego żona gasła.

Bernie zawsze był z Bermanem szczery, również o chorobie żony powiadomił go natychmiast po tym, jak lekarze wydali werdykt. Dla wszystkich był to straszny szok. Bermanowi trudno było uwierzyć, że ta piękna blondynka, z którą zaledwie dwa lata temu

tańczył na weselu, umiera. Teraz jednak Bernie go zaskoczył.

- Prawdę mówiąc, Paul, nie chcę nigdzie wyjeżdżać. Jeżeli masz kogoś, kto mógłby pilnować za mnie importu towarów i wyjeżdżać dwa razy do roku, to wspaniale. Nie chcemy się już nigdzie ruszać. Tu jest dom Liz i nie mam zamiaru jej stąd przenosić. Sądzę, że to by nie było wobec niej fair.

Dużo o tym myśleli i wspólnie doszli do takiego wniosku. Liz powiedziała mu wprost, że nie ma ochoty wyjeżdżać z San Francisco. Nie chciała być ciężarem dla jego rodziców ani dla niego, a także nie miała zamiaru stawiać Jane wobec problemu nowej szkoły, nowych koleżanek. Poza tym pokrzepiała ją bliskość ludzi, których знаła, zwłaszcza Trący. Podnosiły ją również na duchu spotkania z Billem i Marjorie Robbins.

- Świetnie to rozumiem - odparł Paul.

Bernie był w Kalifornii dokładnie trzy lata, a więc dwa razy dłużej, niż Berman przewidywał. Nie miało to już jednak znaczenia.

- Po prostu nie mogę nigdzie teraz jechać, Paul.

- W porządku. Daj znać, jeżeli zmienisz zdanie, a zacznę szukać kogoś, kto mógłby cię zastąpić w San Francisco. Brakuje nam ciebie w Nowym Jorku. Aha - spojrział w kalendarz z nadzieją, że może Berniemu się uda przyjechać - czy jest szansa, że mógłbyś w przyszłym tygodniu wziąć udział w posiedzeniu zarządu?

Bernie zmarszczył brwi.

- Muszę porozmawiać z Liz. Nie miała w tym tygodniu chemoterapii, ale i tak nie chciał jej zostawiać. Zobaczę. Kiedy to będzie?

Paul podał mu dokładną datę i Bernie pospiesznie ją zanotował.

- Nie musisz zostawać w mieście dłużej niż trzy dni. Możesz wylecieć w poniedziałek i wrócić do domu w środę wieczorem albo we czwartek, jeśli będziesz mógł zostać tak długo. Oczywiście cokolwiek postanowisz, zrozumiem.

- Dziękuję, Paul.

Jak zwykle Paul Berman był dla niego wspaniały. Jego, podobnie jak innych znajomych, bardzo przygnębiała świadomość, że tak niewiele mogą zrobić.

Tego wieczoru Bernie spytał Liz, co myśli o jego kilkudniowym wyjeździe do Nowego Jorku. Zagadnął ją nawet, czy nie chciałyby z nim pojechać, ale pokręciła głową z bladym uśmiechem.

- Nie mogę, kochanie. Mam zbyt wiele pracy w szkole.

Oboje wiedzieli jednak, że nie w tym rzecz. I tak miała się spotkać z matką, bo za dwa tygodnie były pierwsze urodziny Alexandra. Ojciec nie mógł znowu zostawić praktyki, lecz

Ruth obiecała przylecieć.

Kiedy jednak Bernie wrócił z Nowego Jorku, zauważył to samo co matka jak szybko Liz się zmieniała. Kilka dni pobytu poza domem pozwoliło mu uzmysłowić sobie, jak bardzo jest z nią źle. Pierwszego wieczoru po powrocie zamknął się w łazience i płakał z twarzą ukrytą w wielkie białe ręczniki, które Liz utrzymywała ciągle w nieskazitelnej czystości. Okropnie się bał, że może go usłyszeć, lecz po prostu nie potrafił sobie z tym poradzić. Liz była blada, słaba i jeszcze bardziej straciła na wadze.

Błagał ją, by jadła, i przynosił do domu z delikatesów u Wolffa najróżniejsze smakołyki, jakie tylko był w stanie wymyślić, od ciast z truskawkami począwszy a na wędzonym łososiu skończywszy, ale bez skutku. Liz traciła apetyt i od urodzin Alexandra spadła aż do dziewięćdziesięciu funtów.

Ruth po przyjeździe była wstrząśnięta jej wyglądem, musiała jednak udawać, że niczego nie zauważyła. Gdy całowały się na lotnisku, szczupłe ramiona synowej zdawały się jeszcze bardziej kruche niż poprzednio. Bernie musiał zamówić wózek elektryczny, by podwieźć ją do hali bagażowej. Od dawna nie pokonywała takich przestrzeni, a nie chciała jechać na wózku inwalidzkim.

W drodze do domu rozprawiły o wszystkim z wyjątkiem tego, co miało teraz największe znaczenie. Ruth odnosiła wrażenie, że miota się rozpaczliwie w głębokiej wodzie. Przywiozła Alexandrowi ogromnego konia na biegunach i jeszcze jedną lalkę dla Jane, obie zabawki od Schwarza, i nie mogła się już doczekać widoku dzieci.

Bardzo jednak martwiła ją Liz, toteż z trudem zdołała ukryć zaskoczenie ujrawszy, że przygotowuje tego wieczoru obiad. Liz bowiem nadal gotowała, sprzątała mieszkanie, uczyła w szkole. Ruth w życiu nie spotkała tak wyjątkowej kobiety i serce jej pękało, kiedy obserwowała codzienną walkę synowej o przeżycie.

Gdy Liz poszła na kolejną chemoterapię, Ruth została z dziećmi, a Bernie spędził tę noc z żoną w szpitalu do pokoju wstawiono dodatkowe łóżko, tak że mógł spać blisko niej.

Alexander, puciołowaty i wesolutki, był bardzo podobny do Berniego z dzieciństwa. Trudno było wprost uwierzyć, że przybył na świat zaledwie rok temu, a już dotknęła go taka tragedia.

Gdy Ruth ułożyła go tego wieczoru do łóżeczka, wyszła z pokoju ze łzami w oczach, uprzytomniwszy sobie, że być może nawet nie zapamięta swej matki.

- Kiedy znowu przyjedziesz do nas, do Nowego Jorku? - spytała małej, gdy rozłożywszy planszę do gry, usiadły przy stole.

Jane uśmiechnęła się do niej niepewnie. Kochała babcię Ruth, lecz nie wyobrażała

sobie, by teraz mogła gdzieś wyjechać choć na trochę. Już chciała powiedzieć: „Nie wcześniej, aż mama się lepiej poczuje”, ale nie zrobiła tego.

- Nie wiem, babciu. Jak tylko skończy się szkoła, wyjeżdżamy do Stinson Beach. Mama chce pojechać tam na odpoczynek, bo bardzo zmęczyła ją nauka.

Obie wiedziały, że mamę zmęczyło umieranie, były to jednak zbyt przerażające słowa, by je wypowiedzieć.

Bernie wynajął w Stinson Beach ten sam dom co poprzednio i planowali wyjazd na trzy miesiące, aby Liz odzyskała choć trochę siły. Lekarz radził, by nie przedłużała umowy ze szkołą, uznając, że praca będzie dla niej zbyt męcząca. Liz tym razem w ogóle z nim nie dyskutowała, powiedziała tylko Berniemu, że to dobry pomysł, będzie miała bowiem więcej czasu dla niego, Jane i małego. Bernie całkowicie się z tym zgadzał.

Teraz nie mogli się już doczekać wyjazdu nad morze, tak jakby pobyt tam miał cofnąć czas. W szpitalu Bernie przyglądał się śpiącej Liz, dotknął jej twarzy, potem delikatnie ręki, gdy poruszyła się we śnie i uśmiechnęła do niego. Na chwilę serce w nim zamarło, bo wydało mu się, że umiera.

- Czy coś się stało? - zmarszczyła brwi i podniosła głowę.

Bernie przełknął łzy i uśmiechnął się z czułością.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

- Tak.

Jej głowa znowu opadła na poduszkę. Oboje wiedzieli, że bardzo silne środki chemiczne, jakie w jej przypadku stosowano, mogły spowodować śmiertelny atak serca. Upředzono ich o tym na samym początku, ale nie było wyboru musiała się temu poddać.

Liz znowu usnęła, Bernie zaś wyszedł na korytarz i zadzwonił do domu. Nie chciał telefonować z pokoju, aby jej nie obudzić. Zostawił ją pod opieką pielęgniarki. Przyzwyczał się już do szpitala nawet za bardzo. Teraz to miejsce wydawało mu się niemal powszednie. Wiele rzeczy nie szokowało go tak jak kiedyś. Marzył tylko, by móc się jakimś cudem znaleźć na tym piętrze, na którym byli zaledwie rok temu, a więc niżej, na drugim, gdzie Liz rodziłaby kolejne dziecko, a nie tu, wśród umierających.

- Cześć, mamó, jak leci? - spytał Ruth, która odebrała telefon.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Spojrzała w drugi koniec pokoju na Jane. - Twoja córka właśnie mnie ogrywa, a Alexander już poszedł spać. Jest przeuroczy. Wypił całą butelkę, uśmiechnął się do mnie od ucha do ucha i od razu usnął mi na rękach. Nawet nie drgnął, gdy kładłam go do łóżka.

Wszystko było zupełnie normalne, tyle że to Liz powinna zdawać mu tę relację, a nie

matka. On powinien być właśnie na naradzie w sklepie i słuchać, jak żona informuje go, że w domu wszystko w porządku. Ona tymczasem leżała w szpitalu zatruta chemikaliami, a dziećmi opiekowała się babcia.

- Jak ona się czuje? - spytała Ruth ściszym głosem, by Jane nie wiedziała, o czym rozmawiają, ale dziewczynka słuchała tak uważnie, że bezwiednie wykonała swój ruch pionkiem babci. Później Ruth zaczęła się z nią żartobliwie przekomarzać, obwiniając o szachrowanie oczywiście po to, by małą rozchmurzyć. Jane miała przecież dopiero osiem lat i prawo do odrobiny radości. A wyglądało na to, że dźwigając na swoich malutkich barkach ciężar ponad siły, zapomniała już, co to jest uśmiech.

- Z Liz wszystko dobrze, właśnie śpi. Powinniśmy być jutro w domu w porze lunchu.

- Będziemy czekali. Bernie, czy niczego nie potrzebujesz? Nie jesteś głodny?

Aż trudno było uwierzyć, że matka tak dobrze radzi sobie w domu. W Scarsdale zostawiała wszystko na głowie Hattie. Były to jednak dla nich niezwykle czasy, zwłaszcza dla Liz i Berniego.

- Nie, wszystko dobrze. Ucałuj ode mnie Jane i do zobaczenia jutro, mamó.

- Dobranoc, kochanie. Uściskaj od nas Liz, jak tylko się obudzi.

- Czy mama czuje się dobrze? - spytała Jane ze strachem w oczach, gdy babcia przeszła przez pokój, by ją uściskać.

- Tak, moja maleńka, i przesyła ci całusy. Będzie w domu rano.

Sądziła, że ucałowania od Liz, a nie od Berniego, bardziej ją uspokoją.

Jednakże następnego dnia Liz obudziła się z bólem. Miała wrażenie, jakby w jednym boku pękły jej wszystkie żebra. Był to bardzo gwałtowny, ostry ból, jakiego do tej pory nigdy nie doznała. Powiedziała o tym doktorowi Johanssenowi, który wezwał onkologa i ortopedę. Zanim pojechała do domu, wykonano jej prześwietlenie i kolejne badanie kości.

Wiadomości, które uzyskali po kilku godzinach, nie były dobre. Chemoterapia nie pomagała, były dalsze przerzuty. Pozwolono jej wrócić do domu, lecz Johanssen nie krył przed Berniem, że to początek końca i od tej pory ból będzie narastał. Lekarze zrobią co tylko możliwe, by pomóc Liz go opanować, ale w końcu i tak ich możliwości działania się wyczerpią. Johanssen powiedział mu o tym w małym gabinecie, niedaleko pokoju chorej. Bernie walnął pięścią w stół tuż przed nosem lekarza.

- Co to znaczy do cholery, że niewiele możecie jej pomóc? Co pan chce przez to, kurwa mać, powiedzieć?

Lekarz doskonale go rozumiał. Bernie miał pełne prawo pomstować na los, który tak doświadczył Liz, oraz na lekarzy, którzy nie potrafili jej pomóc.

- A co wy, pieprzone gnojki, robicie przez cały dzień? Wyciągacie drzazgi i przecinacie ludziom wrzody na dupach? Kobieta umiera na raka, a wy mówicie, że niewiele możecie zrobić, by uśmierzyć jej ból?

Patrząc ponad biurkiem na doktora Johanssena, rozplakał się.

- Co możemy dla niej zrobić?... Niech jej ktoś pomoże!...

Zbliżał się koniec i Bernie o tym wiedział, oni zaś mówili mu, że niewiele mogą dla niej zrobić. Miała umrzeć w koszmarnym bólu. To było najgorsze ze wszystkiego, co znał. Chciał kimś potrząsnąć, żeby mu wreszcie powiedział, że można coś zmienić, że można Liz pomóc, że będzie żyła, że to była straszna pomyłka, że nigdy nie miała raka...

Położył głowę na biurku i płakał, a doktor Johanssen czekał, aż się uspokoi. Było mu rozpaczliwie żal Berniego, jednocześnie czuł się zupełnie bezradny. Po chwili poszedł po szklanekę wody i podał mu ją, lecz Bernie pokręcił głową, oczy miał przeraźliwie smutne.

- Wiem, jakie to straszne, i tak mi przykro, panie Fine. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Chciałem tylko, by pan zrozumiał, jakie są nasze ograniczenia.

- Co to znaczy? - popatrzył na lekarza martwym wzrokiem.

Czuł się, jakby wrywano mu serce.

- Zaczniemy od pastylek demerolu lub percodanu, zależnie od tego, co będzie jej lepiej służyło, a w końcu przejdziemy do zastrzyków z dilaudidu, demerolu albo morfiny, jeżeli okażą się skuteczniejsze. Będzie dostawała coraz większe dawki i w miarę naszych możliwości postaramy się, by nie cierpiała.

- Czy mogę sam robić jej zastrzyki?

Zrobiłby wszystko, byle ulżyć jej cierpieniom.

- Owszem, jeżeli pan chce. Może pan ostatecznie wzywać pielęgniarkę. Wiem, że macie państwo dwoje małych dzieci.

Nagle Berniemu przypomniały się plany wakacyjne.

- Czy myśli pan, że możemy wyjechać do Stinson Beach, czy powinniśmy się raczej trzymać bliżej miasta?

- Nie widzę nic złego w wyjeździe nad morze. Wszystkim wam, a zwłaszcza pańskiej żonie dobrze zrobi zmiana otoczenia. Przecież to tylko pół godziny drogi stąd. Czasami sam tam jeżdżę. To miejsce dobrze wpływa na samopoczucie.

Bernie przytaknął z bezgranicznie smutnym spojrzeniem i odstawił szklanekę. Liz uwielbia to miejsce.

- No to proszę ją tam za wszelką cenę zabrać.

- A co ze szkołą?

Naraz musieli na nowo przemyśleć całe swe życie. Była dopiero wiosna i Liz miała jeszcze kilka tygodni szkoły.

- Czy powinna już teraz odejść z pracy?

- To zależy wyłącznie od niej. Praca jej nie zaszkodzi, jeżeli tego pan się obawia, ale może nie być w stanie dalej uczyć, jeśli ból się nasili. Dlaczego nie pozostawi jej pan wolnej ręki?

Wstał i Bernie westchnął.

- Co pan zamierza jej powiedzieć? Czy powie jej pan, że rak doszedł już do kości?

- Myślę, że nie muszę. Chyba po bólu domyśla się, że choroba postępuje. Według mnie nie ma potrzeby przybijając ją opowiadaniem szczegółów. - Spojrzał na Berniego pytająco: - Chyba że jest pan za tym, by poznała prawdę?

Bernie szybko pokręcił przecząco głową. Zastanawiał się, ile jeszcze zdołają znieść złych wiadomości. A może przez cały czas robili błąd? Może powinien był zabrać ją do Meksyku i zastosować laetрилę albo dietę makrobiotyczną, albo zawieźć ją do Lourdes czy do sekty uzdrowicieli?

Ciągle słyszał niesamowite historie o ludziach, którzy wyleczyli się z nowotworu dzięki orientalnym dietom, hipnozie, bądź wierze, gdy wszystko inne zawiodło. Wiedział jednak, że Liz nie zechce już niczego próbować. Nie zamierzała gonić jak opętana po świecie szukając wiatru w polu. Chciała być w domu z mężem i dziećmi i uczyć w szkole, tak jak robiła od lat. Pragnęła tylko jednego: aby jej życie toczyło się w miarę możliwości tak samo jak wówczas, gdy wszystko było normalne.

- Cześć, kochanie, gotowa?

Liz ubrana czekała na niego w swoim pokoju w nowej peruce, którą przywiozła jej matka i która przypominała jej własne włosy tak bardzo, że i Bernie przez chwilę niemal poddał się temu złudzeniu. Poza tym że miała ciemne obwódki pod oczami i była bardzo chuda, wyglądała ślicznie.

Miała na sobie jasnyniebieską szmizjerkę i dopasowane do niej espadryle, a jasne włosy peruki opadały na ramiona tak jak kiedyś jej własne.

- Co ci powiedzieli? - spytała.

Wyglądała na zmartwioną. Wiedziała, że coś jest nie w porządku, gdyż za bardzo bolały ją żebra. Był to ostry ból, jakiego jeszcze nigdy nie czuła.

- Niewiele, nic nowego. Chemoterapia chyba pomaga.

Liz spojrzała na lekarza.

- To dlaczego odczuwam tak okropny ból w żebrach?

- Czy często podnosi pani dziecko?

Uśmiechnął się do niej, a ona, zastanawiając się nad pytaniem, pokiwała głową.

- Stale nosiła syna.

Alexander jeszcze nie chodził i ciągle chciał być na rękach.

- Tak.

- A ile ono waży?

Liz uśmiechnęła się, słysząc pytanie.

- Pediatria radzi, żebym go wzięła na dietę. Ma dwadzieścia sześć funtów.

- Czy wystarczy to pani za odpowiedź?

Nie wystarczyło, lecz niewątpliwie był to z jego strony szlachetny gest, który Bernie przyjął z wdzięcznością.

Pielęgniarka odwiozła ją na wózku do holu, skąd Liz wyszła, trzymając Berniego pod rękę. Szła bardzo wolno i Bernie zauważył, że skrzywiła się, gdy wsiadała do auta.

- Czy bardzo cię boli, maleńka?

Zawahała się, w końcu jednak kiwnęła głową. Ledwo mogła mówić.

- A może sposób oddychania Lamaze'a by ci pomógł? - podsunął Bernie.

- Ta myśl zrodziła się w przeblysku geniuszu.

W drodze do domu Liz wypróbowała ten sposób i musiała przyznać, że jej trochę pomaga. Poza tym miała przy sobie proszki zapisane przez lekarza.

- Nie chcę ich brać, dopóki nie będzie to konieczne. Może na noc - wyjaśniła.

- Nie bądź bohaterką.

- To ty jesteś bohaterem, panie Fine.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie.

- Kocham cię, Liz.

- Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie... Tak mi przykro, że musisz przeze mnie to znieść!

Wszystkim było bardzo ciężko i Liz o tym wiedziała. Jej też było strasznie trudno. Nienawidziła swej choroby, również ze względu na nich, a czasami nienawidziła nawet ich wszystkich za to, że nie umierają.

Kiedy przyjechali do domu, Bernie pomógł jej wejść po schodach. Jane i matka już na nich czekały. Jane była zmartwiona, ponieważ zrobiło się późno, a ich ciągle nie było widać, lecz prześwietlenie i badanie kości trwało dość długo. Przed czwartą Jane z niepokojem zwierzyła się Ruth:

- Mama zawsze przyjeżdżała do domu rano, babciu. Wiem, że coś się musiało stać.

Nakłoniła ją, by zadzwoniła do szpitala, ale w tym czasie Liz była już w drodze do domu. Kiedy drzwi się otworzyły, popatrzyła na wnuczkę wymownie.

- No widzisz!

Ruth zauważyła jednak to, czego nie spostrzegła Jane: Liz wyglądała na znacznie słabszą niż przed zabiegiem i wydawało się, że cierpi, choć się do tego nie przyznawała.

Mimo to nie chciała zrezygnować z uczenia. Powzięła decyzję, że bez względu na wszystko wytrwa do końca roku, i Bernie postanowił się z nią o to nie sprzeczać. Ostatniego dnia przed wyjazdem Ruth, wstąpiwszy do niego do sklepu, stwierdziła, że chyba oszalał, skoro na to pozwala.

- Przecież ona nie ma siły. Nie widzisz tego?

- Do cholery, mamó - Bernie nie mógł się opanować lekarz powiedział, że to jej nie zaszkodzi.

- To ją zabije.

W końcu Bernie wyładował na matce całą wściekłość.

- Nie, nie zabije! To rak ją zabije! Właśnie on ją zabije, ta przekłeta choroba, która zżera jej ciało... On ją zabije! I nie ma żadnego znaczenia, czy będzie siedzieć w domu i czekać albo chodzić do szkoły, brać chemoterapię albo nie, czy pojedzie do Lourdes... On i tak ją zabije.

Łzy zaczęły go dławić, jakby tama, która je powstrzymywała, nagle pękła. Odwrócił się od matki i przemierzył pokój. W końcu stanął przy oknie, tyłem do niej, i patrzył przed siebie niewidzącymi oczami.

- Przepraszam - rzekł głosem człowieka załamane go, rozrywającym jej serce.

Podeszła do niego powoli i położyła mu ręce na ramionach.

- To ja przepraszam... bardzo cię przepraszam, kochanie... Takie rzeczy nie powinny się nikomu przydarzać, a zwłaszcza ludziom, których kochamy. Nie powinny spotykać nawet tych, których nienawidzimy.

Nie znał nikogo, komu chciałby tego życzyć. Nikogo. Odwrócił się powoli do matki.

- Cały czas myślę, co się stanie z Jane i małym... co my bez niej zrobimy?

Oczy znowu napełniły mu się łzami. Odnosił wrażenie, że nie przestaje płakać od wielu miesięcy. I faktycznie tak było. Minęło pół roku, od kiedy wykryli u Liz raka, pół roku, od kiedy zaczęli się zsuwać w otchłań i błagać Boga, by coś ich uratowało.

- Czy chcesz, żebym tu jakiś czas została? Mogę, ojciec doskonale to zrozumie. Prawdę mówiąc, nawet mi to zaproponował, jak dzwoniłam do niego wczoraj wieczorem. Mogę też zabrać ze sobą dzieci, ale nie myślę, żeby to było fair wobec nich i Liz.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu matka stała się ostatnio taka serdeczna i rozsądna! Zniknęła gdzieś kobieta, która przez całe życie rozprawiała na temat kamieni żółciowych pani Finklestein i straszyla go atakami serca, ilekroć umawiał się na randkę z nie-Żydówką.

Uśmiechnął się na wspomnienie wieczoru w Côte Basque, gdy powiedział jej, że zamierza poślubić katoliczkę, niejaką Elizabeth O'Reilly.

- Pamiętasz, mamó?

Oboje się uśmiechnęli. To było dwa i pół roku temu, a wydawało się, że od tej chwili minęła cała wieczność.

- Pamiętam. Cały czas mam nadzieję, że kiedyś mi to zapomnisz.

Teraz jednak Bernie tylko uśmiechał się na myśl o tym wspomnieniu.

- Co sądzisz o tym, żebym została i pomogła wam trochę, dzieciaki?

Bernie miał trzydzieści siedem lat i ani trochę nie czuł się dzieckiem.

A w ogóle odnosił wrażenie, że przeżył już całe stulecie.

- Doceniam twoją propozycję, mamó, ale myślę, że dla Liz jest najważniejsze, aby wszystko w miarę możliwości szło normalnym trybem. Jak skończy się szkoła, mamy zamiar przenieść się nad morze. Z początku będę dojeżdżał, w połowie lipca wezmę sześciotygodniowy urlop, a jeśli będę musiał, dostanę nawet więcej. Paul Berman wykazuje dużo dobrej woli.

- Dobrze - pokiwała ze zrozumieniem głową. Jeżeli jednak będziesz mnie potrzebował, przylecę najbliższym samolotem. Jasne?

- Tak jest, szanowna pani.

Zasalutował, po czym ją uściskał.

- A teraz idź na zakupy. Jeśli starczy ci czasu, może wybierzesz coś ładnego dla Liz. Ma teraz wymiary dziecka.

Liz nie miała w czym chodzić, ze stu dwudziestu funtów schudła do osiemdziesięciu pięciu.

- Na pewno byłaby zachwycona czymś nowym. Nie ma siły, by coś sobie kupić.

Jane również by się cieszyła, z tym że Bernie przynosił ciągle do domu pudła z dziecięcą odzieżą. Kierownik stoiska darzył Jane wyjątkową sympatią, bezustannie też przysyłał dzieciom prezenty, a Alexandrowi nawet na długo przed jego urodzeniem. Bernie doceniał jego troskliwość.

Był świadom swego rozkojarzenia i męczyła go myśl, że nie jest sprawiedliwy wobec dzieci. Uprzytamniał sobie, że odkąd jego syn skończył pół roku, właściwie przestał zwracać na niego uwagę. Ciągle też powarkiwał, właściwie za nic, na Jane, a przecież ją kochał, lecz

oboje tak bardzo czuli się bezsilni! Były to ciężkie czasy dla wszystkich. Szkoda, że nie poszli do psychoanalityka, jak radziła Trący. Liz od razu odrzuciła ten pomysł i teraz Bernie tego żałował.

Najtrudniejsza chwila nadeszła następnego dnia, gdy Ruth jechała na lotnisko. Rano po drodze wstąpiła do nich, zanim Liz zdążyła wyjść do szkoły. Trący zabierała teraz codziennie Jane, Bernie zaś wrócił do pracy. Liz czekała na opiekunkę, która zajmowała się małym podczas jej nieobecności, a Alexander zapadł w swą poranną drzemkę. Liz podeszła do drzwi i przez chwilę obie kobiety stały w przejściu rozumiały się bez słów. Gdy patrzyły na siebie, w ich oczach nie było żadnego udawania. Liz wyciągnęła rękę i uściśnęła teściową.

- Dziękuję, że przyszedłaś...

- Chciałam się z tobą pożegnać. Będę się za ciebie modlić, Liz.

- Dziękuję.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, gdyż oczy wypełniły się jej łzami. Spojrzała na Ruth.

- Opiekuj się nimi za mnie, babciu. - Był to ledwie szept. - I dbaj o Berniego.

- Obiecuję. Uważaj na siebie. Rób wszystko, co ci każą.

Uściśnęła wątłe ramiona i dopiero teraz zauważyła, że Liz ma na sobie sukienkę, którą kupiła jej poprzedniego dnia.

- Kochamy cię Liz... bardzo, bardzo mocno...

- Ja też was kocham.

Trzymała ją jeszcze przez chwilę w uścisku, potem odwróciła się, by odejść, pomachawszy jej po raz ostatni na pożegnanie. Liz stała w drzwiach i patrzyła za odjeżdżającą taksówką. Ruth machała, dopóki synowa nie zniknęła jej z oczu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Liz udało się dopracować do końca roku szkolnego. Bernie i lekarz nie mogli wyjść z podziwu, że dała radę. Teraz musiała codziennie po południu brać demerol i Jane narzekała, że mama prawie cały czas śpi, ale nie bardzo wiedziała, jak wyrazić swe niezadowolenie. Najmocniej była rozżalona tym, że jej matka umiera.

Zakończenie roku szkolnego wypadło dziewiątego czerwca. Liz włożyła tego dnia jedną z sukienek, które Ruth kupiła jej przed odjazdem. Matka wciąż do nich telefonowała, opowiadając Liz śmieszne historyjki o ludziach ze Scarsdale.

Ostatniego dnia Liz sama odwiozła Jane do szkoły. Córka patrzyła na nią szczęśliwa, gdyż oczy matki błyszczały, była ożywiona i piękna jak dawniej, tyle że szczuplejsza. Poza tym nazajutrz mieli się przenieść do Stinson Beach i Jane nie mogła się doczekać, kiedy będzie „jutro”.

Pobiegła do swej klasy w różowej sukience i czarnych skórzanych lakierkach, które wybrała specjalnie na tę okazję przy pomocy babci. Z okazji pożegnania szkoły miało się odbyć przyjęcie z ciastkami, słodyczami i mlekiem. Liz weszła do klasy, zamknęła cicho drzwi i odwróciła się, by popatrzeć na swoich uczniów.

Byli wszyscy, dwadzieścia jeden małych, lśniących czystością twarzyczek, tyle samo par jasnych oczu i wyczekujących uśmiechów. Nie miała wątpliwości, że ją kochają, tak jak z absolutną pewnością wiedziała, że i ona ich kocha. A teraz musi się z nimi pożegnać. Nie może ich tak po prostu zostawić, zniknąć bez słowa wyjaśnienia. Odwróciła się i namalowała na tablicy różową kredą wielkie serce. Uczniowie się roześmiali.

- Najlepsze życzenia z okazji walentynki!

Wyglądała na szczęśliwą i tak istotnie było. Skończyła coś, co miało dla niej ogromne znaczenie. To był jej prezent dla uczniów, dla niej samej i dla Jane.

- Dziś nie jest walentynka! - zaprotestował Bili Hitchcock. -Dziś jest Boże Narodzenie.

Zawsze się wymądrzał. Liz wybuchnęła śmiechem.

- A właśnie że nie. Dziś jest moja prywatna walentynka. Mam okazję, by wam powiedzieć, jak bardzo was kocham. - Poczowała dławienie w gardle, lecz wiedziała, że musi się pohamować. - Proszę, żebyście byli przez chwilę bardzo cicho. Mam dla każdego walentynkę... a potem zrobimy sobie prywatne przyjęcie... przed uroczystością szkolną.

Zaintrygowani uczniowie siedzieli tak cicho, jak tylko potrafili, co niewątpliwie w

ostatnim dniu szkoły musiało ich niemało kosztować. Liz wywoływała jednego po drugim i wręczała każdemu własnoręcznie zrobioną laurkę, która mówiła, co Liz najbardziej w danym uczniu lubi, jakie są jego umiejętności, najlepsze cechy i osiągnięcia. Przypomniała każdemu, co mu się udało, choćby miało to być jedynie zmiatanie podwórka, a także jak wspaniale było im razem. Każda laurka została ozdobiona wycinankami i obrazkami i opatrzona zabawnymi powiedzonkami, pasującymi do obdarowanego nią ucznia.

Dzieci, trochę nieswoje, cicho siadały z powrotem na miejscach, dzierżąc w dłoniach laurki jak rzadkie skarby. Wykonanie ich zajęło Liz kilka miesięcy i poświęciła temu zajęciu resztki sił.

Potem wyjęła dwie tace pełne ciastek w kształcie serc i jeszcze jedną z drobnymi, pięknie przybranymi ciasteczkami. Wszystkie upiekła sama specjalnie dla nich i nawet nie przyznała się do tego Jane. Powiedziała jej, że są to ciastka na ogólne przyjęcie pożegnalne. Zrobiła co prawda trochę ciasteczek dla całej szkoły, ale te były specjalne tylko dla „jej” drugoklasistów.

- Na zakończenie chcę wam jeszcze powiedzieć, jak mocno was kocham, jak bardzo jestem z was dumna i jacy wspaniali byliście przez cały rok... i jak znakomicie będziecie sobie z pewnością radzić w trzeciej klasie przy pani Rice.

- Nie będzie tu już pani? - cichy głosik pisnął z ostatniej ławki i czarnowłosy chłopczyk o ciemnych oczach, z laurką w jednej ręce i ciastkiem zbyt ślicznym, by je zjeść, w drugiej, popatrzył na nią ze smutkiem.

- Nie, Charlie, wyjeżdżam na trochę.

Łzy i tak napłynęły jej do oczu.

- Będzie mi was bardzo brakowało, ale pewnego dnia znowu was spotkam. Wszystkich. Pamiętajcie o tym...

Odetchnęła głęboko i już nie starała się kryć łez.

- A kiedy zobaczycie moją małą Jane, ucałujcie ją ode mnie.

W pierwszej ławce rozległ się głośny szloch Nancy Farrell. Dziewczynka podbiegła do niej i objęła ją mocno.

- Proszę nie odchodzić... kochamy panią...

- Wcale nie chcę odejść, Nancy, naprawdę nie chcę... ale chyba muszę...

Uczniowie podchodzili do niej po kolei, ona zaś przytulała każdego i całowała.

- Kocham was, kocham was wszystkich.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Liz nabrała w płuca powietrza i popatrzyła na nich.

- Myślę, że to sygnał, który wzywa nas na szkolną uroczystość.

Dzieci stały w poważnej gromadce, gdy naraz Billy Hitchcock spytał, czy Liz ich odwiedzi.

- Jeśli tylko będę mogła, Billy.

Kiwnął głową i wszyscy zaczęli powoli, spokojniej niż kiedykolwiek przedtem wychodzić parami na korytarz z łakociami i laurkami w teczkach, wpatrzeni w uśmiechniętą twarz „swojej pani”. Na zawsze należała do nich. Kiedy tak stała, obejmując pełnym miłości spojrzeniem swą gromadkę, nadeszła Trący. Domyśliła się, co zaszło, a przecież wiedziała, że i bez tego ostatni dzień w szkole będzie dla Liz ciężki.

- Jak poszło? - szepnęła.

- Mam nadzieję, że dobrze.

Wytarła oczy i nos, a przyjaciółka przytuliła ją serdecznie.

- Powiedziałaś im?

- Mniej więcej. Powiedziałam, że ich opuszczam, bardzo delikatnie dając do zrozumienia dlaczego. Niektórzy się domyślili.

- Dałaś tym dzieciom miły podarunek, Liz, zamiast zniknąć po prostu z ich życia.

- Nie mogłabym im tego zrobić.

Nikomu nie mogłaby tego zrobić. Dlatego była wdzięczna Ruth za to, że zajrzała do niej w drodze na lotnisko. Nadszedł czas pożegnań i Liz nie chciała stracić żadnej okazji, by móc powiedzieć każdemu „do widzenia”.

Tego ranka, mając ponadto za sobą trudne chwile pożegnania z nauczycielami, wracała później z Jane do domu całkowicie wyczerpana. Mała siedziała tak cicho, że Liz aż się przestraszyła. Podejrzewała, że córka dowiedziała się o jej przyjęciu oraz laurkach i ma jej to za złe. Nadal nie chciała bowiem pogodzić się z rzeczywistością.

- Mamusiu...

Liz nigdy chyba nie widziała poważniejszej twarzyczki od buzi Jane, gdy zgasiwszy silnik przed domem, popatrzyła na córkę.

- Tak, kochanie?

- Wcale ci się nie polepsza, prawda?

- Może troszkę.

Starła się udawać dla dobra Jane, obie jednak wiedziały, że to kłamstwo.

Czy nie mogą zrobić czegoś wyjątkowego? W końcu Liz była kimś wyjątkowym. Jane miała dopiero osiem lat i oto traciła matkę, którą kochała. Dlaczego nikt nie mógł jej pomóc?

- Czuję się dobrze.

Jane skinęła głową, lecz po policzkach popłynęły jej łzy, gdy matka zduszonym głosem szepnęła:

- Tak mi przykro, że muszę cię zostawić, ale zawsze będę przy tobie, zawsze będę się opiekowała tobą, tatusiem i Alexem.

Jane rzuciła się w ramiona matki i minęło sporo czasu, zanim wysiadły z samochodu i przytulone ruszyły do domu. Jane sprawiała wrażenie większej od swej matki.

Gdy po południu przyszła Trący, by zabrać Jane na lody i spacer po parku, dziewczynka wyszła tak lekkim krokiem, jak nigdy w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Liz też poczuła się lepiej. Miała wrażenie, że od czasu, kiedy to wszystko się zaczęło, nie czuły się z córką tak sobie bliskie... Nie było im łatwiej, ale na pewno lepiej.

Tego popołudnia Liz usiadła nad czterema kartkami papieru i napisała listy do najbliższych. Nie były długie, po prostu powiedziała każdej z ukochanych osób, jak bardzo ją kocha i za co, a także ile dla niej znaczy i jak ogromnie żałuje, że musi ją opuścić.

Listy były adresowane do Berniego, Ruth, Jane i Alexandra. Najwięcej trudności sprawiło jej pisanie do Alexandra, ponieważ syn nie będzie jej nawet pamiętał.

Gdy wsunęła je do Biblii, którą trzymała zawsze w szufladzie swej serwantki, poczuła się znacznie lepiej. Już od dawna leżało jej to na sercu i wreszcie to zrobiła. Tego wieczoru, po powrocie Berniego do domu, spakowali się na wyjazd do Stinson Beach.

A kiedy wyruszyli tam następnego dnia, wszyscy byli w świątecznych nastrojach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

W trzy tygodnie później, pierwszego lipca, Liz miała wyznaczony termin kolejnego zabiegu. Po raz pierwszy odmówiła. Dzień wcześniej po prostu powiedziała Berniemu, że nie chce. Z początku wpadł w panikę, potem zadzwonił do doktora Johanssena pytając, co robić.

- Mówi, że jest tu szczęśliwa, i chce, żeby ją zostawić w spokoju. Czy myśli pan, że się poddała?

Czekał z tym telefonem, dopóki Liz nie poszła z Jane na spacer. Chodziły nad wodę, siadały i patrzyły na fale przybrzeżne, czasami Jane niosła Alexa. Liz i tutaj samodzielnie prowadziła dom, nadal sama gotowała i zajmowała się Alexandrem najlepiej, jak mogła. Bernie nie odstępował jej na krok, służąc pomocą, natomiast Jane uwielbiała krzątać się przy małym.

- Być może - odparł lekarz. - Nie chciałbym panu wmawiać, że zmuszanie jej, by przyszła na chemoterapię, zrobi wielką różnicę. Prawdopodobnie dłuższa o tydzień przerwa nie zaszkodzi. Co by pan powiedział, gdybyśmy odłożyli to do przyszłego tygodnia?

Gdy po południu Bernie przekazał jej tę propozycję, przyznając się, że dzwonił do lekarza, Liz najpierw nakrzyczała na niego, ale potem wybuchnęła śmiechem.

- Z wiekiem stajesz się skarżypytą.

Pochyliła się, by go pocałować, a Berniemu przypomniało to szczęśliwe dni i jego pierwszy przyjazd do Stinson Beach.

- Pamiętasz, jak przysłałeś mi kostiumy kąpielowe, tatusiu? Mam je do tej pory!

Jane tak bardzo je lubiła, że nie chciała się z nimi rozstać, choć dawno już zrobiły się za małe. Niebawem kończyła dziewięć lat. Czyż mogło być dla dziecka coś trudniejszego od utraty matki w tym wieku? Alexander skończył czternaście miesięcy i tego dnia, kiedy Liz miała wyznaczoną chemoterapię, zaczął chodzić. Ruszył na chwiejnych nóżkach po plaży w kierunku Liz piszcząc na wietrze, aż wszyscy wybuchnęli śmiechem. Liz popatrzyła na Berniego z miną zwyciężczyni.

- Widzisz? Miałam rację, że nie chciałam dziś jechać!

Pytanie o to, czy zgadza się na wizytę w przyszłym tygodniu, skwitowała krótkim „zobaczymy”. Przez większość czasu bardzo teraz cierpiała, ale nadal zwalczała ból za pomocą pastylek. Nie chciała jeszcze uciekać się do zastrzyków w obawie, że jeśli przejdzie na silniejsze leki, uodporni się na ich działanie wcześniej, niż będą jej naprawdę potrzebne. Powiedziała o tym uczciwie Berniemu.

Wieczorem tego dnia, gdy Alex zaczął chodzić, Bernie spytał Liz, czy nie miałyby ochoty zobaczyć się z Billym i Marjorie Robbinsami. Zadzwoił do nich, lecz nie było ich w domu, wobec czego Liz zatelefonowała do Trący, by po prostu pogadać. Długo gawędziły i dużo się śmiały. Liz uśmiechała się jeszcze, gdy odłożyła słuchawkę bardzo lubiła Trący.

W sobotę wieczorem Bernie przygotował barbecue, a Liz przy rządziła ich ulubione befsztyki, pieczone ziemniaki i szparagi z sosem holenderskim, na deser zaś pływające lody z owocami i bitą śmietaną. Alexander zanurzył łyżkę w deserze i ku uciesze wszystkich rozmazał go po całej buzi. Liz nie zapalała jego lodów, by się nie poparzył.

Jane przypomniała Berniemu deser bananowy, który jej zafundował, gdy zgubiła się u Wolffa. Okazało się w końcu, że wszystkim zebrało się na wspomnienia: Hawaje, wspólny miesiąc miodowy, ślub, pierwsze lato w Stinson Beach, pierwsze otwarcie sezonu operowego, pierwsza podróż do Paryża... Cała noc zeszła Liz i Berniemu na wspominkach.

Następnego dnia Liz cierpiała tak bardzo, że nie mogła wstać z łóżka. Bernie błagał doktora Johanssena, by przyjechał ją zbadać. Zrobił to wyjątkowo, za co Bernie był mu ogromnie wdzięczny. Zaaplikował Liz zastrzyk z morfiny, po którym usnęła rozpozodzona i obudziła się dopiero późnym południem.

Przyjechała Trący, by pomóc Berniemu przy dzieciach. Lekarz zostawił dla Liz więcej leków, zastrzyki miała jej robić Trący. Jej obecność była prawdziwym błogosławieństwem. Liz nie obudziła się nawet na obiad, który dzieci zjadły w milczeniu, a potem poszły spać. Ocknęła się dopiero o północy.

- Kochanie?... Gdzie jest Jane? - zapytała Berniego.

Czytał właśnie i był zaskoczony ujrawszy, jak bardzo jest ożywiona. Nie wyglądała na osobę, która cały dzień przeleżała w łóżku, dręczona boleściami. Widząc Liz w tym stanie, Bernie poczuł ulgę. Wydawało mu się nawet, że wcale nie jest tak chuda jak ostatnio, i zaczął się już zastanawiać, czy to nie początek poprawy. Był to jednak początek czegoś zupełnie innego, o czym Bernie jeszcze wówczas nie wiedział.

- Jane jest już w łóżku, kochanie. Chcesz coś zjeść?

Wyglądała tak dobrze, że Bernie miał chęć przynieść jej obiad, którego nie jadła, lecz pokręciła z uśmiechem głową,

- Chcę zobaczyć Jane.

- Teraz?

Przytaknęła i popatrzyła tak, jakby to było pilne. czuł się trochę nieswojo, włożył jednak szlafrok i na palcach wyminął śpiącą na kanapie Trący. Ich niezawodna przyjaciółka postanowiła w ogóle nie wracać do domu, na wypadek gdyby Liz potrzebowała w nocy

zastrzyku lub Bernie rano pomocy przy dzieciach.

Jane poruszyła się, gdy Bernie pocałował ją we włosy, a potem w policzek. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Cześć, tatusiu - szepnęła zasnętym głosem i szybko usiadła na łóżku. - Czy z mamą wszystko dobrze?

- Tak, ale stęskniła się za tobą. Czy chcesz dać jej buzi na dobranoc?

Jane sprawiała wrażenie dumnej, że obudzono ją z tak ważnego powodu. Od razu wstała z łóżka i poszła za Bernieem do pokoju rodziców, gdzie Liz czekała na nią całkowicie rozbudzona.

- Cześć, maleńka - powiedziała silnym, czystym głosem.

Oczy jej błyszczały, gdy córka pochyliła się, by ją pocałować. Jeszcze nigdy matka nie wydawała się Jane tak piękna; ona również odniosła wrażenie, że wygląda na zdrowszą.

- Cześć, mamó. Czy czujesz się lepiej?

- O wiele lepiej.

Nie miała nawet bólei. W tej chwili nic jej nie dolegało.

- Chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham.

- Czy mogę położyć się z tobą? - spojrzała z nadzieją, a Liz z uśmiechem odchyliła kódrę.

- Oczywiście.

Dopiero teraz można było dostrzec, jak okropnie wychudła, choć na twarzy wydawała się jakby pełniejsza. W każdym razie przynajmniej teraz.

Poszeptały trochę, aż w końcu Jane zaczęły się kleić oczy. Otworzyła je jednak dzielnie i uśmiechnęła się, kiedy Liz ją ucałowała, zapewniając o swej wielkiej miłości.

Gdy usnęła już na dobre w ramionach matki, Bernie zaniósł małą z powrotem do jej łóżka. Po powrocie nie zastał Liz w sypialni. Zajrzał do łazienki, lecz była pusta. Potem usłyszał żonę w sąsiednim pokoju pochyloną nad łóżeczkiem Alexandra, głaskała go po miękkich, jasnych lokach.

- Dobranoc, moje kochane maleństwo...

Alexander był prześlicznym dzieckiem.

Kiedy Liz wróciła na palcach do ich pokoju, Bernie uważnie się jej przyjrzał.

- Powinnaś się trochę przespać, kochanie. Będziesz jutro wyczerpana.

Liz była jednak wyjątkowo ozywiona i pełna energii. Przytuleni pograżyli się w rozmowie. Bernie trzymał ją w ramionach, gładził jej piersi, a ona szeptała jak bardzo go kocha. Zapadła w sen dopiero o wschodzie słońca.

Przegadali prawie całą noc i Bernie też w końcu zasnął obok niej, tuląc ją mocno w ramionach, czując jej ciepło. Jeszcze raz otworzyła oczy i ujrzawszy, że Bernie, szczęśliwy, pograża się we śnie, uśmiechnęła się do siebie i zamknęła oczy.

Gdy Bernie obudził się rano, Liz nie żyła. Zmarła cicho we śnie w jego ramionach. Przed odejściem pożegnała się ze wszystkimi. Bernie patrzył na leżącą Liz. Trudno mu było uwierzyć w straszną prawdę. Przerażony potrząsnął żoną, dotknął jej ręki, twarzy...

Szlochając głośno, zamknął od środka sypialnię, by nikt nie mógł wejść, i rozsunął szklane drzwi prowadzące na plażę. Wszedł, zasunął je cicho za sobą i długo, długo biegł, czując Liz obok siebie.

Kiedy wrócił, wszedł do kuchni, gdzie Trący podawała właśnie dzieciom śniadanie. Spojrzał na nią. Trący zaczęła coś mówić i nagle zrozumiała. Zamilkła, wpatrując się w niego nieruchomym wzrokiem, a on pokiwał głową. Potem spojrzął na Jane i usiadł obok niej, obejmując ją ramieniem.

- Mama odeszła, kochanie... - powiedział.

- Gdzie odeszła?... Znowu do szpitala?

Odsunęła się na chwilę, by spojrzeć mu w twarz. Zrozumiała. Z trudem łapiąc oddech rozpaczliwie przytuliła się do Berniego i wybuchnęła płaczem. Ten ranek miał pozostać w ich pamięci do końca życia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Po śniadaniu Trący zabrała dzieci do domu, a w południe przybyli ludzie z przedsiębiorstwa pogrzebowego. Bernie został w domku sam, czekając na nich przy zamkniętych nadal drzwiach sypialni. Wrócił tu przez rozsuwane drzwi, usiadł przy Liz i ujął jej rękę. Ostatni raz byli sami, ostatni raz widział ją w łóżku. Ostatni raz...

Cały czas powtarzał sobie, że to koniec, że Liz już nie ma, kiedy jednak patrzył na nią i całował jej palce, odnosił wrażenie, że nic się nie zmieniło. Pozostała częścią jego duszy i serca, jego życia. I wiedział, że na zawsze.

Podjechał samochód zakładu pogrzebowego. Bernie otworzył drzwi i wyszedł na spotkanie przybyłym. Nie mógł patrzeć, jak będą ją przykrywali i wynosili z domu, toteż wszystkie dyspozycje przekazał jednemu z mężczyzn w salonie. Uprzedził, że w mieście będzie dopiero późnym popołudniem, musiał bowiem najpierw spakować rzeczy. Człowiek ten zapewnił, że go rozumie, i zostawił swą wizytówkę, obiecując, że postarają się mu wszystko maksymalnie ułatwić.

Ułatwić! Jakby to miało jakikolwiek sens... Stracił przecież żonę, kobietę, którą kochał, matkę swoich dzieci! Nic już nie będzie dla niego łatwe...

Trący zadzwoniła za niego do doktora Johanssena, a Bernie zawiadomił właścicieli posesji, że rezygnuje z wynajmu domku. Nie chciał więcej wracać nad morze, byłoby to dla niego zbyt bolesne. Okazało się naraz, że trzeba jeszcze mnóstwo drobiazgów załatwić, ale żaden i tak nie miał znaczenia.

Choćby ten człowiek z zakładu pogrzebowego: zadreślał go bez końca pytaniami, czy trumna ma być mahoniowa, metalowa czy może sosnowa i jaki jedwab będzie lepszy różowy, niebieski czy zielony.

A kogo to, do cholery, obchodziło? Liz odeszła... Byli ze sobą trzy lata i oto ją stracił.

Z ciężkim sercem wrzucił do jednej torby rzeczy Jane, do drugiej Alexandra, szarpnięciem wysunął jedną z szuflad i znalazł w niej peruki Liz. Usiadł wtedy i rozplakał się. Szlochał i miał wrażenie, że nigdy nie będzie w stanie przestać. Pchnąwszy okno, objął udręczonym spojrzeniem morze i niebo i zawołał z głębi serca: Dlaczego, Boże? Dlaczego? Nikt mu jednak nie odpowiedział. Łóżko było teraz puste, Liz opuściła ich na zawsze. Nim odeszła, ucałowała go, dziękując za wspólne życie i za dziecko, które ze sobą mieli, a on nic nie mógł zrobić, by ją zatrzymać, choć gotów był na wszystko.

Gdy skończył pakowanie, zadzwonił do rodziców. Telefon odebrała matka. W

Nowym Jorku było gorąco jak w piekle i nawet klimatyzacja nic nie dawała. Rodzice wybierali się z przyjaciółmi do miasta i Ruth myślała, że to oni dzwonią, by uprzedzić o swym spóźnieniu.

- Halo?

- Cześć, mammo.

Ogarnęła go tak wielka żalność, że nie był pewien, czy starczy mu sił, by przekazać jej tę straszną wiadomość.

- Kochanie, czy coś się stało?

- Ja... - pokręcił głową, potem zacisnął zęby i znowu poczuł napływające łzy. - Ja... chciałem, żebyście wiedzieli... - Nie potrafił tego wykrztusić. Miał znowu pięć lat i stał nad przepaścią. - Liz... och, mammo... - szlochał jak dziecko, a matka, słuchając go, też wybuchnęła płaczem. - Liz umarła... tej nocy...

Nie mógł powiedzieć nic więcej. Ruth dała znak Lou stojącemu obok z zasmuconą twarzą.

- Natychmiast przyjeżdżamy.

Spojrzała na zegarek, na męża i na swą wyjściową suknię, i płacząc myślała o tej dziewczynie, o ukochanej syna, o matce ich wnuka. Jej śmierć była tak niepojęta, tak krzywdząca. Teraz najbardziej na świecie pragnęła przytulić Berniego.

- Złapiemy najbliższy samolot.

Lou zrozumiał bezładną gestykulację Ruth i kiedy tylko mu pozwoliła, wziął od niej słuchawkę.

- Kochamy cię, synu, będziemy u ciebie możliwie jak najszybciej

- Dobrze... dobrze... ja...

Nie wiedział, jak sobie z tym poradzić, co powiedzieć, co zrobić. Chciał płakać, krzyżeć, był gotów na wszystko, byle tylko przywrócić ją do życia, Liz jednak już nigdy do niego nie wróci. Nigdy...

Zdawało mu się, że nie potrafi teraz żyć, ale musiał. Miał dwoje dzieci, o które powinien się teraz troszczyć. Były wszystkim, co mu zostało.

- Gdzie jesteś, synu?

Lou ogromnie się o niego martwił.

- Nad morzem.

Zaczerpnął powietrza. Chciał wydostać się z tego domu, w którym Liz umarła. Rozejrzawszy się wokół, zdał sobie sprawę, że musi natychmiast opuścić to miejsce. Jak dobrze, że torby są już w samochodzie. To stało się tutaj.

- Jesteś sam?

- Tak... Wysłałem Tręcy z dziećmi do domu i... dopiero co zabrali Liz.

Na myśl o tym znowu poczuł dławienie w gardle.

- Przykryli ją brezentem... zakryli jej twarz i głowę...

Wspomnienie tego obrazu odbierało mu przytomność. Muszę już jechać, żeby się wszystkim zająć.

- Postaramy się być dziś wieczorem.

- Chcę czuwać przy niej w domu pogrzebowym. Tak robił zawsze w szpitalu i teraz też jej nie zostawi, dopóki nie zostanie pochowana.

- Dobrze, będziemy u was wkrótce.

- Dziękuję, tato.

Mówił jak mały chłopiec, a Lou czuł, że pęka mu serce. Ojciec odłożył słuchawkę i spojrzał na Ruth szlochała cicho. Przytulił ją do siebie, po jego policzkach również popłynęły łzy. Płakał, łącząc się w żalu ze swym chłopcem, na którego spadło tak ogromne nieszczęście. Tragedia Berniego napawała go wielkim bólem. Liz była taką wspaniałą, tak przez wszystkich kochaną dziewczyną.

Odwołali obiad z przyjaciółmi i zdążyli na samolot o dziewiątej wieczorem. W San Francisco wylądowali o północy tamtejszego czasu. Dla nich była trzecia rano, lecz Ruth odpoczęła w samolocie i chciała iść wprost pod adres podany przez Berniego. Siedział przy żonie w domu pogrzebowym.

Trumnę zamknięto. Nie zniósłby tylu godzin w tej straszliwej ciszy, wciąż patrząc na nią; i tak nie mogło być gorzej, został bowiem sam w opustoszałym domu pogrzebowym. Wszyscy żałobnicy już wiele godzin temu rozeszli się do domów. Pozostali tylko dwaj nobliwie wyglądający mężczyźni w czarnych garniturach, którzy otworzyli Fine'om drzwi.

Rodzice przybyli o pierwszej nad ranem, odwiózłszy wcześniej po drodze bagaże do hotelu. Ruth miała na sobie czarny kostium, czarną bluzkę i czarne buty, które kupiła przed kilkoma laty u Wolffa.

Ojciec był ubrany w ciemnoszary garnitur i czarny krawat, a Bernie w grafitowoszary garnitur, białą koszulę i czarny krawat.

Raptem postarzał się i wyglądał teraz na więcej niż trzydzieści siedem lat.

Wcześniej zajrzał na kilka godzin do domu, by pobyć trochę z dziećmi, potem znowu tu wrócił. Teraz wysłał tam matkę, żeby była przy dzieciach, kiedy się obudzą. Ojciec oświadczył, że chce zostać z nim przez całą noc.

Niewiele ze sobą rozmawiali. Rano Bernie poszedł do domu, by się odświeżyć i

przebrać, ojciec zaś wstąpił na trochę do hotelu. Matka robiła właśnie dzieciom śniadanie, a Tracy siedziała przy telefonie. Przekazała wiadomość, że Paul Berman przylatuje do miasta o jedenastej, by wziąć udział w pogrzebie. Chowali Liz tego dnia zgodnie z żydowską tradycją.

Ruth wybrała dla Jane białą sukienkę, Alexander zaś miał zostać w domu z opiekunką, tą samą, z której pomocy korzystała już Liz. Maluch nie miał pojęcia, co się dzieje. Biegał na chwiejnych nóżkach wokół kuchennego stołu i wołał: Mami, mami, mami jak nazywał zawsze Liz, co znowu wywołało łzy w oczach Bernieego. Ruth poklepała go po ramieniu i doradziła, by się na trochę położył, on jednak usiadł przy stole obok Jane.

- Cześć, kochanie, jak się masz? Czy dobrze?

A któż się miał dobrze? Było to tylko pytanie, które wypada zadać. On też nie czuł się dobrze i Jane o tym wiedziała. Wzruszyła ramionami i wsunęła swoją rączkę w jego dłoń. Muszą w końcu przestać zadreć się przemyśliwaniem, dlaczego to się wydarzyło właśnie im. Tak się stało i musieli sobie z tym poradzić. Liz odeszła, ale chciała, by oni żyli dalej; tego Bernie był pewny. Tylko jak mają żyć? Do diabła, w tym właśnie był problem.

Poszedł do ich sypialni, bo przypomniał sobie o Biblii, którą Liz od czasu do czasu czytała. Przyszło mu na myśl, aby na pogrzebie odczytano Psalm Dwudziesty Trzeci. Kiedy wziął książkę w rękę, pomiędzy kartek wypadły na podłogę cztery koperty. Schylił się, by je podnieść, i natychmiast pojął, co zawierają. Nie wstydził się łez, które płynęły mu po policzkach, gdy czytał adresowany do siebie list. Potem zawołał Jane, by przeczytała swój, także matce wręczył list od synowej. Postanowił, że list do Alexandra zatrzyma dla niego na później, przechowa go w sejfie do czasu, aż syn stanie się na tyle dorosły, by zrozumieć jego treść.

Był to dzień pełen bólu, czułości i wspomnień. Na pogrzebie Paul Berman stał obok Bernieego, który ścisnął kurczowo rączkę Jane. Lou trzymał za rękę matkę. Wszyscy płakali. Rzędem stali przyjaciele, sąsiedzi i koledzy. Dyrektor szkoły, żegnając Liz, powiedział, że wszystkim będzie jej ogromnie brakowało.

Bernie był wzruszony obecnością wielu sprzedawców od Wolffa. Tylu ludzi ją kochało, tylu odczuje jej brak... ale nikt tak bardzo, jak on i dzieci, które osierociła. „Kiedyś znowu się spotkamy” obiecała wszystkim. Powiedziała to swoim uczniom ostatniego dnia szkoły, obiecała im to na spotkaniu, które nazwała „swoją walentynką”. Bernie miał nadzieję, że się nie myliła. Chciał ją jeszcze ujrzeć, pragnął tego rozpaczliwie, przede wszystkim jednak miał dwójkę dzieci do wychowania.

Kiedy tak stali i słuchali słów Psalmu Dwudziestego Trzeciego, ścisnął rączkę Jane,

pragnąc, aby Liz była na powrót z nimi, by wróciła... Ogarnęła go straszliwa tęsknota i oczy zaszyły mu łzami, lecz Elizabeth O'Reilly Fine odeszła na zawsze.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Ojciec musiał wracać do Nowego Jorku, lecz matka została na trzy tygodnie. Koniecznie chciała potem zabrać ze sobą na trochę dzieci. Dopiero lipiec się kończył, nie miały zatem nic do roboty, a Bernie musiał wreszcie wrócić do pracy. Ruth uważała, że dobrze mu to zrobi.

Nieodwołalnie zrezygnowali ze Stinson Beach i dzieciom nie pozostawało nic innego, jak siedzieć w domu z opiekunką. Poza tym musisz jakoś zorganizować sobie życie. Bernardzie.

Matka była wspaniała, ale już zaczynał na nią burczeć. Był wściekły na życie i zły los, który go tak boleśnie doświadczył, więc tylko patrzył, na kim by tu wyładować gniew. Matka była akurat pod ręką.

- O co ci, do cholery, chodzi?

Dzieci już leżały w łóżkach, a Ruth wezwała właśnie taksówkę. Nadal mieszkała w hotelu Huntington. Wiedziała, że Bernie potrzebuje w ciągu dnia trochę czasu dla siebie, ona zresztą też. Oddychała z ulgą, gdy ułożywszy dzieci spać, wracała po całym dniu do hotelu. Bernie patrzył na nią teraz ze złością i wyraźnie szykował się do walki, lecz nie to było celem Ruth.

- Chcesz wiedzieć, o co mi chodzi? Uważam, że powinieneś zostawić ten dom i wyprowadzić się. Może nadszedł czas, byś wrócił do Nowego Jorku, a jeżeli nie jesteś w stanie tego od razu załatwić, to się chociaż stąd wyprowadź. Za dużo tu wspomnień. Jane codziennie stoi w garderobie matki i wdycha jej perfumy. Za każdym razem, gdy otwierasz jakąś szufladę, napotykasz jej kapelusz, portmonetkę czy perukę. Nie możesz sobie tego robić. Wyprowadź się stąd.

- Nigdzie się nie wyprowadzimy - warknął.

Ruth miała wrażenie, że Bernie tupnie nogą ze złości, lecz nie zamierzała ustąpić.

- Jesteś szalony Bernardzie. Zadręczasz ich i siebie.

Nadal próbowali szukać w Liz oparcia, a przecież było to niemożliwe.

- To śmieszne. To nasz dom i nigdzie się stąd nie ruszamy.

- Przecież tylko go wynajmujecie. Co jest w nim takiego wspaniałego?

Wspaniałe było to, że kiedyś mieszkała w nim Liz. Bernie pragnął zatrzymać czas i nic go nie obchodziło, co myślą o tym inni ani jak bardzo wyczerpująca psychicznie może się dla nich okazać ta sytuacja. Nie chciał, by dotykano rzeczy Liz, ruszano jej maszynę do

szycia. Garnki stały tam, gdzie ona je postawiła.

Trący kilka dni temu przyznała się Ruth, że przeszła przez to samo minęły dwa lata, zanim oddała ubrania męża. Nie było to jednak żadną pociechą dla matki Berniego. Wiedziała, jak bardzo będzie im ciężko. Miała słuszość, tylko Bernie nie chciał tego przyznać.

- Pozwól mi chociaż na kilka tygodni, zanim nie zacznie się szkoła, zabrać dzieci do Nowego Jorku.

- Pomyślę o tym.

Po namyśle pozwolił. Wyjechali pod koniec tygodnia, nadal bardzo przygnębieni, a Bernie codziennie pracował do dziewiątej, dziesiątej wieczorem, potem wracał do domu, siadał na krześle w salonie, patrzył przed siebie i myślał o Liz.

Gdy dzwoniła matka, odbierał telefon dopiero po mniej więcej czternastym sygnale.

- Musisz znaleźć dla nich opiekunkę Bernardzie zasugerowała kiedyś matka.

Koniecznienie chciała zreorganizować mu życie, on zaś pragnął, by zostawiła go w spokoju. Gdyby lubił pić, na pewno popadłby już w alkoholizm, lecz nawet na to się nie zdobył, po prostu siedział beczynnie, odrętwiały. Dopiero o trzeciej nad ranem rzucał się na łóżko, którego teraz nienawidził, ponieważ nie było w nim Liz. Z trudem zwlekał się codziennie do pracy i wytrzymywał w sklepie cały dzień. Był w szoku.

Trący jako pierwsza rozpoznała objawy, niewiele jednak można było dla niego zrobić. Prosiła, by dzwonił do niej, ilekroć odczuje taką potrzebę, ale nigdy nie miała od niego telefonu. Za bardzo przypominała mu o żonie.

Teraz, podobnie jak to robiła Jane, stał w garderobie Liz i wdychał zapach jej perfum.

- Sam zaopiekuję się dziećmi.

Ciągle to powtarzał, a matka ciągle mówiła mu, że jest szalony.

- Zamierzasz zrezygnować z pracy? - pytała sarkastycznie w nadziei, że uda jej się choć trochę nim wstrząsnąć.

Niebezpiecznie było pozwolić mu tak siedzieć w odrętwieniu, choć Lou twierdził, że wcześniej czy później się z tego otrząśnie. Bardziej martwił się stanem Jane, która cały czas miała koszmary senne i w ciągu ostatnich trzech tygodni schudła o pięć funtów. Bernie w Kalifornii stracił dwanaście. Jedynie Alexander miał się dobrze, tyle że robił zdziwioną minę, ilekroć ktoś wspominał przy nim imię Liz, tak jakby się zastanawiał, gdzie jest i kiedy wróci. Na jego wołanie „mami, mami, mami” nie było odpowiedzi.

- Nie muszę rzucać pracy, by opiekować się dziećmi, mam.

Zachowywał się nierozsądnie, lecz znajdował w tym przyjemność.

- Aha, więc będziesz zabierał Alexandra ze sobą do biura?

Zupełnie o tym zapomniał, myślał jedynie o Jane.

- Mogę zatrudnić tę samą dziewczynę, którą wynajmowała Liz, gdy chodziła w zeszłym roku do szkoły. Trący też by mu pomogła.

- I co wieczór będziesz gotował obiad, słał łóżka i odkurzał? Nie bądź śmieszny Bernardzie. Potrzebujesz pomocy i nie ma się czego wstydić. Musisz wziąć kogoś na stałe.

- Czy chcesz, żebym przyjechała i przeprowadziła za ciebie rozmowy z kandydatkami, kiedy dzieci wrócą do domu?

- Nie, nie - powiedział znowu poirytowanym głosem.- Sam się tym zajmę.

Teraz ciągle był rozdrażniony, zły na wszystkich, czasami nawet na Liz za to, że go opuściła. Nie była wobec niego w porządku. Tyle mu obiecywała, zawsze wszystko mu robiła. I nie tylko jemu im wszystkim. Tak dobrze gotowała, piekła, szyła, tak wiele dała im miłości. Nawet do samego końca uczyła w szkole. Jak można zastąpić taką kobietę gospożą czy opiekunką? Był wściekły na siebie, gdy następnego dnia zadzwonił do agencji i wyjaśniał, czego potrzebuje.

- Czy jest pan rozwiedziony? - wypytywała bez ogródek kobieta.

Siedem pokoi, żadnych zwierząt, dwoje dzieci i bez żony.

- Nie. Jestem kidnapierem i potrzebuję kogoś do opieki nad dwójką dzieci. Cholera! Dzieci nie mają... - już miał wyrzucić z siebie „nie mają matki”, ale zbyt okropne byłoby powiedzieć tak o Liz. - Jestem sam, to wszystko. Mam dwoje dzieci, szesnastomiesięczne i prawie dziewięcioletnie. W zasadzie już dziewięcioletnie. Chłopca i dziewczynkę. Dziewczynka chodzi do szkoły.

- Oczywiście. Mieszkanie na miejscu czy z dojazdem?

- Mieszkamy razem. Jest za mała na internat.

- Nie dziecko, myślę o opiekunce.

- Och... nie wiem... Nie myślałam o tym. Chyba mogłaby przychodzić o ósmej rano i wychodzić wieczorem, po obiedzie.

- Czy ma pan pokój dla opiekunki?

Już o tym myślał. Gdyby się zgodziła, mogłaby spać w pokoju dzieciennym.

- Myślę, że tak.

- Dołożymy wszelkich starań.

Rezultaty tych starań były jednak nie najlepsze. Przysłali do Wolffa parę kandydatek i Bernie był przerażony ich poziomem. Były wśród nich takie, które jeszcze nigdy nie opiekowały się dziećmi albo przebywały w kraju nielegalnie, a także takie, które sprawiały

wrażenie, że mają wszystko w nosie. Wszystkie były niechlujne, niektóre nawet się nie starały zachowywać sympatycznie. W końcu zdecydował się na bardzo nieatrakcyjną Norweżkę. Miała sześcioro rodzeństwa, wyglądała solidnie i oświadczyła, że chciałaby zostać w Ameryce przez rok lub nawet dłużej. Zapewniła również, że umie gotować.

Gdy dzieci przyjechały, wyszła z Bernieem na lotnisko. Jane nie była zachwycona, natomiast Alexander popatrzył na nią ze zdziwieniem, potem uśmiechnął się i klasnął w rękę. Dziewczyna pozwoliła mu biegać samopas po lotnisku, podczas gdy Bernie odbierał bagaże i rozkładał dla niego wózek. Był już prawie za drzwiami, kiedy złapała go Jane i przy prowadziła z powrotem, gromiąc wzrokiem opiekunkę. Bernie rzucił jej oschle:

- Zechce pani na niego uważać, Anno.

- Dobra.

Uśmiechnęła się do jasnowłosego chłopca z małym plecaczkiem.

- Skąd ją wytrzasnąłeś? - szepnęła Jane.

- Nieważne, przynajmniej będziemy jeść - odparł z uśmiechem.

Zaraz po przyjeździe Jane rzuciła się Bernieemu na szyję, miażdżąc niemalże wrzeszczącego między nimi z uciechy Alexandra. Bernie podrzucił go w górę, potem uczynił to samo z Jane.

- Naprawdę mi was brakowało, kochani.

Wiedział od Ruth o koszmarnych snach córki. Wszystkie dotyczyły Liz.

- Zwłaszcza ciebie - zwrócił się do Jane.

- Mnie też. - Nadal była smutna, podobnie jak on. - Babcia była dla mnie bardzo miła.

Ogromnie cię kocha.

Uśmiechnęli się do siebie i odnaleźli bagażowego, by im pomógł zabrać torby. W parę minut później, kiedy wszystko było już w samochodzie, ruszyli do miasta. Jane siedziała z przodu, obok Berniego, a Alexander z opiekunką z tyłu.

Dziewczyna miała długie, zmierzwione jasne włosy, nosiła dżinsy i fioletową koszulę. Jane nie była nią zachwycona. W drodze dziewczyna albo odpowiadała mono sylabami, albo wydawała jakieś pomruki i wcale nie miała ochoty zaprzyjaźnić się z dziećmi. Gdy zajechali do domu, podała im obiad składający się z kaszy na mleku i nie dopieczonych francuskich grzanek. W przyplwywie rozpaczy Bernie posłał po pizzę, w którą dziewczyna pierwsza wbiła zęby.

Nagle Jane spojrzała na nią uważniej.

- Skąd masz tę bluzkę? - spytała, patrząc na Annę, jakby zobaczyła ducha.

- Którą? Tę? - bąknęła zaczerwieniona Anna.

Zmieniła fioletową koszulę na piękną, zieloną jedwabną bluzkę, którą natychmiast przepociła pod pachami.

- Znalazłam ją tutaj w garderobie - machnęła ręką w kierunku pokoju Berniego.

Bernie również patrzył na nią szeroko otwartymi oczami: Anna miała na sobie bluzkę Liz.

- Proszę tego nigdy więcej nie robić - powiedział przez zaciśnięte zęby, a dziewczyna wzruszyła ramionami.

- A jakie to ma znaczenie? Ona i tak tu nie wróci.

Jane zerwała się od stołu. Bernie pobiegł za nią, próbując się usprawiedliwić.

- Przepraszam, kochanie. Gdy ją angażowałem, sądziłem, że jest sympatyczniejsza. Była czysta i młoda. Myślałem, że będzie ci weselej z nią niż z jakąś starą sową.

Jane uśmiechnęła się do niego z nieszczęśliwą miną. Życie stało się teraz takie trudne, a przecież była to dopiero jej pierwsza noc w domu. Przeczuwała instynktownie, że nic już nie będzie dla niej łatwe.

- Może damy Annie jeszcze szansę i poczekamy kilka dni? Jeżeli nie będzie się nam podobała, to ją zwolnimy.

Jane kiwnęła głową uspokojona, że niczego nie będzie się na niej wymuszać. Nigdy. Wszystkim było ciężko.

Przez kilka następnych dni Anna do prowadzała ich do białej gorączki. Nadal pożyczala sobie ubrania Liz, a czasami nawet Berniego. Zastawali ją w jego ulubionych kaszmirowych swetrach, raz wzięła nawet skarpetki. Nigdy nie prała, w domu okropnie śmierdziało, a kiedy Jane wracała po południu ze szkoły, zastawała Alexandra w brudnych spodniach. Biegał po domu ze zwisającą pieluchą i w podkoszulku, z brudnymi nogami i resztkami lunchu na całej buzi, Anna zaś spokojnie trajkotała przez telefon z chłopakiem lub słuchała rocka z odbiornika stereo. Jedzenie było niejadalne, dom budził odrazę. Jane prawie przez cały czas sama opiekowała się Alexandrem.

Gdy wracała ze szkoły, kąpała go i przebierała przed powrotem Berniego do domu, potem karmiła i kładła wieczorem do łóżka, a kiedy płakał, sama do niego wstawała, bo opiekunka nigdy się nawet nie obudziła. Pranie nie było zrobione, pościel nie zmieniana, ubranie dzieci nie czyszczone. Anna do prowadzała ich do szału i po niecałych dziesięciu dniach odprawili ją wreszcie. Bernie oznajmił jej to w sobotę wieczorem, kiedy w brudnym rondlu przypalały się befsztyki, a ona siedziała w kuchni na podłodze i gadała przez telefon, zostawiwszy Alexandra samego w kąpieli.

Jane znalazła go wspinającego się po ścianie wanny. Zajęła się nim, ale mógł się

przecież utopić. Wszyscy byli przerażeni, z wyjątkiem Anny. Bernie kazał jej się spakować i wynosić, co też uczyniła, ledwo wybąkawszy kilka słów przeprosin. Odeszła w ulubionym czerwonym swetrze Berniego.

- No, z tym już skończone.

Wrzucił rondel z przypalonym mięsem do zlewu i puścił na niego gorącą wodę.

- Czy pizza wzbudzi dziś wasze zainteresowanie?

Bardzo często jadali pizzę, tym razem jednak postanowili zaprosić do towarzystwa Trący. Kiedy przyjechała, pomogła Jane ułożyć Alexa do spania, potem razem sprzątnęli kuchnię. Było niemalże tak jak za dawnych czasów, tylko teraz wszyscy odczuwali brak kogoś bardzo ważnego. Na domiar złego Trący poinformowała ich, że przenosi się do Filadelfii. Jane była dotknięta, czuła się bowiem, jakby traciła drugą matkę. Pożegnawszy się z Trący na lotnisku, chodziła przybita jeszcze przez Kilka tygodni.

Kolejna opiekunka też nie okazała się pomocna. Była Szwajcarką i miała skończony kurs opieki nad małymi dziećmi, co wydawało się Berniemu wspaniałe, gdy ją zatrudniał. Nie przyszło mu jedynie do głowy, że ten kurs kończyła chyba w armii niemieckiej. Była surowa, sztywna i nieżyczliwa. Dom był nieskazitelnie czysty, obiady skąpe, zasady żelazne i w wielkiej obfitości; poza tym bez przerwy wymierzała Alexandrowi klapsy. Biedny maluch stale płakał i Jane z wielką niechęcią wracała po szkole do domu, gdzie obowiązywał zakaz spożywania mleka oraz ciasteczek i w ogóle jakichkolwiek łakoci, a także rozmów podczas posiłków, chyba że ojciec jadł w domu. Telewizja była grzechem, muzyka obrazą boską.

Bernie stwierdził, że ta kobieta jest chyba stuknięta. Była już u nich dwa tygodnie, gdy w sobotnie popołudnie Jane w żartach zaczęła się z niej wyśmiewać. Opiekunka podbiegła i uderzyła ją mocno w twarz. Dziewczynka była tak zszokowana, że z początku nawet nie płakała. Bernie natomiast, drżąc z wściekłości, wstał i wycelował w nią palec:

- Proszę się wynosić z mojego domu, panno Strauss. Natychmiast!

Zabrał od niej Alexa i objął czule Jane, a w godzinę później opiekunka z głośnym hukiem zatrzęsnęła za sobą drzwi. Wydarzenie to było zniechęcające. Berniemu wydawało się, że dotarł już do wszystkich kandydatek w mieście, a żadnej nie odważyłby się zaufać. W końcu zatrudnił więc tylko kobietę do sprzątnięcia, ale to niewiele dało. Największy problem stanowił Alexander i Jane. Chciał, by ktoś serdecznie się nimi zajął. Wydawali mu się nieszczęśliwi i umorusani. Rozpaczliwie potrzebował kogoś do pomocy. Tracił już nad sobą panowanie, kiedy codziennie po pracy pędził do domu, by zająć się dziećmi. W końcu zatrudnił na dzień opiekunkę, lecz mogła zostawać jedynie do piątej.

Matka miała rację trudno było pracować przez cały dzień i potem opiekować się w

domu dziećmi, robić pranie, zakupy, gotowanie, prasowanie. A był jeszcze ogródek.

Ich los odmienił się w sześć tygodni po rozpoczęciu roku szkolnego. Po raz kolejny zadzwoniono wtedy z agencji i Bernie wysłuchał tego samego co zawsze: mają dla niego istną Mary Poppins. Zgodnie z informacją agencji świetnie się dla nich nadawała.

- Pani Pippin jest dla pana doskonała.

Bernie ze znudzoną miną zapisał jej nazwisko.

- Ma sześćdziesiąt lat, jest Brytyjką i na ostatniej posadzie przez dziesięć lat opiekowała się dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką. - I - dodała triumfalnie urzędniczka - nie było tam matki.

- Czy ma to być dla niej jakimś szczególnym powodem do dumy? - burknął Bernie.

- To tylko znaczy, że przywykła do takiej sytuacji.

- Wspaniale, a jakie ma wady?

- Żadnych.

Bernie nie należał do łatwych klientów i szczerze mówiąc, w agencji już się irytowano jego wiecznym niezadowoleniem, a urzędniczka odłożywszy słuchawkę zrobiła adnotację, by mu nikogo więcej nie wysyłać, jeżeli nie będzie zadowolony z pani Pippin.

Pani Pippin zadzwoniła do drzwi o szóstej wieczorem we czwartek. Bernie wrócił właśnie do domu i zdążył zdjąć płaszcz i krawat. Trzymając na ręku Alexandra, razem z Jane przygotowywał obiad. Po raz trzeci z rzędu mieli jeść hamburgery z frytkami, bułkami i sałatą. Bernie nie miał kiedy pójść w tym tygodniu do sklepu, a mięso gdzieś się zapodziało w drodze do domu... a może go w ogóle nie było.

Otworzył drzwi i ujrzał drobną kobietkę o krótkich siwych włosach i jasnoniebieskich oczach, w granatowym kapeluszu i płaszczu oraz praktycznych pantoflach, które przypominały buty do golfa. Kobieta z agencji miała rację wyglądała jak powieściowa Mary Poppins. Miała nawet przy sobie dokładnie złożoną czarną parasolkę.

- Czy pan Fine?

- Tak.

- Przysłała mnie agencja, jestem Mary Pippin.

Miała szkocki akcent. Bernie uśmiechnął się sam do siebie. Wyglądało to jak dobry żart. Nie Mary Poppins, tylko Mary Pippin.

- Dzień dobry.

Usunął się i uprzejmym gestem poprosił, by zajęła miejsce w salonie. Zaraz zjawiała się Jane z krążkiem hamburgera w rękach. Była ciekawa, kogo też tym razem przysłała im agencja. Kobieta była niewiele wyższa od Jane. Uśmiechnęła się do niej i spytała, co gotuje.

- Jak to miło, że opiekujesz się tatą i braciszkiem. Wiesz, ja w gotowaniu nie jestem najmocniejsza.

Była bezpośrednia i Bernie poczuł do niej sympatię. Nagle uświadomił sobie, co pani Pippin ma na nogach: to nie były buty do golfa, lecz szkockie pantofle z nie wyprawionej skóry. Była w każdym calu Szkotką. Miała tweedową spódnicę, białą wykrochmaloną bluzkę, a gdy zdejmowała kapelusz, spostrzegł, że używa do niego nawet szpilki.

- To była Jane - wyjaśnił Bernie, gdy córka wróciła do kuchni. - Ma dziewięć lat, a raczej niedługo skończy. Alexander ma półtora roku.

Gdy usiedli, posadził go na podłodze, lecz chłopiec pędem pobiegł do kuchni, do siostry. Bernie uśmiechnął się do Mary Pippin.

- Przez cały dzień jest niestrudzony i ciągle budzi się w nocy. Tak samo jak i Jane. - Tu ściszył głos. - Jane ma koszmarne sny. Potrzebuję kogoś, kto by mi pomógł; jesteśmy teraz sami.

Tej części rozmowy nienawidził, bo na ogół kandydatki patrzyły wtedy na niego w milczeniu. Siedząca przed nim teraz kobieta pokiwała ze zrozumieniem głową, a w jej oczach pojawiło się współczucie.

- Potrzebuję kogoś, kto opiekowałby się przez cały dzień Alexandrem, byłby w domu, gdy Jane wraca ze szkoły, wszystkiego dojrzał, był ich przyjacielem.

Powiedział to po raz pierwszy, ale właśnie dopiero Mary Pippin wydała mu się taką osobą.

- Kto by nam gotował, utrzymywał ich ubranie w czystości... kupował im buty do szkoły, jeżeli mnie zabraknie czasu...

- Panie Fine - uśmiechnęła się łagodnie - pan potrzebuje niani.

Wyglądało na to, że doskonale go rozumie.

- Tak, ma pani rację.

Przypomniała mu się niechlujna Norweżka, która ciągle wkładała ubrania Liz, i spojrzał na wykrochmalony kołnierzyk pani Pippin. Postanowił, że będzie z nią szczerzy.

- Przeszliśmy trudny okres, a w zasadzie oni przeszli. - Zerknął w kierunku kuchni. - Moja żona chorowała prawie przez rok, zanim...

Nie potrafił wypowiedzieć tego słowa, nawet teraz.

- Odeszła trzy miesiące temu. To dla nich straszna zmiana.

Nie dodał, że i dla niego, lecz w jej oczach widział zrozumienie. Ogarnęła go naraz chęć, by położyć się z westchnieniem na kanapie i pozwolić tej kobiecie zająć się wszystkim. Coś w jej wyglądzie mówiło mu, że będzie znakomita. Pracy tu sporo ale nie ma jej w końcu

ponad siły. Opowiedział jej o dwóch poprzedniczkach, a także o innych kandydatkach, z którymi rozmawiał, wreszcie szczegółowo przedstawił, czego od niej oczekuje. Jakimś cudem uznała wszystko za najzupełniej normalne.

- To wspaniale. Od kiedy mogę zaczynać?

Uśmiechnęła się serdecznie. Bernie nie wierzył własnym uszom.

- Jeżeli pani chce, to natychmiast. Aha, jeszcze zapomniałem powiedzieć, że będzie pani musiała spać w pokoju małego. Czy nie przeszkadza to pani?

- Absolutnie, nawet tak wolę.

- Kiedyś może się stąd wyprowadzimy, ale na razie niczego jeszcze nie zaplanowałem. Bernie ciągle nie był zdecydowany, pani Pippin zaś skinęła głową.

- A, prawda...

Tyle myśli tłukło mu się po głowie, że czuł zamęt, a chciał być wobec niej w porządku.

- Może kiedyś wrócę do Nowego Jorku, ale teraz trudno mi cokolwiek na ten temat powiedzieć.

- Panie Fine - uśmiechnęła się do niego łagodnie - wszystko rozumiem. Teraz nie wie pan, czy jedzie, czy wraca, tak jak i dzieci, i to jest zupełnie normalne. Nagle wszyscy straciliście oparcie w życiu i potrzebujecie czasu, który was uleczy, i kogoś, kto by się wami zaopiekował, zanim to nastąpi. Uznam za wielki zaszczyt, jeżeli okażę się taką osobą, i będę wzruszona, gdy pozwoli mi pan zaopiekować się swymi dziećmi. Nie będzie żadnego problemu, gdyby zechciał się pan przeprowadzić do innego domu czy mieszkania, do Nowego Jorku bądź Kenii. Jestem wdową, nie mam dzieci i mój dom jest tam, gdzie mieszka rodzina, u której pracuję. Gdziekolwiek pan pojedzie, pojedę z panem, jeżeli będzie mnie pan potrzebował.

Mówiła z łagodnym uśmiechem, jakby tłumaczyła dziecku, co wyraźnie wzruszyło Berniego.

- To brzmi cudownie, pani Poppin... chciałem powiedzieć pani Pippin... przepraszam...

- Nie szkodzi - zaśmiała się i ruszyła za nim do kuchni. Była drobna, a jednocześnie emanowała z niej siła i o dziwo, spodobała się dzieciom. Jane zaprosiła ją, by została na obiedzie, a gdy się zgodziła, dorzuciła na patelnię jeszcze jednego hamburgera.

Alexander siedział jej na kolanach, dopóki nie poszedł się kąpać. Wówczas pani Pippin uzgodniła z Berniem kwestie finansowe. Nie żądała nawet zbyt wiele. I z pewnością była osobą, jakiej Bernie właśnie potrzebował.

Obiecała, że wróci następnego dnia ze swymi rzeczami, „takimi, jakie ma”, dodała

przepraszającym tonem. Poprzednią rodzinę opuściła w czerwcu. Dzieci dorosły i po prostu już jej nie potrzebowały. Wyjechała na wakacje do Japonii i wracała przez San Francisco. Była w zasadzie w drodze do Bostonu, ale postanowiła jeszcze sprawdzić w agencji, bo San Francisco jest miłym miastem, i proszę zrządzenie niebios. Gdy poszła do swego hotelu, a Jane układała Alexa do snu, Bernie zadzwonił do matki.

- Znalazłem!

Od miesiący nie wydawał się tak szczęśliwy, nawet się uśmiechał. W jego głosie dawało się wyczuć radość, a nawet po raz pierwszy od dawna ulgę.

- Kogo znalazłeś? - matka już na wpuł spała. W Scarsdale była jedenasta wieczorem.

- Mary Poppin... a tak naprawdę. Mary Pippin.

- Bernie - głos matki był twardy i już znacznie przytomniejszy - piłeś?

Spojrzała z dezaprobatą na męża, który nie spał i na swej połowie łóżka oddawał się lekturze czasopism medycznych. Nie wyglądał na przejętego. W końcu Bernie miał prawo teraz pić. Kto by nie miał w jego sytuacji?

- Nie, znalazłem opiekunkę, szkocką nianię. Jest fantastyczna.

- Kto to taki?

Matka była ciągle podejrzliwa. Bernie opowiedział jej wszystko.

- Może będzie w porządku. Czy sprawdziłeś jej referencje?

- Zrobię to jutro.

Okazało się, że jej referencje są dokładnie takie, jak podała. Rodzina z Bostonu była zachwycona swą ukochaną „nianią”. Uświadomili mu, jakie ma szczęście, i radzili zatrzymać ją na stałe.

Gdy zjawiła się następnego dnia, Bernie był gotów to zrobić. Mary Pippin wysprzątała dom, posegregowała pranie, poczytała Alexandrowi i znalazła mu nowe ubranko. Gdy Bernie wrócił do domu, Alexander był czysty i uczesany. Jane usiadła do obiadu w różowej sukience, we włosach miała różowe kokardy, a na twarzy uśmiech. Bernie poczuł nagle dławienie w gardle, przypomniał sobie bowiem ich pierwsze spotkanie, kiedy zgubiła się u Wolffa. Miała wówczas długie warkoczyki i różowe kokardy, takie jak Mary Pippin zawiązała jej na ten wieczór.

Obiad nie był nadzwyczajny, ale przyzwoity i prosty, stół ładnie nakryty. Po obiedzie Mary Pippin pograła z dziećmi w jakąś grę w ich pokoju, o ósmej zaś dom był sprzątnięty, stół nakryty do śniadania, a dzieci z wymytmymi zębami, czyste, nakarmione i utulone leżały w łózkach.

Kiedy Bernie powiedział im dobranoc i podziękował Mary Pippin, miał tylko jedno

pragnienie żeby Liz mogła ich teraz zobaczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Było to tuż po Wszystkich Świętych. Bernie wrócił właśnie do domu, usiadł na kanapie i zaczął przeglądać pocztę, gdy z kuchni wyłoniła się Mary Pippin i otrzepując ręce z mąki, oznajmiła:

- Ktoś do pana dzwonił. - Słowom towarzyszył ciepły uśmiech. Dzięki niej Bernie z przyjemnością wracał teraz do domu, a dzieci ją wprost ubóstwiały. - Jakiś mężczyzna. Mam nadzieję, że dobrze zanotowałam jego nazwisko.

- Na pewno, dziękuję.

Wziął skrawek papieru i gdy już odeszła, rzucił na niego okiem. Z początku nazwisko z nikim mu się nie kojarzyło, poszedł więc do kuchni, by zrobić sobie drinka i dokładniej wypytać nianię. Szykowała na obiad rybę w cieście. Jane jej pomagała, a Alexander bawił się na podłodze stertą małych kolorowych klocków. Była to scena jakby żywcem przeniesiona z przeszłości i widok ten chwycił Berniego za serce. Nadal wszystko budziło w nim tęsknotę za Liz.

- Czy to imię, czy nazwisko tego mężczyzny, pani Pippin?

- Nie zdążyłam zanotować imienia, choć mi je podał - wyjaśniała, nie odrywając się od roboty. - Na nazwisko miał Scott.

Bernie nadal miał pustkę w głowie.

- A na imię Chandler.

Gdy Bernie to usłyszał, serce w nim zamarło. Wrócił do salonu i spojrzał na numer telefonu. Długo myślał, co się za tym kryje, ale podczas obiadu nie powiedział nic na ten temat.

Numer był miejscowy, więc Chandler na pewno wrócił po pieniądze i Bernie miał chęć zignorować wiadomość. Kiedy jednak o dziesiątej wieczorem za dzwonił telefon, podniósł słuchawkę pełen najgorszych przeczuć. Nie mylił się to był Chandler Scott.

- Cześć.

Mówił tak jak poprzednio, z fałszywą wylewnością, na którą jednak Bernie nie dał się nabrać.

- Sądziłem, że ostatnio wyraziłem się jasno.

Jego głos nie brzmiał zachęcająco.

- Wpadłem tu tylko przejazdem, przyjacielu.

- Nie zatrzymujemy cię.

Chandler zaśmiał się, jakby Bernie powiedział coś bardzo zabawnego.

- Jak się ma Liz?

Bernie nie miał ochoty informować go o tym, co się stało. To nie był jego interes, do diabła!

- Dobrze.

- A moje dziecko?

- Ona nie jest twoim dzieckiem, teraz jest moja.

Nie powinien był tego powiedzieć, bo Chandler wyraźnie poczuł się urażony.

- Ja pamiętam co innego.

- Naprawdę? A co powie twoja pamięć na dziesięć tysięcy dolarów? - głos Berniego był twardy, Chandlera natomiast przebiegły.

- Pamięć mam dobrą, ale moje inwestycje okazały się niezbyt udane.

- Bardzo mi przykro.

A więc wrócił po pieniądze.

- Mnie też. Myślałem, że może znowu sobie pogawędzimy, no wiesz, na temat mojego dziecka.

Bernie zacisnął zęby. Pamiętał o obietnicy danej Liz. Chciał się pozbyć tego faceta raz na zawsze, żeby nie wracał co ileś miesięcy. Właśnie minęło półtora roku od czasu, kiedy dali mu pieniądze.

- Jak powiedziałem ci ostatnio, to była jednorazowa transakcja, Scott.

- Być może, przyjacielu, być może.

Ton, jakim mówił, sprawiał, że Bernie miał ochotę dać mu w twarz.

- Ale będziemy chyba musieli zagrać jeszcze ten jeden, jedyny raz.

- Nie sądzę.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że źródółko wyschło?

Jego sposób mówienia napawał Berniego wstrętem. Doskonale też do niego pasował.

- Jeszcze raz powtarzam, że nie zamierzam więcej się z tobą w to bawić. Pojmujesz, bracie?

- A co byś powiedział, gdybym złożył małą wizytę mojej córce?

Rozgrywał tę partię na zimno.

- Ona nie jest tym zainteresowana.

- Zainteresuje się, jeżeli wezwę cię do sądu. Ile ona ma teraz lat? Siedem, osiem?

Nie był pewien.

- Jakie to ma znaczenie?

Jane miała dziewięć lat, a Scott nawet tego nie wiedział.

- Dlaczego nie spytasz Liz, co o tym myśli?

To był najzwyczajniejszy szantaż i Berniego aż mdliło od tej rozmowy. Podjął decyzję: niech Chandler wie, że nie zdoła już osiągnąć Liz.

- Liz nic o tym nie myśli, Scott. Umarła w lipcu.

Zapanowała długa, długa cisza.

- To przykre.

Przez chwilę mogło się wydawać, że jest zmartwiony.

- Czy to kończy naszą rozmowę?

Powiedziawszy mu to, Bernie odetchnął z ulgą. Być może ten sukinsyn nareszcie się ulotni. Źle go jednak ocenił.

- Niezupełnie. Dziecko nie umarło, prawda? A tak w ogóle, to na co Liz zmarła?

- Na raka.

- To fatalnie. W każdym razie mała pozostaje nadal moim dzieckiem, bez względu na to, czy Liz jest, czy jej nie ma. Mam nadzieję, że bardzo chcesz się mnie pozbyć. Za odpowiednią zapłatę zrobię to z przyjemnością.

- Na jak długo? Znowu na rok? Nie, to mi się nie opłaca, Scott. Tym razem nie kupuję.

- To niedobrze. Widzę, że muszę iść do sądu i postarać się o prawo do odwiedzin.

Bernie pamiętał o tym, co obiecał Liz, postanowił go jednak zmylić.

- Zrób to, Scott, zrób, co tylko chcesz. Mnie to nie obchodzi.

- Zniknę za kolejne dziesięć tysięcy. Słuchaj, dogadajmy się. Co powiesz na osiem?

Bernie czuł gęsią skórę na samą myśl o nim.

- Odwal się.

Z tymi słowami odłożył słuchawkę. Miał ochotę porządnie go skopać, lecz trzy dni później okazało się, że Scott zrobił to jemu, pocztą przyszło bowiem zawiadomienie, w którym za pośrednictwem prawnika z Market Street, Chandler Scott, ojciec Jane Scott, były mąż Elizabeth O'Reilly Scott Fine, prosił o przyznanie mu prawa widywania córki. Berniemu drżały ręce, gdy czytał pismo. Miał się zgłosić do sądu siedemnastego listopada, na szczęście bez dziecka. Serce waliło mu jak młotem, kiedy jeszcze raz przebiegał wzrokiem te słowa, a także później, gdy wykrecał numer telefonu biura Billa Grossmana.

- Co powinienem teraz zrobić? - w jego głosie była rozpacz.

Grossman pamiętał ich pierwszą rozmowę na ten temat.

- Wygląda na to, że musisz iść do sądu.

- Czy Scott ma jakieś prawa?

- Czy zaadoptowałaś małą?

Na to pytanie serce w Berniem zamarło. Ciągłe coś stawało na przeszkodzie: dziecko, choroba Liz, ostatnie dziewięć miesięcy, potem okres przystosowywania się...

- Nie... Do cholery, chciałem, ale nie było powodu. Gdy już raz go przekupiłem, miałem nadzieję, że zejdzie nam z oczu na jakiś czas.

- Przekupiłeś go?

Adwokat sprawiał wrażenie zatroskanego.

- Tak, półtora roku temu zapłaciłem mu dziesięć tysięcy, żeby zniknął.

Zniknął dokładnie na dwadzieścia miesięcy. Bernie świetnie to pamiętał, gdyż było to kilka dni przed przyjściem na świat Alexandra.

- Czy może to udowodnić?

- Nie, pamiętam, jak mówiłeś, że to niezgodne z prawem.

Grossman powiedział mu wtedy, że takie praktyki traktowane są jak czarnorynkowy handel dziećmi. Nikomu nie wolno kupować ani sprzedawać dziecka, a Scott faktycznie sprzedał Berniemu Jane za dziesięć tysięcy dolarów.

- Zapłaciłem mu gotówką, a pieniądze dałem w kopercie.

- No, to tyle, jeśli chodzi o pieniądze - Grossman był zamyślony. - Problem w tym, że jak raz to zrobisz, taki gość zawsze, wcześniej czy później, wraca po więcej. Czy o to mu teraz chodzi?

- Zadzwoił do mnie kilka dni temu, prosząc o kolejne dziesięć tysięcy, w zamian za co miał się ulotnić. W końcu był gotów zejść do ośmiu.

- Mój Boże - zdziwił się Grossman. - Wygląda na czarującego faceta.

- Sądziłem, że przestanie robić sobie nadzieje, jak mu powiem, że moja żona nie żyje, i zrozumie, że ja nie pozwolę sobie wciskać ciemnoty.

Grossman dłuższą chwilę milczał.

- Nie wiedziałem, że twoja żona zmarła. Bardzo mi przykro.

- To było w lipcu - głos uwiązł Berniemu w gardle.

Myślał o Liz i obietnicy, którą na nim wymogła: że za wszelką cenę będzie trzymała Jane z dala od Chandlera Scotta. Może powinien był mu zapłacić te dziesięć tysięcy? Może głupio zrobił, pozwalając Scottowi sprawdzić, czy nie blefuje?

- Czy żona zapisała coś córce w testamencie?

Rozmawiali o tym, Liz jednak nie miała co zapisać z wyjątkiem rzeczy, które kupił jej Bernie, a wszystko zostawało i tak dla niego i dzieci.

- Nie, nie miała żadnego majątku.

- A co z prawem opieki nad dzieckiem? Czy powierzyła je tobie?

- Oczywiście - ton jego głosu najwyraźniej świadczył o tym, że poczuł się dotknięty. -

Komu innemu miałyby zostawić dzieci?

- Czy zapisała to?

- Nie.

Bili Grossman westchnął cicho. Bernie wpakował się w niezłą kabałę.

- Wiedz, że teraz, kiedy zmarła twoja żona, prawo jest po jego stronie. Jest naturalnym ojcem dziecka.

Berniemu ciarki przeszły po plecach.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- Ten facet to kanciarz, oszust, właściwie recydywista. Na pewno znowu wyszedł z więzienia.

- To nie ma znaczenia. W Kalifornii przyznaje się prawa naturalnym ojcom bez względu na to, kim są. Nawet morderca, który zarabiał kogoś siekierą, ma prawo do widywania swych dzieci.

- No to co teraz?

- Mogą mu przyznać okresowe prawo do wizyt, do czasu rozprawy.

Nie powiedział Berniemu, że może całkowicie utracić prawo do opieki.

- Czy kiedykolwiek miał jakiś kontakt z dzieckiem?

- Nigdy. Jane nie wie, że jej ojciec żyje, a żona mi mówiła, że widział ją po raz ostatni, gdy miała rok. Naprawdę, Bili, on nie ma punktu zaczepienia.

- Właśnie że ma, nie oszukuj sam siebie. Jest naturalnym ojcem dziecka... A jak wyglądało ich małżeństwo?

- Prawie nie istniało. Pobrali się na kilka dni przed urodzeniem dziecka i myślę, że zaraz potem Scott zniknął. Wrócił na miesiąc czy dwa, jak Jane miała niespełna rok, i potem znowu ślad po nim zaginął, tym razem na dobre. Liz rozwiodła się z nim na podstawie orzeczenia o porzuceniu, bez jego przyzwolenia i powiadamiania go. Podejrzewam, że nie wiedziała nawet, gdzie się podziewa, dopóki nie odszukał jej rok temu.

- To wielki błąd, że nie adoptowałaś Jane, zanim znowu się nie pojawił.

- Przecież to absurdalne.

- Zgadzam się z tobą, ale to nie znaczy, że sędzia będzie tego samego zdania.

- Czy twoim zdaniem Scottowi może naprawdę chodzić o dziecko? A jak myślisz, skoro sprzedał ją za dziesięć tysięcy, a trzy dni temu był gotów zrobić to powtórnie za osiem?

Traktuje ją jak coś w rodzaju konta bankowego. Kiedy spotkałem się z nim poprzednio, by dać mu pieniądze, nawet o nią nie spytał, nie wspomniał o niej słowem. Ani jednym. Co ci to mówi?

- Że jest chytrym skurwysynem, który chce wydusić z ciebie forszę. Podejrzewam, że jeszcze się do ciebie odezwie, zanim pójdziemy siedemnastego do sądu.

Grossman miał rację. Scott zadzwonił na trzy dni przed rozprawą i znowu zaproponował, że może zniknąć. Ale tym razem cena była wyższa.

- Żądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

- Oszalałeś?

- Zrobiłem mały wywiad na twój temat, przyjacielu.

- Nigdy tak do mnie nie mów, skurwysynu.

- Dowiedziałem się, że jesteś bogatym Żydem z Nowego Jorku i prowadzisz luksusowy dom towarowy. Z tego, co wiem, jesteś jego właścicielem.

- Niezupełnie.

- W każdym razie, przyjacielu, tym razem moja cena wynosi pięćdziesiąt tysięcy dolarów albo nie ma o czym gadać.

- Mogę dać dziesięć i to wszystko.

Zgodziłby się i na dwadzieścia, ale nie chciał mu tego mówić. Scott jednak tylko go wyśmiał.

- Pięćdziesiąt albo nic.

To był obrzydliwy targ o dziecko.

- Nie mam zamiaru bawić się z tobą, Scott.

- Może będziesz musiał. Teraz, jak Liz nie żyje, sąd przyzna mi wszystko, o co wystąpię. Może nawet całkowitą nad nią opiekę, jeżeli będę tego chciał... Przemyśl to. I wydaje mi się, że moja cena już wzrosła do stu tysięcy.

Bernie czuł, że krew tężeje mu w żyłach. Gdy tylko Scott odłożył słuchawkę, zadzwonił do Grossmana.

- Czy on wie, o czym mówi? Czy to możliwe?

- Być może.

- O Boże.

Bernie był przerażony. Co będzie, jeżeli straci Jane? Przecież obiecał Liz... poza tym Jane była teraz jego, z krwi i kości.

- Biorąc pod uwagę przepisy, nie masz do niej żadnego prawa. Nawet gdyby twoja żona w ostatniej woli scedowała na ciebie sprawowanie opieki nad córką, Scott i tak mógłby

mieć do niej prawo. Jeżeli będziesz w stanie udowodnić, że Scott w ogóle nie nadaje się na ojca, możesz wygrać, chyba że sędzia będzie kompletnym idiotą. Ale gdybyście obaj byli na przykład bankierami, prawnikami czy biznesmenami, na pewno on wyszedłby z tego zwycięsko. W tej sytuacji Scott ciebie może jedynie straszyć, ale dziecku jest w stanie zadać wiele bólu.

- Aby jej tego zaoszczędzić - powiedział twardo Bernie - żąda już stu tysięcy.

- Czy nagrywałeś tę rozmowę?

- Oczywiście, że nie! Co ty myślisz? Że nagrywam rozmowy? Nie jestem handlarzem narkotyków, na miłość boską, prowadzę dom towarowy.

Miał już tego dosyć. To było oburzające.

- Co więc mam teraz zrobić?

- Jeżeli nie chcesz mu dać stu tysięcy dolarów, co ci zresztą odradzam, bo wróci za tydzień po więcej, to pójdziemy do sądu i pokażemy, jaki z niego nieodpowiedzialny ojciec. Istnieje możliwość, że zechcą mu przyznać okresowe wizyty, zanim nie odbędzie się rozprawa, ale to w końcu nie jest wielki problem.

- Może dla ciebie. Dziecko przecież wcale go nie zna, a prawdę mówiąc dodał ponuro nawet nie wie, że on żyje. Liz powiedziała jej, że umarł dawno temu. Jane miała w tym roku wystarczająco dużo wstrząsów. Od śmierci matki ciągle śnią się jej jakieś koszmary.

- W tej sytuacji opinia psychiatry może wpłynąć na stanowisko sądu wobec jego starań o prawo do stałych odwiedzin.

- A co z żądaniem czasowych wizyt?

- To może mimo wszystko przejść. Sąd uważa, że nawet wódz Hunów, Atylla, nie może zrobić dziecku krzywdy podczas okresowych spotkań.

- Czym to motywują?

- Nie muszą motywować. Wystarczy, że mają władzę. Pan Scott zdał siebie i ciebie na ich łaskę. Również Jane. Wydał Jane na łaskę sądu.

Na samą myśl o tym Berniemu robiło się słabo. Wiedział, że Liz byłaby wściekła, to by ją zabiło. Ironia losu, ot i wszystko. A przecież w istocie jego położenie było wprost tragiczne.

Dzień pierwszej rozprawy był ciemny i ponury. Doskonale harmonizował z nastrojem Berniego. Gdy wychodził, po Jane przyjechał właśnie sąsiad, z którym wozili na zmianę dzieci do szkoły, a pani Pippin zajmowała się Alexandrem. Nikomu nie powiedział, dokąd się udaje, bo nadal miał nadzieję, że wszystko się ułoży. Gdy stał obok Grossmana w holu sądu miejskiego, błagając Boga, by cała ta sytuacja okazała się złym snem, dostrzegł

przechadzającego się Scotta. Był w innym, tym razem trochę lepszym swetrze i nowych butach od Gucciego. Włosy miał starannie uczesane. Ktoś, kto go nie znał, mógł się łatwo nabrać wyglądał na porządnego człowieka.

Bernie wskazał go Billowi, a ten zerknął niedbale w jego stronę.

- Wygląda przyzwoicie szepnął.

- Właśnie tego się obawiałem.

Grossman powiedział, że całe przesłuchanie zajmie dwadzieścia minut. Kiedy sędzia wysłuchał tego, co mieli do powiedzenia, Grossman wyjaśnił, że dziecko w ogóle nie zna swego naturalnego ojca i niedawno przeżyło ciężki szok z powodu śmierci matki. Sugerował, że byłoby lepiej, gdyby nie wyrażono zgody na czasowe widzenia, dopóki cała sprawa nie zostanie rozstrzygnięta, gdyż pozwany uważa, że istnieją pewne kwestie bardzo istotne dla ostatecznej decyzji sądu.

- Jestem tego pewny - podjął sędzia, uśmiechając się do obydwu ojców i ich adwokatów. Takie rozprawy prowadził codziennie i nigdy nie dawał się ponieść emocjom. Na szczęście prawie nigdy nie musiał widywać dzieci, o których losach decydował. - Ale nie byłoby w porządku wobec pana Scotta, gdybyśmy go pozbawili prawa do widywania córki.

Uśmiechnął się życzliwie do Scotta, a potem z sympatią do Grossmana.

- Jestem pewny, że to zasmuci pana klienta, panie Grossman, ale bardzo chętnie wysłuchamy wszystkich argumentów, kiedy sprawa trafi do sądu na właściwą rozprawę. Zanim jednak to nastąpi, sąd pragnie przyznać panu Scottowi cotygodniowe widzenia z córką.

Bernie miał wrażenie, że za chwilę zemdleje i natychmiast szepnął Grossmanowi, że Scott jest przestępcą, który siedział w kryminale.

- Nie mogę im teraz tego powiedzieć - odparł również szeptem Grossman.

Bernie omal się nie rozplakał. Żałował, że nie zapłacił mu po pierwszym telefonie tych dziesięciu tysięcy, a nawet pięćdziesięciu po drugim. Stu nie dałby rady. Teraz natomiast nie miał żadnego wyjścia.

- Gdzie mają się odbywać spotkania?

Grossman był bardzo oficjalny.

- W miejscu wybranym przez pana Scotta. Dziecko ma... - sędzia zajrzał w papiery, potem popatrzył na obie strony z dobrotliwym uśmiechem. - Ma około dziewięciu lat. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby gdzieś wyjść z ojcem. Pan Scott może ją zabrać z domu, a potem odprowadzić na miejsce. Proponuję soboty, od dziewiątej rano do siódmej wieczorem. Czy obie strony uważają, że jest to do przyjęcia?

- Nie - syknął Bernie głośnym, scenicznym szeptem, nachylając się do ucha

Grossmana.

Grossman natychmiast odpowiedział mu również szeptem.

- Nie masz wyboru. Jeżeli teraz podporządkujesz się sędziemu, może później dostaniesz lepszy wyrok.

- A co z Jane? Jaki wyrok ona dostała?

Bernie wyszedł do holu wściekły.

- Co to za bzdury?

- Mów ciszej.

Grossman, zachowując kamienną twarz, zniżył głos, gdyż obok przechodził właśnie Scott z adwokatem, później dodał, że Scott ma jednego z gorszych adwokatów w mieście. Był pewny, że będą próbowali wpuścić Berniego w koszty i na następnej rozprawie wystąpią o zasądzenie mu opłaty za sprawę. Teraz jednak nie wspominał o tym, bo i tak mieli dość zmartwień.

- Musisz się z tym po prostu pogodzić.

- Dlaczego? To nie jest w porządku. Dlaczego mam robić coś, co do czego mam pewność, że jest złe dla mojej córki?

Mówił to, co czuł, nie zastanawiając się nad treścią słów, lecz Bili Grossman pokręcił głową.

- Ona nie jest twoją córką. Jest jego i w tym tkwi cały problem.

- Największe draństwo, to że ten sukinsyn chce wyłącznie pieniędzy. Ale teraz żąda tyle, że mnie na to nie stać.

- I tak nigdy nie byłoby cię stać. Ludzie jego pokroju stale zwiększają pulę. Lepiej pozbyć się problemu tutaj. Tak czy owak rozprawa jest wyznaczona na czternastego grudnia, a więc musisz cały miesiąc znosić okresowe wizyty Scotta, zanim nie otrzymasz ostatecznego orzeczenia. Czy sądzisz, że on będzie się upierał przy tych odwiedzinach?

- Może - odpowiedział Bernie, choć miał nadzieję, że Scott zrezygnuje. - A co będzie, jeżeli ją porwie?

Ta myśl przerażała go, odkąd Scott znowu się pojawił. Była to jego obsesja, zupełnie szalona, toteż Grossman od razu zamknął mu usta.

- Nie bądź śmieszny. Ten facet jest po prostu chciwy, ale to nie wariat. Musiałby mieć kompletnego bzika, żeby ją porywać podczas odwiedzin.

- A jeśli jednak to zrobi?

Bernie pragnął doprowadzić swą myśl do końca, żeby wiedzieć, jaką ma możliwość działania.

- Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmie.

- Obyś miał rację - zmrużył oczy i popatrzył na Grossmana - bo obiecuję ci tu, w tej chwili, że jeżeli kiedykolwiek zrobi jej coś takiego, zabiję go.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Bernie nie miał za wiele czasu, pierwsze odwiedziny bowiem zostały wyznaczone na najbliższą sobotę. Po porannej wizycie w sądzie zabrał więc Jane na obiad. Zanim przystąpił do sedna sprawy, wziął głęboki oddech. Poszedł z nią do jej ulubionego Hippo, ale Jane wydawała mu się tego wieczoru jakaś cicha. W końcu popatrzyła na niego uważnie. Wiedziała, że coś się stało, tylko nie potrafiła sobie wyobrazić, co. Może przenosili się do Nowego Jorku albo znowu zdarzyło się jakieś nieszczęście? Kiedy Bernie ze smutkiem w oczach ujął jej rękę, oczekiwała najgorszego.

- Kochanie, muszę ci coś powiedzieć.

Serce zaczęło jej straszliwie łomotać i miała ochotę uciec. Patrząc na jej przerażoną minę, Bernie czuł, jak serce pęka mu z żalu. Zastanawiał się, czy Jane będzie jeszcze kiedyś taka jak dawniej, choć teraz, dzięki pani Pippin, dochodziła do siebie. Już nie płakała tak często, a czasami nawet się śmiała.

- To nie jest takie straszne jak tamto, kochanie. Nie musisz się aż tak denerwować.

W jej oczach czaił się strach.

- Myślałam, że powiesz mi...

Nie mogła dokończyć. Bernie wpatrywał się w Jane, wciąż trzymając jej rękę.

- Że co ci powiem, kochanie?

- Że masz raka - odparła głosem cichym i smutnym.

Bernie ze łzami w oczach pokręcił głową. Trudno byłoby wyobrazić sobie coś gorszego.

- To nie z tych rzeczy. Chodzi o coś zupełnie innego. No, dobra... a więc... czy pamiętasz, że twoja mama miała kiedyś męża?

Dziwnie się czuł, rozmawiając z nią o tym, ale musiał wyjaśnić wszystko od początku.

- Tak, powiedziała, że jej mężem był przystojny aktor, który zmarł, jak byłam jeszcze niemowlakiem.

- Tak, coś w tym rodzaju.

Bernie nigdy nie słyszał tej wersji.

- Powiedziała też, że bardzo go kochała.

Jak zwykle Jane była wobec niego całkowicie szczerą. Na te słowa Bernie zapadł się w siebie.

- Naprawdę?

- Tak mi powiedziała.

- W porządku. Mnie powiedziała coś troszkę innego, ale to nie ma znaczenia.

Pomyślał nagle, że może wlewa jej do uszu truciznę na temat kogoś, kogo Liz w istocie darzyła miłością. Może naprawdę kochała Scotta, a jemu nie miała odwagi powiedzieć o tym? Choć z drugiej strony wymogła na nim uroczystą obietnicę w sprawie Jane.

- Powiedziała mi, że ten człowiek, twój prawdziwy ojciec, zniknął gdzieś zaraz po twoim urodzeniu, że bardzo się na nim zawiodła. Podejrzewam, że zrobił jakieś głupstwo, na przykład ukradł komuś pieniądze czy coś takiego, i poszedł do więzienia.

Jane była wyraźnie wstrząśnięta.

- Mój ojciec?

- Hmm... tak... W każdym razie zniknął na jakiś czas i wrócił, jak miałaś dziewięć miesięcy, a potem znowu zrobił to samo. Tym razem ulotnił się, gdy miałaś rok, i twoja mama już nigdy więcej go nie widziała. I oto cała historia.

- Czy to właśnie wtedy umarł?

Po wysłuchaniu opowieści Berniego była wyraźnie zakłopotana. On jednak zaprzeczył ruchem głowy. Kelner sprzątał właśnie ich talerze, a zamyślona Jane popijała wodę sodową.

- Nie, właśnie o to chodzi, że on wcale nie umarł, kochanie. Po prostu się ulotnił i w końcu twoja mama się z nim rozwidła. W kilka lat później ja się pojawiłem i pobraliśmy się.

Spojrzał na nią ze wzruszeniem i uścisnął mocniej jej rękę. Jane odpowiedziała tym samym.

- I wtedy szczęście się do nas uśmiechnęło... jak mówiła mama.

Nie było wątpliwości, że Jane podziela w tej sprawie opinię matki, tak jak zresztą we wszystkim. Teraz kochała matkę jeszcze bardziej niż za życia. Ciągle jednak była wstrząśnięta tym, co powiedział przed chwilą Bernie: że jej ojciec żyje.

- To właśnie wtedy szczęście uśmiechnęło się do mnie. W każdym razie pan Chandler Scott zniknął, a pojawił się kilka tygodni temu... tutaj, w San Francisco...

- Dlaczego nigdy do mnie nie zadzwonił?

- Nie wiem.

Postanowił powiedzieć jej wszystko bez osłonek.

- Zadzwonił mniej więcej rok temu, ponieważ chciał dostać od mamusi pieniądze. Kiedy mu je dała, wyjechał. Teraz znów wrócił, ale ja pomyślałem, że nie powinniśmy dawać mu pieniędzy, i nie zrobiłem tego.

Uprościł całą sprawę, lecz w zasadzie tak właśnie było. Nie powiedział Jane, że go przekupili, by się z nią nie widywał, ani jak bardzo Liz nienawidziła tego człowieka. Chciał,

by dziewczynka sama podjęła decyzję, kiedy go zobaczy, jednocześnie zaś nie mógł uwolnić się od myśli, że mała może polubić ojca.

- Czy chciał się ze mną zobaczyć?

Była wyraźnie pod wrażeniem mitu przystojnego aktora.

- Nie.

- Czy może przyjść do nas na obiad?

Wszystko wydawało się jej tak całkiem zwyczajne, że gdy Bernie pokręcił przecząco głową, spojrzała na niego zdziwiona.

- To nie takie proste. Byliśmy obaj dziś w sądzie.

- Dlaczego?

Informacja Berniego trochę przstraszyła i tak już zaniepokojone dziecko. Słowo „sąd” zabrzmiało w jej uszach złowieszczo.

- Poszedłem do sądu, bo moim zdaniem to nie jest miły człowiek i chcę cię przed nim uchronić. Twoja mamusia mnie o to prosiła.

Obiecał to Liz i zrobił wszystko, by dotrzymać słowa.

- Czy myślisz, że może mi zrobić krzywdę?

Bernie nie chciał jej za bardzo straszyć. W końcu za dwa dni będzie musiała pójść z nim na dziesięć godzin.

- Nie, ale na mój gust za bardzo interesują go pieniądze. Poza tym niewiele o nim wiemy.

Jane popatrzyła mu głęboko w oczy.

- Dlaczego mamusia powiedziała, że on nie żyje?

- Chyba sądziła, że łatwiej ci będzie myśleć, iż nie żyje niż wiecznie się martwić, gdzie jest i dlaczego odszedł.

Jane przytaknęła, to miało sens. Wyglądała jednak na zawiedzioną.

- Nigdy nie podejrzewałam, że mamusia może mnie okłamać.

- Poza tym jedynym przypadkiem nie sądzę, aby cię kiedykolwiek okłamała. Uważała, że tak będzie lepiej dla ciebie.

Jane pokiwała głową; starała się zrozumieć.

- No i co powiedzieli w sądzie?

W końcu odezwała się w niej ciekawość.

- Powiedzieli, że w przyszłym miesiącu musimy jeszcze raz iść do sądu, a w tym czasie twój ojciec ma prawo widywać się z tobą co sobota od dziewiątej rano do obiadu.

- Ale przecież ja go nawet nie znam! O czym mam z nim rozmawiać przez cały dzień?

Powód zdenerwowania Jane wydał się Berniemu dość zaskakujący, toteż skwitował jej pytanie uśmiechem.

- Coś wymyślisz.

To był akurat najmniejszy problem.

- A co będzie, jeżeli on mi się nie spodoba? Nie może być zbyt miły, skoro ciągle uciekał od mamusi.

- Też tak zawsze myślałem.

Postanowił być wobec niej uczciwy.

- I nie podobał mi się wtedy, kiedy się z nim spotkałem.

- Spotkałeś się z nim? - jej zdziwienie wzrosło. - Kiedy?

- Kiedy przyjechał, żeby wziąć od mamusi pieniądze. To było tuż przed urodzeniem Alexandra i mamusia mnie do niego wysłała.

- Nie chciała się z nim zobaczyć?

Bernie pokręcił głową, co dało Jane dużo do myślenia.

- Nie.

- Może wcale go tak bardzo nie kochała.

- Być może.

Nie chciał z nią dyskutować na ten temat.

- Czy on naprawdę siedział w więzieniu?

Spojrzała przestraszona, gdy Bernie skinął głową.

- A co będzie, jeżeli nie zechcę nigdzie z nim pójść w sobotę?

To było trudne zadanie.

- Kochanie, obawiam się, że musisz.

- Dlaczego? - Oczy małej wypełniły się nagle łzami. - Przecież go nawet nie znam. Co będzie, jeżeli mi się nie spodoba?

- Musisz to jakoś przetrwać. To tylko cztery razy, zanim znowu pójdziemy do sądu.

- Cztery razy?

Łzy spływały jej po policzkach.

- Co sobota.

Miał wrażenie, że sprzedał swą jedyną córkę. Nienawidził Chandlera Scotta, swego adwokata Grossmana, sądu i sędziego za to, co mu zrobili, a zwłaszcza Grossmana za to, że tak spokojnie mu powiedział, by nie pogarszał sytuacji. W końcu Chandler Scott przyjdzie w sobotę do jego domu, by zabrać mu córkę.

- Tatusiu, nie chcę!

Teraz, kiedy poznała już całą brutalną prawdę, wybuchnęła płaczem.

- Musisz.

Podał małej swoją chusteczkę do nosa, usiadł obok niej na kanapie i zamknął ją w ramionach. Przytuliła do niego głowę z głośnym szlochem. I bez tego było jej tak bardzo ciężko! To niesprawiedliwe, że musiała przeżyć jeszcze i to. Nienawidziła za to wszystkich.

- Spójrz na to z innej strony: to tylko cztery razy. A na Święto Dziękczynienia przyjeżdżają z Nowego Jorku dziadkowie. Będziemy mogli to wszystko wspólnie przemyśleć.

Bernie niedawno znowu odłożył wyjazd do Europy. Za dużo miał wówczas kłopotów z pomocą domową, a Berman nie nalegał. Już od miesiący nie widział się z rodzicami, a dokładnie od sierpnia, kiedy to matka zabrała ze sobą dzieci do Nowego Jorku. Pani Pippin obiecała, że upiecze na Święto Dziękczynienia indyka. Mary Pippin faktycznie spadła im z nieba, zresztą zgodnie z tym, co od początku z dużym przekonaniem twierdziła, i Bernie ją bardzo lubił. Miał cichą nadzieję, że spodoba się matce. Były mniej więcej w tym samym wieku, a różniły się jak dzień i noc. Matka gustowała w kosztownych strojach, była wypielegnowana, troszkę kapryśna, a gdy chciała, potrafiła być nie do wytrzymania. Pani Pippin natomiast była sztywna, prosta i wolna od kaprysów jak rzadko która kobieta, przy tym skromna, ciepła i sumienna, a także wspaniała dla dzieci i bardzo brytyjska. To mogło się okazać interesującą kombinacją.

Zapłacił rachunek w Hippo i ruszył z Jane do samochodu. Pani Pippin czekała, by dotrzymać Jane towarzystwa podczas kąpieli, poczytać jej na dobranoc i ułożyć do łóżka. Gdy tylko Jane weszła w drzwi, spojrzała na nianię, jak nazywali teraz wszyscy panią Pippin, zarzuciła jej rękę na szyję i zawołała tragicznym głosem:

- Nianiu, mam drugiego ojca.

Bernie uśmiechnął się, słysząc to dramatyczne stwierdzenie, a niania pociągnęła nosem i zaprowadziła dziewczynkę do łazienki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

„Drugi ojciec”, jak go nazwała Jane, zjawił się prawie punktualnie, piętnaście po dziewiątej w sobotę rano.

Była to sobota poprzedzająca Święto Dziękczynienia.

Wszyscy Bernie, Jane, pani Pippin i Alexander siedzieli w salonie i czekali. Zegar na kominku tykał bezlitośnie. Bernie zaczynał mieć już nadzieję, że Chandler Scott w ogóle się nie pojawi, ale nie mieli tego szczęścia. Nagle zadźwięczał dzwonek, Jane podskoczyła, a Bernie poszedł otworzyć.

Mała nadal nie miała ochoty nigdzie iść ze Scottem i teraz niezmiernie zdenerwowana stała obok niani. Bawiła się z Alexandrem, a jednocześnie nie spuszczała oka z mężczyzny stojącego w drzwiach i rozmawiającego z Berniem. Mówił głośno, przyjacielskim tonem. Może dlatego, że był kiedyś aktorem.

Ujrzała, jak Bernie odsuwa się na bok i mężczyzna wchodzi do salonu. Jego spojrzenie zaczęło się prześlizgiwać z Alexandra na Jane, jakby w niepewności, które dziecko jest czyje. Potem zatrzymał wzrok na niani i znowu na Jane.

- Cześć, jestem twoim tatą.

Nie wypadło to najlepiej, ale i cała sytuacja była okropnie krępująca. Nie wyciągnął do niej ręki, nie podszedł bliżej. Jego oczy raczej nie spodobały się małej. Były wprawdzie niebieskie jak Jane, lecz niespokojnie rozbiegane po pokoju i nasunęły dziewczynce myśl, że przybysz bardziej interesuje się jej prawdziwym, jak nazywała Berniego, tatą niż nią samą.

Patrzył na wielki złoty Rolex Berniego, jednocześnie lustrując wzrokiem cały pokój, nie wyłączając schludnej starszej pani w niebieskim kostiumie i granatowych szkockich butach, która siedziała z Alexandrem na kolanach i przyglądała mu się uważnie. Nie poprosił, by go przedstawić.

- Jesteś gotowa?

Jane cofnęła się ze strachem, a Bernie zrobił krok naprzód.

- Dlaczego choć przez chwilę nie porozmawiasz z nią tutaj, żebyście się trochę poznali, zanim ją zabierzesz?

Scott nie wyglądał na zadowolonego z tej propozycji. Spojrzał na zegarek, a potem z zakłopotaniem na Berniego.

- Obawiam się, że nie mamy czasu.

Dlaczego? Dokąd się wybierali? Berniemu wcale się to nie podobało. Lecz nie chciał

nic mówić, by jeszcze bardziej nie wystraszyć Jane.

- Jestem pewny, że możesz poświęcić parę minut. Może filiżankę kawy?

Bernie czuł wstręt, że musi być dla niego tak uprzejmy, robił to jednak wyłącznie dla dobra Jane. Scott odmówił.

Jane usiadła na poręczy fotela niani i uważnie lustrowała go wzrokiem. Miał na sobie golf i džinsy, w ręku trzymał brązową skórzaną marynarkę i był przystojny, ale nie tak, jak lubiła. Wydawał się wymuskany, nie zaś ciepły i sympatyczny jak jej tatuś. Poza tym stwierdziła, że nie mając brody jak Bernie jest zbyt nijaki.

- Jak ten koleś ma na imię? - spojrzał na malca, lecz bez większego zainteresowania.

Niania wyjaśniła, że to Alexander. Przyglądała się twarzy mężczyzny, a zwłaszcza jego oczom. Nie spodobało jej się to, co w nich dostrzegła, podobnie zresztą jak Berniemu. Przybysz nie przestawał penetrować wzrokiem całego mieszkania i w ogóle nie zwracał uwagi na Jane.

- Ogromnie mi szkoda Liz - powiedział do Jane, która na te słowa zmartwiała. - Jesteś do niej bardzo podobna.

- Dziękuję - odparła grzecznie.

Powiedziawszy to, Scott wstał i jeszcze raz zerknął na zegarek.

- Do zobaczenia, przyjaciele.

Nie wyciągnął do Jane ręki i nie powiedział jej, gdzie idą. Podszedł po prostu do drzwi i czekał, że pójdzie za nim jak piesek. Jane wyglądała tak, jakby miała się zaraz rozplakać.

Bernie, aby dodać małej otuchy, przytulił ją z uśmiechem, potem ze ściśniętym sercem patrzył, jak wychodzi, ściskając różowy sweterek doskonale zharmonizowany z kolorem sukienki. Była ubrana, jakby wybierała się na przyjęcie.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - szepnął Bernie. - To tylko parę godzin.

- Do widzenia, tatusiu - objęła go za szyję. - Do widzenia nianiu... do widzenia Alex.

Pomachała im obojgu, a braciszkowi już od drzwi przesłała całusa.

Znowu wyglądała jak bardzo mała dziewczyneczka i Berniemu przypomniało się ich pierwsze spotkanie. Coś go pchało, by wybiec i ją zatrzymać, lecz nie zrobił tego i tylko obserwował ich przez okno. Chandler Scott, wsiadłszy do zniszczonego starego samochodu, po wiedział coś do niej. Bernie, jakby kierowany przeczuciem nieszczęścia, zapisał numer rejestracyjny wozu w momencie, gdy za Jane, siadającą ostrożnie na tylnym siedzeniu, zatrzasnęły się drzwi. W chwilę później odjechali, a Bernie odwrócił się od okna i napotkał Zagniewany wzrok Mary Pippin.

- W tym człowieku jest coś nie w porządku, panie Fine. On mi się nie podoba.

- Zgadzą się z panią, mnie też, ale sąd był innego zdania. Mam tylko nadzieję, że nic jej się nie stanie. Zabiję drania... - nie dokończył swej myśli, a niania poszła do kuchni, by zrobić sobie filiżankę herbaty.

Zbliżał się czas porannej drzemki Alexandra, poza tym miała jeszcze trochę pracy, ale tak samo jak Bernie, ani na moment nie przestawała się niepokoić o Jane.

Bernard mijał się po mieszkaniu i choć miał trochę papierkowej roboty i spraw do załatwienia, a w sklepie czekały na opracowanie nowe projekty, nie mógł się na niczym skoncentrować. Przez cały dzień nie oddalał się od domu, na wypadek gdyby dzwoniła Jane. O szóstej zdenerwowany siedział już w salonie, czekając na nią. Miała być za godzinę i Bernie spoglądał w napięciu na zegar.

Mary Pippin, zanim ułożyła Alexandra spać, przyniosła go Berniemu, który jednak tym razem nie miał głowy do zajmowania się synem. Toteż niania bez słowa zaniósła chłopca do łóżeczka. Nie chciała nic mówić, ale czuła dziwne ściskanie w dołku na myśl o tym człowieku, który zabrał Jane. Miała straszne przeczucie, że coś się stało, lecz nie zdradziła się z tym przed Berniem. A on czekał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Wsiadaj do samochodu.

To było wszystko, co do niej powiedział, gdy zeszli ze schodków przed domem. Jane przez chwilę kusilo, by zawrócić z powrotem na górę. Nie chciała z nim nigdzie jechać i zupełnie nie rozumiała, jak matka mogła go kochać. Wydawał się jej przerażający. Miał podłe oczy i brudne paznokcie.

Otworzył drzwiczki samochodu i gdy tylko wsiadł do środka, zaczął ją ponaglać do zajęcia miejsca. Uczyniła to, rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na okno, w którym stał Bernie. W tym momencie samochód ruszył ostro i Jane musiała trzymać się drzwi, by nie spaść z siedzenia, kiedy brał zakręty gnając na południe w kierunku drogi szybkiego ruchu.

- Gdzie idziemy?

- Do koleżanki na lotnisko.

Wszystko miał już opracowane i nie zamierzał rozmawiać z nią na ten temat. To nie był jej zasrany interes.

Jane chciała go prosić, by nie jechał tak szybko, ale bała się odezwać. On też milczał. Zaparkował przed lotniskiem, zabrał z tylnego siedzenia małą torbę podróżną, chwycił Jane za ramię i nie troszcząc się nawet o to, by zamknąć drzwi, pociągnął ją energicznie w stronę odprawy.

- Gdzie jedziemy? - nie potrafiła już walczyć ze łzami.

Ten człowiek wcale jej się nie podobał i chciała wracać do domu. Teraz, natychmiast.

- Już ci powiedziałem, dziecko. Na lotnisko.

- Gdzie leci twoja koleżanka?

- To ty jesteś moją koleżanką. - Odwrócił się i spojrzał na nią. - I lecimy do San Diego.

- Na jeden dzień?

Wiedziała, że w San Diego jest zoo, ale tata powiedział, że będą w domu o siódmej. Ten człowiek coraz bardziej kojarzył się jej z ludźmi, z którymi rodzice nie pozwalają dzieciom rozmawiać na ulicy, a ona była tu z nim sama i leciała do San Diego.

- Tak, będziemy w domu na obiad.

- Czy nie powinnam zadzwonić do tatusia i powiedzieć mu o tym?

Jej naiwność rozśmieszyła go.

- Nie, kochanie. Teraz ja jestem twoim tatusiem i wcale nie musisz nigdzie dzwonić.

Zadzwońię za ciebie, jak dotrzemy na miejsce. Możesz mi zaufać, kochanie. Na pewno do niego zadzwonię.

Wszystko w nim było przerażające. Ścisnął ją brutalnie za rękę i ruszył szybkim krokiem do budynku odpraw. Poczwała nagłą chęć ucieczki, lecz jego uścisk był mocny i bez trudu wyczuła, że i tak nie pozwoliłby jej odejść.

- Dlaczego lecimy do San Diego, proszę... no... hmm... tato?

Chyba chciał, żeby tak się do niego zwracała. Może wówczas będzie trochę sympatyczniejszy.

- W odwiedziny do przyjaciół.

- Och!...

Zastanawiała się, dlaczego „drugi ojciec” nie może tego zrobić innego dnia, potem pomyślała, że jest głupia, bo powinna się cieszyć z przygody, o której będzie mogła opowiadać przez cały dzisiejszy wieczór. Kiedy jednak przechodzili koło wartownika, Scott chwycił ją mocno za rękę i ze ściągniętą twarzą kazał jej się pospieszyć. Jane nasunął się wtedy pewien pomysł. Jeżeli powie mu, że musi iść do łazienki, może będzie tam telefon, z którego zdoła zadzwonić do Berniego. Miała dziwne przeczucie, że Bernie chciałby wiedzieć o jej wyjeździe do San Diego z „drugim” tatusiem. Zobaczywszy drzwi ze znajomym znaczkiem, wyrwała się Scottowi, który rzucił się za nią i przytrzymał ją za ramię. Szarpnęła się zaskoczona.

- O, nie, moje złotko.

- Ale ja muszę iść do łazienki znowu miała łzy w oczach.

Pojęła już, że Scott musi robić coś złego, skoro ani na chwilę nie chce spuścić jej z oka i nie pozwala nawet wstąpić do łazienki.

- Możesz pójść w samolocie.

- Naprawdę myślę, że powinnam zadzwonić do tatusia i powiedzieć, gdzie jedziemy.

Scott tylko ją wyśmiał.

- Nie martw się. Przecież już ci powiedziałem, że do niego zadzwonię.

Trzymał ją mocno za ramię i wyglądało na to, że kogoś wypatruje. W pewnej chwili podeszła do nich kobieta w ciemnych okularach, o włosach ufarbowanych na jasny blond. Miała na sobie obcisłe dzinsy, fioletową koszulę z kapturem, czapkę baseballową i kowbojskie buty. Sprawiała wrażenie osoby gotowej na wszystko.

- Są bilety? - spytał Scott z kamienną twarzą, a kobieta skinęła głową.

Podawała mu je bez słowa i ruszyli ramię w ramię, wzięwszy między siebie Jane, która zastanawiała się, o co tutaj chodzi.

- To ona? - spytała w końcu kobieta.

Scott kiwnął tylko głową, a Jane ogarnął paniczny strach. Zatrzymali się przed automatem do robienia zdjęć i zrobili cztery odbitki za jednego dolara.

Potem, ku zdziwieniu Jane, Chandler Scott wyjął paszport i wkleił do niego jej fotografię. Paszport był sfałszowany i nie przeszedłby przez dokładną kontrolę, Scott jednak wiedział, że paszporty dzieci rzadko są sprawdzane.

Przy bramce Jane zrobiła unik, próbując czmychnąć, ale Chandler Scott chwycił ją tak mocno za ramię, że o mało nie krzyknęła, potem powiedział bez ogródek, co jest gotów zrobić.

- Jeżeli piśniesz choć słówko albo będziesz próbowała uciekać, twój, jak go nazywasz, tatuś i twój mały braciszek nie będą żyli jeszcze przed piątą, rozumiesz skarbie?

Mówił łagodnym głosem, uśmiechając się przy tym złośliwie, kobieta natomiast zapaliła papierosa i rozejrzała się wokół. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną.

- Gdzie mnie zabieracie?

Po tym, co od niego usłyszała, bała się głośniejsz odezwać. Życie najbliższych istot było w jej rękach i nie zrobiłaby nic, co mogłoby narazić Berniego lub Alexa na niebezpieczeństwo. Zastanawiając się nad tym, czy Scott zamierza ją zabić, jedyną pociechę znalazła w myśli, że jeśli tak się stanie, to połączy się z mamą. Co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości i dzięki temu wszystko wydawało jej się trochę mniej przerażające.

- Jedziemy na małą wycieczkę.

- Czy w samolocie będę mogła iść do łazienki?

- Może - popatrzył na nią chłodno i Jane znowu pomyślała ze zdziwieniem, jak matka mogła go uważać za przystojnego. Wyglądał na złośliwego i zuchwałego i naprawdę nie było w nim nic ładnego.

- Cokolwiek zechcesz zrobić, złociutka - warknął do niej przez zaciśnięte zęby - nigdzie nie ruszysz się bez nas. Jesteś moją ukochaną córeczką i naszą maleńką kopalnią złota.

Jane nadal nie rozumiała, o co im chodzi, i była przekonana, że zamierzają ją zabić. Scott natomiast zaczął opowiadać swej przyjaciółce o wielkim Rolexie Berniego.

- Może tatuś da ci swój zegarek, jeżeli odwieziesz mnie do domu - powiedziała z nadzieją w głosie, na co oboje wybuchnęli śmiechem, popychając ją przed sobą do samolotu.

Nie wyglądało na to, aby stewardesa zauważyła, że coś jest nie w porządku. Jane zaś, pamiętając o pogroźce dotyczącej Berniego i Alexa, nie miała nawet odwagi głośniejsz się

odezwać. Scott i kobieta nie zwracali sobie głowy odpowiadaniem na jej pytania i kiedy samolot wystartował, zamówili dla siebie piwo. Dla niej wzięli colę, której Jane nawet nie tknęła. Nie chciało jej się ani pić, ani jeść.

Siedziała cichutko na swoim miejscu i martwiła się, dokąd jadą z fałszywym paszportem oraz czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy Berniego, Alexandra i nianię. W tej chwili opuściła ją niemal cała nadzieja, że jest to możliwe.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Było po ósmej, gdy Bernie zadzwonił w końcu do Grossmana. Przez godzinę tłumaczył sobie, że może się spóźnia, może wracając tym gruchotem złapali gumę lub przydarzyło się im coś innego... Ale o ósmej powinni zadzwonić. I nagle pojął, że wydarzyło się coś niedobrego.

Grossman był w domu, jadł akurat obiad z przyjaciółmi. Bernie przeprosił, że zawraca mu głowę.

- Nic nie szkodzi. Jak dziś poszło?

Miał nadzieję, że obyło się bez komplikacji. Wszystkim będzie znacznie lżej, jeżeli pogodzą się z tym, co nieuniknione. Z doświadczenia wiedział, że niełatwo im będzie pozbyć się Chandlera Scotta.

- Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwonię Bili. Przepraszam, ale mieli wrócić ponad godzinę temu, a jeszcze ich nie ma. Zaczynam się już niepokoić. Co mówię! Zaczynam się okropnie niepokoić.

Grossman pomyślał, że to trochę przedwcześnie. Według niego Bernie przesadzał z tym, że Scott jest takim łajdakiem.

- Może złapał gumę.

- Mógł zadzwonić.

- A kiedy ty po raz ostatni złapałeś gumę?

- Jak miałem szesnaście lat i buchnąłem ojcu mercedesa.

- No właśnie.

- Co teraz zrobimy?

- Przede wszystkim uspokój się. Scott na pewno stara się zrobić na Jane wrażenie. Przypuszczam, że wróca koło dziewiątej, zaliczywszy ze dwa filmy i z dziesięć rozków lodowych.

Grossman nadal był tego pewny i nie chciał, by obsesja Berniego udzieliła się i jemu.

- Na razie się nie martw.

Bernie spojrział na zegarek.

- Dam im jeszcze godzinę.

- A co potem? Ruszysz na ulicę z dubeltówką?

- Dla mnie to wcale nie jest zabawne Bili. On jest z moją córką.

- Wiem, wiem, przepraszam, ale to też jego córka. Musiałby być ostatnim szaleńcem,

żeby zrobić jakiś idiotyzm, zwłaszcza na pierwszym widzeniu. Może być niesympatyczny, nie myślę jednak, żeby był głupi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz..

- Posłuchaj, poczekaj do dziewiątej i znowu do mnie zadzwoń. Coś wymyślimy.

Bernie zadzwonił za pięć dziesiątą. Tym razem postanowił, że nie da się zbyć.

- Dzwonię na policję.

- I co zamierzasz im powiedzieć?

- Po pierwsze, zanotowałem numery jego samochodu, a po drugie, poinformuję ich, że podejrzewam go o porwanie mojego dziecka.

- Pozwól, że coś ci powiem, Bernie. Wiem, że jesteś wytracony z równowagi, ale chcę, żebyś to przemyślał. Po pierwsze, Jane nie jest twoim dzieckiem, zgodnie z prawem jest jego córką. Po drugie, nawet gdyby ją zabrał, w co zresztą wątpię, to byłoby to traktowane jak kradzież dziecka, a nie porwanie.

- Jaka to różnica?

Bernie nie rozumiał.

- Kradzież dziecka jest wykroczeniem, polega na zabraniu dziecka przez jedno z rodziców.

- W tym wypadku to nie jest „zabranie”, tylko porwanie. Ten facet to zwykły kryminalista. Boże, nawet nie zamienił z nią jednego słowa, jak po nią przyjechał. Rozejrzał się po domu, a potem wyszedł, czekając, aż Jane pójdzie za nim. I odjechali tym samochodem, a teraz tylko jeden Bóg wie, gdzie są.

Sama myśl o tym doprowadzała go do hysterii. Czuł, że zdradził Liz, gdyż nie dotrzymał danej obietnicy. Zrobił to. Błagała go, by nigdy nie pozwolił Chandlerowi zbliżyć się do Jane, a tak się właśnie stało.

- O dziesiątej zadzwonił na policję.

Potraktowano go życzliwie, lecz niezbyt się przejęto. Tak samo jak Bili policja była pewna, że Chandler w końcu się pojawi.

- Może trochę za dużo wypił? - podsunął mu rozmówca.

Ale o jedenastej, gdy Bernie był już bliski płaczu, policja zgodziła się w końcu przyjechać i sporządzić protokół. Niepokój udzielił się także Grossmanowi.

- Nadal żadnych wieści? - zapytał.

- Żadnych. Czy teraz mi wierzysz?

- Chryste, mam nadzieję, że się mylisz.

Bernie opisał policji, jak Jane była ubrana. Niania siedziała z nim w milczeniu w

salonie, w szlafroku i kapciach. Wyglądała jak zawsze i działała na Berniego uspokajająco. Pół godziny później policja odkryła, że numer rejestracyjny zapisany przez Berniego należał do samochodu, który został skradziony tego ranka. Sprawa stała się teraz poważna.

W każdym razie dla Berniego, gdyż policja stwierdziła dokładnie to, co przewidywał Bili kradzież dziecka i nic więcej; wykroczenie, a nie przestępstwo. Nie przejęto się też wcale tym, że Scott ma dość długą przeszłość kryminalną. Bardziej interesowało ich skradzione auto i sporządzili meldunek właśnie w sprawie samochodu, a nie jego córki.

O północy Bernie zatelefonował z tymi wiadomościami do Grossmana. Gdy tylko odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon. Nareszcie odezwał się Chandler!

- Cześć, przyjacielu.

Na dźwięk jego głosu Bernie o mało nie wpadł w szal. Policja odjechała i był teraz sam. A Scott miał jego córkę.

- Gdzie, do licha, się podziewacie?

- Jane i ja mamy się świetnie.

- Pytałem, gdzie jesteście.

- Wyjechaliśmy na pewien czas za miasto. Jane czuje się doskonale, prawda, kochanie?

Trochę brutalnie ujął Jane pod brodę. Dziewczynka, trzęsąc się z zimna, stała obok niego w budce telefonicznej. Wzięła ze sobą tylko sweterek, a był listopad.

- Co to znaczy, że wyjechaliście z miasta?

- Chciałem ci dać trochę czasu na zebranie pieniędzy, przyjacielu.

- Jakich pieniędzy?

- Pięciuset tysięcy dolców, które mi dasz w zamian za to, że przywiozę Jane do domu.

Prawda, kochanie?

Odwrócił głowę w jej stronę, choć w rzeczywistości wcale na nią nie patrzył.

- Prawdę mówiąc, mała Jane myślała nawet, że dorzucisz jeszcze ten piękny zegarek, który miałeś dziś na ręku. Uważam, że to wspaniały pomysł. Może zechcesz podarować jeszcze jeden mojej przyjaciółce.

- Jakiej przyjaciółce?

Bernie myślał gorączkowo, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

- Nieważne. Porozmawiajmy o pieniądzach. Kiedy możesz je zdobyć?

- Mówisz poważnie?

Bernie czuł, że ściska go w dołku.

- Bardzo poważnie.

- Nigdy... Mój Boże, czy wiesz, ile to forsy? To przecież ogromny majątek. Nie mogę ci dać takich pieniędzy.

Łzy napłynęły mu nagle do oczu. Nie dość, że stracił Liz, to teraz jeszcze Jane. Prawdopodobnie na zawsze. Bóg wie, gdzie byli i co Scott zamierzał jej zrobić.

- Lepiej, żebyś mi je dał, Fine, albo już nigdy nie zobaczysz Jane. Mogę czekać długo, bardzo długo, a myślę, że chcesz, by w końcu wróciła.

- Ale z ciebie skończony skurwysyn.

- A z ciebie nadziany skurwysyn.

- Jak się z tobą skontaktuję?

- Zadzwoń jutro. Trzymaj się z dala od telefonu i nie zawiadamiaj glin, bo ją zabiję.

Usłyszawszy to, nieprzytomna ze strachu Jane wpatrywała się w niego z napięciem, lecz on tego nie zauważył. Koncentrował się na rozmowie z Berniem.

- Skąd mam wiedzieć, że już jej nie zabiłeś?

Sama myśl o tym nappełniła go przerażeniem. Wypowiedział ją jednak głośno czując, jak uchodzi z niego resztkę sił i kleszczowy ucisk miażdży mu serce.

Scott przyłożył słuchawkę do ucha Jane.

- No, pogadaj ze swoim staruszkiem.

Jane wystarczająco dużo zrozumiała, by nie mówić, gdzie są. Zresztą i tak nie była pewna. Poza tym widziała u nich broń i zdawała sobie sprawę, że nie żartują.

- Cześć, tatusiu - jej głosik był cieniutki, a gdy dostała słuchawkę, wybuchnęła płaczem. - Kocham cię... Czuję się dobrze...

- Sprowadzę cię do domu, kochanie... bez względu na to, co będę musiał zrobić...
Przyrzekam...

Chandler Scott nie pozwolił jednak dziewczynce odpowiedzieć. Wyrwał jej słuchawkę i natychmiast rozłączył się z Berniem.

Bernard drżącymi rękami wykręcił numer Grossmana. Było już wpół do pierwszej.

- Ma ją.

- Wiem, że ją ma. Gdzie jest?

- Nie powiedział. Chce pół miliona dolarów.

Brakowało mu tchu, jakby miał za chwilę zemdleć. Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Porwał ją?

Grossman sprawiał wrażenie oszołomionego.

- Tak, ty durniu. A nie mówiłem ci?...

- Przepraszam.

- Co teraz powinienem, do cholery, zrobić? Nie mam tyle pieniędzy.

Znał tylko jedną osobę, która mogła mieć taką sumę, ale nie było to pewne, a jeśli tak, to też zapewne nie w gotówce. Mimo wszystko postanowił spróbować.

- Zadzwoń na policję.

- Już to zrobiłem.

- To zmienia sytuację.

- Okazało się, że nie. Policja nie wydawała się wcale bardziej przejęta niż godzinę wcześniej była to po prostu jeszcze jedna prywatna sprawa między dwoma mężczyznami, walczącymi o dziecko, do którego każdy uzurpował sobie prawo. Nie chciano się w to mieszać. Uważano, że Chandler na pewno co innego miał na myśli, mówiąc o pieniądzach.

Mary Pippin przesiedziała z Berniem całą noc, nalewając mu najpierw herbatę, a w końcu brandy. Potrzebował jej, czuł się okropnie.

W pewnej chwili, pomiędzy jedną rozmową telefoniczną a drugą, patrząc mu prosto w oczy zaczęła go uspokajać jak przestraszonego dzieciaka.

- Znajdziemy ich.

- Skąd pani wie?

- Ponieważ należy pan do ludzi inteligentnych i słuszność jest po pańskiej stronie.

- Chciałbym, żebyś się nie myliła, nianiu.

Niania poklepała go po ręce, a on zadzwonił do Nowego Jorku do Paula Bermana. Była prawie piąta nad ranem. Berman powiedział mu, że nie ma pieniędzy. Nie krył przerażenia tym, co się stało, lecz wyjaśnił, że nigdy nie trzymał takiej kwoty w gotówce. Musiałby sprzedać akcje, a ponieważ ma je do spółki z żoną, potrzebowałby jej zgody. Poza tym straciłby na tym majątek, gdyż źle teraz stoją. Dodał też, że nawet gdyby się zdecydował, zajęłoby mu to dużo czasu. Bernie zrozumiał, że Berman niewiele mu pomoże.

- Dzwoniłeś na policję?

- Gówno ich to obchodzi. Najwyraźniej „kradzież dziecka”, jak to nazywają, nie jest niczym wielkim w tym stanie. Naturalny ojciec dziecka jest poza podejrzeniami.

- Powinni go zabić.

- Ja to zrobię, jak go znajdę.

- Powiedz, co mogę dla ciebie uczynić?

- Dziękuję, Paul.

Z tymi słowami odłożył słuchawkę i ponownie zadzwonił do Grossmana.

- Nie jestem w stanie zdobyć pieniędzy. Co teraz?

- Mam pomysł. Znam prywatnego detektywa, z którym kiedyś pracowałem.

- Możemy od razu do niego zadzwonić?

Grossman zastanawiał się tylko przez ułamek sekundy. W gruncie rzeczy był porządnym facetem, tyle że zbyt łatwowiernym.

- Zadzwonię do niego.

Oddzwonił po pięciu minutach z wiadomością, że detektyw będzie u Berniego za pół godziny i że on również przyjedzie.

Była trzecia nad ranem, kiedy w salonie Berniego zebrała się grupa ludzi Bili Grossman, Bernie, detektyw krępy, nie rzucający się w oczy mężczyzna pod czterdziestkę, kobieta w trudnym do określenia wieku, którą detektyw przyprowadził ze sobą, oraz niania w szlafroku i rannych pantoflach.

Podawała wszystkim kawę i herbatę, a Berniemu przyniosła jeszcze jedną brandy. Zadecydowała, że inni jej nie potrzebują. Muszą być trzeźwi, skoro mają obmyślać plan znalezienia Jane.

Detektyw nazywał się Jack Winters, a towarzysząca mu kobieta okazała się jego żoną o imieniu Genie. Oboje byli byłymi pracownikami wydziału do walki z narkotykami i po latach tajnej służby w policji w San Francisco postanowili założyć własny interes. Bili Grossman przysięgał, że są znakomici.

Bernie opowiedział im wszystko, co wie o przeszłości Chandlera Scotta, o tym, co go łączyło z Liz, o jego aresztowaniach, odsiadkach, a także o jego więzi, a raczej jej braku z Jane. Podał im na koniec numer rejestracyjny skradzionego samochodu i wzięwszy głęboki oddech, wlepił w nich przerażony wzrok.

- Czy potraficie ją znaleźć?

- Być może.

Detektyw miał opadające wąsy, a jego sposób bycia sprawiał, iż nie robił wrażenia zbyt rozgarniętego, ale Bernie jeszcze nigdy nie spotkał człowieka o tak bystrych oczach. Kobieta też stanowiła podobnie dziwną kombinację. Była bardzo przeciętna, ale nie wyglądała na głupią.

- Podejrzewam, że pojechał do Meksyku albo podobnego kraju.

- Dlaczego?

Mężczyzna utkwiał w Berniem wzrok.

- To tylko przeczucie. Proszę dać mi kilka godzin, a przedstawię panu parę możliwości. Nie ma pan oczywiście żadnego jego zdjęcia?

Bernie pokręcił głową. Nie sądził też, aby Liz jakieś przechowywała. Nawet jeśli je

miała Bernie nigdy go nie widział.

- Co mam mu powiedzieć, jak zadzwoni?

- Że zbiera pan pieniądze. Niech ma jakieś zajęcie... niech czeka... I proszę nie sprawiać wrażenia mocno przestraszonego. Dzięki temu będzie myślał, że je pan ma.

Bernie zrobił nieszczęśliwą minę.

- Już mu powiedziałem, że nie mam.

- Nie szkodzi, na pewno panu nie uwierzył.

Wintersowie obiecali, że skontaktują się z nim pod koniec dnia, i radzili, by czekając, spróbował trochę odpocząć. Zanim jednak odeszli, Bernie musiał zadać im jeszcze jedno pytanie. Robił to z wielką niechęcią, ale musiał.

- Czy myślicie... czy on może... czy myślicie, że Scott może jej wyrządzić krzywdę?

Nie potrafił powiedzieć „zabić”. To było ponad jego siły po tej całej okropnej nocy.

Odpowiedziała mu Gertie. Uczyniła to spokojnym głosem, wpatrując się w Berniego mądrymi oczami. Wiedział, że jest kobietą, która niejedno widziała.

- Mam nadzieję, że nie. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ją znaleźć, zanim cokolwiek zdąży się wydarzyć. Proszę nam zaufać.

Tak też uczynił. Wintersowie wrócili po dwunastu godzinach, które Bernie spędził na oczekiwaniu bez końca. Przemierzał pokój wzdłuż i wszerz, pił kawę, brandy, herbatę i w końcu o dziesiątej następnego ranka, zrozpaczony i całkowicie wykończony, padł na łóżko.

Niania w ogóle się nie kładła, przez cały dzień zajmując się Alexandrem. Właśnie dała mu obiad, gdy zadzwonił dzwonek i w drzwiach stanęli Wintersowie. Bernie nie wiedział, jak to zrobili ale zebrali fascynujące materiały. Oni też musieli niewiele spać.

Mieli listę wyroków i wyciągi z policyjnych kartotek Chandlera. Siedział w siedmiu stanach, zwykle za kradzież, włamania, hazard lub oszustwa. Wielokrotnie aresztowano go za fałszowanie czeków, z czego jednak na ogół udawało mu się wykręcić. Może zwracał poszkodowanym pieniądze, lecz tego Wintersowie nie byli pewni, zresztą i tak nie miało to znaczenia.

- Interesujące jest to, że wszystko, cokolwiek ten człowiek robi, jest podyktowane żądzą pieniędzy. Żadnych narkotyków, seksu, namiętności... tylko forsa. Można powiedzieć, że pieniądze to jego hobby.

Bernie popatrzył na nich ponuro.

- Nie powiedziałbym, że pół miliona dolarów to hobby.

Wintersowie pokiwali głowami.

- Teraz trafiła mu się wyjątkowa gratka.

Zasięgnęli języka u kuratora Chandlera Scotta, którym okazał się stary przyjaciel Jacka. To, że właśnie na niego trafili, przyjęli za dobry omen. Dowiedzieli się też, gdzie Scott mieszkał. Wyprowadził się dzień wcześniej i wspominał komuś o wyjeździe do Meksyku.

Skradziony samochód znalazł się na lotnisku, odkryto też kradzież trzech biletów na lot do San Diego. Cała trójka już dawno tam poleciała.

Stewardesie, z którą Gertie rozmawiała tego dnia pomiędzy jednym lotem a drugim, wydawało się, że pamięta małą dziewczynkę, ale nie była pewna.

- Podejrzewam, że polecili do Meksyku. Zamierzają trzymać Jane, dopóki nie dostarczy im pan pieniędzy. Prawdę mówiąc, trochę odetchnąłem, jak poznałem dokumenty tego gościa. Nie ma w nich żadnego aktu przemocy. W końcu to już coś. Jeżeli będziemy mieć szczęście, nic jej nie zrobi. Ale jak, do licha, go znajdziemy?

- Od dziś zaczniemy poszukiwania. Jeżeli pan chce, już wieczorem możemy być w drodze. Chciałbym zacząć od San Diego i sprawdzić, czy nie chwycę tam tropu. Prawdopodobnie znowu ukradli jakiś samochód albo wynajęli, nie mając najmniejszego zamiaru go zwrócić. Nie są tak łagodni, jak mogłoby się wydawać. Zapewne Scott wie, że nie grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Nie musi się obawiać oskarżenia o porwanie. Wobec prawa kradzież dziecka jest niczym.

Słowa te wywołały w Berniem nową falę złości. Wiedział jednak, że to prawda. Był gotów zrobić wszystko, byle odnaleźć Jane.

- Chcę, żebyście zaczęli od razu.

Wintersowie skinęli głowami. Porobili już wstępne przygotowania na wypadek, gdyby Bernie właśnie to im zaproponował.

- Co mam mu powiedzieć, jak za dzwoni?

Scott po raz drugi jeszcze się nie odezwał.

- Proszę powiedzieć, że gromadzi pan pieniądze i zajmie to panu parę dni, tydzień lub dwa. Proszę dać nam trochę czasu, żebyśmy mogli się tam dostać i rozpocząć poszukiwania. Dwa tygodnie powinny nam wystarczyć na ich zlokalizowanie.

Założenie było bardzo optymistyczne, lecz Wintersowie dysponowali ponadto dokładnym rysopisem przyjaciółki Scotta, która również była notowana i zwolniona warunkowo. Mieszkała razem ze Scottem w hotelu, z którego wyprowadził się poprzedniego dnia rano.

- Czy naprawdę myśli pan, że znajdziecie go w ciągu dwóch tygodni?

- Staniemy na głowie, by ich odszukać.

Bernie wierzył, że w istocie dołożą wszelkich starań.

- Kiedy wyjeżdżacie?

- Chyba dziś około dziesiątej wieczorem. Musimy jeszcze załatwić parę rzeczy.

Wintersowie prowadzili ponadto trzy sprawy, ta była jednak najważniejsza. Mieli jeszcze pracowników, którzy mogli się zająć tamtymi.

- Jeżeli chodzi o...

Detektyw napomknął o swoim honorarium. Było wysokie, lecz Bernie nie zamierzał dyskutować na ten temat. Da sobie jakoś radę. Musi.

- W porządku. Jak się z państwem skontaktuję, jeżeli będę miał telefon od Scotta?

Podali mu numer telefonu, pod którym będą aż do wyjazdu. Dwadzieścia minut po ich wyjściu zadzwonił Scott.

- Jak leci, przyjacielu?

- Dobrze, staram się zgromadzić pieniądze.

- Świetnie. Cieszę się, że to słyszę. Jak myślisz, kiedy będziesz je miał?

W tym momencie Bernie doznał nagłego olśnienia.

- Myślę, że nie wcześniej jak za tydzień lub dwa. Muszę jechać do Nowego Jorku, by je zdobyć.

- Niech to szlag!

Scott sprawiał wrażenie zalanego i Bernie słyszał, jak naradza się ze swoją przyjaciółką. W końcu wrócił do telefonu. Uwierzyli w jego historyjkę.

- No dobra. Daję ci dwa tygodnie. Zadzwonię równo za dwa tygodnie od dziś i radzę ci być przy telefonie, bo inaczej ją zabiję.

Powiedziawszy to odłożył słuchawkę, nie pozwalając mu nawet porozmawiać z Jane. Bernie wpadł w panikę, lecz wykręcił numer Wintersów.

- Skąd pomysł, by mu powiedzieć, że jedzie pan do Nowego Jorku?

Jack Winters był zaintrygowany.

- Ponieważ chcę jechać z wami.

Na chwilę zaległa cisza.

- Jest pan pewien? To może być uciążliwe. Poza tym Scott pana rozpozna, jeśli go odnajdziemy.

- Chcę być blisko Jane, gdyby mnie potrzebowała, jak już tam będziemy. Tylko ja jej zostałem, poza tym nie mógłbym znieść siedzenia tu i czekania.

Nie zauważył niani, która stała w drzwiach i słuchała rozmowy, a potem wycofała się cichutko. Pochwalała jego pomysł wyjazdu do Meksyku i włączenia się w poszukiwania Jane.

- Czy mogę jechać? Otrzymacie to samo wynagrodzenie.

- Nie chodzi mi o wynagrodzenie, myślę o panu. Czy nie będzie lepiej, jeżeli zostanie pan tutaj i postara się żyć normalnie, tak jak dotychczas?

- Moje życie przestało być normalne wczoraj o siódmej wieczorem i nie będzie normalne, dopóki nie znajdę mojej córki.

- Wpadniemy po pana za godzinę. Proszę nie brać dużo bagażu.

- Do zobaczenia.

Po odłożeniu słuchawki poczuł się lepiej. Zadzwoił do Grossmana, który obiecał, że przedstawi nazajutrz całe wydarzenie w sądzie. Potem zatelefonował do Nowego Jorku do Paula Bermana, do swego zastępcy w sklepie i wreszcie do matki.

- Mamo, mam złe wieści.

Głos mu zadrżał, kiedy uprzytomnił sobie, o czym ma ją poinformować, ale musiał przecież coś powiedzieć rodzicom. Święto Dziękczynienia i tak diabli wzięli, a może nawet i Boże Narodzenie, i Nowy Rok... może całe życie...

- Małemu coś się stało?

Serce przestało jej bić.

- Nie, chodzi o Jane.

Zaczerpnął powietrza i wyrzucił z siebie:

- Nie mam czasu, żeby ci to wszystko teraz wyjaśniać. Pojawił się były mąż Liz. To skończony skurwysyn. Ostatnie dziesięć lat spędził głównie w różnych więzieniach. W każdym razie próbował mnie szantażować, a ja nie chciałem mu zapłacić, więc porwał Jane i trzyma ją, żądając pół miliona dolarów okupu.

- O mój Boże! - jęknęła, jakby miała za chwilę umrzeć. - O Boże... Bernie... - Nie mogła wprost uwierzyć. - Któż mógłby zrobić coś takiego? Cóż to za szaleniec? Czy nic jej się nie stało? Wiesz coś?

- Myślę, że nie. Policja nie bardzo chce się w to mieszać. Przez to, że jest jej naturalnym ojcem, nie traktują tego jak porwanie, tylko jak kradzież dziecka, co nie jest wielką sprawą, więc nie są tym specjalnie przejęci.

- Och, Bernie... - zaczęła płakać.

- Przestań, mamo, proszę. Nie zniosę tego. Dzwonię, bo wyjeżdżam dziś wieczorem do Meksyku i postaram się ją odnaleźć z dwójką prywatnych detektywów. Podejrzewają, że jest właśnie tam... ze święta Dziękczynienia nici.

- Mniejsza o Święto Dziękczynienia. Najważniejsze, żebyś ją znalazł. O mój Boże...

Po raz pierwszy w życiu Ruth zaczęła się bać, że za chwilę naprawdę dostanie ataku serca, a Lou był właśnie na jakimś sympozjum lekarskim i nie mogła sobie nawet

przypomnieć, gdzie.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mógł. Detektyw sądzi, że znajdziemy ją w ciągu dwóch tygodni.

Słowa, które wydawały się Berniemu pocieszające, matce jawiły się jako zapowiedź jakiegoś koszmaru. Znowu zaczęła szlochać w słuchawkę.

- Mój Boże, Bernie...

- Muszę już jechać, mam. Kocham cię.

Poszedł spakować małą torbę podróżną. Włożył koszulę, ciepły sweter narciarski, dzinsy, wełnianą koszulę z kapturem i turystyczne buty. Gdy odwrócił się, by wziąć torbę, ujrzał Mary Pippin, która stała w drzwiach z Alexem na ręku.

Powiedział jej, co zdecydował, i obiecał dzwonić tak często, jak tylko będzie to możliwe. Prosił, by uważała na dziecko. Po tym, co stało się z Jane, zaczął nagle zamartwiać się o wszystkich. Niania uspokoiła go, że wszystko będzie w porządku.

- Proszę tylko przywieźć szybko Jane.

Zabrzmiało to jak rozkaz i Bernie, całując syna na pożegnanie, uśmiechnął się do jego dzielnej opiekunki.

- Proszę na siebie uważać, panie Fine. Potrzebujemy tu pana całego i zdrowego.

Bernie uściśnął ją bez słowa i ruszył do drzwi, nie odwróciwszy się ani razu. W domu brakowało zbyt wielu drogich mu osób: Jane i Liz. Zbiegł pośpiesznie po schodkach, bo Wintersowie trąbili już na niego w starej furgonetce, prowadzonej przez jednego z ich pracowników.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Przez całą drogę na lotnisko Bernie nie przestawał myśleć o tym, jak piekielnie pogmatwało się jego życie. Jeszcze niespełna rok temu wszystko było takie normalne. Miał żonę, którą kochał, dwoje dzieci, maleńkie i to starsze. Teraz Liz nagle odeszła, Jane porwali i trzymają w charakterze zakładniczki, a on wybiera się właśnie w podróż do Meksyku z dwójką obcych ludzi, których wynajął, by odnaleźli jego córkę.

Kiedy niewidzącymi oczyma błędził za oknem, nagle wręcz poraziła go myśl, że Chandler Scott i jego współpracownicy mogą zrobić Jane jakąś krzywdę. Obrazy niebezpieczeństw mogących jej zagrażać prześladowały go przez całą noc.

Na lotnisku powiedział o swych niepokojach Gertie, która jednak stanowczo upierała się przy tym, że Scotta interesują wyłącznie pieniądze, i Bernie miał nadzieję, że uda się jej dowieść swych racji.

Z lotniska zadzwonił jeszcze do Grossmana obiecując, że będzie go informować o postępach w poszukiwaniach.

To była długa noc. W San Diego wylądowali o wpół do dwunastej. Bezpośrednio z samolotu przesiedli się do dużego samochodu terenowego, który Wintersowie zamówili jeszcze w San Francisco. Nie chcieli tracić czasu na zatrzymywanie się w hotelu i niebawem przekroczyli granicę w Tijuana. Potem przemknęli przez Rosarito i Descanso, by w godzinę później być w Ensenadzie. Wintersowie przeczuwali, że Scott pojechał właśnie w tym kierunku. I faktycznie, za sprawą zaledwie pięćdziesięciodolarowego banknotu wartownika na przejściu granicznym w Tijuanie bez trudu zdołał sobie ich przypomnieć.

Choć minęła już pierwsza w nocy, wszystkie bary były otwarte. Podczas godzinnego pobytu w Ensenadzie odwiedzili ich z tuzin. Rozdzielili między siebie listę lokali, w każdym zamawiali piwo, potem pokazywali zdjęcie Scotta. Tym razem poszczęściło się Gertie trafiła na barmana, który nawet przypomniał sobie Jane, na jego oko bojącej się pary, z którą podróżowała. Dziewczyna Scotta pytała go o prom do Guaymas w Cabo Haro.

Gertie przybiegła z tą informacją do samochodu i wyruszyli śladem, na który naprowadził ich barman, czyli na południe przez San Vicente, San Telmo, Rosario, po czym przecięli Półwysep Kalifornijski i skierowali się na wschód do El Marmol. Było to prawie dwieście mil i choć mieli wóz terenowy, podróż po fatalnych drogach trwała pięć godzin. O siódmej rano w poniedziałek zatrzymali się w El Marmol, by zatankować, a o ósmej przerwali na krótko wyprawę wzdłuż wschodniego wybrzeża, żeby coś przekąsić. Do Santa Rosalia

pozostało jeszcze dwieście mil.

Był to długi, męczący dzień. Dotarli tam w końcu tuż przed trzecią, lecz musieli czekać dwie godziny na prom do Guaymas. Znowu mieli szczęście, gdyż przewoźnik, który pomagał im załadować samochód, pamiętał Scotta, kobietę oraz dziecko siedzące między nimi.

- I co o tym myślisz, Jack?

Obaj mężczyźni stali na pokładzie, odprowadzając wzrokiem uciekający brzeg. Gertie tkwiła samotnie w pewnej odległości za nimi.

- Na razie wszystko idzie dobrze, ale nie spodziewaj się, że cały czas tak będzie. Nie ma na to reguły. No, w każdym razie mieliśmy dobry początek. Może wkrótce dojdziemy do szczęśliwego końca.

Bernie chciał w to wierzyć, Jack Winters wiedział jednak, że wcale tak być nie musi.

Z Santa Rosalia było dwieście mil do Empalme, a z Empalme do Espiritu Santo jeszcze dwieście pięćdziesiąt. Przewoźnik sądził, że Scott właśnie tam wysiadł. W Espiritu Santo dokerzy zapewniali ich, że Scott pojechał do Mazatlanu, a więc jeszcze dwieście pięćdziesiąt mil dalej. Tam ślad się urwał. We środę wiedzieli niewiele więcej niż przed wyjazdem z San Francisco. Mieli przed sobą tydzień mozolnych poszukiwań, obejmujących niemal każdy bar, restaurację, sklep i hotel w Mazatlanie, potem dalszą podróż do Guadalajary.

Odległość z Mazatlanu do Guadalajary wynosiła zaledwie trzysta dwadzieścia cztery mile i tropienie tam Scotta zajęło im osiem wypełnionych pracą dni. Dowiedzieli się, że w Guadalajarze mieszkał w małym, położonym przy bocznej ulicy hoteliku Rosalba i niewiele ponadto.

Jack przeczuwał, że powędrowali dalej w głąb lądu, może do jednego z miasteczek na drodze do Aguascalientes. Wędrówka w tym kierunku zajęła im kolejne dwa dni. Był już piątek, czas, by Bernie wracał do domu. Za dwa dni powinien być w San Francisco i czekać na telefon od Scotta.

- Co teraz zrobimy?

Bez końca omawiali plan, zgodnie z którym gdyby nie zdołali tak szybko odnaleźć Jane, Bernie miał odlecieć samolotem z Guadalajary do San Francisco, aby odebrać telefon od Scotta, oni natomiast mieli zostać w Meksyku i czekać na wiadomość od niego. Codziennie dzwonili do Grossmana, a Bernie do niani i Alexandra.

W domu wszystko było w porządku i choć Bernie ogromnie tęsknił za synem, do piątku jego myśli zaprzętała wyłącznie Jane i ten łotr, który trzymał ją jako zakładniczkę.

- Sądę, że będzie lepiej, jeżeli wyjedziesz jutro.

Winters doszedł do tego wniosku, gdy Bernie rozmawiał przez telefon. Obaj popijali w hotelu cerwezę.

- Powinieneś mu powiedzieć, że masz pieniądze - zmrużył oczy, obmyślając taktykę.

Bernie nie był tym jednak zachwycony.

- Pięćset tysięcy dolarów? A co zrobię, jak będę miał mu je wręczyć? Powiem, że to był tylko taki żart?

- Umów się na spotkanie, a resztą już my się potem zajmiemy. Jeżeli zechce spotkać się gdzieś tutaj, będzie to dla nas korzystne. Wyjaśnisz, że podróż zajmie ci dzień lub dwa, a w tym czasie, przy odrobinie szczęścia, Scott już będzie nasz.

- Nie sądzisz, że zdążyli już wrócić do Stanów?

- Nie ma takiej możliwości. - Tego Winters był pewny. - Jeżeli Scott ma trochę rozumu, to na pewno bardzo boi się glin. Za dziecko niewiele mu zrobią, ale z jego przeszłością sama kradzież samochodu na zwolnieniu warunkowym zaprowadzi go wprost do paki.

- Zabawne, nie? - popatrzył na niego zimno Bernie. - Kradnie mi córkę, zastrasza ją, co może wywołać u niej Bóg wie jakie zaburzenia emocjonalne do końca życia, a policję obchodzi jedynie stary gruchot. Bardzo miły system, prawda? Wystarczy, żeby stać się komunistą. Za to, co zrobił, chciałbym widzieć tego sukinsyna na stryczku.

- Nie zobaczysz.

Winters podchodził do sprawy z filozoficznym spokojem. Zetknął się z mnóstwem takich i jeszcze gorszych spraw. I wystarczająco dużo wiedział, by wyrzec się posiadania własnych dzieci, z czym zgadzała się jego żona. Nie trzymali nawet żadnego zwierzęcia po tym, jak ktoś, kogo wsadzili do aresztu, ukradł ich psiaka, otrul i rzucił im pod drzwi.

Następnego dnia znowu niczego się nie dowiedzieli i w sobotę wieczorem Bernie odjechał do San Francisco. Jeszcze tego samego wieczoru przed dziewiątą znalazł się w mieście i pognął do domu, pragnąc jak najszybciej zobaczyć syna. Teraz został mu jedynie on. Nie tylko Liz odeszła, ale również Jane.

Do obłądu doprowadzała go niepewność, czy usłyszy jeszcze kiedyś jej głos rozbrzmiewający w holu, kiedy biegła do niego wołając: „Cześć, tatusiu”.

Nie był w stanie o tym myśleć. Zostawił torbę w pokoju niani, przeszedł w milczeniu do salonu i ukrywając twarz w dłoniach, zapłakał cicho. Strata tych dwu istot, na dodatek Jane w taki sposób, to było stanowczo za dużo jak na jednego Berniego Fine'a. Miał uczucie, że zawiódł Liz, i to w sprawie, która była dla niej akurat najważniejsza.

- Proszę pana?

Niania dostrzegła wyraz twarzy Bernieego, zostawiła śpiącego w łóżeczku Alexandra i postanowiła odszukać jego ojca. Weszła cichutko do salonu. Zdawała sobie sprawę, jakie te dwa tygodnie musiały być dla niego okropne... a właściwie całe czternaście miesięcy... To był taki porządny człowiek! Mary Pippin bardzo go żałowała. Jej samej jedynie wiara w Boga dawała nadzieję, że odnajdą Jane i sprowadzą z powrotem do domu. Stojąc w drzwiach, starała się go o tym przekonać, ale z początku nie odpowiadał.

- Jane wróci do domu. Bóg da nam mądrość, która pozwoli ją odnaleźć.

Bernie myślał jednak o głośnym przed kilkoma laty porwaniu dziecka Lindbergów i o tragedii, jaką przeżyli.

- A co będzie, jeżeli nigdy jej nie znajdziemy?

Mówił jak dziecko, które wie, że wszystko przepadło, lecz niania nawet nie chciała tego słuchać. Bernie powoli podniósł głowę i popatrzył na nią. Stała w smudze światła padającego z otwartych drzwi.

- Nianiu, ja tego nie zniosę.

- Bóg da, że nie będzie pan musiał.

Podeszła, poklepała go po ramieniu i zapaliła światło. W kilka minut później przyniosła mu kubek parującej herbaty i kanapkę.

- Musi się pan dziś wcześniej położyć spać. Ranek przyniesie pogodniejsze myśli.

O czym tu jednak myśleć? Jak udawać, że ma pół miliona dolarów? Był śmiertelnie przerażony i prawie wcale nie spał tej nocy. Miotał się, przewracał z boku na bok i rozmyślał.

Rano odwiedził go Bili Grossman. Bernie w kółko opowiadał mu o tym, gdzie byli, co znaleźli i jak trop urwał się w Guadalajarze. Tego ranka zadzwonili Wintersowie z wiadomością, że nie mają nic nowego, może z wyjątkiem pomysłu Gertie.

- Gertie sądzi, że powinniśmy spróbować w Puerto Vallarta.

Rozmawiali już o tym wcześniej, lecz doszli do wniosku, że Scott za bardzo rzucałby się tam w oczy, więc pewnie wolał udać się w głąb lądu.

- Może ma rację. Może Scott jest na tyle pewny siebie, że zdecydował się na coś takiego. Wiemy, że lubi wygodne życie. Może przymierza się do jakiegoś jachtu.

Bernie nie był co do tego przekonany.

- Spróbujcie.

Przez cały dzień nie ruszał się z domu, na wypadek gdyby Scott dzwonił wcześniej, niż obiecał. Bał się, że może przegapić jego telefon.

Grossman dotrzymywał mu towarzystwa do późnego popołudnia. Rano przekazał

Berniemu oświadczenie sędziego, iż „ubolewa” z powodu „nieszczęsnego orzeczenia” w przypadku Scotta.

- „Ubolewa”? - krzyknął Bernie. - Ubolewa? Czy oni zdurnieli do reszty? Moje dziecko z powodu ich głupoty jest teraz Bóg wie gdzie, a oni po prostu „ubolewają”! Jakie to wzruszające.

Grossman wiedział, jak bardzo Bernie jest wytracony z równowagi, w końcu miał ku temu prawo. Ani słowem nie wspomniał więc, że wyznaczona do tej sprawy kobieta z opieki społecznej dowodziła, iż stało się tak dlatego, że panu Scottowi bardzo zależy, by nadrobić stracony czas i lepiej poznać córkę. Istniało duże ryzyko, że Bernie, dowiedziawszy się o tym, pójdzie do ratusza i ją ukatrupi. Może nie dosłownie, ale czort wie, co może zrobić.

Gdy o piątej zadzwonił telefon, Bernie miał nerwy w strzępach. Pewny, że to Scott, zanim podniósł słuchawkę, wziął głęboki oddech.

- Tak?

Nie był to Scott, tylko Winters.

- Mam coś dla ciebie. Czy już dzwonił?

Zaczynało to przypominać zabawę w policjantów i złodziei z tą różnicą, że jemu skradziono serce... skradziono mu dziecko...

- Nie, ciągle czekam. Co się stało?

- Jeszcze nie mam pewności, ale chyba znaleźliśmy go. Gertie miała rację. Cały czas siedział gdzieś w Puerto Vallarta.

- Czy Jane jest z nim? O Boże... Boże, proszę... nie pozwólcie jej zabić...

Berniemu coraz częściej przychodzili na myśl rodzice, którzy przeszli to samo co on i już nigdy nie zobaczyli swoich dzieci. Liczby były straszne, mówiły o stu tysiącach rocznie.

- Nie jestem pewien. Wiele czasu spędza w miejscu zwanym Carlos o'Brien's. Tak jak wszyscy w Vallarcie. Był to najpopularniejszy bar w mieście i Scott popełnił nieostrożność, że tam chodził. Nikt jednak nie przypominał sobie ani dziecka, ani kobiety, bo najprawdopodobniej zostawiał je w hotelu. Jak zadzwoni, postaraj się coś z niego wyciągnąć. Może będziesz mógł przez chwilę z nim pogadać... rozegraj to po przyjacielsku.

Bernie czuł, jak pocałował mu się dłoń.

- Spróbuję.

- I umów się z nim. Udawaj, że masz pieniądze.

- Dobra.

Gdy odkładał słuchawkę i wyjaśniał wszystko Grossmanowi, był jednym kłębkim nerwów. Nie minęło pięć minut, a telefon zadzwonił ponownie. Tym razem telefonował

Scott. Było to bardzo kiepskie połączenie międzymiastowe.

- Jak leci, przyjacielu?

Bernie usłyszał głos człowieka zadowolonego i rozluźnionego. Miał ochotę dopaść go i chwycić za gardło.

- Nieźle, mam dla ciebie dobre wiadomości.

Przekrzykując zakłócenia starał się sprawiać wrażenie odprężonego, opanowanego i beztraskiego.

- Jakie wiadomości?

- Wiadomości warte pół miliona dolarów. Jak się ma Jane?

- To rzeczywiście wspaniałe nowiny!

Scott wydawał się uszczęśliwiony, ale nie tak bardzo, jak Bernie się spodziewał.

- Pytałem, jak ma się Jane.

Ręka drżała mu na słuchawce. Czekał, a Grossman wpatrywał się w niego.

- Jane ma się dobrze, ale mam dla ciebie złe wieści.

Berniemu serce podeszło do gardła.

- Cena wzrosła. Takie miłe z niej stworzonko! Myślę, że jest o wiele więcej warta, niż dotychczas sądziłem.

- Naprawdę?

- Tak, myślę, że teraz jest warta milion. Czy nie mam racji?

- To nie będzie takie łatwe - nabazgrał pospiesznie Grossmanowi cenę na kartce papieru. Może Scott da im jeszcze trochę czasu?

- Znowu będę musiał sięgnąć do mojego źródła.

- Masz już te pięćset tysięcy?

- Tak - skłamał. - To może załatwmy to w ratach? Czy dostanę Jane po wpłacie pierwszej?

Scott wybuchnął śmiechem.

- To niemożliwe, bracie.

Drań! Bernie jeszcze nigdy w życiu nie odczuwał do nikogo takiej nienawiści, ale też nikt nie wyrządził mu takiej krzywdy.

- Dostaniesz ją, jak otrzymamy cały milion.

- W porządku, ale nie będzie żadnej raty.

Głos Scotta stwardniał.

- Daję ci tydzień na zebranie drugiej połowy. A jeżeli nie dostanę pieniędzy...

Był najbardziej chciwym łotrem pod słońcem. Teraz jednak dostali jeszcze tydzień na

odnalezienie Jane. Jeżeli będą mieli szczęście, znajdą ją w Puerto Vallarta.

- Chcę z nią porozmawiać - barwa jego głosu odpowiadała tonowi Scotta.

- Nie ma jej tutaj.

- Gdzie jest?

- Jest bezpieczna, nie martw się.

- Chcę, żebyś dokładnie pojął jedną rzecz. Jeżeli spadnie jej choć jeden włos z głowy, zabiję cię. Zrozumiałeś? I nie dostaniesz nawet złamanego centa, jeżeli nie zobaczę jej całej i zdrowej.

- Będzie śliczna - zaśmiał się Scott. - Psiakrew, nawet się opaliła.

- A więc byli w Puerto Vallarta!

- Gdzie ona jest?

- Mniejsza o to. Opowie ci wszystko po powrocie do domu. Zadzwoń od dziś za tydzień i radzę ci mieć pieniądze, Fine.

- Będę miał, a ty lepiej miej Jane.

- Dobiliśmy targu - zaśmiał się znowu Scott - za milion dolarów.

Z tymi słowami odłożył słuchawkę, a Bernie, ciężko opadł na krzesło. Na czole miał cienką warstwę potu, kiedy zaś spojrzął na Grossmana, prawnik dygotał.

- Miły gość - rzekł słabym głosem.

- Prawda? - powiedział twardo Bernie.

Miał wrażenie, że już nigdy nie zdoła się po tym wszystkim podźwignąć, nawet jeśli w końcu sprowadzą Jane do domu.

Pół godziny później telefon znowu zadzwonił. To był Winters; rzucił krótko:

- Mamy go.

- O Boże! Mówisz poważnie? Właśnie z nim rozmawiałem.

Ręce drżały mu na słuchawce i głos się załamywał.

- To znaczy wiemy, gdzie jest. Kelnerka z Carlos o'Brien's opiekuje się czasami Jane. Musiałem jej zapłacić tysiąc dolarów, żeby trzymała buzię na kłódkę, ale myślę, że warto. Mówi, że Jane ma się dobrze. Powiedziała dziewczynie, że Scott nie jest jej prawdziwym ojcem, ale „kiedyś nim był”, jak był jeszcze mężem mamusi. Zagroził jej, że gdyby uciekła lub próbowała wzywać pomocy, zabije ciebie i dziecko. Najwyraźniej dziewczyna Scotta ma już dosyć zajmowania się wieczorami małą, kiedy Scott idzie się zabawić, dlatego wynajęli kelnerkę.

- Chryste Panie! Jak mógł jej powiedzieć coś takiego?

- To nic niezwykłego. Na ogół porywacze mówią dzieciom, że rodzice nie żyją albo

nie chcą ich więcej oglądać. Nie wyobrażasz sobie, w co dzieciaki potrafią uwierzyć, jak są przerażone.

- Dlaczego ta kelnerka nie poszła na policję?

- Powiedziała, że nie chce być w to zamieszana. Nigdy nie wiadomo, czy dziecko mówi prawdę. A poza tym Scott jej płacił. Myśmży zapłacili więcej. Być może nawet z nim sypia, ale nie sądzę, żeby to miało dla niej jakieś znaczenie.

Kelnerka chciała się oddać Wintersowi za kolejne sto dolarów. Zażartował, że tej sumy nie doliczy do wydatków. Podobno gdy ze śmiechem powiadomił o tym Gertie, była nieco mniej ubawiona.

- Co ci powiedział przez telefon?

Winters martwił się, że po rozmowie z Berniem Scott może zrobić jakiś ruch i trudno będzie go śledzić niepostrzeżenie.

- Teraz chce już milion dolarów i dał mi tydzień na ich zgromadzenie.

- Wspaniale! To znaczy, że rozluźnił uwagę. Mam zamiar porwać dziecko dziś wieczorem. Zgadzasz się? Ta kelnerka pomoże mi za kolejne tysiąc dolców. Ma zostać z Jane i właśnie wtedy chcę ją porwać.

Serce podeszło Berniemu do gardła.

- Boże, miej ją w swojej opiece.

- Dziś nie wydostaniemy się stąd samolotem, ale piorunem przelecimy do Mazatlanu i tam rano złapiemy samolot.

Mówił ze spokojem profesjonalisty. Bernie żałował jednak, że nie może być teraz z nimi, zdawał sobie bowiem sprawę, co znów przeżyje Jane. Jack i jego żona byli dla niej kolejnymi obcymi ludźmi. Jednocześnie nie ulegało wątpliwości, że Wintersom o wiele łatwiej się poruszać bez niego, niani i dziecka.

- Przy odrobinie szczęścia będziesz miał ją jutro w domu.

- Informujcie mnie.

- Do północy powinieneś mieć od nas jakąś wiadomość.

Była to najdłuższa noc w życiu Berniego. Grossman poszedł do domu około siódmej prosząc, by go zawiadomić, jak się coś wyjaśni bez względu na godzinę. Bernie miał chęć zadzwonić również do matki, lecz po stanowił zaczekać do czasu, aż będzie mógł powiedzieć jej coś więcej.

Nie musiał czekać tak długo, jak przewidywał Winters. Parę minut po dziesiątej zapowiedziano rozmowę na koszt abonenta z Valle de Banderas w Jalisco.

- Czy przyjmuje pan? - spytała telefonistka i Bernie pospieszenie przytaknął.

Niania poszła spać, Bernie był sam w kuchni. Właśnie szykował dzbanek świeżej kawy.

- Jack? Mamy ją, jest w dobrym stanie, śpi w samochodzie z Gertie. Jest wykończona. Przykro mi, ale piekielnie ją wystraszyliśmy. Dziewczyna nas wpuściła, a myśmy Jane po prostu wynieśli. Kelnerka ma powiedzieć Scottowi, że Jane zabrały gliny. Przez jakiś czas może się bać odezwać, nawet do ciebie. W każdym razie mamy rezerwację na samolot z Mazatlanu o dziewiątej rano. Jak tam dotrzemy, zatrzymamy się w hotelu Holiday Inn. Teraz już nikt jej nie tknie.

Bernie wiedział, że Wintersowie są uzbrojeni. Trzymał słuchawkę, łzy płynęły mu po policzkach, a człowiekowi, który uratował Jane, potrafił jedynie powiedzieć „dziękuję”. Odłożył słuchawkę, usiadł przy kuchennym stole i wtuliwszy głowę w ramiona, płakał z ulgą, a żal i rozpacz ciągle jeszcze ścisnęły mu gardło. Jego córka wracała do domu... Gdybyż Liz mogła z nią wrócić!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Samolot wylądował o jedenastej czasu lokalnego. Bernie czekał na lotnisku z nianią, Grossmanem i Alexem. Jane wysiadła z samolotu trzymając Gertie za rękę. Bernie rzucił się naprzód, porwał ją z ziemi i z głośnym szlochem mocno przytulił do piersi. Tym razem i niania nie potrafiła zachować zimnej krwi. Gdy ścisnęła dziewczynkę, z jej niebieskich oczu ciekły strumieniem łzy. Nawet Grossman ją pocałował.

- Och, kochanie... tak mi przykro... - mówił z trudem Bernie, a Jane nie przestawała płakać i śmiać się zarazem, gdy obsypywała pocałunkami braciszka i nianię.

- Oni mi powiedzieli, że jeżeli coś pisnę do kogoś albo będę chciała uciec... - znowu wybuchnęła płaczem.

Nie mogła tego wykrztusić, lecz Bernie i tak już wiedział o wszystkim od Wintersów.

- Powiedzieli, że cały czas ktoś za tobą chodzi.

- To kłamstwo, kochanie. Tak jak wszystko, co ci naopowiadali.

- To okropny człowiek. Nie wiem, dlaczego mamusia za niego kiedyś wyszła. I wcale nie jest przystojny. Jest brzydki, a ta jego koleżanka była wstrętna...

Gertie powiedziała, że szczerą, spokojną rozmową, jaką odbyła z Jane, potwierdziła jej przewidywania: dziewczynkę zostawiali w spokoju. Interesowali się wyłącznie pieniędzmi i na pewno szaleli z wściekłości, gdy po powrocie z Carlos O'Brien's przekonali się o jej zniknięciu.

Kiedy weszli do domu, Jane rozejrzała się po mieszkaniu takim wzrokiem, jakby dostała się do nieba. Minęło dokładnie szesnaście dni, odkąd opuściła dom i zaczął się ten koszmar. Szesnaście dni i czterdzieści tysięcy dolarów wydanych na jej odnalezienie. Rodzice Berniego sprzedali akcje, by dołożyć do honorarium Wintersów.

Zadzwonili teraz do nich, aby Jane mogła sama porozmawiać z babcią Ruth, lecz matka Berniego potrafiła jedynie płakać w słuchawkę i w końcu musiała ją przekazać Lou. Była pewna, że małą zabiją. Ona również pamiętała porwanie dziecka Lindbergów, chociaż kiedy się to stało, była młodą dziewczyną.

Tego dnia Bernie godzinami trzymał Jane w ramionach. Dali znać na policję, że się znalazła, nikt jednak nie sprawiał wrażenia specjalnie poruszonego tym faktem. Zawiadomili również sąd, który raczył wyrazić zadowolenie z takiego zakończenia sprawy. Bernie czuł żal do wszystkich z wyjątkiem Jacka Wintersa.

Jane i Alexandrowi zabronił teraz opuszczać mieszkanie bez uzbrojonego strażnika,

chciał także, aby zawsze ktoś towarzyszył dziewczynce w domu pod jego nieobecność. Potem zadzwonił do Paula Bermana, informując, że jutro rano stawi się w sklepie. Wziął tylko dwa tygodnie wolnego, a miał wrażenie, że trwało to całe wieki.

- Czy Jane ma się dobrze?

Berman nadal był przerażony tym, co się stało. Ci biedni ludzie przeżywali jeden koszmar za drugim. Najpierw śmierć Liz, a teraz to. Było mu okropnie żal Berniego i postanowił znaleźć kogoś, kto mógłby go zastąpić w Kalifornii.

W końcu zaczął sobie zdawać sprawę z tego, że nie jest wobec niego fair, trzymając go tak długo w San Francisco, bo Bernie już wystarczająco dużo przeszedł. Wiedział, że znalezienie kogoś na jego miejsce może potrwać miesiące, a nawet rok. Ale przynajmniej rozpoczęto poszukiwania.

- Jane nic się nie stało.

- Modliliśmy się o to wszyscy, Bernie.

- Dziękuję, Paul.

Odłożył słuchawkę bezgranicznie szczęśliwy, że ją odnaleźli. Myślał o ludziach, którym nigdy nie było dane ujrzeć swe porwane dzieci, o ojcach i matkach do końca swoich dni zadręczających się pytaniem, co się stało z ich pociechami: o nieszczęśnikach pielęgnujących fotografie pięcioletnich malców, którzy mogli mieć teraz dwadzieścia albo trzydzieści lat i nawet nie wiedzieć, że ich rodzice żyją, po kłamstwach, jakie naopowiadali im kidnaperzy. Dla Berniego kradzież dziecka była niemal równie okropna jak morderstwo.

Tego samego popołudnia podczas obiadu zadzwonił telefon. Niania przygotowała ulubioną potrawę Jane befsztyki i szparagi w sosie holenderskim, na deser upiekła wielkie ciasto czekoladowe, na które łakomie spoglądał Alexander. Bernie podniósł słuchawkę.

Przez całe popołudnie dzwonili życzliwi ludzie, ze wzruszeniem wyrażający swą radość na wieść o tym, że skończył się ich koszmar. Telefonowała nawet Trący z Filadelfii. Już wcześniej się z nimi łączyła i niania powiedziała jej wówczas, co się stało.

- Halo?

Bernie uśmiechał się do Jane. Przez cały dzień nie spuszczała z siebie oka, a przed obiadem mała nawet zdrzemnęła się chwilę na jego kolanach.

Przez chwilę na linii panowała cisza, wreszcie usłyszał znajomy głos. Nie mógł wprost uwierzyć własnym uszom, włączył jednak magnetofon, który dostał poprzedniego dnia od Grossmana. Nagrał już na nim żądanie milionowego okupu.

- A więc masz swoje dziecko z powrotem, co? - Scott nie wyglądał na zadowolonego.

Bernie słuchał, patrząc na urządzenie nagrywające.

- Domyślam się, że gliny pomogły ci ją porwać?

Bernie z zadowoleniem odnotował fakt, że kelnerka powiedziała Scottowi to, co uzgodnili.

- Nie mam ci wiele do powiedzenia.

- Jestem pewien, że wymyślisz coś w sądzie.

Oczywiście blefował. Bernie wiedział, że Scott nie odważy się podać go do sądu.

- Nie martwię się tym za bardzo, Scott, a jeżeli kiedykolwiek choćby dotkniesz Jane, każę ci aresztować. Właściwie już mógłbym to zrobić.

- Na jakiej podstawie? Kradzież dziecka to tylko wykroczenie. Wsadzą mnie na dobę do pudła, jeżeli na tyle się zdobędą.

- Nie sądzę, żeby porwanie dziecka w zamian za okup było zbyt pochwalane w tutejszych sądach.

- Postaraj się to udowodnić, przyjacielu. Nigdy nie dostałeś ode mnie niczego na piśmie, a jeżeli byłeś na tyle głupi, by nagrywać nasze rozmowy, to w niczym ci to nie pomoże. Nagrania nie są dopuszczalne w sądzie. - Scott najwyraźniej wiedział, co robi. - Jeszcze się mnie nie pozbyłeś, Fine. Jest wiele sposobów na to, by złupić z kogoś skórę.

W tym momencie Bernie odłożył słuchawkę i zatrzymał magnetofon. Po obiedzie zadzwonił do Grossmana i Bili potwierdził słowa Scotta: nagrania nie są dowodem w sądzie.

- To po co, do cholery, zwracałeś mi tym głowę?

Prawo najwyraźniej nie było w tym wypadku po jego stronie. Od samego początku wymiar sprawiedliwości w niczym mu nie pomógł.

- Nawet jeżeli taśmy nie mogą być użyte jako dowód, to ludzie z sądu rodzinnego i tak mogą ich wysłuchać i dowiedzieć się, w jak trudnej byłeś sytuacji.

Kiedy Bili dał im nagrania, odnieśli się do nich mniej niż zyczliwie i oświadczyli, że Scott najpewniej żartował albo działał pod wpływem silnego stresu, wywołanego tak długą rozłąką z córką oraz wiadomością, że jego była żona umarła na raka.

- Powariowali, czy tylko udają głupków? - Bernie wytrzeszczył na niego oczy ze zdumieniem. - Ten facet to kryminalista, porwał ją w zamian za milion dolarów okupu, trzymał jako zakładniczkę przez szesnaście dni w Meksyku, a oni twierdzą, że tylko „żartował”?

Bernie nie mógł w to uwierzyć.

- Najpierw, kiedy Scott ją porwał, policję gównem to obchodziło, a teraz sąd nawet nie mrugnął okiem na żądanie okupu!

Najgorsze miało miejsce dopiero w tydzień później, kiedy otrzymali zawiadomienie z

sądu, że Scott domaga się rozprawy o przyznanie mu prawa opieki.

- Rozprawa o przyznanie prawa opieki? - Bernie o mało nie grzmotnął telefonem o ścianę. - Opieki nad kim?

- Jego córką. Twierdzi w sądzie, jakoby jedynym powodem, dla którego zabrał Jane, było to, że ją rozpaczliwie kocha i pragnie mieć przy sobie, bo tam jest jej miejsce.

- Gdzie? W pudle? Czy zabierają dzieci do San Ouentin? Przecież to jest miejsce pobytu tego sukinsyna.

Bernie wpadł w swym biurze w szal.

Jane i Alexander byli właśnie w tej chwili w parku z nianią i czarnoskórym ochroniarzem, który dziesięć lat wcześniej grał w ataku drużyny baseballowej. Miał sześć stóp i pięć cali wzrostu i ważył dwieście dziewięćdziesiąt funtów. Bernie prosił Boga, by Scott go tylko sprowokował.

- Uspokój się, przecież jeszcze nie przyznano mu opieki. Na razie tylko o nią prosi.

- Dlaczego? Dlaczego on mi to robi?

- Chcesz wiedzieć, dlaczego?

Ta sprawa była najgorsza ze wszystkich, jakie Grossman kiedykolwiek prowadził. Zaczynał już nie mniej niż Bernie nienawidzić Scotta, lecz to niczego nie załatwiało. Należało podejść do sprawy racjonalnie.

- Po prostu dlatego, że jeżeli, uchowaj Boże, otrzyma prawo opieki nad Jane czy choćby nawet zgodę na wizyty, ma zamiar ci ją odprzedać. Skoro nie może tego zrobić porywając ją, zrobi to legalnie. Prawo jest po jego stronie, on jest jej naturalnym ojcem, ale ty masz pieniądze i właśnie tego chce.

- A więc dajmy mu je. Po co bawić się w chodzenie po sądach i jakieś gierki? Chce pieniędzy, to mu je zaproponujemy.

Berniemu takie rozwiązanie wydawało się najprostsze. Scott nie musi się nad nim znęcać, by dopiąć swego.

- To nie jest takie proste. Proponowanie mu pieniędzy jest z twojej strony niezgodne z prawem.

- Aha, rozumiem - rzucił z wściekłością Bernie. - Wszystko jest w porządku, jeżeli on porywa dziecko w zamian za milion dolarów okupu, ale jak ja chcę przekupić tego skurwysyna, to nie jest w porządku. Wielki Boże!

Trzasnął pięścią w biurko, aż zrzucił na podłogę telefon. Nadal trzymał słuchawkę, aparat zaś dyndał w powietrzu.

- Co się stało temu krajowi??!

- Opanuj się, Bernie!

Grossman bezskutecznie próbował go uspokoić.

- Nie mów mi, żebym się uspokoił. Scott chce otrzymać prawo do opieki nad moim dzieckiem, a ty chcesz, żebym się nie denerwował? Trzy tygodnie temu ją porwał. Jak ten idiota gonilem po całym Meksyku w strachu, że Jane może już nie żyje, i teraz powinienem się uspokoić? Czy tobie też, do cholery, padło na mózg?

Stał i na całe gardło wrzeszczał w telefon, potem rzucił słuchawkę na widełki, usiadł przy biurku i wybuchnął płaczem. To wszystko, co musieli teraz przeżywać, było przez nią, przez Liz. Gdyby nie umarła, nic takiego by się nie zdarzyło. Teraz, gdy sobie to uprzytomnił, już nie płakał, a szlochał. Bez Liz czuł się tak bardzo samotny, że wszystko sprawiało mu ból, nawet oddychanie. Również chwile spędzane z dziećmi nie znaczyły dla niego teraz tyle co kiedyś.

Nic nie było takie jak dawniej... nic... Ani dom, ani dzieci, ani jedzenie, które spożywali... Pranie też leżało inaczej poskładane... Wszystko stało się obce i Bernie nic na to nie mógł poradzić. W całym swym życiu nie czuł się jeszcze tak osamotniony. Siedział przy biurku i płakał, że Liz już nigdy nie wróci. Nigdy!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Nowa rozprawa sądowa została wyznaczona na dwudziestego pierwszego grudnia. Najwyraźniej sprawa skradzionego auta została oddalona, nie było więc wykroczenia podczas zwolnienia warunkowego. Właściciele samochodu nie chcieli wnosić oskarżenia, gdyż jak twierdził Winters byli zamieszani w narkotyki. W tej sytuacji Chandler Scott bez problemów wrócił do kraju.

Scott wszedł ze swym adwokatem na salę sądową poważny i opanowany. Bernie, w ciemnoniebieskim garniturze i białej koszuli, wkroczył do sądu z Billem Grossmanem. Czarnoskóry strażnik został w domu z nianią i dziećmi. Tego ranka Bernie na ich widok zaśmiał się sam do siebie. Ona, taka drobnutka, jasna i bardzo brytyjska, z błyszczącymi niebieskimi oczami i w swych praktycznych butach, on natomiast taki wielki, czarny, o groźnej minie przechodzącej w zniewalający uśmiech w kolorze kości słoniowej, gdy zaczynał podrzucać w górę Alexandra lub skakać z Jane na skakance. Raz nawet podrzucił nianię, z czego i ona, i dzieci bardzo się śmiały.

Powód, dla którego go potrzebowali, był przykry, ale jego obecność okazywała się prawdziwym błogosławieństwem. Nazywał się Robert Blake i Bernie dziękował za niego Bogu.

Teraz jednak, wchodząc na salę sądową, myślał wyłącznie o Chandlerze Scotcie i o tym, jak bardzo go nienawidzi.

Mieli tego samego sędziego co poprzednio, jedyne zresztą do spraw rodzinnych. Był to siwowłosy mężczyzna o sennym wyrazie twarzy i dobrotliwym uśmiechu. Uważał chyba, że wszyscy się kochają, a jeśli nawet tak nie jest, to przy odrobinie wysiłku można ich do tego skłonić. Złajał Scotta za to, że „za bardzo się przejął przedwczesną możliwością przebywania z córką”, na co Grossman musiał chwycić Berniego za rękę i przytrzymać na krześle. Potem zwrócił się do Berniego i zaczął go przekonywać, by zechciał zrozumieć, jak silne są bodźce, które nakazują naturalnemu ojcu przebywać ze swą jedyną córką.

Tym razem Bernie nie dał się powstrzymać.

- Jakoś przez dziesięć lat nie ulegał tym silnym bodźcom, proszę wysokiego sądu. A najsilniejszym impulsem była próba wymuszenia na mnie miliona dolarów w zamian za bezpieczny powrót mojej córki, kiedy on...

Sędzia uśmiechnął się do niego pojednawczo.

- Jestem przekonany, że pan Scott tylko tak żartował, panie Fine. Proszę usiąść.

Słuchając przebiegu rozprawy, Bernie miał chęć krzyknąć.

Poprzedniego wieczoru dzwonił do matki z najnowszymi wiadomościami. Ruth była przekonana, że go szykanują, ponieważ jest Żydem. Bernie wiedział, że nie w tym rzecz. Dyskredytowało go to, że nie był naturalnym ojcem Jane, jakby to miało jakieś znaczenie. Prawo do nedorzecznych roszczeń dawał Scottowi jedynie fakt, że się przespał z matką Jane, od czego zaszła w ciążę. I na tym kończył się wkład Scotta w życie i pomyślność Jane. Bernie natomiast przez połowę jej życia był dla małej wszystkim i Grossman robił, co tylko mógł, by prawda ta wreszcie dotarła do sędziego.

- Mój klient stanowczo uważa, że pan Scott nie jest obecnie ani emocjonalnie, ani finansowo przygotowany do przyjęcia na siebie odpowiedzialności za dziecko. Może później, wysoki sędzie...

Bernie znowu pochylił się do przodu, lecz Grossman uciszył go spojrzeniem.

- Pan Scott miał wielokrotnie do czynienia z wymiarem sprawiedliwości i jak zdołaliśmy ustalić, od wielu lat nie ma stałej pracy. Obecnie mieszka przejazdem w hotelu w East Oakland.

Scott skulił się w krześle, ale na krótko.

- Czy to prawda, panie Scott? - sędzia uśmiechnął się do niego, czekając w napięciu na argumenty, które by potwierdziły, że się nie myli, uważając Scotta za wzorowego ojca.

Scott natomiast aż palił się do tego, by zadośćuczynić jego oczekiwaniom.

- Niezupełnie, wysoki sędzie. Do tej pory żyłem z majątku powierniczego, który pozostawiła mi kiedyś rodzina.

Znowu stroił się w piórka światowca. Grossman natomiast przeszedł do ataku.

- Czy może pan to udowodnić? - wtrącił.

- Oczywiście... obawiam się, że pieniądze już się rozeszły, ale zamierzam podjąć w tym tygodniu pracę w Atlas Bank.

- Z jego przeszłością? - szepnął Grossmanowi Bernie.

- Nieważne, zmusimy go, by nam to udowodnił.

- Poza tym wynająłem wczoraj mieszkanie w mieście.

Spojrzał triumfującym wzrokiem na Grossmana i Berniego, a sędzia pokiwał głową.

- Oczywiście nie mam tyle pieniędzy co pan Fine, ale mam nadzieję, że dla Jane nie będzie to miało większego znaczenia.

Sędzia znowu skinął ze zrozumieniem głową. Wyraźnie pragnął poprawić Scottowi samopoczucie.

- Dobra materialne nie są tu najważniejsze. Jestem oczywiście przekonany, że z

przyjemnością zgodzi się pan ustalić dla pana Fine'a harmonogram widzeń z Jane.

Bernie utkwiał błędny wzrok w Grossmanie i pochylając się ku niemu, szepnął:

- O czym on mówi? Co rozumie przez słowa „harmonogram widzeń” dla mnie? Czy on zwariował?

Grossman odczekał chwilę i zwrócił się do sędziego o wyjaśnienie znaczenia tych słów. Sędzia poprosił go o chwilę cierpliwości, po czym wyłożył zainteresowanym stronom co następuje:

- Nikt nie ma wątpliwości, że pan Fine kocha swą pasierbicę, nie tę sprawę jednak dziś rozpatrujemy. Jest faktem, że w wypadku nieobecności naturalnej matki miejsce dziecka jest przy naturalnym ojcu. Po śmierci pani Fine Jane musi wrócić do swego ojca. Sąd doskonale rozumie, jak bardzo jest to bolesne dla pana Fine'a, dlatego jesteśmy skłonni podjąć dyskusję, która by nam pomogła w przygotowaniu tego nowego porozumienia.

Uśmiechnął się dobrotliwie do Scotta, podczas gdy Bernie siedział roztrzęsiony na swym miejscu.

Zawiódł ją. Zawiódł Liz całkowicie. A teraz ma stracić Jane. Czuł się tak, jakby usłyszał, że mają mu uciąć rękę. Prawdę mówiąc, nawet by to wolał. Gdyby go postawiono przed takim wyborem, nie wahałby się ani chwili, jeśli w ten sposób mógłby zatrzymać dziecko, lecz nie dano mu nawet takiej szansy.

Sędzia popatrzył na obydwu ojców oraz ich adwokatów i zakończył swe przemówienie:

- Pan Scott otrzymuje prawo opieki, a pan Fine zadowalający go harmonogram wizyt. Może co dwa tygodnie? - zaproponował, a Bernie gapił się na niego w osłupieniu.

- Dziecko musi być zwrócone panu Scottowi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, w jej miejscu zamieszkania, w południe dwudziestego trzeciego grudnia. Sądzę, że ten nieszczęśliwy wypadek w Meksyku dowodzi jedynie tego, jak bardzo pan Scott nie może się doczekać, by zacząć normalne życie ze swą córką, dlatego sąd chciałby go ujrzeć w tej roli możliwie jak najszybciej.

Po raz pierwszy w swym dojrzałym życiu Bernie, usłyszawszy młotek sędziego, miał wrażenie, że zemdleje. Kiedy Grossman na niego spojrzał, jego twarz była blada jak płótno, a nieruchome spojrzenie utkwione w stół. Pokój zaczął mu wirować przed oczami i czuł się tak, jakby Liz umarła po raz drugi.

W uszach niemal słyszał jej głos: „Obiecuj mi, Bernie... przyrzeknij, że nie pozwolisz mi zbliżyć się do niej...”

- Dobrze się czujesz? - jego wygląd przeraził Grossmana.

Pochylił się nad nim i poprosił urzędnika o szklanekę wody. Bernie dostał rozmokły papierowy kubek wypełniony letnią ciecżą. Jeden łyk pomógł mu oprzytomnieć. Wstał bez słowa i wyszedł za Grossmanem z sali rozpraw.

- Czy jest jakiś ratunek? Czy mogę się odwoływać? - wyglądał na głęboko wstrząśniętego.

- Możesz prosić o ponowną rozprawę, ale i tak musisz wcześniej oddać dziecko.

Starał się mówić obojętnym tonem w nadziei, że może uda mu się uspokoić Berniego, lecz nic mu z tego nie przyszło. W oczach Berniego była nienawiść nienawiści do Scotta, sędziego, tego całego systemu i tu Grossman wcale nie dałby głowy, czy również nie do niego. I miał poważne wątpliwości, czy powinien się temu dziwić. To była parodia sprawiedliwości i obaj czuli się bezradni.

- A co będzie, jeżeli nie oddam mu jej dwudziestego trzeciego grudnia? - spytał Bernie półgłosem już poza salą rozpraw.

- Wcześniej czy później wsadzą cię do więzienia. Ale żeby to zrobić, będzie musiał przyjść z zastępcą szeryfa.

- Dobrze cedząc słowa - przez zaciśnięte zęby, patrzył na swego adwokata. - Przygotuj się lepiej na to, że będziesz musiał zapłacić kaucję, by wydostać mnie z więzienia, bo nie mam ochoty oddać mu Jane. A jak się zjawi, mam zamiar go przekupić. Chce mi sprzedać dziecko? Wspaniale. Niech tylko powie cenę. Kupuję.

- Bernie, wszystko może przybrać lepszy obrót, jeżeli zwrócisz mu Jane, a potem postarasz się z nim dogadać. Sąd może sobie wyrobić negatywną opinię...

- Niech piekło pochłonie sąd - kłął na niego Bernie. - Ciebie też niech piekło pochłonie! Żadnego z was, sukinsyny, nic nie obchodzi moje dziecko. Chcecie tylko utrzymać to swoje towarzystwo wzajemnej adoracji i nie wypaść za burtę. Tu jednak nie chodzi o wasze zasrane gierki, ale o moją córkę, a ja wiem, co jest dla niej dobre, a co nie. W tych dniach ten sukinsyn ma zamiar zabić moje dziecko, a ty przymierzasz się, by mi powiedzieć, jak bardzo jest ci przykro. Kiedy mówiłem, że zamierza ją porwać, myślałeś, że zwariowałem. I co? Miałem rację. Tym razem mówię ci, że nie oddam jej we czwartek. Jeśli ci się to nie podoba, Grossman, to możesz się wycofać z tej całej sprawy.

Grossmanowi było go strasznie żal. Sytuacja zrobiła się paskudna.

- Po prostu staram ci się wytłumaczyć, jakie jest w takich sprawach zdanie sądu.

- Sędziowie myślą dupami i obce są im jakiegokolwiek uczucia. Ten „sąd”, jak go nazywasz, to tłusty, mały starzec, który ze swojego miejsca patrzy na innych z góry i który, choć nigdy wcześniej nie prowadził spraw jako adwokat, teraz, zadufany w sobie, spędza czas

na marnowaniu ludziom życia. Wcale go nie poruszyło, że Scott porwał Jane, i podejrzewam, że nawet by nie mrugnął okiem, gdyby ją zgwałcił.

- Nie jestem tego taki pewny, Bernie.

Musiał bronić systemu, dla którego pracował i w który wierzył, lecz w tym, co powiedział Bernie, było wiele prawdy. To wszystko zrobiło się cholernie przygnębiające.

- Nie jesteś pewny Bili? A ja tak.

Bernie był wściekły. Ruszył korytarzem w kierunku windy, za nim podążył Bili. Zjechali w milczeniu na parter i kiedy już wyszli z budynku, Bernie popatrzył na Grossmana.

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że nie oddam mu Jane, kiedy przyjdzie po nią w czwartek. Blake i ja będziemy stać w drzwiach i zamierzam mu powiedzieć, żeby się odpieprzył, kiedy już go zapytam bez ogródek, jaka jest jego cena. Nie będę się z nim w to dłużej bawił. I tym razem Scott po otrzymaniu pieniędzy podpisze mi cyrograf. Nie będzie tak jak poprzednio. A jeżeli skończę w więzieniu, spodziewam się, że mnie wykupisz albo znajdziesz mi innego adwokata. Zrozumiano?

Grossman skinął głową i Bernie odszedł, nie powiedziawszy ani słowa więcej.

Tego wieczoru zadzwonił do rodziców. Matka rozplakała się przy telefonie. Już od ponad roku nie rozmawiali ze sobą pogodnie. Najpierw były spazmy i szeptane sprawozdania o chorobie Liz, a teraz całe to zamieszanie z Chandlerem Scottem.

Bernie powiedział, co zamierza zrobić i że może skończyć w więzieniu, a matka szlochała głośno, myśląc o wnuczce, której może już nigdy nie ujrzeć, i o synu, który nie wiadomo, czy nie skończy za kratkami.

Rodzice zamierzali przyjechać w najbliższy piątek, lecz Bernie uważał, że powinni zaczekać. Wszystko było zbyt niepewne po tym, jak Scott w sposób tak brutalny rozbił ich życie. Kiedy jednak odłożył słuchawkę. Mary Pippin stwierdziła, że nie ma racji.

- Niech pan pozwoli przyjechać babci. Dzieciom potrzebne jest to spotkanie, i panu także. Jej wizyta dobrze wszystkim zrobi.

- A jeżeli będę siedział w więzieniu?

Niania na myśl o tym roześmiała się, potem wzruszyła filozoficznie ramionami.

- Myślę, że po prostu sama podzielę indyka.

Bernie uwielbiał sposób, w jaki wymawiała „r”, i jej dobry humor.

Odnosiło się wrażenie, że nie ma rzeczy, której nie potrafiłaby stawić czoła powodzi, epidemii, głodowi.

Kiedy jednak tego wieczoru utulił Jane w łóżku, uświadomił sobie, jak bardzo mała jest przerażona możliwością ponownego oddania jej Scottowi.

Bernie jeszcze raz próbował wszystko wyjaśnić kobiecie z sądu opiekuńczego, lecz mu nie uwierzyła. Po rozmowie z Jane, trwającej zaledwie pięć lub dziesięć minut, stwierdziła, że dziewczynka jest tylko „onieśmielona” w towarzystwie swego naturalnego ojca. W rzeczywistości Jane bała się go śmiertelnie i tej nocy męczyły ją jeszcze koszmarniejsze sny niż dotychczas. O czwartej nad ranem spotkali się oboje z nianią w jej sypialni, gdyż krzyczała ze strachu. W końcu Bernie wziął ją do swojego łóżka i pozwolił, by spała obok niego. Dziewczynka, kurczowo ściskając małą rączką jego dłoń, usnęła w końcu ze zmartwioną twarzą.

Wyglądało na to, że tylko Alexandra omijają te wszystkie nieszczęścia, które ich spotykały, odkąd przyszedł na świat. Był szczęśliwym, pogodnym bobasem i właśnie zaczynał mówić. Tylko on potrafił rozweselić Berniego przeżywającego męki po zaginięciu Jane.

We czwartek rano Bernie jeszcze raz rozmawiał z Jackiem Wintersem.

- Z tym mieszkaniem to prawda. Wprowadził się tam kilka dni temu i mieszka z tą swoją przyjaciółką. Niejasna jest tylko sprawa jego pracy w Atlas Bank. Powiedzieli, że przyjęli go w ramach jakiegoś nowego programu, polegającego na dawaniu szansy byłym przestępcom. Nie sędzę, by wchodziła tu w grę jakaś poważna robota. Tak czy owak, jeszcze jej nie zaczął. Podejrzewam, że chodzi tu o reklamę, ci z banku chcą pokazać, jacy to są liberalni. Jeszcze go trochę sprawdzamy i przekażę ci, czegośmy się dowiedzieli.

Berniemu nie podobało się, że Scott mieszka z przyjaciółką. Był pewny, że przy pierwszej sprzyjającej okazji znowu znikną gdzieś z Jane. Blake jednak dopilnuje, żeby to się nie stało.

Bob od rana siedział w kuchni, bez marynarki, z wielką trzydziestką ósemką w olstrach umocowanych pod pachą. Alexander wskazywał go ciągle palcem i wołał „pif-paf”, na co niania marszczyła z dezaprobatą brwi. Bernie chciał jednak, żeby Bob miał broń przy sobie, i pragnął, by Scott go widział, kiedy przyjdzie tu w południe i nie dostanie Jane. Nie miał najmniejszej ochoty bawić się z nim w chowanego. „Żarty” się skończyły.

Scott, tak jak poprzednim razem, spóźniał się po Jane. Mała schowała się w swoim pokoju, a niania próbowała ją jakoś rozerwać. O pierwszej Scotta jeszcze nie było, nie zjawiał się też o drugiej.

Bili Grossman, nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia, zadzwonił do nich, lecz dalej nic nie było wiadomo.

O wpół do trzeciej Jane przysłała na palcach ze swego pokoju, ale Bernie i Bob Blake nadal czekali w salonie. Zegar tykał miarowo. Niania z Alexandrem piekła w kuchni

ciasteczka.

- Nie dał znaku życia - poinformował Bernie Grossmana, gdy ten ponownie zadzwonił.

Było to niepojęte. Przecież nie mógł zapomnieć.

- Może się upił przy lunchu. W końcu już prawie Boże Narodzenie... Może poszedł na przyjęcie w biurze?

O piątej niania zaczęła szykować obiad, a Bernie zastanawiał się, czy nie wysłać już Boba do domu, ten jednak upierał się, że zostanie, dopóki czegoś się nie dowiedzą. Nie chciał, aby Scott pojawił się w dziesięć minut po jego odejściu. Bernie się z nim zgodził i poszedł przygotować Bobowi i sobie drinki, a Jane włączyła telewizor, by sprawdzić, czy nie ma jakiejś kreskówki lub programu rozrywkowego. Wszędzie nadawano jednak tylko wiadomości. I nagle go zobaczyła. Pojawił się na ekranie. Najpierw w zwolnionym tempie, potem zatrzymano kadr. Stał z bronią w ręku w wypełnionym ludźmi holu Atlas Banku. Później film puszczono dalej: na ekranie widać było, jak wysoki, jasnowłosy przystojny mężczyzna z uśmiechniętą twarzą naciska spust roztrzaskując lampę, obok stała jakaś osoba, po czym wybuchą śmiechem.

Jane była tak przerażona, że nie mogła nawet zawołać Berniego, wskazywała tylko palcem ekran, gdy obaj mężczyźni wrócili do pokoju z drinkami w rękach. Bernie spojrzał i znieruchomiał przed telewizorem. To był Chandler Scott. W biały dzień zrobił napad na Atlas Bank.

Niezidentyfikowany początkowo uzbrojony mężczyzna wszedł dziś rano, kilka minut przed jedenastą, do Atlas Banku na skrzyżowaniu ulic Sutter i Manson. Był ze współniczką, która miała twarz zamaskowaną pończochą. Podali kasjerce kartkę, domagając się pięciuset tysięcy dolarów. Widocznie była to dla Scotta magiczna liczba. Gdy odparła, że nie dysponuje taką kwotą, kazał jej dać wszystko, co ma.

Obrazowi towarzyszył wygłaszany monotonnym głosem komentarz. Nagle Scott zaczął strzelać. Kiedy w końcu policja otoczyła bank, gdyż kasjerka nacisnęła sygnał alarmowy, napastnik i jego towarzyszka zatrzymali wszystkich jako zakładników.

Żaden z nich nie został ranny mimo, jak to określił sprawozdawca, niegroźnej pukaniny rozpoczętej przez rewolwerowca i jego towarzyszkę. Przestępca kazał im się pospieszyć mówiąc, że ma w południe spotkanie. Wiadomo było jednak, że nie uda im się wyjść z banku, chyba że się poddadzą albo zaczną strzelać do kasjerki.

Próbowali w końcu uciekać, ostrzeliwując się, i oboje zginęli, nie zdążywszy nawet dobiec do krawężnika. Wysoki blondyn był karany już wcześniej przestępca i nazywał się

Chandler Anthony Scott, alias Charlie Antonio Schiavo. Kobieta nazywała się Annę Steward.

Jane patrzyła na ekran ze zdziwieniem.

- Tatusiu, to ta pani, która pojechała z nami do Meksyku... Miała na imię Annie!

Szeroko otwarte oczy utkwiała w Scotcie i kobiecie leżących po strzelaninie twarzami do chodnika w kałuży krwi, w karetce, która zabrała ich ciała, w tłumie zakładników pierzchających z banku. A z oddali dochodziły melodie kołęd.

- Tatusiu, zabili go.

Oczy miała rozszerzone i siedziała spoglądając na Berniego, on zaś patrzył to na nią, to na Roberta Blake'a. Wszyscy byli wstrząśnięci i Bernie przez chwilę zastanawiał się, czy możliwe, żeby to był inny Chandler Scott. Wydawało się to tak nieprawdopodobne... już po wszystkim!

Wyciągnął ręce i przytulił mocno Jane, dając znak Bobowi, by wyłączył telewizor.

- Tak mi przykro, że musiałaś przez to przejść, kochanie... Ale to już za nami.

- To był taki okropny człowiek! - powiedziała smutnym głosem.

Patrzyła na Berniego rozszerzonymi oczami.

- Cieszę się, że mama o tym nie wie. Na pewno byłaby bardzo zła.

Bernie uśmiechnął się, rozczulony jej doborem słów.

- Tak, byłaby zła, ale już po wszystkim, kochanie... po wszystkim.

Stało się to tak nagle, że ciągle jeszcze nie był pewien, czy mu się nie przewidziało. Powoli docierała do niego rzeczywistość. Scott zniknął z ich życia na zawsze.

Zaraz potem zadzwonił do dziadków, prosząc, by przylecieli najbliższym samolotem. Zanim Jane złapała słuchawkę, Bernie wszystko im wyjaśnił, lecz ona i tak dorzuciła później babci opis co dramatyczniejszych szczegółów.

- I wiesz, babciu, leżał w ogromnej kałuży krwi... słowo daję... wprost na chodniku... To było naprawdę straszne.

Jane była wyraźnie odprężona. Nagle znowu stała się małą dziewczynką. Bernie powiadomił też o wszystkim Grossmana.

Niania prosiła Blake'a, by został u nich na obiedzie, lecz spieszył się do domu, do żony, gdyż byli zaproszeni na przyjęcie świąteczne. Bernie, Jane, niania i Alexander usiedli do obiadu.

Jane spojrzała na Berniego i przypomniała sobie świece, które jeszcze przed śmiercią mamy palili z dziadkiem w piątek wieczorem. Chciała zrobić to jeszcze raz, teraz, gdy znowu było na wszystko tak dużo czasu. Mieli przed sobą całe życie wspólne życie.

- Tatusiu, czy możemy jutro zapalić świece?

- Jakie świece?

Bernie pomagał jej akurat pokroić mięso. Nagle zrozumiał i poczuł wyrzuty sumienia, że nie przestrzega tradycji, w których wyrósł.

- Oczywiście, kochanie.

Potem pochylił się i pocałował córkę, niania się uśmiechnęła, a Alexander wsadził palce w puree ziemniaczane. Odnosiło się wrażenie, że wiodą normalne życie. Może któregoś dnia naprawdę tak się stanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Bernie wzdrygał się na samą myśl o ponownym przekroczeniu progu tej samej sali sądowej, lecz tym razem chodziło o coś bardzo ważnego dla nich obojga. Nawet rodzice specjalnie jeszcze raz przylecieli, by towarzyszyć im w tej ważnej chwili.

Grossman uzyskał zgodę na załatwienie formalności w kancelarii. Szli do ratusza, by zaadoptować Jane. Papiery już na nich czekały i sędzia, którego Jane widziała po raz pierwszy w życiu, uśmiechnął się do niej, a potem popatrzył na całą rodzinę, która z nią przyszła. Był oczywiście Bernie, jego rodzice i niania w swym najlepszym niebieskim mundurku z białym kołnierzykiem. Nigdy nie brała wychodnego i nigdy nie nosiła innych strojów poza nieskazitelnie wykrochmalonymi uniformami, które zamawiała w Anglii. Przeprowadziła ze sobą Alexandra w niebieskim aksamitnym garniturku. Maluch pomrukiwał z zadowoleniem, zajęty wyciąganiem z jednej z niższych półek wszystkich ksiąg sędziego i układaniem ich jedna na drugą w wysoki stos, na który się wdrapywał, by dosięgnąć następnych. Bernie podszedł, by go stamtąd zabrać a sędzia popatrzył na wszystkich poważnie i wyjaśnił, po co się zebrali.

- Rozumiem - spojrzał na Jane - że chcesz być adoptowana i pan Fine również pragnie cię adoptować.

- To mój tata - wyjaśniła spokojnie Jane.

Sędzia, wyraźnie zmieszany, zagłębił się w papierach.

Bernie wolałby, żeby adopcję załatwił ktoś inny, ponieważ jeszcze za bardzo ten człowiek kojarzył mu się z porażką, jaką poniósł w grudniu, kiedy to sąd prawo do opieki nad małą przyznał Scottowi. Teraz jednak nikt o tym nie wspomniał.

- No, tak... - zobaczmy.

Przejrzał papiery adopcyjne i zwrócił się do Berniego, by je podpisał, a potem do Grossmana, by uczynił to samo jako świadek. Bernie poprosił również rodziców, by złożyli swe podpisy w charakterze świadków.

- Czy ja również mogę podpisać? - spytała Jane, nie chcąc być gorszą od innych uczestników tego wydarzenia.

Sędzia zawahał się: żadne dziecko jeszcze go o to nie prosiło.

- Nie ma potrzeby, żebyś cokolwiek podpisywała... hmm.. uch... Jane... ale myślę, że też możesz złożyć swój podpis, jeżeli masz ochotę.

Jane uśmiechnęła się do Berniego i znowu do sędziego.

- Jeżeli mogę, to bardzo bym chciała to zrobić.

Sędzia kiwnął głową i podał jej jeden z dokumentów. Popatrzyła na niego poważnie i napisała swoje imię.

Potem sędzia ogarnął wszystkich spojrzeniem.

- Niniejszym oświadczam, na mocy prawa nadanego mi przez władze stanu Kalifornia, że Jane Elizabeth Fine jest teraz prawowitą córką Bernarda Fine'a, zaadoptowaną przez niego dwudziestego ósmego stycznia.

Uderzył małym młoteczką, który leżał na biurku, potem wstał, uśmiechnął się do wszystkich i jakby nigdy nie wyrządził Berniemu żadnej krzywdy, uściśnął mu rękę. Bernie zaś porwał Jane na rękę, tak jak robił, kiedy była o wiele mniejsza, ucałował ją i postawił z powrotem na podłodze.

- Kocham cię, tatusiu - szepnęła.

- Ja też cię kocham - uśmiechnął się do niej, pragnąc, by Liz mogła być tutaj z nimi. Żałował także, że nie zrobił tego już dawno, co zaoszczędziłoby im wszystkim wielu cierpień, bo Chandler Scott nie miałby żadnego punktu zaczepienia.

Za późno jednak było się nad tym zastanawiać. Mieli już to wszystko za sobą i zaczynało się dla nich nowe życie. Teraz Jane była naprawdę jego córką.

Kiedy babcia Ruth, zalewając się łzami, całowała wnuczkę, dziadek uściśnął rękę Berniemu.

- Gratuluję, synu.

Nastrój zapanował zgoła weselny. Wszyscy z wyjątkiem niani i Alexandra poszli na lunch do Trader Vic's. Gdy byli zajęci wybieraniem dań, Bernie z uśmiechem wsunął swą dłoń w rączkę Jane i bez słowa włożył jej na palec małej złoty pierścionek. Była to delikatnie spleciona obrączka z jedną perłą. Jane spojrzała najpierw na pierścionek szeroko otwartymi oczami, potem na Berniego.

- Jaki piękny, tatusiu.

Czuła się tak, jakby byli zaręczeni. Teraz miała pewność, że nikt nigdy jej już od niego nie zabierze. Nikt i nigdy więcej.

- To ty jesteś piękna, kochanie. I jesteś bardzo, bardzo dzielną dziewczynką.

Oboje przypomnieli sobie straszne dni w Meksyku, lecz to była przeszłość. Patrząc na siebie, pomyśleli o Liz, i Bernie uśmiechnął się do córki, czując całym sercem, że Jane Elizabeth Fine jest teraz naprawdę jego dzieckiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Po raz pierwszy od dwóch lat Bernie znowu zajął się importem. Podróż bez Liz do Paryża, Rzymu i Mediolanu sprawiła mu ogromny ból. Pamiętał, jak po raz pierwszy zabrał żonę do Europy i jak bardzo ekscytowały ją wówczas zakupy nowych strojów, wyprawy do muzeów, lunche u Fouqeta i obiady u Lipa i Maxima. Teraz wszystko wydawało się inne.

Jednakże była to w końcu jego działka, toteż szybko poczuł się znowu w swoim żywiole. Miał wrażenie, że bardzo długo pozostawał na bocznym torze. Teraz, po obejrzeniu nowej konfekcji i rozmowach z ulubionymi sławnymi projektantami, czuł, że wraca do życia.

Zorientowawszy się, co będzie w tym roku najodpowiedniejsze dla Wolffa, w drodze powrotnej zatrzymał się w Nowym Jorku i w Le Veau d'or zjadł z Paulem Bermanem spokojny lunch, podczas którego przedyskutowali rodzące się w jego głowie plany.

Berman podziwiał talenty organizatorskie Berniego i cieszył się perspektywą jego powrotu do Nowego Jorku. Wprawdzie nie trafił się jeszcze nikt, kto mógłby poprowadzić za niego sklep w San Francisco, lecz Paul zakładał, że do końca roku powinni się z tą sprawą uporać.

- Jak to pasuje do twoich planów Bernardzie?

- Myślę, że będzie dobrze.

Teraz nie zależało mu już na tym tak bardzo. Sprzedał właśnie swoje stare mieszkanie, gdyż i tak byłoby teraz dla niego za małe, a lokator, który mieszkał w nim od lat, chciał je kupić.

- Zanim wrócimy, będę musiał pomyśleć o szkole dla Jane, ale mam jeszcze na to czas.

Już się nie spieszył. Nie miał po co gonić do domu, zabierał ze sobą tylko nianię i dzieci.

- Dam ci znać, jak tylko będziemy mieć kogoś na oku.

Znalezienie odpowiedniej osoby na to stanowisko nie było takie proste. Do tej pory Berman rozmawiał z dwiema kobietami i jednym mężczyzną, lecz żadne z nich nie było wystarczająco rzutkie: brakowało im doświadczenia Berniego, a także jego wyrafinowanego smaku, Berman zaś nie chciał, by ich filia w San Francisco stała się nieciekawym, prowincjonalnym sklepikiem. W rękach Berniego przy nosiła największe zyski, wyjąwszy sklep w Nowym Jorku, i Berman był z tego bardzo zadowolony. A jeszcze bardziej zarząd.

Tuż przed odjazdem Bernie spotkał się na chwilę z rodzicami. Matka chciała wziąć na

lato dzieci.

- Nie masz czasu, by zajmować się nimi przez cały dzień. Cóż będą robić w mieście?

Choć Bernie nic nie mówił, i tak wiedziała, że na pewno nie pojedą do Stinson Beach. Byłoby to dla niego zbyt bolesne, a Bernie nie bardzo wiedział, gdzie indziej mogliby wyjechać. Bywał tam z Liz, odkąd przeniósł się do Kalifornii, i teraz, bez niej, trudno mu było myśleć o jakimkolwiek innym miejscu.

- Zastanowię się nad tym po powrocie do domu. Może Jane będzie chciała pojechać w tym roku na obóz?

Choć Jane skończyła już dziewięć lat, Bernie nie był jeszcze przygotowany na to, by ją gdziekolwiek wysłać. Zbyt wiele oboje wycierpieli, od śmierci Liz minęło zaledwie dziewięć miesięcy. A najbardziej wstrząsnął nim komunikat matki, że córka pani Rosenthal właśnie się rozwiodła i mieszka w Los Angeles. Tak jakby się spodziewała, że Bernie zrobi jakiś krok.

- Dlaczego nie wpadniesz do niej od czasu do czasu?

Bernie wpatrywał się w nią tak, jakby mu proponowała, by się przespacerował po mieście bez ubrania. Ogarnęła go wściekłość. Nie miała prawa ingerować w jego życie i wpychać go na siłę w objęcia kobiety.

- A dlaczego, do licha, miałbym to robić?

- Ponieważ to bardzo miła dziewczyna.

- I co z tego?

Strasznie go rozzłościła. Świat był pełen miłych dziewcząt, lecz żadna nie była tak miła jak Liz i nie miał ochoty ich poznawać.

- Bernie...

Ruth wzięła głęboki oddech i pochyliła się ku niemu. Zbierała się na powiedzenie tego synowi od czasu swej ostatniej wizyty w San Francisco. Musisz od czasu do czasu gdzieś pójść.

- Wychodzę wystarczająco dużo.

- Nie o to mi chodzi. Myślałam o wyjściu z dziewczyną.

Miał chęć powiedzieć, że to nie jej interes. Rozdrapywała nie zabliznione jeszcze rany, czego Bernie nie mógł znieść.

- Mam trzydzieści dziewięć lat i nie interesują mnie „dziewczyny”.

- Wiesz, o co mi chodzi, kochanie.

Nie dawała mu spokoju, a on nie miał najmniejszego zamiaru tego słuchać. W garderobie nadal wisały suknie Liz, tylko perfumy już prawie wywietrzały. Wchodził tam od

czasu do czasu, by oddawać się wspomnieniom, a zapach jej perfum przytłaczał go... przywoływał dawne obrazy. Jeszcze teraz czasami późno w nocy leżał w swym łóżku i płakał.

- Jesteś młodym mężczyzną. Czas, byś pomyślał o sobie.

- Nie, - Bernie miał chęć krzyknąć. - Nie!

Nadal był czas, by myśleć o niej. Jeżeli przestanie, to straci ją ostatecznie. Jeszcze nie potrafiłby od niej odejść. Nigdy tego nie zrobi. Na zawsze zatrzyma w szafie jej ubrania. Ma ich wspólne dzieci i swe wspomnienia. Niczego więcej nie potrzebował i Ruth wiedziała o tym.

- Nie chcę z tobą o tym rozmawiać.

- Powinieneś zacząć o tym myśleć.

Mówiła łagodnie, ale do pasji doprowadzało Berniego i to, że się nad nim użala, i to, że go pogania.

- Wcale nie powinienem myśleć o tych cholernych sprawach, jeśli nie mam na to najmniejszej ochoty warknąć.

- Co ja teraz powiem pani Rosenthal? Obiecałam, że zadzwonisz do Evelyne, jak wrócisz na Zachodnie Wybrzeże.

- Powiedz, że nie mogłem znaleźć numeru jej telefonu.

- Nie bądź taki dowcipny... Ta biedna dziewczyna nie zna tam nikogo.

- To po co przenosiła się do Los Angeles?

- Nie bardzo wiedziała, gdzie ma pojechać.

- A co jej się nie podobało w Nowym Jorku?

- Chciała zrobić karierę w Hollywood... wiesz przecież, że jest bardzo ładna. Zanim wyszła za męża, była modelką Ohrbacha. Wiesz przecież...

- Mamo! Nie! - zawołał głośniej, niż powinien.

Przykro mu było, że zachował się wobec niej tak grubiańsko, lecz nie był jeszcze na to przygotowany i nie sądził, że kiedykolwiek będzie. Nie chciał się z nikim spotykać. Nigdy, już nigdy więcej.

Po powrocie do San Francisco obchodzili drugie urodziny Alexandra.

Niania zorganizowała małe przyjęcie dla wszystkich jego kolegów z parku. Sama upiekła ciasto, malec zaś najpierw dopadł go z radością, upaprał sobie twarzą i rączki, po czym wepchnął sporą porcję do buzi i posłał Berniemu do aparatu fotograficznego wielki, czekoladowy uśmiech. Kiedy Bernie odłożył aparat, ogarnął go bezbrzeżny smutek, pomyślał bowiem, że Liz powinna widzieć syna teraz... Opadły go nagle wspomnienia dnia sprzed dwóch zaledwie lat, gdy wydała go na świat. Był wówczas w szpitalu, by towarzyszyć

narodzinom życia, którym zostali obdarowani, a potem znów tam był, by patrzeć, jak zabiera im się życie kochanej osoby. Tego wieczoru całował Alexandra na dobranoc z ciężkim sercem.

Przeszedł do swojego pokoju, uginając się niemal pod ciężarem straszliwej samotności, po czym pchnięty nagłym impulsem wszedł do garderoby Liz. Kiedy zamknął oczy i głęboko wciągnął znany zapach, poczuł się, jakby go ktoś zdzielił obuchem w głowę.

W ten weekend, nie wiedząc co robić z czasem, postanowił zabrać dzieci na przejażdżkę. Jane siedziała obok niego, a niania zabawiała przypiętego na tylnym siedzeniu, gaworzącego Alexandra. Ruszyli w innym niż zazwyczaj kierunku.

Na ogół okrążali Marin i jechali do Paradise Cove w Tiburon, włączyli się po Belvedere albo wpadali do Sausalito na rozki lodowe. Tym razem Bernie skierował się na północ, do krainy wina, gdzie wszystko było bujne, soczyste, zielone i piękne. Niania zaczęła im opowiadać o życiu na farmie w Szkocji, na której mieszkała jako dziecko.

- Wyobraźcie sobie, że było tam bardzo podobnie - zauważyła, gdy minęli wielką mleczarnię, przejeżdżając pod drzewami majestatycznie górującymi nad okolicą.

Zachwycona Jane z uśmiechem obserwowała konie, owce i krowy, Alexander zaś piszczał i pokazując zwierzęta palcem, wydawał odpowiednie dźwięki: „muu” i „bee”, co rozśmieszało wszystkich, łącznie z Berniem za kierownicą. Mieli wrażenie, że wokół rozciąga się kraina samego Pana Boga.

- Prawda, że tutaj pięknie, tatusiu?

Jane dzieliła się z nim każdą myślą. Cierpienia, przez które przeszli z powodu Chandlera Scotta, jeszcze bardziej ich do siebie zbliżyły.

- Bardzo mi się tu podoba.

Czasami wyglądała na starszą, niż była. Popatrzyli na siebie bez słów. On również nie mógł się oprzeć urokowi tych okolic. Winiarnie wyglądały solidnie, a małe domki w stylu wiktoriańskim, które mijali po drodze, były niezwykle malownicze.

W pewnej chwili Bernie zaczął się zastanawiać, czy nie jest to miejsce odpowiednie do spędzenia wakacji. Tak bardzo różniło się od Stinson Beach, że pobyt tu powinien im dobrze zrobić. Spojrzał na Jane z uśmiechem.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy spędzili tu gdzieś weekend i poznali bliżej okolice?

Uzgadniał z nią wszystko, jak robiłby z jej matką. Jane przyjęła projekt z entuzjazmem, podobnie jak niania, która z ożywieniem szczebiotała coś do nich z tylnego siedzenia, podczas gdy Alexander wołał:

- Dużo... dużo krowa!... muu - pokazując na mijane właśnie ogromne stado.

Wrócili tu w następny weekend i zatrzymali się w hotelu Yountville. Miejsce okazało się doskonałe. Było ciepło, powietrze krystaliczne, bez śladu przybrzeżnej mgły, szczelnie spowijającej czasami Stinson Beach. Trawa soczysta, drzewa ogromne, winnice piękne. Drugiego dnia pobytu wyszukali w Oakville doskonały dom letni. Był to cudowny domek w stylu wiktoriańskim przy wąskiej, krętej drodze, w bok od autostrady numer 29. Dom został niedawno przerobiony przez pewną rodzinę, która wyjechała do Francji. Właśnie szukali kogoś, kto by go wynajął z umeblowaniem na kilka miesięcy, dopóki nie zdecydują, czy wracają do doliny Napa. Dom wskazał im właściciel hotelu, w którym się zatrzymali. Jane z zapalem klaskała w ręce, a niania oświadczyła, że to wprost wymarzone miejsce, by chować krowę.

- Czy możemy też hodować kurczaki, tatusiu? I kozę?

Jane nie posiadała się z radości.

Bernie się zaśmiewał:

- Chwileczkę, ludzie, nie zakładamy farmy starego MacDonalda, tylko szukamy domu na lato.

Willa była w sam raz dla nich. Wieczorem, jeszcze przed wyjazdem do miasta, Bernie wstąpił do pośrednika upoważnionego przez właściciela do sfinalizowania umowy. Cena wydała mu się przystępna, a dom można było wynająć od pierwszego czerwca do Święta Pracy. Zgodził się na wszystkie warunki, podpisał umowę, wystawił czek i tego wieczoru wracali do miasta już jako posiadacze letniego domku.

Bernie był w wyjątkowo dobrym nastroju. Nie chciał wysyłać dzieci do matki, pragnął mieć je przy sobie. Z Napa mógł dojeżdżać do pracy, tak jak dojeżdżał ze Stinson Beach. Było dalej, ale tylko trochę.

- Podejrzewam, że to rozwiązuje problem obozu? - zwrócił się ze śmiechem do Jane.

- I bardzo dobrze - odparła zadowolona. - I tak nie chciałam jechać. Czy myślisz, że dziadkowie przyjadą tu do nas w odwiedziny?

- Miejsca było dosyć. Każdy mógł mieć swój pokój, a i tak pozostawał jeden dla gości. Jestem pewny, że przyjadą.

Ruth uznała jednak od początku cały projekt za chybiony. Było to w głębi ładu, prawdopodobnie będzie za gorąco, nie ulegało kwestii, że są tam grzechotniki, a w ogóle stwierdziła, że dzieciom na pewno byłoby o wiele lepiej u niej, w Scarsdale.

- Mamo, są podniecone na myśl o tym i jest to naprawdę miły dom.

- A co z pracą?

- Będę dojeżdżać. To tylko godzina drogi.

- Tylko tego ci potrzeba. Kiedy wreszcie zmądrzejesz?

Znowu chciała go spytać, czy zadzwonił do Evelyne Rosenthal, lecz zdecydowała, że jeszcze troszkę odczeka.

Biedna Evelyne, czuła się tak samotna w Los Angeles, że myślała już nawet o powrocie do Nowego Jorku. Naprawdę byłyby dla niego miłą dziewczyną. Może nie tak miła jak Liz, ale miła, i byłyby dobra dla dzieci. Sama miała nawet dwójkę: chłopca i dziewczynkę. Myśląc teraz o tym, z uporem godnym lepszej sprawy zdecydowała wspomnieć jednak o niej Berniemu.

- Wiesz co? Rozmawiałam dziś z Lindą Rosenthal. Jej córka jest nadal w Los Angeles.

Bernie nie mógł wprost uwierzyć, że matka robi mu coś takiego. I to ona, niby tak kochająca Liz! Ogarnęła go furia.

- Już ci mówiłem, że mnie to nie interesuje - syknął przez zęby. Na samą myśl o innych kobietach ścisnęło go w środku.

- Dlaczego? To przemiła dziewczyna, jest...

Bernie przerwał jej ze złością:

- Wyłączam się.

Był to bardzo niebezpieczny temat i jak zawsze Ruth zrobiło się żal syna.

- Przepraszam, ja tylko myślałam...

- To nie myśl.

- Widzę, że powiedziałam to nie w porę - westchnęła, czym jeszcze bardziej go rozzłościła.

- Zawsze będzie nie w porę, mamó. Nigdy nie znajdę kogoś takiego jak ona.

Oczy wypełniły mu się nagle łzami. Matka też czuła pieczenie pod powiekami, słuchając jego słów w Scarsdale.

- Nie możesz tak myśleć - głos miała łagodny i smutny, a twarz mokrą od łez. Przeżywała męki czując, jak bardzo cierpi jej syn.

- Właśnie że mogę. Była dla mnie wszystkim. Nigdy już nie znajdę kogoś takiego - mówił i chwilami głos mu zamierał.

- Powinieneś znaleźć kogoś całkiem innego, kogo mógłbyś kochać równie mocno, ale inaczej.

Znając jego drażliwość, starała się być bardzo delikatna. Uważała jednak, że po dziesięciu miesiącach już czas otrząsnąć się z nieszczęścia, lecz Bernie był innego zdania.

- Postaraj się chociaż niekiedy gdzieś bywać.

Z tego, co wiedziała od Mary Pippin, Bernie przez cały czas siedział z dziećmi w

domu. Nie było to dla niego dobre.

- Nie interesuje mnie to, mam. Wolę być w domu z dziećmi.

- Pewnego dnia dzieci urosną, tak jak ty urosłeś.

Uśmiechnęli się oboje. Ruth jednak nadal miała Lou. W tym momencie odezwało się w niej nawet coś na kształt poczucia winy.

- Zanim to się stanie, mam przed sobą jeszcze szesnaście lat. Nie zamierzam już teraz martwić się o to.

Ruth zrezygnowała z dalszych nacisków, więc wrócili do tematu domu, który Bernie wynajął w Napa.

- Jane chce, żebyś odwiedziła nas tam w lecie, mam.

- Dobrze, dobrze... - przyjadę.

Przyjechała i pokochała to miejsce. Można tam było czuć się zupełnie swobodnie spacerować po trawie, leżeć w hamaku w cieniu wielkich drzew i patrzeć w niebo lub w małym leżącym na tyłach posiadłości strumyku spacerować po głązach i moczyć nogi, tak jak Bernie robił to w dzieciństwie w Catskills. Napa budziła w nim wspomnienia tamtego miejsca, podobnie zresztą jak w Ruth.

Obserwowała dzieci bawiące się na trawie, patrzyła na Berniego, kiedy obejmował je czułym spojrzeniem, i po raz pierwszy od dłuższego czasu czuła się o niego spokojniejsza.

Przed wyjazdem przyznała, że to dla nich naprawdę doskonałe miejsce. Bernie, a również i dzieci po raz pierwszy od dłuższego czasu sprawiali wrażenie szczęśliwszych.

Z Napa Ruth poleciała do Los Angeles, by spotkać się z Lou, który był w Hollywood na zjeździe lekarzy. Stamtąd lecieli z przyjaciółmi na Hawaje. Przypomniała Berniemu jeszcze o Evelyne Rosenthal, która nadal mieszkała w Los Angeles i była do wzięcia, lecz tym razem tylko się roześmiał.

Był w zdecydowanie lepszym nastroju, choć nadal ten temat go nie interesował.

- W każdym razie nie - powarkiwał za to na matkę. - Nigdy nie zrezygnujesz, mam, co?

Uśmiechnęła się pojednawczo.

- No już dobrze, dobrze.

Ucałowała go mocno na lotnisku, obejmując uważnym spojrzeniem. Tak, był ciągle tak samo przystojnym mężczyzną, tyle że miał teraz o wiele więcej siwych włosów niż przed rokiem, głębsze zmarszczki wokół oczu i ciągle smutną twarz.

Liz odeszła już ponad rok temu, a on ciągle ją opłakiwał. W końcu przynajmniej wyparowało z niego rozżalenie, przestał też gniewać się na nią za to, że go opuściła. Czuł się

po prostu straszliwie samotny. Stracił w niej nie tylko kochankę i żonę, ale też najlepszego przyjaciela.

- Uważaj na siebie, kochanie - szepnęła mu Ruth na lotnisku.

- Ty też, mamo.

Raz jeszcze ją uściskał i pomachał, gdy wsiadała do samolotu. W ciągu ostatniego roku, a może dwóch lat stali się sobie o wiele bliżsi, lecz w jakich okolicznościach!... Aż nieprawdopodobne, ile przeszli.

Jadąc tego wieczoru do Napa, myślał o tym wszystkim... czyli o Liz. Nadal nie potrafił uwierzyć w to, że odeszła, że po prostu nie wyjechała i nie wróci któregoś dnia. Słowo „na zawsze” było tak niepojęte!

Gdy zajechał do Oakville i parkował samochód, nadal myślał o Liz. Niania czekała na niego, choć było po pierwszej i cały dom sprawiał wrażenie spokojnego i cichego. Jane usnęła w łóżku, czytając „Czarną piękność”.

- Alexander nie czuje się chyba dobrze, panie Fine.

Berniem szarpnęła niepokój. Dzieci były dla niego wszystkim.

- Co mu jest?

Dwuletni Alexander był przecież jeszcze ciągle maleństwem. To, że nie miał matki, czyniło go w oczach Berniego wręcz drobniutką kruszyną. Właściwie zawsze pozostanie dla niego małym dzieckiem. W niepewnym głosie niani pojawiły się nutki skruchy.

- Obawiam się, że pozwoliłam mu dziś zbyt długo siedzieć w basenie. Kiedy kładłam go do łóżka, narzekał na ucho. Przyłożyłam mu ciepłą oliwę, ale chyba nie pomogła. Jeżeli nie poprawi mu się do rana, będziemy musieli pojechać do miasta do lekarza.

- Proszę się nie martwić - uśmiechnął się do niej Bernie.

Jej nieprawdopodobna sumienność czasami budziła jego podziw. Dziękował swym pomyślnym gwiazdom za to, że ją wtedy znalazł. Wciąż jeszcze wzdrygał się na wspomnienie sadystycznej szwajcarskiej niańki czy też brudnej norweskiej służącej, która ciągle paradowała w ubraniach Liz.

- Wszystko będzie z nim dobrze, nianiu. Idź do łóżka.

- Czy chce pan trochę ciepłego mleka na dobry sen?

Bernie potrząsnął głową.

- Niczego mi nie trzeba.

Niania już wiele tygodni wcześniej zauważyła, że Bernie długo siedzi w nocy, nie mogąc zasnąć, i tłucze się po domu. Zaledwie kilka dni temu minęła rocznica śmierci Liz i wyczuwała, że jest mu ciężko. Dobrze że choć Jane nie miała już koszmarów sennych.

Ale tym razem mały Alexander obudził się z krzykiem o czwartej nad ranem. Bernie dopiero co zasnął. Wciągnął szybko szlafrok i poszedł do dzieciennego pokoju, gdzie niania kołysała malca, bezskutecznie próbując go uspokoić.

- Ucho? - zapytał, a niania pokiwała głową, wyśpiewując coś na całe gardło. - Czy mam zadzwonić po lekarza?

Mary Pippin potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że musi go pan zawieźć do szpitala. Szkoda, żeby dłużej czekał. Biedne maleństwo.

Całowała go w czoło, w policzek, w czubek głowy, a Alexander tulił się do niej z nieszczęśliwą miną. Bernie przyklęknął na dywanie i popatrzył na dziecko, którego widok radował, ale jednocześnie rozdzierał mu serce, syn był bowiem bardzo podobny do matki.

- Kiepsko się czujesz, co, mój mały?

Alex pokiwał główką i przestał płakać, lecz nie na długo.

- Chodź do tatusia.

Bernie wyciągnął do dziecka ręce i syn przytulił się do niego. Miał wysoką gorączkę i nie mógł znieść nawet najdelikatniejszego do tknięcia prawej strony głowy. Bernie wiedział, że niania ma rację: muszą pojechać do szpitala.

Ich pediatra podał mu nazwisko miejscowego lekarza na wypadek, gdyby któreś z dzieci się rozchorowało. Bernie oddał niani Alexandra i poszedł się ubrać, a także poszukać w szufladzie biurka kartki z numerem telefonu i nazwiskiem doktor M. Jones.

Zadzwoił i uzyskawszy połączenie z dyżurną telefonistką, wyjaśnił, co się stało, i poprosił, by przedzwoniła do doktora Jonesa, lecz do rozmowy włączyła się kobieta z centrali i wyjaśniła, że doktor Jones jest już w szpitalu, gdyż zdarzył się nagły wypadek.

- Czy może nas tam przyjąć? Mój syn bardzo cierpi. Już wcześniej były kłopoty z jego uszami i zawsze pomagał mu zastrzyk z penicyliny.

Penicylina i wiele miłości ze strony Jane, tatusia i niani.

- Zaraz sprawdzę.

Prawie natychmiast była znowu na linii.

- W porządku.

Podziała mu adres szpitala.

Bernie poszedł po Alexandra i delikatnie usadowił go w dzieciennym foteliku samochodowym, którego nadal używał. Niania musiała zostać w domu z Jane, niemal wpadła w rozpacz, gdy okrywała Alexa koczykiem i wciskała mu w rączkę misia, a on płakał z bólu. Nie mogła znieść, że jadą bez niej.

- Tak mi przykro, że muszę pana puścić samego.

Późno w nocy, gdy była zmęczona, jej gardłowe „r” było jeszcze wyraźniejsze, co szczególnie wznuszało Berniego.

- Ale wie pan, że nie mogę zostawić Jane. Gdyby się obudziła, wpadłaby w panikę.

Oboje wiedzieli, że od czasu porwania Jane stała się znacznie bardziej bojaźliwa.

- Wiem, nianiu. Wszystko będzie dobrze, niedługo wrócimy.

Było wpół do piątej rano, kiedy Bernie ruszył do szpitala. Dotarli na miejsce za dziesięć piątą. Z Oakville do miasteczka Napa był spory kawałek drogi.

Alexander nie przestawał płakać, szlochał też, kiedy Bernie wnosił go do szpitala i sadzał delikatnie na stoliku w izbie przyjęć. Światła były tak jaskrawe, że raziły w oczy, więc Bernie usiadł na stole i wziął malca na kolana, osłaniając go sobą.

Do pokoju weszła wysoka, ciemnowłosa młoda kobieta w golfie i dzinsach. Była prawie tego samego wzrostu co Bernie, uśmiechała się przyjaźnie, a jej włosy były tak czarne, że sprawiały wrażenie granatowych. „Zupełnie jak Indianka” pomyślał Bernie, patrząc na nią zmęczonym wzrokiem. Tylko oczy miała niebieskie jak Jane... jak Liz...

Odgonił tę myśl i wyjaśnił, że czeka na doktora Jonesa. Nie był pewien, kim jest ta kobieta, podejrzewał tylko, że to urzędniczka z izby przyjęć.

- To ja jestem doktor Jones - wyjaśniła z uśmiechem.

Miała ciepły, matowy głos, a kiedy się z nim witała, poczuł siłę i chłód jej ręki. Mimo wysokiego wzrostu i zawodowej pewności siebie było w niej coś ciepłego i delikatnego. Sposób, w jaki się poruszała, był jednocześnie macierzyński i seksowny.

Delikatnie zabrała od niego Alexandra i zaczęła oglądać bolące ucho. Cały czas do niego mówiła, opowiadała mu jakieś historyjki, gawędziła i zabawiała go, a od czasu do czasu spoglądała na Berniego, jakby i jego chciała uspokoić.

Jedno ucho jest bardzo czerwone, a drugie też niezłe zaróżowione.

Zajrzała mu do gardła, sprawdziła migdałki i zbadła brzuszek, by się upewnić, że poza tym wszystko w porządku, potem zrobiła mu bardzo szybko zastrzyk z penicyliny. Płakał, ale niezbyt długo, gdyż lekarka nadmuchała mu balonik i dała, za zgodą Berniego, lizaka, co nawet w tak ciężkich chwilach ogromnie go uszczęśliwiło.

Usadowił się ojcu na kolanach i przyglądał jej się w zamyśleniu, ona natomiast zerkając na malca z uśmiechem, wypisała receptę do zrealizowania następnego dnia. Zaaplikowała mu dla pewności antybiotyki i dała dwie małe tabletki kodeiny, by Bernie je skruszył i podał dziecku, jeśli ból do rana nie osłabnie.

- A właściwie - spojrzęła na drżącą wargę Alexa - dlaczego nie mielibyśmy zrobić

tego od razu? Po co ma być taki nieszczęśliwy?

Zniknęła i wróciła z rozkruszoną na łyżeczce pastylką. Gdy chodziła, jej czarne włosy kołysały się na ramionach. Lekarstwo już było w buzi i zostało przełknięte, zanim Alexander zdążył zaprotestować. Udało jej się to dzięki niby-zabawie.

Potem maluch usadowił się z westchnieniem w ramionach ojca ssąc lizaka. Po chwili, gdy Bernie wypełniał formularze, usnął. Bernie popatrzył z uśmiechem na syna, potem z uznaniem na lekarkę. Miała ciepłe spojrzenie prawdziwie troskliwej kobiety.

- Dziękuję - czule pogłaskał dziecko po włosach i znowu spojrzał na doktor Jones. - Wspaniale sobie pani z nim poradziła.

Serce Berniego wypełniała wdzięczność. Dzieci były dla niego najważniejsze.

- Przyjechałam tu z powodu podobnego bólu ucha mniej więcej godzinę temu - skwitowała z uśmiechem.

Z przyjemnością myślała o tym, że przynajmniej raz w szpitalu zjawił się ojciec, a nie wyczerpana i zaniepokojona matka, sama, bez nikogo, kto by gotów był jej pomóc. Miło widzieć, że są mężczyźni, których to obchodzi i którzy potrafią się poświęcić dla dobra dzieci. Nic mu jednak nie powiedziała. Może był rozwiedziony i nie miał wyboru.

- Czy pan mieszka w Oakville?

Bernie wypisał na formularzu ich letni adres.

- Nie, normalnie mieszkam w mieście. Przyjechaliśmy tu tylko na lato.

Pokiwała głową i z domyślnym uśmiechem zabrała się do wypełniania swojej części formularza ubezpieczeniowego.

- Ale pochodzi pan z Nowego Jorku?

- Skąd pani wie? - roześmiał się zdziwiony.

- Również pochodzę ze wschodu, z Bostonu. Rozpoznałam u pana nowojorski akcent.

On też słyszał u niej akcent bostoński.

- Jak długo pan tu mieszka?

- Cztery lata.

Pokiwała głową.

- Ja wyjechałam do szkoły medycznej w Stanford i już nigdy nie wróciłam. To było czternaście lat temu.

Miała teraz trzydzieści sześć lat i dobre listy uwierzytelniające. Berniemu podobał się jej sposób bycia. Wyglądała na osobę inteligentną i zycliwą, a ogniki, które dostrzegał w jej oczach, świadczyły o poczuciu humoru. Patrzyła na Berniego w skupieniu. Podobały mu się również jej oczy.

- To bardzo miłe miejsce. Mam na myśli Napa.

- No, w każdym razie - odłożyła formularze i spojrzała na anielską buzię śpiącego Alexa - może przyprowadzi go pan do mnie za dzień lub dwa. Mam gabinet w Saint Helena, będzie tam panu bliżej niż do szpitala.

Rozejrzała się po sterylnym pokoju szpitalnym. Nie lubiła tutaj przyjmować dzieci, chyba że, w nagłych wypadkach.

- To miło, że jest pani tak blisko. Jak się ma dzieci, nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebny lekarz.

- Ile ma pan dzieci?

Może dlatego żona nie przyszła pomyślała sobie. Może mają dziesięcioro dzieciaków i żona musiała zostać z nimi w domu. To dziwne, ale myśl ta rozbawiła ją. Miała jednego pacjenta z ośmiorgiem dzieci i bardzo je wszystkie kochała.

- Dwoje - zaspokoił jej ciekawość Bernie. - Alexandra i dziewięcioletnią dziewczynkę, Jane.

Lekarka znowu się uśmiechnęła. Wyglądał na miłego człowieka. W jego oczach zapalały się jasne iskierki, kiedy mówił o dzieciach. Najczęściej jednak jego spojrzenie było smutne jak bernarda pomyślała i natychmiast złązała się za te myśli. Był bez wątpienia bardzo przystojnym mężczyzną. Podobał jej się jego sposób poruszania... jego broda... „Opanuj się” upominała siebie w duchu, udzielając mu ostatnich wskazówek. Bernie wyszedł ze śpiącym Alexandrem na rękach. Potem, szykując się do odejścia, doktor Jones rzuciła żartem do pielęgniarki:

- Powinnam skończyć z tymi późnymi wezwaniami. O tej porze zaczynają mi się podobać ojcowie.

Obie wybuchnęły śmiechem. Oczywiście tylko się przekomarzała, gdyż zawsze bardzo poważnie traktowała swoich pacjentów i ich rodziców. Pomachała pielęgniarkom na pożegnanie i poszła do zaparkowanego przed szpitalem samochodu.

Był to mały austin healy, który służył jej jeszcze od studiów. Ruszyła z powrotem do Saint Helena z opuszczonym dachem i tylko włosy rozwiewały się jej na wietrze. Wyprzedzając Berniego, który podróżował stateczniej niż ona, pomachała mu wysoko uniesioną ręką.

Było w niej coś, co mu się podobało, ale jeszcze nie był pewien co. Już dawno nie czuł się tak dobrze jak w chwili, gdy zatrzymywał samochód na podjeździe w Oakville, w promieniach słońca wschodzącego nad górami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Dwa dni później Bernie zabrał Alexandra na wizytę do doktor Jones, tym razem do jej gabinetu w słonecznym wiktoriańskim domku na krańcu miasta. Użytkowała go wspólnie z innym lekarzem, a sama mieszkała na górze.

Sposób, w jaki obchodziła się z dzieckiem, znowu wywarł na Berniem duże wrażenie. Podobała mu się tak samo jak poprzednim razem, może nawet jeszcze bardziej. Choć tego dnia na dzinsy nałożyła sztywny biały fartuch, jej sposób bycia był niewymuszony, dotyk delikatny, a spojrzenie ciepłe, kiedy rozmawiała z nimi, śmiejąc się swobodnie.

- Jego uszy są już w dużo lepszym stanie - uspokoiła Berniego, po czym zwróciła się do siedzącego obok Alexa: - Ale lepiej, mój kolego, trzymaj się przez jakiś czas z dala od basenu.

Zmierzyła mu włosy i przez chwilę wyglądała bardziej na jego matkę niż lekarza, co targnęło sercem Berniego. Szybko jednak wyrzucił z głowy tę myśl.

- Czy powinienem go jeszcze przyprowadzić?

Zaprzeczyła ruchem głowy i Bernie niemal żałował, że nie powiedziała „tak”. Szybko się jednak zreflektował jest po prostu miła i inteligentna, i to wszystko. Poza tym dobrze się opiekuje dzieckiem.

Następnym razem, gdyby zachodziła taka potrzeba, mogłaby go właściwie przyprowadzić niania. Tak byłoby bezpieczniej.

Złapał się na tym, że patrzy na jej czarne błyszczące włosy, i bardzo go to zirytowało. Niebieskie oczy pani doktor tak bardzo przypominały mu Liz...

- Nie sądzę, aby była konieczna jeszcze jedna wizyta, aczkolwiek potrzebuję dodatkowych danych do mojej kartoteki. Proszę mi przy pomnieć, ile Alex ma lat.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do Bernarda, który usiłował sprawiać wrażenie człowieka okropnie zaaferowanego i uparcie unikał niepokojących oczu.

- Dwa lata i dwa miesiące.

- Ogólnie jest zdrowy?

- Tak.

- Wszystkie szczepienia w terminie?

- Tak.

- Nazwisko pediatry w mieście.

Bernie podał nazwisko lekarza Alexa. Taki dialog ułatwiał sprawę. Nie musiał nawet

na nią patrzeć.

- Imiona pozostałych członków rodziny.

Gdy skończyła pisać, obrzuciła go życzliwym spojrzeniem.

- Pan nazywa się Bernard Fine?

Chciała się upewnić, czy dobrze zapamiętała z poprzedniej wizyty. Bernie wyraźnie się rozluźnił.

- Tak. Alex ma dziewięcioletnią siostrę, Jane.

- Pamiętam.

Wpatrywała się w niego wyczekująco z ciepłym uśmiechem.

- I...?

- To wszystko.

Chcieli mieć jeszcze jedno dziecko z Liz, może nawet dwoje, ale już nie zdążyli przed wykryciem u niej raka.

- Imię pańskiej żony?

W jego oczach dostrzegła przejmujący smutek i natychmiast pomyślała o nieprzyjemnym rozwodzie. Bernie pokręcił głową. Ból wywołany tym pytaniem obezwładnił go jak cios zadany zniemacka.

- Uch... nie... nie mam żony.

Lekarka była zaskoczona. Jakoś dziwnie to powiedział, a i patrzył przy tym też osobliwie.

- To znaczy?

- Nie żyje - wykrztusił z trudem.

Zrozumiała nagle, jak wielki ból musiała mu sprawić, i zrobiło jej się ogromnie przykro. Cierpienie wywołane czyjąś śmiercią było czymś, na co nigdy nie zdołała się uodpornić.

- Bardzo mi przykro... - głos jej zadrżał, gdy spojrzała na dziecko.

Jakież to musiało być dla nich wszystkich straszne, zwłaszcza dla dziewczynki. Alex był zbyt mały, by rozumieć, ale ojciec, gdy o tym mówił, sprawiał wrażenie zdruzgotanego.

- Bardzo przepraszam za to pytanie.

- W porządku, przecież pani nie wiedziała.

- Jak dawno to się stało?

Nie mogło być zbyt dawno, skoro Alexander miał zaledwie dwa lata. Współczuła im całym sercem, a kiedy napotkała jego spojrzenie, dostrzegła, że ma w oczach łzy.

- W czerwcu ubiegłego roku.

Było oczywiste, że Bernie nie zdoła powiedzieć ani słowa więcej. Kończyła więc w milczeniu wypełnianie ankiety, czując ciężar w sercu. Nie przestało jej to dręczyć, nawet kiedy już poszli. Gdy Bernie mówił o śmierci żony, widać było, jak bardzo cierpi. Biedny człowiek.

Przez cały dzień wracała myślą do tej rozmowy i kiedy jeszcze w tym samym tygodniu całkiem niespodziewanie wpadła na nich w supermarkecie, była szczerze zaskoczona.

Alexander siedział jak zwykle w wózku na zakupy, obok Berniego zaś szła Jane. Szczebotała szybko, a Alexander wskazywał coś palcem i wrzeszczał na całe gardło:

- Guma, tata, guma!

Doktor Jones prawie na nich wpadła. Zatrzymała się w pół kroku, z uśmiechem ogarniając wzrokiem całą gromadkę. Nie wyglądali wcale na takich przygnębionych, jak sobie wyobrażała, a prawdę mówiąc, sprawiali nawet wrażenie bardzo szczęśliwych.

- No, no, witajcie. Jak się ma nasz przyjaciel?

Zwróciła się do Alexa, a kiedy spojrzała na Berniego, dostrzegła w jego oczach cichą radość.

- O wiele lepiej. Myślę, że antybiotyki pomogły.

- Nadal je bierze, prawda?

Nie pamiętała już dobrze, jak długą kurację mu zapisała, ale powinien być chyba jeszcze brać leki.

- Tak, jeszcze bierze, ale widzę, że już doszedł do formy - wyjaśnił Bernie z uśmiechem.

Wyglądał normalnie, to znaczy na zmęczonego, mimo to w krótkich spodniach, odsłaniających brązowe nogi, prezentował się bez wątpienia bardzo atrakcyjnie. Doktor Jones próbowała nie zwracać na to uwagi, lecz nie mogła. Był przystojnym mężczyzną. On też patrzył na nią z przyjemnością. Tym razem znowu miała na sobie dzinsy, płócienną koszulę i czerwone espadryle. Jej włosy błyszczały.

Jane nie mogła się domyślić, kim jest nieznajoma, doktor Jones była przecież bez fartucha. W końcu Bernie przedstawił je sobie i Jane wyciągnęła rękę, ale zrobiła to szalenie oficjalnie, jakby broniąc się przed poufałością. Obserwowała kobietę podejrzliwie i nie wspomniała o niej, dopóki nie wsiedli do samochodu.

- Kto to taki? - zapytała.

- Lekarka, u której byłem wtedy w nocy z Alexandrem.

Starał się mówić obojętnie, miał jednak wrażenie, że jest pięcioletnim chłopczykiem i

znowu ma do czynienia ze swoją matką. To skojarzenie rozbawiło go. Ruth zadałaby mu dokładnie takie same pytania.

- Dlaczego byłeś właśnie u niej?

Po błyskach w jej oczach zorientował się, co podejrzewa i zaczął się zastanawiać, dlaczego w Jane jest tyle niechęci. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być zazdrosna.

- Doktor Wallaby dał mi jej numer, zanim tu przyjechaliśmy, na wypadek gdyby któreś z was się rozchorowało, tak jak wtedy Alexander. Naprawdę byłem bardzo zadowolony, że ją znalazłem. Okazała się bardzo miła i bez problemu przyjęła nas w szpitalu w środku nocy, a właściwie to już tam była i badała kogoś innego, co dobrze o niej świadczy.

Pamiętał też, że studiowała w Stanford. Jane tym razem ledwo coś mruknęła i ucięła rozmowę.

Kiedy jednak w kilka tygodni później znowu się na nią natknęli, całkiem ją zignorowała i nawet nie raczyła powiedzieć „dzień dobry”.

Już w samochodzie Bernie zbeształ dziewczynkę.

- Wiesz, że byłaś wobec niej bardzo niegrzeczna?

- No dobra, a cóż w niej jest takiego nadzwyczajnego?

- Nadzwyczajne jest to, że to lekarz i możesz jej pewnego dnia potrzebować. A poza tym nie zrobiła ci, na litość boską, nic złego. Nie ma powodu, abyś była dla niej nieuprzejma.

Cieszył się, że chociaż Alex ją lubił. Gdy tylko dostrzegł ją w supermarkecie, wydał głośny pisk i natychmiast wykrzyknął „dzień dobry”. Tym razem poznał ją od razu, a ona w ferworze powitania wręczyła mu lizaka, przypominając, że nazywa się doktor Meg. Zaproponowała lizaka również Jane, lecz ta odmówiła, z czym Megan poradziła sobie bez problemu, nie zwróciwszy nawet na to uwagi.

- Postaraj się chociaż nie być wobec niej niegrzeczna, kochanie.

Jane była ostatnio piekielnie wrażliwa. Bernie zastanawiał się, czy po prostu dojrzewa, czy też wciąż tak bardzo tęskni za Liz. Niania twierdziła, że prawdopodobnie i jedno, i drugie, a Bernie przypuszczał, że jak zwykle ma rację. Mary Pippin była ich ostoją i Bernie bardzo się do niej przywiązał. Od tego dnia aż do zabawy w dniu Święta Pracy nie spotkał Megan.

Prawie od trzech lat, to znaczy od czasu, kiedy Liz zachorowała, a tym bardziej po jej śmierci nie bywał na żadnych imprezach, lecz pośrednik, który załatwił mu dom, zadbał o to, by Bernie znalazł się na liście gości organizowanego tego wieczoru festynu, i Bernie uznał, że byłoby nieładnie, gdyby nie wstąpił choć na małą chwilkę. Poszedł i wydał się sobie przybyszem z obcego miasta. Nie znał tam nikogo, w dodatku jak tylko wysiadł z samochodu, poczuł się przesadnie wystrojony.

Wszyscy mieli na sobie podkoszulki, dzinsy, bluzy i krótkie bluzeczki na ramiączkach, natomiast on był w białych spodniach i bladoniebieskiej koszuli. Bardziej pasował do Beverly Hills lub Capri niż do doliny Napa. Poczul się zakłopotany, gdy gospodarz wręczając mu piwo zapytał, gdzie się później wybiera. Zaśmiał się i wzruszył ramionami:

- Myślę, że już za długo pracuję w domu towarowym.

Znajomy pośrednik, odprowadziwszy go na bok, spytał, czy nie byłby zainteresowany zatrzymaniem domu na jakiś czas. Ludzie, którzy mu go odnajmowali, zamierzali dłużej, niż początkowo planowali, pozostać w Bordeaux i byłiby bardzo zadowoleni, gdyby Bernie pozostał w ich domu.

- Właściwie może by mi to odpowiadało Frank.

Zadowolony z odpowiedzi pośrednik zaproponował Berniemu, by wynajmował dom na zasadzie comiesięcznej odpłatności. Zapewnił go, że dolina jest jeszcze piękniejsza w barwach jesieni.

- Nawet zimy nie są zbyt przykre. Na pewno z przyjemnością będziesz tu przyjeżdżał w każdej wolnej chwili, a cena jest całkiem umiarkowana.

Zawsze był kupcem. Bernie uśmiechnął się, myśląc jedynie o tym, jak opuścić przyjęcie.

- Sądzę, że to by nam odpowiadało.

- Czy Frank sprzedał już panu winnicę? - usłyszał znajomy głos. Jej śmiech był dźwięczny jak srebrny dzwoneczek. Odwrócił się i ujrzał błyszczące czarne włosy i niebieskie oczy, których spojrzenie poruszało go zawsze do głębi.

To była Megan Jones. Wyglądała bardzo ładnie. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo jest opalona. Jej skóra była ciemna i mocno kontrastowała z jasnoniebieskimi oczami. Miała na sobie białą, chłopską spódnice, białe espadryle i jasnoczerwoną cygańską bluzkę. Była olśniewająco piękna i Bernie poczul się nieswojo. Obraz Megan w dzinsach i sztywnym białym kitlu zdecydowanie mniej go onieśmiała. Nie mógł oderwać wzroku od jedwabistych, gładkich ramion, choć starał się patrzeć prosto w niebieskie oczy. Tylko że to też nie było łatwe. Jej oczy zawsze przypominały mu Liz, choć były zupełnie inne śmielsze, dojrzałe i bardziej przenikliwe. Megan reprezentowała zupełnie inny typ kobiet. Współczucie, które zapewne w swej pracy musiała odczuwać na każdym kroku i z którym teraz wpatrywała się w Berniego, czyniło ją jakby starszą. Próbował odwrócić od niej wzrok, ale ku swemu zdumieniu nie potrafił.

- Frank przedłużył mi właśnie dzierżawę.

Mówił cicho i Megan spostrzegła, że nawet kiedy się uśmiecha, w jego oczach czai się pustka, smutek i jakiś chłód, trzymający ludzi na dystans. Rozpacz tego mężczyzny nadal była zbyt świeża, by potrafił się nią z kimś dzielić. Megan, przypatrując mu się i myśląc o jego dzieciach, bez trudu to wyczuła.

- To znaczy, że masz zamiar tu pozostać?

Spoglądała na niego z zainteresowaniem, sącząc szklaneczkę domowego wina.

- Przypuszczam, że będziemy przyjeżdżać głównie na weekendy. Dzieciaki uwielbiają to miejsce, a Frank twierdzi, że jesień w tej okolicy jest również piękna.

- Ma rację. Właśnie dlatego tu ugrzęzłam. To jedyne miejsce w tych stronach, gdzie można podziwiać jesień w całej jej krasie. Liście zmieniają się tak jak na wschodzie, a cała dolina staje się czerwona i żółta i jest naprawdę prześlicznie.

Bernie starał się być wdzięcznym słuchaczem, lecz nie widział nic poza odkrytymi ramionami i niebieskimi oczami, które zdawały się mówić o wiele więcej niż usta. Megan bardzo go intrygowała od chwili, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

- Dlaczego tu zostałeś?

Wzruszyła ramionami, a jej cudownie brązowe ciało przywoływało go.

Sięgnął po jeszcze jedną szklanekę piwa i zmarszczył brwi, starając się nie dać po sobie poznać, że go pociąga.

- Nie wiem. Nie wyobrażam sobie, bym mogła wrócić do Bostonu i pędzić stateczne życie.

Bernie z cichą radością odnajdywał w jej oczach figlarne błyski, a w śmiechu niskie, zmysłowe brzmienie.

- Podejrzewam, że w Bostonie wcale nie byłoby to takie niemożliwe.

Kiedy tak gawędzili, Megan przyznawała w duchu, że wygląda znakomicie. Postanowiła zaryzykować i dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

- A ty dlaczego jesteś w San Francisco, a nie w Nowym Jorku?

- Kaprys losu. Sklep, w którym pracuję, wysłał mnie, bym otworzył tu filię.

Uśmiechnął się na wspomnienie pamiętnego dnia, ale zaraz oczy mu spochmurniały, gdy przypomniał sobie, dlaczego później nie chciał już wyjeżdżać... ponieważ Liz umierała.

- No i utknąłem tu.

Ich oczy się spotkały. Megan doskonale go rozumiała.

- Zamierzasz tu w ogóle zostać?

Pokręcił głową z uśmiechem.

- Nie sądzę, bym został na dłużej. Prawdopodobnie w przyszłym roku wracam do

Nowego Jorku.

Wyglądała na zmartwioną, co go niespodziewanie ucieszyło. Pomyślał, że jednak dobrze zrobił, przychodząc na przyjęcie.

- A jak dzieci zapatrują się na przeprowadzkę?

- Nie wiem. - Spojrzał na nią poważnie. - To może być trudne dla Jane. Całe życie spędziła tutaj i ciężko jej będzie przenosić się do nowej szkoły i nawiązywać nowe przyjaźnie.

- Przyzwyczai się.

Patrzyła na niego badawczo, żałując, że właściwie nic o nim nie wie. Był kimś intrygującym, o kim chciałoby się wiedzieć, skąd pochodzi i dokąd zmierza. Nieczęsto spotyka się tego typu mężczyzn, takich ciepłych, silnych, szczerych, a jednocześnie zamkniętych w sobie. Po jego ostatniej wizycie w gabinecie wiedziała, dlaczego tak jest. Chciałaby go rozruszać, szczerze z nim porozmawiać, ale nie bardzo wiedziała jak.

- A tak a propos, jaki sklep wysłał cię tutaj?

- Wolff - rzucił obojętnym tonem, jakby chodziło o jakiś niewiele znaczący sklepik.

Roześmiała się ta informacja otworzyła jej oczy. Faktycznie pasował do Wolffa. Miał wrodzone poczucie elegancji człowieka, który na co dzień ma do czynienia z najlepszą modą, lecz w typowo męski i pozbawiony próżności sposób, co bardzo jej się podobało. Prawdę mówiąc, wiele jej się w nim podobało. Nie kryła entuzjazmu.

- To wspaniały sklep. Jeżdżę tam co parę miesięcy, by z ruchomych schodów popatrzeć na wszystkie te wspaniałości i poczuć, jak mi na ich widok cieknie ślinka. Kiedy mieszka się tutaj, nieczęsto ma się okazję myśleć o takich rzeczach.

- Zastanawiałem się nad tym tego lata - mówił z wahaniem, jakby dzieląc się najskrytszym marzeniem. - Zawsze chciałem mieć sklep właśnie w takim miejscu. Mały, zwykły wiejski sklep, gdzie byłoby wszystko, począwszy od butów do jazdy konnej, a na strojach wieczorowych skończywszy. Musiałyby to być towary naprawdę piękne, najlepszej jakości. Tutejsi ludzie nie mają czasu, by jeździć sto, mil po ładną suknię, a błąkanie się po wielkim sklepie jest dla nich zbyt absorbujące. Natomiast coś małego, prostego, ale naprawdę dobrego byłoby tu w sam raz... Czy nie mam racji?

Był podniecony, podobnie jak Megan. Pomysł wydawał się obojgu znakomity.

- Tylko najlepsze rzeczy ciągnął dalej i w bardzo małych partiach. Może warto kupić jeden z tych wiktoriańskich domków i przerobić na sklep.

Im więcej o tym mówił, tym większy ogarniał go entuzjazm. W końcu się roześmiał.

- Mrzonki. Najpewniej świadomość, że się jest handlowcem, trawi człowiekowi umysł

bez względu na okoliczności.

Megan popatrzyła na niego wesoło. Ujął ją sposób, w jaki to powiedział.

- Dlaczego nie zrobisz czegoś takiego? Tutaj naprawdę nie ma czego kupić. Nie ma tu nic poza kilkoma nędznymi sklepikami, którymi nie warto sobie nawet zawracać głowy, natomiast jest dużo pieniędzy, zwłaszcza w okresie letnim, a jeśli brać pod uwagę winnice to właściwie przez cały rok.

Bernie zmrużył oczy, potem potrząsnął głową. Myślał o tym, ale bez rezultatu.

- Nie wiem, kiedy znalazłbym na to czas, poza tym niebawem wracam. W każdym razie miło jest pomarzyć.

Od bardzo dawna już nie marzył. O niczym i o nikim, i Megan to wyczuła. Z prawdziwą przyjemnością z nim gawędziła, ponadto podobał jej się bardzo jego pomysł, a jeszcze bardziej on sam.

Był niezwykle człowiekiem ciepłym, silnym i przyzwoitym, przy tym niezwykle delikatnym, i to również podobało się Meg.

Berniego zainteresował sygnalizator telefoniczny zaczepiony z tyłu jej paska i zmienił temat. Rozmowa o sklepie, choć wzbudziła większe, niż mógłby przypuszczać, zainteresowanie Meg, jemu samemu wydawała się nieprzyzwoicie rutynowa.

- Mam dyżur przez cztery noce w tygodniu, a przez sześć dni w tygodniu przyjmuję pacjentów, dzięki czemu ciągle jestem zajęta i nie ziewam nikomu prosto w twarz z niewyspania.

Oboje wybuchnęli śmiechem, ale na Berniem jej słowa wywarły wrażenie. Musiała być sumienna, skoro pracowała tak ciężko, a nawet na przyjęcia przychodziła z brzęczykiem. Zauważył też, że wypila jedną szklankę wina i odmówiła więcej.

- Brakuje nam tu nie tylko sklepów, ale i lekarzy - dodała z uśmiechem. - Jesteśmy z kolegą jedynymi pediatrami w obrębie dwudziestu mil, co może nie brzmi imponująco, ale czasami bywamy okropnie zajęci, tak jak na przykład tej nocy, kiedy widzieliśmy się w szpitalu. To było moje trzecie bolące ucho. Pierwsze obejrzałam w domu, a drugie opuściło szpital tuż przed waszym przyjściem. Nie stwarza to szans na spokojne domowe ognisko.

Nie wydawała się jednak z tego powodu nieszczęśliwa, wyglądała raczej na zadowoloną i usatysfakcjonowaną. Było oczywiste, że praca jest dla Meg źródłem radości. Opowiadała o niej z takim entuzjazmem! Poza tym Berniemu podobało się jej podejście do Alexandra.

- Dlaczego poszłaś na medycynę?

Musiała być bardzo oddana swej pracy, co zawsze wywierało na nim ogromne

wrażenie. Nigdy nie pociągało go jednak takie życie. Jeszcze jako dziecko wiedział, że za żadne skarby nie pójdzie w ślady ojca.

- Mój ojciec jest lekarzem - wyjaśniła - ginekologiem położnikiem, co nie bardzo do mnie przemawia, w przeciwieństwie do pediatrii. A mój brat jest psychiatrą. Matka chciała być w czasie wojny pielęgniarką, ale skończyło się na tym, że została ochotniczką Czerwonego Krzyża. Podejrzewam, że wszyscy mamy medyczne ciągoty. To dziedziczne oświadczyła - i oboje wybuchnęli śmiechem.

Wszyscy skończyli też Harvard, o czym mu nie wspomniała. Rzadko to robiła. Ona poszła do Radcliffe, a potem na medycynę w Stanford, którą ukończyła z drugą lokatą, co dziś nie miało już specjalnego znaczenia. - Była zajęta swoją pracą, robiła zastrzyki, nastawiała kości, leczyła bolące uszy i kaszel, była tutaj dla dzieci, które kochała i którymi się opiekowała.

- Mój ojciec jest lekarzem.

Bernie był zadowolony, że mają ze sobą coś wspólnego.

- Uszy, nosy i gardła. Mnie nigdy jakoś nie wydawało się to zbyt ekscytujące. Tak naprawdę to zawsze chciałem uczyć literaturę w szkole średniej w Nowej Anglii. Teraz brzmiało to głupio.

Wydawało mu się, że era pasji do literatury rosyjskiej minęła tysiąc lat temu i dzisiaj wspomnienie tego okresu budziło w nim już tylko śmiech.

- Często podejrzewam, że Wolff uratował mnie od losu gorszego od śmierci. Chciałem pracować w małej szkole w sennym miasteczku, a przynajmniej tak to sobie wyobrażałem, ale dzięki Bogu nigdzie mnie nie przyjęto, bo może do tej pory po padłbym już w alkoholizm.

Oboje na myśl o tym wybuchnęli śmiechem.

- Albo bym się powiesił. Uważam, że sprzedawanie butów, futer i francuskiego chleba jest o niebo lepsze od życia w takim miejscu.

Megan roześmiała się, ubawiona tak oryginalnym opisem pracy u Wolffa.

- Tak właśnie się widzisz?

- Mniej więcej - odparł.

Popatrzyli sobie w oczy w serdecznym porozumieniu, które połączyło ich jakąś magiczną więzią.

Gawędzili swobodnie o sklepie, gdy odezwał się brzęczyk Megan. Przeprosiła Berniego i poszła do telefonu. Okazało się, że musi przyjąć kogoś w szpitalu.

- Mam nadzieję, że to nic strasznego - minę miał zmartwioną, lecz ona tylko się uśmiechnęła. Przywykła do tego. A tak naprawdę było bardziej niż oczywiste, że to uwielbia.

- To tylko rozbita głowa, ale chcę na niego zerknąć, tak na wszelki wypadek.

Cechowały ją rozwaga i rozsądek, w dodatku, jak Bernie przypuszczał, była dobrym lekarzem.

- Miło mi było znowu się z tobą spotkać Bernardzie.

Wyciągnęła do niego rękę. Jej dłoń była chłodna, a uścisk pewny. Dopiero teraz, gdy podeszła bliżej, poczuł zapach jej perfum. Był bardzo zmysłowy i kobiecy, ale nieagresywny, tak jak i ona sama.

- Następnym razem, gdy przyjedziesz do miasta, odwiedź mnie w sklepie. Sam ci sprzedam francuski chleb, byś się przekonała, że wiem, gdzie leży.

Megan zaśmiała się do niego.

- Nadal uważam, że powinienes otworzyć tu, w Napa sklep swoich marzeń.

- Bardzo bym chciał.

Było to jednak tylko marzenie. Jego pobyt w Kalifornii miał się ku końcowi. Znowu spojrzeli sobie w oczy i Megan zostawiając go z przykrością, podziękowała gospodarzowi i odjechała.

Austin healy ruszył z warkotem i w chwilę później Bernie ujrzał jej włosy rozwiewające się na wietrze. Sam też wkrótce opuścił przyjęcie, a jadąc do domu, myślał o Megan i o tym, czy ją jeszcze zobaczy oraz jak bardzo ją polubił i jak ślicznie wyglądała w swej cygańskiej bluzce z odkrytymi ramionami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W miesiąc później pewnej deszczowej soboty Bernie udał się do Saint Helena po sprawunki dla niani. Wychodził właśnie ze sklepu z artykułami żelaznymi, gdy zderzył się z Megan. Miała na sobie długi żółty płaszcz nieprzemakalny i czerwone kalosze, a na ciemnych włosach jasnoczerwony szalik. Przestraszyła się, kiedy wpadli na siebie. Z rękami pełnymi różnych paczek posłała mu przyjacielski uśmiech. Od czasu ich ostatniego spotkania często o nim myślała i teraz rozjaśniła się na jego widok.

- No, no, witaj znowu. Jak się miewasz?

Oczy jej błyszcząły jak dwa szafiry i Bernie patrzył na nią z przyjemnością.

- Dobrze... jak zwykle... A co u ciebie?

- Za dużo pracuję. - Mimo to wyglądała na szczęśliwą. - A jak dzieci?

Wszystkim zadawała to samo pytanie, ale widać było, że naprawdę ją to obchodzi.

- Zdrowe - odparł pośpiesznie, czując się sam jak dziecko, co bardzo go rozbawiło.

Stali na deszczu. Bernie miał na sobie stary tweedowy kapelusz, dzinsy i angielski płaszcz przeciwdeszczowy, który pamiętał jeszcze lepsze czasy. Nagle zerknął ukradkiem na moknącą Megan:

- Czy mogę ci postawić kawę, czy też się gdzieś spieszysz?

Pamiętał jej brzęczyk i rozbitą głowę, z powodu której uciekła z przyjęcia w dniu Święta Pracy.

- Wyobraź sobie, że na dzisiaj skończyłam i z przyjemnością pójde na kawę.

Wskazała bar na końcu ulicy i Bernie pospieszył za nią, zastanawiając się, dlaczego właściwie ją zaprosił. Ilekroć się spotykali, ulegał jej czarowi: pociągała go coraz bardziej i zły był na siebie, ponieważ wydawało mu się, że nie jest to w porządku. Nie miał prawa interesować się nią.

Gdy znaleźli wolny stolik i usiedli, ogarnęło ich, jak zwykle w takich wypadkach, zakłopotanie. Megan zamówiła gorącą czekoladę, a Bernie kawę cappuccino. Oparł się wygodnie na krzesło i patrzył na nią. Bez śladu makijażu, wyglądała pięknie.

Należała do tego typu kobiet, które z początku wydają się przeciętne i dopiero potem, powoli, człowiek uświadamia sobie, że jest w nich coś więcej, że mają piękne rysy twarzy, zdumiewające oczy, wyjątkowe ciało, a wszystko razem tworzy wspaniałą całość. I to bez blasku reflektorów.

- Na co patrzysz?

Spostrzegła, że wlepił w nią oczy, i była pewna, że wygląda okropnie. Bernie uśmiechnął się jednak i przekrzywiwszy głowę na bok, nie przestawał się w nią wpatrywać.

- Myślałem o tym, jak ładnie wyglądasz w tym płaszczu, kaloszach i czerwonym szaliku na czarnych włosach.

Kiedy tak chłonał ją zachwyconym spojrzeniem, zaczerwieniła się gwałtownie i wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś albo ślepy, albo pijany. Już od przedszkola byłam chyba najwyższą dziewczyną w gronie rówieśników. Brat mi mówił, że mam nogi jak latarnie uliczne, a zęby jak klawisze fortepianu.

- A włosy jak jedwab... oczy jak czyste szafiry i...

Bernie przegonił te myśli, postanawiając poprzestać na czymś banalnym.

- Myślę, że bracia zawsze mówią takie rzeczy, czyż nie tak? Co prawda jako jedynak nie mam co do tego pewności, ale wydaje mi się, że ich głównym zajęciem jest dokuczanie własnym siostrom.

Zaśmiała się do swych wspomnień.

- Mój był w tym dobry. Szczerze mówiąc, mam bzika na jego punkcie. On ma szóstkę dzieci.

Uśmiechnęła się w zadumie, a Bernie parsknął śmiechem. Kolejna katoliczka. Matka byłaby wstrząśnięta, usłyszawszy te rewelacje. Myśl o tym bardzo go nagle rozbawiła. Zdecydowanie nie była to córka pani Rosenthal, modelka Ohrbacha. Była jednak lekarzem, co powinno podobać się matce, a także ojcu. Ale czy to ma jakieś znaczenie?

Szybko przywołał się do porządku, przecież to tylko gorąca czekolada i kawa w deszczowe popołudnie w Napa.

- Czy twój brat jest katolikiem? - Irlandzcy katolicy to by tłumaczyło kolor jej włosów.

Megan pokręciła jednak głową ze śmiechem.

- Nie, należy do Kościoła episkopalnego. Po prostu kocha dzieci. Jego żona mówi, że chciałyby mieć ich tuzin.

W oczach Megan pojawiła się jakby zazdrość. Bernie doskonale ją rozumiał.

- Duże rodziny zawsze wydawały mi się wspaniałe - powiedział, gdy podawano im gorące napoje: jej z bitą śmietaną, a jemu z mlekiem w proszku i gałką muszkatołową.

Bernie upił łyk i spojrzał na nią, zastanawiając się, jaka jest, co porabiała do tej pory, czy ma własne dzieci. Uświadomił sobie, że niewiele o niej wie.

- Nie masz męża, prawda, Megan?

I tak nie przypuszczał, by była mężatką, niemniej uświadomił sobie, że nie jest tego pewien. Obawiam się, że za mało na to miejsca przy nocnych we zwaniach i osiemnastogodzinnym dniu pracy.

Praca oto jej największa miłość, choć wcale to nie wyjaśniało, dlaczego nikogo nie miała. Nagle postanowiła być z nim uczciwa. Tak jak dawno temu Liz, teraz ona ujrzała w nim mężczyznę, przed którym można się otworzyć, któremu można szczerze się ze wszystkiego zwierzyć.

- Wiele lat temu byłam zaręczona. Też był lekarzem. - Uśmiechnęła się, a jej szczerść niemal fizycznie obezwładniła Berniego. - Po skończonej praktyce w szpitalu wysłano go do Wietnamu, gdzie zginął, zanim rozpoczęłam staż.

- To musiało być dla ciebie straszne.

Chłonał każde słowo. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał ból, którego doświadczyła. Mimo wszystko dla niej była to już przeszłość, choć wciąż tęskniła za Markiem Teraz jednak nie był to ten ostry ból, który ciągle nie opuszczał Berniego. Od śmierci Liz minął przecież zaledwie rok. Ale miał wrażenie, że Megan potrafi go zrozumieć, co więcej, słuchając jej, nagle pojął, że znalazł w końcu pokrewną duszę.

- To było naprawdę okropne. Byliśmy już od czterech lat zaręczeni i Mark tylko czekał, aż skończę studia. On już studiował medycynę na Harvardzie, podczas gdy ja zaliczałam rok zerowy. W każdym razie... - na chwilę spuściła wzrok. - Mówiąc krótko, to był dla mnie niezły cios. Chciałam wziąć roczny urlop i odłożyć praktykę, ale rodzice mi to wyperswadowali. Zastanawiałam się nawet, czy w ogóle nie rzucić medycyny i nie zająć się pracą naukową. Przez jakiś czas czułam się okropnie rozbita. Praktyka w szpitalu postawiła mnie jednak znów na nogi, a potem przyjechałam tutaj. - Uśmiechnęła się do niego łagodnie, jakby chciała powiedzieć, że każdy jest w stanie przeżyć stratę bez względu na to, jaka by była bolesna. - Trudno wprost uwierzyć, ale od jego śmierci minęło dziesięć lat, a jak pamiętam, od tamtej pory dla nikogo tak naprawdę nie miałam czasu.

Zaczerwieniła się, potem roześmiała.

- Co nie znaczy, że z nikim się nie spotykałam, ale nigdy poważnie się nie zaangażowałam. Dziwne, prawda?

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że od śmierci Marka minęło już dziesięć lat, jej zaś wydawało się, że zaledwie wczoraj wyjechali razem z Bostonu. By być bliżej niego, poszła do Stanford i została na Zachodzie. A teraz nie wyobrażała sobie życia w Bostonie.

- Czasami żałuję, że nie wyszłam za mąż i nie mam dzieci.

Uśmiechnęła się i upiła łyk czekolady, podczas gdy Bernie patrzył na nią z podziwem.

- Jest już właściwie za późno, mam jednak pacjentów, którzy potrafią zadośćuczynić tym potrzebom, bo wymagają i wychowywania, i matkowania.

Znowu się uśmiechnęła, lecz Bernie nie był przekonany, czy rzeczywiście jej to wystarcza.

- To nie to samo.

Mówił cicho, wpatrując się w Meg, zaintrygowany tym, co w niej dojrzał.

- Na pewno nie to samo, ale daje na swój sposób satysfakcję, a nigdy nie zjawiał się odpowiedni mężczyzna. Na ogół mężczyźni nie są w stanie znieść kobiet robiących karierę zawodową. Nie ma sensu rozpaczać za czymś, co i tak jest nierealne. Trzeba po prostu robić dobrą minę do złej gry.

Bernie pokiwał głową. Też próbował to robić bez Liz, ale wciąż było mu cholernie ciężko. Nareszcie znalazł kogoś, komu mógł o tym wszystkim powiedzieć, wiedząc, że zostanie zrozumiany.

- Tak samo myślę o Liz... mojej żonie... Wydaje mi się, że już nigdy nie znajdę kogoś takiego jak ona.

Jego spojrzenie było tak szczere, że Megan niemal odczuła ból.

- Na pewno nie, ale gdybyś trochę spróbował, może udałoby ci się kogoś znaleźć.

Zaprzeczył ruchem głowy. Pojął, że znalazł przyjaciela.

- Nie chcę.

Była pierwszą osobą, której potrafił to powiedzieć, a kiedy już to uczynił, odczuł ulgę.

- Ja też tak myślałam. Z czasem jednak człowiekowi robi się lżej.

- To dlaczego za nikogo nie wyszłaś?

Słowa te ugodziły ją jak cios pięścią. Spojrzała na Berniego poważnie.

- Chyba nigdy nie chciałam.

Była z nim zupełnie szczerą.

- Uważałam, że byliśmy z Markiem idealnie dobraną parą. Już nigdy nie doświadczyłam czegoś takiego. Ale wiesz co? Czasami myślę, że może się myliłam. - Nigdy nie przyznała się do tego nikomu, a zwłaszcza własnej rodzinie. - Chciałam wyłącznie kogoś dokładnie takiego jak on, a może właśnie ktoś zupełnie do niego niepodobny byłby dla mnie również dobry, jeśli nie lepszy. Może Właściwy Człowiek wcale nie musi być koniecznym pediatrą jak ja i prowadzić wiejską praktykę? Może powinnam wyjść za prawnika, stolarza albo nauczyciela i być szczęśliwą matką szóstki dzieci?

Spojrzała na niego pytająco. Kiedy odpowiadał, jego głos był niski i łagodny.

- Wiesz, że jeszcze nie jest za późno.

Uśmiechnęła się i oparła wygodniej na krześle. Była teraz mniej napięta, rozmowa z nim przyniosła jej ulgę i radość.

- Za bardzo przywykłam chodzić własnymi ścieżkami. Jestem starą panną z krwi i kości.

- I bardzo z tego dumną - roześmiał się Bernie. Nie wierzył Meg ani na jotę. - Wiesz? to, co powiedziałaś, bardzo mi pomogło. Niektórzy naciskają na mnie, bym zaczął spotykać się z kobietami, a ja nie jestem jeszcze przygotowany.

Starał się przed nią usprawiedliwić a zarazem szukał wytłumaczenia stanu, w jakim się znalazł. Nie potrafił siebie zrozumieć, kiedy tak bardzo bronił się przed tym, czego pragnął, i kiedy patrząc na nią, doznawał uczuć budzących dawne wspomnienia, wprowadzające go teraz w zakłopotanie.

- Nie pozwól, aby ktokolwiek mówił ci, co masz robić, Bernardzie. Sam będziesz wiedział, kiedy nadejdzie właściwy czas. Również ze względu na dzieci tak będzie najlepiej. Kiedy to się stało?

Chodziło jej o śmierć Liz. Teraz Bernie potrafił już zdobyć się na spokojną odpowiedź.

- Niewiele ponad rok temu.

- Potrzeba ci trochę czasu.

W oczach Berniego pojawiło się pytanie.

- I co potem? Co będzie potem, skoro tamto już nigdy nie wróci?

- Pokochasz kogoś całkiem innego.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Już dawno nie spotkał kobiety, która miałaby w sobie tyle ciepła.

- Masz do tego prawo.

- A ty? Dlaczego ty nie miałaś do tego prawa?

- Może nie chciałam... może nie starczyło mi odwagi, by szukać.

To były mądre słowa.

Rozmawiali potem jeszcze o innych sprawach: o Bostonie, Nowym Jorku, domku wynajmowanym przez Berniego, pediatrze, z którym Megan dzieliła obowiązki.

Bernie opowiedział jej nawet o Mary Pippin i zaśmiewali się z niektórych jej przygód. Było to czarujące popołudnie i Berniemu zrobiło się przykro, gdy Megan stwierdziła, że musi iść. Jechała do Calistogi na obiad do kogoś z przyjaciół i nagle Bernie poczuł ciekawość, kto to taki kobieta czy mężczyzna, czy to przyjaźń czy romans.

Patrząc, jak odjeżdża w strugach deszczu pomachałszy mu na pożegnanie, przy

pomnił sobie wszystko, co dzisiaj powiedziała. „Może nie starczyło mi odwagi, by szukać...”
Gdy uruchamiał samochód i ruszał do domu, gdzie czekała na niego niania i dzieci,
zastanawiał się, czy kiedyś znowu będzie sobą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

W tydzień później Bernie był akurat zajęty, gdy weszła sekretarka z informacją, że chce się z nim widzieć jakaś pani.

- Pani? - spojrzał zdziwiony. Nie miał pojęcia, kto to może być. - Jaka pani?

- Nie wiem.

Sekretarka miała nie mniej zdziwioną minę. Na ogół nie odwiedzały go kobiety z wyjątkiem dziennikarek, ochotniczek pragnących zorganizować pokaz mody dla Legii Juniorek czy też kobiet wysłanych przez Paula Bermana z Nowego Jorku. Zawsze jednak były wcześniej umówione, natomiast ta przyszła nie zapowiedziana. Prezentowała się atrakcyjnie pod każdym względem. Sekretarka, dostrzegłszy to na pierwszy rzut oka, nie potrafiła jej podciągnąć pod żadną z tych kategorii.

Nie miała stereotypowego wyglądu członkini Legii Juniorek z jasnymi pasemkami włosów, złotymi, noszonymi od dziesięciu lat kolczykami w kształcie muszelek i butami ozdobionymi złotymi łańcuszkami. Nie miała też wyglądu ubranej bez gustu matrony planującej imprezę charytatywną ani postawy zdolnej dziennikarki lub nowojorskiego kupca. Wyglądała świeżo i schludnie i w jakiś dziwny sposób sprawiała wrażenie osoby coś znaczącej, choć jej ubiór nie należał ani do specjalnie oryginalnych, ani zbyt wytwornych. Miała na sobie granatowy kostium i jedwabną, beżową bluzkę, kolczyki z perełkami i granatowe pantofle na wysokich obcasach. Była wysoka i miała bardzo zgrabne nogi.

Bernie siedział z oczami utkwionymi w sekretarce i zastanawiał się, czemu jej informacje są tak skąpe.

- Czy spytała ją pani, kim jest?

Kobieta była na ogół rozgarnięta, ale tym razem wyglądało na to, że straciła głowę.

- Powiedziała tylko, że przyszła kupić chleb... Poinformowałam ją, że to nie tutaj, że tu są biura, ale ona uparła się, że pan jej obiecał...

Nagle Bernie z głośnym śmiechem zerwał się z krzesła, ruszył do drzwi pod bacznym spojrzeniem sekretarki i ujrzał... ją. Megan Jones wyglądała bardzo szycownie i w niczym nie przypominała zabieganej lekarki. Zniknął gdzieś biały kitel i dzinsy, uśmiechała się zniewalająco, podczas gdy on stał w drzwiach i patrzył na nią rozpromieniony.

- Zupełnie zbiłaś z tropu moją sekretarkę - powiedział miękko. - Co tu porabiasz? Wiem, wiem, kupujesz chleb.

Sekretarka ulotniła się po cichu innym wyjściem, a Bernie zaprosił Megan do środka.

Weszła za nim i rozejrzała się wokoło. Wnętrze gabinetu jednoznacznie świadczyło o wysokiej pozycji gospodarza i wywarło na niej duże wrażenie. Kiedy w chwilę potem siadała na jednym z wielkich skórzanych foteli, spoglądając z uśmiechem na Berniego, który sadowił się właśnie na rogu swego biurka, nie miała wątpliwości, że jest bardzo zadowolony ze spotkania.

- Co sprowadza tu panią doktor?... Oczywiście poza chlebem?

- Koleżanka ze studiów. Rzuciła pracę, by wyjść za mąż i mieć dzieci. Wówczas mnie to szokowało... teraz nie jestem już taka pewna. Właśnie urodziła piąte i obiecałam, że ją odwiedzę. Pomyślałam, że wypadaloby kupić sobie trochę nowych ciuchów. Jadę na święta do domu i matka by się zapłakała, gdyby zobaczyła moją garderobę z Napa. Muszę pamiętać, że ludzie w Bostonie noszą się nieco inaczej. - Uśmiechnęła się do niego z zakłopotaniem. - Powinam przynajmniej zacząć od odpowiedniego wyglądu. Zwykle już trzeciego dnia degeneruję się i wracam do dzinsów, ale postanowiłam, że tym razem się postaram. - Spojrzała na swój granatowy kostium, potem na Berniego. - Właśnie dziś ćwiczę. Jak wyglądam?

Niepewna mina Meg, z jaką czekała na werdykt, wzruszyła go.

- Wyglądasz uroczo, szalenie szykownie i bardzo ładnie.

- Bez dzinsów czuję się, jakbym była naga. Tak jak bez kitla...

- Nie wiedzieć czemu zawsze wyobrażam sobie ciebie w białym kitlu albo w płaszczu przeciwdeszczowym.

Megan uśmiechnęła się. W takim stroju istotnie czuła się najlepiej. Natomiast w jej myślach Bernie pojawiał się zawsze w niebieskiej koszuli i białych spodniach, tak jak na przyjęciu w dniu Święta Pracy. Prezentował się wówczas znakomicie, choć w swym codziennym garniturze był nie mniej przystojny. Niemal onieśmiał... ale nie tak bardzo, ponieważ zdążyła go już poznać.

- Czy chcesz, żebym cię oprowadził po sklepie?

Stos papierów na biurku świadczył o tym, że jest zajęty. Nie chciała mu przeszkadzać. Miło, że mogli spędzić razem choć parę chwil.

- Sama dam sobie radę. Chciałam się tylko z tobą przywitać.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. - Nie chciał się jeszcze z nią rozstawać. - - O której spotykasz się z koleżanką i jej nowym dzieckiem?

- Powiedziałam im, że będę koło czwartej, jeżeli uporam się do tego czasu z zakupami.

- A może poszlibyśmy potem na drinka?

Patrzył z nadzieją w oczach. W takich chwilach czuł się przy Meg jak mały chłopczyk. Chciał być jej przyjacielem... a nawet czymś więcej, z drugiej strony nie chciał... Jeszcze nie wiedział, czego od niej chce oprócz przyjaźni. Na razie nie musiał się tym martwić. Wyglądało na to, że obojgu wiele radości daje odwzajemniana przyjaźń i że Megan nie oczekuje od niego niczego więcej. Zaproszenie sprawiło jej wyraźną przyjemność.

- Cudownie. Nie muszę wracać do Napa przed jedenastą, bo do tej pory zastępuje mnie Patrick.

- A potem wracasz do pracy? - Bernie był przerażony. - To kiedy śpisz?

Uśmiechnęła się rozbijając.

- Dziś wstałam o piątej do pięciomiesięcznego dziecka z krupem. Z czasem można przywyknąć.

Bernie jęknął.

- Ja bym się nie przyzwyczył. Dlatego właśnie pracuję u Wolffa, a nie zostałem lekarzem, jak chciała matka. Wiesz - błysnął zębami w szerokim uśmiechu - jesteś ideałem każdej żydowskiej matki. Gdybyś była moją siostrą, matka nie posiadałaby się z radości.

Megan wybuchnęła śmiechem.

- A moja błagała mnie, bym nie szła na studia medyczne. Zawsze mi powtarzała, żebym została pielęgniarką albo nauczycielką, albo chociaż sekretarką, żebym postarała się o przyjemną pracę, w której poznam kogoś i wyjdę za mąż.

Jakby był przy tym. Opowieść Meg rozbawiła go.

- Założę się, że teraz jest z ciebie piekielnie dumna, co?

Megan wzruszyła skromnie ramionami.

- Czasami. Dobrze, że chociaż dzięki mojemu bratu ma wnuki, bo inaczej już bym przez nią zwariowała.

Spojrzała na zegarek i wstała z uśmiechem.

- Lepiej wreszcie sobie pójdę. Gdzie się spotkamy na drinku?

- W L'Etoile o szóstej?

Powiedział to zupełnie bez namysłu i dopiero potem zaczął się zastanawiać, czy powinien. Była pierwszą kobietą, nie licząc matki, którą tam zaprosił, odkąd utracił Liz. Ale w końcu, cóż do diabła, to było wspaniałe miejsce na drinka, a Megan zasługiwała na najlepsze. Miała w sobie klasę, która go intrygowała. Dobrze wiedział, że nie jest taką sobie zwykłą dziewczyną. Była inteligentną kobietą, dobrym przyjacielem i doskonałym lekarzem.

- A więc do zobaczenia.

Jeszcze od drzwi posłała mu uśmiech. Po tej wizycie dzień stał się barwniejszy. Z

biura Bernie wyszedł o wpół do szóstej i ruszył powoli do L'Etoile. Był w doskonałym humorze. Wziął ze sobą bochenek francuskiego chleba i flakonik ulubionych perfum Megan. Gdy podawał jej to wszystko ponad stołem, miała minę wyraźnie zaskoczona.

- Wielkie nieba, a cóż to?

Wyglądała na uradowaną, lecz kiedy ich oczy się spotkały, Bernie zrozumiał, że ten dzień nie był dla niej najlepszy.

- Czy coś się stało? - spytał w końcu już przy kieliszku kiru.

Okazało się, że oboje uwielbiają ten napój.

Trzeci rok studiów Megan spędziła w Prowansji i bardzo mu zaimponowała swą świetną francuszczyzną.

- Sama nie wiem - westchnęła i oparła się wygodniej na krześle. Zawsze była z nim szczerą, a Bernie chętnie słuchał jej zwierzeń. - To się stało, gdy patrzyłam dziś na dziecko.

Bernie czekał na to, co chce mu powiedzieć.

- Po raz pierwszy doznałam tego okropnego bólu, o którym opowiadają kobiety... bólu, który powoduje, że zaczynasz się zastanawiać, czy rzeczywiście wybrałaś właściwą drogę w życiu.

Upiła łyk drinka i popatrzyła na niego prawie ze smutkiem.

- To straszne nie mieć w ogóle dzieci, prawda? Do tej pory nigdy czegoś takiego nie odczuwałam. Może jestem po prostu zmęczona po ostatniej nocy z chorym malcem.

- Nie sądzę. Posiadanie dzieci to najwspanialsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała. Jesteś wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie z tego sprawę. W przeciwieństwie do wielu kobiet dobrze wiesz, co tracisz.

- I co z tego? Wybiegnę i porwę jakieś dziecko, czy też mam zająć w ciążę ze znajomym sprzedawcą na targu w Napa?

Uśmiechnęła się, ale widać było, że jest zmartwiona. Bernie odpowiedział uśmiechem, choć niezupełnie się z nią zgadzał.

- Podejrzewam, że jest więcej ochotników.

Trudno było uwierzyć, że nie miała okazji. Megan zaczerwieniła się lekko; w tonącej w półmroku sali rozbrzmiewały ciche dźwięki fortepianu.

- Może i są, ale nie zależy mi na tym, aby mieć dziecko, które będzie się chowało bez ojca. Nie jestem nawet pewna, czy rzeczywiście pragnę dziecka. Ale dziś... - powiedziała z rozmarzeniem, patrząc na niego niewidzącymi oczami - gdy trzymałam je na rękach... jakimż cudem natury są dzieci.

Spojrzała na Berniego i wzruszyła ramionami.

- To głupie, że tak poetyzuję, prawda? Życie, które wiodę, jest dobre.
- Może mogłoby być lepsze - powiedział Bernie ni to do niej, ni to do siebie.
- Może.

Nie paliła się jednak do tego. Takie rozmowy zawsze przypominały jej o Marku, a to nadal bolało, nawet po tylu latach. Już nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on.

- W każdym razie pomyśl o pieluchach, których nie muszę zmieniać. Mogę biegać ze słuchawkami i kochać wszystkie dzieci.

Bernie usłyszał w jej głosie samotność. Nie wyobrażał sobie życia bez Jane i Alexandra i postanowił jej o tym powiedzieć.

- Kiedy Alex się urodził, miałem trzydzieści siedem lat i przyznaję, że jest najwspanialszym darem losu.

Megan uśmiechnęła się wzruszona jego wyznaniem.

- A ile lat miała twoja żona?

- Prawie dwadzieścia dziewięć, ale myślę, żeby go urodziła, nawet gdyby była o dziesięć lat starsza. Ona naprawdę chciała mieć jeszcze dzieci.

To okropne, że nie mieli ich więcej. Okropne, że Liz nie żyła. Okropne, że nie żył też Mark. Prawda była jednak taka, że oboje zmarli, a Bernie i Megan ich przeżyli.

- W moim zawodzie ciągle spotykam jeszcze starsze matki. Uważam zawsze, że są bardzo dzielne. Najważniejsze, że zrobiły to, czego chciały, wyszumiały się, nacieszyły wolnością, zrobiły karierę, jeżeli właśnie o to im chodziło. Czasami myślę, że dzięki temu nawet lepiej spełniają rodzicielskie obowiązki.

- A więc? - Uśmiechnął się czując, że mówi jak własna matka. - Dlaczego nie urodzisz dziecka?

Roześmiała się szczerze.

- Powiem rodzicom, że mi to doradziliś.

- Powiedz im, że masz moje błogosławieństwo.

- Dobrze.

Patrzyli na siebie z tkliwością, a Megan, całkowicie rozluźniona, chłonęła dźwięki fortepianu.

- Jacy oni są?

Ciągle go interesowała, chciał poznać ją jeszcze lepiej. Wiedział o jej rozterkach związanych z posiadaniem dzieci, wiedział że uczyła się w Radcliffe i Stanford, że jej narzeczony zginął w Wietnamie, że pochodziła z Bostonu i mieszkała w Napa, lecz niewiele ponadto. Uważał ją poza tym za przemiłą kobietę i bardzo ją lubił. Naprawdę bardzo, może

nawet za bardzo, chociaż niechętnie się do tego przyznawał. W każdym razie udawał przed sobą, że lubi ją tylko trochę.

- Moi rodzice?

Pytanie wyraźnie ją zdziwiło, ale Bernie pokiwał głową.

- Myślę, że są sympatyczni. Ojciec zbyt ciężko pracuje, a matka go uwielbia. Zdaniem mojego brata oboje mają bzika. On mówi, że chce zrobić wielki majątek, a nie ślęczyć po nocach i odbierać porody. Dlatego poszedł na psychiatrię, a nie na położnictwo. Ja jednak sędzę, że swoją pracę traktuje poważnie - dodała w zamyśleniu, potem uśmiechnęła się - na tyle, na ile sam jest poważny. Na dobrą sprawę mój brat jest kopnięty. Ma jasne włosy, jest drobny, bardzo podobny do matki.

Obraz, który nakreśliła Megan, bardzo rozbawił Berniego.

- A ty jesteś podobna do ojca?

- Dokładnie.

Wcale nie wyglądało na to, że sprawia jej to przykrość.

- Brat nazywa mnie wielkoludem, a ja jego karłem. Od tego w dzieciństwie zaczynały się nasze niezliczone wojny.

Bernie śmiał się z jej opowieści.

- Wzrastaliśmy w Beacon Hill w uroczym domu, który kiedyś należał do mego dziadka. Niektórzy krewni mojej matki mają wysokie aspiracje. Nie sędzę, aby kiedykolwiek w pełni zaakceptowali ojca. Przypuszczam, że zawód lekarza jest dla nich za mało arystokratyczny. Ojciec jednak kocha to, co robi, i jest w tym bardzo dobry. Jak byłam na studiach, chodziłam na mnóstwo „jego” porodów, a ilekroć przyjechałam do domu na wakacje, widziałam pełno dzieci, którym uratował życie, a nawet jedną matkę. Jestem pewna, że gdyby nie ojciec, umarłaby. Niewiele wtedy brakowało, a poszłabym na położnictwo, choć naprawdę jestem szczęśliwa robiąc to, co robię, jako pediatra.

- Dlaczego nie chciałaś zostać w Bostonie?

- Szczerze? - Westchnęła z łagodnym uśmiechem.- Zbyt dużą presję na mnie wywierali. Nie chciałam iść w ślady ojca ani zostać oddaną żoną, dbającą jedynie o męża i dzieci, jak moja matka. Twierdziła, że powinnam pomóc Markowi zostać lekarzem, a sama siedzieć w domu i stworzyć mu wygodne życie. Nie ma w tym nic złego, ale ja chciałam czegoś więcej. Poza tym nie byłam w stanie znieść tego całego delikatnego, episkopalnopurytańskiego poganiania. W końcu nalegaliby, żebym wyszła za mąż za kogoś odpowiedniego, żyła dokładnie w takim samym domu jak ich i wydawała towarzyskie herbatki dla przyjaciół, również do nich podobnych. - Wydawało się, że sama myśl o tym ją

przeraża. - - To nie dla mnie, Bernie. Potrzebuję więcej przestrzeni i wolności, stale nowych ludzi i moich dzinsów. Tamto życie za bardzo człowieka ogranicza.

- Na pewno. Znam to, znam te naciski, których nienawidziłem w Scarsdale. Żyd, katolik, członek Kościoła episkopalnego to w gruncie rzeczy jedno i to samo. Chodzi o to, kim są i kim chcą, żebyś ty był. Czasami możesz, a czasami nie. Ja nie mogłem. Gdybym mógł, byłbym teraz żydowskim lekarzem, miałbym miłą żydowską żonę, która właśnie robiłaby sobie manicure.

Wizja, jaką roztoczył, rozśmieszyła Megan.

- Moja najlepsza przyjaciółka ze studiów była Żydówką. Jest teraz psychiatrą w Los Angeles i zbija tam fortunę. Przysięgam ci, że nigdy nie robiła sobie manicure. Uwierz mi, że była wyjątkiem. Czy twoja żona była Żydówką?

Chciała wiedzieć coś więcej również na jej temat. Bernie pokręcił głową. Wspomnienie Liz nie wytrąciło go tym razem z równowagi. Uśmiechnął się do Megan.

- Nie, nazywała się Elizabeth O'Reilly.

Zaśmiał się nagle na wspomnienie sceny, która miała miejsce tysiąc lat temu.

- Myślałem nawet, że przyprawiłem matkę o atak serca, gdy po raz pierwszy o niej powiedziałem.

Megan wybuchnęła głośnym śmiechem, a Bernie opowiedział jej dokładnie całą rozmowę.

- Moi rodzice zachowali się w identyczny sposób, gdy brat przedstawił im swoją żonę. Jest tak samo kopnięta jak mój brat, a poza tym to Francuzka. Matka sądziła, że to oznacza kogoś, kto pozuje do świerszczyków.

Oboje zaśmiewali się do łez, opowiadając sobie historyjki o słabostkach swych rodziców, dopóki Bernie nie spojrzał na zegarek i nie uświadomił sobie, że jest ósma. Wiedział, że Megan musi być w Napa przed jedenastą.

- Chcesz coś tutaj zjeść?

Zakładał, że zjedzą razem obiad, a w każdym razie miał taką nadzieję. Było mu wszystko jedno, gdzie zjedzą, najważniejsze, że będą razem.

- Może lubisz chińską kuchnię lub wolisz coś bardziej egzotycznego?

Spojrzała na niego niezdecydowanie, licząc czas.

- O jedenastej idę na dyżur... a to znaczy, że muszę wyjechać z miasta o wpół do dziesiątej. - Uśmiechnęła się do niego z za kłopotaniem. - Nie będziesz miał mi za złe, jeżeli pójdziemy gdzieś na hamburgera? Tak będzie szybciej. Patrick od razu się denerwuje, jak się spóźniam z przejściem dyżuru. Jego żona jest w ośmiomiesięcznej ciąży i kolega umiera ze

strachu, że może zacząć rodzić, podczas gdy ja utknę gdzieś w drodze. Dlatego naprawdę muszę być dziś w domu na czas.

To wcale nie znaczyło, że tego chciała. Wolałaby godzinami rozmawiać z Berniem.

- Nie mam nic przeciwko hamburgerom, a nawet - dał znak, że chce zapłacić i natychmiast, gdy tylko wyjął portfel, zjawił się kelner - znam pewne ucieszne miejsce niedaleko stąd, jeżeli nie przeszkadza ci oczywiście mieszane towarzystwo.

Można tam było spotkać każdego, od robotników portowych po szczurów lądowych, lecz Berniemu podobała się atmosfera tego lokalu i podejrzewał, że w przypadku Megan będzie tak samo. Miał rację. Była zachwycona, gdy tylko przekroczyli próg knajpki. Zjedli hamburgery i jabłecznik w barze portowym Olive Oyl's na nabrzeżu. Megan z żalem opuszczała to miejsce o wpół do dziesiątej, by wrócić do Napa. Obawiała się spóźnić, toteż natychmiast po obiedzie Bernie od prowadził ją do samochodu.

- Bez problemów dojedziesz do domu?

Pora była późna i martwił się o nią, czym szczerze ją rozbawił.

- Choć nie znoszę komentarzy na temat mojego wzrostu, to jednak jestem już dużą dziewczynką.

Bernie wybuchnął śmiechem.

- Spędziłam cudowny dzień.

- Ja też.

To prawda, już od dawna nie bawił się tak dobrze. Towarzystwo Megan nie było męczące, a możliwość dzielenia się z nią najbardziej intymnymi problemami i słuchania jej zwierzeń sprawiała mu prawdziwą radość.

- Kiedy znowu przyjedziesz do Napa? - spytała z nadzieją w głosie.

- Nie tak prędko. W przyszłym tygodniu muszę jechać do Europy, a niania nie ruszy się z dziećmi pod moją nieobecność. Za dużo kłopotu z pakowaniem i podróżą. Wracam za niecałe trzy tygodnie. Zadzwoń, jak będę z powrotem. Może wybierzemy się w końcu na lunch?

Spojrzał na nią z uśmiechem i nagle coś mu przyszło na myśl.

- Kiedy się wybierasz do rodziców?

- Na Boże Narodzenie.

- My też, do Nowego Jorku. Ale myśleliśmy, czyby nie spędzić w tym roku Święta Dziękczynienia w Napa.

Nie chciał być w te dni w mieście i myśleć o tym, czego już nigdy nie będzie.

- Odezwę się po powrocie z Nowego Jorku.

- Uważaj na siebie i nie przepracowuj się.

Uśmiechnął się, słysząc te słowa, po czym odprowadził ją do samochodu.

- Tak jest, pani doktor. Ty też dbaj o siebie i jedź ostrożnie.

Megan pomachała mu, a gdy odjeżdżała, spojrzął na zegarek. Było dokładnie za dwadzieścia pięć dziesiąta. Piętnaście po jedenastej zadzwonił do niej z domu. Poprosił telefonistkę, by ją wywołała, jeżeli to możliwe. Kiedy Megan podeszła do telefonu, powiedziała, że właśnie weszła w drzwi i dopiero co powiesiła płaszcz.

- Chciałem się tylko upewnić, że dojechałaś bez problemów. Za szybko jeździsz - złał ją.

- A ty za bardzo się przejmujesz.

- Mam to w genach - zaśmiał się Bernie. I miał całkowitą rację. Przez całe życie czymś się zajmował, dzięki czemu we wszystkim był dobry. Był perfekcjonistą niemal we wszystkim, czego się dotknął. U Wolffa dawało to bezsprzecznie wspaniałe rezultaty.

- Przepięknie jest dzisiaj w Napa, Bernie. Powietrze jest rześkie i czyste, a niebo usiane gwiazdami.

Miasto było natomiast spowite mgłą. Bernie był szczęśliwy, choć wolałby teraz znowu być przy niej. Ten wieczór skończył się za wcześnie.

- A tak w ogóle, to gdzie będziesz w Europie?

Ciekawiło ją wszystko, co robił. Jego życie było tak inne od tego, które sama prowadziła.

- W Paryżu, Londynie, Mediolanie i Rzymie. Jeżdżę tam w interesach firmy dwa razy do roku. A potem muszę zostać na parę spotkań w Nowym Jorku.

- To musi być bardzo fajne.

- Czasami tak.

Tak było w czasach, kiedy żyła Liz i zanim ją poznał, ale ostatnio miało to znacznie mniej uroku. Wyjazd, podobnie jak wszystko, co ostatnio robił, uprzytamniał mu, jak straszna jest samotność.

- Cudownie się dziś bawiłam, Bernie, dziękuję.

Roześmiał się na wspomnienie obiadu w Olive Oyl's na nabrzeżu.

- Na pewno nie był to Maxim.

- Bardzo mi się tam podobało.

Nagle odezwał się brzęczyk i Megan musiała kończyć. Po odłożeniu słuchawki Bernie długo jeszcze słyszał w uszach jej głos. By przyjąć trochę do siebie, wszedł do garderoby i wciągnął głęboko w nozdrza nadal wyczuwalny, ale już bardzo słaby zapach perfum Liz.

Trudniej było je teraz wyczuć i Bernie zamknął cicho drzwi w poczuciu winy. Tego wieczoru nie myślał o Liz, tylko o Megan i to za jej zapachem perfum nagle zatęsknił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Bernie został w Nowym Jorku dłużej, niż planował.

Ten rok był bardzo ważny dla rozwoju branży konfekcyjnej: w handlu zachodziły wielkie zmiany i Bernie chciał być górą. Do San Francisco wracał zadowolony z obrotu spraw i dopiero kiedy pojechali do Napa, przypomniał sobie o szaliku, który kupił Megan u Uermesa. Leżał wciśnięty w kąt torby podróźnej i kiedy Bernie wreszcie go znalazł, postanowił wręczyć prezent osobiście. Pojechał samochodem do miasta i zatrzymał się przed domkiem, w którym Megan mieszkała i gdzie miała swój gabinet. Kiedy dowiedział się, że jej nie ma, zostawił brązowe pudełeczko oraz karteczkę ze słowami: „Dla Megan z Paryża. Wszystkiego najlepszego, Bernie”.

Zatelefonowała jeszcze tego samego wieczoru z podziękowaniami. Uradowało go, że szalik tak bardzo przypadł jej do gustu. Był granatowo-czerwono-złoty i przypominał mu Megan w czerwonych kaloszach, dżinsach i żółtym nieprzemakalnym płaszczu.

- Właśnie wróciłam do domu i znalazłam go na biurku. Patrick musiał mi go tutaj zostawić. Jest prześliczny, Bernie, ogromnie mi się podoba.

- Cieszę się. W marcu otwieramy nowy butik z rzeczami Hermesa.

- To cudownie. Uwielbiam ich wyroby.

- Tak jak wszyscy. To powinno być dla nas korzystne.

Kiedy pochwalił się jeszcze innymi podpisanymi przez siebie kontraktami, nie szczędziła mu słów podziwu.

- A ja przez te trzy tygodnie rozpoznałam jedynie trzy przypadki zapalenia ucha, siedem angin, odkryłam początki bronchitu i ostre zapalenie wyrostka robaczkowego, nie mówiąc o milionach skaleczeń, drzazg, guzów i jednym złamanym kciuku.

Wyglądało na to, że jest sobą rozczarowana, ale Bernie był odmiennego zdania.

- To ma, według mnie, o wiele większe znaczenie. Żadne ludzkie życie nie zależy od mojego butiku z włoskimi torbami podróźnymi ani od fasonu francuskich pantofli. To, co robisz, nadaje życiu sens, jest bardzo ważne.

- Przypuśćmy, że tak.

Ostatnio znowu była w kiepskim nastroju. Żona jej współnika urodziła w tym tygodniu dziecko, dziewczynkę, i Megan kolejny raz doznała uczucia przejmującego żalu. Nie powiedziała jednak o tym Berniemu. Nie знаła go jeszcze tak dobrze i nie chciała, by pomyślał, że ma zaburzenia neurotyczne na tle cudzych dzieci.

- Nie powiedzieli ci, kiedy wracasz do Nowego Jorku?

- Jeszcze nie. Tym razem nie mieliśmy nawet czasu o tym pomówić. Tyle się dzieje teraz w sklepie, ale przynajmniej jest ciekawie.

- Czy zjadłabyś ze mną jutro lunch?

Chciał zaproponować jej spotkanie w barze w Saint Helena.

- Bardzo bym chciała, ale żona Patricka urodziła w tym tygodniu dziecko i muszę wziąć za niego dyżury. Chętnie natomiast wpadnę do was w drodze do szpitala, jak będę jechała na wizyty. A może za bardzo zdenerwuję Jane?

Była z nim szczerą. Podczas poprzednich spotkań czuła, jak wielką niechęć budzi w małej, i nie chciała jej niepokoić.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby się denerwować.

Nie zauważał tego, co widziała Megan, a w każdym razie nie tak wyraźnie.

- Nie sądzę, by była zachwycona obecnością innych kobiet. Miała na myśli: „koło ciebie”, ale nie powiedziała tego.

- Jane nie ma powodu do zmartwienia.

Megan nie była pewna, czy Bernie zdaje sobie sprawę, o co chodzi. Jane broniła w ten sposób pamięci swojej matki i w końcu miała do tego prawo. Megan nie chciała niczego zepsuć. To nie było potrzebne.

- Nie chcę nikomu robić przykrości.

- Mnie sprawisz przykrość, jeżeli nie wstąpisz. A poza tym najwyższy czas, byś poznała nianię Pip. To najwspanialsza osoba w naszej rodzinie. O której możesz do nas zajrzeć?

- Około dziewiątej. A może to za wcześnie?

- Doskonale, akurat będziemy jedli śniadanie. Do zobaczenia jutro.

Bernie czuł, że nadzieja na rychłe spotkanie przyspieszyła rytm jego serca. Mówił sobie, że dzieje się tak, ponieważ Megan jest bardzo interesującą kobietą, i uparcie bronił się zarówno przed wzruszeniem, jakie budziło w nim wspomnienie jej czarnych, błyszczących włosów, jak przed uczuciem gwałtownego pożądania, którego doznawał na każdą o niej myśl.

Megan przyjechała następnego dnia piętnaście po dziewiątej, gdy Bernie przygotował już dodatkowe miejsce. Kiedy kładł na stole serwetkę, Jane spojrzała na niego pytająco.

- Dla kogo to?

- Dla doktor Jones.

Starał się sprawiać wrażenie obojętnego i udawał, że przegląda „New York Timesa”, lecz niania przypatrywała mu się uważnie, a Jane w napięciu śledziła każdy jego ruch. Jak

sęp.

- Kto jest chory? - badała.

- Nikt, po prostu chciała wpaść do nas na kawę.

- Dlaczego? Kto ją wezwał?

Bernie uważnie popatrzył na córkę.

- Czemu tak się denerwujesz kochanie? To miła kobieta. A teraz lepiej wypij sok.

- Nie mam soku.

Na śniadanie jedli tego dnia truskawki. Bernie spojrzał na nią z roztargnieniem, potem uśmiechnął się bez troski.

- I tak go wypij.

Jane też zrobiła rozbawioną minę, ale nagle stała się wobec niego podejrzliwa. Nie chciała, by ktokolwiek wkraczał w ich życie. Mieli wszystko, czego było im potrzeba. Mieli siebie, Alexa i nianię Pip. To Alex zaczął na nią wołać Pip i tak zostało. „Niania Pippin” przerastała jego możliwości.

Potem przyjechała Megan z wielkim bukietem żółtych kwiatów i radosnym uśmiechem, którym obdarzyła wszystkich obecnych.

Bernie przedstawił ją niani Pip, ta zaś uściśnęła jej rękę z promiennym uśmiechem. Nie ulegało kwestii, że Megan od razu przypadła jej do serca.

- Pani doktor, to wspaniale! Pan Fine mówił, że była pani bardzo dobra dla biednego Alexandra, kiedy chorował na ucho.

Przez chwilę miło gawędziły i niania nie szczędziła jej uprzejmości, przez co dawała wyraźnie do zrozumienia, że akceptuje ją jako lekarza i kobietę. Naląła jej kawy, podała bułeczki, jajka, bekon, parówki i wielką miseczkę truskawek.

Jane natomiast patrzyła na nią z nie ukrywaną nienawiścią. Złościło ją, że przyszła, a jeszcze bardziej, że zaprzyjaźniła się z Berniem.

- Nie wiem, dlaczego tatuś panią zaprosił - powiedziała głośno, gdy Megan, uśmiechając się do niej, zapewniała, że jedzenie jest wyborne. - Nikt tu nie jest chory.

Bernie zmartwił, ogłuszony jej arogancją, również niania ją ofuknęła, ale Megan patrzyła na nią przyjaźnie i wcale nie wyglądała na zdenerwowaną.

- Lubię poznawać moich pacjentów również wtedy, gdy są zdrowi. Czasami - wyjaśniała cierpliwie, nie zrażona gniewnymi spojrzeniami, którymi otwarcie obrzucała ją Jane - łatwiej kogoś leczyć, gdy się go troszkę znało, kiedy nie był chory.

- My i tak chodzimy do lekarza w San Francisco.

- Jane! - rzucił ostrzegawczo Bernie, nie kryjąc dezaprobaty dla zachowania małej.

Popatrzył przepaszająco na Megan, do której właśnie zbliżył się Alex z bardzo określonymi, jak się okazało, zamiarami.

- Kolanka - oświadczył. - Chcę na kolanka.

Choć mówił jeszcze strasznie bełkotliwie, Megan bez trudu go zrozumiała. Usadowiła malca na kolanach, podała mu truskawkę, a kiedy wepchnął ją w całości do buzi, uśmiechnęła się czule.

Przyglądając się tej scenie, Bernie zauważył nagle, że Meg ma na sobie szalik, który jej poprzedniego dnia zostawił. Szczerze go to uradowało, ale niemal w tej samej chwili również Jane utkwiała w nim wzrok.

Widziała na biurku pudełko, zanim je zawiózł Megan, i spytała, co to jest. Odparł, że to szalik dla kogoś znajomego, i teraz córka od razu domyśliła się, o kogo chodziło.

Pamiętała szaliczki od Hermesa, które kupował dla Liz. Tym razem подарował też jeden niani Pippin. Był piękny, granatowo-biało-złoty, i mogła go nosić do swych uniformów, granatowego płaszcza i brązowych butów oraz kapelusza bez najmniejszego uszczerbku dla wizerunku prawdziwej Mary Poppins.

- Skąd ma pani ten szalik?

Jane powiedziała to tak, jakby Megan go ukradła. Młoda kobieta drgnęła, ale natychmiast przysłała do siebie. Jane niemal zdobyła punkt, lecz ostatecznie wygrała Megan.

- Och... to... dostałam go wiele lat temu od przyjaciela, gdy mieszkałam we Francji.

Wiedziała instynktownie, co powinna zrobić, i Bernie był jej za to wdzięczny. Wyglądało na to, że zaczęli spiskować, choć wcale tego nie planowali. Nagle stali się partnerami.

- Naprawdę?

Jane była zaskoczona. Uważała, że Bernie jest jedyną osobą na świecie, która zna Hermesa.

- Tak - odpowiedziała zupełnie przekonywająco i już o wiele spokojniej dodała: - Kiedyś mieszkałam przez rok w Prowansji. Czy byłaś z tatusiem w Paryżu, Jane? - spytała niewinnie, a Bernie ukrył uśmiech. Umiała postępować z dziećmi. Do licha, wspañiale sobie z nimi radziła.

Alex tulił się do niej szczęśliwy, entuzjastycznie pomrukując. Wyjadł jej już wszystkie truskawki i teraz dobrał się do jajek i bekonu.

- Nie, nie byłam w Paryżu, jeszcze nie, ale byłam w Nowym Jorku - poczuła się nagle ważna.

- To wspañiale. Co ci się tam najbardziej podobało?

- Radio City Musie Hali!

Dała się bezwiednie wciągnąć do rozmowy. Nagle popatrzyła na Megan podejrzliwie. Przypomniała sobie, że nie chce jej lubić, zaniechała rozmowy i dopóki Megan nie wyszła, odpowiadała jedynie monosylabami.

Bernie przepraszał, odprowadzając ją do samochodu.

- Czuję się okropnie. Nigdy nie jest taka arogancka. To chyba zazdrość.

Był szczerze zmartwiony, ale Megan pokiwała tylko głową i uśmiechnęła się do niego. Bernie był tak naiwny w sprawach, na których ona znała się aż za dobrze na cierpieniach i problemach dzieci.

- Przestań się zamartwiać. To zupełnie normalne. Ty i Alex jesteście dla niej wszystkim. Broni tylko swego terytorium.

Głos Megan był łagodny, nie chciała jednak mówić zbyt otwarcie, by nie sprawić mu bólu. Zresztą on również nie pozbył się jeszcze nadwrażliwości i Megan zdawała sobie z tego sprawę.

- Jane broni pamięci swej matki. Bardzo cierpi, widząc obok ciebie inną kobietę, choćby była nawet niegroźna. - Zrobiła zabawną minę. - Nie przyprowadzaj przypadkiem do domu żadnych seksownych blondynek, bo jeszcze je przez ciebie otruje.

Oboje wybuchnęli śmiechem i Bernie otworzył jej drzwiczki samochodu.

- Będę pamiętać. Wspaniale sobie z nią poradziłaś, Meg.

- Nie zapominaj, że to poniekąd mój zawód. Ty sprzedajesz chleb, a ja mam do czynienia z dziećmi. Od czasu do czasu.

Bernie zaśmiał się i pochylił nad nią. Nagle zapragnął ją pocałować, ale cofnął się przerażony swym odruchem.

- To również postaram się zapamiętać. Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

Nagle przypomniał sobie, o co chciał ją spytać. Do Święta Dziękczynienia zostały tylko dwa tygodnie i na pewno nie wrócą do tego czasu,

- Czy przyjdiesz do nas na obiad w Święto Dziękczynienia?

W zasadzie myślał o tym zaproszeniu przez całą drogę powrotną z Nowego Jorku. Megan spojrzała na niego z namysłem.

- Czy sądzisz, że Jane jest na to przygotowana? Nie poganiaj jej zbyt mocno.

- A co mam robić? Siedzieć samotnie w swoim pokoju do końca życia? - Mówił jak zawiedzione dziecko. - Chyba mam prawo do przyjaciół, nie?

- Tak, ale pozwól jej złapać oddech. Co byś powiedział, gdybym przyszła na deser? Byłby to chyba dobry kompromis.

- Masz inne plany?

Chciał wiedzieć, z kim się spotyka. Sprawiała wrażenie osoby wiecznie zajętej i Bernie zastanawiał się, z czyjego powodu. Trudno było wprost uwierzyć, choć na to wyglądało, że praca tak ją absorbuje.

- Obiecałam pomóc Jessice, żonie Patricka. Przyjeżdżają do nich na obiad krewni spoza Napa. Pomogę jej trochę dojść do ładu, a później przyjadę tutaj.

- Nic innego nie planujesz? A może zrobisz jeszcze komuś po drodze sztuczne oddychanie metodą usta-usta?

Megan go zadziwiła. Ciągle robiła coś dla kogoś, rzadko zaś dla siebie.

- Chyba nie jest aż tak źle, prawda? - sprawiała wrażenie zaskoczonej. Nie miała takich problemów. Po prostu taka była i Bernie właśnie to najbardziej w niej lubił.

- Mam wrażenie, że wiecznie robisz coś dla kogoś zapominając o sobie - odparł z troską w oczach.

- Myślę, że i dla mnie coś z tego zostaje. Nie mam zbyt dużych wymagań.

W każdym razie nigdy do tej pory nie miała. Ostatnio zaczęła się jednak zastanawiać. Były rzeczy, które traciła w życiu. Zdała sobie z tego sprawę na przykład wtedy, gdy Alexander, wpatrując się w nią, wskazywał paluszkami na jej kolana, a nawet wtedy, gdy Jane spoglądała na nią z taką złością.

Nagle poczuła się zmęczona wiecznym zagładaniem w uszy i gardła oraz rozpoznawaniem niepokojących objawów.

- A zatem do zobaczenia w Święto Dziękczynienia. Na deserze, skoro może być tylko tyle.

Czuł się nadal rozczarowany tym, że nie przyjdzie na dłużej, i w skrytości ducha obwiniał o to Jane. Był na nią zły, gdy wrócił do domu, a jeszcze bardziej rozgniewały go jej komentarze na temat Megan.

- Ojej, ale ona brzydka, prawda, tatusiu? - świdrowała go wzrokiem.

Bernie patrzył na nią z uwagą.

- Nie sądzę, Jane. Uważam, że jest bardzo ładną dziewczyną.

Postanowił, że w żadnym wypadku nie pozwoli jej się sprowokować.

- Dziewczyną? Ojejku! Wygląda, jakby miała ze czterysta lat.

Bernie zacisnął szczęki, starając się zachować spokój.

- Dlaczego tak bardzo jej nienawidzisz?

- Bo jest głupia.

- Nie - pokręcił głową - nie jest głupia. Jest bardzo mądra. Lekarzem nie może zostać

ktoś głupi.

- No, w każdym razie jej nie lubię.

W oczach dziewczynki pojawiły się nagle łzy. Talerz wypadł jej z rąk i rozbił się, gdy próbowała pomóc Mary Pippin sprzątnąć naczynia. Bernie podszedł do niej cicho.

- To tylko przyjaciółka, kochanie. Jest tylko przyjacielem.

Megan miała rację. Jane panicznie się bała nowej kobiety w ich życiu. Teraz widział to dokładnie.

- Bardzo cię kocham.

- To nie pozwól jej więcej tu przychodzić.

Płakała, Alexander zaś przyglądał się jej trochę zmartwiony, a trochę zaciekawiony, nie pojmując o czym rozmawiają.

- Dlaczego?

- Bo jej nie potrzebujemy, i już!

Z tymi słowami wybiegła z pokoju i trzasnęła drzwiami swej sypialni. Niania Pip popatrzyła na Berniego spokojnie i wyciągnęła rękę, gdy chciał pobiec za córką.

- Proszę ją zostawić na jakiś czas samą, panie Fine. Nic jej się nie stanie. Musi się nauczyć, że nie wszystko będzie zawsze tak jak do tej pory. - Uśmiechnęła się do niego łagodnie. - W każdym razie mam taką nadzieję dla pana dobra. Również dla dobra Jane. Pani doktor bardzo mi się spodobała.

- Mnie również.

Był jej wdzięczny za słowa pociechy.

- To miła kobieta i dobry przyjaciel. Chciałbym, żeby Jane nie denerwowała się tak bardzo bez powodu.

- Boi się, że pana straci.

Mówiła dokładnie to samo co Megan.

- Nigdy mnie nie straci.

- Niech pan jej o tym mówi, i to często. Poza tym będzie się musiała przyzwyczać. Proszę działać powoli, a na pewno Jane przyjdzie do siebie.

- Jak działać?

Przecież wcale nie chciał nic robić. Ani z Megan, ani z kimkolwiek innym. Oczy mu pociemniały.

- To nie jest tak, nianiu. Chciałem, żeby właśnie to Jane zrozumiała.

- Niech pan nie będzie tego taki pewny - obrzuciła go śmiałym spojrzeniem. - Ma pan prawo do czegoś więcej niż życie, które wiódł pan do tej pory. Upieranie się przy tym nie ma

sensu.

Dobrze wiedziała, jak bardzo był wstrzemięzliwy, tak jak wiedziała o garderobie pełnej ubrań, do której oboje z Jane, niby to czegoś szukając, zaglądali od czasu do czasu.

Uważała, że nadszedł czas, aby z tym skończyli, choć jednocześnie zdawała sobie sprawę, że Bernie nie jest na to jeszcze przygotowany.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Megan dotrzymała słowa i po świątecznym obiedzie z Patrickiem, Jessicą i ich nowo urodzonym dzieckiem przyszła na deser.

Przyniosła ze sobą własnoręcznie upieczoną babkę świąteczną. Niania orzekła, że ciasto jest wspaniałe, natomiast Jane nie omieszkła zauważyć, że mają wystarczająco dużo jedzenia. Bernie spróbował kawałek i przyznał, że nie spodziewał się takich pyszności.

- Nie masz pojęcia, jakie to zdumiewające.

Meg nie kryła, że sama jest z siebie dumna. Miała na sobie czerwoną sukienkę, którą kupiła u Wolffa tego dnia, kiedy poszli razem na drinka.

- Jestem najgorszą kucharką na świecie. Ledwo potrafię ugotować jajka, a moja kawa smakuje jak trucizna. Brat zawsze mnie błaga, bym nie przestępowała progu jego kuchni.

- Wygląda na dziwaka.

- W tym wypadku ma rację.

Jane uśmiechnęła się mimo woli, a Alexander znowu podsunął się do Megan i tym razem już bez prośzenia wdrapał się jej na kolana. Megan dała mu do spróbowania kawałek swej babki, ale go wypluł.

- Widzicie? Alexander zna się na rzeczy, prawda?

Mały pokiwał poważnie głową i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Mamusia była doskonałą kucharką, prawda, tatusiu?

Porównanie zabrzmiało w jej ustach równie impertynencko co smutno.

- Tak, kochanie.

- Bardzo często coś piekła.

Pamiętała ciasteczka w kształcie serc, które Liz upiekła na zakończenie roku szkolnego, i patrząc teraz z nieszczęśliwą miną na Megan, mało się nie rozpląkała.

- Jestem pełna podziwu. To miło, że mi o tym mówisz.

Jane pokiwała głową.

- Była też prawdziwą pięknoscią.

Oczy dziewczynki były smutne, a w jej słowach pojawiło się nagle więcej wspomnień niż biorących się z przekory porównań. Bernie słuchał i choć jej słowa bolały, wiedział, że Jane czuje potrzebę wyrzucenia ich z siebie.

- Była blondynką, taką szczupłą, małą.

Megan uśmiechnęła się do Berniego. Nie miała teraz wątpliwości, że powodem, dla

którego się nią zainteresował, nie było jej podobieństwo do matki Jane. W zasadzie, jak się okazało, mogła uchodzić za całkowite przeciwieństwo jego zmarłej żony i w gruncie rzeczy poczuła się z tego powodu lepiej.

Ludzie często próbują znaleźć kopię tego, co stracili, a to bardzo wszystko utrudnia. Nie sposób stać wiecznie w czyimś cieniu, skoro słońce posuwa się naprzód. Popatrzyła na Jane łagodnie.

- Nie uwierzysz, ale moja matka jest szczupłą blondynką i też jest nieduża. Tak samo zresztą mój brat.

Jane próbując sobie to wyobrazić, zachichotała.

- Naprawdę?

- Daję słowo. Moja mama jest mniej więcej tego wzrostu - dotknęła ręką ramienia i uśmiechnęła się. - Ja jestem podobna do ojca.

Gdyby było inaczej, też nie miałyby czego żałować. Oboje byli bardzo przystojni.

- Czy twój brat jest taki niski jak mama? - zainteresowała się nagle Jane, a Bernie uśmiechnął się zadowolony. Może jest nadzieja, że w końcu się uspokoi.

- Tak, zawsze nazywałam go karłem.

- Założę się, że cię za to nienawidzi - zauważyła Jane z ironicznym uśmieszkiem, lecz Megan nie straciła poczucia humoru.

- Myślę, że tak. Może dlatego został psychiatrą, by móc to wszystko zrozumieć.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Niania podała jej filiżankę herbaty i obie kobiety wymieniły znaczące spojrzenia. Potem zabrała Alexandra, by go wykąpać, Megan zaś pomogła Berniemu i Jane sprzątnąć ze stołu. Pochowali jedzenie, zeszkrobali resztki z talerzy, splukali je i załadowali do zmywarki. Gdy niania wróciła do kuchni, wszystko już było zrobione. Miała już na końcu języka uwagę, że dobrze, gdy jest w domu kobieta, ale się rozmyśliła. Podziękowała tylko wszystkim za to, że sprzątnęli, co było o wiele bardziej dyplomatyczne.

Megan została jeszcze przez godzinę, gawędziła ze wszystkimi siedząc przy kominku, aż odezwał się jej brzęczyk sygnalizujący, że ktoś dzwoni do niej do domu. Pozwoliła Jane zadzwonić do swej telefonistki i posłuchać całej rozmowy.

- Jakieś dziecko zadławiło się kością indyka. Na szczęście rodzice kość wyciągnęli, ale gardło zostało mocno pokaleczone.

Gdy tylko odłożyła słuchawkę, znowu zadzwieczał brzęczyk jakaś dziewczynka rozcięła sobie rękę nożem do krajania mięsa i należało zszyć ranę.

- Och skrzywiła się Jane. To brzmi strasznie.

- Niektóre wezwania są naprawdę koszmarne, ale myślę, że tym razem nie będzie tak źle. Żaden palec nie jest obcięty ani nic z tych okropności.

Uśmiechnęła się ponad jej głową do Berniego.

- Wygląda na to, że muszę już iść.

- Ale wrócisz?

Bernie miał nadzieję, że jeszcze do nich przyjdzie, lecz Meg ze względu na Jane wolała zachować ostrożność.

- Myślę, że zrobi się już zbyt późno. Na ogół nigdy się nie udaje skończyć tak szybko, jak się z początku zakładało. Nie chcesz chyba, żebym dobijała się do twoich drzwi o dziesiątej w nocy?

Bernie nie był tego taki pewien. Wszyscy żalowali, że Meg musi już odjechać, nawet Jane. Alex zaczął jej szukać po kąpielni, a gdy siostra powiedziała mu, że Megan poszła, wybuchnął głośnym płaczem.

Patrząc na to, Bernie uświadomił sobie, czego dzieciom brakowało. Zastanawiał się, czy przypadkiem niania Pip nie ma racji mówiąc, że ich życie nie może zawsze być takie. Nie wyobrażał sobie jednak, by cokolwiek mogło teraz ulec zmianie. Oczywiście z wyjątkiem tego, że kiedyś przeniosą się do Nowego Jorku, choć tak naprawdę przestał o tym myśleć. Dobrze mu było w tych dniach w Kalifornii.

Na Boże Narodzenie pojechali do Nowego Jorku, a przedtem nie widzieli się już z Megan. Bernie nie miał czasu, by wybrać się do Napa. Za dużo było pracy w sklepie, poza tym dzieci miały w mieście mnóstwo zajęć. Niania zabrała je na „Dziadka do orzechów” i poranek dla dzieci w filharmonii. Byli też oczywiście u Wolffa, by obejrzyć świętego Mikołaja. Alex był oczarowany. Jane, która miała już prawie dziesięć lat i nie wierzyła w Mikołaja, też poszła, by sprawić radość bratu.

Bernie zadzwonił do Megan tylko raz przed wyjazdem.

- Życzę ci wspaniałych świąt - głos drżał mu z przejęcia. Naprawdę zasługiwała na najbardziej serdeczne życzenia po tym, co robiła dla wszystkich przez cały rok.

- Ja tobie również. Ucałuj ode mnie Jane.

Wysłała Jane szalik w kolorze ciepłego różu i kapelusik na wyjazd do Nowego Jorku, Alexandrowi zaś przytulankę świętego Mikołaja, lecz paczka jeszcze nie doszła.

- Tak mi przykro, że nie zobaczymy cię już przed świątami.

Żałował bardziej, niż mogłaby się tego spodziewać. Przez ostatnie tygodnie Bernie bardzo dużo o niej myślał.

- Może zobaczymy się w Nowym Jorku - rzuciła tajemniczo.

- Sądziłem, że jedziesz do rodziny do Bostonu.

- To prawda, ale mój zwariowany braciszek i bratowa wybierają się do Nowego Jorku i namawiają mnie, bym z nimi jechała. Jeden z naszych bardziej arystokratycznych kuzynów żeni się i urządza ekstraimprezę w klubie Golony. Nie wiem, czy będę w stanie znieść takie wydarzenie, ale odnoszę wrażenie, że bardzo by chcieli, abym im towarzyszyła. Powiedziałam, że to przemyślę.

Prawda była taka, że już wyraziła zgodę, aby móc się z nim spotkać w Nowym Jorku, lecz teraz głupio jej było przyznać się do tego. Ale Bernie żył już perspektywą spotkania.

- Dasz mi znać, kiedy przyjeżdżasz?

- Oczywiście. Jak tylko przyjadę, zobaczę, co jest w planie, a kiedy już będę wiedziała co i jak, zadzwonię do ciebie.

Podał jej numer telefonu w Scarsdale z nadzieją, że się odezwie.

Tego wieczoru po powrocie do domu zastał okazałe pudło prezentów, które im przysłała Megan: kapelusz i szalik dla Jane, świętego Mikołaja dla Alexa, sweter dla niani Pip akurat z tych, jakie lubiła, a dla niego przepiękną, oprawną w skórę książkę. Od razu zauważył, że to bardzo stara książka, prawdziwy biały kruk. Kartka od Megan mówiła, że należała kiedyś do jej dziadka i że dzięki niej zdołała przetrwać najtrudniejsze chwile. Miała nadzieję, że pomoże teraz Berniemu. Życzyła mu wszystkiego najlepszego w Nowym Jorku i wesołych świąt dla całej rodziny.

Po przeczytaniu karteczki Bernie poczuł się bardzo samotny bez Megan. Żałował, że nie spędzają świąt w tym samym mieście, i ubolewał nad tym, że życie bywa czasami tak skomplikowane. Boże Narodzenie było dla niego smutnym świętem, przypominało o Liz i ich rocznicy ślubu.

Gdy lecieli na wschód, Bernie był milczący; zdaniem niani zbyt milczący. Wyraz jego twarzy mówił że myśli o Liz. Nadal bardzo boleśnie odczuwał jej brak.

Megan natomiast podczas lotu rozmyślała o swoim zmarłym narzeczonym i o Bernardzie, porównując ich bez emocji. Każdy z nich reprezentował całkowicie odmienny typ mężczyzny i obu darzyła szacunkiem. Teraz jednak tęskniła właśnie za Berniem i jeszcze tego samego wieczoru zadzwoniła do niego, by po prostu porozmawiać.

Matka Berniego była oszołomiona, kiedy niemalże zaraz po ich przyjeździe, gdy niania układała właśnie dzieci spać, zadzwonił telefon. Podała Berniemu słuchawkę z zatroskaną miną. Kobieta przedstawiła się jako doktor Jones i Ruth kręciła się obok syna niezdecydowana, dopóki gestem nie dał jej do zrozumienia, że może odejść.

Myślała, że ktoś jest chory, i Bernie omal nie parsknął śmiechem, gdy brał od niej

sluchawkę. Wiedział, że za chwilę będzie musiał złożyć dokładne wyjaśnienia, lecz na razie nie mógł się doczekać rozmowy z Megan. A w gruncie rzeczy umierał z tęsknoty za nią.

- Megan? - twarz mu się rozjaśniła jak świąteczna choinka. - Jak podróż?

- Nieźle.

W jej głosie wyczuwał radość. Była trochę zakłopotana tym, że dzwoni pierwsza, ale w zasadzie niewiele ją to obchodziło. Po przyjeździe do Bostonu poczuła się nagle tak bardzo samotna, że jedyne, czego pragnęła, to móc wyciągnąć do niego rękę.

- Z początku zawsze dziwnie jest wracać do domu. Rodzice jakby zapomnieli, że jesteśmy już dorośli, i zaczynają nami rządzić jak małymi dziećmi. Na ogół o tym nie pamiętam, dopóki nie znajdę się w domu.

Bernie wybuchnął śmiechem. Świetnie to znał. Nie zapomniał, jak dziwnie czuli się z Liz w jego starym pokoju, zupełnie tak, jakby znowu miał czternaście lat i seks był tabu. Teraz też wolałby zatrzymać się w hotelu, ale z dziećmi było to bez sensu. Przyjechały tu, by spędzić święta z dziadkami. Jemu też, pod pewnymi względami, było z nimi różnie, niemniej doskonale rozumiał, co Megan ma na myśli.

- Wiem dokładnie, o co ci chodzi. To tak, jakbyś zrobiła wielki krok do tyłu i starała się im udowodnić, że przez cały czas mieli rację. Znowu masz czternaście lat, wróciłaś i masz się zachowywać tak, jak oni sobie tego życzą... z tym że tego nie robisz. I w końcu wszyscy cię opieprzają.

Megan również się zaśmiała. Miała to już za sobą. Ojciec poszedł odebrać poród zaledwie w godzinę po jej przyjeździe, a Megan nie chciała mu towarzyszyć, bo była zmęczona. Wyszedł więc, oczywiście zły na nią.

Natomiast matka skrzyczała ją najpierw za to, że nie wzięła ze sobą ciepłych butów oraz za nieporządek w walizce, w godzinę później zaś za to, że zostawiła bałagan w pokoju, co po osiemnastu latach mieszkania w samotności było raczej niemożliwe.

- Brat mówi, że mnie dzisiaj wybawi. Wydają u siebie uroczysty obiad.

- Czy to będzie stateczne bostońskie przyjęcie, czy kompletne szaleństwo?

- Znając ich, podejrzewam, że i to i to. Brat na pewno kompletnie się zaleje, a jakiś dowcipniś oswobodzi ich z ubrań i będzie to zapewne pewien wyznawca teorii Junga, który szczyci się swoim ciosem, podobno śmiertelnym. Uwielbia robić takie rzeczy.

- Uważaj, żeby nie wpaść mu w ręce. - czuł się dziwnie i samotnie, gdy myślał o Meg w takim otoczeniu.

Nagle uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęskni, ale nie był pewien, czy ma prawo jej o tym powiedzieć. Na tym etapie przyjaźni wydawało mu się to jakoś nie na miejscu, choć w

rzeczywistości chodziło o coś więcej, co jeszcze pozostało nie wypowiedziane.

- Czy przyjeżdżasz na ten ślub?

Liczył na jej przyjazd, mimo że nie przyznał się do tego.

- Wygląda na to, że oni i tak się wybierają. Nie jestem pewna, co powiedzą na mój wyjazd rodzice. Przecież przyjechałam do nich. Mam zamiar najpierw wspomnieć im o tym i zobaczę, jaka będzie ich reakcja.

- Mam nadzieję, że pozwolą ci pojechać.

Mówił jak zmartwiony wyrostek i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

- Znowu objawił się syndrom czternastolatka. Widzisz teraz, o czym mówię!

- Posłuchaj, przyjedź choć na jeden wieczór. Cudownie byłoby się spotkać.

Nie mogła się z nim nie zgodzić. Sama też bardzo chciała go zobaczyć. Już od wielu tygodni ciągle o nim myślała i żałowała, że nie spotkali się przed wyjazdem na wschód, ale oboje prowadzili szalenie intensywny tryb życia i mieli mnóstwo obowiązków. Może spotkanie w Nowym Jorku nie było głupim pomysłem?

- Zobaczą, co się da zrobić.

- Na pewno będzie fajnie.

Nagle wpadło jej coś do głowy. Zaproponowała mu to zupełnie jak dzieciak.

- Nie chciałbyś pójść ze mną na wesele?

Plan ten z każdą chwilą coraz bardziej się jej podobał.

- Czy zabrałeś ze sobą smoking?

- Nie, ale słyszałem o pewnym wspaniałym magazynie.

Oboje parsknęli śmiechem.

- Czy jesteś pewna, że to wypada, skoro nie znam ani pana młodego, ani panny młodej? Wesele w klubie Golony wyglądało na bardzo poważną imprezę.

Megan wyśmiała jednak jego obawy.

- Wszyscy będą tak pijani, że nie będzie ich w ogóle obchodziło, kim jesteś. Poza tym możemy się stamtąd dość wcześnie wymknąć i pójść gdzieś... na przykład posłuchać Bobby'ego Shorta u Carlyle'a.

Ta propozycja odebrała mu mowę. Akurat to bardzo lubił robić będąc w Nowym Jorku. Bobby był jego starym znajomym z nowojorskich czasów. Słuchał go już od wielu lat.

- Byłbym zachwycony - ujrzał ją w myślach i nagle głos mu jakby zmatowiał. Znowu czuł się młodo, jakby życie dopiero się dla niego zaczynało, a nie skończyło tragedią mniej niż dwa lata temu.

- Postaraj się przyjechać, Meg.

- Dobrze.

W ich głosach słyhać było teraz niecierpliwość, co niemal przestraszyło Megan. Postanowiła jednak zobaczyć się z nim za wszelką cenę. Nie chciała czekać, aż znowu spotkają się w Napa.

- Zrobię, co tylko się da. Zaznacz w kalendarzu dwudziestego szóstego, przyjadę tego dnia rano i zatrzymam się w Carlyle. Mój zwariowany braciszek zawsze tam mieszka.

- W tym tygodniu wezmę ze sklepu smoking.

Wszystko wyglądało jak dobra zabawa z wyjątkiem samego ślubu, którego Bernie trochę się obawiał. Miał się odbyć zaledwie na trzy dni przed rocznicą jego ślubu z Liz. Miną właśnie cztery lata. Nie może jednak teraz o tym myśleć. Nie może świętować rocznic, które nie istnieją. Nagle zapragnął przytulić się do Megan, jakby mogło mu to pomóc zagłuszyć wspomnienia. Megan usłyszała dziwną nutę w jego głosie i raptem się zaniepokoiła. Jakby знаła go lepiej, niż zdążyła poznać. Przedziwna była ta nić porozumienia między nimi. Oboje to zauważyli.

- Czy wszystko dobrze?

Jej głos w słuchawce był miękki i Bernie pokiwał głową ze znużonym uśmiechem.

- Nic mi nie jest. Czasami dopadają mnie duchy... zwłaszcza o tej porze roku.

- To okres ciężki dla wszystkich.

Ona też przez to przeszła, tylko że bardzo dawno temu i teraz zawsze był koło niej o tej porze roku ten lub ów mężczyzna. Mężczyzna albo dyżur w szpitalu z chorymi dziećmi. W każdym razie cierpiała mniej od niego. Miała nadzieję, że jego rodzina pomoże mu przebrnąć przez to wszystko. Zdawała sobie sprawę, jak trudne będą dla Berniego te święta, podobnie jak dla dzieci, a przede wszystkim dla Jane.

- Jak się ma Jane?

- Cieszy się, że tu jesteśmy. Jane i moja matka rozumieją się jak para wisusów. Mają już plany na najbliższe trzy tygodnie. Niania jeszcze tu z nimi zostaje po moim wyjeździe. Trzydziestego muszę być na spotkaniu w San Francisco, a Jane nie idzie do szkoły do dziesiątego, mają więc jeszcze dwa tygodnie po moim wyjeździe i już się cieszą na samą myśl o tym.

Megan ciekawiło, czy Bernie będzie w tym czasie samotny.

- Czy przyjedziesz bez nich do Napa?

- Mogę.

Zapanowała długa cisza. Oboje myśleli o tym samym, ale jednocześnie oboje starali się uciec od swych myśli. Megan obiecała, że zadzwoni pod koniec tygodnia, aby powiedzieć,

jakie ma plany.

Następnym razem pierwszy zatelefonował jednak Bernie. Było to w dwa dni po przyjeździe do Nowego Jorku, w pierwszy dzień świąt. Telefon odebrał ojciec Megan. Bernie słyszał, jak woła ją gromkim głosem i prosi, by się pospieszyła. Przybiegła bez tchu i Bernie rozpromienił się na dźwięk jej głosu.

- Wesołych świąt, Meg.

Megan uśmiechnęła się. Niedawno zaczął zwracać się do niej w ten sposób. Ostatni raz wołała tak na nią najlepsza przyjaciółka z dzieciństwa. Wzruszyła się, gdy to zdrobnienie padło z jego ust.

- Nawzajem.

Była szczęśliwa, że słyszy jego głos, lecz Bernie zorientował się, że ktoś ją odwołuje.

- Czy zadzwoniłem nie w porę?

- Nie, właśnie wychodzimy do kościoła. Czy mogę później do ciebie zadzwonić?

Tym razem również przedstawiła się matce jako doktor Jones. Znowu odbyli miłą długą pogawędkę. Gdy Bernie odłożył słuchawkę, zobaczył, że matka przygląda mu się z nieskrywaną ciekawością. Dzieci były w swoim pokoju i bawiły się z nianią prezentami. Większość z nich otrzymały z okazji święta Chanuka, ale babcia Ruth nie zapomniała także o Bożym Narodzeniu. Nie chciała rozczarować Alexandra i Jane, toteż tym razem święty Mikołaj zagościł również i w ich domu, co bardzo rozśmieszyło Berniego.

Gdyby tak on zapragnął w dzieciństwie obchodzić Boże Narodzenie, byłiby przerażeni, natomiast gdy chodziło o wnuków, nawet to było w porządku. Z wiekiem bardzo złagodnieli. Ale niezupełnie.

- Kto to był?

Kiedy skończył rozmawiać z Meg, matka próbowała udawać naiwną.

- To tylko przyjaciółka.

Ta gra była mu dobrze znana, choć nie grał w nią z matką już od wielu lat. Teraz nawet go w skrytości ducha bawiła.

- Czy to ktoś, kogo znam?

- Nie sądzę, mamó.

- Jak się nazywa?

Zwykle unikał odpowiedzi na to pytanie, ale tym razem było mu wszystko jedno. Nie miał nic do ukrycia, nawet przed nią.

- Megan Jones.

Matka patrzyła na niego częściowo zadowolona, że ktoś zadzwonił, a częściowo zła,

że dziewczyna nie nazywa się Rachel Schwartz.

- Znowu ktoś nie z naszych.

W skrytości ducha była uszczęśliwiona. Dzwoniła do niego kobieta, a to znaczyło, że Bernie odżył. Coś, co wyczytała z jego oczu, dawało nadzieję. Powiedziała to nawet Lou już w dniu ich przyjazdu, lecz mąż stwierdził, że nie zauważył żadnej zmiany. On nigdy niczego nie zauważał, w przeciwieństwie do Ruth. Teraz sytuacja się powtarzała.

- Jak to się dzieje, że nigdy nie możesz poznać żadnej Żydówki?

Było to pytanie, a zarazem wymówka. Tym razem Bernie odsłonił zęby w uśmiechu.

- To chyba dlatego, że nie chodzę do świątyni.

Pokiwała głową, zastanawiając się, czy Bernie jest może zły na Boga za to, że zabrał mu Liz, ale nie chciała go o to pytać, i dobrze.

- Jakiego jest wyznania?

Każde kolejne pytanie padało po długiej przerwie. Bernie uśmiechnął się do niej.

- Należy do Kościoła episkopalnego.

Pamiętał scenę w Côte Basque, matka również.

- Ojej!

Był to krótki wykrzyknik i oznaczał raczej stwierdzenie faktu, niż ostrzeżenie przed zapaścią.

- Kościół episkopalny... Czy to coś poważnego?

Bernie zaprzeczył energicznym ruchem głowy, co dało Ruth do myślenia.

- Nie, tylko przyjaciółka.

- Często do ciebie dzwoni.

- Dopiero dwa razy.

Dobrze wiedziała, że Bernie też do niej telefonował, ale dyplomatycznie mu tego nie wypomniała.

- Czy jest miła? Czy lubi dzieci?

Tym razem zadała podwójne pytanie. Postanowił, że powie coś na korzyść Megan, by zapewnić jej przynajmniej matki szacunek.

- Jest pediatrą, jeżeli to ma dla ciebie jakieś znaczenie.

Oczywiście wiedział, że miało. Punkt dla Megan Jones! Ujrzawszy minę matki, uśmiechnął się do siebie.

- Lekarka?...

- Oczywiście...

- Doktor Jones... Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Nie pytałaś.

Były to znane słowa ze znanego repertuaru. Jak piosenka, którą śpiewali razem od lat. Teraz brzmiały prawie jak kołysanka.

- Powiedz jeszcze raz, jak się nazywa?

Bernie wiedział, że poprosi ojca, by ją sprawdził.

- Megan Jones. Skończyła Harvard, szkołę medyczną w Stanford i odbywała praktykę w UC. Dzięki temu ojciec nie będzie musiał jej sprawdzać. Jego oczy nie są ostatnio najlepsze.

- Nie bądź bezczelny - udała, że jest zirytowana, ale w gruncie rzeczy była bardzo przejęta. Oczywiście wolałaby, żeby to Bernie był lekarzem, a ona pracowała u Wolffa, ale cóż, nie można mieć wszystkiego naraz. Oboje zdążyli się już o tym przekonać.

- Jak ona wygląda?

- Ma brodawki i wystające zęby.

Tym razem matka wybuchnęła śmiechem. Dopiero teraz, prawie po czterdziestu latach, potrafiła śmiać się razem z nim.

- Czy kiedyś poznam tę twoją piękność z brodawkami, wystającymi zębami i z tymi fantastycznymi stopniami naukowymi?

- Może poznasz, jeżeli zostanie przy mnie.

- Czy to coś poważnego?

Oczy jej się zwięzły, gdy po raz drugi zadawała to pytanie. Ber nie jednak się wycofał. Mógł sobie z nią pożartować, lecz nie był jeszcze przygotowany na poważną rozmowę. Na razie byli z Megan jedynie przyjaciółmi bez względu na to, jak często do siebie dzwonili.

- Nie.

Przez tyle lat matka też się czegoś nauczyła. Teraz wiedziała, kiedy należy się wycofać, i to właśnie zrobiła, ujrzawszy wyraz jego twarzy. O nic już nie pytała, gdy Megan zadzwoniła do niego jeszcze tego samego wieczoru, by poinformować, o której godzinie będzie następnego dnia w hotelu. Przyjeżdżała, by pójść razem z nim na wesele. Bernie przyniósł już do domu smoking. Leżał na nim jak ułan. Matka oniemiała ze zdziwienia, gdy nazajutrz ujrzała go szykującego się do wyjścia. Jej zdziwienie było jeszcze większe, kiedy zobaczyła, że czeka na niego długa czarna limuzyna.

- Czy to jej samochód?

Patrzyła szeroko otwartymi oczami i mówiła scenicznym szeptem.

- Cóż to za lekarz, skoro Lou, po czterdziestu latach praktyki na Park Avenue w Nowym Jorku, nie mógł sobie pozwolić na kupno limuzyny?

Nie chodzi o to, że chciała ją mieć, ale zawsze...

- Nie, mam, jest moja. - Bernie uśmiechnął się tylko. - Wynająłem ją.

- Och!

Uszło z niej trochę powietrze. Była z niego bardzo dumna, gdy patrzyła zza zasłony, jak wsiada do samochodu i znika. Westchnęła do siebie, a cofnąwszy się w głąb salonu, spostrzegła nianię Pippin, która jej się przyglądała.

- Ja właśnie... chciałam się upewnić, że wszystko w porządku... dziś jest tak ślisko mówiła, jakby musiała się usprawiedliwiać.

- Pan Fine jest porządnym człowiekiem - powiedziała niania takim tonem, jakby również była z niego dumna.

Ruth wzruszyła się jej słowami. Rozejrzała się wokoło chcąc sprawdzić, czy nikt ich nie słucha, potem cicho podeszła do niani. W ciągu minionego roku nawiązała się między nimi subtelna przyjaźń. Ruth szanowała nianię, ona natomiast odwzajemniała się jej sympatią. Ruth podejrzewała, że Mary Pippin wie wszystko o życiu Berniego.

- Jaka jest ta lekarka? - spytała tak cicho, że niania ledwo ją słyszała.

Uśmiechnęła się uspokajająco do Ruth.

- To dobra kobieta i bardzo inteligentna.

- Czy jest piękna?

- Jest przystojną dziewczyną.

Tworzyli idealną parę, lecz niania nie chciała za bardzo zachęcać Ruth. Nie było podstaw, by wyrokować, że może między nimi dojść do czegoś poważniejszego, choć bardzo by tego pragnęła. Megan byłaby dla niego idealna.

- To naprawdę dobra dziewczyna, proszę pani. Może kiedyś coś z tego będzie.

Niczego jednak nie obiecywała i Ruth pokiwała jedynie głową, myśląc o swym jedynaku jadącym teraz wynajętą limuzyną do miasta. Był bardzo przystojnym chłopcem... i dobrym człowiekiem... Niania ma rację. Starła zbląkaną łzę, pogasiła w salonie światła i postanowiła się położyć. Życzyła Berniemu wszystkiego co najlepsze.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

W ten śnieżny dzień podróż do miasta trwała dłużej niż zwykle. Bernie, rozsiadłszy się wygodnie na tylnym siedzeniu samochodu, myślał o Meg. Wydawało mu się, że minęły wieki, od kiedy widzieli się w Napa. Ogromnie ekscytowała go perspektywa rychłego spotkania, zwłaszcza w takiej scenerii. To było coś nowego, odmiennego i podniecającego.

Podobało mu się spokojne, proste życie, jakie wiodła, oraz to, że pracowała tak ciężko, z takim oddaniem i miłością. Ale było jeszcze coś więcej jej rodzina w Bostonie, „zwariowany” braciszek, jak go czule nazywała, i arystokratyczni krewni, o których mówiła z takim rozbawieniem, a wśród nich kuzyni, którzy brali dziś ślub.

Nade wszystko zaś liczyły się jego uczucia do niej szacunek, podziw i coraz większa czułość, a wreszcie pożądanie, którego teraz nie mógł już się wyprzeć bez względu na to, jak bardzo miałby się z tego powodu czuć winnym. Ono było w nim i z każdym dniem potężniało. Kiedy tak siedział w limuzynie, która mknęła posypaną solą Madison Avenue i skręcała właśnie w Siedemdziesiątą Szóstą Ulicę, nie przestawał myśleć o tym, jak cudowna jest Megan.

Wysiadł z auta i wszedł do eleganckiego holu, by o nią zapytać. Ubrany w białą marynarkę wiceszef recepcji sprawdził rejestr gości i skinął głową.

- Doktor Jones zajmuje pokój czterysta dwadzieścia.

Bernie wjechał windą na czwarte piętro i zgodnie ze wskazówkami, jakich mu udzielono skręcił w prawo. Kiedy niecierpliwie naciskał dzwonek, czuł, że zatyka mu dech w piersiach. Gdy otworzyła drzwi i ujrzał ją w granatowej satynowej sukni wieczorowej, z błyszczącymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami, we wspaniałym naszyjniku z szafirów i z podobnymi kolczykami w uszach, oniemiał z wrażenia. Biżuteria należała kiedyś do jej babki, ale nie widok klejnotów tak na niego podziałał, lecz twarz i oczy Megan. Kiedy wyciągnął ręce i uściskał ją serdecznie, oboje mieli wrażenie, jakby wracał do domu. To było wprost niesamowite, jak bardzo się za sobą stęsknili w tak krótkim czasie. Nie zdążyli jednak zamienić ze sobą ani słowa, gdyż do pokoju wpadł w podskokach jej brat, podśpiewując jakąś sprośną francuską piosenkę. Był dokładnie taki, jak go opisała. Samuel Jones wyglądał jak urodziwy, arystokratyczny, jasnowłosy dżokej. Odziedziczył po matce całą elegancję i subtelność rysów. Wszystko miał nieduże z wyjątkiem ust, głosu i poczucia humoru, a także, co sam głosił, narządu miłosnego.

Potrząsnął ręką Berniego, przestrzegł go, by nigdy nie jadł tego, co ugotuje siostra ani

nie odważył się z nią tańczyć, i nalał mu podwójną szkocką z lodem, podczas gdy Bernie próbował złapać oddech i zamienić z Megan choć kilka słów. Niestety, w chwilę później zjawiała się w obłoku zielonej satyny i rudych włosów, z wielką ilością okazałych szmaragdów, bratowa Megan, zaśmiewając się i paplając po francusku.

Człowiek czuł się przy nich jak w oku cyklonu i dopiero w drodze do kościoła, kiedy zostali sami w limuzynie Bernie mógł spokojnie na nią popatrzeć. Samuel i jego żona pojechali własnym samochodem.

- Wyglądasz absolutnie imponująco, Megan.

- Ty też.

Czarny krawat doskonale do niego pasował. Ich dżinsy i jej nieprzemakalny płaszcz zostały daleko. I Bernie zaczął mówić.

- Tęskniłem za tobą. Tym razem mój powrót do domu wytrącił mnie z równowagi. Cały czas chciałbym być w Napa, rozmawiać, pójść gdzieś na spacer... albo jeść hamburgery w Olive Oyl's... zawsze z tobą.

- Zamiast tej pompy? - drażniąc się z nim, wskazała z uśmiechem eleganckie stroje i limuzynę.

- Myślę, że wolę proste życie w Napa - uśmiechnął się na myśl o tym, jak spędzali czas w dolinie.- Chyba miałaś rację, wyjeżdżając z Bostonu.

Teraz niemalże żałował, że wracał do Nowego Jorku. Nie pociągał go tak jak kiedyś. Chciał jedynie być z powrotem w Kalifornii, gdzie pogoda była łagodna, ludzie sympatyczniejsi i gdzie mógł spotykać Meg w dżinsach i sztywno wykrochmalonym białym kitlu lekarskim. W jakiś śmieszny sposób tęsknił za domem.

- Ilekroć tu jestem, zawsze myślę tak samo.

Doskonale go rozumiała. Nie mogła się już doczekać, kiedy miną cztery dni i będzie jechała z powrotem, by spędzić sylwestra w Napa na dyżurze za Patricka, który za to dyżurował w święta. Oboje doszli do wniosku, że w ich rejonie potrzebny jest trzeci lekarz.

Tego wieczoru wszystkie te sprawy pozostały jednak poza nimi. Gdy wysiedli przed kościołem świętego Jakuba na rogu Madison i Siedemdziesiątej Pierwszej, Bernard ujął Megan za rękę. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak ślicznie i Bernie promieniał ze szczęścia, mając ją obok siebie. Wyróżniała się królewską klasą, skromną elegancją i siłą. Wyglądała jak ktoś, do kogo można się ze wszystkim zwrócić, i Bernie podczas całej ceremonii ślubnej stał obok niej, dumny, że są tu razem.

Potem poznał kuzynów Meg i pogawędził chwilę z jej bratem i bratową. Sam się sobie dziwił, że tak bardzo przypadli mu do serca. Złapał się na tym, że zaczął porównywać, jak

bardzo Megan różni się od Liz. Megan łączyły silne więzi uczuciowe z rodziną, natomiast biedna Liz poza nim, Jane i Alexandrem nie miała nikogo na świecie.

Tańczył z bratową Megan, a przede wszystkim z samą Meg. Bawili się do drugiej nad ranem, potem przesiedzieli do wpół do piątej w barze Bernelmans w Carlyle. Pogadali zwierając się sobie i zgłębiając z najpilniej dotąd strzeżonych tajemnic. Była prawie szósta rano, gdy Bernie ruszył limuzyną do Scarsdale. Następnego dnia spotkali się na lunchu.

Bernie miał od dziewiątej rozmowy w sklepie i był zmęczony po poprzedniej nocy, mimo to czuł się rześki i szczęśliwy. Kiedy przyjechał po Megan, by zabrać ją na lunch do „21”, natknął się na jej brata, który właśnie szukał żony przy barze i narzekał na kaca, a potem, zamawiając lunch, cały czas gładził ją po pośladkach, aż Bernie nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Był chłopięcy, zachowywał się szokująco i skandalicznie. Dziewięcioletni czterdziestolatek, jak go określiła Megan. Był również bardzo przystojny. W końcu poszli z Marie-Ange na górę i zostawili ich samych.

Tego ranka przy szklaneczce „krwawej Mary” i befsztyku tatarskim Samuel zdążył już szepnąć siostrze, że jest szczęściarą, skoro złapała Berniego. Uważał, że Bernie jest znakomity i ma wszystko, czego jej potrzeba: klasę, intelekt i jaja, jak to określił, zapomniał jednak o tym, co było w nim najlepsze, o sercu wielkim jak góra. I właśnie to serce Megan kochała w nim tak bardzo.

Patrzyła teraz na niego w „21”, gdy rozmawiali o dolinie Napa. Oboje nie mogli się już doczekać powrotu.

- Dlaczego nie założysz własnego sklepu, Bernie?

Nadal fascynował ją ten pomysł, a jeszcze bardziej błyszczące zapalem oczy przyjaciela, kiedy o tym mówił.

- Jak to możliwe, Meg? To praca na pełny etat.

- Wcale nie, jeżeli znasz odpowiednich ludzi, którzy pomogą ci go prowadzić. Możesz nim zarządzać z San Francisco, a nawet z Nowego Jorku, jak tylko interes ruszy.

Pokręcił głową i uśmiechnął się, rozbrojony jej naiwnością. Nie rozumiała, jak wiele pracy wiąże się z tym przedsięwzięciem.

- Myślę, że to nie tak.

- Dlaczego mimo wszystko nie chcesz tego zrobić? Spróbuj.

Zawsze go do tego zachęcała i Bernie poczuł, że i tym razem rozpala się w nim iskierka zainteresowania.

- Pomyślę o tym.

Teraz jednak bardziej go pochłaniały plany sylwestrowe. Postanowili, że sylwestra

spędzą razem mimo jej dyżuru. Berniemu taka sytuacja specjalnie nie przeszkadzała i obiecał, że zaraz po spotkaniach w mieście trzydziestego grudnia przyjedzie do Oakville. Dzięki takiej perspektywie rozstanie z nią tego popołudnia było mniej bolesne.

Megan miała po lunchu zabrać rzeczy z hotelu i lecieć z powrotem do Bostonu, a Bernie wybierał się na spotkanie z Paulem Bermanem.

Dwa dni z rodzicami i dziećmi szybko minęły, a dwa dni później siedział już w samolocie do San Francisco, podekscytowany myślą, że znowu zobaczy się z Megan. Nie mógł się doczekać następnego wieczoru, na który miał zaplanowany wyjazd do Oakville. Megan przyleciała z Bostonu dzień wcześniej, ale gdy do niej zadzwonił, była właśnie w izbie przyjęć i badała dziecko z ostrym zapaleniem wyrostka robaczkowego. Dopiero siedząc samotnie w domu, uświadomił sobie, jak puste jest jego mieszkanie, życie i serce bez niej. Nie był pewien, czy tęskni za nią, czy za Liz, i odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia. Z ulgą powitał o jedenastej w nocy dzwonek telefonu. Był właśnie w sypialni i pakował się na wyjazd do Napa. Dzwoniła Megan.

Był tak szczęśliwy, usłyszawszy jej głos, że o mało się nie rozplakał.

- Wszystko w porządku, Bernie?

Często go o to pytała i Bernie zawsze był tym głęboko wzruszony.

- Teraz tak - przyznał szczerze. - Dom jest taki pusty bez Jane i Alexa... I bez Liz... i bez ciebie... i...

Postanowił myśleć tylko o Megan, bez względu na to, jak wielkim poczuciem winy miałby za to zapłacić.

Opowiedziała mu o czasopiśmie medycznych, które ma właśnie na biurku, i Bernie nie mógł się powstrzymać od śmiechu, gdyż pomyślał o ojcu. Powiedział jej o czekających go jutro spotkaniach, a Megan znowu wspomniała o sklepie w Napa. Upierała się, że ma koleżankę, która mogłaby go doskonale za niego poprowadzić.

- Nazywa się Phillippa Wintertum. Na pewno będziesz nią zachwycony.

Była tak rozgorączkowana, że Bernie znowu się uśmiechnął. Uwielbiał jej entuzjazm. W głowie Megan zawsze kłębiło się mnóstwo pomysłów.

- Na Boga, Meg. Co za imię!

Wybuchnęła śmiechem.

- Wiem, ale doskonale do niej pasuje. Przedwcześnie posiwała, ma zielone oczy i większą klasę niż ktokolwiek z mojego grona. Natknęłam się na nią dziś w Yountville. Bernie, ona byłaby idealna. Pracowała dla Women's Wear, a także dawno temu dla Bendela w Nowym Jorku. Jest fantastyczna i akurat wolna. Jeżeli chcesz, mogę cię jej przedstawić.

Koniecznienie chciała, żeby założył ten sklep. Instynktownie czuła, że tego właśnie mu trzeba.

- Dobrze, dobrze, przemyślę to.

Teraz miał w głowie zupełnie coś innego sylwestra we dwoje. Postanowili, że następnego wieczoru przygotowują obiad w domu Berniego. Megan miała kupić wiktuały, a obiad planowali ugotować wspólnie. Może przy odrobinie szczęścia nikt nie będzie potrzebował Megan do północy. Bernie nie mógł się już doczekać, kiedy ją zobaczy.

Po odłożeniu słuchawki stał, wpatrując się w garderobę Liz, ale tym razem nie dotknął klamki, nie otworzył drzwi, nie wszedł do środka. Nie chciał tkwić w przeszłości. Oddalał się od niej krok po kroku. Wiedział, że musi tak zrobić niezależnie od tego, jak wiele mu to przysporzy cierpień.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Następnego wieczoru Bernie przybył do Napa o szóstej. Wstąpił przedtem do domu, by zmienić ubranie, bo miał już dość wyjściowego garnituru. Włożył wygodne flanelowe spodnie, koszulę w kratę i gruby irlandzki sweter. Jadąc po Megan niczego więcej nie potrzebował.

Gdy zbliżał się do jej gabinetu, czuł, jak serce mu wali z podniecenia. Pochłaniała go jedna myśl że za chwilę ją ujrzy. Otworzyła energicznie drzwi, a on złapał ją w ramiona, przytulił i okręcił wkoło.

- Proszę bardziej zwracać uwagę na dobre obyczaje w tym miejscu, pani doktor - zażartował będący z nią jakiś mężczyzna.

Widział, że Megan jest ostatnio szczęśliwa i właśnie miał okazję się przekonać, z jakiego powodu. Podejrzewał też, że widzieli się z Berniem w Nowym Jorku, choć mu tego nie powiedziała. Gabinet opuścili we trójkę.

Bernie niósł do samochodu zakupy, a Megan opowiadała, jaki miała dzień. Słuchając relacji zaczął jej dokuczać, że się nie przepracowała. Przyjęła tylko czterdziestu jeden pacjentów. Wrócili do niego, przyrządzili befsztyki i cesarską sałatkę. Właśnie kończyli obiad, gdy odezwał się jej sygnalizator telefoniczny. Megan spojrzała na Berniego przepaszająco.

- Przepraszam, wiedziałam, że tak będzie.

- Ja też. Pamiętasz, kim jestem? Twoim przyjacielem. Wszystko w porządku.

Bernie nastawił kawę, a Megan podeszła do telefonu. Po chwili wróciła z marsową twarzą.

- Jeden z moich nastolatków upił się i zamknął w łazience.

Westchnąwszy usiadła i z wdzięcznością przyjęła kubek kawy, którą Bernie wręczył jej z uśmiechem.

- Czy nie powinni raczej zadzwonić po straż pożarną?

Zadzwonili, ale zemdlął i uderzył się w głowę. Chca, żebym sprawdziła, czy nie ma wstrząsu mózgu. Podejrzewają też, że może mieć złamany nos.

- O mój Boże - uśmiechnął się do niej. - A może pozwoliłabyś mi zabawić się dziś w twojego szofera?

Nie chciał, żeby sama prowadziła samochód w sylwestra. Megan wzruszyła jego troskliwość.

- To by mi się podobało, Bernie. Skończ kawę, a ja w tym czasie wrzucę wszystko do zlewu.

Wypiła kawę i w parę minut później mknęła jego BMW do Napa.

- Jak tu miło i ciepłutko - mruzczała uszczęśliwiona.

Po drodze słuchali muzyki i nawet to, że Megan pracowała, nie zdołała popsuć odświeżonego charakteru tego wieczoru.

- Zawsze się cieszę, że w moim austinie przecieka dach. Jest w nim tak zimno i mokro, że nie usypiam, wracając w nocy ze szpitala, bez względu na godzinę. Inaczej mogłabym kiedyś skończyć owinięta wokół jakiegoś drzewa. A to się nie ma prawa zdarzyć, gdy zamarza mi tyłek.

Bernie zawsze odsuwał od siebie myśl, że Megan mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie lub znosić niewygodę, dlatego był naprawdę rad, że to on prowadzi samochód, zwłaszcza o tej porze, gdy na drogach roilo się od pijaków. Zamierzali wrócić potem do niego na deser i kolejną kawę. Megan nie chciała na dyżurze pić szampana.

- Doktor Jones... doktor Jones proszona jest do izby przyjęć - wywoływali ją przez szpitalny głośnik, gdy już tam dotarli.

Bernie usadowił się w poczekalni ze stertą czasopism. Obiecała, że wróci najszybciej, jak tylko będzie mogła. Była z powrotem dokładnie po pół godzinie.

- Wszystko zrobione?

Gdy tak stała przed nim w białym kitlu i skinieniem głowy dawała mu znać, że skończyła, wyglądała bardzo poważnie. Zdjęła fartuch, przerzuciła go przez ramię i ruszyli do wyjścia.

- To nie było trudne. Biedny dzieciak był kompletnie zalany. Nie złamał nosa ani nie dostał wstrząsu mózgu, ale ma ogromnego siniaka i jutro na pewno będzie się czuł fatalnie. Zanim rodzice go znaleźli, zdążył wypić pół kwarty rumu.

- Ooch, zrobiłem to raz w college'u. A ściślej mówiąc, to był rum i tequila. Kiedy się obudziłem, myślałem, że mózg rozpada mi się na kawałki.

Megan zaśmiała się z niego.

- Miałam podobną przygodę z margaritas, kiedy byłam w Harvardzie. Ktoś wydawał przyjęcie meksykańskie i okazało się, że nagle nie mogę. To się zdarzyło na drugim roku studiów i nie zostało mi nigdy zapomniane. Najpewniej robiłam wszystko, co się dało, może jedynie nie biegałam nago po ulicy i nie szczekałam.

Roześmiała się na myśl o tym wydarzeniu, a Bernie jej zawtórował.

- Jak wspominam takie chwile, to czasami wydaje mi się, że mam sto lat.

Kiedy popatrzyli na siebie, w ich oczach tlił się żar. Spojrzenie Berniego pełne było czułości.

- W każdym razie miło, że nie wyglądasz na tyle.

Wyglądała najwyżej na trzydziestkę, choć miała sześć lat więcej. Bernie natomiast ze zdumieniem myślał o tym, że zbliżają się jego czterdzieste urodziny. Jak ten czas szybko przeleciał...

Zajechali na podjazd w półtorej godziny po tym, jak opuścili dom. Bernie poszedł do salonu, by rozpaścić ogień na kominku, natomiast Megan postawiła wodę na kawę. Kiedy w parę minut później znalazł ją w kuchni, twarz mu się rozjaśniła uśmiechem. W dziwny sposób spędzali tego sylwestra, ale oboje byli szczęśliwi. Kiedy usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami przed kominkiem, Bernie podał jej kubek dymiącej kawy. Była spokojna i odprężona. Popatrzyła na niego uszczęśliwiona.

- Cieszę się, że przyjechałeś na ten weekend, Bernie. Nie wiesz nawet, jak bardzo cię potrzebowałam.

Miło, że to powiedziała. Bernie czuł dokładnie to samo.

- Ja też. Czuję się tak cholernie samotny w moim mieszkaniu w mieście. To dobry sposób na spędzenie sylwestra. Właśnie z kimś, na kim ci zależy.

Ostrożnie dobierał słowa i Megan to rozumiała.

- Pomyślałem, że może zostanę tu przez ten tydzień, skoro nie ma dzieci. Nie będzie mi przeszkadzało, że muszę dojeżdżać do pracy.

Kiedy to powiedział, twarz Megan się rozjaśniła.

- To brzmi wspaniale.

Wyglądała na zachwyconą. W tym momencie znowu zadzwonił jej brzęczyk. Tym razem chodziło o pięcioletnią dziewczynkę z niedużą gorączką i Megan nie musiała nigdzie jeździć. Udzieliła jedynie rutynowej porady i powiedziała rodzicom, że chce obejrzeć dziecko rano. Prosiła, by zadzwonili, gdyby gorączka wzrosła powyżej czterdziestu stopni.

- Jak ty możesz to wytrzymać, tak noc po nocy. To musi być okropnie wyczerpujące.

Wiedział jednak, jak bardzo kochała swoją pracę.

- Tak dużo z siebie dajesz, Meg.

Zawsze miał dla niej wiele podziwu.

- Nie mam nikogo innego, komu mogłabym się poświęcić. A więc czemu nie?

Mówiąc to nie była wcale smutna. Rozmawiali już wcześniej na ten temat. W pewnym sensie Megan wzięła ślub ze swą pracą. Gdy spojrzała mu w oczy, stało się coś dziwnego. Nagle Bernie nie był w stanie zachować granic, które sam sobie wcześniej wyznaczył. Kiedy

ją przytulił, została sforsowana tak szczelnie dotychczas zamknięta brama pożądania. Po prostu najnormalniej w świecie objął Meg i pocałował. Całował długo, bardzo długo, z początku jakby przypominając sobie, jak to się robi, potem z rosnącym z każdą chwilą upodobaniem. Gdy wreszcie przzerwali, oboje byli bez tchu.

- Bernie?

Nie była pewna, co się z nimi dzieje i dlaczego. Co do jednego tylko nie miała wątpliwości: że go kocha.

- Czy powinienem cię przeprosić?

Zajrzał jej w oczy, ale znalazł w nich jedynie czułość. Nie czekając na odpowiedź, znowu ją pocałował.

- Przeprosić? Za co?

Kręciło jej się w głowie. Bernie popatrzył na nią z uśmiechem, przytulił mocniej i zaczął obsypywać pocałunkami. Nie potrafił już przerwać.

Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak długo jej pragnął, a teraz pożądał jej tak bardzo, że nie był w stanie nad sobą zapanować. Nagle oderwał się od niej i wstał zażenowany tym, że Megan widzi jego spodnie wypełnione nabrzmiałą męskością. Miał nie kontrolowaną ogromną erekcję.

- Przepraszam, Meg.

Nabrał głęboko w płuca powietrza i podszedł do okna. Próbował przywołać w pamięci obraz Liz i stwierdził z przerażeniem, że nie potrafi. Odwrócił się i spojrzał wzrokiem zagubionego dziecka na stojącą za nim Megan.

- Wszystko dobrze, Bernie... nikt nie chce cię skrzywdzić.

Kiedy to powiedziała, znowu ją objął i rozplakał się. Tym razem Meg wzięła go w ramiona, a on tulił się do niej z całych sił, jakby jej ciepło miało mu pomóc zachować życie. W końcu spojrzał jej w oczy; rzęsy miała wilgotne, a twarz poważną i stanowczą.

- Nie wiem, co jeszcze czuję, Meg... ale wiem, że cię kocham.

- Ja też cię kocham... i jestem twoim przyjacielem...

Wiedział, że to prawda. Wyciągnął ręce i zamknął w dłoniach jej piersi, potem coraz niżej i niżej głaskał płaski gładki brzuch, aż wsunął rękę w jej spodnie. Pragnął Meg tak bardzo, że brakowało mu tchu. Rozsunąwszy suwak spodni, zapamiętał się w pieszczotach. Zamknęła oczy i pojękiwała cicho. Potem, bez słowa protestu z jej strony, zaniósł ją na kanapę. Tam ułożywszy się przed kominkiem, odkrywali swe ciała. Megan miała jasną skórę, ciało delikatne i białe, jakby przeniknięte światłem księżyca, a drobne i pełne piersi twardniały pod jego dotknięciem.

Rozpięła mu delikatnie spodnie i sięgnęła w głąb, by go odnaleźć. Wypreżył się z żądz w jej rękach, a kiedy zerwał z niej resztki ubrania, zjednoczyli się w uścisku. Potem wtargnął w nią. Megan wydała ostry krzyk pożądania, a po chwili oboje krzyczeli w szale rozpaczy, udręki, namiętności i radości. Przyłgnęła do niego, gdy szczytowała, Bernie zaś miał wrażenie, że ziemia usuwa się pod nimi, kiedy tak wzbijali się razem w przestworza i opadali bez tchu.

Długo leżeli później w milczeniu. Bernie z zamkniętymi oczami gładził delikatnie jej ciało, Megan zapatrzona w ogień na kominku, myślała o tym, jak bardzo go kocha.

- Dziękuję.

Był to szept, który wyrwał mu się z głębi przepojonego wdzięcznością serca. Wiedział, jak wiele mu dała i jak bardzo tego potrzebował. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że tak bardzo. Potrzebował teraz jej miłości, ciepła i pomocy. Pozwalał Liz oddalać się od siebie i było to niemal tak bolesne jak jej śmierć, tym bardziej że tym razem tracił ją na zawsze.

- Nie mów tak... Kocham cię.

Otworzył oczy i kiedy spojrzał jej w twarz, wiedział, że mówi prawdę.

- Nie myślałem, że jeszcze to kiedyś powiem.

Ogarnęła go ulga, jakiej jeszcze nigdy nie zaznał. Ulga, spokój i poczucie bezpieczeństwa.

- Kocham cię - wyszeptał.

Uśmiechnęła się i przygarnęła go jak zagubione dziecko, a on usnął w jej ramionach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Następnego dnia oboje obudzili się zmarznięci na kość. Poderwali się na równe nogi i popatrzyli na siebie z przerażeniem.

Kiedy oprzytomnieli, ogarnęła ich fala szczęścia. Był Nowy Rok.

Bernie podręczył się trochę z Megan na temat sposobu spędzenia sylwestra, a ona pomrukiwała rozkosznie. Potem poszedł przygotować kawę.

Megan znalazła jego stary szlafrok kąpielowy, włożyła na siebie i poszła za nim do kuchni. Jej długie czarne włosy opadały w nieładzie, wyglądała prześlicznie, kiedy usiadłszy przy stole, podparła się pod brodę i pożerała go wzrokiem.

- Wiesz, że jesteś pięknym mężczyzną?

Był najseksowniejszym mężczyzną, z jakim kiedykolwiek spała. I do żadnego z kochanków nie czuła tego, co do niego. Mimo to zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Istniała możliwość, że w końcu zostanie sama ze złamanym sercem. Bernie do tej pory nie zdradził pamięci żony, poza tym za kilka miesięcy przeprowadzał się do Nowego Jorku. Sam jej to powiedział. Była zbyt dorosła, by nie zdawać sobie sprawy, że czasami właśnie najuczciwsi ranią najboleśniej.

- O czym myślisz? Wyglądasz piekielnie poważnie, moja piękna damo.

- Zastanawiałam się, jak wielką przykrość sprawi mi twój wyjazd do Nowego Jorku.

Postanowiła, że też będzie z nim uczciwa. Musiała. Przeżyła własne dramaty i pozostały jej rany, o których nie mogła zapomnieć.

- To śmieszne, ale przestała mnie już cieszyć myśl o wyjeździe, choć przez pierwsze dwa lata nie pragnąłem niczego innego.

Wzruszył ramionami i podał jej kubek z dymiącą czarną kawą, jaką lubiła.

- Teraz wolałbym nie wyjeżdżać. Ale przestańmy o tym przez chwilę myśleć, dobrze?

- I tak będzie bolało - uśmiechnęła się filozoficznie. - Sądzę jednak, że jeśli z twego powodu, to warto.

- Miło to słyszeć.

On również gotów był zrobić dla niej wszystko. Sam nie pojmował, jak to się stało, że tak bardzo zdołał ją pokochać.

- Tej nocy, kiedy przyjechałeś z Alexem do szpitala, uznałam, że jesteś wspaniały. Powiedziałam to nawet pielęgniarce... Myślałam jednak, że masz żonę. W drodze do domu zrobiłam sobie nawet niezły wykład na temat podpalania się do ojców pacjentów.

Bernie zaśmiał się głośno, a Meg dodała z uśmiechem:

- Naprawdę, słowo daję. Na ogół uważano mnie za oziębłą.

- Gadanie. Nie nazwałbym cię tak wczoraj.

Megan zaczerwieniła się, Bernie zaś podszedł, by usiąść obok niej. Znowu jej pragnął, pragnął ponad miarę pragnął na zawsze. Żyli teraz w zaczarowanej krainie miłości. Kiedy spojrzał na nią, zalała go fala pożądania. Delikatnie zsunął z niej szlafrok, który dopiero co tak pracowicie zawiązała i poprowadził ją do swego pokoju. Tym razem kochali się na łóżku, raz i drugi, aż w końcu Megan poszła pod prysznic, tłumacząc, że musi się już ubrać i pojechać do szpitala na obchód.

- Pojadę z tobą.

Jego oczy już od dwóch lat nie były tak szczęśliwe. Spojrzenie Megan było pełne ciepła, gdy odwróciła się do niego, jeszcze ociekająca wodą.

- Naprawdę chcesz znowu ze mną jechać?

Uwielbiała to, uwielbiała mieć go blisko siebie i dzielić z nim życie. Jednocześnie wiedziała, że to bardzo niepewne. Wcześniej czy później będzie musiał ją zostawić.

- Nie mogę być daleko od ciebie, Meg.

Była to prawda. Miał wrażenie, że straciwszy jedną ukochaną kobietę, nie będzie w stanie znieść utraty drugiej, choćby tylko na godzinę.

- O key.

Przez cały weekend nie rozstali się ani na chwilę. Razem jedli, spali, spacerowali i biegali, śmiali się i kochali po trzy albo cztery razy dziennie. Bernie zachowywał się jak człowiek, który do niedawna umierał z pragnienia miłości, seksu, uczucia i teraz nie był w stanie wziąć od niej aż tyle, by sobie to zrekompensować.

Przez cały tydzień wracał wcześniej z miasta i jechał do gabinetu Meg z prezencikami, małymi skarbami i czymś do jedzenia. Zachowywał się jak w początkach znajomości z Liz, choć było inaczej. Oboje wiedzieli, że to nie może trwać wiecznie. Pewnego dnia Bernie wróci do Nowego Jorku i wszystko się skończy. Na szczęście może upłynąć jeszcze dużo czasu, zanim Paul Berman znajdzie kogoś na jego miejsce.

Ostatniego wspólnego wieczoru, tuż przed powrotem dzieci, Bernie otworzył butelkę szampana Louis Roederer, a Megan przygotowała obiad. Tym razem dyżur miał za nią Patrick, toteż spędzili razem namiętą i wreszcie spokojną noc.

Bernie wziął sobie jeszcze jeden wolny dzień, ale już o szóstej musiał być na lotnisku, o czwartej więc odjechał do miasta.

- Tak mi przykro, że muszę cię opuścić.

Przez ostatnie dziesięć dni prawie wcale się nie rozstawali i teraz Bernie czuł się bardzo nieszczęśliwy, że musi ją zostawić. Po powrocie dzieci, a zwłaszcza Jane, już nie będzie tak samo. Córka była za duża i zbyt spostrzegawcza, by dała się nabrać na kłamstwa. Nie mogli otwarcie sypiać ze sobą bez przysparzania jej bólu i bez jawnego gwałcenia uznawanych przez siebie norm moralnych.

Ilekcóż zapragnę być ze sobą, będą musieli gdzieś wyjeżdżać albo Bernie będzie sypiał u Megan i wychodził od niej o szóstej rano, by zdążyć wślizgnąć się do domu, zanim wstaną dzieci.

- Będzie mi ciebie piekielnie brakowało, Meg.

Miał wrażenie, że się rozplacze, a Megan, słysząc to, pocałowała go.

- Nigdzie nie wyjeżdżam, zostaję tutaj i czekam na ciebie.

Wzruszył go sposób, w jaki to powiedziała. Bernie wypełnił w jej duszy miejsce, które było długo, długo puste. Wiedziała, jak bardzo go kocha, może nawet bardziej, niż potrafiła wyrazić słowami. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że musi go kochać bez zobowiązań. Nie miała prawa przywiązać się do niego i obiecała sobie, że tego nie zrobi.

- Zobaczmy się w ten weekend, kochanie.

Nie będzie jednak już tak, jak do tej pory, i oboje dobrze o tym wiedzieli. Bernie obiecał zadzwonić jeszcze tego samego wieczoru, gdy dzieci będą już w łózkach.

Kiedy czekał na nie na lotnisku, czuł się tak, jakby stracił coś bardzo cennego. Chciał zawrócić i pobiec do Megan, by sprawdzić, czy jeszcze tam jest. Uczucie to dopadło go jednak z całą siłą dopiero po powrocie do domu z nianią Pip i dziećmi. Nieodparcie ciągnęło go przy tym do garderoby Liz.

Tym razem poszedł tam naprawdę czegoś poszukać pudełka ze starymi zdjęciami dziadka i babci, które, jak przysięgała Jane, powinno się tam znajdować. Jane chciała przygotować dla dziadków prezent w postaci albumu. Otworzył garderobę Liz i nagle odniósł wrażenie, że ona tam stoi i ma do niego pretensję o Megan. Poczł się tak, jakby ją oszukał.

Zatrzasnął drzwi i bez tchu opuścił pokój, nie tknąwszy zdjęć, o które prosiła córka.

Garderoba Liz... już nie potrafił sobie z tym poradzić.

- Nie ma ich.

Twarz miał bladą jak ściana. Co on zrobił? Co zrobił Liz? Czyżby o niej zapomniał? Cóż to było? Zgrzeszył. Strasznie zgrzeszył. Nie miał wątpliwości, że Bóg go za to pokarze. Zdradził Liz.

- Właśnie że masz te zdjęcia upierała się Jane. Babcia tak powiedziała.

- Nie mam! - krzyknął i zdenerwowany wszedł do kuchni. - Babcia nie wie, o czym

mówi.

- Co się stało?

Jane była stropiona. Dobrze znała Berniego.

- Nic.

- A właśnie że tak. Czy źle się czujesz, tatusiu?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, i Jane spostrzegła, że oczy ma pełne łez. Podbiegła i objęła go z przerażeniem.

- Przepraszam, kochanie. Tak bardzo się za tobą stęskniłem, że niemal oszalałem.

Nie miał pewności, czy tłumaczy się córce, czy Liz. Kiedy dzieci były już w łózkach, zadzwonił jednak do Megan. Pożądał jej tak rozpaczliwie, że chciał znaleźć się przy niej, i to najlepiej zaraz, a w każdym razie jak najszybciej. Miał wrażenie, że bez niej oszaleje.

- Dobrze się czujesz, kochanie?

Usłyszała dziwną nutę w jego głosie i wydawało jej się, że go rozumie. Zdawała sobie sprawę, że powrót do domu, w którym mieszkał kiedyś z Liz, będzie bolesny. Zwłaszcza teraz, w stanie, w jakim się znajdował. Wiedziała, że dręczy go poczucie winy.

- Wszystko dobrze - odparł, choć ton jego głosu na to nie wskazywał. Nawet jeżeli jest inaczej, to i tak nic nie szkodzi. Bernie westchnął. Megan dobrze już go znała. Z jednej strony przynosiło to ulgę, a z drugiej irytowało. Krępowało go, że jest taki zakłopotany i ma wyrzuty sumienia, ale naprawdę tak było i nic nie mógł na to poradzić.

- Mówisz jak moja matka.

- No, no... - wybuchnął śmiechem na ten komentarz.

Nie naciskała go jednak.

- No już dobrze, dobrze.

Postanowił się przyznać i okazało się, że to ich jeszcze bardziej zbliżyło.

- Mam cholerne wyrzuty sumienia. Otworzyłem garderobę Liz i miałem wrażenie, że nadal czuję tam jej obecność...

Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć, ale Megan go rozumiała.

- Nadal trzymasz tam jej ubrania?

Przyznanie się do tego też było dla niego w pewnym sensie krępujące.

- Tak, myślę, że...

- W porządku. Nie musisz się usprawiedliwiać, Bernie. To twoje życie. Masz do tego wszystkiego prawo.

Była pierwszą osobą, która powiedziała mu coś takiego. Kochał ją za to jeszcze mocniej.

- Kocham cię. Jesteś dla mnie kimś bardzo ważnym i mam nadzieję, że nie doprowadzam cię do szaleństwa.

- Doprowadzasz, ale nie tak, jak myślisz - zaczerwieniła się lekko. - W cudowny sposób.

Twarz Berniego pojaśniała. Od bardzo dawna nie czuł się tak szczęśliwy.

- Jak się spotkamy w ten weekend?

Obmyślili plan, zgodnie z którym Bernie miał spędzić u niej noc w piątek i wrócić do domu wczesnym rankiem w sobotę. Udało się. Pojechał do niej również w środę, Jane powiedziała, że musi wyjechać służbowo do Los Angeles.

Odtąd co tydzień miał delegację, a któregoś razu wyjechał nawet na dwa dni. Tylko niania Pip знаła prawdę. Chciał, żeby wiedziała, gdzie się podziewa, na wypadek gdyby coś się stało któremuś dziecku. Nie powiedział jej, o kogo chodzi, tylko dał numer telefonu i prosił, by zadzwoniła w razie nagłej potrzeby.

Czuł się zakłopotany, lecz niania nigdy nie powiedziała ani słowa. Nigdy też nie sprawiała wrażenia zgorzonej. Zachowywała się tak, jakby uważała to za normalne. Bernie podejrzewał, że wie, kogo odwiedza, ponieważ żegnała go zawsze żartobliwą miną i klepieniem po ramieniu.

Na weekendy wyjeżdżali do Napa i wtedy Megan zaglądała do nich. Pokazała Jane, jak zrobić gniazdo dla małego ptaszka, który spadł z drzewa rosnącego nieopodal domu, i pomogła nastawić mu łapkę, gdy okazało się, że jest złamana. Zabierała czasami Alexandra po sprawunki i mały zawsze pisał z uciechy na jej widok. Jane też zaczynała powoli mięknąć.

- Dlaczego tak ją lubisz, tatusiu? - spytała któregoś dnia, gdy wkładali za nianię naczynia do zlewu.

- Ponieważ jest miłą kobietą. Jest inteligentna, dobra i oddana. Nieczęsto spotyka się takie kombinacje.

Berniemu udało się jednak spotkać, i to dwukrotnie. Musiał przyznać, że w gruncie rzeczy jest szczęściarzem. Jego szczęście będzie trwało, dopóki nie przyjdzie mu wyjechać z Kalifornii do Nowego Jorku.

Ostatnio jednak coraz częściej zastanawiał się nad słusnością takiej decyzji.

- Czy ją kochasz?

Wstrzymał oddech i nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Pragnął być wobec małej uczciwy, ale z drugiej strony chciał oszczędzić jej wstrząsów.

- Może...

Jane wyglądała na zaskoczoną.

- Naprawdę? Tak bardzo jak mamusię?

Widać było że jest zaszokowana, i naraz śliczna buzia wykrzywiła się w nieprzyjemnym grymasie.

- Nie. Jeszcze nie. Nie znam jej tak długo.

Jane pokiwała głową. A więc było to coś poważnego. Choć starała się ze wszystkich sił, nie potrafiła dłużej nienawidzić Meg. Megan bez trudu zjednywała sobie sympatię i była bardzo lubiana przez dzieci.

Kiedy Bernie miał jechać w kwietniu do Europy, Jane spytała, czy mogą u niej spędzać weekendy. Był to wielki zwrot w ich stosunkach i usłyszawszy to, Bernie o mało się nie rozplakał z wdzięczności i ulgi.

- Czy naprawdę chcesz ich tutaj?

Obiecał Jane, że porozmawia z Megan na ten temat.

- Mogę wysłać je z nianią.

- Byłabym zachwycona.

Co prawda dom Meg był mały, ale gdyby spała, jak się upierała, na kanapie, mogłaby oddać niani swój pokój, a dzieciom gabinet. Dzieciaki były zachwycone. Przyjeżdżali do niej na weekendy w piątek zaraz po szkole. Bernie zdążył wrócić na trzecie urodziny Alexandra. Obchodzili je wszyscy razem, a potem Bernie poszedł z Megan na długi spacer.

- Czy coś się wydarzyło w Nowym Jorku? - spytała zaniepokojona. - Jesteś taki milczący.

- Berman sądzi, że jest już coraz bliższy znalezienia kogoś na moje miejsce. Jest pewna kobieta, którą chce podkupić z innego sklepu. Targują się o pieniądze, ale Berman zwykle wygrywa takie batalie. Co mam robić, Meg? - W oczach Berniego była udręka, która ją głęboko wzruszyła. - Nie chcę cię opuszczać.

Okropnie za nią tęsknił podczas pobytu w Europie. Bardziej, niżby się tego mógł spodziewać.

- Stawimy temu czoło, kiedy już będziemy musieli.

Tej nocy kochali się tak, jakby już miało nie być jutra, a w dwa tygodnie później Bernie specjalnie przyjechał z miasta, by zakomunikować jej nowiny. Berman stracił osobę, która miała go zastąpić. Podpisała nową umowę ze swym starym sklepem niemal za podwójne wynagrodzenie. Przyniosło mu to ulgę, choć wiedział, że nie powinien zdawać się na przypadek.

- Alleluja!

Przywiózł ze sobą butelkę szampana. By to uczcić, wybrali się tego wieczoru na obiad do Auberge du Soleil, gdzie spędzili wspólnie wieczór.

Bernie musiał wracać do miasta o ósmej rano następnego dnia, ale Megan koniecznie chciała mu jeszcze coś pokazać. Pojechali jej austinem. Był to wiktoriański domek wtulony między winnice, położony w pewnej odległości od autostrady.

- Jaki piękny! Do kogo należy?

Patrzył na niego obojętnie, tak jak się spogląda na cudzą żonę, z podziwem, ale bez chęci posiadania. Megan uśmiechała się do niego, jakby chowała asa w rękawie.

- To cała posiadłość. Należała do starej pani Moses, która umarła, gdy byłeś w Europie. Miała dziewięćdziesiąt jeden lat. Dom jest w doskonałym stanie.

- Kupujesz go? - spytał zaintrygowany, bo wydawało mu się, że Megan sporo wie na ten temat.

- Nie, mam lepszy pomysł.

- Jaki? - zerknął na zegarek.

Musiał zdążyć do sklepu na zebranie.

- A co byś powiedział na otwarcie teraz sklepu? - Nie chciałam nic mówić, dopóki nie byłam pewna, czy wyjeżdżasz. Nawet gdybyś miał tu zostać jeszcze tylko kilka miesięcy, Bernie, mogłoby się to okazać fantastyczną inwestycją.

Była tak podekscytowana, że wyglądała niemal dziewczęco. Patrzył na nią wzruszony, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Nie miał pojęcia, kiedy przyjdzie mu wyjechać.

- Och, Meg... nie mogę.

- Dlaczego? Pozwól chociaż, że przedstawię cię Phillippie.

- Kochanie...

Nie chciał jej rozczarować, lecz Megan nie miała pojęcia, ile wysiłku kosztuje założenie nowego sklepu.

- Nie potrzebuję akurat kierownika, potrzebowałbym architekta, kogoś, kto się zajmie zakupami i jeszcze... - zawahał się.

- Po co? Znasz to wszystko. A architektów jest tutaj z tuzin. No, Bernie, przynajmniej pomyśl o tym.

Popatrzyła na niego. Oczy Berniego roziskrzyły się, ale tylko na moment, i Megan poczuła się rozczarowana.

- Pomyślę, a na razie muszę już jechać. Wrócę w sobotę.

Do soboty pozostały dwa dni. Całe ich życie składało się z godzin, które spędzali razem.

- Czy zjesz lunch z Phillipą?

- Dobrze, dobrze.

Zaśmiał się i uszczypnąwszy ją w pośladek, wsiadł do samochodu. Odjeżdżając, jeszcze jej pomachał.

Megan uśmiechała się do siebie w drodze do szpitala. Miała nadzieję, że jej się uda. Wiedziała, że Bernie myśli o czymś takim, i nie widziała powodu, dla którego miałby rezygnować. Gotowa była zrobić wszystko, by mu pomóc. Miał prawo do realizacji swego marzenia i może, jeśli los pozwoli, zostanie w Kalifornii.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Phillippa Wintertum miała jedno z najśmieszniejszych imion i jedną z najładniejszych twarzy, jakie zdarzyło się Berniemu widzieć. Była uroczą siwowłosą kobietą tuż po pięćdziesiątce i robiła już wszystko, od prowadzenia sklepu w Palm Beach, poprzez kierowanie całą siecią sklepów w Long Island, pracę w „Women's Wear Daily”, i „Vogue”, aż do projektowania odzieży dziecięcej włącznie. Przez ostatnich trzydzieści lat zajmowała się chyba wszystkim, co ma związek z handlem. Skończyła nawet college Parsonsa.

Megan przysłuchiwała się ich rozmowie, z trudem powstrzymując uśmiech. Nie przejęła się nawet zbyt koniecznością wyjazdu do gabinetu, gdzie oczekiwał na jej pomoc pewien ośmiolatek ze złamanym nadgarstkiem. Kiedy wróciła, wciąż jeszcze rozmawiali. Pod koniec lunchu oczy Berniego pałały. Phillippa dobrze wiedziała, co chce robić, i umierała wprost z niecierpliwości, by wziąć się do tego wspólnie z Berniem.

Nie miała pieniędzy, żeby zainwestować, ale Bernie był pewny, że dałby sobie radę, gdyby wziął pożyczkę z banku lub nawet skorzystał z niewielkiej pomocy rodziców.

Problem polegał na tym, że Bernie spodziewając się, wcześniej czy później, przeniesienia do Nowego Jorku, po prostu nie widział szans realizacji tego planu. Po lunchu z Phillippą pomysł ten zaczął jednak drażnić jego szare komórki. Kilka razy przejeżdżał koło domu, który pokazywała mu Megan. Kusił go, ale kupowanie posiadłości w Kalifornii nie miało sensu, chyba że traktowałby to jako lokatę kapitału.

Podczas telefonicznych rozmów z Paulem Bermanem, Bernie był roztargniony i zachowywał rezerwę. Nagle znowu opadły go dawne upiory. Za często myślał o Liz i gniewał się za to na Megan.

Całe lato poświęcił sklepowi w San Francisco, w każdym razie fizycznie, gdyż sercem i myślami był gdzie indziej, w Napa z Megan, a także w domu, który miał chęć kupić, i w sklepie, który chciałby tam założyć. Rozdarty wewnątrz, czuł się jak zdrajca.

Megan, odgadując, co się z nim dzieje, starała się być łagodna, spokojna i dodawać mu otuchy. Nie nagabywała go na temat jego planów i Bernie doceniał jej takt. Była nadzwyczajną kobietą, lecz teraz nawet to stało się dla niego problemem.

Przez siedem miesięcy kradli czas i wcześniej czy później musieli za to zapłacić, ale Bernie na razie nie miał zamiaru się tym przejmować. Uwielbiał być z Megan, chodzić z nią na długie spacerunki, rozmawiać do późna, a kiedy otrzymywała wezwanie do chorego, nawet wozić ją nocą do szpitala. Poza tym była tak wspaniała dla dzieci!

Alexander zawsze miał na jej punkcie bzika, a ostatnio udzieliło się to również Jane i niani Pippin. Wyglądało na to, że Megan jest kobietą wprost idealną dla niego... gdyby jeszcze nie trzeba było walczyć z pamięcią o Liz. Starał się ich nie porównywać, bo należały do dwóch całkowicie różnych typów kobiet. Ilekroć Jane próbowała się doszukiwać jakichś między nimi podobieństw, Megan natychmiast jej przerywała.

- Twoja mama była kimś wyjątkowym.

Trudno było się z nią nie zgodzić, a jej słowa dodawały Jane otuchy. Wydawało się, że Megan doskonale zna dzieci, jeszcze zaś lepiej Berniego.

Bernie nie lubił już nawet mieszkać w mieście. Było w jego domu coś, co go przygnębiało. Szczęśliwe wspomnienia zdążyły się pozacierać i ostatnio pamiętał jedynie, jak Liz chorowała i umierała, jak kurczowo trzymała się życia, jak wlokła się do szkoły, gotowała im codziennie obiady i słabła z godziny na godzinę. To stało się nie do wytrzymania. Minęły dwa lata, od kiedy ich zostawiła, i wołał wspominać coś innego. Trudno było mu jednak myśleć teraz o Liz nie rozpamiętując jej umierania.

W sierpniu przyjechali rodzice, by odwiedzić dzieci. Bernie mieszkał z nimi w lecie w Napa i rodzice, jak w ubiegłym roku, zamieszkali u niego. Tym razem również zabrali Jane na wycieczkę. Gdy wrócili, Bernie przedstawił im Megan. Ponieważ trochę o niej w domu opowiadał, nie mieli wątpliwości, kim jest. Matka obejrzała Meg uważnie, ze znajomością rzeczy, ale, o dziwo, nie skrytykowała. Megan Jones nawet jej się spodobała. I nie mogło być inaczej.

- A więc jesteś lekarzem? - spytała niemal z dumą w głosie, a kiedy ją pocałowała, oczy Megan zwilgotniały.

Następnego dnia, gdy Bernie był w pracy, Meg, nie mając akurat dyżuru, obwiozła ich po Napa i pokazała najpiękniejsze widoki. Ojciec musiał za kilka dni wyjechać do San Diego na zjazd lekarzy, lecz Ruth tak manewrowała, by zostać w Napa z dziećmi. Syn wciąż bardzo ją martwił. Wyczuwała, że mimo uwikłania się w związek z Megan, nadal boleje z powodu Liz.

Rozmawiały o tym podczas lunchu w Saint George w Santa Helena. Ruth czuła, że może mówić otwarcie z tą młodą kobietą, która tak bardzo przypadła jej do serca.

- Nie jest taki jak kiedyś - powiedziała ze smutkiem w głosie, zastanawiając się, czy w ogóle jest możliwe, by jeszcze kiedykolwiek taki mógł być. - Pod pewnymi względami był lepszy, bardziej wrażliwy, doroślejszy, ale po śmierci Liz stracił dawną radość życia.

- To wymaga czasu, proszę pani.

Minęły już dwa lata, a Bernie dopiero zaczynał dochodzić do siebie, natomiast

decyzje, które musiał teraz podjąć, należały raczej do trudnych. Wybór był tak bolesny: Megan i pamięć o Liz, San Francisco i Nowy Jork, własny sklep i lojalność wobec Paula Bermana. Czuł się rozdarty na wszystkie strony i Megan zdawała sobie z tego sprawę.

- Jest teraz taki przygaszony.

Ruth rozmawiała z nią jak ze starą przyjaciółką i Megan uśmiechnęła się lekko. Był to uśmiech, który dodawał otuchy zranionym palcom, bolącym uszom i brzuchom. Ruth również podniósł na duchu. Czuła, że w rękach tej kobiety jej syn byłby szczęśliwy.

- Przeżywa trudny okres. Myślę, że usiłuje znaleźć odpowiedź na pytanie, czy ma prawo porzucić to wszystko. To w każdym budzi lęk.

- Co porzucić?

Ruth wyglądała na zaintrygowaną.

- Pamięć o żonie, złudzenie, że kiedyś do niego wróci. Niczym się to nie różni od tego, przez co przechodzi Jane. Dopóki Jane mnie odrzuca, dopóty może w siebie wmawiać, że jej matka któregoś dnia do niej powróci.

- Nie jest to dla nich dobre - odparła Ruth, marszcząc brwi.

- Ale normalne.

Nie wspomniała o marzeniach Berniego o własnym sklepie w dolinie Napa, by jej jeszcze bardziej nie martwić.

- Sądzę, że Bernie jest w trakcie podejmowania decyzji, które są dla niego trudne, pani Fine. Poczuj się lepiej, gdy już będzie je miał za sobą.

- Mam nadzieję.

Nie spytała, czy jedna z tych decyzji dotyczy ewentualnego ślubu z Megan. Gawędziły dalej, a kiedy Megan podrzuciła ją po lunchu do domu i pomachała na odjeżdżnym, Ruth czuła się już lepiej.

- Podoba mi się ta dziewczyna - powiedziała tego wieczoru Berniemu. - Jest inteligentna, wrażliwa i dobra - szybko wciągnęła powietrze w płuca - i kocha cię.

Po raz pierwszy w życiu matka wydawała się przerażona myślą, że może go rozgniewała, ale Bernie odpowiedział jej uśmiechem.

- To wspaniała kobieta.

Zgodził się z nią.

- Dlaczego nic z tym nie zrobisz?

Po długim milczeniu, napotkawszy wzrok matki, westchnął.

- Meg nie może przenieść swej praktyki do Nowego Jorku, a mnie Wolff nie ma zamiaru trzymać tu do końca życia, mamó.

Widać było, jak bardzo czuje się rozdarty wewnątrz, i Ruth zrobiło się go żal.

- Nie możesz się ożenić ze sklepem Bernardzie - jej głos był miękki i cichy. Działała na własną niekorzyść, czyniła to jednak w interesie syna, a to było tego warte.

- Też o tym myślałem.

- I co?

Bernie znowu westchnął.

- Dużo zawdzięczam Paulowi Bermanowi.

Ruth popatrzyła na niego z wyrzutem.

- Nie tyle, żebyś poświęcał dla niego swe życie i szczęście albo szczęście dzieci. Mnie się wydaje, że Berman zawdzięcza więcej tobie niż ty jemu po tym wszystkim, co zrobiłeś dla sklepu.

- To wszystko nie jest takie proste, mamó.

Sprawiał wrażenie kompletnie wyczerpanego, co bardzo ją bolało.

- Może powinno być proste, kochanie. Może powinienes o tym pomyśleć.

- Dobrze.

Uśmiechnął się w końcu i pocałował ją w policzek, a potem szepnął:

- Dziękuję.

W trzy dni później matka dołączyła do Lou, który przebywał w San Diego. Bernie żegnał się z nią z prawdziwym żalem. Po latach stała się jego przyjaciółką. Nawet Megan odczuła jej brak.

- Jest naprawdę wspaniała, Bernie.

Spojrzał z uśmiechem na kobietę, którą tak rozpaczliwie kochał. To była pierwsza wspólna noc po wyjeździe matki. Dobrze było znowu leżeć obok niej w łóżku.

- To samo powiedziała o tobie, Meg.

- Mam dla niej dużo szacunku. Ona bardzo cię kocha.

Bernie nie krył radości z tego, że się tak polubiły, a Megan promieniała ze szczęścia, że znów może być przy nim. Nigdy nie czuła się zmęczona jego towarzystwem. Kiedy tylko mogli, spędzali ze sobą całe godziny, rozmawiali, przytulali się i kochali. Czasami nie spali przez całą noc tylko po to, by móc cieszyć się swoją bliskością.

- Mam wrażenie, że nie widzieliśmy się od wielu tygodni - szepnął wtulając twarz w jej szyję.

Ciągle nie miał dosyć ciała Meg, dotyku jej skóry. Kochali się, kiedy nagle poprzez miłosne uniesienie dobiegł ich uszu jakby z oddali dźwięk telefonu. Sami czuli się nieraz porażeni siłą swego pożądania, które od ośmiu miesięcy, to jest od czasu, kiedy zaczęli żyć ze

sobą, nic nie straciło na sile.

Oboje byli jeszcze bez tchu, gdy Megan odsunęła się od niego z przeproszącą miną, by odebrać telefon. Tego dnia miała dyżur za Patricka.

Przysunął się bliżej i zaczął pieścić jej pierś. Nie chciał, by teraz odchodziła.

- Kochanie, muszę...

- Tylko ten jeden raz... Jeżeli cię nie znajdą, zadzwonią do Patricka.

- Jego też mogą nie znaleźć.

Uwielbiała go, ale sumienność miała we krwi. Z żalem wyswobodziła się z jego uścisku i za czwartym dzwonkiem złapała słuchawkę. Poszedł za nią, głaszcząc jej pośladki, i czuła teraz unoszący się w powietrzu zapach ich kochania.

- Mówi doktor Jones - to był jej oficjalny głos. Przez chwilę, jak zwykle, słuchała. - Gdzie?... Jak długo?... Ile?... Jak często? Zabierzcie ją na intensywną terapię... i zadzwońcie do Fortganga.

Już łapała dzinsy, całe kochanie poszło w niepamięć. Widać było, że jest wstrząśnięta.

- Dajcie mi anestezjologa, dobrego. Zaraz tam będę.

Odłożyła słuchawkę i odwróciła się, by spojrzeć na Berniego. Nie było czasu na owijanie w bawełnę. Musiała mu powiedzieć.

- Co się stało?

- O Boże... - to była najgorsza rzecz, jaką przyszło jej komukolwiek zrobić... - Kochanie... Bernie...

Wybuchnęła płaczem. Była wściekła na siebie za łzy, które po płynęły jej z oczu. Bernie czuł instynktownie, że coś straszego stało się komuś, kogo kochał.

- To Jane.

Żołądek skurczył mu się na te słowa.

- Jechała na rowerze i potrafił ją samochód.

Mówiła ubierając się w pośpiechu, a on stał i gapił się na nią. Wyciągnęła ręce i dotknęła jego twarzy. Patrzył, jakby nie pojmował, co do niego mówi. A przecież rozumiał każde słowo, tyle że nie mógł uwierzyć. Nie wierzył, że Bóg może być tak okrutny. Nie dwa razy w życiu.

- Co się stało? Do cholery, Megan, powiedz!

Krzyczał na nią, a ona chciała jak najszybciej wyjść. Musiała jechać do szpitala, by ją zobaczyć.

- Jeszcze nie wiem. Ma zranioną głowę, sprowadzają chirurga-ortopedę...

- Co ma złamane?

Musiała mu powiedzieć. Nie było czasu do stracenia.

- Ma poważne złamanie nogi, ręki i biodra. Może mieć też uszkodzony kręgosłup, ale nie są jeszcze pewni.

- O mój Boże...

Schowwał twarz w ręce, a Megan podała mu dzinsy i pobiegła po buty. Włożyła swoje i pomogła mu włożyć jego.

- Nie możesz się poddawać. Nie wolno ci. Musimy do niej jechać. Może nie jest wcale tak źle, jak wygląda.

Wyglądało jednak okropnie, nawet dla niej jako lekarza. Istniało prawdopodobieństwo, że Jane nie będzie już nigdy mogła chodzić. Jeżeli od rany głowy miała uszkodzony mózg, to może być fatalnie.

Bernie złapał ją za rękę.

- Ale może być jeszcze gorzej, prawda? Może umrzeć... albo zostanie kaleką, albo będzie żyła jak roślina do końca życia...

- Nie. - Wytarła oczy i popchnęła go w kierunku drzwi. - Nie... Nie wierzę w to... Chodź...

Kiedy ruszyła i prawie bez ostrzeżenia wrzuciła wsteczny bieg, by wyjechać na szosę, Bernie patrzył przed siebie nieruchomymi oczami. Starła się wciągnąć go do rozmowy.

- Bernie, powiedz coś.

- Czy wiesz, dlaczego to się stało?

Wyglądał jak trup i faktycznie czuł się tak w środku.

- Dlaczego?

Przynajmniej padały jakieś słowa. Jechała ponad dziewięćdziesiątkę i modliła się, by pojawiła się policja i dała im eskortę. Z tego, co Meg zdołała się dowiedzieć przez telefon, Jane była bliska śmierci i podłączono ją do urządzenia reanimacyjnego.

- Stało się tak, ponieważ byliśmy ze sobą w łóżku. Bóg mnie ukarał.

Poczuła, że łyżę szczypią ją w oczy, i mocniej nacisnęła pedał gazu.

- Kochaliśmy się i Bóg cię nie ukarał.

- Właśnie że tak. Nie miałem prawa zdradzać Liz... i... - zaczął szlochać.

Słowa Bernieego dotknęły ją do żywego, ale przez całą drogę do szpitala nie przestawała do niego mówić, nie chcąc dopuścić do tego, by się załamał.

Gdy wjeżdżali na parking, Megan zapowiedziała:

- Jak tylko się zatrzymamy, wyskakuję z samochodu. Ty zaparkujesz i przyjdiesz do środka. Gdy będę coś wiedziała, zaraz powiem ci, co się dzieje, przyrzekam.

Samochód się zatrzymał i Megan spojrzała na niego.

- Módl się za nią, Bernie. Po prostu módl się. Kocham cię.

I już jej nie było.

Przyszła do niego w dwadzieścia minut później. Była w zielonym chirurgicznym ubraniu, czapce i maseczce, a na mokasynach miała papierowe pantofle.

- Już się nią zajął ortopeda. Próbuje ustalić, jakich doznała obrażeń. Poza tym z San Francisco leci już helikopterem dwóch chirurgów dziecięcych.

Megan ich wezwwała i Bernie doskonale rozumiał, co to znaczy.

- Nie wyjdzie z tego, Meg, tak?

Głos miał na wpół martwy. Zadzwoił, by zawiadomić nianię, i tak głośno szlochał, że z trudnością go zrozumiała. Kazała mu się wziąć w garść i powiedziała, że czeka przy telefonie na wieści od niego. Nie chciała straszyć Alexandra i zabierać go do szpitala. Nie zamierzała mu nawet nic mówić.

- Czy ona...? - naciskał na Megan.

Z jego oczu mogła wyczytać, jak bardzo się obwinia. Chciała mu jeszcze raz powiedzieć, że nie ma w tym jego winy, że wcale nie został ukarany za to, iż zdradzał z nią Liz, ale nie było to miejsce na takie rozmowy. Powie mu to później.

- Wyjdzie z tego, a jeśli będziemy mieli dużo, dużo szczęścia będzie nawet chodzić. Musisz w to wierzyć.

- A jeżeli nie będzie miała szczęścia?

Myśl ta nie dawała Berniemu spokoju, kiedy Megan ponownie zniknęła. Opadł na krzesło jak szmaciana lalka. Pielęgniarka przyniosła mu szklankę wody, lecz odmówił. Przypomniało mu to doktora Johanssena, kiedy informował go, że Liz ma raka.

W dwadzieścia minut później wylądowały helikoptery i pędem przybiegli dwaj chirurdzy. Wszystko było już przygotowane na ich przyjazd. Miejscowy ortopeda i Megan asystowali przy operacji. Chirurdzy zabrali ze sobą na wszelki wypadek neurochirurga, ale okazało się, że uraz głowy nie jest tak poważny, jak się im na początku wydawało. Najpoważniej uszkodzone było biodro i podstawa kręgosłupa. Teraz to ich najbardziej martwiło. Złamanie nogi i ręki było proste, a w pewnym sensie Jane miała nawet szczęście. Gdyby pęknięcie kręgosłupa było głębsze o dwa milimetry, byłaby do końca życia sparalizowana od pasa w dół.

Operacja trwała cztery godziny i gdy Megan w końcu przyszła, Bernie zaczynał wpadać w histerię. Nareszcie było po wszystkim. Przytuliła go, a on szlochał w jej ramionach.

- Wszystko z nią dobrze, kochanie... wszystko dobrze...

Do następnego popołudnia nabierali pewności, że Jane będzie chodzić. Wymagało to czasu i wielu godzin terapii, ale będzie mogła biegać, bawić i tańczyć. Bernie szlochał, gdy lekarze mu o tym mówili. Patrzył na śpiącą Jane i nie mógł się powstrzymać od płaczu.

Następnym razem Jane już nie spała. Uśmiechnęła się do niego, potem spojrzała na Megan.

- Jak się czujesz, kochanie? - spytała miękko Megan.

- Boli mnie - poskarżyła się mała.

- Trochę poboli, ale niebawem znowu będziesz się bawić na dworze.

Jane uśmiechnęła się słabo i popatrzyła na Megan, jakby liczyła na jej pomoc. Bernie jedną ręką ujął demonstracyjnie dłoń Megan, a drugą objął rączkę Jane.

Megan i Bernie zadzwonili razem do jego rodziców. Byli wstrząśnięci, kiedy jednak Megan opowiedziała ojcu wszystkie szczegóły, uspokoił się jak i oni.

- Miała dużo szczęścia - stwierdził Lou ze strachem i ulgą w głosie i Megan przyznała mu rację. - Widzę, że pani też zrobiła wszystko jak trzeba.

- Dziękuję panu.

Bardzo sobie ceniła ten komplement. Potem oboje poszli na hamburgera, by omówić plan działania na najbliższe miesiące.

Jane miała pozostać w szpitalu co najmniej przez sześć tygodni, potem jeszcze kilka miesięcy spędzić na wózku inwalidzkim. Nie było mowy, by pokonała w wózku schody ich domu w San Francisco. Niania też nie dałaby sobie rady. Będą musieli zostać w Napa, co Berniego wcale nie przerażało, tym razem z całkiem innych powodów.

- Dlaczego nie mielibyście tu zostać? Tutaj nie musisz się martwić o schody, a Jane i tak nie może iść do szkoły. Mógłbyś znaleźć jej guwernantkę.

Na pełne zadumy spojrzenie Meg Bernie odpowiedział uśmiechem. W końcu wszystko stało się dla niego jasne. Naraz patrząc na nią, przypomniał sobie słowa, które wyrzucił z siebie wówczas, kiedy to się stało.

- Pozwól się przeprosić, Megan. - Popatrzył na nią czule przez stół, jakby widział ją po raz pierwszy. - To okropne poczucie winy... tak długo... Teraz wiem, że byłem w błędzie.

- Wszystko w porządku - szepnęła.

Rozumiała go.

- Czasami czuję się winny za to, że tak bardzo cię kocham... tak jakbym nie powinien tego robić... jakbym nadal musiał być jej wierny... Ale ona odeszła... a ja kocham ciebie.

- Wiem, że mnie kochasz i wiem, że czujesz się winny, ale nie musisz. Kiedyś to minie.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Bernie uświadomił sobie właśnie, że jej przewidywania już się sprawdziły w ciągu ostatniego dnia lub dwóch.

Nareszcie przestał się obwiniać za swą miłość do Meg i zrozumiał, że bez względu na to, jak długo jeszcze będzie trzymał w szafie ubrania Liz i jak bardzo kiedyś ją kochał, Liz już odeszła.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Policja zbadała przyczyny tragedii, w ciągu godziny poddali nawet kierowcę badaniu krwi, ale nikt nie miał wątpliwości, że to wypadek. Kobieta, która potrąciła Jane, wyznała, że już się nigdy po tym nie pozbiera. Wina leżała po stronie Jane, ale nie było to żadną pociechą, skoro leżała teraz w szpitalu po operacji i miała w perspektywie najpierw kilka miesięcy na wózku inwalidzkim, a potem jeszcze miesiące terapii.

- Dlaczego nie możemy wracać do San Francisco?

Była zawiedziona, że straci szkołę i nie będzie widywać się z koleżankami. Alexander miał w tym roku pójść do przedszkola, ale teraz wszystkie ich plany zostały zawieszono.

- Ponieważ nie poradysz sobie ze schodami, kochanie. Niania też nie da sobie rady z wózkiem. Tutaj będziesz mogła chociaż wyjść na dwór. Załatwimy ci też guwernantkę.

Jane była przykro rozczarowana. Stwierdziła, że wypadek popsuł jej całe lato. Niewiele brakowało, a zrujnowałby całe jej życie i Bernie dziękował Bogu, że tak się nie stało.

- Czy przyjedzie babcia Ruth?

- Powiedziała, że chętnie, jeżeli tylko będziesz chciała.

Jane skwitowała odpowiedź lekkim uśmiechem. Większość wolnego czasu Megan spędzała teraz z Jane. Prowadziły długie, mądre rozmowy, które bardzo je do siebie zbliżyły.

Wojowniczy nastrój opuścił Jane mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bernie wyzbył się swoich wyrzutów sumienia. Wyglądało na to, że jest teraz znacznie spokojniejszy niż jeszcze nie tak dawno temu. I nagle następnego dnia ten telefon, który go po prostu ogłuszył. Dzwonił Paul Berman.

- Moje gratulacje Bernardzie.

Tu nastąpiła złowieszczą chwila milczenia i Bernie wstrzymał oddech. Czuł, że zaraz jego świat się zawali.

- Mam ci coś do zakomunikowania, a właściwie mam trzy wiadomości.

Berman nie tracił czasu.

- Za miesiąc przechodzę na emeryturę i zarząd przegłosował ciebie na moje miejsce. Poza tym udało nam się podkupić od Saksa Joan Madison, by zajęła twoje miejsce w San Francisco. Będzie tam za dwa tygodnie. Czy możesz do tego czasu wszystko zlikwidować?

Serce w Bernie zamarło.

Dwa tygodnie? Za dwa tygodnie ma się pożegnać z Megan? Jakżeby mógł? No i Jane

nie będzie można ruszyć przez kilka miesięcy. Nie w tym jednak tkwiło sedno sprawy. Tym razem chodziło o coś zupełnie innego i Bernie musiał to powiedzieć Bermanowi. Zwlekanie nie miałyby sensu.

Paul czuł, że brak mu tchu, i zastanawiał się, czy to nie zawał. To by oczywiście wszystko ułatwiło, ale nie na tym mu akurat zależało. Nie miał teraz zamiaru szukać łatwych rozwiązań. Dobrze wiedział, czego chce. Już dawno powinienem był ci to powiedzieć.

- Poinformowałbym cię, gdybym wiedział, że zamierzasz przejść na emeryturę. Nie mogę objąć tego stanowiska.

- Nie możesz? - Paul Berman był przerażony. - Co chcesz przez to powiedzieć? Prawie dwadzieścia lat pracowałeś na ten stołek!

- Wiem, ale bardzo dużo zmieniło się w moim życiu od śmierci Liz. Nie chcę wyjeżdżać z Kalifornii.

A raczej od Megan... a może od marzenia, które w nim za szczepiła...

Nagle Berman się przestraszył.

- Czy ktoś inny zaproponował ci pracę? Neiman-Marcus... Magnin?

Nie wierzył, żeby Bernie go zdradził i odszedł do innej firmy, ale może złożono mu nadzwyczajną ofertę.

Bernie szybko wyprowadził go z błędu.

- Nie zrobiłbym ci czegoś takiego, Paul. Znasz moją lojalność wobec sklepu i ciebie. Ma to związek z wieloma innymi życiowymi decyzjami, które muszę podjąć. Jest parę rzeczy, które chciałbym zrobić tutaj, a których nie mógłbym zrealizować gdzie indziej.

- Nie mogę sobie wyobrazić, do licha, co to może być. Przecież sercem naszego biznesu jest Nowy Jork.

- Myślę o własnym interesie, Paul.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza znamionująca absolutne zaskoczenie, a Bernie wypowiedziawszy te słowa, uśmiechnął się do siebie.

- O jakim interesie?

- O sklepie. Małym sklepie ze specjalnym towarem w dolinie Napa.

Powiedziawszy to, poczuł się nagle wolnym człowiekiem. Miał wrażenie, że całe napięcie ostatnich miesięcy nagle zaczyna z niego opadać.

- Nie będę stanowił dla ciebie żadnej konkurencji, ale chcę, żeby to było coś naprawdę wyjątkowego.

- Czy już zacząłeś coś robić w tym kierunku?

- Nie, najpierw chciałem podjąć decyzję co do Wolffa.

- Dlaczego nie miałbyś pogodzić ze sobą obu spraw?

Berman, doprowadzony do rozpacz, koniecznie chciał go zatrzymać i Bernie to wyczuwał.

- Otwórz tam sklep i wynajmij kogoś, kto go poprowadzi za ciebie. Potem będziesz mógł wrócić tutaj, do Wolffa, i zająć miejsce, na które sobie zapracowałeś przez tyle lat.

- Paul, marzyłem o tym od dawna, ale teraz to już nie dla mnie. Muszę tu zostać. Wiem, że podejmuję słuszną decyzję.

- To będzie straszny szok dla zarządu.

- Przykro mi, Paul. Nie chciałem ci sprawić kłopotu, a tym bardziej postawić cię w niezręcznej sytuacji.

Po chwili roześmiał się.

- Wygląda na to, że nie możesz jeszcze iść na emeryturę. Ostatecznie jesteś za młody, by zrobić takie głupstwo.

- Moje ciało nie bardzo by się z tobą zgodziło, zwłaszcza dzisiaj.

- Przykro mi, Paul.

Było mu przykro, ale jednocześnie czuł się niezmiernie szczęśliwy. Po skończonej rozmowie siedział długo w spokojnej ciszy swego gabinetu. Za dwa tygodnie przyjedzie ktoś na jego miejsce. Po tylu latach pracy u Wolffa za dwa tygodnie będzie wolnym człowiekiem... wolnym po to, by założyć własny sklep... Przedtem jednak musi jeszcze coś zrobić. W przerwie na lunch w pośpiechu opuścił biuro.

Gdy przekręcał klucz w zamku, dom był śmiertelnie cichy. Cisza, która go przywitała, była dla niego niemal tak samo bolesna jak zawsze od śmierci Liz. Wciąż jeszcze oczekiwał, że ją tu zastanie, że zobaczy jej ładną, uśmiechniętą twarz, kiedy wyłoni się z kuchni z długimi jasnymi włosami, kołyszącymi się wokół ramion, wycierając ręce w fartuch. W domu nie było nikogo. Nikogo nie było od dwóch lat. Tamto było skończone wraz z marzeniami, które też zagubiły się gdzieś po drodze. Nadszedł czas na nowe marzenia, nowe życie. Z sercem w gardle wciągnął do holu, a potem do sypialni pudła. Na chwilę usiadł na łóżku, ale zaraz szybko wstał.

Musi to zrobić, zanim zacznie ją znowu wspominać, zanim nie zaciągnie się zbyt głęboko zapachem perfum z odległej przeszłości. Nawet nie zdejmował ubrań z wieszaków. Zbierał całe naręczna ze stojaków tak, jak to robili chłopcy w sklepach, i wrzucał do pudeł razem ze stosami pantofli, swetrów i torebek. Zatrzymał jedynie przepiękną kreację do opery i suknię ślubną, gdyż pomyślał, że może zechce je kiedyś mieć Jane. Po godzinie wszystko stało w holu w sześciu wielkich pudłach. Następne pół godziny zajęło mu zniesienie i

załadowanie ich do samochodu. Potem jeszcze po raz ostatni wrócił do domu.

Miał zamiar go sprzedać. Teraz, bez Liz, nie było w nim nic, na czym by mu zależało. Mieszkanie nie miało już dla niego uroku. To Liz stanowiła urok całego ich życia.

Delikatnie zamknął drzwi garderoby. Nic w niej nie zostało z wyjątkiem dwóch sukien, które zachował w plastikowych workach od Wolffa. Była pusta. Teraz Liz już nie potrzebowała ubrania. Leżała w spokojnym miejscu na dnie jego serca, gdzie zawsze będzie mógł ją odnaleźć. Rzuciwszy jeszcze raz okiem na mieszkanie, zbliżył się cicho do drzwi, i wyszedł na światło słoneczne.

Droga do punktu z używaną odzieżą, gdzie Liz oddawała zwykle ubrania po Jane, była krótka. Liz uważała zawsze, że nic nie powinno się marnować, skoro ktoś może jeszcze używać rzeczy, których oni już nie potrzebują. Kobieta za ladą była bardzo miła i rozmowna i usiłowała mu wcisnąć pokwitowanie za tak „wspaniały dar”, ale Bernie nie chciał. Uśmiechnął się tylko smutno i wyszedł, wsiadł do samochodu i wrócił spokojnie do biura.

Sklep również wydawał mu się tego dnia inny, gdy jechał ruchomymi schodami na piąte piętro do swego gabinetu. Teraz Wolff nie był już tak bez reszty jego. Należał do kogoś innego do Paula Bermana i zarządu w Nowym Jorku. Wiedział, że odejście sprawi mu ból, lecz był już na to przygotowany.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Tego popołudnia Bernie wcześniej wyszedł ze sklepu. Miał wiele rzeczy do załatwienia. Był w znakomitym nastroju, gdy skończywszy robić sprawunki, skierował się w stronę Golden Gate Bridge. Umówił się na szóstą z pośredniczką obrotu nieruchomościami i teraz jechał jak szalony, żeby się nie spóźnić. Z powodu ruchu ulicznego w San Rafael miał dwadzieścia minut spóźnienia, ale pośredniczka jeszcze na niego czekała, tak samo jak dom, który Megan pokazała mu kilka miesięcy temu. Jego cena nawet trochę spadła i rozstrzygnięto już wszystkie sprawy spadkowe.

- Czy będzie pan tam mieszkał z rodziną? - spytała kobieta, gdy Bernie wypełniał wstępne dokumenty.

Wpisał na czeku sumę zaliczki i teraz myślał tylko o tym, żeby jak najszybciej wziąć się do dzieła i zebrać resztę pieniędzy.

- Niezupełnie.

Musiał jeszcze uzyskać zezwolenie na wykorzystywanie domu do celów handlowych i na razie nie widział potrzeby wyjaśniania czegokolwiek urzędnicze.

- Przy niewielkim nakładzie pracy można z niego zrobić wspaniały dom do wynajęcia.

- Też tak myślę - skwitował z uśmiechem.

O siódmej zawarli umowę. Bernie poszedł do automatu i wykręcił numer centrali Megan. Miał nadzieję, że to ona ma dziś dyżur, a nie Patrick.

Kiedy po chwili usłyszał w słuchawce telefonistkę, poprosił doktor Jones, lecz przesadnie usłużny głos powiedział mu, że Megan jest właśnie w izbie przyjęć. Mogą ją wywołać, jeżeli Bernie poda swoje nazwisko, imię dziecka, jego wiek i wyjaśni, jaki ma problem. Oświadczył, że nazywa się Smith i ma dziewięcioletniego syna George'a, który złamał sobie rękę.

- Czy nie mogę spotkać się z panią doktor w izbie przyjęć? Dziecko bardzo cierpi.

Czuł się paskudnie, że uciekł się aż do takiego podstępu, ale przecież robił to w dobrej sprawie. Telefonistka obiecała, że uprzedzi doktor Jones o jego przyjeździe.

- Dziękuję - powiedział, starając się pohamować śmiech.

Pospieszył do samochodu, by pojechać do szpitala na spotkanie z Megan. Gdy wszedł i dostrzegł ją stojącą przy biurku, tyłem do niego, uśmiech rozjaśnił mu twarz. Cały dzień tak bardzo tęsknił za jej błyszczącymi czarnymi włosami i smukłą, pełną wdzięku sylwetką. Podszedł i delikatnie klepnął ją po pupie. Podskoczyła, a potem uśmiechając się szeroko, z

udaną powagą skarciła go wzrokiem.

- Cześć, właśnie czekam na pacjenta.

- Założę się, że wiem na kogo.

- Nie, nie możesz wiedzieć. To nowy pacjent. Nawet ja go jeszcze nie znam.

Bernie pochylił się i szepnął jej prosto do ucha:

- Pan Smith?

- Tak... ja... skąd... nagle zaczerwieniła się: Bernie! Stroisz sobie ze mnie żarty!

Była oszołomiona, ale chyba niespecjalnie rozgniewana. Coś takiego zrobił po raz pierwszy.

- Mówisz o małym George'u i złamanej ręce?

- Bernie!

Wycelowała w niego oskarżycielsko palec, a on popchnął ją delikatnie do gabinetu przyjęć, słuchając jej połajanek:

- Zrobiłeś okropną rzecz. Pamiętaj o chłopcu, który wołał: „Wilk”! To dotyczy Wolffa, a ja już tam nie pracuję.

- Co?!

Była naprawdę oszołomiona i patrzyła na niego w osłupieniu.

- Co takiego?

- Odszedłem dzisiaj.

Uszczęśliwiony, uśmiechał się do Meg. Wyglądał bardziej chłopięco, niż mógłby wyglądać wymyślony przez niego George.

- Dlaczego? Czy coś się stało?

- Tak - odparł ze śmiechem. - Paul Berman zaproponował mi swoje stanowisko, bo sam chciał odejść na emeryturę.

- Czy mówisz poważnie? Dlaczego odmówiłeś? Przecież całe życie na to pracowałeś.

- To samo powiedział mi Berman.

Wyciągał właśnie coś z kieszeni i sprawiał wrażenie niezwykle szczęśliwego człowieka, podczas gdy Megan ciągle patrzyła na niego w osłupieniu.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie chciałeś...

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Powiedziałem mu, że otwieram własny sklep w dolinie Napa.

Wyglądało na to, że wiadomość ta ogłuszyła Megan jeszcze bardziej, choć prawdę mówiąc, było to prawie niemożliwe. Natomiast Bernie promieniał.

- Bernardzie Fine, mówisz poważnie, czy też zwariowałeś?

- I to, i to. Ale o tym później. Przede wszystkim chciałbym ci coś pokazać.

Musi jej jeszcze opowiedzieć o domu, który właśnie kupił na ich sklep, ale najpierw chciał, by obejrzała coś innego. Wybierał to bardzo uważnie i z wielkim namysłem, gdy wyszedł po południu z biura. Podał jej małe opakowane pudełeczko. Megan przyglądała mu się trochę podejrzliwie.

- Co to?

- Bardzo, bardzo mały pajączek. Nazywa się czarna wdowa.

Otwieraj ostrożnie. Śmiał się jak chłopiec, natomiast Megan drżały ręce, gdy walczyła z opakowaniem. Ujrzała czarne aksamitne pudełeczko ze słynnego zakładu jubilerskiego.

- Bernie, co to?

Stał bardzo blisko niej i delikatnie dotykał jej aksamitnych włosów. Mówił tak cicho, że tylko ona mogła go usłyszeć.

- To jest, najdroższa, początek nowego życia.

Otworzył za nią pudełeczko i Megan zatkało, gdy ujrzała śliczny pierścionek ze szmaragdem w otoczeniu długich prostokątnych brylancików. Pierścionek był przepiękny, kamień cudowny, a szmaragd doskonale do niej pasował. Bernie nie chciał kupować jej pierścionka podobnego do tego, który dostała od niego Liz. To było zupełnie nowe życie i był już na nie przygotowany. Kiedy spojrzał na Megan, zauważył, że łzy spływają jej powoli po policzkach. Płakała, gdy całując ją, wkładał jej na palec pierścionek.

- Kocham cię. Czy wyjdiesz za mnie, Meg?

- Dlaczego robisz to wszystko? Odchodzisz z pracy... oświadczasz się... postanawiasz otworzyć sklep... Takich decyzji nie można podejmować w jedno popołudnie. To szaleństwo.

- Podejmuję je już od miesięcy i wiesz o tym. Po prostu potrzebowałem czasu, żeby cokolwiek przedsięwziąć. I teraz właśnie nadeszła pora.

Spojrzała mu w oczy z radością i lekką obawą. Należał do mężczyzn, na których warto czekać, ale nie było to takie proste.

- A co z Jane?

Bernie spojrzał wystraszony.

- Co z nią?

- Nie sądzisz, że najpierw ją powinniśmy zapytać?

Bernie nagle stracił odwagę, lecz Megan nalegała.

- Musi dostosować się do tego, czego my chcemy. Uważam, że powinniśmy jej powiedzieć, zamiast stawiać ją przed faktem dokonanym.

Po dziesięciominutowej wymianie zdań Bernie zgodził się w końcu udać na górę i

porozmawiać o tym z córką, choć gnębiła go obawa, że nie jest jeszcze przygotowana.

- Cześć.

Uśmiechnął się nerwowo i kiedy tylko weszli do pokoju, Jane od razu wyczuła, że coś z nimi jest nie w porządku. Widziała jeszcze łzy na rzęsach Megan.

- Czy coś się stało?

Była zatroskana, ale Megan natychmiast pokręciła głową.

- Nic, po prostu potrzebujemy twojej rady w pewnej sprawie.

Chowała lewą rękę w kieszeni białego fartucha, by Jane nie zauważyła od razu pierścionka.

- W czym?

Dziewczynka była zaintrygowana i nagle poczuła się bardzo ważna. Bo w istocie była bardzo ważna, dla obojga.

Megan spojrzała na Berniego, a on podszedł bliżej do Jane i stojąc obok jej łóżka, sięgnął po rękę córki.

- Pragniemy się z Megan pobrać, kochanie, i chcemy poznać twoje zdanie na ten temat.

W pokoju zaległa długa, doniosła cisza. Bernie wstrzymał oddech. Jane popatrzyła na nich i po chwili twarzyczka jej zaczęła się powoli rozjaśniać.

- I mnie najpierw o to pytacie?

Pokiwali oboje głowami, na co Jane uśmiechnęła się szeroko. To było wspaniale. Ojej, to naprawdę coś. Nawet jej matka tego nie zrobiła, lecz tą myślą nie podzieliła się z Berniem.

- A więc co o tym myślisz?

- Myślę, że dobrze... - Uśmiechnęła się do Megan - Nie... myślę, że to naprawdę będzie wspaniale.

Wszyscy troje rozpromienili się, Jane zaczęła się śmiać.

- Czy dasz jej pierścionek, tatusiu?

- Właśnie to zrobiłem - wydobył rękę Megan z kieszeni - ale nie chciała powiedzieć „tak”, zanim ty się nie zgodzisz.

Jane rzuciła Megan krótkie spojrzenie, które mówiło, że dzięki temu zostały na zawsze przyjaciółkami.

- Czy będziemy mieć wielkie wesele? - spytała Jane, a Megan wybuchnęła śmiechem.

- Nawet o tym nie myślałam. Tyle się dzisiaj wydarzyło!

- Powiedzcie jeszcze raz, co takiego.

Bernie poinformował Jane, że odchodzi od Wolffa, a potem opowiedział im obu o

domu, który kupuje, by założyć własny sklep. Obie patrzyły na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę chcesz to zrobić, tatusiu? Otworzysz własny sklep, przeniesiemy się do Napa, i w ogóle?

Jane aż klasnęła w ręce z podniecenia.

- Pewnie, że tak.

Obie swoje dziewczyny obdarzył najcieplejszym na świecie uśmiechem i usiadł na jednym z krzeseł przeznaczonych dla odwiedzających.

- Gdy tu jechałem, myślałem nawet, jak się będzie nazywał.

Obie jego damy patrzyły wyczekująco.

- Myślałem o was i o Alexandrze, i o wszystkich dobrych rzeczach, które mnie ostatnio spotkały... o wspaniałych chwilach mego życia, i wtedy właśnie przyszło mi to do głowy.

Megan wsunęła rękę w jego dłoń. Sprawilo mu przyjemność, że wyczuł szmaragd na jej palcu. Uśmiechnął się do niej, a potem do córki.

- Mam zamiar nazwać go „Wszystko co najlepsze”. Co o tym myślicie?

- Jestem zachwycona - Megan uśmiechnęła się do niego radośnie, a Jane aż pisnęła ze szczęścia. Nie martwiła się nawet tym, że musi leżeć w szpitalu. Tyle wspaniałych rzeczy działo się teraz wokół nich.

- Czy mogę być druzną na ślubie, Meg? Albo sypać kwiaty, albo cokolwiek?

Łzy pojawiły się w oczach Megan, gdy uśmiechała się do niej i kiwała głową. Bernie pochylił się i pocałował swą pannę młodą.

- Kocham cię, panno Megan Jones.

- A ja kocham całą waszą trójkę szepnęła, - spoglądając to na ojca, to na córkę i myśląc również o Alexandrze.

„Wszystko co najlepsze” to cudowna nazwa - WSZYSTKO co najlepsze... Nazwa ta najlepiej oddawała to czego Bernie doświadczył, od kiedy ją poznał.